



Andrzej Wierzbicki

Jak powstało państwo polskie?

Hipoteza podboju
w historiografii polskiej
XIX i XX wieku



Jak powstało państwo polskie?

Hipoteza podboju
w historiografii polskiej
XIX i XX wieku

ANDRZEJ WIERZBICKI

Jak powstało państwo polskie?

Hipoteza podboju
w historiografii polskiej
XIX i XX wieku



Instytut Historii PAN
Warszawa 2019

<http://rcin.org.pl>

Recenzje wydawnicze
dr hab. prof. UR Paweł Sierżęga
prof. dr hab. Rafał Stobiecki

Redakcja, korekta i indeks
Jolanta Rudzińska

Opracowanie graficzne i projekt okładki
Dariusz Górski

Na okładce kompozycja za: J. Matejko, *Poczet królów i książąt polskich*

© Copyright by Andrzej Wierzbicki
© Copyright by Instytut Historii im. Tadeusza Manteuffla Polskiej Akademii Nauk

ISBN 978-83-65880-55-0

Publikacja dotowana ze środków publicznych Ministerstwa Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Wydanie I, Warszawa 2019

Instytut Historii PAN
Rynek Starego Miasta 29/31
00-272 Warszawa
22 831 02 61-62, w. 44
www.ihpan.edu.pl
<http://ksiegarnia-ihpan.edu.pl>
wydawnictwo@ihpan.edu.pl

Druk i oprawa
Fabryka Druku

SPIS TREŚCI

| | |
|---|----|
| WPROWADZENIE | 9 |
| 1. Epistemiczny „Big Bang”, czyli o nagłym pojawieniu się Polski „od razu w pełnej zbroi” | 9 |
| 2. W kręgu historii i polityki – kamuflaże i eufemizmy. | 11 |
| 3. Relatywność instrumentarium terminologiczno-pojęciowego | 12 |
| Przyczyny „wewnętrzne” i „zewnętrzne” | 12 |
| Teorie i hipotezy | 14 |
| 4. Kilka odniesień polskich i pozapolskich | 16 |
| 5. Nieco o literaturze przedmiotu | 20 |
| | |
| ROZDZIAŁ I. W DOBIE PODZABOROWEJ. | 23 |
| 1. Oświeceniowe antecedencje – wokół kolchidzko-sarmackiej koncepcji Gotfryda Lengnicha | 23 |
| 2. Hipotezy podboju zewnątrznicznego | 26 |
| W stronę hipotezy podboju normańskiego (Tadeusz Czacki) | 26 |
| Śladami koncepcji kolchidzkiej Lengnicha (Antoni Bukaty, August Bielowski, Adam Mickiewicz) | 29 |
| Państwowotwórczy najazd Celtów (Fryderyk Lewestam) | 36 |
| Państwowotwórczy najazd Normanów (Karol Szajnocha) | 43 |
| 3. Hipotezy podboju wewnątrznicznego | 49 |
| „Unijno-federacyjne” podboje Piastów (Joachim Lelewel). | 49 |
| Podbój Słowian znad Wisły przez Słowian znad Łaby (Wacław Alek- sander Maciejowski, Michał Baliński, Franciszek Piekosiński) | 54 |
| Ze wschodu i zachodu. Dwa podboje? (Ludwik Kondratowicz [Władysław Syrokomla]) | 63 |
| 4. W kręgu koncepcji endogenicznych | 65 |
| Causus Jerzego Samuela Bandtkiego | 65 |
| Antoni Walewski i „samochętne” uformowanie się państwa pol- skiego | 68 |
| „Samozsiebne” państwa polskiego narodziny. Walka Antoniego Małec- kiego z „obłudą lechicką”. | 71 |
| Józefa Szujskiego dwa obrazy państwowotwórczych predyspozycji Słowian. | 84 |
| Michał Bobrzyński, czyli o niedopełnionych państwowotwórczych zada- niach „Słowiańszczyzny polskiej” | 87 |

| | |
|---|------------|
| Stanisława Smolki polemika z Franciszkiem Piekosińskim | 92 |
| Dalsze rozrachunki z hipotezą Piekosińskiego | 98 |
| 5. Między endo- a egzogenezą (cz. 1) | 100 |
| Wielonajazdowa koncepcja Edwarda Bogusławskiego | 101 |
| Koncepcja „trzech(?) drużyn” Stanisława Zakrzewskiego | 104 |
| Kazimierza Rakowskiego hipoteza państwowotwórczej roli rzekomego emporium goplańsko-kruszwickiego. | 109 |
| Od „samych obcych” do „samych swoich” – ekstremy myśli histo- rycznej Jana Karola Kochanowskiego | 115 |
| ROZDZIAŁ II. OD II RZECZYPOSPOLITEJ DO POLSKI LUDOWEJ | 121 |
| 1. Państwo czy naród? „Argument z przeszłości” w politycznych spo- rach o rodzicielską zasługę | 121 |
| 2. Między endo- a egzogenezą (cz. 2) | 125 |
| Czynnik normański w ujęciu Stanisława Zakrzewskiego | 125 |
| Kazimierz Krotoski i najazd „Polano-Rusów” spod Kijowa | 130 |
| Franciszka Bujaka negacja czynnika normańskiego – w stronę uni- wersalizacji zasady państwowotwórczego podboju | 133 |
| Kazimierz Tymieniecki i jego „socjologizacja” myślenia o początkach państw | 136 |
| Antynomie koncepcji „podbojowej ewolucji” Romana Grodeckiego | 138 |
| Stanisław Arnold – w stronę koncepcji podbojowej akceleracji ewo- lucji państwowotwórczej | 141 |
| Oswald Balzer – w stronę „czystej” endogenezy | 143 |
| Polemiki historyków polskich z historiografią niemiecką – Zygmunt Wojciechowski i inni | 150 |
| ROZDZIAŁ III. HISTORIOGRAFIA POLSKI LUDOWEJ | 163 |
| 1. Powojenne echa sporu o normanistyczną wykładnię narodzin państwa polskiego | 163 |
| Wobec „fałszerstw historiografii niemieckiej”. | 164 |
| 2. W stronę „jedynie słusznej” teorii | 168 |
| 3. Otwockie fundamenty „jedynie słusznej” | 175 |
| 4. Marksistowska historia historiografii wobec badań nad początkami państwa polskiego | 185 |
| Marian Henryk Serejski – prekursor badań historiograficznych nad hipotezą podboju | 187 |
| Aleksander Gieysztor – w stronę „PAN-owskiej” syntezy dziejów Polski. | 189 |
| Ryszard Rosin – w kręgu rozrachunków z historiografią niemiecką | 205 |

| | |
|--|---------|
| Henryk Łowmiański – komparatystyczna analiza koncepcji normatystycznych | 208 |
| Teoria | 209 |
| Egzemplifikacja i wnioski | 213 |
| Jana Adamusa krytyczna analiza „nieklasowej” teorii rodowej | 225 |
| „Rodowe” czy „własnościowo-klasowe” początki polskiego państwa. | 227 |
| 5. Miejsce hipotezy podboju w milenijnym kanonie powstania państwa polskiego | 232 |
| Dwa Tysiąclecia | 232 |
| Oskar Halecki i inni. Milenijne akcje i kontrakcje – ekskurs emigracyjny | 242 |
| Milenijny kanon powstania państwa polskiego | 251 |
| 6. Zgodnie z kanonem i poza nim – od lat sześćdziesiątych XX w. do końca PRL | 255 |
| Henryka Łowmiańskiego rekapitulacja „Początków Polski” | 255 |
| Marksizm a trzejelementowa koncepcja państwa | 256 |
| Wojna i pokój – dwie komplementarne drogi formowania państwa | 258 |
| Państwowotwórcza rola sił zbrojnych | 260 |
| Między endo- a egzogenezą, czyli o „spontanicznej” recepcji adriatyckiego modelu państwa | 263 |
| W kręgu „pomilenijnych” syntez dziejów Polski (Benon Miśkiewicz, Jerzy Wyrozumski, Tadeusz Manteuffel, Władysław Czapliński) | 266 |
| 7. Germańsko-normańskie wątki w okresie „postmilenijnym” | 276 |
| ROZDZIAŁ IV. ZAMIAST ZAKOŃCZENIA. W ZASIĘGU CZASU PRZESZŁEGO NIEDOKONANEGO. | |
| 1. Przewrót dendrochronologiczny? | 287 |
| 2. Uzurpacja jako rodzaj „przedsięwzięcia integracyjnego” | 289 |
| 3. Rewolucje | 293 |
| 4. Przełomy | 298 |
| 5. Syndrom podboju wewnętrznego | 302 |
| 6. Nieco o ewolucji zwanej rewolucją | 304 |
| 7. Niedomówienia i niejasności we współczesnych koncepcjach powstania państwa polskiego | 310 |
| ABSTRACT | 327 |
| INDEKS OSOBOWY | 330 |

WPROWADZENIE

1. EPISTEMICZNY „BIG BANG”, CZYLI O NAGŁYM POJAWIENIU SIĘ POLSKI „OD RAZU W PEŁNEJ ZBROI”¹

Tytuł książki może sugerować, że odnosi się ona do, wprawdzie najbardziej kontrowersyjnego, ale tylko jednego z występujących w historiografii nurtów naświetlających kwestię narodzin polskiego państwa. Takie rozumienie jej ram tematycznych nie byłoby jednak w pełni trafne. Wprawdzie głównym punktem odniesienia jest tu hipoteza podboju, ale nie znaczy to, że przemilczane zostały inne „teorie i hipotezy”, w tym i takie, które przez długie lata w licznych kręgach historyków uchodziły jeśli nie za „jedynie naukowe”, to przynajmniej za „jedynie słuszne”. Tak więc obok hipotez podboju, utrzymanych w konwencji wydarzeniowej (aktu jednorazowego), uwzględniłem również ujęcia procesualno-ewolucyjne z marksistowskim, rzecz prosta, „na czele” oraz koncepcje „mieszane” – w ten czy inny sposób łączące oba te przeciwstawne ujęcia. W sumie jest to książka o bardzo często odwiedzanym, lecz zarazem bodaj najsłabiej oświetlonym zakamarku myślenia o naszej przeszłości, głównie z powodu znikomości źródeł pisanych oraz ich charakteru, dającego możliwość licznych rozbieżności interpretacyjnych.

Wielu historyków od dawna zwracało uwagę na „nagłe” pojawienie się państwa Mieszka I na historycznej scenie. Wśród tych, którzy tak czynili, był Roman Grodecki, który w sygnowanych także przez Jana Dąbrowskiego² dwutomowych *Dziejach Polski średniowiecznej* zwracał uwagę czytelników na to, że państwo polskie przejawiało swe istnienie w 963 r. i to od razu

¹ Obie metafory zaczerpnąłem z pierwszego tomu *Dziejów Polski* Andrzeja Nowaka, zob. niżej, cyt. i przyp. 7.

² Trzecim ze współautorów był zmarły w 1918 r. Stanisław Zachorowski, którego fragmenty wcześniej opublikowanego tekstu, zawartego w *Historii politycznej Polski*, wydanej przez PAU w 1919 r., Grodecki i Dąbrowski postanowili włączyć do tomu pierwszego całości dzieła.

„w postaci gotowej”³. Jakkolwiek taka obserwacja zdawała się prowadzić myśl w stronę założenia, że nagłe pojawienie się było wynikiem równie nagłego powstania tego państwa, to jednak Grodecki deklарował *expressis verbis*, że jest zwolennikiem tezy o ewolucyjnej jego genezie i obwieszczał w 1926 r., że we współczesnej nauce jest to koncepcja uznawana „powszechnie i słusznie”⁴. W praktyce jednak ową ewolucyjną drogę kształtowania się państwa historyk ten ukazywał dość oryginalnie, ponieważ w całości swej narracji poświęconej początkom Polski główny akcent położył nie na nic innego, tylko na podboje Piastów⁵.

Znamienne, że kilkadziesiąt lat później, bo w 1999 r., Jerzy Wyrozumski, którego naukowym mistrzem był skądinąd Roman Grodecki, tezę o „nagłym” pojawieniu się państwa polskiego w postaci w pełni dojrzałej przypisywał już nie współczesnym, lecz jedynie „dawniejszym badaczom”, co może sugerować, że współczesna historiografia odłożyła ją do lamusa⁶. Tymczasem bardzo obrazowo, co nie znaczy, że nieprecyzyjnie, podpisał się pod nią trzy lata temu Andrzej Nowak, według którego państwo Mieszka wręcz „wyskakuje na scenę historii jak Atena z głowy Zeusa – od razu w pełnej zbroi. Żadnego nie mamy w historii pisanej przedstawienia czasu dochodzenia do tego przełomowego momentu. [...] Możemy śledzić w historii, jak dochodziły do form swej państwowości plemiona germańskie, ruskie, madziarskie, czeskie, potem litewskie, jak nie udało się tych form ustabilizować Słowianom zachodnim: Obodrycom, plemionom związku wieleckiego. Natomiast o tym jak powstało, skąd się wynurzyło, dzięki jakiej ewolucji (czy rewolucji) uformowało się państwo zapisane nagle w kronikach między 963 a 966 rokiem – nie mamy żadnych źródeł pisanych! Stąd to wrażenie wybuchu, historycznego big-bangu na ziemiach między Odrą i Wisłą”⁷. Ujęcie Nowaka bliskie jest zapatrywaniom piszącego te słowa – brak źródeł pisanych czy też ich milczenie nie przesądzają statusu ontologicznego państwa polskiego przed rokiem 963, innymi słowy, nie rozstrzygają, czy należało już ono do sfery „bytów historycznych”, czy jeszcze nie. Z drugiej strony „nagłość”, z jaką Widukind z Korbei obwieścił istnienie tego państwa, pisząc w swej kronice o walkach wojsk Mieszka z oddziałami Wichmana, może

³ R. Grodecki, S. Zachorowski, J. Dąbrowski, *Dzieje Polski średniowiecznej w dwu tomach*, t. 1: *Do roku 1333*, Kraków 1926, s. 14.

⁴ Tamże.

⁵ Szerzej na ten temat piszę w rozdz. II niniejszej książki.

⁶ „Tak pojęte państwo polskie pojawiło się, w rozumieniu wielu dawniejszych badaczy, nagle, i to od razu jako twór na tyle politycznie dojrzały, że mogło być partnerem władców krajów niemieckich”; zob. J. Wyrozumski, *Dzieje Polski piastowskiej (VIII wiek – 1370)*, Kraków 1999 (Wielka Historia Polski, 2), s. 73.

⁷ A. Nowak, *Dzieje Polski*, t. 1: *Skąd nasz ród (do 1202)*, Kraków 2014, s. 64.

powodować wrażenie „nagłości” jego rzeczywistych narodzin, co zdaje się bardziej harmonizować z tezą o powstaniu tego państwa drogą podboju niż państwowotwórczej ewolucji.

2. W KRĘGU HISTORII I POLITYKI – KAMUFLAŻE I EUFEMIZMY

Postulat pogodzenia w historiografii statyki z dynamiką lub, mówiąc innymi słowy, ujęcia synchronicznego z ujęciem diachronicznym, to stała bolączka historyków i nie warto byłoby o niej przypominać, gdyby nie fakt, że przedmiot moich zainteresowań jest pod tym względem szczególnie kłopotliwy. Formuła, której człon pierwszy wyznacza relacja „podbój a powstanie państwa polskiego”, drugi natomiast – obszar o nazwie „historiografia polska XIX i XX w.”, tylko na pozór jest prosta. Po pierwsze, dlatego że to, co jedni określali jako podbój, dla innych owym podbojem wcale nie było. Po drugie, ponieważ zjawisko postrzegania genezy naszego państwa w kategoriach „podbojowych” nasilało się i wygasało w ciągu ostatnich dwóch stuleci, o czym decydowały nie tylko zmieniające się trendy naukowe, ale też, bodaj jeszcze bardziej zmienne, klimaty ideowo-polityczne. Po trzecie, ze względu na to, że istotę państwowotwórczego podboju kamuflowano często takimi formułami jak „polityczna integracja”, „przedsięwzięcie integracyjne” „jednoczenie”, „braterska pomoc w stawianiu państwowych podwalin”, „współdziałanie w budowie i organizacji struktur ustrojowych” czy też „zbieranie” i „scalanie” ziem, które z rozlicznych przyczyn powinny być scalone. Z jakich? Choćby z racji pokrewieństwa zamieszkujących je ludzi („ras”, „szczerpów”, „plemion”, „etnosów” itp.) lub wspólnoty ich losów historycznych, a nawet zgoła metafizycznego przypisania sobie „praw” do jakiejś większej całości, takiej na przykład jak Moskwa, która zgodnie z doktryną Filoteusza z Pskowa (ok. 1450 – po 1524) spełnić miała funkcję trzeciego, a zarazem ostatniego w dziejach „Rzymu”. Tadeusz Korzon już w XIX w. zwracał uwagę, iż ów kamuflaż „tworzy atmosferę tak odurzającą, że aparat krytyczny nie działa, lub działa zbyt słabo. Któż zdoła oprzeć się np. urokowi teorii »zbierania ziem ruskich« przez Rosję? Przecież Sołowjew i inni najlepsi znawcy dziejów narodowych, nie dostrzegli, że Rosyjskie cesarstwo datuje się od Piotra, że Piotr Wielki był poprzednio carem Moskwy, że pierwszy car Iwan IV był pierwaj w[ielkim] kniazem Moskwy, spadkobiercą Iwana Kality, który nie posiadał nigdy ani Kijowa, ani Ukrainy, ani Białej Rusi, ani Wilna, ani Litwy i Żmudzi, a zatem i następcom swoim w dziedzictwie przekazać nie mógł tego, czego sam nie miał. Więc Moskwa i Rosja zbierała to, czego nie zgubiła. A zbierała niekoniecznie kraje ruskie [...]. Iwan IV zebrał carstwo

Kazańskie, Astrachańskie, Sybirskie bez żadnych pretensji [uzasadnień – A.W.] narodowościowych lub wyznaniowych”⁸.

Przykładów kamuflowania tego typu zjawisk przy pomocy różnego rodzaju eufemizmów na kartach tej książki będzie można znaleźć więcej. Ukazują one trudności, jakie nastęrcza typologizacja analizowanych koncepcji oraz skorelowanie ich z cezurami wyznaczającymi tak temporalnie niewspółmierne przedziały naszych dziejów jak: grubo ponadstuletni okres podzaborowy (1795–1918) oraz dwudziestolecie międzywojenne (1918–1939) i nieco dłuższy, lecz niesięgający nawet półwiecza okres Polski Ludowej z PRL włącznie (1944–1989). A właśnie te przedziały, uwypuklające z jednej strony fundamentalne zmiany polityczne, z drugiej zaś kolejne teoretyczne i metodologiczne przekształcenia zachodzące w obrębie historiografii polskiej rzutują na konstrukcję tej książki. Wprawdzie tu i ówdzie, a zwłaszcza w zakończeniu, wykracza ona poza ramy wyznaczone przez lata 1795 jako *terminus post quem* i 1989 jako *terminus ante quem*, ale nie tylko nie koliduje to z jej główną linią, lecz przeciwnie – służy lepszemu jej uwidocznieniu. To jednak nie wszystko, na co chciałbym zwrócić uwagę, chcąc ułatwić czytelnikowi dalszą lekturę.

3. RELATYWNOŚĆ INSTRUMENTARIUM TERMINOLOGICZNO-POJĘCIOWEGO

PRZYCZYNY „WEWNĘTRZNE” I „ZEWNĘTRZNE”

Narodziny państw mają charakter endogeniczny (1) lub egzogeniczny (2), mogą też łączyć obie z tych dróg, przybierając charakter mieszany (3). W pierwszym wypadku („endo”) następują one w wyniku procesów i wydarzeń płynących z wnętrza określonego układu społeczno-terytorialnego, który w pewnym momencie „sam z siebie” dojrzewa i przybiera formę polityczną państwa, w drugim („egzo”) – w wyniku czynników wychodzących spoza tego układu, spośród których najbardziej spektakularnym i to zarówno dla uczonych mężów, jak i tych, którzy nigdy niczego się nie uczyli, jest podbój. Łatwo dostrzec, że taka formuła, zapewne nader impertynencko kondensująca dociekania wielu poprzedzających nas pokoleń, ujmując kwestię od strony ontologii „bytów historycznych”, w tym bytów tak fundamentalnych dla badacza dziejów jak naród i państwo. Formułę tę można jednak uczynić bezpieczniejszą poprzez nadanie jej formy konstatacji epistemologicznej,

⁸ „N” [T. Korzon], *Prof. Kariejew i jego poglądy na upadek Polski*, „Kwartalnik Historyczny” 1889, cyt. z wyd.: T. Korzon, *Listy otwarte, mowy, rozprawy, rozbiory*, t. 3, Warszawa 1916, s. 344.

a mianowicie pisząc, że narodziny państw mogą się nam jawić jako procesy lub wydarzenia o charakterze endogenicznym, egzogenicznym lub mieszanym. Łatwo dostrzec, że w ten sposób stanęlibyśmy przed tyle odwiecznym, co banalnym dylematem – czy, a jeśli tak, to kiedy, wyjaśniając bieg dziejów, należy odwoływać się do tzw. przyczyn wewnętrznych, umiejscawianych w obrębie układu stanowiącego przedmiot badania (tzw. wyjaśnianie dyspozycyjne⁹), czy może do przyczyn o proveniencji zewnętrznej – „pozaukładowej” (tzw. wyjaśnianie „ściśle przyczynowe”). W odniesieniu do naszych dziejów ojczystych dylemat ów wystąpił ze szczególną wyrazistością pod postacią sporów o to, czy państwo polskie mogło przyjść na świat w sposób samorodny, czy też wymagało rodzicielskiego wysiłku, jakim miał być podbój, który przyszedł „z zewnątrz”. Tak ukierunkowane spory toczyły się, a i nadal się toczą, nie tylko o narodziny tego państwa, ale też o to, czy jego wymazanie z mapy świata w końcu XVIII w. było wynikiem polskiej anomalii (patologii) historycznej, czy może zaborczej zachłanności i politycznej zmywy trzech sąsiadów (Austrii, Prus i Rosji), którzy, według słów Joachima Lelewela, „zamordowali Polskę” i „poćwiartowali”¹⁰.

Rozważania, czy zło przyszło od nas samych, czy też „z zewnątrz” wykraczały poza motywy czysto poznawcze i prowadziły w sposób oczywisty w stronę polityki. Również dzisiaj trudno jest nam uwolnić się od skojarzeń politycznych i, spoglądając na owe spory przez mędrca „szkiełko i oko”, postrzegać w nich jedynie dwa równorzędne sposoby wyjaśniania biegu dziejów. Trudno, bo splot myślenia historycznego i politycznego, który trwał u nas przez całe XIX i początki XX stulecia, miał w tym wypadku charakter wręcz newralgiczny. Były to czasy, kiedy tym, którzy sądzili, że państwo polskie miało już swe funeralia, odpowiadali ci, którzy nie tylko śpiewem starali się potwierdzić, że „Jeszcze Polska nie umarła”, co w 1918 r. potwierdziła wszystkim sama Historia. Lecz potem na nowo rozgorzały dyskusje na temat „wewnętrznych” i „zewnętrznych” uwarunkowań dziejów polskiego państwa, z tym że jednak obok kontynuacji dawnych sporów o *finis Poloniae*, pojawiły się również nowe, a mianowicie o to, skąd się wzięła *Polonia restituta*?

Sprawa staje się jeszcze bardziej skomplikowana, gdy wkraczamy na grunt komparatystyki historycznej i staramy się wyznaczyć „wewnętrzny” lub „zewnętrzny” status porównywanych przez nas układów historycznych – państw, epok, krain, narodów, procesów, wydarzeń itp. O tym, czy przypiszemy im cechy „wewnętrzności” lub „zewnętrzności” nader często

⁹ To przyjęte w metodologii historii określenie nie jest najszcześniejsze, może bowiem – wbrew intencjom jego twórców – sugerować mało chwalebne praktyki pisania historii na zamówienie, zgodnie z тезami (dyspozycjami) zlecającego.

¹⁰ J. Lelewel, *Dziela*, t. 8, Warszawa 1961, s. 33.

decydują okulary badacza. By nie mnożyć nadmiernie przykładów, odwołam się do dwóch tylko. Otóż jeśli orzeknę, że Prusacy, Austriacy i Rosjanie byli w końcu XVIII w., tak jak Polacy, „Europejczykami”, to unicestwienie przez zaborców polskiego państwa może się jawić jako akt o charakterze „wewnątrz-przyczynowym”. Wszystko działo się przecież w obrębie układu określanego mianem „Europy”, czyli kategorii oznaczającej wówczas najwyższy poziom rozwoju cywilizacyjnego. Jeżeli jednak w odniesieniu do takiego „wnętrza” świata historycznego jak „Europa”, różniącego się wielorako (geograficznie, etnicznie, kulturowo itp.) od innych „wnętrz” tego typu, jak na przykład „Azja” czy „Ameryka”, zastosujemy kryteria narodowe lub jedynie etniczno-językowe, to staje się oczywiste, że owo „wnętrze” ma swoje romańskie, germańskie czy słowiańskie „subwnętrza”, z których każde w stosunku do pozostałych jest czymś „zewnątrznym”. Polak i Niemiec pozostają wewnątrz tej samej Europy, ale zarazem pod względem narodowym lub państwowym każdy z nich pozostaje – przynajmniej „dzisiaj”, bo „wczoraj”, na przykład w dobie podzaborowej, już tak nie było – „na zewnątrz drugiego”. Podobnie zwykliśmy relatywizować przyczyny wydarzeń i procesów, w związku z czym pole dowolności jest wręcz niezmiernie. Odnosi się to również do przyczyn powstawania i zanikania państw.

A oto drugi przykład. W ścisłym związku z dychotomią „endo” i „egzo” pozostają opozycje kategorii podboju „wewnętrznego” i „zewnątrznego” oraz autochtonizmu i alochtonizmu. Na pierwszy rzut oka są one trudne do podważenia. Ale co zrobić, gdy na autochtonów najeżdżają „z zewnątrz” wojownicy mający z nimi wspólnych przodków, którzy też kiedyś byli na tych ziemiach autochtonami, tyle że nieco wcześniej przemieścili się nieco „dalej”. W takiej sytuacji przychodzący „z zewnątrz” podbójcy powracają jedynie do domu swych dziadów i pradziadów, i są „krwią z krwi i kością z kości” podbitych. Również takie koncepcje – „podboju zewnętrznego o charakterze »wewnętrznoetnicznym«” – stanowią tworzywo myśli historycznej, która w poszukiwaniu przyczyn wydarzeń i procesów nie zawsze może sobie poradzić z rozgraniczeniem tego, co płynęło „z wewnątrz”, a co „z zewnątrz”. W efekcie poruszamy się w gęstwie zachodzących na siebie „zewnątrżności i wewnętrzności”, które osadzone w różnych kontekstach (układach) mogą zamieniać się rolami i zmieniać swój status kauzalny. Oczywiście pod warunkiem, że w ogóle chcemy respektować wyjaśnianie przyczynowe.

TEORIE I HIPOTEZY

W polskiej historiografii, a i w języku potocznym również, utarł się zwyczaj określania wielu tez i hipotez mianem „teorii”. Tak było między innymi z „teorią podboju”, głoszącą, że państwo polskie zostało stworzone przez

najeźdźców, czy też z „teorią wschodnich przestrzeni”, które wchłonięte przez to państwo miały w ostatecznym efekcie doprowadzić do jego upadku. Zwyczaj ten budził i budzi wiele wątpliwości, bo przecież tego typu „teorie” ograniczone są jedynie do fragmentów dziejów określonych państw i narodów, często zaś, tak jak ma to miejsce w wypadku wyżej przywołanych, wyłącznie do dziejów jednego tylko państwa i społeczeństwa. Skala ich ogólności jest niemal żadna. Są to zazwyczaj hipotezy czy też „fakty domniemane”, które w znikomym stopniu (jeśli w ogóle) wynikają z materiału źródłowego, byt swój zawdzięczając w istocie leżącym u ich podłoża teoriom *sensu stricto*. Do tych ostatnich należy teoria formowania się państw, głosząca, że zawsze i wszędzie powstawały one drogą podboju. Trzeba przy tym pamiętać, że w swej najszerszej postaci nie ogranicza się ona do podboju rozumianego jako skutek najazdu, który przyszedł „z zewnątrz”. Myślenie kategoriami państwowotwórczego podboju owocowało również koncepcjami dokonywanego skądinąd na ogół ewolucyjnie „podboju wewnętrznego”, polegającego na uzależnieniu bezpośrednich producentów dóbr materialnych (rolników, hodowców itp.) przez wojowników (rycerzy, szlachtę), które to koncepcje występowały między innymi w myśli historyczno-politycznej socjalistów, anarchistów i komunistów. Tak rozumiana teoria podboju stawała się w istocie teorią zmian prowadzących do głębszych ustrojowych transformacji. Na gruncie marksistowskim odbywało się to w kolektywistycznej konwencji walki klas społecznych, przeciwstawiającej się interpretacjom heroistycznym, akcentującym przewodnią rolę wybitnych jednostek, a także formułom pośrednim, elitarystycznym – w rodzaju Burnhamowskiej rewolucji menadżerów.

Podbój wewnętrzny (autochtonów przez autochtonów) przeważnie wykluczał antagonizm etniczny między najeźdźcami a zniewolonymi, choć z drugiej strony, powiedzmy to już w tym miejscu, podbój zewnętrzny bynajmniej owego antagonizmu nie implikował, co poświadczają omówione w tej książce koncepcje państwowotwórczych najazdów Słowian na Słowian, Lachów znad Łaby na Lachów znad Wisły czy też Polan spod Kijowa na Polan spod Gniezna i Poznania. Mówiąc inaczej, o ile podbój „wewnętrzny” traktowano jako tożsamy z podbojem wewnątrzetnicznym, to podbój „zewnętrzny” (autochtonów przez alochtonów) mógł mieć różnoraki charakter – wewnętrzny lub zewnątrzetniczny. Ale nie tylko. W rachubę wchodził również podbój o charakterze mieszanym, w przypadku najeźdźców wieloetnicznych, gdy na przykład jedna ich część była germańska, a druga słowiańska, lub stanowiących „krzyżówkę”, „zlewek krwi” odmiennych etnicznie plemion. To spostrzeżenie w znacznej mierze zaważyło na kształcie konstrukcyjnym tej książki.

4. KILKA ODNIESIEŃ POLSKICH I POZAPOLSKICH

„Teoria podboju”, często zastępowana mniej precyzyjną nazwą – „teoria najazdu” (mniej precyzyjną, ponieważ nie każdy najazd skutkować musi podbojem, a nie każdy podbój musi być skutkiem najazdu), nie była wytworem jedynie polskiej myśli historycznej i nie tylko w Polsce usiłowano poprzez odwołania do niej wyjaśniać genezę państw oraz, jak sądzono, sprzecznego z „prawami natury” podziału społeczeństw na klasy uprzywilejowane i upośledzone. W Europie XVIII w. stanowiła ona jeden z najbardziej eksponowanych elementów myśli historycznej oświecenia, lecz przecież także późniejsze formacje światopoglądowo-intelektualne czerpały z niej pełnymi garściami. „Teza, że zwycięzcy w wojnie czyli »podbójcy«, dali początek stanowi panów, a podbici utworzyli stan poddanych, była tezą obiegową romantycznej historiografii francuskiej”¹¹. W pierwszej połowie XIX w. opowiadali się za nią między innymi tak znani historycy jak François Guizot i Augustin Thierry. Ten ostatni w swym największym dziele o podboju Anglii przez Normanów¹² z „antypatii” ras uczynił wręcz klucz do zrozumienia nie tylko średniowiecznych, ale i najnowszych dziejów państw europejskich. Również w innych swych pracach Thierry do wątku tego powracał z taką intensywnością, że jakkolwiek daleki był od teorii nierówności ras w stylu Josepha Arthura de Gobineau, to Jules Michelet dostrzegł w nim reprezentanta tego właśnie kierunku¹³. Już choćby wykraczająca daleko poza granice Francji popularność dzieł Thierry’ego poświadcza, że w pierwszej połowie XIX w. teoria najazdu znajdowała bardzo przychylny klimat¹⁴. Jej żywot nie skończył się jednak wraz z połową stulecia. W 1872 r. Fustel de Coulanges ubolewał nad tym, iż teoria ta, głosząc, że już u swych początków naród francuski dzielił się na dwie nierówne i wrogie sobie „rasy”¹⁵, nadal ciąży niebezpiecznie nad rodzimą myślą historyczną i jej politycznymi wcieleniami.

Hipoteza podboju mającego doprowadzić do powstania polskiego państwa i podziału jednolitego początkowo społeczeństwa na klasy uprzywilejowane i upośledzone w miarę upływu czasu coraz wyraźniej wypierana była z polskiej historiografii, co nie znaczy, że w stuleciach XIX i XX nie

¹¹ J. Kurczewska, *Naród w socjologii i ideologii polskiej. Analiza porównawcza wybranych koncepcji z przełomu XIX i XX wieku*, Warszawa 1979, s. 66 i n.

¹² A. Thierry, *Histoire de la conquête de l'Angleterre par les Normands*, t. 1–3, Paris 1825.

¹³ Tak podaje W.M. Dalin, *Историки Франции XIX–XX веков*, Moskwa 1981, s. 12.

¹⁴ W odniesieniu do historyków rosyjskich, poczynając od Nikołaja Karamzina, problematykę tę omawia: M.A. Ałpatow, *Русская историческая мысль и западная Европа (XVIII – первая половина XIX в.)*, Moskwa 1985, s. 190 i n.

¹⁵ Zob. M.H. Serejski, *Z zagadnień genezy państwa polskiego w historiografii (o tzw. teorii podboju)*, w: tenże, *Przeszłość a teraźniejszość. Szkice i studia historiograficzne*, Wrocław 1965, s. 217.

formułowano jej nowych wariantów. Pojawiały się one nadal, znajdując skądinąd teoretyczną podbudowę w zapatrywaniach niektórych przedstawicieli ówczesnej polskiej myśli społecznej, zwłaszcza zaś Ludwika Gumplowicza i Bolesława Limanowskiego.

Gumplowicz z teorii podboju uczynił wręcz prawo dziejowe, od którego nie mogło być żadnych odstępstw. W opublikowanej w 1875 r. rozprawce *Rasse und Staat* zawarł naturalistyczny, utrzymany w konwencji darwinizmu społecznego pogląd, że obcy podbój stanowi konieczny warunek powstania państwa, będącego rodzajem organizmu opartego na przeciwieństwach rasowych i klasowych między podbitymi a zwycięzcami. Tak też miało być w Polsce, gdzie szlachtę cechowało jakoby głęboko zakorzenione poczucie swej odmienności „rasowej”. Charakteryzując owo poczucie, uczony ów pisał: „Oni są Chamitami, a my Jafetydami – oto najprostsza formuła społeczna, na której wspierała się organizacja państwa polskiego i z pomocą której niewola chłopca uzyskiwała sankcję pisma świętego”¹⁶. Gumplowicz wielokrotnie powoływał się na głoszoną przez siebie teorię i usiłował ją, z różnym wszelako skutkiem, popularyzować. Z jednej strony zdarzało się, że wzbudzała ona aprobatę i życzliwe zainteresowanie, z drugiej jednak mogła wywoływać niepokój ze względu na możliwość jej ideologicznego spożytkowania przez radykalne ruchy społeczne i polityczne. Przykładem pierwszego stanowiska może być ocena, jaką wystawił koncepcji Gumplowicza wybitny przedstawiciel warszawskiej szkoły historycznej Aleksander Rembowski, który wprawdzie narzekał, że Gumplowicz nie poparł swej teorii historyczną egzemplifikacją, zarazem jednak nie krył też swego uznania dla jej walorów logicznych i argumentacyjnych¹⁷. Przykładem drugiego zaś niepokój austriackich tradycjonalistów przed zawartą w teorii podboju

¹⁶ L. Gumplowicz, *Rasse und Staat*, Wien 1875, s. 10, cyt. w tłum. M.H. Serejskiego, w: tenże, dz. cyt., s. 218.

¹⁷ Rembowski pisał m.in.: „dr Gumplowicz dochodzi do przekonania, że **zawsze akt gwałtu czyli przemoc jednego szczepu nad drugim** [podkr. AW – nie wchodzi tu zatem w grę przemoc wewnątrzszczeniowa i *eo ipso* podbój wewnętrzny], objawiający się w podbiciu i opanowaniu słabszego, dawał początek państwu. Założyciele pierwotni państw nie mieli nigdy pojęcia o idei państwa. W nich istniało tylko poczucie i świadomość siły oraz potrzeba dobrobytu. Idea prawa powstała dopiero pod opieką państwa, od niego się wywodzi i jest tem samym od niego późniejszą. Powyższym przekonaniem zadaje autor kłam licznym poglądom przypisującym powstanie państw, uczuciu lub świadomości prawnej społeczeństw. Trudno zaprzeczyć, iż rozumowanie dra Gumplowicza jest bardzo logiczne i przyciąga nas siłą argumentacji. Poważylibyśmy się tylko zarzucić autorowi, iż zaniedbał tym razem zupełnie udowodnienie historyczne. Twierdzenia jego przybrałyby przez to charakter niezbitęj pewności, a tem samym wartość naukowa wykładu zwiększyłaby się niezmiernie”; zob. *Ludwik Gumplowicz, Filozoficzne prawo państwowe*, w: *Pisma Alexandra Rembowskiego*, t. 2, Warszawa 1902, s. 486 (pierwodruk omawianego art.: „Niwa” 1877).

możliwością delegitymizacji władzy cesarskiej. Przynajmniej tak miał to przedstawiać sam Gumplowicz¹⁸. Przekonaniu, że „państwa powstają tam, gdzie zderzają się różnorodne szczepy ludzkie i gdzie jedne podbijają drugie” uczony ten pozostał wierny aż do śmierci (1909). Można tak powiedzieć, ponieważ przytoczone tu słowa pochodzą z jego ostatniej wypowiedzi, opublikowanej w 1908 r. na łamach „Przeglądu Historycznego”¹⁹.

Jeżeli Gumplowicz ujmował kwestię „podbójczej” genezy państw i podziałów klasowych, odwołując się do wielkich, uniwersalizujących kwantyfikatorów czasoprzestrzennych, to znacznie ostrożniej czynił to Bolesław Limanowski. Wprawdzie i on nie gardził formułami mówiącymi, że analiza dziejów „każdego narodu” wskazuje, iż „wszystkie państwa” wraz z istniejącymi w nich przedziałami społecznymi (klasowymi) powstawały „tylko w drodze podboju”²⁰, ale owym „zawsze” i „wszędzie” nadawał w istocie charakter hipotetyczny. Była to dlań koncepcja nie tylko „najłatwiej przemawiająca do przekonania”²¹, ale też wielce pociągająca, pozwalająca bowiem „wytłumaczyć sobie wiele zjawisk w rozwoju dziejowym życia narodowego, które inaczej byłyby niezrozumiałe, a nawet zaprzeczałyby zasadom teorii ewolucyjnej”²².

¹⁸ Według Aleksandra Kraushara, z którym Gumplowicz rozmawiał na te tematy, uczyony ów użalał się, iż jego pomysły wzbudzały niechęć w c.k. monarchii ze względu na ich klasowe implikacje: „Pesymizm Gumplowicza w zapatrywaniu się na ustrój społeczeństwa – pisał Kraushar – jego teoria »walki ras«, będącej jakoby źródłem powstawania państw, jakkolwiek znalazła następnie, wbrew wszelkiemu spodziewaniu poparcie w tezie prof. Piekosińskiego, który powstanie państwa polskiego przypisał »najazdowi« – ów pesymizm bezwzględny, wysnuty z poglądu na państwo, jako na wytwór naturalny, bez woli wyższej Opatrznościowej potęgi poczęty – stanowił źródło niechęci kół naukowych w Austrii ku cudzoziemskiemu profesorowi, który takie teorie, podważające majestat monarszy »z Bożej łaski« wygłaszał”; zob. tenże, *Echa przeszłości. Szkice, wizerunki i wspomnienia historyczne*, Warszawa 1917, s. 69. Skądinąd opinia Kraushara, że teoria Gumplowicza znalazła poparcie w tezie Piekosińskiego jest błędna, Piekosiński uznawał bowiem, że państwowotwórczy dla Polski najazd nie był najazdem „obcego szczepu”, lecz miał charakter wewnętrznie, będąc najazdem znormanizowanych Słowian na Słowian rdzennych; zob. rozdz. I, podrozdz. 3, *Podbój Słowian znad Wisły przez Słowian znad Łaby* w niniejszej książce.

¹⁹ L. Gumplowicz, *Cywilizacja*, „Przegląd Historyczny” 7, 1908, s. 11. Nicco wcześniej również dobitnie potwierdzał swe stanowisko, pisząc: „organizacja panowania zawsze i wszędzie bez wyjątku powstaje li tylko za pomocą podboju dokonanego przez obce szczepy wojenne, ujarzmiające osiadłą krajową ludność niewojenną i niekoczującą, najczęściej rolniczą”; tenże, *Psychologia dziejopisarstwa*, „Krytyka” 2, 1903, s. 124.

²⁰ B. Limanowski, *Naród, państwo i międzynarodowość*, „Krytyka” 10/2, 1908, 4, s. 337; por. też J. Kurczewska, dz. cyt., s. 62–72.

²¹ B. Limanowski, *Socjologia*, cz. 2, Kraków 1919, s. 106–107.

²² Tenże, *Historia demokracji polskiej w epoce porzoborowej*, wstęp i przyp. A. Leinwand, wyd. 5 oparte na wyd. 1: 1922–1923, Warszawa 1983, s. 37–38. Cyt. fragmenty brzmią identycznie w pierwodruku książki z 1901 r.

Nic zatem dziwnego, że rozważania o „podbojowym charakterze państwa” odnajdujemy nie tylko w jego tekstach o ukierunkowaniu teoretycznym²³, ale i w pracach historiograficznych, w tym o charakterze biograficznym. Tak było, gdy w obszernym, barwnie napisanym zyciorysie Stanisława Worcella uznał za celowe umieszczenie odrębnego rozdziału poświęconego charakterystyce idei socjalistycznych, a w ich ramach teorii podbojowej genezy państw²⁴. Znamienne jednak, że gdy przychodziło do historycznego konkretnego, jego domniemania traciły wyraźnie na zasięgu przestrzennym i temporalnym. Nie miał wątpliwości, że hipoteza ta sprawdzała się w odniesieniu do państw zachodnioeuropejskich, z drugiej strony nie miał jednak pewności: „Czy państwo polskie powstało w drodze podboju – jak to utrzymuje Szajnocha i Piekosiński – czy też nieustanna groza najazdów germańskich zmusiła plemiona słowiańskie, osiadłe pomiędzy Odrą i Wisłą do przyjęcia tej organizacji politycznej, która dawała ich wrogom taką siłę wojowniczą i przewagę na polu bitew...”²⁵. Pod tym względem Limanowski był niewątpliwie ostrożniejszy od Gumplowicza.

Przykłady Gumplowicza i Limanowskiego poświadczają, że pod koniec XIX i na początku XX w. teoria podboju, aczkolwiek wyrażana czasami w sposób wielce ułomny, nadal znajdowała dla siebie miejsce w obrębie myśli społecznej, historycznej i politycznej, co z kolei sprzyjało nie tylko utrzymywaniu się starych, ale i formułowaniu nowych koncepcji podbojowej genezy państwa polskiego.

²³ Zob. tenże, *Naród i państwo*, Kraków 1906, s. 87–99; tenże, *Socjologia...*, cz. 2, s. 81–107.

²⁴ Czytamy tam m.in.: „Pierwsze założenie państwa trzeba odnieść do czasów, kiedy ludność rolnicza [...] wydzieliła z siebie pewną część bojowców, wyłącznie dla obrony swych siedzib przeznaczonych. Trudno przypuścić, ażeby ci bojowcy stali się podbójcami własnego ludu, aczkolwiek nie jest to niemożliwe. O wiele jednak prawdopodobniejsze jest to, że awanturnicze drużyny [...] puszczały się w wędrowkę do odległych nieznanych krajów i napotkawszy zagospodarowaną ludność, podbijały ją sobie i usadowiwszy się wśród niej, zamieniły ją w swoje poddaństwo. [...] Cała historia wreszcie świadczy, że władza królewska, podstawa państwowości, w podbojach wzrastała i wzmagiła się. [...] Podbojowy charakter państwa, pomimo ogromnej ewolucji, jaka w nim od pierwotnych czasów zaszła, przechował się jeszcze dotąd w najważniejszych swych cechach, a tymi są: większe znaczenie terytorium, niżeli znajdującego się na nim ludu; istnienie ludności uprzywilejowanej; władza opierająca się na sile materialnej i mająca swe źródło u góry”; tenże, *Stanisław Worcell. Życiorys*, Warszawa 1948, s. 153–154 (pierwodruk: Kraków 1910). W innym, również biograficznym, tekście na marginesie omawianych poglądów jego bohatera, Wiktora Heltnana, Limanowski określił państwa jako „formacje podbojowe”; tenże, *Szermierze wolności*, Kraków 1911, s. 129.

²⁵ Tenże, *Historia demokracji...*, s. 40.

5. NIECO O LITERATURZE PRZEDMIOTU

Spośród nielicznych prób przeglądowego naświetlenia stosunku historiografii polskiej do zagadnienia roli najazdu i podboju w uformowaniu się państwa polskiego chronologicznie najwcześniejszą była wydana w 1897 r. przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Lwowie praca Antoniego Małeckiego *Lechici w świetle historycznej krytyki*. Owo niewielkie objętościowo dziełko uważam za publikację wręcz kanoniczną i to nie tylko dla historyków historiografii, ale i dla badaczy dziejów polskiej myśli historycznej w szerokim rozumieniu tego słowa. Oprócz dziejopisów uznawanych za profesjonalistów w polu widzenia Małeckiego znalazł się bowiem nie tylko profesor literatur słowiańskich w Collège de France Adam Mickiewicz, ale i Józef Ignacy Kraszewski wraz z wizją zawartą w *Starej baśni*, a także „patriotyczny falsyfikator” czeski Václav Hanka oraz jego (choć przecież nie tylko jego) „rękopisy” królodworski (królowodworski) i zielonogórski. Czasami dla badaczy dziejów myśli historycznej od głosicieli prawd profesjonalnie uświęconych ciekawsi bywają fałszerze. Wiedział o tym Małecki, jakkolwiek pisał o nich, w tym i o samym Hance, z godną pozytywistycznego rygorysty dezaprobatą. Zwracając w tym miejscu uwagę na pracę Małeckiego, nie sposób jednak nie przyznać, że dla jej autora wątkiem pierwszoplanowym była relacja „podbój – zróżnicowanie społeczne”, jakkolwiek pod postacią „obłądu lechickiego” zazębiała się ona w naszej myśli historycznej z relacją „podbój – powstanie państwa”. Ta ostatnia zależność jawiła się uczonemu lwowskiemu jako drugorzędna. Najważniejsze było to, że widmo rabacji galicyjskiej, którą wolni niegdyś chłopci urządzili swym obcoetnicznym, jak myśleli, podbójcom, nadal krążyło nad szalami wagi polskiego „być albo nie być”.

Ponad pół wieku trzeba było czekać na kolejne próby całościowego ujęcia problematyki „podbojowej” genezy polskiego państwa w historiografii polskiej. Oczywiście było to półwiecze, które nie tylko zmieniło teoretyczno-metodologiczne podejście do tej problematyki, ale i – siłą rzeczy – przyniosło nowe, od strony faktograficznej, ujęcia. W sensie teoretyczno-metodologicznym największe zmiany łączyły się z ugruntowaniem po II wojnie światowej kanonu państwowej samorodności, najpierw dogmatycznie stalinowskiego, obejmującego nie tylko Polskę, ale też inne państwa, później odwilżowo rozluźnionego (rozchwianego np. w stosunku do Rusi Waregów i w efekcie Rosji), a jeszcze później wyraźnie osłabionego w swym zasięgu i sile perswazyjnej, sprowadzającej wszystko do walki klas. Natomiast w sensie faktograficznym zmiany te łączyły się z niemal wyłącznym zaanektowaniem problematyki podboju przez archeologię. Źródła pisane nie uległy wzbogaceniu, archeologiczne zaś mnożyły się, i tak jest do dzisiaj, i to zarówno dzięki nowym znaleziskom, jak i zastosowaniu nowych, precyzyjniejszych

metod datowania niektórych drewnianych artefaktów (np. dendrochronologii, o której piszę szerzej w rozdziale IV).

Dla historyka historiografii najpłodniejsze w literaturę tytułowego przedmiotu były powojenne lata czterdzieste i pierwsza połowa lat pięćdziesiątych XX w. Była to dekada szczególnie nasilonych rozliczeń z przeszłością. Wówczas to Zygmunt Wojciechowski, Marian Friedberg, Witold Hensel, Marian Henryk Serejski, Ryszard Rosin, Ewa Maleczyńska, Gerard Labuda i Henryk Łowmiański – by wymienić tylko autorów najważniejszych prac z tego zakresu – w atmosferze powojennych rozrachunków z „niemieckimi fałszami” poddawali krytyce wcześniejsze tezy o germańskim wkładzie w dzieło narodzin państwa polskiego. Oczywiście już w dwudziestoleciu międzywojennym niepokoiły one polskich historyków, lecz teraz twierdzenia głoszące na przykład, że Mieszko I wywodził się z rodu normańskich pogromców słowiańskich Polan jawiły się jako forma nie tylko niemieckiego, ale wręcz faszystowsko-hitlerowskiego zawłaszczania naszych dziejów narodowych. Specyfika niniejszej pracy, która będąc pracą z zakresu historii historiografii, czyni przedmiotem swego badania tradycyjnie pojmowaną literaturę przedmiotu, powoduje, że ta ostatnia nie została w tym miejscu odnotowana, co się zazwyczaj czyni pod postacią umieszczanego we wstępie zdawkowego zapisu bibliograficznego. Została ona natomiast poddana głębszej analizie w dalszych partiach tej książki, jeśli zaś chodzi o literaturę najnowszą – głównie w rozdziale trzecim i czwartym. Odnosi się to nie tylko do historyków *sensu stricto*, ale i do archeologów, którzy idąc tropem Witolda Hensla, stali się reprezentantami tej gałęzi historiografii, którą objęto mianem mediewistyki archeologicznej²⁶. Mam tu na myśli takich jej przedstawicieli jak Zofia Kurnatowska, Lech Leciejewicz, Andrzej Buko, Przemysław Urbańczyk, Władysław Duczko, Michał Kara oraz Błażej M. Stanisławski – autor najnowszego, a zarazem najrozleglejszego przeglądu badań nad normanistycznymi wariantami powstania państwa polskiego²⁷.

Pisząc te książkę, usiłowałem z jednej strony ukazać rozliczne „odpersonalizowane”, by tak powiedzieć, nurty, orientacje i tendencje dające się dostrzec w historiografii, z drugiej zaś – koncepcje konkretnych historyków, których często nie da się wtłoczyć w dość abstrakcyjne modele, klasyfikacje i typologie w rodzaju marksistowskiej dialektyki historycznej, z jej koronną regułą głoszącą, że ilość przechodzi w jakość. A zatem obok określonych trendów i kierunków w chronologiczny szkielet niniejszej pracy wcisnąłem

²⁶ Z. Kurnatowska, *Witold Hensel – twórca polskiej mediewistyki archeologicznej*, „Nauka” 2008, 1, s. 167–174.

²⁷ B.M. Stanisławski, *Jómswikingowie z Wolina-Jómsborga. Studium archeologiczne przenikania kultury skandynawskiej na ziemię polskie*, Wrocław 2013 (rozdz. I i II), s. 19–79.

szkielecik „konceptualno-personalny”, uwzględniający myśli tych historyków, których wypowiedzi związane z hipotezą podboju uznałem za znaczące dla jej żywotności albo po prostu ciekawe przez swój anegdotyczny charakter, jak na przykład ta, która wskazywała na deliryczne przyczyny narodzin państwa Piastów. Taka intencja sprawiła, że w wypadkach, gdy twórcza aktywność tego czy innego historyka wykraczała poza chronologiczne ramy poszczególnych rozdziałów, ramy te należało potraktować dość elastycznie, a czasami wręcz zawiesić, po to, by nie rwać ciągłości narracji.

Na koniec winien jestem krótkie przypomnienie – historia historiografii nie zajmuje się tym, co „naprawdę było”, lecz tym, w jaki sposób owo „coś” zostało przez historyków wyodrębnione jako przedmiot badania i obdarzone ostatecznie cechami prawdziwości lub nieprawdziwości. W wypadku tej książki tym „czymś” jest podbój, w wyniku którego miało powstać państwo polskie.

ROZDZIAŁ I

W DOBIE PODZABOROWEJ

1. OŚWIECENIOWE ANTECEDENCJE – WOKÓŁ KOLCHIDZKO-SARMACKIEJ KONCEPCJI GOTFRYDA LENGNICHA

O najeździe, który miał dać początek polskiemu państwu, mówiono już u nas w XVII w., choć głębszą i bardziej zróżnicowaną refleksję na ten temat przyniosło dopiero następane stulecie. Dla takich pisarzy jak Michał Wielhorski czy Franciszek Salezy Jezierski, reprezentujących odmienne wersje hipotezy państwowotwórczego podboju, jedno wszakże było wspólne – Słowianie utożsamiani z Sarmatami stanowili element „zewnętrzny”, to właśnie oni byli najeźdźcami i założycielami organizacji państwowej¹. Również ojciec nowoczesnej („krytycznej”) historiografii polskiej, Adam Naruszewicz, mimo pewnych modyfikacji pozostawał pod wpływem „teorii kolchidzko-sarmackiej”². Jej autorem był historyk gdański Gotfryd Lengnich, który w rozprawce *De Polonorum maioribus* (Gdańsk 1732) wywodził Polaków z tej części Sarmacji, która leżała nad Morzem Czarnym i niegdyś określana była mianem Kolchidy. Tam właśnie sąsiadować miały ze sobą dwie odnogi Sarmatów *Lazi* (Laci, Lechi i Polacy jako potomstwo Lachów) oraz *Zechi* (Zechowie, Cechowie, Czechowie), o których wspomina już w VI w. Prokop z Cezarei. Według Lengnicha oba te szczepy znad Morza Czarnego przybyły przed 550 r. do Panonii, a później zasiedliły ziemie po obu stronach Karpat.

Podobnie zdawał się rzecz ujmować Naruszewicz³, według którego na terytorium Polski i należących do niej prowincji „najdawniejszymi”

¹ A. Małecki, *Lechici w świetle historycznej krytyki*, Lwów 1897, s. 96–124; M.H. Serejski, *Z zagadnień genezy państwa polskiego w historiografii (o tzw. teorii podboju)*, w: tenże, *Przeszłość a teraźniejszość. Szkice i studia historyograficzne*, Wrocław 1965, s. 210.

² Określenie A. Małeckiego w tenże, dz. cyt., s. 98.

³ Autor *Historii narodu polskiego od początków chrześcijaństwa* publikację swego dzieła rozpoczął od tomu 2 (1780), podejmując narrację od czasów Mieszka I. Natomiast czasom wcześniejszym poświęcił w tym tomie jedynie kilka dość chaotycznie zestawionych fragmentów,

mieszkańcami byli Scytowie, a w istocie „Scyto-Sarmaci” – lud krwi „czyste i niezmaconej żadnym rodu obcego zlewkiem”⁴. Warto zwrócić uwagę na ową formułę czystości krwi, wykluczała ona bowiem prymarną dwuetniczność naszych scyto-sarmackich przodków i możliwość inicjalnego konfliktu państwowotwórczego między autochtonami a najeźdźcami. Nawiązując do kolchidzkiej koncepcji Lengnicha, w prapolskich Scyto-Sarmatach Naruszewicz dostrzegł „rodaków” ludu zajmującego przestrzenie leżące „wyżej źródeł Dniepru, Donu i Wołgi” i ciągnące się ku Morzom Kaspijskiemu i Czarnemu⁵. Status etniczny najdawniejszych mieszkańców polskich ziem i prowincji został jednak zakłócony w wyniku wejścia Gotów, z których jedna część przybyła z „wysp północnych” i połączywszy się z innymi „hordami niemieckimi” obecnymi między Wisłą a Odrą, osiadła ostatecznie w Dacji rzymskiej, natomiast druga, znana pod nazwą Gepidów, opanowała ujście Wisły, a później, posuwając się na południe, dotarła aż do jej źródeł i zajęła rejon Spiszu. Wynikiem tych najeźdźczych migracji był rodzaj transformacji etnicznej, o której Naruszewicz pisał: „Odmienili Sarmatowie postać i po większej części Gotami być poczęli”⁶. Analogicznych skutków etnicznych nie przyniósł natomiast najazd Hunów, którzy pod wodzą Attyli pokonali Gotów i resztki Sarmatów, wpędzając ich w stan niewoli. Stało się tak dlatego, że była to niewola krótkotrwała. Imperium Hunów po śmierci Attyli (453) podzielili między siebie jego skłóceni synowie, a to przyczyniło się do upadku państwa i do odzyskania wolności przez podbite wcześniej ludy. W wyniku dalszych migracji i walk wyłonił się w końcu lud „jednojęzyczny, bitny, na prace otwardniały”⁷, który w późniejszym czasie zyskał nazwę Słowian. Tej mieszkającej początkowo w namiotach, a zarazem w znacznym rozproszeniu ludności daleko było do w pełni osiadłego, rolniczego trybu życia. Podzieliła się ona na dwie części, z których pierwsza skierowała się na południe –

w słusznym przekonaniu, że wymagają one dokładniejszych badań. Tom pierwszy miał się zatem ukazać w dalszej kolejności, nigdy jednak nie został ukończony. Inicjatywę edycji scalającej pozostawione przez Naruszewicza fragmenty i zestawiającej rozważane przez niego warianty poszczególnych części tego tomu podjęło Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk, co po wieloletnich perturbacjach udało się uczynić w 1824 r., czyli 28 lat po zgonie uczonego biskupa. W efekcie Naruszewiczowska wizja przedchrześcijańskich dziejów Polski pozostała niedopracowana i jakkolwiek opisana bardzo obszernie (obie części t. 1 liczą bez mała 1200 ss.), to zarazem niezbyt przejrzyście. Poniższa charakterystyka poglądów Naruszewicza odnosi się do tej wersji „polskich” dziejów przedchrześcijańskich, która miała autorskie imprimatur i zawarta została w t. 2 *Historii narodu polskiego...*

⁴ A. Naruszewicz, *Historia narodu polskiego od początku chrześcijaństwa. Panowanie Piastów*, t. 2, Warszawa 1780, s. 2.

⁵ Tamże, s. 3.

⁶ Tamże, s. 2.

⁷ Tamże, s. 3.

za Dniestr i Dunaj, i tam na ruinach Cesarstwa wschodniorzymskiego założyła swe państwa, druga natomiast udała się w kierunku zachodnim, docierając aż do Elby. Podkreślając, że właśnie spośród tej drugiej grupy rekrutują się przodkowie Polaków, Naruszewicz nie krył, że nazwa ich pojawiła się dość późno, bo dopiero w X w. (Thietmar). Co do jej źródłowości, wskazywał na dwie możliwości: „bądź nam to imię Czechowie od *polania* chrzestną wodą nadali; bądź one od Laców, hordy Sarmackiej z Hunnami przywiedzionej, sami sobie po tym dla różnicy od innych Słowian, jak Czesi od Zechów, włożyliśmy”⁸.

W tomie drugim *Historii narodu polskiego* Naruszewicza początki Polski zostały powiązane z etnogenezą Słowian, traktowaną jako proces, w którym na ziemiach późniejszego państwa polskiego punkt wyjścia (pierwsze stadium) stanowiła autochtoniczna, a zarazem jednolita etnicznie ludność scyto-sarmacka. W stadium drugim większość tej ludności przeszła etniczną transformację, stając się Gotami. Przemian takich nie dostrzeżono natomiast w stosunkowo krótkim stadium trzecim (podbój przez Attyłę), jakkolwiek możliwe było, że wraz z Hunami przyszyła na nasze ziemie sarmacka horda Laców, która nie tylko wzmocniła pierwiastki autochtoniczne (stadium pierwsze), ale i dała nawę Lachom-Polakom oraz ich późniejszemu państwu. Słowianie zatem jednoczyli w sobie pierwiastki scyto-sarmackie i gockie. Godne podkreślenia jest to, że w ujęciu Naruszewicza etnogeneza Słowian zdaje się nie mieć charakteru teleologicznego i jest jedynie etapem w procesie dalszych przekształceń etnicznych⁹.

Naruszewiczowska supozycja wywodząca Polaków od kolchidzkich Lachów w swej pierwszej części wyraźnie nawiązywała do teorii Lengnichy. W ogóle koncepcja gdańskiego historyka cieszyła się znacznym uznaniem. Przyjęto ją w osiemnastowiecznych podręcznikach szkolnych: Friedricha Augusta Schmidta *Dziejach królestwa polskiego* (1766, tłum. Jana Chrzciciela Albertrandiego), Kajetana Skrzetuskiego *Historii politycznej dla szlachetnej młodzie* (cz. 1, 1773) i Teodora Wagi *Historii książąt i królów polskich* (1770). Ten ostatni podręcznik wyróżnia się nie tylko rekordową ilością wznowień (ok. 20 do 1864 r.), ale też ze względu na to, że w 1818 r. uzupełnił go o rozdział końcowy *Panowanie Stanisława Augusta* Joachim Lelewel, co sugerować może, iż w tym czasie nie kwestionował on poglądów autora *Historii książąt i królów polskich* na wcześniejsze okresy naszych dziejów. A Waga już na wstępie swej książki informował, że w sprawie pochodzenia Polaków

⁸ Tamże, s. 4–5.

⁹ W tym kontekście na uwagę zasługują, inspirowane przez teorię metafor historiograficznych Wojciecha Wrzoska, rozważania na temat procesualnego i nieprocesualnego wariantu etnogenezy zawarte w: R. Kasperski, *Metafora etnogenezy*, w: *Czy przeszłość powinna być inna. Studia z teorii i historii historiografii*, red. M. Bugajewski, Poznań 2008, s. 173–187.

zdaje się całkowicie na autorytet „rozsądnego Lengnicha” i dość dokładnie omówił jego kolchidzko-sarmacką koncepcję. Znamienne jednak, że omówienie to umieścił poza tokiem własnej narracji, w odrębnym fragmencie wstępnym, zatytułowanym *Domysł o początkach narodu polskiego*, fragment ów zakończył zaś informacją, iż uczynił to z tym „dla łaskawego Czytelnika ostrzeżeniem, że za prawdę historii naszej początkowej, w żadnym punkcie nie ręczę”¹⁰.

Pierwszym, który poddał krytyce „teorię sarmacko-kolchidzką” Lengnicha, był Jan Potocki, wybitny pisarz, podróżnik, erudyta, zapewne też prekursor metody retrogresywnej w historii, którą usiłował zastosować w swoich badaniach nad słowiańskimi „starożytnościami”. W wydanej w Wiedniu w 1796 r. broszurze *Mémoire sur un nouveau périple du Pont Euxin* stwierdził on, że identyfikacja Lazów z Kolchami to błąd wynikający z tego, że oba te ludy zajmowały wspólną krainę, przy czym Lazowie przetrwali do współczesności, zachowując swój odrębny język. Była to zapowiedź odchodzenia w przeszłość wyobrażeń na temat słowiańskich podbojów. Zanikał obraz wypełniających Europę scytyjskich i sarmackich wojów, a jego miejsce zajmowała wizja poczciwych słowiańskich miłośników cnót domowych.

2. HIPOTEZY PODBOJU ZEWNĄTRZETNICZNEGO

W STRONĘ HIPOTEZY PODBOJU NORMAŃSKIEGO (TADEUSZ CZACKI)

Idąc tropem Naruszewicza, można było dojść także w inną, a mianowicie gocką stronę. Poszedł nim już wkrótce najgłośniejszy polski normanista Karol Szajnocha, który jednak otwarcie przyznawał, że jego koncepcja normańskich początków Polski zainspirowana została nie przez myśl Naruszewicza, lecz innego koryfeusza polskiego oświecenia – Tadeusza Czackiego. Potwierdzał to Antoni Małecki, wybitny literaturoznawca i językoznawca, będący zarazem nieprzeciętnej miary historykiem, prekursorem badań nad dziejami polskiej myśli historycznej, gdy pisał o Czackim: „Najazdu Normanów na Polskę wprawdzie on nie przypuszczał”, ale przecież w północnej Skandynawii „był inny naród, **Gotowie** [podkr. w oryg.], dla których tamta kraina także była pierwotną ojczyzną”¹¹ i którzy w jego koncepcji odegrali rolę owego węzła łączącego Normanów z Polakami. Rzeczywiście we wstępie do dzieła Czackiego *O litewskich i polskich prawach* możemy przeczytać, że: „W wędrówkach, które narody od granic Laponii do brzegów Tybru

¹⁰ Cyt. z wyd.: Warszawa 1806, s. 1. nlb.

¹¹ A. Małecki, dz. cyt., s. 108.

i Tagu odprawiały, znajdujemy Gotów, Keltów [Celtów – A.W.], Herulów, których obszerna nasza ziemia często żywiła, **a w części wydała** [zrodziła – A.W.]. W ich obyczajach postrzegać można cechę **współnictwa** z niektórymi u nas zwyczajami. Promień światła objaśniał przez kilka wieków zlodowaciałą Islandię i z okolic wulkanu Hekli **przeszły do nas z tamtego kraju słowa, wyobrażenia i prawa**” (podkr. A.W.)¹². Czacki był przekonany, że wywodzący się ze Skandynawii germańscy Goci koegzystowali na naszych ziemiach ze Słowianami i – co więcej – zaszczepili wśród tych ostatnich wiele cywilizacyjnie korzystnych elementów (islandzki „promień światła”), a w tym zasady swoich praw.

Ten ostatni aspekt, a mianowicie genezy praw polskich w ujęciu Czackiego, poddał wnikliwej analizie Andrzej Feliks Grabski, zwracając uwagę na to, że przekonanie autora dzieła *O litewskich i polskich prawach* o znacznej korelacji między doskonaleniem się społeczeństwa a postępem prawa szło w parze z uznaniem prawa za jeden z najważniejszych wskaźników biegu dziejów poszczególnych ludów i narodów. Miało to być jednak nie prawo obyczajowe, lecz stanowione – obyczaje bowiem i związane z nimi „wyobrażenia”, jakkolwiek znajdowały swe odzwierciedlenie w prawie „ustawowym”, to same przez się prawa *sensu stricto* nie stanowiły. W ujęciu Czackiego oryginalne było to, że na panującą dotychczas „romanistyczną teorię genezy prawa polskiego odpowiedział konkurencyjną – normańską, znacznie rozszerzając zestawienia porównawcze w stosunku do swych poprzedników”¹³. Mniej oryginalnie jawi się natomiast jego teoria z chwilą, gdy spojrzymy na Normanów jako na odgałęzienie pnia germańskiego – wówczas bowiem pierwszeństwo należałoby przyznać Naruszewiczowi, który, jak ujmuje to Grabski, był „właściwym twórcą germańskiej koncepcji genezy prawa polskiego”¹⁴, podczas gdy Czacki jedynie jej modyfikatorem.

Wprawdzie Czacki przyznawał, że na ziemiach polskich „nie mamy ostatecznych dowodów osad gockich”, lecz uprawdopodobniał swą hipotezę przytoczonym w dziele *O litewskich i polskich prawach* przykładem Islandczyka, który w XII w. miał w Polsce gościć w osadach zamieszkiwanych przez ludność nie dość, że chlubiącą się swym skandynawskim rodowodem, to jeszcze czyniącą to w języku dlań zrozumiałym. Również w kolejnych swych publikacjach uczony wskazywał na poszlaki mające wspierać jego normańsko-gockie supozycje. W studium poddającym analizie wiarygodność

¹² T. Czacki, *O litewskich i polskich prawach, o ich duchu, źródłach, związku i o rzeczach zawartych w pierwszym statucie dla Litwy 1529 r. wydany*, t. 1, Kraków 1861, s. 16 (pierwotny druk: Warszawa 1800).

¹³ A.F. Grabski, *Oświeceniowy antenat pozytywistów – Tadeusz Czacki jako historyk*, w: tenże, *Orientacje polskiej myśli historycznej. Studia i rozważania*, Warszawa 1972, s. 84.

¹⁴ Tamże, s. 87.

i pochodzenie podań zawartych w kronikach „Galla”¹⁵ Anonima i Mistrza Wincentego stwierdzał, że w polskich i gockich opowieściach o zamierzchłej przeszłości występuje wiele analogii¹⁶. Wskazywał na zbieżności między takimi elementami polskiej i duńskiej historii bajecznej jak opowieść o smoku, uderzało go też podobieństwo polskiej opowieści o dwunastu wojewodach mających stanowić „radę” rządzącą po śmierci potomków Krakusa do tradycji szwedzkiej mówiącej o „radzie” dwunastu senatorów sprawujących władzę z nakazu samego Odyna. Czacki snuł również wywody na temat zbieżności w brzmieniu imion własnych (skandynawskie imiona „Wanda” i – mająca stanowić kobiecą wersję naszego Krakusa – „Kraka”), a także w brzmieniu i znaczeniu takich słów jak wspomniana „rada”. Robił to jednak dość naiwnie, w konwencji nasuwającej skojarzenia z nieco późniejszymi etymologicznymi fantazjami Antoniego Bukatego, Fryderyka Lewestama czy Edwarda Bogusławskiego¹⁷. Zawierzył też (choć wraz z wieloma innymi dziejopisami) *Pieśniom Osjana* Jamesa Macphersona (1736–1796) jako autentycznemu źródłu historycznemu z czasów średniowiecza. W sumie trudno nie podpisać się pod oceną Małeckiego, że uczony ów nie ujął swych pomysłów „w jasną i całkowitą konstrukcję”, trudno jednak też zdezawuować domniemanie, iż „wiadomą, w kilkadziesiąt lat po nim przez Szajnochę w całej pełni rozwiniętą teorię skandynawską, byłby on [Czacki – A.W.] z najgłębszym przekonaniem przyjął za swoją”¹⁸.

Z zakwestionowaniem przypisywanego Czackiemu kierunku interpretacyjnego nie trzeba było jednak czekać aż na Małeckiego. Ponad pół wieku wcześniej uczynił to Joachim Lelewel, oznajmiając, że ci, którzy wykazywali, że prawa polskie były cudzoziemskiej proveniencji, krzywdzili „ród słowiański i naród polski”. Lelewel utyskiwał, że Naruszewicz wywodził

¹⁵ Do niedawna określanego mianem Galla Anonima, jednak obecnie – w wyniku najnowszych badań, kwestionujących galijskie pochodzenie kronikarza – zaczęło się upowszechniać branie słowa Gall w cudzysłów bądź też posługiwanie się określeniami „Anonim zwany Gallem” lub „tak zwany Gall Anonim”; zob. T. Jasiński, *O pochodzeniu Galla Anonima*, Kraków 2008; A. Nowak, *Dzieje Polski*, t. 1: *Skąd nasz ród (do 1202)*, Kraków 2014, s. 42 i n.

¹⁶ T. Czacki, *Rozbiór dziejów narodu polskiego przez pierwszych dwóch pisarzy, Marcina Galla i Wincentego Kadłubka*, „Nowy Pamiętnik Warszawski” 1, 1801, s. 183 i n.

¹⁷ Koncepcje Lewestama, Bukatego i Bogusławskiego omawiam w dalszych partiach niniejszego tekstu. Co do tego ostatniego, w tym miejscu ograniczę się jedynie do przytoczenia opinii Aleksandra Brücknera, który w recenzji pierwszego tomu dzieła Bogusławskiego (Kraków 1888) *Historia Słow’an* (sic!, zob. dalej) z ironią przytaczał pogląd tego ostatniego, że Słowianie „zajmowali kiedyś całe dzisiejsze Niemcy, część Francji i Włoch, na całej tej przestrzeni dali rzekom, góróm i jeziorom nazwy...”; „Kwartalnik Historyczny” 3, 1889, s. 125.

¹⁸ A. Małecki, dz. cyt., s. 109.

nasze prawa od Franków i Niemców. Natomiast: „Z gockich czyli skandynawskich ustaw wywodził je Czacki: nie wskazując jakimi to stać się mogło drogami...”¹⁹. Gdyby jednak Lelewel nieco uważniej czytał Naruszewicza, dostrzegłby zapewne, że to właśnie autor *Historii narodu polskiego* wprowadził wielce lapidarnie, ale jeszcze przed Czackim wskazywał na Gotów, z których część opanowała ujście Wisły i dotarła aż do Spisza, część zaś, która nieco wcześniej przysłała z „wysp północnych”, po opanowaniu terenów między Wisłą i Odrą oraz połączeniu się z „hordami niemieckimi” doszła aż do Dacji rzymskiej. Efektem owych najazdów miała być transformacja etniczna większości autochtonicznych Scyto-Sarmatów w Gotów. Można zatem powiedzieć, że jeszcze przed Czackim na kierunek odskandynawski wskazywał dziejopis „Króla Jegomości” – Adam Naruszewicz.

ŚLADAMI KONCEPCJI KOLCHIDZKIEJ LENGNICH
(ANTONI BUKATY, AUGUST BIEŁOWSKI, ADAM MICKIEWICZ)

W dobie romantyzmu upowszechniać się zaczęło przekonanie o specyficznych cechach wyróżniających Słowian wśród innych ludów, przy czym owe cechy zwiastować miały nastanie nowej, pacyfistycznej ery w dziejach ludzkości. Nie bez znaczenia było to, że zapowiedzi przyszłej wielkości narodów słowiańskich wychodziły nie tylko ze strony samych Słowian. Historiozoficzne prorocтва Johanna Gottfrieda Herdera miały tu wagę argumentu niepośledniej miary. Zdaniem niemieckiego filozofa głównym źródłem nieszczęść narodów słowiańskich w przeszłości był ich charakter, przejawiający się w umiłowaniu pokoju i sprawiedliwości. Cechy te, niewątpliwie pozytywne, szły jednak w parze z brakiem umiejętności stworzenia stałej i silnej organizacji wojskowej, i w efekcie, mimo niekwestionowanego męstwa, z niemożnością stawienia skutecznego oporu agresywnym Germanom i ludom azjatyckim. Czyżby zatem miał to być rodzaj dziejowego upośledzenia Słowian? Wręcz przeciwnie, mają oni przed sobą wielką przyszłość, zajmują bowiem rozległe i bogate obszary, zaś „ustawodawstwo i polityka w Europie sprzyjać muszą i sprzyjać będą w coraz to wyższym stopniu nie duchowi wojennemu, ale cichej pracy i pokojowym stosunkom handlowym między narodami”²⁰. Tak więc według Herdera słowiańskie cechy charakterologiczne wyprzedziły niejako tok historii, a będąc w prymitywnym jej stadium przyczyną wielu niepowodzeń, wraz z postępem cywilizacyjnym i moralnym w Europie

¹⁹ J. Lelewel, *Początkowe prawodawstwo polskie cywilne i kryminalne, objaśnione we dwu pismach*, w: tenże, *Polska wieków średnich czyli w dziejach narodowych polskich postrzeżenia*, t. 3, Poznań 1851, s. 7–8 (pierwodruk: Warszawa 1828).

²⁰ J.G. Herder, *Mysli o filozofii dziejów*, t. 2, tłum. J. Gałeczki, wstęp i kom. E. Adler, Warszawa 1962, s. 327.

winni stać się gwarancją zajęcia przez ludy słowiańskie należnego im miejsca²¹. Rzecz prosta, taki charakterologiczny obraz Słowian, podchwycony wkrótce przez upowszechniające się w XIX stuleciu ruchy słowianofilskie, pozostawał w niezgodzie z tezami o wojowniczych hordach słowiańskich. Najprostszą zatem drogą wydawało się odmówienie Słowianom zwycięskich podbojów, jak uczynili to Wawrzyniec Surowiecki, Jerzy Samuel Bandtkie, Ignacy Benedykt Rakowiecki czy – po pewnych wahaniach – także Lelewel. Nie zmieniało to faktu, że źródła, jakimi dysponowali, albo w ogóle milczały na ten temat, albo były niejednoznaczne, a to otwierało drogę rozlicznym spekulacjom. Najdalej bodaj posunął się w nich dyrektor Wyższej Szkoły Polskiej na Montparnasse w Paryżu, Antoni Bukaty, który posłużwszy się po amatorsku rozumianą metodą etymologiczną, postawił tezę o słowiańskiej pra-Europie składającej się z Gotów (słowiańskie plemiona Wszegodźców i Ostrogodźców), Franków (u kolebki swej – „Wrączków”), Gunnów (Hońców, czyli Gońców) oraz słowiańskich Rzymian i Greków. Ich wodzami byli Aleksander Wielki (właściwie – Oleg Jędrny), Alaryk (Oleg Jary), wandalski Genzeryk (Gąsiorek) i frankoński Chlodwig, który „naprawdę” miał być Słowianinem Głowiczem. Byli też słowiańscy Chodokier (Odoaker), Dziejoderek (Teodoryk), Otylec (Attyla) i Jajecjusz (Aecjusz)²². Jeżeli bardzo się chciało, to prasłowiańską okazać się mogła nawet Atlantyda, zamieszkiwana, zdaniem Macieja Maliszewskiego, przez słowiański ród Wendów, czyli Wandlatydów-Watlantydów²³. W tak rozumianym układzie ludów Starego Kontynentu wszelkie najazdy i podboje miały charakter wewnętrzny – Słowianie podbijali Słowian. Fantazje tego typu należały jednak do rzadkości²⁴.

²¹ Por. G. Labuda, *Słowianie w historiografii niemieckiej XIX wieku*, „Przegląd Zachodni” 1968, 3, s. 8–15; K. Śreniowska, *Charakterystyka Słowian a poglądy na polską specyfikę narodową, w: Między feudalizmem a kapitalizmem. Studia z dziejów gospodarczych i społecznych. Prace ofiarowane Witoldowi Kuli*, Wrocław 1976, s. 423–424.

²² A. Bukaty, *Trzy grzechy śmiertelne Polski*, Paryż 1887, *passim* (praca wydana pośmiertnie, pisana prawdopodobnie w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych).

²³ M. Maliszewski, *Dzieje rodzonych braci Lecha, Mecha i Czecha, toż ich bratanka Rusa, trzech założycieli państw nowych Polski, Czech i Rusi*, Stradow (Strasburg) 1852, s. 98.

²⁴ Przegląd zapatrywań i sporów toczonych na temat pochodzenia i praojczyzny Słowian oraz temporalno-przestrzennych parametrów ich obecności w Europie zamieścił przed kilku laty Leszek Moczulski w obszernym rozdziale swej rozprawy habilitacyjnej *Narodziny Międzymorza. Ukształtowanie ojczyzn, powstanie państw oraz układy geopolityczne wschodniej części Europy w późnej starożytności i we wczesnym średniowieczu*, Warszawa 2007, zatytułowanym *Słowiańskie entrée*, s. 255–310. Jakkolwiek jest to problematyka stosunkowo blisko korespondująca z tematyką mojej książki, to jednak formalnie pozostaje poza głównym jej nurtem, jaki stanowi hipoteza państwowotwórczego podboju, w wyniku którego narodziło się państwo polskie. Natomiast w bliskim związku z tą tematyką pozostaje, wyeksponowany w dalszych partiach rozprawy Moczulskiego, wątek gwałtownego pojawienia się Polan, o czym szerzej piszę dalej, w rozdz. IV pt. *Zamiast zakończenia. W zasięgu czasu przeszłego niedokonanego*.

Nie w takim zakresie przestrzennym jak Bukaty, który słowiańskimi przodkami wypełniał całą Europę, ale z równym rozmachem chronologicznym cofał polskie dzieje w czasy starożytne August Bielowski w pracy zatytułowanej *Wstęp krytyczny do dziejów Polski*. Najważniejsza teza owego dzieła, które wbrew swemu tytułowi było bardzo dalekie od krytycznej analizy, głosiła, że „tak zwane dzieje bajeczne, niegdyś imieniem dziejów lechickich obejmowane nie są nadwiślańskimi zdarzeniami, nie są też zmyśleniem żadnym lub alegorią, ale odnoszą się do rzeczywistych dziejów Ilirów i Daków i są częścią zmaconą tu i ówdzie, lecz jakże cenną zaginionej historii tych ludów”²⁵.

Badacz ów wywodził Słowian od plemion iliro-trackich, spośród których szczególną walecznością odznaczać się mieli Getowie, zamieszkujący początkowo rejon Rodopów, a następnie tereny wokół ujścia Dunaju. Ludem getyckim byli z kolei Dakowie, nad którymi w I w. przed Chrystusem rządy sprawował Lestek II, a w I w. n.e. – Remetalk, siostrzeniec Cezara, zwany w późniejszych kronikach „Pompiliusem, czyli Popielem I”. „Po nim – snuł dalej swe wywody Bielowski – rządził młody syn jego Popiel II, którego nieszczęśliwe starcia ze stryjem Raskuporem skończyły się śmiercią obydwu i zupełnym usunięciem ich rodu z Myzji i Tracji”²⁶. Kilkadziesiąt lat później cała władza przeszła jakoby w ręce „syna ubogiego ziemianina” Decebala-Ziemowita zwanego Piastem, przy czym ta ostatnia nazwa miała się odnosić nie do jego osoby, lecz do całego rodu, który reprezentował (Piast miał być ojcem Decebala). Ten właśnie Decebal-Ziemowit z rodu Piastów, uwikłany w konflikt z Rzymem, w początkach II w. staczał częste walki: najpierw zwycięskie z cesarzem Domicjanem, później ostatecznie przegrane (zakończył życie, popełniając samobójstwo) z Trajanem. Bielowski, jak widać, nad wyraz swobodnie transponował bajeczną historię nadwiślańskiej Polski na to, co działo się nad Dunajem. Trzeba jednak dojść do końca szlaku myśli autora *Wstępu krytycznego*, który stwierdzał ostatecznie, że w okresie „wielkiego wychodźstwa” plemiona getyckie przemieszczały się znad Dunaju na północ, nad Wisłę, Odrę i Elbę, w efekcie czego w V w. dostrzeżono tam obecność „ludu jednorodnego zwanego Winidami, dzielącymi się głównie na Antów i Słowian”²⁷.

Zarysowane tu koncepcje Bielowskiego dotyczące najwcześniejszej historii Słowian oraz związane z nimi karkołomne propozycje etymologiczne spotkały się z dość silną krytyką i ich żywot był bardzo krótki. Podobny los spotkał podtrzymywaną przez Bielowskiego, a kojarzącą się nieodmiennie

²⁵ A. Bielowski, *Wstęp krytyczny do dziejów Polski*, Lwów 1850, s. 191.

²⁶ Tamże, s. 452.

²⁷ Tamże.

z Wacławem Aleksandrem Maciejowskim, tezę o podwójnym chrzcie Mieszka – pierwszym w obrządku wschodnim i drugim – w łacińskim. „Nie inaczej – pisał Bielowski – jak tylko chrzest Mieczysława w siódmym roku życia dokonany, był chrztem w obrządku słowiańskim, bo tego obrządku trzymał się prawdopodobnie i ojciec jego i książę czeski Bolesław, na którego dworze odbyć się miała ta uroczystość; w późniejszym wieku zaś, radząc się widoków polityki, pojął około 965 roku Dobrowkę, a za jej wpływem przeszedł sam na obrządek łaciński i takowy w królestwie swoim rozprzestrzenił”²⁸. Taka interpretacja źródeł (chodziło tu głównie o fragmenty roczników benedyktyńskich znajdujących się w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich) wzburzyła Lelewela, który w konkluzji polemiki z ich autorem pisał: „Bielowski koniecznie chce mieć dwa chrzty, a tych być nie mogło i nie było [...]. Mieszko oczywiście był poganinem i dał się ochrzcić obrzędem łacińskim”²⁹. Jeszcze ostrzej krytykował pomysły autora *Wstępu krytycznego*... Julian Bartoszewicz: „Zabawnie to dzisiaj wygląda prawić szeroko o wojnach Polaków z Aleksandrem Wielkim i rozwijać obraz stosunków Leszków polskich z rzymskimi Cezarami. Wolno było wierzyć tym baśniom w wiekach ciemnoty, ale dzisiaj brać za wskazówkę do badania w mgłę historycznej lada jakie podobieństwo zdarzeń, nie jest to wcale krytycznie przeglądając starożytne dzieje”³⁰. Chybione pomysły Bielowskiego poddał surowemu osądowi również Karol Szajnocha, co sprawiło, że badacz ten ostatecznie wycofał się z nich i zajął się edytorstwem źródeł historycznych, sumienne zaś prace nad wydawnictwem *Monumenta Poloniae historica (Pomniki dziejowe Polski)* przyniosły mu trwałe miejsce w dziejach polskiej historiografii³¹.

Profesor literatur słowiańskich w Collège de France, Adam Mickiewicz, wcześniej uczeń i wielki admirator dokonań Lelewela, w swych prelekcjach wygłoszonych w Paryżu w 1840 r. opowiedział się za hipotezą wyraźnie odmienną od tego, co na temat genezy polskiego państwa głosił jego dawny mistrz uniwersytecki, który w ogóle nie brał pod uwagę możliwości podboju zewnętrznego. Mickiewicz przeciwnie, taki właśnie podbój uważał wręcz za *conditio sine qua non* genezy nie tylko polskiego, ale wręcz wszystkich państw słowiańskich. Przyjmując firmowaną nazwiskiem Herdera tezę

²⁸ Tamże, s. 518.

²⁹ J. Lelewel, *Ostatnie pojrzenie na Polskę średnich wieków. Z powodu dzieła Bielowskiego Wstęp krytyczny*, w: tenże, *Polska wieków średnich czyli w dziejach narodowych polskich postrzeżenia*, t. 4, Poznań 1861, s. 515–516.

³⁰ J. Bartoszewicz, *O pomysłach historycznych Augusta Bielowskiego*, Warszawa 1852, s. 117.

³¹ Nieco szerzej postać i dorobek naukowy A. Bielowskiego omawiam w szkicu *August Bielowski 1806–1876* zamieszczonym w: *Złota księga historiografii lwowskiej XIX i XX wieku*, red. J. Maternicki, współpr. L. Zaskilniak, Rzeszów 2007, s. 49–63.

o słowiańskim braku umiejętności państwowotwórczych, w odwołaniu do niej rozstrzygał wątpliwości co do pochodzenia Samona – władcy najstarszego odnotowanego przez źródła pisane państwa słowiańskiego: „Z historii jedno jest pewne – nauczał Mickiewicz – że właśnie cudzoziemiec zjednoczył ludy słowiańskie ku obronie ich narodowości. Nie mogły bowiem one same z siebie wytworzyć instytucji królewskiej i niepodległego państwa”³². Dzieje powstania największych państw słowiańskich – Czech, Polski i Rusi – miały być kolejnym potwierdzeniem owej prawdy. W okresie od połowy VII do końca IX w. Słowianie zamieszkujący ziemie po obu stronach Karpat podbici zostali przez Lechów (nazywanych też Sarmatami) i Czechów, którzy nadciągnęli od strony Morza Kaspijskiego i z Kaukazu, natomiast Słowianie zajmujący terytoria położone najdalej na Wschód ulegli najazdowi przybyłych z Północy normańskich Rusów i tak powstała Ruś Kijowska, która dała początek imperium rosyjskiemu.

Kim jednak byli owi Lehowie, którzy już około VI w. mieli dokonywać pierwszych podbojów w Wielkopolsce i docierać aż do Bałtyku i nad Elbę? Mickiewicz wywodził ich, tak jak i Czechów, od azjatyckich Azów (Asi, Asowie), utożsamianych z Alanami. Był to lud stworzony do boju i rządzenia. Dyspozycje fizyczne (wysoki wzrost i „otyła” postura), psychiczne (żywe namiętności, żądza podporządkowania sobie innych) oraz umiejętności (jedyne ponoć ludy w Azji, które posiadały sztukę rządzenia) stworzyły z Azów elitę ludów tureckich i uralskich, a w Europie germańskich i celtyckich. Ciekawe przy tym, że dwa odmienne kierunki, z których nadejść mieli – z jednej strony Rusowie, z drugiej zaś Lehowie i Czechowie – nie wykluczały w ujęciu Mickiewicza związków „powinowactwa” między nimi. „Wedle starożytnych podań Normandów skandynawscy ich przodkowie byli synami Odina, krewnymi Azów, a braćmi Skandynawów północnych. Azowie są plemieniem azjatyckim, znanym w dziejach pod nazwą **Azi** [podkr. w oryg.], których jedna gałąź, sadowiac się w Skandynawii, przybrała nazwę Skandynawów, a potem została nazwana Gotami i Ostrogotami”³³. W ten sposób podanie o braterstwie Czecha, Lecha i Rusa nie traciło sensu. Praplemienne braterstwo nie oznaczało jednak podobieństwa form polityczno-państwowych, które ostatecznie ugruntowały się w trzech sąsiadujących ze sobą państwach. Wprawdzie w każdym z nich najeźdźcy (przybysze) bardzo szybko ulegli kulturze autochtonów i zeslawizowali się, przyjmując język i miejscowe obyczaje, jednak podczas gdy w Polsce i Czechach władza dość szybko przeszła w ręce miejscowych dynastii, to na Rusi przez cały czas pozostawała w rękach Waregów. W tym upatrywał Mickiewicz jedną z przyczyn

³² A. Mickiewicz, *Dzieła*, t. 1, Warszawa, 1952, s. 91.

³³ Tamże, s. 92.

odmiennego biegu późniejszych dziejów Słowian wschodnich i zachodnich: „Tak tedy w dwóch stronach powstają królestwa, państwa, mające dążności przeciwne. Podłożem ich jest dawna Słowiańszczyzna. **Siłą organiczną, polityczną, skupiającą tę masę, jest żywioł obcy, przybyły z Kaukazu i z Krajów skandynawskich**” (podkr. A.W.)³⁴.

W tym miejscu potrzebne jest jedno zastrzeżenie. W narracji Mickiewicza w sposób nieraz bardzo trudny do rozdzielenia splatały się koncepcje wypracowane z historii bajecznej z tezami głoszonymi przez licencjonowaną, by tak rzec, naukę historyczną. Obok zwrotów typu „historycy” („nauka”) uznali (uznała), że „należy to między bajki włożyć”, nie brakuje w niej wyznań utrzymanych w konwencji epistemologii romantycznej, doszukującej się w podaniach i legendach prawd niedostępnych historiografii krytycznej. Tak było, gdy z wyraźną sympatią mówił Mickiewicz o królu Leszku i „rodzie królewskim Leszków”, który miał otwierać naszą tradycję monarchiczną i jak gdyby z cieniem pretensji do uczonych, którzy w XVIII w. wykazali „silnymi argumentami, że Lech jest postacią czysto bajeczną”, tak też było, gdy nie omieszkał wymienić nazwiska niemieckiego uczonego, który wyróżnił się zadziwiająco zmianą stanowiska w tej sprawie.

Niewielka dygresja dla wyjaśnienia, kim był ów uczoney. Wielce zasłużony dla polskiej, choć nie tylko polskiej, nauki i kultury książę Józef Aleksander Jabłonowski (1712–1777) w swej ocenie wartości informacji zawartych w podaniach polskich przechodził dwie fazy – krytyczną i apologetyczną. W pierwszej z nich ufundował nagrodę za wykazanie, że Lech jest postacią bajeczną, co uczynił w rozprawie z 1767 r. niemiecki dziejopis August Ludwig von Schlözer, w drugiej natomiast postanowił nagrodzić tego, kto udowodni, że Lech jest jednak postacią historyczną, co uczynił tenże Schlözer cztery lata później. Zabiegi księcia wojewody i ostateczny werdykt laureata obu nagród nie pomogły, ponieważ w czasach późniejszych „wszyscy historycy słowiańscy uznali te dzieje za bajeczne i całkowicie pozbawione charakteru historycznego”³⁵. A przecież – według Mickiewicza – nie musi być tak, że opowieści o wojnach toczonych przez Lechów z Aleksandrem Wielkim czy Cezarem są wytworem imaginacji naszych słowiańskich przodków i braku krytycyzmu późniejszych kronikarzy. Mogli je przynieść z Kaukazu Lechowie-Azowie, stanowiący drugi obok słowiańskiego komponent etniczny naszego narodu, bo przecież to do nich, na Kaukaz, dotarły niegdyś wojska Aleksandra Wielkiego. Świeżo ogłoszone źródła do dziejów armeńskich i perskich zdają się potwierdzać historyczność tych opowieści³⁶. Jeżeli zatem

³⁴ Tamże, s. 95.

³⁵ Tamże, s. 91–92.

³⁶ Tamże, s. 92.

uznamy, że „pole zdarzeń jest gdzie indziej, na Kaukazie” – mówił Mickiewicz – to „być może, owe bajeczne tradycje przybyły do nas z drużynami Lechów i tym sposobem zostały wcielone w historię polską. Czesi mają te same podania, również ich król Czech, założyciel państwa, podawany jest za brata Lecha”³⁷.

Trudno się dziwić, że autor prelekcji paryskich starał się godzić rolę profesora i narodowego poety. Pierwsza nakazywała mu głosić, że „wszystkie te podania zostały później odrzucone przez krytyków”, druga zaś suponować, że „jest to, być może, jedyna historia prawdziwa”, bo stanowiła ona „katechizm” polskiego ludu i jego władców, a co więcej, „historii tej lud nie zapomniał”³⁸.

Zrekapitulujmy. Według Mickiewicza na Wschodzie – tam gdzie powstała Ruś Kijowska – najeźdźcami Słowian mieli być normańscy Waregowie-Rusowie, którzy przybyli z Północy, gdzie znaleźli się po wcześniejszym opuszczeniu Kolchidy, natomiast tam, gdzie powstała Polska i na południe od niej – przybyłe „bezpośrednio” z okolic Morza Kaspijskiego i Kaukazu plemiona Lechów i Czechów. Owe dwa rozbieżne kierunki, z których nadejść mieli z jednej strony Rusowie, z drugiej zaś Lehowie i Czechowie, nie wykluczały ich pokrewieństwa. Wszyscy bowiem wywodzić się mieli od indoeuropejskich Azów, którzy wcześniej zaludnili Kolchidę. W ten sposób dawne przekazy mówiące o „braterstwie” Lecha, Czecha i Rusa miały znajdować wyjaśnienie.

Nawiązując do kolchidzko-kaukaskiej interpretacji narodzin państw słowiańskich, Mickiewicz mógł czerpać wiedzę nie tylko z osiemnastowiecznej publikacji Lengnicha (1732), ale i ze współczesnych mu pomysłów Józefa Sękowskiego. Był to nieprzeciętnej miary, dla wielu obdarzony wręcz cechami genialności, orientalista i pisarz – w ostatecznym rozrachunku bardziej jednak rosyjski niż polski. Początkowo silnie związany ze środowiskiem młodzieży wileńskiej, skupionej między innymi w Towarzystwie Szubrawców i pozostającej pod urokiem wykładającego na tamtejszym uniwersytecie Lelewela, światopoglądowo i politycznie zdawał się być bliski Mickiewiczowi. Bardzo szybko jednak okazało się to złudzeniem. Mniej jako profesor orientalistyki na uniwersytecie petersburskim (od 1822 r.), bardziej natomiast jako wizytator szkół zakonnych na Białorusi (od 1826 r.) tropił on wszelkie przejawy polskości tak gorliwie, że jak pisał Henryk Mościcki: „prześcignął samego nawet Nowosilcowa w serwilizmie i ultra-reakcyjnych zamierzeniach rusyfikatorskich”³⁹. Co więcej, już jako Osip Iwanowicz Sienkowski

³⁷ Tamże.

³⁸ Tamże, s. 98.

³⁹ H. Mościcki, *Zniesienie Uniwersytetu Wileńskiego*, „Biblioteka Warszawska” 2, 1910, s. 234. Warto skądinąd zwrócić uwagę, że była to ocena wyrażona na łamach pisma ukazującego się, wprawdzie już po rewolucji 1905 r., ale jednak na ziemiach zaboru rosyjskiego.

rzucił gromy na powstanie listopadowe oraz na inne wystąpienia narodów Europy przeciwko ich władcom. Trudno się dziwić, że Mickiewicz, wykładając w Collège de France, otwarcie zaliczył swego byłego kompana do rzędu narodowych apostatów⁴⁰. Ciekawe jednak, że nie zbagatelizował całkowicie jego dorobku jako orientalisty⁴¹. Chodziło w tym wypadku o dzieło zatytułowane *Collectanea z dziejopisów tureckich rzeczy do historii polskiej służących z dodatkiem objaśnień potrzebnych i krytycznych uwag* (Warszawa 1824–1825), które w dominującym nurcie historiografii polskiej XIX w. spotkało się z wielce krytyczną recepcją, natomiast Mickiewicz potraktował je ambiwalentnie. Z jednej strony zarzucał Sękowskiemu antypolskie fałsze w przekładach tekstów tureckich, z drugiej jednak nie negował reprezentowanej przez niego „kaukaskiej” koncepcji narodzin państwa polskiego, sam bowiem, jak wiadomo, opowiadał się za nią. W sumie można powiedzieć, że w XIX w. to właśnie Mickiewicz był bodaj ostatnim, który z Kaukazu... poloneza (wy)wodził⁴².

PAŃSTWOTWÓRCZY NAJAZD CELTÓW (FRYDERYK LEWESTAM)

Jeżeli koncepcje Czackiego i Mickiewicza prowadziły w stronę uznania państwowotwórczego impulsu w podboju Słowian przez ludy germańskich w istocie Normanów i Lechów, to Fryderyk H. Lewestam odnalazł go w najeździe celtyckim (galijskim). Daleki od fantazmatów w stylu słowiańskiej pra-Europy, w *Pierwotnych dziejach Polski* (1841) wysunął tezę, że państwo polskie (podobnie jak czeskie) powstało w wyniku podboju Słowian przez celtyckich „Llachów”, zwanych też „Llechami” lub „Llechitami”. Swoje twierdzenia opierał na niewielu poszlakach. Pierwszą z nich, nad wyraz zresztą skromną, była wzmianka, na jaką miał się natknąć w jednym z szesnastowiecznych manuskryptów znajdujących się w paryskiej Bibliotece Królewskiej, informująca, że „Llachowie” wywodzili się z „plemienia celtyckiego”. Drugą, o wiele bardziej eksponowaną w jego pracy, były arcyswobodne wywody etymologiczne, podporządkowane w większości przekonaniu o licznych, „ponajazdowych” celtyzmach w języku polskim (np. Krak – wysoki, wyniosły; Odra – brzeg, Warta – straż, Wawel – skała).

⁴⁰ J. Ławski, *Lucyfer z Petersburga. Proza fantastyczna Józefa Sękowskiego*, w: J. Sękowski, *Fantastyczne podróże barona Brambeusa*, tłum. W. Olechowski, wstęp J. Ławski, J. Dziedzic, red. i oprac. M. Burzka-Janik, J. Ławski, Białystok 2017, s. 14–15.

⁴¹ Na reminiscencje z Sękowskiego w prelekcjach paryskich Mickiewicza zwracał już uwagę A. Małecki w: tenże, dz. cyt., s. 177.

⁴² Tamże, s. 179. Powtarzam tu, aczkolwiek innymi środkami wyrazu, opinię A. Małeckiego, który napisał: „Po Mickiewiczu nie znalazła ta wznowiona przezeń kaukaska doktryna żadnego już, o ile mi wiadomo wyznawcy, w historiografii naszej”; tamże.

Lewestam przychylił się do tezy, że zarówno Celtowie, jak i „Sławianie” należeli do wielkiej indoeuropejskiej rodziny ludów **aryjskich**, które to słowo miało oznaczać po prostu „**sławnych**”⁴³. Za mniej prawdopodobne uznawał, iż początek nazwie Słowian dał wyraz „słowo” czy też, jak chcieli niektórzy, wywodzić się ona miała od „Serbów”. Konsekwentnie zatem pisał o „Sławianach”, a nie Słowianach, którzy w pewnym momencie swych dziejów opuścili Azję i wyruszyli na zachód. Nie upierał się jednak, że to oni pierwsi wkroczyli do Europy: „Jeżeli prawdziwym jest powszechnie przyjęte zdanie – pisał – że Celtowie najdawniejszymi są wychodźcami azjatyckimi, my dla równych przyczyn twierdzić możemy, że Sławianie niedługo po Celtach Azję opuścili i najpierw osiedli w północnych stronach Europy”. W efekcie oba te ludy zajęły przestrzeń „między Wołgą a Gibraltarem”, a sąsiadując w Europie na dość długiej linii, „często się z sobą mieszały”⁴⁴.

Wprawdzie Lewestam nie domniemywał, jak i kiedy to się stało, ale czuł się w obowiązku stwierdzić, że w Europie ludów aryjskich, które przyszły z Azji, był również trzeci, tym razem germański element etniczny, który „wsunął się między Celtów i Sławian”⁴⁵. Owo germańskie „wsunięcie się” stanowiło jednak w strategii perswazyjnej historyka element drugorzędny – uwagę jego koncentrowały niemal wyłącznie relacje celtycko-słowiańskie. Oczywiście były one konfliktowe, z tym że do pewnego stopnia mogła je łagodzić bliskość lingwistyczna obu ludów, mówiących językami wywodzącymi się z sanskrytu. Niestety, jeśli pominąć celtyckie skłonności asymilacyjne, był to jedyny obszar wzajemnego zbliżenia. Celtów i „Sławian” różniło bardzo dużo, przede wszystkim zaś kwestia stosunków społeczno-politycznych. „Sławianie” żyli wprawdzie patriarchalnie, egalitarnie i pacyfistycznie, nie potrafili jednak „sami z siebie” wytworzyć niezbędnej dla zachowania niezależnego bytu hierarchii społecznej i dlatego „odłączenie się niektórych klas, które znajdujemy w tym narodzie z postępem wieków średnich zawsze było skutkiem obcego wpływu... [...] Bo chociaż liczni i silni, jak wszystkie dzieci natury, nie mogli stawiać dostatecznego oporu nieprzyjacielowi uformowanemu przez ciągłe wojny, i zjednoczonemu silną wolą walecznego naczelnika. A tak w istocie historia wykazuje, że bez wyjątku wszystkie ludy Słowiańskie uległy przemocy obcego wpływu mniej lub więcej szkodliwego. Ta prawda odsłania nam widok obrazu może najsmutniejszego w całych dziejach”⁴⁶ –

⁴³ Kwestię toczonego się w okresie romantyzmu sporu między zwolennikami wersji „słowiańskiej” a „sławiańskiej” w aspektach „amnezji niewolników” i „słowiańskiej traumy” podejmuje M. Janion w: *Niesamowita Słowiańszczyzna. Fantazmaty literatury*, Kraków 2006, s. 25–29.

⁴⁴ F.H. Lewestam, *Pierwotne dzieje Polski*, Warszawa 1841, s. 11.

⁴⁵ Tamże, s. 12–13.

⁴⁶ Tamże, s. 34.

ubolewał Lewestam i przeprowadzał triadyczną typologię, będącą w istocie martyrologicznym uogólnieniem „sławiańskich” losów dziejowych. Zgodnie z ową typologią część narodów słowiańskich została podbita, część „wyniszczona do szczętu”, a pozostałe „osaczone i rabowane zostały same przymuszone do szukania protekcji jednego z nieprzyjaciół”⁴⁷. Wyjątków, jak już wiemy, nie było. Przy takiej ocenie refleksje Lewestama nie mogły być budujące dla „sławnego” (aryjskiego) ludu: „Trzeba powiedzieć, że nie potrafili sami wynieść tej budowli, że nie zdołali ustanowić się w politycznych karbach państwa. Dlatego też widzimy, a jest to rzeczą bardzo uderzającą, że *wszystkie* [tak w oryg.] państwa Sławiańskie były usta[nowi]one przez lub skutkiem wpływu onych [nieprzyjaciół – A.W.]”⁴⁸. Trudno się oprzeć wrażeniu, że w ujęciu autora *Pierwotnych dziejów Polski* „Sławianie” na sławę bynajmniej nie zasługiwali, a jeżeli już – była to raczej sława nie najlepsza, by nie powiedzieć po prostu – „zła”.

Lewestam nie był ani pierwszym, ani ostatnim z dziejopisów, którzy szukając wyjaśnienia przebiegu dziejów, odwoływali się do charakterologii podmiotów zbiorowych – plemion, szczepów, ludów, narodów. Nie był też ani pierwszym, ani ostatnim, który w swych zabiegach eksplanacyjnych wykorzystywał postherderowski stereotyp Słowianina pozbawionego walorów państwowotwórczych, z tym że w odróżnieniu od filozofa niemieckiego stereotypu tego nie opatrywał w pozytywną warstwę aksjologiczno-profeptyczną, związaną ze zbliżającą się jakoby słowiańską erą Europy. Godne odnotowania jest natomiast, że klasyczna, by tak rzec, dla koncepcji początków państwa polskiego opozycja słowiańskość i germańskość w jego ujęciu nie odgrywała istotnej roli. Czynniki germański został wyparty przez czynniki celtycki. Podobnie zresztą jak czynniki słowiański, który w gruncie rzeczy został sprowadzony do wypełniającej państwo „etnicznej masy”. Jak jednak doszło do utworzenia tego państwa?

Zdaniem Lewestama o historycznych konkretach można było mówić począwszy od wzmianki Ptolemeusza, który w II w. n.e. odnotował, że terytoria nad górną Wisłą zamieszkiwali „Boloni”, a nazwa ta miałaby jednoznacznie odnosić się do słowiańskich Polan. Po kolejne szczegóły Lewestam sięgał już do przekazu o tysiąc lat późniejszego, a mianowicie do kroniki Nestora, powstałej około 1113 r., a konkretnie do dwóch zawartych w niej wzmianek. Jedna podawała „jako pewny fakt, że naród pod nazwiskiem Llechitów, przybyły z Wielkiej Chrobacji [domniemanego przez niektórych państwa po obu stronach Karpat, mającego obejmować m.in. Czechy, Morawy, Słowację, część ziem późniejszej Polski – A.W.] założył u Polan Nadwiślańskich

⁴⁷ Tamże, s. 33–34.

⁴⁸ Tamże.

monarchię, znaną później pod nazwiskiem Polski⁴⁹, druga natomiast informowała, że Polanie „zamieszkiwali także okolice Kijowa”⁵⁰. Lewestam konstatował, że jakkolwiek nie ma żadnych danych na temat „epoki”, w której nastąpił najazd Celtów, z których część zwana była Llechitami, a część Bojami (od słowa bój – wojna, walka, wojownik, bojar), to „samo zdarzenie uznane jest za prawdę historyczną nie podlegającą żadnemu zarzutowi”⁵¹. Brak danych co do czasu celtyckiego najazdu nie powstrzymał go jednak od snucia przypuszczeń, że mógł on nastąpić albo pod koniec poprzedniej, albo na początku naszej ery⁵².

Stawiając sobie pytanie, jaką nazwę nosili Słowianie, którzy pierwsi ulegli przybyłym z południa Llachom i Bojom, Lewestam wysuwał przypuszczenie, że byli to Mazurowie, do których najeźdźcy, mimo że stworzyli stan wyższy – szlachtę, szybko się upodobnili. Celtowie mieli bowiem tę właściwość, że „bardzo łatwo tracili język i całą narodowość, kiedy w ścisłym byli zetknięciu z innym ludem”⁵³. Można zatem powiedzieć, że w ten sposób nastąpiła kulturowa mazuryzacja (sławizacja) Llechów przy jednoczesnej społeczno-politycznej „llechizacji” (celtyzacji) Mazurów, a wszystko to razem wzięte miało znaczące konsekwencje. Mazurowie bowiem zajmowali nie tylko ziemie nad Wisłą, ale sięgali dalej na wschód, do brzegów Bugu i Styru, obejmując nawet, jak wzmiankowani przez Nestora Polanie, obszary pod Kijowem. W konsekwencji nie tylko nad Wisłą, czyli na terytorium zajęтым przez Llechitów, ale też na znacznej połaci słowiańskich obszarów na wschód od tej rzeki, czyli na obszarze opanowanym przez Bojów, upowszechniły się struktury celtyckie, w tym zróżnicowanie społeczne przejawiające się pod postacią nieznanej wcześniej Słowianom warstwy szlacheckiej (od „z Llechitów”), która na wschodzie nazywana była (od Bojów) – bojar-ską⁵⁴. Trzeba przyznać, że choćby przez sam fakt odwołania się do czynnika celtyckiego i wprowadzenia czynnika słowiańskiego pod postacią Mazurów była to wielce oryginalna hipoteza powstania państwa polskiego, jakkolwiek sformułowana w sposób dość zagmatwany. W każdym razie, dając wiarę Lewestamowi, trzeba byłoby uznać, że ludność spod Kijowa miała ten sam słowiańsko-celtycki rodowód etniczny co ludność znad Wisły, a wtedy problem

⁴⁹ Tamże, s. 44.

⁵⁰ Tamże, s. 43.

⁵¹ Tamże, s. 44.

⁵² Tamże, s. 60, gdzie czytamy: „Idąc z biegiem okoliczności owego czasu sądzić należy, że to wtargnięcie Celtów w kraje Słowiańskie albo się wydarzyło w bitwie z [władcą słowiańskich Daków – A.W.] Bokrewistem (48 r. przed nar. J. Chr.); albo też, co podobniejsze jest do prawdy, po podbiciu ich przez Markomanów”.

⁵³ Tamże.

⁵⁴ Tamże, s. 60–61.

Kozaczyzny przestałby dla Rzeczypospolitej istnieć, bo razem tańczylibyśmy swojskiego „kozaka”.

Oryginalnych przypuszczeń na kartach *Pierwotnych dziejów Polski* jest doprawdy niemało, a to, jak się wydaje, powinno sprzyjać recepcji i percepcji tej książki. Niestety tak nie jest, co dostrzegł już w XIX w. Antoni Małecki, który swą analizę tekstu Lewestama nie omieszkiał opatrzyć zastrzeżeniami typu: „Referuję wszystko wiernie, za logikę autorowi odpowiedzialność zostawiam”, bądź w nieco innym miejscu: „Staralem się powiązać w ciągłość logiczną zdania u Lewestama rozrzucone dość chaotycznie. To powód, że cytowane tu z jego książki stronicie przedstawiają, jakby skoki to wstecz, to naprzód. Tak tylko dało się myśl autora przedstawić najściślej wiernie”⁵⁵. Aby wesprzeć ocenę, jaką Małecki wystawił myśli Lewestama, warto również w tym miejscu uczynić skok niemały i odwołać się do frapującego, jak można sądzić, wątku rozważań snutych przez autora *Pierwotnych dziejów Polski* na temat losów, wywodzącego się ponoć od Kraka, ostatniego celtyckiego władcy Polski, jakim miał być Popiel II Zły. Bez względu na historyczny status tego monarchy, który, jak podkreślał Lewestam, zamknął u nas epokę historii bajecznej, epizod jego śmierci stał się symboliczną cezurą wyznaczającą okoliczności i sposób przechodzenia polskiej państwowości z „cudzego” (celtyckiego) na „swoje” (słowiańskie).

Nawiązując do kronikarskich opowieści o okrutnym Popielu, którego pożarły myszy, dzięki czemu rządy w Polsce mieli objąć słowiańscy Piastowie, Lewestam dostrzegał, że wątek ów śmieszył wielu swoją naiwnością i że inne narody mają również opowieści bajeczne, których bohaterowie zjadani są przez myszy⁵⁶. Jednak ta ostatnia okoliczność nie tylko nie podważała, jego zdaniem, ale wręcz uwiarygodniała te opowieści. Należało jedynie spojrzeć na nie nieco inaczej. „Wiadomą jest rzeczą – pisał – że wszystkie indywidua, które miały ulec tej dziwnej katastrofie, zawsze były ludźmi rozwiązłemi – wiemy zaś, że pewien rodzaj ludzi zawsze zakańcza życie w paroksyzmach okropnej choroby, która tych tylko napastuje, co się zbytecznie oddawają używaniu

⁵⁵ A. Małecki, dz. cyt., s. 185, 186 (przypisy).

⁵⁶ F.H. Lewestam, dz. cyt., s. 69. Inspirowany strukturalizmem oraz funkcjonalizmem Jacek Banaszkiewicz sądzi, że „na podstawie dzisiejszego stanu wiedzy o »mysich sagach«, polską wersję tej fabuły należy raczej wyprowadzać z lokalnej tradycji kulturowej niż szukać dla niej dróg, na których mogłaby być zapożyczona z zewnątrz. Należała ona zapewne do odziedziczonej przez Słowiańszczyznę tzw. indoeuropejskiej tradycji duchowej. Posługiwano się nią dla uzyskania określonych efektów ideowych [...]. Legenda ma tworzyć przede wszystkim czarny charakter, dostarczyć przeciwnika dla nowego władcy, który na jego tle zajaśnieje wszystkimi zaletami”; zob. tenże, *Podanie o Piaście i Popielu. Studium porównawcze nad wczesnośredniowiecznymi tradycjami dynastycznymi*, Warszawa 1986, s. 192–193; wyd. 2 uzup. 2010; por. rozdz. IV niniejszej książki.

mocnych trunków. Ta choroba znana pod nazwiskiem szaleństwa pijaków (*delirium tremens potatorum*) szczególnie się charakteryzuje symptomatem w żadnej innej słabości nieistniejącym: – jest to urojenie chorego, który ciągle mniema, że gonią za nim małe zwierzątka, najczęściej myszy. To urojenie jest tak silnem, że nie daje choremu zasypiać i że mimo oporu otaczających go osób, mimo okropnego osłabienia, w którym sam się znajduje wszelkimi sposobami stara się uciekać i szukać schronienia przed myszami co go prześladowają. Zdaje nam się, że ta okoliczność dostatecznie wyjaśnia początek tak dziwacznej tradycji, tak bardzo jednak upowszechnionej; lecz śmierć króla Popiela inaczej jeszcze wytłumaczoną być może. Albowiem Bandtkie znalazł niedaleko Kruświcy, stolicy Popiela, wieś Myszy, a w tamiecznych stronach zachowana jest pogłoska, że mieszkańcy tej wioski zabili króla Popiela. Ten fakt niszczy wszelkie powątpiewania o prawdziwie legendy zachowanej nam przez kronikarzy⁵⁷. Jakkolwiek w przytoczonym tu fragmencie Lewestam znacznie więcej miejsca poświęcił hipotezie o delirycznej śmierci Popiela, to w całości swej narracji na plan pierwszy wysunął jednak drugi z wymienionych tu wariantów, akcentując bunt chłopów i udział mieszkańców wsi Myszy w zabójstwie okrutnego władcy i jego synów. Lewestam dość opacznie wyraził jednak swe intencje, konkludując, że wywody i odkrycia Jerzego Samuela Bandtkiego potwierdzały „prawdę” zawartą w legendarnej opowieści. Nie określił bowiem, czy owa prawda dotyczy czworonożnych myszek, czy dwunożnych mieszkańców wsi Myszy. Nie rozdzielił przy tym uniwersalnego od konkretno-historycznego, „wydarzeniowego” wymiaru tej opowieści, nie spostrzegł, że jest ona opowieścią paraboliczną, symbolicznie ukazującą starą prawdę *nec Hercules contra plures* oraz wyrażającą typowe dla wielu religii przeświadczenie, że „wszelkie zło zostanie ukarane”. Co ciekawe, w stronę wykazania uniwersalnego charakteru „mysiego” toposu prowadził czytelników ten sam Bandtkie, na którego powoływał się Lewestam i który opowiadając „bajkę o Popielu II”, zwrócił uwagę, że podobną opowiada się o „książęciu mazowieckim Mieczysławie Koszysku⁵⁸, którego r. 1237 również jak Popiela II myszy zagryzły za to, że »gnębił wdowy i sieroty«”. Bandtkie przytoczył też przykłady innych przejawów sprawiedliwości realizowanej przez mysie zastępy. Ciekawe przy tym, że najliczniej wśród zagryzionych reprezentowani byli przedstawiciele niemieckich elit kościelnych, ze zdrazieckim biskupem mogunckim Hattonem na czele, który swe obietnice zwykł był wzmacniać fałszywym zaklęciem „bodajby mnie myszy zjadły”, co trwało aż do czasu,

⁵⁷ F.H. Lewestam, dz. cyt., s. 69–70.

⁵⁸ Jerzy Samuel Bandtkie miał tu na myśli Mieszka – syna Konrada Mazowieckiego, który ze względu na długie włosy, podobnie jak legendarny Piast, nosił przydomek Chościsko (od słowa „choszcziszco” – miotła).

gdy słowo ciałem się stało. Takie fabularyzacje Bandtkie uznał za typowe dla „wieku dziecinnego narodów”, ale nie omieszkiał zarazem pocieszyć swych rodaków, że „z tych bajek my Polacy mamy przynajmniej *Myszeidę* Krasickiego”⁵⁹. W tym miejscu wypadnie odnotować, że wątek Hattona w jego odmiennej, zarazem jednak bodaj najokrutniejszej postaci zrelacjonował Jacek Banaszekiewicz, pisząc: „Hatto w czasie wielkiego głodu i drożyzny w kraju zamiast pomóc rzeszy głodujących, pod pozorem udzielenia im wsparcia, zebrał wszystkich biedaków z okolicy w jednej szopie i rozkazał ją podpalić”⁶⁰. I na tym spostrzeżeniu wypadnie zakończyć dygresję na temat tego, czy „mysie narodziny” państwa Piastów miały deliryczny charakter, której to wersji Lewestam ostatecznie chyba nie dał wiary⁶¹.

Starając się nadać narracji Lewestama postać bardziej przejrzyście, można powiedzieć, że najazd wojowniczych celtyckich Llachów (Lachów) na miejscowych, zajmujących się rolą słowiańskich „Boloni” (Poloni) doprowadził do „ujarzmienia” tych ostatnich oraz zepchnięcia ich do stanu niewoli⁶². Było to o tyle łatwe, że oba ludy miały odmienne usposobienia i hierarchie wartości. Słowianie byli powolni, zachowawczy, opowiadali się za równością społeczną i wspólnotą własności, natomiast celtyccy Llachowie – rzutcy, przedsiębiorczy, hierarchicznie zorganizowani i uznający własność prywatną. Ci drudzy nie mieli więc większych kłopotów z przywłaszczaniem słowiańskich ziem i tworzeniem na nich jedynowładczych państewek. Tak było aż do połowy IX w., kiedy to ostatni z książąt celtyckich, Popiel, został zastąpiony władcą słowiańskim. Nastanie nowej dynastii – Piastów – nie przyniosło jednak odwrócenia ukształtowanego wcześniej układu plemiennospołecznego. Była ona bowiem zbyt słaba i zbyt uzależniona od rycerstwa. Słowianie pozostali więc chłopami, a Celtowie, mimo że ulegli sławizacji, szlachtą. Tak było według Lewestama aż do czasów mu współczesnych, w których „jest wprawdzie między ślachtą kilka rodzin, nie pochodzących od Llachów, lecz między chłopami ani jednej nie ma Llachickiej rodziny”⁶³. Warto przypomnieć, że słowa te padły na pięć lat przed galicyjską rabacją.

W koncepcji Lewestama powrócił, występujący już wcześniej w naszej myśli historycznej, motyw etnicznego dualizmu społeczeństwa polskiego, z tym że jego treści uległy odwróceniu – to nie Słowianie stanowili plemię podbójców, lecz celtyccy Llachowie. Lewestam pozostawił wprawdzie

⁵⁹ J.S. Bandtkie, *Dzieje Królestwa Polskiego*, t. 1–2, wyd. 2 popr., Wrocław 1820, tu t. 1, s. 60–61 (przypis).

⁶⁰ J. Banaszekiewicz, dz. cyt., s. 164.

⁶¹ W literaturze przedmiotu rozbudowana postać tej wersji łączona jest ze stanowiskiem zajęтым przez H. Łowmiańskiego; zob. tamże, s. 159–160.

⁶² Tamże, s. 93.

⁶³ F.H. Lewestam, dz. cyt., s. 81, przyp. *.

nienaruszony mit dawnego gminowładztwa słowiańskiego (ustroju opartego na pierwiastkach demokratycznych i republikańskich), zarazem jednak zakwestionował tezę o słowiańskiej „rodzimości” polskiego procesu historycznego. Naród polski składał się z dwóch odrębnych pierwiastków etnicznych, a organizacja państwowa i struktura społeczna, które zaważyły na przebiegu jego dziejów, były konsekwencjami podboju. Takiej formule można było nadać ostrą wymowę polityczną, skierowaną przeciwko wywodzącym się z najeźdźczych Celtów szlacheckim wywłaszczycielom słowiańskich kmieci. I Fryderyk Henryk Lewestam miał w tym swój nieświadomy udział, bo rzeczywiście została ona już wkrótce „antyrabacyjnie” wykorzystana przez austriackie struktury władzy.

PAŃSTWOTWÓRCZY NAJAZD NORMANÓW (KAROL SZAJNOCHA)

Nieudolność polityczną i opóźnienie cywilizacyjne, czyli obie przypisywane Słowianom cechy, mające uprawdopodobnić twierdzenia o państwowotwórczym zniewoleniu ich przez ludy wywodzące się z innych pni etnicznych, bardzo silnie akcentował Karol Szajnocha – historyk niesłusznie skądinąd łączony z nurtem lelewelowskim⁶⁴. Oczywiście był on bliski Lelewelowi, gdy przyjmował koncepcję pierwotnego, przepojonego „duchem wolności” gminowładztwa słowiańskiego, a zarazem stawał w rzędzie apologetów rzezypospolitej szlacheckiej. Zbieżność tych elementów nie wystarcza jednak, by całokształt jego twórczości łączyć z lelewelizmem. Wiadomo przecież, że zarówno teza o gminowładztwie, jak też idealizacja państwa szlacheckiego występowały w polskiej myśli historycznej na długo przed Lelewelem i niezależnie od niego. W twórczości Szajnochy odnajdziemy natomiast wiele elementów daleko od lelewelizmu odbiegających⁶⁵. Odnosi się to między innymi do koncepcji powstania państwa polskiego.

Gdy w 1858 r. Szajnocha publikował *Lechicki początek Polski*, zdawał sobie sprawę, że postawiona przez niego teza może wywołać spore kontrowersje. Opowiadał się bowiem za normańską wersją genezy państwa polskiego, założonego przez skandynawskich najeźdźców uformowanych w zbrojne „towarzystwa”, stanowiące, jak sam to określał, typowe „instytucje starogermańskie”. Zarówno owe instytucje, jak i poszczególne ich członków

⁶⁴ Kompetentną analizę miejsca, jakie myśl historyczna Szajnochy zajmuje w refleksji historyków historiografii w drugiej połowie XX i na początku XXI w. zawarła w swej rozprawie habilitacyjnej Violetta Julkowska; zob. też, *Historia dla wyobraźni. Recepcja i interpretacja pisarstwa historycznego Karola Szajnochy*, Poznań 2010, s. 165–169.

⁶⁵ L. Finkel, *Karol Szajnocha. Próba ujęcia syntezy i genezy poglądów historiograficznych wielkiego pisarza*, „Ziemia Czerwieńska” 1, 1935, s. 6–20; por. M.H. Serejski, *Naród a państwo w polskiej myśli historycznej*, Warszawa 1973, s. 149–153.

Skandynawowie mieli obejmować jednym i tym samym wyrazem *Lag*, wymawianym jako *Lach* i oznaczającym *towarzystwo* lub *towarzysz*. Tak pojmowani Lachowie/Lechici po podbiciu Słowian znad Wisły i Odry mieli dać początek szlachcie i państwu polskiemu. Przechodząc do szczegółów organizacji owych „towarzystw” i zasad, którymi kierowali się ich członkowie, Szajnocha wskazywał na „powieści skandynawskie” (sagi), był jednak dość sceptyczny co do ich wartości źródłowej. Jego uwagę przyciągnął leżący nad ujściem Odry, w pobliżu miasta Wolina, „gród Jum”⁶⁶, gdzie jakoby zorganizowane zostało „najsławniejsze towarzystwo północne”, jakim było „bractwo jumskie”. To tam właśnie „Palnatokko”, jak nazywał jarla Palnatokkiego, zorganizował, będący „rodzajem Siczy kozackiej”⁶⁷, związek rycerski, uchodzący powszechnie za ideał „pogańsko-wojennego życia północy”. Autor *Lechickiego początku Polski* nie krył żalu, że dokonania „ostatniego bohatera pogaństwa skandynawskiego”, które przypadły na końcowe lata X w., kiedy to Pomorze wraz z ujściem Odry poddane już było władzy Mieszka I i Bolesława Chrobrego, zostały uwiecznione w źródłach mało wiarygodnych. „Im więcej atoli pisały o nim zagi [sagi – A.W.] i kroniki – ubolewał – tym mniej pewna w rzeczywistości jest właściwa historia Palnatokki, tem wątpliwszemi są wszystkie szczegóły jego życia. Tyle jedynie można przyjąć za rzecz prawdziwą, że uorganizowana przezeń osada zbrojna, czy to już w taki albo nieco odmienny sposób urządzona w istocie, odpowiadała najlepiej obrazowi towarzyskości rycerskiej, jaki się z dawien dawna roił imaginacji północnej”⁶⁸. Owa „towaryskość” to nic innego tylko normandzki etos rycerski, który Szajnocha, pozostając w konwencji romantycznego mediewalizmu, kreślił

⁶⁶ Nie zamierzam tu wchodzić w językoznawcze subtelnosci, związane z tym, że w dotychczasowej, polskiej literaturze przedmiotu, począwszy od Szajnochy, a skończywszy na czasach nam współczesnych, napotykamy na trójaką pisownię nazwy owej, mniej lub bardziej domniemanej, warowni (a i miasta również), która najpierw pisana była przez „u”, później przez „o”, a obecnie przez „ó”. Dla pracy z zakresu historii historiografii jest to sytuacja szczególnie kłopotliwa, zwłaszcza na etapie redakcji. Przyjęcie jako obowiązującej pisowni uwspółcześnionej („Jómsborg”), co się zazwyczaj w takich wypadkach czyni, zacierałoby bowiem niuanse zmieniających się kontekstów historiograficznych, w których umieszczano ową nazwę, nadając jej, by tak rzec, nieco farlandyczny desygnat. Dlatego autor liczy na zrozumienie czytelnika wobec faktu, że w licznych cytatach zachowana zostanie pisownia oryginału, natomiast w jego własnej pisowni zastosowana będzie forma współczesna, zgodna z pisownią stosowaną już od kilku dziesięcioleci. Podobne wątpliwości dałoby się odnieść do zapisu pojęcia S/słowiańszczyzna, na co zwracałem już kilkakrotnie uwagę, m.in. w: *Mit czy rzeczywistość? „Słowiańszczyzna” w myśli historycznej polskiego romantyzmu*, w: *Słowianie, Słowiańszczyzna – pojęcia i rzeczywistość dawniej i dziś. Zbiór studiów*, red. K. Handke, Warszawa 2002, s. 59–76.

⁶⁷ K. Szajnocha, *Lechicki początek Polski. Szkic historyczny*, Lwów 1858, s. 41.

⁶⁸ Tamże, s. 6.

jeśli nie z całkowitym podziwem, to z ogromnym szacunkiem. Ów etos wypełniały takie cechy jak „arcypirackość i wojenność”, płynące jednak nie z czego innego tylko „z głodu i ubóstwa” oraz z zasady rycerskości, mającej sprawiać, że „ojciec normański pozostawiał synowi tylko oręż w spuściźnie, lecz tym orężem mógł się on dobić wszystkiego. Chleb powszedni, bogactwa, sława i znaczenie u świata, władza królewska, nawet zbawienie na tamtym świecie – wszystko było tylko dankiem odwagi”. Chciałoby się powiedzieć, że normański arcypirat, wraz ze swoimi towarzyszami, potrafił zbrojnie realizować cele zarówno doczesne, jak i eschatologiczne. Pomagały mu w tym „dzikie bohaterstwo, przypominające heroiczną epokę Grecji”, nadzwyczajna „potęga umysłu”, która w większym nawet stopniu niż odziedziczony po ojcu oręż pozwalała wpływać na „losy całej ludzkości nowoczesnej”, a także upodobania i zdolności artystyczno-literackie, powodujące, że potrafił płodzić „poematy najdziwniejszego układu, strofy najkunsztowniejszej budowy o arcymisternie zaplatanych warkoczach”. Oplatając nie mniej misternymi warkoczami pomnik dziejowej sławy domniemanych założycieli polskiego państwa, Szajnocha, zapewne gwoli rzetelności historycznej, w ostatnich słowach swej normańskiej charakterologii wypomnił „arcypiratom”, że byli „mściwi”. Nie potrafił jednak całkowicie wyjść poza apologetyczną konwencję, ponieważ cechę tę dopełnił natychmiast wyjaśnieniem, iż płynęła ona „nie tyle z srogości serca, ile raczej z obowiązków organizacji społecznej, organizacji najściślejszego braterstwa, zmuszającej każdego do ostatniej kropli krwi wetować krzywdę ojca, krewnych, przyjaciół. Przy takiej zaś społeczności, przy takich zaletach ramienia rycerskiego a osobliwie umysłowości bogatej – czegoż nie byli w stanie dokazać nasi arcypiraci, mając zwłaszcza do czynienia z ludami niewojennymi, bez równej im przebiegłości, bez silnego spoju i steru społecznego!...”⁶⁹. W takiej sytuacji nic dziwnego, że niewojenni Słowianie w sposób niejako naturalny musieli odstąpić państwowotwórcze laury Normanom.

Szajnocha miał z jednej strony świadomość niechęci, z jaką leleweliści (i nie tylko zresztą oni) odnosili się do hipotez państwowotwórczego podboju, z drugiej zaś wiedział, że koncepcje dualizmu etnicznego narodu polskiego traktowane są na ogół przez kręgi zachowawcze jako próba jątrzenia i rozbijania jedności narodu przez wykazywanie, że szlachta polska nie jest „krwią z krwi i kością z kości”⁷⁰. Asekurował się więc jak gdyby przed nieżyczliwością

⁶⁹ Tamże, s. 275–305. Wszystkie cytaty dotyczące charakterologii Normanów pochodzą z rozdz. I zatytułowanego *Do charakterystyki Normanów* (s. 275–304), umieszczonego w kończących przywołane dzieło *Fragmentach* (s. 275–344).

⁷⁰ *Korespondencja Karola Szajnochy*, t. 2, wstęp i przyp. H. Barycz, Wrocław 1859, s. 143–144; zob. też H. Łowmiański, *Zagadnienie roli Normanów w genezie państw słowiańskich*, Warszawa 1957, s. 15–16.

ewentualnych czytelników, pisząc, że panuje „prawie powszechna zgoda” co do tego, iż u początków państwa polskiego legło „przyjście” obcych, niesłowiańskich plemion i na poparcie swych słów przywoływał autorytet Czackiego, który całe swe dzieło *O litewskich i polskich prawach* „snuje z wątku tej jednej myśli iż prawie wszystkie ustawy i instytucje nasze przyszły do nas z północy, ze Skandynawii”⁷¹. Wyznawał przy tym, że „dzieło sławnego męża” traktuje jako „wałną podporę” swych zapatrywań na początki państwa polskiego, będących w istocie próbą dopełnienia „na drodze historycznej” tego, co Czacki wykazał „na drodze prawoznawczej”⁷².

Zdaniem Szajnochy załączki państwowości polskiej zorganizowane zostały przez normańskich Lechitów (Lachów), którzy mniej więcej od połowy VI w. napływali na ziemie polskie⁷³. Wprawdzie nie był to najazd gwałtowny, nosił on raczej charakter stopniowej migracji, niemniej pierwiastkiem państwowotwórczym stawał się w tym ujęciu czynnik cudzoziemski. Teza Szajnochy opierała się na przekonaniu o braku możliwości państwowotwórczych u pierwotnych Słowian, żyjących w stanie „zupełnej nieudolności społecznej” i pozostających aż do VI w. w stadium historycznego „niemowlęstwa”⁷⁴. Pierwsze polskie organizacje polityczne wykształcić się więc miały w wyniku impulsu z zewnątrz, drogą przeszczepienia na grunt słowiański form organizacyjnych znanych już wcześniej, starszym rzekomo o pięć stuleci od Słowian Lechitom – „plemieniu” pochodzenia germańsko-normańskiego.

Napływ Lechitów łączył Szajnocha z genezą stanu uprzywilejowanego – szlachty. Normanowie, którzy przybyli najprawdopodobniej z Danii (pierwsza faza napływu przed 550 r. ograniczyła się do Pomorza), nieśli, jego zdaniem, wyższą organizację i zapewniali Słowianom stabilizację polityczną. Przypuszczał też, że ludność słowiańska, mając do wyboru rządne zwierzchnictwo normańskie lub niedole pod panowaniem własnych, nieudolnych władców, opowiadała się za przybyszami z Północy. Panowanie Lechitów nie przebiegało jednak bezkonfliktowo. Trudniąc się rozbojem i handlem, za szczególnie cenny towar uznawali słowiańskich niewolników, a to musiało wywoływać u miłujących wolność autochtonów najgłębszy sprzeciw. Toteż gdy organizacje normańskie przeżywały okres wewnętrznego kryzysu, co miało się stać w połowie IX w. za dążącego do „pełnego” jedynowładztwa Popiela, doszło do buntu i przejścia władzy przez słowiańskich Piastów. Ci ostatni wprowadzili pewne poprawki do istniejącego już normańskiego systemu społeczno-

⁷¹ K. Szajnocha, dz. cyt., s. 185.

⁷² Tamże.

⁷³ Por. J. Paclawski, *Tematyka słowiańska w pisarstwie Karola Szajnochy*, „Kultura i Społeczeństwo” 18, 1974, 4, s. 114–115.

⁷⁴ K. Szajnocha, *Lechicki początek Polski*, w: tenże, *Dzieła*, t. 4, Warszawa 1876, s. 168 (skąd dalsze cytaty).

-politycznego, dopuszczając Słowian do większego udziału w rządach, lecz zasadniczo nie obalili „lechickiej podstawy związanego raz społeczeństwa”⁷⁵.

Przejęcie władzy przez Piastów przyspieszyło, zdaniem Szajnochy, proces narodowego ujednoczenia Polaków. Przebiegać miał on zresztą nie tylko pod wpływem czynników politycznych. Lechici w miarę upływu czasu stapiali się z plemionami słowiańskimi, przejmując ich język i obyczaje, a także system społeczny, w konsekwencji czego „różnica pochodzenia zanikła zaiste od tysiąca lat, a dziś szlachta i lud zarówno są Słowianami”⁷⁶. Było to jednak nie tylko ujednoczenie kulturowe. Przybysze z Północy bratali się też poprzez zawieranie małżeństw i zadzierzganie związków krwi. W ten sposób podział stanowy przestał pokrywać się z podziałem etnicznym, jako że ten ostatni przestał w ogóle istnieć – „żaden z najsławniejszych narodów świata, urosłych powszechnie ze zlewku krwi nie mógłby w tej mierze pochłubić się większą jednolitością” – konkludował Szajnocha⁷⁷. Był to wniosek wyraźnie łagodzący konfliktogenny charakter koncepcji dualizmu etnicznego i społecznego Polaków. Warto w tym miejscu nadmienić, że w analogiczny sposób sławizację Lechów (Lachów) ukazywał Mickiewicz, z tym że w jego ujęciu byli to przybysze nie z Północy, lecz z Kaukazu.

Dając narodowi polskiemu z jednej strony słowiański, z drugiej zaś normańsko-germański rodowód, Szajnocha zdawał sobie sprawę, że takie ujęcie może budzić jeszcze innego rodzaju wątpliwości. Sam przecież był jednym z głównych rzeczników rozpowszechnionych dość szeroko w Polsce przekonań, że polskość i niemieckość to dwa rozbieżne i sprzeczne ze sobą „żywioty”. Adam Koźuchowski stwierdza wręcz, że „żaden z polskich historyków nie odmalowywał obrazu Niemców w sposób bardziej apokaliptyczny niż Szajnocha”⁷⁸. Tymczasem w świetle prezentowanej przez Szajnochę koncepcji mogło się okazać, że polskość i niemieckość to dwa żywioty wywodzące się ze wspólnego, germańskiego pnia etnicznego. Autor *Lechickiego początku Polski* zabezpieczał się zatem przed zbyt daleko idącymi wnioskami, podkreślając, że w żadnym wypadku nie można utożsamiać „normanizmu” z „teutonizmem”. Historia miała bowiem wykazać dowodnie, że „zachodziła między germanizmem południowym, czyli teutońskim, a północnym, czyli normańskim, równie wielka sprzeczność i walka jak między Słowiańszczyzną trzymającą w tej mierze z Normanami”⁷⁹. Rzeczą godną szczególnej uwagi

⁷⁵ Tamże, s. 184.

⁷⁶ Tamże, s. 232.

⁷⁷ Tamże, s. 234.

⁷⁸ A. Koźuchowski, *Powinowactwa mimo woli. Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego i Rzeczpospolita Obojga Narodów w niemieckiej i polskiej historiografii XIX wieku*, Warszawa 2016, s. 78.

⁷⁹ K. Szajnocha, *Lechicki początek Polski*, w: tenże, *Dziela...*, s. 159.

jest fakt, że ów fundamentalny podział na germanizm północny (normański) i południowy (teutoński) przeniósł Szajnocha na mniejszą, „wewnątrzgermańską” całość etniczną, jaką byli Sasowie (Saksończycy, Saksonowie). Kreśląc przegląd „najgłówniejszych wypraw normańskich”, uznał za konieczne podkreślić, że nazwą „Normani” obejmuje „jak zwykle Szwedów, Norwejczyków i Danów wraz ze starożytnym Saksoństwem zaelbiańskim” oraz że w wieku V w skład „Normanów duńskich” wchodził „starożytni Sasowie, Anglowie i Jutowie”. Jeśli tak rozumiana, „północna” postać „saksoństwa” była bliska Słowianom, to jego południowy, teutońsko-szwabski wariant budził wśród tych ostatnich wyraźną antypatię. W ujęciu Szajnochy integracja plemion słowiańskich i normańskich następowała zatem na zasadzie wspólnej niechęci do teutonizmu (germanizmu południowego). Podkreślić wszakże wypadnie raz jeszcze, że proces ten dokonywał się drogą sławizacji Normanów, a nie normanizacji Słowian. Polacy w swych wadach i zaletach byli nieodrodnymi synami słowiańszczyzny, a domieszka normańskości w niewielkim jedynie stopniu odcisnęła się na ich charakterze narodowym. Teza ta w sposób wyrazisty rzutowała na całokształt koncepcji dziejów Polski Szajnochy. Podobnie bowiem jak wielu innych historyków tego okresu, jedną z pierwszoplanowych ról eksplanacyjnych historyk ten przyznawał „czynnikowi charakterologicznemu”.

Tezy Szajnochy dotyczące najazdu mającego spowodować zróżnicowanie społeczne wolnych i równych autochtonów zamieszkujących ziemię polskie już wkrótce znalazły odpór⁸⁰. Wprawdzie wymowie oraz ilości przywoływanych przez autora *Lechickiego początku Polski* argumentów zdawał się ulegać lelewelista Henryk Schmitt, nie omieszkał on jednak wyrazić znamiennego zastrzeżenia, gdy zapytywał retorycznie: „Czy na tych opierając się podobieństwach można bezwarunkowo orzekać tożsamość rodu i pochodzenia lub z nich wyprowadzać koniecznie uprzedni podbój czy to dorazowy, czy napływowy, jeśli najdawniejsze podania narodowe żadnego śladu takiego podboju nie wskazują?”⁸¹. W ogóle w głównych nurtach naszej historiografii koncepcja Szajnochy nie przyjęła się, znajdując zwolenników co najwyżej na jej poboczach. Nie znaczy to, rzecz prosta, by nie była ona przywoływana. W indeksie cytowań, gdyby taki był wówczas prowadzony, zajmowałaby zapewne jedno z czołowych miejsc.

⁸⁰ Zob. V. Julkowska, dz. cyt., s. 120–127.

⁸¹ H. Schmitt [rec.], K. Szajnocha, *Lechicki początek Polski*, „Dziennik Literacki” 1858, nr 67–70, s. 367.

3. HIPOTEZY PODBOJU WEWNĄTRZETNICZNEGO

„UNIJNO-FEDERACYJNE” PODBOJE PIASTÓW (JOACHIM LELEWEL)

W historiografii dominuje przekonanie, że czołowym głosicielem hipotezy bezpodbojowego powstania państwa polskiego był Joachim Lelewel. Jest to znaczne uproszczenie. Jeśli bowiem odrzucił on hipotezę podboju mającego doprowadzić do zróżnicowania społecznego Polski, to przyjął ją w pełni jeśli chodzi o powstanie polskiego państwa. Stało się to stosunkowo wcześnie, bo jeszcze w okresie przedemigracyjnym. Wprawdzie później przeszedł on przez fazę poważnych wątpliwości co do podstaw tej hipotezy i ostatecznie zrezygnował z jej głoszenia, faktem jednak pozostaje, że w swej odpowiedzi na ankietę historyczną rozesłaną przez wybitnego historyka francuskiego François Guizota z 1829 lub 1830 r.⁸² powstanie państwa polskiego w wyniku najazdu i podboju wewnątrzetnicznego potraktował wręcz jako prawdę oczywistą.

Klasyczne schematy perswazyjne towarzyszące koncepcjom autochtonizmu określonych plemion, ludów lub narodów polegają na odwoływaniu się do największych kwantyfikatorów temporalnych w rodzaju „zawsze”, „od początku”, „pierwotnie” („pierwiastkowo”), „od czasów najdawniejszych”, „od niepamiętnych czasów”, nie gardzą też formułami „pojawiania się naszych przodków” w miejscach dotychczas niezamieszkałych, „niektórych stopą ludzką”, „dziewicznych” itp., itd. Takie właśnie, mające duży ładunek ekspresji, określenia służą ugruntowywaniu przekonań o tym, że określone „praludy” lub ich potomkowie mają niezbywalne prawo do ziem swojej „praojczyzny”, która wraz z nimi lub wręcz dzięki nim „wynurzyła się z mroków historii”.

I tak było z koncepcją Lelewela, który odpowiadając na ankietę Guizota, już w pierwszym zdaniu nie omieszkał poinformować historyka francuskiego, że „Słowianie od czasów najdawniejszych zamieszkiwali obszar między Łabą a Dnieprem oraz między Bałtykiem i Dunajem. Choć osiadali w rozproszeniu, posługiwali się tym samym językiem, a w obyczajach zdawali się opierać na tych samych zasadach i wyobrażeniach religijnych. Istniejące między nimi różnice sprowadzały się do odmienności dialektów, a także pewnych swoistości obyczajowych, powstałych z czasem wskutek lokalnych warunków i okoliczności, w jakich rozwijała się kultura”⁸³.

⁸² Nieznana jest dokładniejsza data odpowiedzi Lelewela. Według wydawcy i tłumacza tego tekstu Mariana Henryka Serejskiego powstał on w 1829 lub 1830 r.; zob. *Joachima Lelewela odpowiedź na ankietę historyczną François Guizota*, z nieznanego autografu przeł., przedm. i kom. opatrzył M.H. Serejski, Wrocław 1962.

⁸³ Tamże, s. 15.

Tak zakreślona ojczyzna Słowian, składająca się z wielkiej równiny rozciągniętej od Dniepru do Łaby i od Bałtyku do Karpat oraz z górzystego „kraju karpackiego”, w toku dziejów wielokrotnie ulegała najazdom ze wschodu (Scytów, Sarmatów, Hunów, Awarów, Pieczyngów, Połowców, Mongołów) i z zachodu (Gallów, Bastarnów, Gotów, Gepidów i „hord germańskich”). Także i później, w czasach formowania się państwa polskiego, nie brakowało najazdów. Wówczas to, jak pisał Lelewel: „Najeźdźcami byli: 1) w końcu IX w. Węgrzy, 2) w X, XI i XII w. Niemcy oraz 3) przybyli ze Skandynawii Warego-Rusowie. Wszyscy oni byli obcymi przybyszami. Ta część Słowiańszczyzny, którą opanowali Węgrzy i Niemcy, utraciła na zawsze swój słowiański charakter, natomiast Słowianie zamieszkali w okolicy Dniepru, wprawdzie od normańskich zdobywców ich kraju przyjęli swą nazwę, to jednak złączyli się z przybyszami, którzy ulegli sławizacji”⁸⁴. Ta ostatnia konstatacja pozostawała w ścisłym związku z inną, a mianowicie, że już w X w. równinna część „Słowiańszczyzny” została „oczyszczona z obcych najeźdźców **i oto na całej przestrzeni od Łaby do Dniepru i od Bałtyku do Karpat nie można już stwierdzić żadnego obcego podboju**” (podkr. A.W.)⁸⁵. Warto tu dodać, że dostrzeganym przez Lelewela wyjątkiem na obszarze „Słowiańszczyzny” równinnej była ludność litewska, zamieszkująca tereny przy ujściu Niemna. Historyk podkreślał jednak, że na tych ziemiach znajdowały się również „prące” w kierunku północnym enklawy słowiańskie. Jeśli chodzi o ziemie polskie, to na ich obszarze – jak pisał w innym miejscu – można mówić o wpływach normańskich jedynie w strefie nadbałtyckiej, natomiast „do ziem lechickich nie przedarli się ni Waregowie, ni Normandowie, bo nie mieli którędy”⁸⁶.

Odrzucając hipotezę podboju zewnątrzetnicznego, Lelewel jednocześnie bardzo wyraźnie opowiadał się po stronie koncepcji narodzin państwa polskiego w wyniku podboju Słowian przez Słowian. Państwo to powstać miało w centralnej części słowiańskiej prakolebki za sprawą Polaków. „Polacy należeli do ostatnich zdobywców [tego kraju – A.W.] i najgodniejszych uwagi, przede wszystkim z tego względu, iż podbój przez nich dokonany miał charakter czysto słowiański i że ich tworem była zwarta politycznie organizacja państwowa, mocarstwo powstałe w samym centrum Słowiańszczyzny. Ale próżnym wysiłkiem byłoby szukać jakiś różnic rasowych [etnicznych – A.W.] między narodami [plemionami – A.W.] i ludami, które uformowały Polskę, między ludami zdobytymi i między zdobywcami”⁸⁷. Trudno o wyraźniejsze

⁸⁴ Tamże.

⁸⁵ Tamże.

⁸⁶ J. Lelewel, *Polska wieków średnich czyli w dziejach narodowych polskich postrzeżenia*, t. 1, Poznań 1846, s. 423–424, 182–191.

⁸⁷ *Joachima Lelewela odpowiedź...*, s. 16.

sformułowanie koncepcji najazdu „swoich na swoich”, koncepcji o wiele łagodniejszej w swych ideowo-politycznych konsekwencjach od tezy mówiącej o państwie narzuconym „z zewnątrz” przez obcych. Co więcej, Lelewel bardzo wyraźnie starał się oddzielić powstanie zróżnicowania społecznego w Polsce od hipotezy o „podbojowej” genezie państwa polskiego.

Lelewelowski opis pierwotnych stosunków społecznych na ziemiach, które później zostały zdobyte przez „Polaków”, utrzymany był w konwencji słowiańskiej sielanki. Niemal każdy mieszkaniec cieszył się osobistą wolnością, a nieliczni niewolnicy (jeńcy wojenni) na wykarczowanej przez siebie ziemi stawali się osadnikami i obdarzani byli wolnością, uzyskując w istocie ten sam status, który przysługiwał kmieciom (chłopom). Ci ostatni uprawiali ziemię należącą do panów, płacąc za to czynsz oraz świadcząc drobne powinności pańszczyźniane. W większości nie byli oni przypisani do ziemi, mogli swobodnie przesiedlać się i korzystać z takich samych praw jak ich panowie.

Formujące Polskę podboje Piastów miały jednak również złe strony. Wywołały nieład, zrodziły nadużycia i zakłóciły dotychczasową harmonię. Doszło do „wojen domowych”, które wstrząsnęły świeżo utworzonym przez Bolesława Chrobrego „mocarstwem”, lecz kryzys został bardzo szybko przezwyciężony i „wszystkie klasy ludności i wszystkie ludy z własnej woli odbudowały za Kazimierza Odnowiciela królestwo Bolesławowskie”. Zdaniem Lelewela stało się tak dlatego, że państwo polskie powstało w wyniku szczególnego rodzaju podboju. „Nie należy bowiem sądzić – pisał – by dokonał się podbój narzucający ludom [podbitym – A.W.] jarzmo niewoli. Chodziło tu raczej o unię narodów [federację plemion – A.W.], związanych jednym berłem w celu zabezpieczenia powszechnej niepodległości. Każdy z ludów zachowywał własne siły zbrojne, swoje prawa i obyczaje, tworzył jednak odtąd część składową Królestwa, w którym władza należała do króla Polaków. Ludy te nie musiały się ze sobą mieszać, ale łączyły się dobrowolnie za wspólną zgodą, ażeby bronić swych wolności, praw, niepodległości. Wszyscy stawali się braćmi i dziećmi jednej ojczyzny, upodabniali się w swych obyczajach, prawach, kulturze i dialektach, którymi się posługiwali...”⁸⁸. Czytając te słowa, trudno uciec od refleksji, że w swej koncepcji „swojskiego” podboju Lelewel zaczynał od sielanki i na sielance kończył. Taka odpowiedź zapewne zaskoczyła Guizota, który, jak się wydaje, oczekiwał zupełnie czego innego, a mianowicie potwierdzenia tezy o obcych etnicznie zdobywcach, którzy autochtonom narzucili niewolę polityczną i społeczną. Do tekstu Lelewela odniósł się on z dużym dystansem i to nie tylko dlatego, że napisany był nie najlepszą francuszczyzną. Jak zwrócił na to uwagę Marian Henryk Serejski, Lelewelowska wizja narodzin polskiego państwa zupełnie nie przystawała

⁸⁸ Tamże, s. 17.

do uznawanej przez historyka francuskiego „teorii heterogenicznego pod względem etnicznym składu państw europejskich i powstałego w wyniku podboju różnicowania klasowego i walki klas”⁸⁹. Skądinąd w późniejszych latach Lelewel nie podejmował już „podbojowego” wątku, kontynuował natomiast wyraźnie zarysowaną w odpowiedzi na ankietę Guizota linię apologii polskich dziejów narodowych, które miały przebiegać w sposób rodzimy, oryginalny i niedający się podporządkować typowi zachodniofeudalnemu.

Trudno nie dostrzec, że w uznawanych za najdojrzałszą z syntez dziejów ojczystych, które wyszły spod pióra Lelewela, *Uwagach nad dziejami Polski i ludu jej*⁹⁰, państwo polskie nie narodziło się w całkowitej zgodzie z odwiecznymi regułami słowiańskiego gminowładztwa. Wprawdzie na „naczelnika narodu”, czyli „króla”, wyniesiony został wywodzący się z kmieci Piast, ale „niepodobna się stało aby we wzrastającym państwie mógł się utworzyć rządzący wiec kmiecy”⁹¹. Widząc w takim biegu dziejów pewne zalety, Lelewel nie powstrzymał się jednak od krytycznej uwagi, że władza monarchiczna ukonstytuowała się „sprzecznie z duchem słowiańskim, z zasadami jakich się od wieku plemię trzymało”⁹².

Potrzeba chwili, która spowodowała, że na monarchicznych, a nie gminowładczo-wieczowych zasadach „szczep lechicki od wieków na rozmaite ludy podzielony, zlewał się nareszcie w jedno ciało”⁹³, nie mogła sprawić, by było to ciało jednolite. Wszystkie grupy „ludności” składające się na ów „zlewek” były klasowo różnicowane. Wśród Lechitów oprócz kmieci wszędzie była „klasa górująca” – „Lechów”, która dla odróżnienia się od lechickiego gminu zwykła podkreślać, że należy do „z-lechciców”, „z-lachciców”, „s-lachciców” i ostatecznie do szlachty. Mówiąc prościej, szlachta wywodziła się i z Lechitów, i z Lechów, kmiecie natomiast tylko z Lechitów, co nie oznaczało przecież, że etniczny „zlewek”, który ukonstytuował państwo polskie, nie był jednolity. Taka beznajzdowa i bezpodbojowa w istocie koncepcja wspólnoty krwi została uznana za wyróżnik historycznej i politycznej myśli Lelewela, i to wyróżnik o tyle niebagatelny, że przyjęty jako aksjomat przez tak znaczące ugrupowanie polityczne jak Towarzystwo Demokratyczne Polskie (1832–1862). Znacząca ta problematyka, Henryk Żaliński, konstatował: „Pewnik Lelewela o szlachecko-chłopskiej wspólnocie plemiennej stanowił podstawę, na której członkowie Towarzystwa budowali przyszlą konstrukcję

⁸⁹ M.H. Serejski, *Przedmowa*, w: tamże, s. 8.

⁹⁰ Wyd. pierwsze: J. Lelewel, *Considérations sur l'état politique de l'ancienne Pologne et sur l'histoire de son peuple* (1844), wyd. pol. *Uwagi nad dziejami Polski i ludu jej* w: tenże, *Polska dzieje i rzeczy jej rozpatrywane*, t. 3, Poznań 1855, s. 29–469 (skąd cytaty).

⁹¹ Tamże, s. 50.

⁹² Tamże, s. 73.

⁹³ Tamże, s. 50.

narodu. »Nie ma u nas szlachty, któraby od Gotów, Wandalów [...], Normanów, Madziarów lub Waregów, swój lud i swoje prawa wywodziła – pisali członkowie Towarzystwa. – Był odwiecznie stan rycerski, czyli wojskowy, byli i rolnicy, bo nic naturalniejszego jak podział prac i obowiązków»⁹⁴.

Skądinąd owe subtelne rozróżnienia na Lechów i Lechitów oraz ich niezbyt jasne odniesienia do Lachów, od których potocznie wywodzono naród polski, stawały się przyczyną nieporozumień. Jeden ze współzałożycieli i aktywniejszych publicystów Towarzystwa Demokratycznego, Jan Nepomucen Janowski, opacznie interpretował intencje i wywoły Lelewela, zarzucając mu brak demokratyzmu i deprecjację polskości naszych chłopów. W *Krótkim katechizmie politycznym* utyskiwał: „Uczony Lelewel (*Analyse et parallèle de trois constitutions polonaises*, Arras 1833) i poeta Mickiewicz (*Księgi pielgrzym.*), przyznając tylko samej szlachcie pochodzenie z przodków naszych Lachów czy Lechitów, wyłączają tym samym od tego zaszczytu niezmierną większość plebejuszów, mianowicie chłopów, odmawiając jej polskości”. W konkluzji zaś pouczał, ale już tylko jednego z wymienionych: „co poetom wolno, historykom się nie godzi”⁹⁵. Upływ czasu miał złagodzić surowy osąd Janowskiego, który ostatecznie uznał, że Lelewel pod wpływem młodszego pokolenia zmodernizował swe poglądy polityczno-społeczne i gdy umierał to już jako niekwestionowany demokracja, jakkolwiek „na miano »ojca demokracji polskiej« nie zasługuje”⁹⁶.

Niezależnie jednak od różnic w ocenie postawy i politycznych zasług Lelewela również jako historyk sprawiał on i nadal sprawia niejednak kłopot. Można zaryzykować twierdzenie, że wobec hipotezy podboju nie potrafił zająć jednoznacznego stanowiska. Wobec milczenia źródeł nie krył, że ostateczne rozstrzygnięcie jest w tym wypadku niemożliwe i ukazywał bariery, których sam nie potrafił przełamać, gdy w 1833 r. w Tours, jeszcze przed opuszczeniem Francji, pisał: „Kiedy rozważam drogę doświadczenia, gdzie szukać początku społeczeństwa? W przemocy czy w dobrowolnej umowie? **nie wiem**; kiedy na tej drodze doświadczenia, poszukuję początku własności, **czy jej mam szukać w przemocy lub umowie**? Nie wiem. W poszukiwaniach ustawicznie się nawija jedno i drugie. **Wywód tego z teorii należy już do fantazji**. Co jest własność? Jakiej jej prawa? Czy ma być szanowana lub nie? To jest przedmiotem rozumowań, ale jak się zjawiała? Historia nam do tego dostatecznych dat [danych – A.W.] nie przechowała, a **usilne rezonowanie nad tym, aż do gruntu, jest przedmiotem**

⁹⁴ H. Żaliński, *Kształt polityczny Polski w ideologii Towarzystwa Demokratycznego Polskiego (1832–1846)*, Wrocław 1976, s. 78.

⁹⁵ J.N. Janowski, *Prawa człowieka i obywatela oraz katechizm polityczny*, wyd. 2 powiększ., Agen 1834, s. 21.

⁹⁶ Zob. H. Rządowska, *Polemiki ideologiczne J.N. Janowskiego*, Warszawa 1960, s. 174–175.

fantazji” (podkr. A.W.)⁹⁷. Słowa te, jakkolwiek mówią o początkach społeczeństwa i własności, są zarazem, zgodnie z utrwaloną już od czasów oświecenia konwencją, słowami o początkach państwa. Znamienne, że według Lelewela odwoływanie się, wobec braku źródeł, do jakichkolwiek teorii jest po prostu fantazjowaniem. I tak jest do dzisiaj. Kwestia logicznej prawomocności dylematu podbój czy umowa nie tylko nurtowała⁹⁸, ale i nadal nurtuje myśl historyczną naszych czasów⁹⁹.

PODBÓJ SŁOWIAN ZNAD WISŁY PRZEZ SŁOWIAN ZNAD ŁĄBY
(WACŁAW ALEKSANDER MACIEJOWSKI, MICHAŁ BALIŃSKI,
FRANCISZEK PIEKOSIŃSKI)

Wacław Aleksander Maciejowski. Można przypuszczać, że o wiele przychylniejszym okiem François Guizot spoglądałby na koncepcję innego polskiego historyka, mimo że ta również utrzymana była w formule podboju wewnątrzetnicznego. Wacław Aleksander Maciejowski – bo o nim tu mowa – niemal od początku swej działalności naukowej podtrzymywał tezę, że państwo i naród polski powstały w wyniku przemieszczania się plemion Lachów, które przybywały znad Łąby. Znamienne jednak, że przybyszów uważał on, tak jak i autochtonów, za Słowian, a to wykluczało jakikolwiek antagonizm etniczny, który miał leć u początków polskiej państwowości. Zdaniem Maciejowskiego plemiona słowiańskie żyjące nad Wisłą znajdowały się wówczas w „niemowlęcym” stanie patriarchalnym, uniemożliwiającym wytworzenie samodzielnej organizacji państwowej. Zarazem jednak słowiański indywidualizm i odrębność nie pozwalały im na przyjęcie form państwowych od obcego etnicznie plemienia. Przejęli je więc od swych słowiańskich braci, którzy przyszli znad Łąby i Sali. W skrócie odbyło się to następująco: „A taka w całym niemowlęctwie była nad Wisłą organizacja kraju: obca przyjąć się, a narodowa rozwinąć się nie mogła. Emigrujący więc od Saksonów Lachowie przybywszy do braci swych Polan znaleźli gotowe miejsce dla rozwinięcia swojej organizacji saskiej i rozwinęli ją u nich tudzież u braci ich Czechów”¹⁰⁰. Trzeba było jednak odpowiedzieć na pytanie:

⁹⁷ J. Lelewel, *Uprzednia myśl, czyli słowa do poszukiwań wstępne*, w: tenże, *Polska dzieje i rzeczy jej rozpatrywane...*, t. 3, s. 8–9.

⁹⁸ Na ten temat pisałem m.in. w: *A kiedy źródeł zabraknie? Kartki z dziejów historiografii PRL*, w: *Historyk wobec źródeł. Historiografia klasyczna i nowe propozycje terminologiczne*, red. J. Kolbuszewska, R. Stobiecki, Łódź 2010, s. 131–140.

⁹⁹ Zob. rozdz. IV niniejszej książki pt. *Zamiast zakończenia. W zasięgu czasu przeszłego niedokonanego*.

¹⁰⁰ W.A. Maciejowski, *Polska aż do pierwszej połowy XVII wieku pod względem obyczajów i zwyczajów w czterech częściach opisana*, t. 1, Petersburg–Warszawa 1842, s. 23.

dłaczego „słowiańscy bracia” przyszli z terytoriów nad Łabą i Salą, opisywanych przez Tacyta (koniec I w. n.e.) jako zasiedlonych przez ludy germańskie?

Maciejowski poczytywał sobie za szczególną zasługę zwrócenie uwagi na to, że „dokładne pojęcie nazwy Germanów i Germanii jest kluczem, który tajemnicy naszego i bratniego nam ludu dziejów (bo i Litwę z Polską liczono do Germanii) [...] odmyka i wskroś przeniknąć je dozwala”¹⁰¹. Kim zatem byli Germanowie? Rozumiał przez nich „rzeszę niemieckich, słowiańskich, litewskich ludów, która (ze)spoliwszy się w czasach niepamiętnych w jedno polityczne ciało, istniała pod Germanów nazwą w pierwszym i następnych po Chr. wiekach, czyli za czasów Tacyta i później jeszcze, a znikła niewiadomo [sic!] kiedy. Skąd wypływa, że Niemcami nazywam lud ten, który po wyosobnieniu go od słowiańskiego i litewskiego pozostaje w charakterze swoim samoistny, żyjąc zresztą (ze)spolony z dwoma owemi ludami odrębnymi będącymi narodowości, czyli jedną germańską rzeszę z Słowianami i Litwinami stanowiąc”¹⁰². Tacytowe „ludy germańskie” obejmowały zatem, jakbyśmy powiedzieli dzisiejszymi słowy, trzy pnie etniczne: niemiecki, słowiański i litewski. Owe pnie, będąc ludami „germańskiej rzeszy”, zachowywały jednak swe nazwy plemienne, takie na przykład jak Lachowie.

Opowieść o powstaniu polskiego państwa rozpoczynał Maciejowski, podobnie jak Naruszewicz, od Scytów i Sarmatów, którzy jeszcze przed narodzeniem Chrystusa (dokładniej jednak nie wiadomo, od kiedy) mieli rozciągać swe władztwo aż po Łabę, a być może i po Ren, później jednak, pozostając w sąsiedztwie z Germanią, „rugowani” byli przez Niemców za Wisłę i w końcu, w IV w. n.e., „zeszli z dziejów europejskich”. Terytoria na lewym brzegu dolnej Wisły zajęte zostały wówczas przez Gotów, górnej zaś – przez Wandalów. Kolejne najazdy (Hunów i Awarów) sprawiły, że w VI w. wpływy niemieckie zostały całkowicie wyparte z tych terenów. I wówczas to znad Łaby i Sali, czyli „od Sasów”, poczęli przenosić się na wschód Lachowie. Nie przeszkadzali temu Niemcy, sądzili bowiem, że przemieszczanie się Lachów stanowić będzie zapórę przed presją Awarów, nie przeszkadzały jednak Niemcom również i słowiańskie ludy Łęczan i Polan osiadłe nad Odrą, Wartą i Notecią, wśród których Lachowie „zagnieździł się” w pierwszej kolejności.

Dość wymowne są wahania Maciejowskiego co do charakteru owej migracji znad Łaby. Po stronie wersji „podbojowej” stosunkowo wyraźnie opowiedział się on w *Pierwotnych dziejach Polski i Litwy* (1846), gdzie Lachowie przedstawieni są jako lud, który wywalczył dominujące u Polan stanowisko i „niemieckim obyczajem” utworzył z siebie „klasę rycerską”,

¹⁰¹ Tenże, *Roczniki i kroniki polskie i litewskie najdawniejsze*, Warszawa 1850, s. 3.

¹⁰² Tamże, s. 102.

czyli szlachtę. Dla autochtonów była to rzecz z gruntu nieznaną i dokonaną przemocą, godziła bowiem w ich własnościowe i równościowe instytucje. Ciekawe jednak, że w miarę upływu czasu historyk jak gdyby coraz wyraźniej unikał podbojowych asocjacji. W jego opisach i ocenach napotkać można wiele eufemizmów określających wędrówkę przybyszy z zachodu. I tak – znalazłszy się koło Krakowa, Lachowie jedynie „zetknęli się” z miejscowymi Chrobatami¹⁰³, a później tylko „przyłgnęli”¹⁰⁴ do Polan. Były to w istocie „przenosiny”, w trakcie których „bez żadnych przeszkód, łatwo mogli zakładać u nas księstwa i stanowić na sposób niemiecki zaprowadzać między nami”¹⁰⁵. Dlaczego? Odpowiedź była prosta: „boć to byli swoi, którzy przybywali do swoich: boć to byli rodacy, po których więcej dobrego, niż po obcych ludów rządzie lub wpływie obiecywać sobie mogli, spodziewając się, iż skoro z czasem zleją się z tymi przychodniami w jedno polityczne ciało, staną się przez to wielkim i potężnym narodem. I stało się tak lubo nieprędko, gdyż jak widać z dziejów, składał się polski naród, w XII jeszcze wieku z dwóch, jakoby pierwiastków, z Lachów (Lechitów) i Polan”¹⁰⁶. „Przybyli jako swoi do swoich i zespolili się z krajową ludnością” – pisał w innym miejscu¹⁰⁷. Najwyższą ocenę owemu „zespoleniu” wystawił jednak Maciejowski w 1874 r., stwierdzając, że „przybyłych z Saksonii Lazzów [Lachów – A.W.] Wielkopoleanie potraktowali gościnnie i wdzięczni za oddane im usługi szczerze ich obdarowali”¹⁰⁸. Takie ujęcie było w istocie równoznaczne z odejściem od koncepcji podboju. Była to już właściwie idea „bratniej pomocy”, w wyniku której słowiańska usłużność gości spotkała się z niemniej słowiańską wdzięcznością gospodarzy.

Poglądy Maciejowskiego na genezę państwa polskiego utrzymane były w duchu swojskości i rodzimości. Wersja najazdu Słowian na Słowian oddalała niebezpieczeństwo, jakim dla koncepcji słowiańskiej rodzimości były twierdzenia o dualizmie etnicznym narodu polskiego i obcym charakterze jego państwa. Wprawdzie Lachowie byli Słowianami w dużym stopniu zokcydentalizowanymi i przeszczepiali nad Wisłę wzory germańsko-saskie, ale były to już wzory przefiltrowane i dostosowane do ich słowiańskiej natury.

¹⁰³ Zgodnie z ówczesnymi przekonaniem były to plemiona słowiańskie zamieszkujące pas wzniesień – „chrbów”, od Dniestru i Stryja po Łużyce, a w tym Małopolskę i Śląsk.

¹⁰⁴ W.A. Maciejowski, *Polska aż do pierwszej połowy XVII wieku...*, t. 1, s. 23.

¹⁰⁵ Tenże, *Roczniki i kroniki...*, s. 103.

¹⁰⁶ Tamże, s. 104.

¹⁰⁷ W.A. Maciejowski, *Historia prawodawstw słowiańskich*, t. 1, wyd. 2, Warszawa 1856, s. 554.

¹⁰⁸ Tenże, *Historia włościan i stosunków ich politycznych, społecznych i ekonomicznych, które istniały w Polsce od czasów najdawniejszych aż do drugiej połowy XIX wieku*, Warszawa 1874, s. 22, 303.

Skądinąd wykształcone nad Łabą umiejętności polityczne Lachów były niemal jedynym pozytywnym przejawem wpływów zachodnich w Polsce. W ogólnym rozrachunku Maciejowski wpływy te oceniał negatywnie. To właśnie Zachód za pośrednictwem katolicyzmu (choć w oddziaływaniu chrześcijaństwa dostrzegał pewne pozytywy), feudalizmu i w końcu jezuityzmu miał osłabiać pierwiastki słowiańskie, których kultywowanie było dla Polski koniecznością dziejową. Była to wyraźna zbieżność z Lelewelem, niemogąca jednak zatrzeć istotnych różnic między tymi historykami¹⁰⁹.

W niemal identyczny sposób naświetlał genezę państwa polskiego **Michał Baliński**. Słowianie, którzy już od pierwszych lat naszej ery mieli zajmować ziemię między Łabą a Wisłą, dzielili się na dwa odłamy: Polan (między Odrą i Wisłą) i Lachów (między Odrą a Łabą). Pierwsi zarządzili się gminowładnie, drudzy pod wpływem kontaktów z Zachodem nabyli niemało umiejętności monarchicznych, a że wyparci zostali ze swych siedzib przez „powracających z Rzymu Germanów”, przesunęli się na Wschód i „zbrojnie naszedłszy Polanów zmienili postać ich rządu, stali się ich szlachtą i przywódcami”¹¹⁰. W VII w. miał ów związek „Lecho-Polański” powiększyć się o zamieszkiwane przez Chrobatów ziemie śląską i krakowską. Utworzone w ten sposób państwo było monarchią elekcyjną, której władców wybierano spośród „najdzielniejszych”, a więc „szlacheckich” Lachów. Stąd wywodził się cały szereg imion książęcych Lechów i Leszków (mogli mieć oni zresztą także dodatkowe imiona) i tak było aż do czasów Popiela II Okrutnego (Złego), z którym ostatecznie rozprawił się Ziemowit, syn Piasta.

Gdybyśmy się przyjrzeni bacniej owemu ukazanemu przez Balińskiego ciągowi okoliczności i wydarzeń, to rzuca się w oczy cecha dająca się odnieść niemal do wszystkich ówczesnych wariantów teorii państwowotwórczego podboju. Było nią przekonanie o słowiańskiej nieudolności politycznej, płynącej bądź to z „ducha” (cech charakterologicznych), bądź to z cywilizacyjnej młodszości tego plemienia. W przypadku podboju „wewnętrznicznego” Słowianie-podbójcy okazywali się zatem Słowianami, którzy już wcześniej przeszli przez „obcą” polityczną szkołę naszych zachodnich sąsiadów i potrafili zorganizować państwo swym podbitym braciom. Podział na Słowian zokcydentalizowanych (państwowotwórczych najeźdźców) i Słowian nietkniętych przez cywilizacyjne wpływy Zachodu (nieudolnych politycznie autochtonów) nie występował jednak w koncepcji Lelewela, według którego państwo

¹⁰⁹ Dotyczących m.in. teorii najazdu, kwestii charakteru i pochodzenia własności ziemskiej w dawnej Polsce, a także sposobu zaprowadzenia w Polsce monarchicznej formy rządów, oceny charakteru ustrojowego Rzeczypospolitej szlacheckiej itd.; zob. J. Bardach, *Władza Aleksander Maciejowski i jego współcześni*, Wrocław 1971, s. 162–209.

¹¹⁰ M. Baliński, *Rzut oka na dzieje Polski*, w: M. Baliński, T. Lipiński, *Starożytna Polska pod względem historycznym, geograficznym i statystycznym opisana*, t. 1, Warszawa 1843, s. 10.

polskie powstało bez cywilizacyjnego impulsu z Zachodu i w stosunku do państw zachodnich nosiło wybitnie oryginalny charakter. Ów polski wyjątek, polegający na tym, że państwowotwórczy podbój nie pociągnął za sobą zróżnicowania społecznego, oddalał myśl Lelewela od koncepcji Guizota. Niewątpliwie ta ostatnia bliższa była ujęciom danym przez Maciejowskiego i Balińskiego, w których odnajdujemy tezy, iż zwycięzcy utworzyli z siebie stan szlachecki. Z drugiej strony nie można jednak zapominać, że Guizot skłaniał się w stronę teorii heteroetnicznej genezy zróżnicowania społecznego, której tezy obu tych historyków o państwowotwórczych podbojach Słowian przez Słowian bynajmniej nie potwierdzały.

Franciszek Piekosiński od 1881 r. aż do ostatnich swych publikacji z początku XX stulecia utrzymywał, że „ustrój społeczno-państwowy, jaki monarchia piastowska w pierwszych wiekach swego istnienia przedstawia, jest wpływem i skutkiem najazdu, dokonanego przez Lechitów, którzy osiedlili się w między Odrą a Łabą na inny szczep Lechitów, mający swe siedziby po prawym brzegu Odry, głównie nad Wartą”¹¹¹. Ów, chciałoby się powiedzieć, braterski najazd i podbój miał być długofalowym następstwem przybycia w VI w. Lechitów z Azji do Europy i osiedlenia się ich między Wisłą, Odrą i Notecią, w kraju „zupełnie pustym i bezludnym”, w którym przed nimi „żaden inny naród stałych siedzib sobie nie obrał”¹¹². Stać się tak miało dlatego, że w dalszym biegu wydarzeń Lechici rozdwoili się – część z nich została między Wisłą a Odrą, druga natomiast opuściła „nową ojczyznę”, przekroczyła Odrę, dotarła nad Łabę i tam osiedliła się „w najbliższym sąsiedztwie Normanów”¹¹³. Nie na długo jednak. Już na przełomie VIII i IX stulecia Lechici nadłabiańscy ponownie przekroczyli Odrę i podbili potomków tych, których wcześniej ich przodkowie opuścili. Podbijając, przynieśli jednak ze sobą wzorce normańskie, które nad Łabą przejęli od swych duńskich sąsiadów. Czy jednak owe wzorce były wynikiem ich wcześniejszej „dobrowolnej” recepcji, czy też najazdu, jakiemu sami ulegli, zamieszkując nad Łabą? Ten ostatni wariant przyjął Jerzy Wyrozumski, gdy uznając Piekosińskiego za autora tzw. drugiej (po Szajnosze) teorii najazdu normańskiego, pisał: „Najazd w jego domniemaniu miał się dokonać jak gdyby w dwóch etapach. Najpierw Normanowie jakoby najechali Lechitów nadłabskich, a z kolei ci już »znormanizowani« najechać mieli w VII lub VIII wieku Lechitów nadwiślańskich, tworząc tu państwo i jego warstwę szlachecką”¹¹⁴.

¹¹¹ F. Piekosiński, *O dynastycznym szlachte polskiej pochodzeniu*, Kraków 1888, s. 1.

¹¹² Tenże, *Ludność wieśniacza w Polsce w dobie piastowskiej*, Kraków 1896, s. 5.

¹¹³ Tenże, *O dynastycznym...*, s. 2.

¹¹⁴ J. Wyrozumski, *Dzieje Polski piastowskiej (VIII wiek – 1370)*, Kraków 1999 (Wielka Historia Polski, 2), s. 74.

Wprawdzie Piekosiński, który swą koncepcję omawiał najpierw na posiedzeniach w Akademii Umiejętności, później zaś w opublikowanej w 1881 r. rozprawie poświęconej genezie społeczeństwa polskiego, nie wypowiadał się zbyt jasno, a co więcej, w czasach późniejszych dopełniał ją i modyfikował w kolejnych publikacjach, które zwieńczyło trzytomowe *Rycerstwo polskie wieków średnich* (Kraków 1896–1902), to przecież już w pierwszych swych wystąpieniach podkreślał, że rycerstwo, które podbiło Lechitów nadwiślańskich i „nosiło na chorągwiach swych i tarczach runy skandynawskie nie było normandzkie tylko sławiańskie”¹¹⁵. A może było tak, że to Lechici podbili nad Łabą Normanów i jako łup przejęli ich znaki bojowe i zawołania, by z nimi powrócić na łono swej nadwiślańskiej ojczyzny? Znamienne, że jeszcze w latach trzydziestych nie kto inny tylko sam Oswald Balzer dostrzegał potrzebę wnikliwszego przeanalizowania w wielu miejscach niedopowiedzianej hipotezy Piekosińskiego, co też na krótko przed śmiercią uczynił¹¹⁶.

W ujęciu Piekosińskiego przyniesione przez „rycerstwo” z nad Łaby wzorce odcisnęły się na społeczno-politycznej strukturze państwa utworzonego nad Wartą (Poznań, Gniezno, Kruszwica), przy czym już sam fakt podboju spowodować miał wyłonienie się spośród najeźdźców dwóch uprzywilejowanych „klas” społecznych: szlachty, czyli rycerstwa znakowego i włodyków („pószlachty”), czyli rycerstwa szeregowego. Oczywiście ludność podbita tworzyła prawnie upośledzoną warstwę chłopską. Tak w skrócie dałoby się scharakteryzować sformułowaną przez Piekosińskiego koncepcję najazdu/podboju, dodając wszelako, że główny jej filar stanowiły wyniki przeprowadzonych przez tego historyka analiz heraldycznych i wysnuty z nich wniosek o runicznym pochodzeniu najdawniejszych herbów szlachty¹¹⁷.

Hipoteza najazdu Słowian z nad Łaby na Słowian z nad Warty nie stanowiła u nas *novum*, wcześniej już szedł tym tropem Wacław Aleksander Maciejowski, który pisał przecież o najeździe Lachów na Polan. Wprawdzie Lachowie Maciejowskiego różnili się od Lechitów Piekosińskiego tym, że nie przenosili nad Wartę wzorców normańskich tylko raczej saskie, ale w sumie i jedno, i drugie były przecież wzorcami germańskimi¹¹⁸. Podobieństwa sięgały także oceny charakteru owej migracji, która w miarę upływu czasu

¹¹⁵ F. Piekosiński, *O powstaniu społeczeństwa polskiego w wiekach średnich i jego pierwotnym ustroju*, Kraków 1881, s. 185.

¹¹⁶ Zob. rozdz. II niniejszej pracy.

¹¹⁷ W. Semkowicz, *Działalność naukowa Franciszka Piekosińskiego*, „Kwartalnik Historyczny” 22, 1908, s. 187 i n.

¹¹⁸ Aby nie komplikować całości tej wielce zagmatwanej w naszej myśli historycznej kwestii, w tym miejscu ograniczę się jedynie do przypomnienia, że status Sasów (Saksonów) był, zdaniem nie byle kogo, bo Karola Szajnochy, dwojaki. Ich północny odłam był po prostu normański, natomiast południowy – teutońsko-niemiecki

u obu historyków wyraźnie łagodniała. Jakkolwiek Piekosiński nie dorównał Maciejowskiemu, który jak wiadomo „przekwalifikował” ostatecznie najazd na braterską przysługę, za którą podbici obsypali najeźdźców darami, ale również wyraźnie załagodził swe wcześniejsze oceny, rezygnując w ostatnich pracach ze słowa „podbój” na rzecz określenia „bezkrwawy zabór”¹¹⁹. Lista zbieżności między koncepcjami obu tych historyków powiększyła się również w wyniku tego, że Piekosiński ostatecznie uznał, iż Lechici nad Łaby doskonalili swe umiejętności organizacyjno-wojskowe nie tylko pod wpływem Normanów, ale i Sasów¹²⁰.

Był jednak Piekosiński z całą pewnością oryginalny, dowodząc, że jeszcze w okresie przedherbowym rycerstwo polskie pieczętowało się znakami wojskowymi zaczerpniętymi z run skandynawskich. Historyk zadał sobie wiele trudu, by dokonać graficznej interpretacji sposobu, w jaki skandynawskie runy miały się przekształcać w znaki wojskowe rodów poszczególnych seniorów oraz związanych z nimi „rodów młodszych”, po to, by w dalszej kolejności przeobrazić się w herby polskiej szlachty. W sumie wyodrębnił siedemnaście takich rodów i tyleż związanych z nimi szlacheckich „dynastii”.

Co jednak oznaczać miała teza o „dynastycznym szlachty polskiej pochodzeniu”? Piekosiński wyjaśniał ją następująco: „staralem się wykazać, że główny zrąb tego przedniejszego rycerstwa polskiego, rycerstwa znakowego, które szlachcie polskiej początek dało, dynastycznego jest pochodzenia, że mianowicie są to członkowie młodszych linii dynastii książęcych, panujących w Polsce tudzież u innych Lechitów, mianowicie dynastii Popielów i Piastów”¹²¹. Oczywiście nie całą polską szlachtę łączyć miały związki krwi i „książęce” pochodzenie. Różne były drogi prowadzące do jej szeregów i to Piekosiński wiedział doskonale, akcentując szczególnie instytucję nobilitacji przez adopcję, jednak najważniejsze dlań było to, że gros polskiego rycerstwa u zarania swych dziejów miało w sobie „coś z Piasta” i to „coś” było biologiczną rzeczywistością, a nie poetycką metaforą. Terminologia Piekosińskiego może jednak prowadzić do pewnych nieporozumień, szczególnie ze względu na dwojakie znacznie, jakie nadawał on słowu „dynastia”. Po prostu nie każda „dynastia” szlachecka miała dlań dynastyczne (książęce) pochodzenie. „Książęćcość” przypisał jednak znaczącej ich większości –

¹¹⁹ M.H. Serejski, *Z zagadnień genezy...*, s. 220–221.

¹²⁰ F. Piekosiński, *Ludność wieśniacza w Polsce w dobie piastowskiej*, w: tenże, *Studia, rozprawy i materiały z dziedziny historii polskiej i prawa polskiego*, t. 1, Kraków 1897, s. 94–95.

¹²¹ Tamże, s. 2. Stawiając w tym wypadku obok siebie Bobrzyńskiego i Smolkę, Piekosiński nie ukrywał, że w wielu zasadniczych kwestiach poglądy obu tych historyków na źródła zróżnicowania społecznego w Polsce są odmienne. I rzeczywiście sam Smolka uznał wręcz za wskazane w aneksie do pracy *Mieszko Stary i jego wiek* (Warszawa 1881) zamieścić swą krytykę koncepcji Bobrzyńskiego.

z dwudziestu aż siedemnaście mogło szczyć się herbami wywodzącymi się od nazwy Dragów (ród Smoków, czyli Gryfów), obejmującej jakoby Popielidów i Piastowiczów, a tylko trzy miało herby, które „nie pochodzą – jak pisał – z tematów runicznych”¹²².

Trzeba oddać Piekosińskiemu sprawiedliwość. Chociaż nie zawsze, to przecież dość wyraźnie podkreślał on, że najazd, jaki miał dać początek polskiemu państwu, traktuje nie jako aksjomat, lecz jako historyczną hipotezę, którą uprawdopodobniły przeprowadzone przez niego badania heraldyczne. Ale przecież nie tylko w nich historyk szukał uzasadnienia swoich pomysłów. Bardzo dużą rolę przykładał do tezy o dwudzielnej strukturze polskiego społeczeństwa, w którym jakoby „od samego początku” szlachta od chłopów oddzielona była w sposób „kastowy”. Gdyby szlachta polska powstała ewolucyjnie, w wyniku wewnętrznego różnicowania się społeczeństwa, to przynajmniej przez pewien czas pomiędzy nią a chłopami istniałyby „pośrednie” warstwy ludności, a takich w dziejach Polski Piekosiński nie potrafił dostrzec. Nie mogło być tak – powiadał – że zasada kastowości pojawiła się jak *deus ex machina* i w jednej chwili zniósła prymarną zasadę związków krwi, nie pozostawiając śladu żadnych warstw pośrednich. Takie właśnie przesłanki, niezależnie od analiz heraldycznych, utwierdzały Piekosińskiego w przekonaniu, że szlachta polska nie mogła wywodzić się z ludności autochtonicznej. Konkludował zatem, że „nie powstawała drogą podnoszenia się pojedynczych jednostek ludu pospolitego do wyższych szczebli społecznego ustroju, ani też drogą przywileji [sic!] monarszych, jeno szła po krwi, po rodzie, że zatem może ona tylko pochodzić od dynastii książęcych i reprezentować rozrodzone potomstwo linii młodszych tychże dynastii”¹²³.

Piekosiński nie krył, że swoją „teorię” kierował głównie przeciwko Bobrzyńskiemu i Smolce, którzy ustrój społeczny Polski piastowskiej traktują jako wyraz prawidłowego, odpornego na pływające z zewnątrz zakłócenia rozwoju. Był zatem wyraźnie rozczarowany, że Smolka, który początkowo podjął z nim wyjątkowo ostrą polemikę, nie odpowiedział już na jego ripostę¹²⁴ i toczona w Akademii Umiejętności dyskusja zamarła¹²⁵.

Nie oznacza to, że zabrakło innych głosów krytycznych na temat hipotezy najazdu znad Łaby. Za całkowicie nieprawdopodobną uznał ją Władysław Łebiński, według którego tamtejsze plemiona znajdowały się na zbyt niskim poziomie rozwoju, by móc dać Polsce impuls cywilizacyjny, a ponadto

¹²² F. Piekosiński, *O dynastycznym...*, s. 221.

¹²³ Tamże, s. 102.

¹²⁴ F. Piekosiński, *Obrona hipotezy najazdu jako podstawy ustroju społeczeństwa polskiego w wiekach średnich z uwzględnieniem stosunków Słowian pomorskich i zaodrzańskich*, Kraków 1882, s. 3.

¹²⁵ Więcej na temat toczonej pod egidą AU dyskusji piszę nieco dalej, w części poświęconej poglądom Bobrzyńskiego i Smolki.

oddzielone były pasmami rzek, puszczy i bagien, uniemożliwiającymi łatwą, masową przeprawę¹²⁶. Łebski jednak kwestię tę podejmował na zasadzie, jak to określił, „małego zбочenia” od głównego toku swych wywodów, podporządkowanych polemice ze stereotypem słowiańskiej nieudolności militarnej. Z drugiej strony nie sposób go winić za to, że w konwencji „prawd ogólnych” obwieszczał, iż to nie stamtąd, tylko z Czech przyszła do nas cywilizacja, „bo tej cywilizacji u ujść Łaby nie było”¹²⁷.

Natomiast, w przeciwieństwie do Łebskiego, sporo szczegółowych zastrzeżeń do hipotezy Piekosińskiego zgłosił Stosław Łąguna, który nie kwestionując teorii runicznego pochodzenia herbów polskich, w obszernym, analitycznym artykule recenzyjnym skoncentrował się na tym, co stanowiło jej rdzeń, czyli na materiałach i wywodach heraldycznych. Wątpliwości Łaguny budziły między innymi domniemania Piekosińskiego na temat rodów Popielidów i Piastów, mających być odgałęzieniami skandynawskiego szczepu Draga. „Nie sądzę – pisał – żeby między skandynawską nazwą smoka a książęcym imieniem Drag, oprócz przypadkowej współbrzmienności, zachodził jakikolwiek inny związek”¹²⁸. Łąguna nie mógł zrozumieć, dlaczego autor nowej hipotezy nie sprawdził, czy Normanowie używali znaków runicznych jako swoich znaków rodowych i czy w ogóle istniały w tym wypadku podstawy do wzorowania się Lechitów na ich skandynawskich sąsiadach¹²⁹. Krytykowi Piekosińskiego nie podobało się dalekie od jednoznaczności rozumienie nazwy „dynastia”, nie zadowalał go również sposób uzasadnienia faktu, że „dwie trzecie zebranych w dziele znaków należy nie do szlachty koronnej, lecz ruskiej i litewskiej”, co w odniesieniu do Rusi mógłby tłumaczyć podbój Waregów¹³⁰.

Wydaje się jednak, że nie tylko dobry obyczaj nakazał mu w konkluzji pochylić czoło przed erudycją Piekosińskiego oraz precyzją, z jaką naświetlił on niektóre kwestie heraldyczne dotyczące nobilitacji, indygenatów i adopcji w XIV–XVI w. Godne podkreślenia jest również to, że Łąguna, podobnie jak autor *Chrobacji* Tadeusz Wojciechowski, byli bodaj jedynymi spośród elity historyków polskich, którzy jakkolwiek odrzucili hipotezę podboju, to nie odrzucili tezy o runicznym pochodzeniu herbów polskiej szlachty. Zwrócił na to uwagę Stanisław Kutrzeba, który spostrzegłszy, że „nawet ci uczeni, którzy na runiczne pochodzenie herbów się godzą, nie przyjmują teorii

¹²⁶ W. Łebski, *O wojach i rycerzach polskich. Studium starożytnicze*, „Ateneum” 2 (38), 1885, s. 245–271.

¹²⁷ Tamże, s. 253.

¹²⁸ S. Łąguna, *Nowa hipoteza o pochodzeniu szlachty polskiej (Fr. Piekosiński: O dynastycznym pochodzeniu szlachty polskiej pochodzeniu, Kraków 1888)*, „Kwartalnik Historyczny” 4, 1890, s. 71.

¹²⁹ Tamże, s. 76.

¹³⁰ Tamże, s. 84.

najazdu”, po stronie której „o ile wiem, nie oświadczył się nikt”, nie omieszczał jednak dodać: „ale nikt też teorii tej nie zbił”. Są to słowa zaczerpnięte z pośmiertnego wspomnienia, które Kutrzeba poświęcił Piekosińskiemu, a zatem ograniczone przez stosowną dla tej sytuacji konwencję. Końcowe konkluzje znakomitego historyka prawa zdają się jednak poza tę konwencję wykraczać i dlatego zasługują na przytoczenie. „W każdym razie – pisał Kutrzeba – badania dotychczasowe wskazują na to, że dla Polski trzeba przyjąć teorię ustroju rodowego (Balzer, Kadlec, Zakrzewski St.). Mimo tego jednak, iż hipoteza ś. p. Piekosińskiego nie została przyjęta i coraz to inne jej części ulegają krytycznej ocenie jest to dzieło z prac jego najwybitniejsze; przez szeroki rozmach, bystrość i umiejętność konstrukcji stoi ta praca na czele wszystkich tych, których celem było dać genezę społeczeństwa. Żadna inna jej wyrównać nie może. A choć teoria upadnie to pozostanie po niej szereg świetnych nieraz rezultatów. Dość wskazać na doskonale wywody o nobilitacji, o adopcji do rodu i indygenacie (*Rycerstwo polskie*, t. I, § 8), lub doniosłe badania o charakterze prawa rycerskiego w XIII stuleciu (t. I § 5)”¹³¹. I tak się też stało, hipoteza Piekosińskiego nie znajduje już od dawna zwolenników, choć niewykluczone, że ma swoich miłośników ze względu na „świetne rezultaty”, które przyniosły jej badawcze pobocza.

ZE WSCHODU I ZACHODU. DWA PODBOJE? (LUDWIK KONDRATOWICZ
[WŁADYSŁAW SYROKOMLA])

Znany głównie jako poeta, tłumacz i wydawca, Ludwik Kondratowicz pozostawił również w swoim dorobku, nieukończone skądinąd, dzieło poświęcone dziejom literatury w Polsce¹³². Pisząc je, starał się, by tytułowy temat został ukazany na tle szerszych historycznych odniesień. Nie chciał, żeby wzorem wielu wcześniejszych ujęć (m.in. Feliksa Bentkowskiego) obdarować czytelnika „wyłącznie spisem książek” czy też – jak uczynił to „mądry a pracowity Wiszniewski” – obszernym zbiorem przepisywanych bezkrytycznie „szpargałów”¹³³. Ambicje Kondratowicza, które nakazywały mu pisać

¹³¹ S. Kutrzeba, *Franciszek Piekosiński jako historyk prawa polskiego*, „Kwartalnik Historyczny” 22, 1908, 1, s. 261–222.

¹³² L. Kondratowicz, *Dzieje literatury w Polsce od pierwiastkowych do naszych czasów*, t. 1–2, Wilno 1850–1852, wyd. 2 uzup. przyp. [przez F.M. Sobieszczańskiego] pt. *Dzieje literatury w Polsce od pierwiastkowych czasów do XVII wieku*, t. 1–3, Warszawa 1875 (skąd cytaty).

¹³³ Kondratowicz potrafił doskonale łączyć formuły grzecznościowe z ocenami tak chłodnymi, że aż zbliżającymi się do „absolutnego zera”. Dziełu Wiszniewskiego przypisywał „lekki, uroczy polot”, ale tylko „na pierwszych kartkach pierwszego tomu”, a przecież, gdy pisał te słowa (maj 1849), było tych tomów już siedem. Całość, i słusznie, oceniał bardzo nisko, jako nudną i chaotyczną, jednak rewerencja dla naukowego autorytetu uczonego

krótko i rzeczowo, sprawiły, że w kilku zaledwie zdaniach przedstawił czytelnikowi swoją wersję narodzin polskiego państwa. Była ona o tyle oryginalna, że łączyła w sobie dwa przeciwstawne kierunki, z których napłynąć miały państwowotwórcze impulsy: „odwschodni” i „odzachodni”, przy czym oba miały charakter migracji wewnątrzsłowiańskich. Narracja Kondratowicza jest w tym wypadku tak skondensowana, że bez trudu da się ją przytoczyć w całości. Faza pierwsza: „Nad-dnieprscy Polanie pomknąwszy się na północny zachód, osiedli pomiędzy rzekami Wisłą, Notecią i Wartą; graniczyli tu na północ z Pomorzem i Prusami, na wschód z pobratymczymi ludami Mazowszan i Łęczycanów, na południe z Czechami i Śląskiem, na zachód z Serbami, Luzacją i nadelbiańskimi Winulami”¹³⁴. Ciekawe, że autor tych słów nie dopowiedział, czy „mknąc” spod Kijowa na zachód, Polanie umykali przed kimś czy też chcieli jedynie pokojowo zająć ziejący ludnościową pustką obszar leżący między wspomnianymi rzekami. Można domniemywać, że jeśli owo „mknienie” i „zajęcie” obyło się z braku autochtonów bez użycia miecza, to sąsiednie „pobratymcze ludy Mazowszan i Łęczycanów” przejawiały zadziwiająco wręcz obojętność wobec niespodziewanego zawłaszczenia ościennych terytoriów. Co jednak było dalej? Faza druga: „W tym zakątku Słowiańszczyzny – utrzymywał Kondratowicz – odbyła się nader ważna wewnętrzna rewolucja. Słowianie nadelbiańscy (Laby, Lachby, Lachy), przebywszy Wisłę [o Odrze autor nie wspomina – A.W.] jak Tatarowie w Chinach, zagarnęli pod siebie władzę nad tubylcami, zostali ich książętami i wodzami, stworzyli uprzywilejowaną klasę dotąd nieznaną wśród prostej równości. Oni dali początek Lechom i Leszkom, o których kronikarze nasi wzmiankują. Lehowie ci wcielili się w naród do którego przybyli, poczęli zagospodarować [sic!] kraj nadwiślański, budować osady i miasta, toczyć boje z sąsiadami. Oni to wynurzyli z łona Słowiańszczyzny byt polityczny kraju Polanów, Polski, czyli Lechji, oni widząc przewagę jakie mają Frankowie i Niemcy z rządów jedynowładnych, zaprowadzili do Polski też [takie – A.W.] rządy”¹³⁵. Nie trudno zauważyć, że druga z wymienionych faz nosiła już wszelkie cechy podboju „terytorialno-ludnościowego”.

W sumie, bez względu na status fazy pierwszej była to wręcz klasyczna koncepcja państwowotwórczego podboju wewnątrzetnicznego. Jego wewnątrzsłowiański charakter przejawiał się na obu etapach – pierwszym,

męża, a przy tym może i krztyna ironii, nakazała mu w tym samym ciągu narracyjnym złożyć deklarację, że „z wdzięcznością przyjmujemy każdy tom jego dzieła, z upragnieniem czekamy dalszych”; zob. tamże, t. 1, s. 2. Na szczęście nie było najgorzej, bo ukazały się już tylko dwa tomy tego dzieła (1851, 1857), jeśli pominąć wydany jako tom 10. *Spis autorów* (1857).

¹³⁴ L. Kondratowicz, dz. cyt., t. 1, s. 22.

¹³⁵ Tamże, s. 30.

gdy ze wschodu, znad Dniepru, przybyli słowiańscy Polanie i zajęli ziemie, na których weszli w sąsiedztwo z „pobratymczymi ludami”, i drugim, gdy z zachodu, znad Łaby, przybyli również słowiańscy, tyle że Lachowie i sprawiacząc swym „pobratymcom” wewnątrzsłowiańską rewolucję – siłą zagarnęli władzę, utworzyli nieznaną dotychczas Polanom rycersko-szlachecką warstwę uprzywilejowaną oraz równie im nieznaną, opartą na wzorcach frankońskich i niemieckich, władzę monarchiczną (jedynowładztwo). Ważne jest również to, że w trakcie owych przemian nastąpiła integracja Słowian wschodnich (Polanie) i zachodnich (Lachowie). Wcielanie się przybyszy z zachodu w „naród, do którego przybyli”, można potraktować jako rodzaj syntezy jednoczącej Słowian wschodnich i zachodnich. Kondratowicz nie powiedział tego *expressis verbis*, ale taka jest zapewne intencja jego koncepcji. W efekcie, w kilku zaledwie zdaniach, które umieścił w swych *Dziejach literatury w Polsce*, otrzymaliśmy skondensowany wykład dwufazowej genezy państwa polskiego, w którym z jednej strony odnaleźć można pewne analogie do koncepcji Maciejowskiego (najazd nadelbiańskich Lachów), z drugiej zaś – częściową antycypację hipotezy, którą pół wieku później ogłosił w rozbudowanej formie Kazimierz Krotoski, stwierdzając, że pierwiastki normańskie przysły do nas nie znad Elby, ale spod Kijowa i że wystarczył tylko jeden podbój dokonany przez kijowskich „Polano-Rusów” (Słowiano-Waregów)¹³⁶.

4. W KRĘGU KONCEPCJI ENDOGENICZNYCH

CASUS JERZEGO SAMUELA BANDTKIEGO

Historycy historiografii są zgodni co do tego, że hipoteza państwowotwórczego podboju wręcz „nakładała się” na koncepcje mówiące o źródłach uwarstwienia społecznego średniowiecznej Polski, a także o rodzimych lub cudzoziemskich korzeniach polskich praw. Koncepcje owe dawały się skonfigurować w swoisty trójelementowy syndrom genezy, który jednak nie zawsze był spójny. Innymi słowy, w ujęciu jednego i tego samego historyka tezie o cudzoziemskiej genezie państwa (1) niekoniecznie musiały towarzyszyć założenia o cudzoziemskim pochodzeniu warstw uprzywilejowanych (2) oraz przyjętych u nas praw (3). *À rebours*, koncepcje „samorodnego” (np. „rodowego”) powstania państwa jakkolwiek sprzyjały przekonaniom o rodzimym charakterze praw i zróżnicowania społecznego, to domysłów tych wcale nie implikowały. Można było, tak jak Lelewel, opowiadać się za syndromem genezy jednorodnie rodzimej (polskie państwo, polscy kmiecie i szlachta,

¹³⁶ Zob. rozdz. II niniejszej pracy, s. 130–133.

polskie prawo)¹³⁷, można było jednak, tak jak uczynił to Jerzy Samuel Bandtkie, każdemu z tych elementów nadać odmienną proveniencję i charakter.

W 1828 r. Lelewel, narzekając na „krzywdzące” Słowian i Polaków opinie na temat cudzoziemskiego pochodzenia praw, jakimi mieli się oni posługiwać, wśród tych, którzy ulegli owemu trendowi, wymienił trzech polskich dziejopisów cieszących się najwyższą renomą, a mianowicie Naruszewicza, Czackiego i właśnie Bandtkiego¹³⁸. Pomijając Naruszewicza i Czackiego, o których była już tu mowa, warto poświęcić nieco więcej słów Bandtkiemu i to tym bardziej że w jego ujęciu tylko jeden element wspomnianego syndromu, wskazujący na niemieckie źródła polskiego prawodawstwa, „krzywdził”, by powtórzyć określenie Lelewela, Polaków.

Według Bandtkiego wszystkie ludy i narody w swym „dziecinnym wieku” w sposób naturalny („z przyrodzenia”) żyły w „gminowładztwie i dzikiej wolności”, czyli mówiąc innymi słowy – w anarchii. W takim stanie nie można było jednak trwać zbyt długo. Różnego rodzaju okoliczności, a zwłaszcza zagrożenie ze strony tych ludów, które wcześniej wyszły ze stadium gminowładztwa i zorganizowały się w bardziej ustabilizowane, monarchiczne związki polityczne, spowodowały, że Polacy poszli tą samą drogą. Zastrzegając, że pogląd swój opiera w znacznej mierze na niepewnych przekazach i domysłach, Bandtkie opowiadał się za następującą wersją powstania państwa polskiego: „Dzielność Ziemowita, jeżeli można dać wiarę późniejszym wieściom, większa niż następców jego Lecha i Ziemomysła, dźwignęła naród polski [...] a coraz bardziej powstająca przemoc Franków i Sasów przywiodła Polaków do opuszczenia gminowładztwa, dzikiej wolności, nieładu i bezprawia, a ustanowienia stałszego rządu i monarchii samowładniejszej. Nie stało się to ani tak łatwo, ani tak prędko. Nie wszyscy Polacy, których Nestor nazywa Lachami, złączyli się razem pod jedno berło, tylko Wielka Polska może, Mazowsze i Szląsk któregokolwiek bądź roku. Widzieć się dają wzmianki o rozruchach domowych w tym czasie, o wojnach z Pomorzaniem, którzy podług świadectwa Nestora byli Polacy [Polakami – A.W.], tudzież zostali przy wolności dzikiej Lutyacy równie, jak Pomorzanie rodu Polskiego lud bitny nad Elbą i dolną Odrą. Wojny wspomniane z Morawianami około Małejpolski zachodzić musiały...”¹³⁹. W istocie zatem Bandtkie dopełniał tezę o ziemiach i ludach „polskich” bratersko łączących się pod jednym piastowskim berłem (tak miało być w wypadku Wielkopolski, Mazowsza i Śląska) koncepcją o plemionach „rodu polskiego”, które jak Pomorzanie i Lutyacy

¹³⁷ Szerzej piszę o tym m.in. w: *Historiografia polska doby romantyzmu*, Wrocław 1999, s. 307–336.

¹³⁸ J. Lelewel, *Początkowe prawodawstwo polskie...*, s. 8.

¹³⁹ J.S. Bandtkie, dz. cyt., t. 1, s. 109.

(Wieleci), nie chcąc opuścić anarchicznej „dzikiej wolności”, powodowały „rozruchy”. Były to jednak „rozruchy domowe”, których nie sposób łączyć z najazdem. Do tego dochodziły wprawdzie wojny o Małopolskę, ale nie były to wojny z nią samą, tylko z Morawianami¹⁴⁰.

Jak zatem mogło dojść do społecznego i w efekcie również politycznego zróżnicowania polskiego narodu? Historyk dostrzegał, że ścierają się w tym względzie dwa stanowiska. Pierwsze zakłada, że tylko ludność chłopska pochodzi od rdzennych mieszkańców ziem polskich, w tym Scytów i Sarmatów, drugie natomiast uznaje, że również szlachta polska ma autochtoniczny rodowód, ponieważ nierówności społeczne to cecha „odwieczna”, a nie następstwo podboju. Według Bandtkiego oba stanowiska były bezpodstawne. „Do wprowadzenia poddaństwa – pisał historyk – nie trzeba ujarzmienia ludu przez oręż i wojny i **nie potrzeba początkowej od wieków niewoli, ani różnicy rodu**. Czas i okoliczności wiodą wszędzie do jednakiego skutku, do nierówności stanów, a z tej wynika na dłuższy lub krótszy czas niewola lub poddaństwo, jak się trafi, a te znowuż nikną, ostrzą i odmieniają się podług różnicy zdarzeń i przypadków [...]. Wprowadzenie zaś poddaństwa różne miało wszędzie przyczyny, z których najcelniejszą zawsze bywała nędza i głód” (podkr. A.W.)¹⁴¹. Zakwestionowanie tezy o „wieczystym” charakterze różnic społecznych oraz wskazanie na konieczność wieloprzyczynowego ich wyjaśniania to jeden z najciekawszych rysów owej bezpodbojowej koncepcji powstania państwa polskiego.

W ujęciu Bandtkiego każdy z trzech elementów syndromu konstytuującego narodziny polskiego państwa i społeczeństwa był innej proweniencji: 1) zawiązek państwa powstał samorodnie drogą dobrowolnego „złączenia się pod jedno berło” Wielkopolski, Mazowsza i Śląska, 2) prawo polskie kształtowało się pod przemożnym wpływem bezpodbojowej recepcji (lepszego?) prawa niemieckiego, 3) podbój „zewnątrzny” nie stanowi warunku *sine qua non* zróżnicowania społecznego, będącego wynikiem różnorodnych przyczyn i okoliczności, wśród których wszakże na plan pierwszy wysuwają się czynniki gospodarcze, takie jak „nędza i głód”. Pierwsze dwa elementy oparte były na opozycji rodzimości i cudzoziemskości, natomiast trzeci, sięgając ponad ową opozycję, miał w istocie charakter uniwersalizujący i jako taki, rzecz prosta, nie wykluczał interpretacji odwołującej się również do kategorii podboju wewnętrznego.

Koncepcja powstania państwa drogą dobrowolnego jednoczenia się czy też integrowania pokrewnych plemion, zajmujących sąsiadujące ze sobą terytoria, na ogół była dobrze przyjmowana w kręgach konserwatystów. Bywała

¹⁴⁰ Tamże.

¹⁴¹ Tamże, s. 113–114, 115–116.

przy tym nierzadko dopełniana idea, by tak rzec, Polski „magnetycznej”, która nie podbija i nie zawłaszcza, lecz „przyciąga” do siebie ludy urzeczone pięknem jej ideałów i urządzeń wolnościowych, jej ogólnoludzką czy choćby tylko ogólnosłowiańską misją. „Polska wzrosła rozwijaniem się i urokiem swobód narodowych, braterskim kojarzeniem się prowincji, bez podbojów, prawie bez wojny” – pisał, uznawany za jednego z głównych „ideologów historycznych” czartoryszczyków (Hotelu Lambert), Karol Sienkiewicz¹⁴². Natomiast Jan Alcyato łączył dobrowolną integrację z rozpowszechnioną jakoby już za Piastów wiarą ludów słowiańskich, że przetrwać mogą tylko w obrębie państwa polskiego: „Tak, Polski inaczej uznawać nie można, jak za dobrowolne zespolenie się ludów sławiańskich, przeczuwających, że tym tylko sposobem uchronić się zdołają”¹⁴³. Tego typu wypowiedzi były w istocie deklaracjami, w których warstwa argumentacyjna, jeśli w ogóle istniała, to miała charakter nie tylko drugoplanowy, ale i wielce wątpliwy. Alcyato na przykład popierał swe twierdzenia i polityczne aksjomaty konstytuujące „polski rozum stanu” taką argumentacją historyczną: „Rozpostarła się w mgnieniu oka za Chrobrego Polska, bo do niej pobratymcze ludy chętnie przystawały. Śmiały w tryumfie wszedł do Kijowa, bo go tam przychylności mieszkańców ku obcym kniaziom i bojarom zniechęconych czekała. Chrobry i Krzywousty pokonali niemieckich cesarzy, bo jako walczący ze wspólnymi wszystkich Sławian nieprzyjaciółmi, na sławiańskiej ziemi wszędzie pomoc, współczucie znajdowali”¹⁴⁴.

ANTONI WALEWSKI I „SAMOCHĘTNE” UFORMOWANIE SIĘ PAŃSTWA POLSKIEGO

Na tym tle godną większej uwagi jest, i to nie tylko w stosunku do hipotezy jakiegokolwiek podboju, koncepcja profesora UJ Antoniego Walewskiego, który rozważając problem „czyli państwo polskie powstało z podboju czyli z rozwoju”, opowiedział się ostatecznie za tezą o „rozwoju”, to jest, jak to ujmował własnymi słowy, o „samochętnych” narodzinach polskiej monarchii i o „samochętnym” połączeniu się ziem, które weszły w jej skład. Zadanie wykazania słuszności takiego stanowiska nie było łatwe. Trudność polegała jednak na tym, że dziełu scalania ziem, z których utworzone zostało państwo polskie, stał na przeszkodzie brak „organiczności politycznej” słowiańskich plemion. Walewski uznawał prawdziwość tezy o właściwej jakoby Słowianom

¹⁴² *Pisma Karola Sienkiewicza. Prace historyczne i polityczne*, Paryż 1862, s. 104.

¹⁴³ J. Alcyato, *Wizerunki polityczne dziejów państwa polskiego*, t. 1: *Rzecz o rozumie stanu w Polsce*, przejrz., powiększ. i powt. wyd. L. Zienkiewicz, Lipsk 1864, s. 10.

¹⁴⁴ Tamże.

nieudolności państwowotwórczej – o ich „niesformym indywidualizmie”, nadmiernym umiłowaniu wolności i równości, o braku „ścisłych zasad” oraz o niedostatku energii i wytrwałości w realizacji celów politycznych. Powoływał się przy tym z jednej strony na najdawniejsze opinie Pseudo-Maurycego, Prokopa z Cezarei, Konstantyna Porfirogenety oraz na kronikę Thietmara¹⁴⁵, z drugiej natomiast na fakt, że od upadku państwa polskiego w końcu XVIII w. nie ma już w istocie żadnego niepodległego narodu słowiańskiego, ponieważ wszystkie inne żyją albo w niewoli, albo po prostu, tak jak Obotrycy czy Lutyicy, „zagięły zupełnie”, a naród rosyjski „przez Azjan wychowany”, dopiero od czasów Aleksandra I zdaje się podlegać reslawizacji¹⁴⁶.

Nie był Walewski oryginalny, umieszczając w opisie charakterologicznym Słowian skłonność do rządów gminowładnych, czyli demokratyczno-republikańskich. Różnił się jednak od romantycznej szkoły lelewelowskiej i klasycznych nurtów słowianofilskich, utrzymując, że nie była to cecha pozytywna. Wręcz przeciwnie, z punktu widzenia idei państwowej słowiańskie gminowładztwo jawiło mu się jako jednoznacznie negatywna forma rządów. Tym, co uznawał za nieodzowne dla budowy i umacniania się państw była funkcjonująca na zasadzie dynastyczności (dziedziczna) monarchia, a nie rządzona przez władze wybieralne republika. Konieczne też było hierarchiczne, a nie egalitarne ukształtowanie społeczeństwa. Walewski mówił po prostu – przeciwieństwem monarchii i hierarchiczności jest anarchia. Przy takich założeniach mógł tylko ubolewać, że: „Wszystkie trzy formy rządowe, jakie u Słowian napotyamy: demokratyczną czyli gminowładną, możnowładczą [oligarchiczną – A.W.] pod panami, wojewódzką [pod wybieralnymi wodzami – A.W.], były przeciwne monarchii dynastycznej”¹⁴⁷. Jedynie Czechom i Polakom udało się rozwinąć „nieco” swą dynastyczność, dzięki czemu ich państwa mogły trwać dłużej od innych państw słowiańskich, a nawet w pewnych okresach stać się wręcz „potęgami”¹⁴⁸. Czy jednak owo „nieco” nie było wynikiem podboju?

Walewski przywołał dwa rodzaje argumentacji na poparcie swych tez o państwowotwórczej „samochętności” Polski. Pierwszy dałoby się umieścić na pograniczu psychologii zbiorowej i historii mentalności. Gdyby – powiadał – państwo polskie powstało z podboju, to jego mieszkańcy nie mogliby korzystać z „osobliwej swobody” względem swych monarchów, których naród „raz popierał a raz opuszczał”, słowem, traktował dość kapryśnie. „Polskie państwo – pisał – nie spoczywało na podboju, jak to w innych krajach bywało.

¹⁴⁵ A. Walewski, *Filozofja dziejów polskich i metoda ich badania*, Kraków 1875, s. 112–114.

¹⁴⁶ Tamże, s. 101–104.

¹⁴⁷ Tamże, s. 121.

¹⁴⁸ Tamże, s. 122.

Gdzie bowiem jedno plemię panuje nad drugim, tam władza najwyższa nie może być zostawioną dowolności stronnictw, lecz powinna, już mocą swej wojskowej natury, używać praw w całej pełni; tego wymaga własny interes panującego plemienia. Plemię zaś podbite jeszcze bardziej naczelnikowi zdobywców ulega, albowiem w nim opiekuna wobec panującego plemienia szuka i zwykle znajduje¹⁴⁹. Polskie plemię nie ulegało swojemu władcy i rządy zostawiało „dowolności stronnictw”, a to uprawdopodobniało hipotezę, iż państwo polskie wyłoniło się „samochętnie” w wyniku konsensusu ludności autochtonicznej. Warto zapamiętać ową konstatację, gdyż już wkrótce ta sama przesłanka, mówiąca o swoistej krnąbrności Polaków wobec ich monarchów, posłuży innemu historykowi – Janowi Karolowi Kochanowskiemu – do uzasadnienia... hipotezy państwowotwórczego podboju Polski.

Druga przesłanka mająca przemawiać na rzecz samorodnego powstania państwa polskiego nosiła charakter filologiczno-ustrojowy. Walewski zwracał uwagę na to, że Polacy określali swą monarchię mianem rzeczypospolitej, do czego analogię można było znaleźć jedynie w starożytnym Rzymie. Takie, pozornie nielogiczne nałożenie na siebie obu tych nazw miało akcentować zgodny i pokojowy udział autochtonów w tworzeniu wspólnego („pospolitego”) dzieła („rzeczy”). Inspirowany przez kronikę Mistrza Wincentego, Walewski skłonny był dostrzec rdzeń prawdy w „sadze o Krakę” – mężu mądrym i rozważnym, potrafiącym przekonać „bezwładnych” (pozostających bez władzy) Słowian, „którzy dotąd nie mając monarchy wspólnego, pospolitego, nie stanowili Rzeczypospolitej, aby uznali króla, sami mu się poddali. Przez to nastał już początek potęgi i Państwa”. I w ten oto sposób – dowodził Walewski – w wyniku jednego dobrowolnego aktu Polacy powołali do życia monarchię, będącą zarazem rzeczpospolitą¹⁵⁰. Ale jeśli tak, to jakkolwiek podbój nie mógł wchodzić w rachubę. „Ja sędzę – pisał historyk – że Rzeczypospolita wyłącza [...] podbój przez przemoc, przez przymuszenie obcych do społeczności nie z moralnych powodów, lecz w celu panowania jednego plemienia nad drugim [...]. Tam bywa pospolita rzecz, gdzie są wspólne pospolite interesa, pokrewieństwo, powinowactwo, gdzie się państwo składa **samochętnie**, gdzie się zespała, spaja, społeczy [sic!], bez prawa mocniejszego, bez gwałtu, gdzie tak utworzone społeczeństwo, złożone z rodów objawia się przyciągającą do siebie okoliczne rody plemienne lub moralnie z nim powinowate. Takim sposobem utworzoną potęgę, monarchię, można nazwać pospolitą rzeczą” (podkr. A.W.)¹⁵¹. Trzeba przyznać, że dzięki osobliwościom semantycznym i logicznym wywód i argumentacja

¹⁴⁹ Tamże, s. 84.

¹⁵⁰ Tamże, s. 85–86.

¹⁵¹ Tamże, s. 85.

Walewskiego odznaczały się szczególną oryginalnością, i to nawet dla zwolenników koncepcji Polski „magnetycznej”, przyciągającej do siebie inne narody nie siłą, lecz pięknem swych idei i urzędzeń ustrojowych.

„SAMOZSIEBNE” PAŃSTWA POLSKIEGO NARODZINY.
WALKA ANTONIEGO MAŁECKIEGO Z „OBŁĘDEM LECHICKIM”

Jakkolwiek wybitny literaturoznawca i językoznawca Antoni Małecki (1821–1913), który sięgnął godności rektora Uniwersytetu Lwowskiego i członka Akademii Umiejętności w Krakowie (1872), historią zajął się na dobre dopiero po rezygnacji z działalności uniwersyteckiej i przejściu na własną prośbę w stan spoczynku (1874), to jego dorobek w tej dziedzinie zapewnił mu wysoką pozycję wśród polskich badaczy przeszłości. Znamienne przy tym, że pokaźna część tego dorobku dotyczyła kwestii związanych z problematyką narodzin polskiego państwa i dlatego w tym miejscu, mimo że nazwisko Małeckiego było już na kartach tej książki wielokrotnie przywoływane, wypadnie mu poświęcić nieco więcej miejsca¹⁵².

Oceniając całokształt dokonań Małeckiego jako badacza najwcześniejszych dziejów Polski, Oskar Halecki uznał, że opublikowany w 1872 r. tekst pt. *Co rozumieć o runach słowiańskich i autentyczności napisów na mikorzyńskich kamieniach* należy sytuować jeszcze w kręgu prac filologicznych uczonego, dotyczy on bowiem kwestii związanych z tezą, iż jeszcze przed przyjęciem chrześcijaństwa słowiańscy przodkowie Polaków posługiwali się swoistym praalfabetem pochodzenia skandynawskiego, który poprzedził przyjęcie przez nich alfabetu łacińskiego. Nie ulega jednak wątpliwości, że była to kwestia daleko wykraczająca poza zakres rozważań ściśle filologicznych, wiążąca się z pytaniami o sposób powstania państwa polskiego i o autochtoniczne czy też alochtoniczne pochodzenie polskiej szlachty. Słowiańskie runy stanowiłyby wszak mocny argument na rzecz normanistycznej koncepcji powstania państwa polskiego. Owe fundamentalne dla dziejów Polski zagadnienia na długie lata wyznaczyły główny tor dociekań Małeckiego jako historyka, w związku z czym tekst o kamieniach mikorzyńskich należy traktować nie tyle jako relikwyt jego wygasających na początku lat siedemdziesiątych zainteresowań filologicznych, ile jako początek penetracji jednego z najbardziej newralgicznych obszarów dziejów polskich. Jak to jednak było z tymi kamieniami?

¹⁵² Ostatnio szerzej na temat postaci Małeckiego i jego stosunku do hipotezy państwowotwórczego podboju Polski pisałem w szkicu: *Antoni Małecki (1821–1913)*, w: *Złota księga historiografii lwowskiej XIX i XX wieku*, t. 2, red. J. Maternicki, P. Sierżęga, L. Zaskilniak, Rzeszów 2014, s. 45–58.

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych XIX w. zintensyfikowano badania archeologiczne nad wczesnosłowiańskimi pozostałościami na ziemiach polskich. W atmosferze niemal gorączkowego tropienia śladów słowiańskiej przeszłości nie zawsze jednak potrafiono zachowywać dostateczny krytycyzm. W 1856 r. powróciła sprawa ogłoszonego prawie sto lat wcześniej „odkrycia” tzw. bałwanków z Prillwitz w Meklemburgii (w literaturze polskiej zwanych też „idolami prillwickimi”, „bałwankami przyłwickimi”, „prylwitzkimi” lub w kilku kolejnych wersjach jeszcze nieco inaczej), jak się później okazało – falsyfikatów wyobrażających postaci bożków z wrytymi inskrypcjami runicznymi jakoby słowiańskiego pochodzenia. Na jej aktualizację miało wpływ odnalezienie w 1855 r. w Mikorzynie (Wielkopolska) dwóch kamieni noszących napisy runiczne. Stwierdzenie autentyczności kamieni mikorzyńskich byłoby więc poważnym argumentem przemawiającym za autentycznością bałwanków z Prillwitz i ich runicznych inskrypcji. Konsultowano się w tej sprawie z samym Lelewelem, który zachowując wprawdzie pewną powściągliwość, dał się jednak zwieść na manowce, tym bardziej że już wcześniej uznawał autentyczność idoli prillwitzkich. Również ekspertyza przeprowadzona przez Antoniego Białeckiego wypadła na korzyść kamieni mikorzyńskich. Nie na długo jednak. Wprawdzie powołana w 1869 r. przy Oddziale Archeologii i Sztuk Pięknych Towarzystwa Naukowego Krakowskiego Komisja Runograficzna skłaniała się raczej do uznania zabytkowego charakteru mikorzyńskich wykopalisk, jednak krytyka Karola Estreichera, Zygmunta Glogera, Adama Kirkora i Antoniego Małeckiego zrobiła swoje¹⁵³. Ten ostatni bodaj najlepiej uchwycił istotę zagadnienia, pisząc: „Do odkrycia mikorzyńskich kamieni przywiązywali uczeni słowiańscy zaraz po ich znalezieniu tym więcej uwagi, że zdawało im się, że przez nie usuwają się tedy na koniec wiekowe wątpliwości i co do owych wykopalisk prylwitzkich, takimi samymi opatrzonych runami, co te właśnie kamienie. Zdawało im się, że od tej pory nie wolno już będzie wątpić o autentyczności tamtego wykopaliska. Stąd to tak powszechne zajęcie [zainteresowanie – A.W.], z jakim się wzięto do tego. Tymczasem bezstronne a nieuprzedzone rozpoznanie tego późniejszego »odkrycia« prowadzi, jak sądzę, każdego do przekonania, w sposób już niezachwiany, że to fabrykat, którego podrobienie właśnie dopiero wtedy oczywistym się staje, kiedy się rzecz tę porównywa z tamtą, na wielką skalę, mistyfikacją. W taki sposób upada więc w oczach naszych i ta ostatnia twierdza runicznej mądrości naszych przodków czcigodnych, choć niepiśmiennych. Jeżeli są jakie dowody, że rzecz się miała przeciwnie, to te dowody odkryć chyba dopiero trzeba. Dotąd nie zdołano wyszukać ani

¹⁵³ A. Abramowicz, w: *Historia nauki polskiej*, t. 4: 1863–1918, cz. 3, red. B. Suchodolski, Z. Skubała-Tokarska, Wrocław 1987, s. 659.

jednego”¹⁵⁴. Dowodów nie było, twierdza „runicznej mądrości” upadała, ale jak się okazało, całkowicie nie upadła, co spowodowało, że w przyszłości wątek pisma runicznego naszych przodków powrócił. Doszło do tego jednak po upływie lat ponad dwudziestu, kiedy to z jednej strony Piekosiński postawił się na czele epigonów tezy o autentyczności runicznych napisów na kamieniach mikożyńskich¹⁵⁵, z drugiej zaś Małecki powtórzył i wzbogacił swą argumentację uzasadniającą, że to zwykle falsyfikaty.

W 1873 r. w „Przewodniku Naukowym i Literackim” opublikowano obszerną pracę pt. *Panowanie Bolesława Krzywoustego*, którą Małecki zapoczątkował cykl utworów dotyczących stosunków wewnętrznych w Polsce pierwszych Piastów. Szczególną ich obfitość przyniósł rok 1875, by w następnym roku zakończyć serię pracą zatytułowaną *Testament Bolesława Krzywoustego*, czyli poświęconą temu samemu władcy, od którego ów cykl się rozpoczął. W ten sposób koło się jak gdyby zamknęło, po czym przez kilkanaście lat uczony opublikował bodaj dwa lub trzy niezbyt liczące się teksty i owa, chciałoby się rzec, szczątkowa ilość publikacji zdawała się wskazywać, że również jako historyk postanowił przejść na emeryturę.

Dopiero rok 1890 przyniósł wydarzenie wskazujące, że Małecki z nauką historyczną bynajmniej się nie rozstał, a wręcz przeciwnie, publikując dwutomowe *Studia heraldyczne*, zdobył miejsce w gronie jej najprzedniejszych badaczy. Nie ukrywał, że traktuje heraldykę jako szczególny instrument służący poznawaniu najwcześniejszych „wewnętrznych narodu polskiego dziejów”, sięgających wieków tak odległych, że nie oświetlają ich żadne znane nauce źródła. Powtarzał przy tym swe założenia metodologiczne, które wcześniej sformułował w odniesieniu do historii literatury – aby dojść do syntezy i otrzymać „całkowity genetyczny odlew wizerunku naszej przeszłości”, należy zacząć od drobnych rozpraw, od przyczynków prowadzących do „dzieła właściwego”. I właśnie w owych przyczynkach widział swą rolę jako badacza, wierząc, że w przyszłości taki „odlew” stanie się dziełem „szczęśliwszej” od jego ręki.

Zadaniem, na którym Małecki postanowił skoncentrować swą uwagę, było naświetlenie genezy polskiej szlachty: „skąd się wzięła, jak się zawiązała, jak wzrastała w swem raz zjawionem istnieniu, jak osiągała i jak sobie w ustroju narodowym zdobyła wybitne, następnie górujące, wreszcie wszechwładne znaczenie i stanowisko”¹⁵⁶. Od odpowiedzi na to pytanie uczony uzależniał ustalenie tego, jaki był pierwotny status polskiego ludu. Wiedział jednak,

¹⁵⁴ A. Małecki, *Runy słowiańskie i mikożyńskie kamienie*, w: tenże, *Z przeszłości dziejowej. Pomniejsze pisma*, t. 1, Kraków 1897, s. 275–276 (pierwodruk: 1872).

¹⁵⁵ F. Piekosiński, *O kamieniach mikożyńskich i napisach runicznych na nich widocznych*, w: tenże, *Studia, rozprawy i materiały...*, t. 1, s. 1–58.

¹⁵⁶ A. Małecki, *Studia heraldyczne*, t. 1, Lwów 1890, s. 2.

że napisanie takiej monografii nie jest jeszcze możliwe, można natomiast, jak to określił, „spreparować” materiały do niej. Zajęło mu to długie lata. Tymczasem na krótko przed ukończeniem tego procesu Franciszek Piekosiński, cieszący się wówczas sławą najwybitniejszego polskiego heraldyka, wydał w 1888 r. drukiem dzieło *O dynastycznym szlachte polskiej pochodzeniu*, o którym była już mowa. Gdy dwa lata później Małecki opublikował *Studia heraldyczne* okazało się, że zaprzeczają one domniemaniom Piekosińskiego. Pierwszy opowiadał się za hipotezą podboju, drugi za poglądem o wewnętrznych procesach prowadzących do uformowania się polskiego państwa. Jednak naprawdę mocne uderzenie ze strony Małeckiego przyszło dopiero w 1897 r., kiedy wydał on drukiem aż dwie monografie, w których całkowicie zakwestionował najazdową hipotezę Piekosińskiego. Pierwsza z nich, *Rewizja dziejów polskich w pierwszych dwóch wiekach politycznego istnienia 962–1146*, powstała w znacznej mierze z połączenia poprawionych i udoskonalonych szkiców, które w połowie lat siedemdziesiątych publikował w „Przewodniku Naukowym i Literackim”¹⁵⁷, natomiast druga, zatytułowana *Lehici w świetle historycznej krytyki*, była dziełem oryginalnym, łączącym konwencję pracy poświęconej dziejom myśli historycznej z prezentacją własnych poglądów autora i polemiką z tymi historykami współczesnymi, którzy tym poglądom zaprzeczali.

„Początków Polski, jako państwa i narodu przed przyjęciem chrześcijaństwa, nie udało się dotąd rozświetlić najmozolniejszym poszukiwaniem. I tak to pewnie pozostanie na zawsze. Dla domysłów otwarte pole – pewnościami nie będzie nigdy, skoro świadectw historycznych, ani współczesnych tym wiekom ani nawet bliskoczesnych, co do narodu naszego tym wiekom nie dostarcza nam żadna postronna literatura. Własne nasze podania narodowe weszły wprawdzie dość wcześnie w treść kronik; ile w nich jednak prawdy dziejowej [...] nikt nie potrafi rozeznaczyć. W najlepszym razie – kilka imion prawie mitycznych, garstka zdarzeń ubocznego znaczenia, bynajmniej nie rzucająca światła ma główną istotę rzeczy – oto wszystko, co z tego źródła do historii przyjąć by można jako prawdopodobne”¹⁵⁸. Po tych słowach, z którymi zapewne i dzisiaj wielu historyków zgodziłoby się bez większych zastrzeżeń¹⁵⁹, Małecki powinien złamać pióro opisywacza początków państwa

¹⁵⁷ Tenże, *Rewizja dziejów polskich w pierwszych dwóch wiekach politycznego istnienia 962–1146*, w: tenże, *Z przeszłości dziejowej...*, t. 1, s. 3–170. Publikację *Rewizji* autor opatrzył następującą notą: „Rzecz pisana i ogłoszona w r. 1875 w »Przewodniku Naukowym i Literackim«, w kilku artykułach, opatrzonych tam innych tytułem”; tamże, s. 2.

¹⁵⁸ Tamże, s. 3.

¹⁵⁹ Ja na przykład zakwestionowałbym jedynie sformułowanie „główna istota rzeczy”, co jednak tendencyjnie postanowiłem ukryć w przypisie. Nie ukrywam natomiast, że postać Małeckiego traktuję z sympatią, a jego dorobek naukowy z szacunkiem, czemu dałem wyraz w szkicu zatytułowanym *Antoni Małecki (1821–1913)...*, s. 41–58.

polskiego i zająć się jakimś innym, wdzięczniejszym źródłowo tematem. A jednak tego nie uczynił. Wspierając się swym autorytetem językoznawcy i przywołując między innymi źródła toponomastyczne, podjął próbę ukazania, jak to było z owymi „początkami Polski jako państwa i narodu”. I rzecz ciekawa, sposób, w jaki podsumował wyniki tej próby, zaprzeczył pesymistycznemu poznawczo przekonaniu, które wyraził na wstępie, a mianowicie, że „pewności nie będzie nigdy”. Wśród konkluzji Małeckiego sporo bowiem jest takich, które wychodzą poza konwencję domniemań i hipotez. Zostaną one przytoczone niżej, jednak już tu warto przywołać jedną z nich: „Co jednak pewne, to że to pojawienie się rządów książęcych nie było tu skutkiem podboju przez obcą rasę, ani owej organizacji na wskroś i wyłącznie wojennej, gdzie dowódca zbrojnej bandy jest wszystkim a cała jego drużyna dyszy tylko jego skinieniem. Słowianie w tej części świata wszakże do późna »nie znali wcale żelaza« – a rodzina Piastów wyszła z rdzeni narodu”¹⁶⁰.

Chcąc osiągnąć postawiony sobie cel, historyk wyeksponował paralelnie dwa odmienne zjawiska, dające się zaobserwować wśród plemion zajmujących ziemie po obu stronach Odry w czasach bezpośrednio poprzedzających ich chrystianizację. Z jednej strony „na wielkopolskich równinach” powstaje zawiązek państwa, niewidoczny jeszcze dla piśmiennych sąsiadów i dlatego nieodnotowany w źródłach, z drugiej – między Elbą a Odrą spokrewnione ze sobą plemiona nie potrafią się zjednoczyć, co ułatwia ich podporządkowanie państwu niemieckiemu w jego królewskiej i cesarskiej postaci. Znamienne, że oba odmienne ukierunkowane biegi wydarzeń dotyczyły ludności słowiańskiej. Oczywiście o tym, że terytorium wielkopolskie wchodziło w skład słowiańszczyzny, Małecki nie musiał przekonywać swoich czytelników. Natomiast w odniesieniu do ziem ciągnących się od Sali i Elby na wschód i częściowo aż za Odrę, które, jak pisał, „dzisiaj są niemieckie”, trzeba się było nieco natrudzić, co też uczony nie omieszkiał zrobić, odwołując się skądinąd do iście scjentystycznej formuły, iż dane językoznawcze zaczerpnięte z zachowanych szczątków mowy zamieszkującego te ziemie ludu upoważniają do twierdzenia, że przynajmniej w swoich północnych odmianach była to mowa zbliżona do „fonetycznego organizmu polskiego”. Wprawdzie ci, którzy obdarzeni byli owym „fonetycznym organizmem”, nie mieli świadomości swego związku z sąsiadującą z nimi słowiańszczyzną, a jeśli ją mieli, to w postaci „zamglonej”, ale słowiańska tożsamość znajdowała potwierdzenie w ich hierarchii wartości i anarchizującym trybie życia. Małecki nie miał wątpliwości, że „odwiecznym obyczajem słowiańskim” główną cechą egzystencji społecznej owych plemion stanowiły „separatyzm i samowola

¹⁶⁰ A. Małecki, *Rewizja...*, s. 22.

jednostek, odrębność gmin, luźność poszczególnych ciał politycznych, antagonizm wreszcie książątek [...]. Wygórowane zamiłowanie w wolności wykluczało wszelką możliwość podporządkowania spraw poszczególnych pod władzę jakiejś większej całości; wskutek czego tworzyła cała ta rzesza Słowian mnóstwo kraików, które się z sobą często wadziły, a łączyły jeden z drugim **chyba** dopiero w razie ostatecznego niebezpieczeństwa – bez skutku jednak i bez pożytku, bo się to działo tylko częściowo, dorywczo i bez planu stałego...” (podkr. A.W.)¹⁶¹. Owo podkreślone „chyba” jest w słowiańskiej charakterologii Małeckiego jedynym akcentem wskazującym na hipotetyczny charakter sformułowań, opartych w gruncie rzeczy na stereotypie Słowianina pozbawionego, jak to wówczas powiadano, zmysłu czy też instynktu politycznego. Odwołanie się do tego stereotypu było konieczne, by wykorzystać kontrast ze stereotypem Germanina, mający ilustrować „szczególną ironię losu”, którą Małecki umieścił w planie eksplanacyjnym swej narracji. To nie co innego tylko szyderczy los miał zrządzić, że słowiańska „ruchawica społeczna właśnie graniczyła o ścianę z takim w Europie plemieniem, które celuje instynktami wręcz przeciwnymi, a w zachłanności rasowej nie ma sobie w świecie równego. Do tej żądz zaborczej, wrodzonej już krwi germańskiej, dołączyła się w tamtych wiekach jeszcze i wyższa, rzecz można historyczna idea – wiara w posłannictwo cesarstwa”¹⁶².

Tym, co miało szczególne znaczenie dla powstania polskiego państwa było, według Małeckiego, powierzenie Karolowi Wielkiemu przez Stolicę Apostolską misji rozciągnięcia najwyższego zwierzchnictwa na „wszystkie w świecie narody” i utrzymywania „we wszystkich krajach” jedności Kościoła katolickiego. Dostrzegając, że w czasach, gdy to się stało (800 r.), tak rozumiana misja mogła mieć w praktyce zastosowanie jedynie do ludów graniczących z Cesarstwem, historyk zwracał uwagę, że była ona równoznaczna z zainicjowaniem podboju słowiańszczyzny. Jakkolwiek początkowo nie przyniósł on większych i trwalszych rezultatów, to w X w. bieg spraw odmienił się. Henryk I Ptasznik zagarnął niemal całą ziemię połabską, od północy aż do granicy czeskiej i śląskiej, w sumie obszary między Łabą a Odrą z Łużycami. Wprawdzie nie naciskał zbyt mocno na unifikację podbitych ziem, jednak jego następcą, król (od 936 r.), a później cesarz (od 962 r.) Otton I, uznał konieczność przymusowej chrystianizacji i politycznego podporządkowania ich mieszkańców. Pierwszemu celowi miało służyć ustanowienie na ziemi połabskiej kilku „słowiańskich” biskupstw i podporządkowanie ich utworzonemu w 968 r. arcybiskupstwu w Magdeburgu. Drugiemu, którego realizację podjęto nieco wcześniej – sformowanie z podbitych ziem Marchii

¹⁶¹ Tamże, s. 4–5.

¹⁶² Tamże.

Wschodniej¹⁶³. Jej udziałnym w istocie władcą został Gero – postać, której Małecki nadał szczególny opatrnościowy status w dziele tworzenia polskiego państwa. Tak, to nie pomyłka: „Powiedzieliśmy wyżej – pisał – że wschodni margrabia Gero pruł się w stronę ku wschodowi coraz dalej i coraz głębiej w tę dzicz lasów i społeczeństw dziewiczych, znacząc w niej krwawą swą ręką coraz szerszą linię graniczną Cesarstwa. Po 20 z górą latami takiego niezmordowanego karczunku, dorąbał się wreszcie progę starego domostwa, którego dotąd nie przestąpiła stopa żadnego z tej strony przywłaszczyciela, przekroczył kresy dziedzictwa narodowego takiej ludności, o której dotąd świat zachodni nie słyszał nawet z nazwiska. W wrogu naszym i najeźdźcy, mimo woli jego i naszej, upatrywać dziś musimy ową osobistość opatrnościową, która dała hasło Polanom do wystąpienia z odwiecznego ukrycia i historycznego letargu na jasną widownię politycznego i cywilizacyjnego w świecie działania”¹⁶⁴. Jeżeli Małecki pisał to z sarkazmem, to trzeba uznać, że ukrył go nader głęboko, natomiast jeżeli w margrabim Geronie naprawdę dostrzegł męża opatrnościowego, który „dał hasło” utworzenia polskiego państwa, to interpretacja utrzymana w duchu maksymy, że zło warunkuje dobro, była w tym wypadku niezbyt zręczna.

W jaki jednak sposób Gero „dał nam hasło”? W 963 r., kiedy włączał w obręb swojej marchii ostatnią, „niezawisłą” jeszcze część Łużyc, kilkakrotnie starł się zwycięsko, i to już na prawym brzegu Odry, z Mieszkiem – władcą Polan. Otwierało to Germanom wrota do ziem polskich, których ludność podzieliłaby zapewne los swych zachodnich pobratymców, ale Mieszko potrafił uniknąć zagrożenia. „Szczęśliwy instynkt” podpowiedział mu, że bezpośrednia konfrontacja zbrojna skończy się jego przegraną, w związku z czym, kierując się tym razem już nie „instynktem”, ale „mądrością polityczną”, wybrał wariant, który wcześniej zastosowali Czesi, a mianowicie „zgody z Cesarstwem” i „sojuszu z Kościołem”. Ów sojusz skądinąd podyktować miały władcy Polan nie tylko pobudki polityczne, ale i motywy (potrzeby) duchowo-religijne. W sumie realizacja takiego planu poszła bardzo szybko: „przy pomocy i z poręki księcia czeskiego Bolesława I.

¹⁶³ W stosunku do dzisiejszego stanu nauki „dziewiętnastowieczna” faktografia Małeckiego może pozostawiać sporo do życzenia. Pisał on np. o dwóch Marchiach (Północnej i Wschodniej), które uformowane zostały ok. 940 r., podczas gdy dziś przyjmujemy, że Marchia Północna powstała dopiero po śmierci margrabiego Gerona (965) w efekcie podziału na sześć części (966) założonej w 937 r. Marchii Wschodniej. Podobnie wiele nieścisłości i rozbieżności z późniejszymi ustaleniami dałoby się wykazać, jeśli chodzi o chronologię powoływania „słowiańskich biskupstw” i podporządkowania ich arcybiskupstwu w Magdeburgu. Jednak dla charakterystyki głównego toku wywodów i całości kształtu koncepcji Małeckiego są to sprawy drugorzędne.

¹⁶⁴ A. Małecki, *Rewizja...*, s. 8–9.

ślub z córką jego Dubrawą zaszedł już w r. 965, chrzest Mieszka z całym jego narodem odbył się w roku następnym, a w r. 968 weszło już w życie i urządzenie kościelnych stosunków w Polsce przez biskupstwo własne krajowe, założone w Poznaniu [...]. W taki to sposób i od tej chwili poczęła Polska wątek swego politycznego żywota. Dobrowolnie, bez niczyjego przymusu, z pobudek leżących w samych okolicznościach, obrała sobie drogę swoją i kierunek działania, z którego nigdy później nie zeszła – przyłączyła się do grona państw Europy zachodniej, jako córka Kościoła rzymsko-katolickiego i zwolenniczka wszystkich idei, które się przesunęły w kolei wieków nad tym łaćńsko-germańskim światem. W szeregu pracowników około wolności cywilizacji i światła, stanęła jako ochotnik – równy równym¹⁶⁵. Na wszystko to, w ujęciu Małeckiego, potrzeba było jedynie pięciu lat, jakie upłynęły od momentu zbrojnego zetknięcia się władcy Polan z „osobistością opatrznosciową”.

Niezależnie od opatrznosciowej arcyfigury margrabiego, Małecki, opowiadając się za bezpodbojowym sposobem powstania państwa polskiego, nadawał naszym dziejom cechę wyjątkowości. Uwidoczniać się ona miała jednak tylko w odniesieniu do innych Słowian, i to różniło ją od romantycznej konwencji jedyne na świecie narodu-Chrystusa. Odmawiając bowiem Słowianom politycznych umiejętności, uczony stwierdzał, że po to, by powstały ich państwa musieli oni ulec „jakiemuś naciskowi z góry i z zewnątrz, jakiejś kościstej dłoni obcej, najezdniczej, jakiejś woli wydającej swoje rozkazy innym jak słowiański językiem i wbrew ich woli stawiającej te społeczeństwa na nogi” oraz przytaczał mniej lub bardziej trafnie dobrane argumenty, odnajdując w rzędzie dzieł „kościstej dłoni obcej”: Chorwację, „Wielką Morawię” (państwo wielkomorawskie), Czechy, Ruś i Bułgarię. Serbii w ogóle nie brał pod uwagę, ponieważ w owych odległych czasach nie udało się jej zaistnieć. Konkluzja była oczywista: „Sama jedna tylko Polska przeobrażenie takowe [w państwo – A.W.] zawdzięczała sobie samej jedynie¹⁶⁶. Jeżeli, jak sądził Małecki, Polska powstała „sama z siebie”, bez współdziałania „obcej rasy” i jej „kościstej dłoni”, to inspirując się koncepcjami słowotwórczymi Antoniego Walewskiego, który mówił o jej „samochętnych” narodzinach, wariant autora *Lechitów*... dałoby się określić mianem narodzin „samosobnych” lub „samozsiebnych”.

Małecki nie był jednak na tyle naiwny, aby państwowotwórcze dokonania Mieszka przedstawiać wyłącznie w kategoriach misji apostołskiej. Gdy przychodziło do konkretnego, to „koścista ręka” mogła jednak zginać ku ziemi słowiańskie karki, tyle że była to już ręka rodzima, polska, a nie cudzoziemsko-

¹⁶⁵ Tamże, s. 13.

¹⁶⁶ Tamże, s. 17.

-germańska. Uściślając swój pogląd, historyk pisał: „Co jednak pewne, to że to pojawienie się rządów książęcych nie było tu skutkiem podboju przez obcą rasę [...], a rodzina Piastów wyszła z rdzeni narodu. O czym także wątpić nie można, to że ów początek książęcych rządów – czy one tam dopiero przez tę rodzinę zapoczątkowane zostały, czy wcześniej – zaszedł na razie w pewnej tylko, szczuplejszej dzielnicy (przypuśćmy w gnieźnieńskiej albo kruszwickiej). Następnie przybywały do niej drugie, sąsiednie okolice, tak iż się początkowe księstwo stopniowo zwiększało. Postęp tych kolejnych aneksji mógł kroczyć nieraz drogą przymusu i gwałtu”¹⁶⁷. W procesie formowania się polskiego państwa i narodu dopuszczał zatem Małecki również podboje, z tym że były to jednak podboje wewnętrzne, a nawet – jak to ujmował – wewnątrznarodowe. Twierdził, że początkowo między niewielkim obszarem państwa a ziemiami zajmowanymi przez naród polski zachodziła duża dysproporcja. Naród, o istnieniu którego decydował wspólny język (jakkolwiek w tamtych czasach nie nazywano go jeszcze polskim), obejmować miał naprawdę spory obszar. Na Rusi Czerwonej, w Sandomierskiem, Krakowskiem, na Górnym Śląsku, a także na całym nadbałtyckim Pomorzu „żyła już w tamtym wieku – jak pisał – ta sama polska czyli lechicka ludność [...], lecz to były wtedy jeszcze dzierżawy z rzeczy tylko polskie, nie z nazwy”¹⁶⁸.

Według Małeckiego w toku przekształcania owych dzierżaw w „rzeczy”, które również z nazwy były polskie, powstała osobliwa struktura społeczna, cechująca się pozastanowym, by tak rzec, charakterem polskiego możnowładztwa. Stanowiło ono warstwę wyłonioną z lokalnych „prowodyrów”, którzy uznawszy władzę księcia-państwowotwórcy, zachowali swe wpływy i stan posiadania. Historyk nie idealizował ani słowiańskiego władcy, ani sposobów, jakimi zyskiwał on posłuch. Po prostu taka „osobistość”, która nie chciała uznać jego rządów, „sama lub z całą rodziną, podlegała zagładzie”. Natomiast te „osobistości”, które chciały i uznały, dały początek warstwie społeczno-politycznej niemającej odpowiednika w dziejach innych narodów. Małecki nie potrafił znaleźć dla niej nazwy w skonwencjonalizowanym słownictwie struktur społecznych i politycznych. Nie dostrzegając w możnowładztwie polskim klasycznych znamion stanowych, mówił o nim, zapewne nie najzręczniejszy, jako o „odcieniu” czy też „cieniu” społecznym. Ale ten, jak sądzę, najciekawszy fragment jego koncepcji wymaga nieco dłuższego cytatu: „Powiedziałem – pisał Małecki – że odcień ten (nazywany pańskim), ten zaród możnowładztwa, nie tworzył u nas stanu. I to właśnie było najgorszym. Nazywamy stanem takie klasy społeczne, o których powiedzieć można, gdzie

¹⁶⁷ Tamże, s. 19–20.

¹⁶⁸ Tamże, s. 16.

się zaczynają a kończą, które się dają ująć w pewne granice. Moźnowładztwo polskie nigdy, ani w tej pierwotnej epoce ani później, nie odkrawało się czemś zewnętrznym od reszty narodu. W najpierwszych czasach byli to potomkowie zmediatyzowanych dynastów. Tych jednak z natury rzeczy, której tu nie ma potrzeby tłumaczyć, nie starczyło na długo. Na ich miejsce wciskały się potem rodziny, które na mocy innych posiadanych, w różny sposób nabytych warunków, mogły uchodzić za pańskie i za takie się uważając, przejmowały tradycje tamtych. Od panującej dynastii oddzielała je widoma linia. **Ale na dół – nie było nigdy i nie chciano, żeby była przedziela- jąca granica.** Wchodziły one w skład rycerstwa, a kiedy rycerstwo przeszło w szlachtę, w skład szlachty. Gdzieindziej, nawet w Czechach tak do nas pokrewieństwem zbliżonych, stan pański a stan rycerski były oddzielone [...]. Moźnowładztwo prowadziło – rycerstwo im potakiwało, zadowolone pozorem, że pod tymi samymi znakami gardłuje, że równi z równymi pod jedną chorągwią walczą. Okruchy owoców tej solidarnej jednoty spadały w udziale i młodszej braci. Pars leonina dostawała się tamtym” (podkr. A.W.)¹⁶⁹.

Z *Rewizją i Studiami heraldycznymi* blisko koresponduje monografia *Lechici w świetle historycznej krytyki*¹⁷⁰. Małecki, stawiając tym razem w centrum swego zainteresowania kwestię lechicką, na plan pierwszy wysuwał fundamentalny problem jedno- lub dwuetniczności naszego narodu. Czy naród polski powstał tylko z jednego pnia etnicznego, w obrębie którego drogą przekształceń wewnętrznych wykształcił się podział na pospółstwo i szlachtę, czy też z będącego wynikiem najazdu i podboju „zlewu” (wymieszania, zlania się) dwóch pni etnicznych – polskiego, autochtonicznego, który stał się pospółstwem i lechickiego, najeżdźczego, który dał początek szlachcie. Ten ostatni wariant zwykło się poświadczać faktem, że naród nasz od „niepamiętnych czasów” nosił nazwę zarówno Polaków, jak i Lechitów. Oczywiście

¹⁶⁹ Tamże, s. 22.

¹⁷⁰ Relację między tymi pracami dobrze uchwycił O. Halecki, pisząc: „Jeżeli w *Studiach* doszedł Małecki, na podstawie badań heraldycznych, do własnej teorii w sprawie powstania średniowiecznych rodów rycerskich, szlachty polskiej i jej organizacji rodowo-herbowej, to tutaj właśnie i dobitniej niż w tamtym dziele wypowiada, które teorie o genezie szlachty naszej uważa za wręcz chybione i dlaczego im odmawia źródłowej podstawy; jeżeli tam polemizował z teorią runiczną Piekosińskiego, to tutaj stara się obalić jeszcze bardziej jego teorię najazdu, choć dopiero na ostatnich kartach książki z nią się rozprawia, dając do zrozumienia, że może właśnie pojawienie się tej teorii okazało mu potrzebę wykorzenia z nauki polskiej tego wszystkiego, co ostateczną swoją genezę miało w tzw. przez niego »obłędzie lechickim«; zob. O. Halecki, *Antoni Małecki jako badacz dziejów piastowskich*, „Kwartalnik Historyczny” 28, 1914, 1, s. 1–26. Warto w tym miejscu dodać, że w literaturze przedmiotu oprócz sformułowania „obłęd lechicki” spotykamy też określenie „Lechiada”. Stosował je Jan Malicki, który badał to zjawisko w obrębie „dogmatyki” sarmatyzmu; zob. tenże, *Mity narodowe. Lechiada*, Wrocław 1982, *passim*.

koegzystencji tych nazw i ich przeróżnych derywatów Małecki nie kwestionował. Zwracając jednak uwagę na to, że pierwsza z nich występowała głównie u narodów zachodnich, a druga u naszych sąsiadów ze Wschodu i z Południa, wykazywał, że zawsze, jeśli pominąć falsyfikaty w rodzaju osławionego *Sądu Libuszy*, odnosiły się one do całego narodu, a nie do jego części składowych, takich jak szlachta i pospólstwo. Polacy i Lechici to po prostu synonimy, a nie nazwy części składających się na całość. Poszukiwanie w owym rozdwojeniu nazw śladów podbójczego najazdu było, według Małeckiego, absurdem. Tym większym, że współczesna mu historiografia polska, a miał tu na myśli głównie Bobrzyńskiego i Smolkę, jednoznacznie odeszła od „obłądu lechickiego”, naświetlając proces różnicowania się na szlachtę i pospólstwo (głównie kmieci) w odwołaniu do czynników samorodnych, „wewnętrznych”.

Trzeba przyznać, że dzieje „obłądu lechickiego” przedstawił Małecki w sposób zaskakująco krótki i przystępny jak na ogrom erudycji konstytuującej tę, podzieloną na dwie części, książkę. Pierwszą z tych części poświęcił antecedencom mitu lechickiego (od „Galla” Anonima do pierwszych dziesięcioleci XVIII w.) i osnuł głównie wokół przekazów Mistrza Wincentego (Kadłubka), który wprowadził Lechitów na karty naszej historii ojczystej, a także Jana Długosza, który Kadłubkową wersję podjął i rozbudował. Drugą część skoncentrował natomiast na analizie skutków pierwszego drukowanego, ale zarazem, jak to wykazał, błędnego i sfalszowanego, wydania *Kroniki wielkopolskiej* (Baszka), które ukazało się w 1729 r. i zgodnie z którym „po raz pierwszy w historii stanęli Lechici jako pokolenie osobne, przeciwstawione szczepowi narodowemu” oraz „po raz pierwszy dowiedział się świat o tem, że więc Piast nie pochodził z rodu Lechitów”¹⁷¹. Obie te części zbliżają się bardzo do współczesnych nam prac z zakresu historii historiografii, a także tych, które wykraczając poza historiografię respektującą tak czy inaczej rozumiane normy profesjonalizmu, odnoszą się do dziejów szeroko rozumianej myśli historycznej, znajdującą swą artykulację również na obszarach literatury pięknej i sztuki.

Przywołana monografia Małeckiego uzyskała wysokie oceny u współczesnych. Karol Potkański, który zajmował się zbliżoną problematyką, stwierdził, że niezależnie od dzielących go i Małeckiego różnic, praca tego ostatniego stanowi „trwały nabytek nauki”, Oskar Halecki zaś nie miał wątpliwości, że „pogląd o różności Lechitów od Polan [...] teoria Małeckiego, silnie poparta przez analizę krytyczną naszych najdawniejszych pomników dziejopisarskich, istotnie obaliła i rzuciła bardzo wiele jasnego światła na jeden z najzawilszych i najsporniejszych problemów naszych dziejów pierwotnych”¹⁷².

¹⁷¹ A. Małecki, *Lechici w świetle historycznej krytyki...*, s. 89.

¹⁷² O. Halecki, dz. cyt., s. 16.

W sumie można powiedzieć, że Małecki dostrzegł w dziejach Polski dwa wyjątkowe zjawiska. Pierwsze przejawiać się miało tylko w skali ogólnosłowiańskiej. Jeżeli innym Słowianom po to, by mogły powstać ich państwa, potrzebny był impuls polityczny płynący z zewnątrz – „jakaś wola wydająca swoje rozkazy innym jak słowiański językiem”, to Polacy (Polanie) takiego impulsu nie potrzebowali i to należy zapisać na poczet ich aktywów dziejowych. Pod tym względem Małecki odwracał niejako stanowisko tak renomowanych historyków jak Szujski, Bobrzyński czy Smolka, którzy jako pewnik przyjmowali tezę o samorodności państw słowiańskich, do wyjątków zaliczając tylko Ruś i Bułgarię¹⁷³. Skala wyjątkowości drugiego zjawiska, polegającego na braku stanowej odrębności polskich „panów” w stosunku do szlachty, była znacznie większa, z tym że była to jednak wyjątkowość negatywna. „Gdzieindziej”, a nawet w pokrewnych nam słowiańskich Czechach, panowie stanowili w sensie formalnoprawnym odrębny stan, a to nie pozwalało na utrzymywanie „braterskich złudzeń” wśród szlachty i wykorzystywanie jej w rozgrywkach z władzą centralną.

Aby nieco wyraźniej ukazać koncepcję Małeckiego, warto poświęcić kilka słów zapatrywaniom profesora Uniwersytetu Wrocławskiego Richarda Roeppla, który w 1840 r. wydał w Bambergu dzieło zatytułowane *Geschichte Polens*, obejmujące dzieje Polski do końca XIII w. Wydaje się bowiem, że poglądy owego życzliwego nam uczonego, który między innymi występował w 1863 r. w obronie prawa Polaków do niepodległości¹⁷⁴, Małecki spożytkował, ukazując relację między rodzimym charakterem załazków polskiej państwowości a wpływami zewnętrznymi, dającymi się sprowadzić do szeroko rozumianych wpływów germańskich. *Geschichte Polens* spotkały się u historyków polskich z przychylnym przyjęciem, czego efektem był ich późny wprawdzie (1879) i nie najlepszy przekład na język polski, który mimo tych mankamentów poszerzył niewątpliwie grono czytelników całego dzieła¹⁷⁵.

Zdaniem historyka niemieckiego państwo polskie powstało ze splotu czynników rodzimych z wpływami zewnętrznymi. Ta dziś banalna wręcz konstatacja nie oddaje jednak eksplanacyjnych subtelności, które odnajdujemy w jego narracji. Otóż Roepell, utrzymując, że „wszystkie przodujące ludy słowiańskie od Czechów w dół do brzegów Bałtyku nie zdołały się oprzeć naciskowi Niemców”, podkreślał zarazem, że najwięcej korzyści wynieśli z tego Czesi, którzy najwcześniej przyjęli wiarę chrześcijańską i najszybciej

¹⁷³ Więcej na ten temat w kolejnych trzech podrozdziałach.

¹⁷⁴ M.H. Serejski, *Europa a rozbiory Polski. Studium historiograficzne*, Warszawa 2009 (wyd. 2, Klasyka Polskiej Historiografii), s. 341–342.

¹⁷⁵ R. Roepell, *Dzieje Polski do XIV stulecia*, t. 1, tłum. K. Przyborowski, Lwów 1879 (skąd poniższe cytaty).

też uznali potrzebę poddania się scentralizowanej władzy „jednej księżęcej rodziny”, co w sposób oczywisty wzmocniło ich państwo. Podobnie, tyle że znacznie później, stało się z Polakami.

Spróbujmy jednak zestawić zapatrywania Roeplla i Małeckiego. Obaj ukazują formowanie państwa polskiego w dwóch analogicznych fazach. Pierwsza z nich to faza inicjacyjna, odbywająca się w kręgu czynników rodzimych, słowiańsko-polskich. Według Małeckiego załążek państwa powstaje „sam z siebie”, „dobrowolnie”, bez podboju przez „obcą rasę”, według Roeplla – „zjednoczeniowo”, jeszcze przed „zetknięciem się” z „niemiecko-chrześcijańskim zachodem”. Jakkolwiek obaj historycy zwracali uwagę, że w czasach wykształcania się między środkową Odrą a Wisłą pierwocin polskiego państwa ekspansja niemiecka objęła ziemie Słowian nadelbiańskich i nadodrzańskich, to Roepell potraktował ją łagodniej niż Małecki. Nie ukrywał, że tamtejsze plemiona stawiały „uporczywy, wytrzymały i wielokrotny opór”, ale wskazywał zarazem, że po przewyciężeniu tego oporu między Łabą a Odrą „zaczęła się kolonizacja niemiecka i chrześcijaństwo, podstawa wszelkiego rozwoju nowych czasów”¹⁷⁶. Taka ocena niemieckiej kolonizacji niewątpliwie uwznioślała to, co Małecki nazywał „karczowaniem” Słowian. Natomiast obaj historycy byli zgodni co do charakteru i momentu rozpoczęcia drugiej fazy. Miał ją zapoczątkować kolejny sukces niemieckiego oręża, w wyniku którego margrabia Hodo w 963 r. „rozwarł dla dziejów dalszy słowiański wschód, i wciągnął w ruch dziejowy plemiona zamieszkałe między średnią Odrą a Wisłą”¹⁷⁷. Roepell utożsamiał owo rozwarcie z niemiecką aktywnością cywilizacyjną, lecz Małecki nie miał wątpliwości, że utrwalenie i wzmocnienie polskiego państwa stanowiło próbę zażegnania niebezpieczeństwa podzielenia losu Słowian połabskich. Państwowotwórcza aktywność niejako podwójnie leżała więc po polskiej stronie. Nie tylko załążek państwa (pierwsza faza), ale również jego krzepnięcie i rozrost (druga faza) były dziełami czysto polskimi. Ta ostatnia zaistniała wszak dzięki uaktywnionej po 963 r. „mądrości politycznej” Mieszka, nakazującej kierować się zasadami „zgody z Cesarstwem” i „sojuszu z Kościołem”. Tak według Małeckiego, jak i według Roeplla niemiecki udział w zapoczątkowaniu fazy drugiej pobudził jedynie polską „samozsiebnosc”. Roepell pisał: „Dotarłszy do Odry zetknęli się Niemcy z Polakami. I ci, chociaż zjednoczeni w większą, potężniejszą [w stosunku do plemion między Łabą a Odrą – A.W.] państwową całość, ulegli w końcu wpływowi niemiecko-chrześcijańskiego zachodu i przyjęli odeń chrześcijaństwo w postaci kościoła rzymskiego”. Takim sformułowaniem historyk niemiecki w niewielkim jednak stopniu zdeprecjonował

¹⁷⁶ Tamże, s. 47.

¹⁷⁷ Tamże, s. 47–48.

polski wkład w dzieło budowy własnego państwa, ponieważ już w kolejnym zdaniu zawarł arcy pochlebną wręcz ocenę polskiej samodzielności państwowotwórczej i jej dziejowego znaczenia: „Wtedy to i podnieśli się oni [Polacy – A.W.] własną potęgą i utworzyli czysto narodowe potężne państwo, które w ciągu wielu wieków z chwałą broniło chrześcijańskiego Zachodu i jego cywilizacji od nacisku barbarzyńskich hord Azji”¹⁷⁸. Jeśli odrzucić domysł o ironicznym zabarwieniu opinii Małeckiego na temat opatrnościowej roli margrabiego Hodona, to, jak się wydaje, jedynie tylko ona mogłaby stanowić polski ekwiwalent pięknych słów, które historyk niemiecki odniósł do polskich zdolności i umiejętności państwowotwórczych.

Różnice w narracjach obu historyków były, jeśli pominąć kwestię ich formy, niezbyt duże. W porównaniu z Małeckim Roepell minimalizował na przykład rolę czeskiego pośrednictwa w zaszczepieniu wśród Polaków zachodnich wzorców cywilizacyjnych, a także utrzymywał, że zhołdowany przez Hodona Mieszko płacił Cesarstwu trybut z całości swych ziem, a nie tylko z ich zachodniej części. Obaj jednak byli zgodni co do tego, że cesarz zupełnie nie ingerował w to, co Mieszko czynił w obrębie swojego państwa.

JÓZEFA SZUJSKIEGO DWA OBRAZY PAŃSTWOTWÓRCZYCH PREDYSPOZYCJI SŁOWIAN

Słowianie nie mieli najlepszych notowań wśród historyków, których zwykliśmy zaliczać do krakowskiej szkoły historycznej. Jest to widoczne nawet w czterotomowych *Dziejach Polski...* opublikowanych przez Józefa Szujskiego w latach 1862–1866, a więc w czasach, w których nie mówiono jeszcze o „historycznej nowej szkole”, a on sam nie stronił od romantycznych apologii dziejów ojczystych. Z drugiej strony, Szujski już wtedy obok peanów na cześć moralnych skarbów „słowiańskiej duszy” potrafił formułować oceny niezbyt pochlebne dla ludu ową duszą obdarzonego. Słowianin z *Dziejów Polski...* jest „kontemplacyjny z natury”, lecz „nieprzedsiębiorczy i niewojenny”, kocha wolność i równość, ale nie umiejąc obronić swych siedzib przed najeźdźcami, „ucieka w lasy albo poddaje się w niemym osłupieniu władzy silniejszego od siebie”. Właściwa mu kontemplacyjność ma dwa oblicza. Można znaleźć w niej „wytlumaczenie jego niepożytości wobec obcego pierwiastku, kiedy złamany na chwilę odradza się bogdaj z rzewnych tylko wspomnień przeszłości. W niej atoli leży przyczyna tej wielkiej bierności, która często tak długo trwa wobec gniołącego despotyzmu, póki go siłą natężonego ducha nie rozsadzi”¹⁷⁹. W sumie było to niczym obraz zająca czmychającego przed

¹⁷⁸ Tamże, s. 48.

¹⁷⁹ J. Szujski, *Dzieje Polski podług ostatnich badań spisane*, t. 1: *Piastowie*, Kraków 1895, s. 41–42.

najeżdżcą do lasu lub „stającego przed nim słupka”. Jak widać Szujski już wówczas kierował się w stronę niskiej oceny słowiańsko-polskiego „zmysłu politycznego”. Orientacji tej nie mogły przyćmić wzmianki o dobroci i gościnności – cechach przejawiających się jakoby brakiem wśród Słowian „zebraków i nędzarzy” oraz łatwością, z jaką chorzy i kalecy znajdowali wśród nich „gościnne przytulki”, a także pochwały uczciwości, wierności małżeńskiej oraz wesołości i „swobody tanecznej”, która u cudzoziemców przeszła wręcz w „przysłowie”: „Sclavus (Slavus) saltans!”¹⁸⁰. To ostatnie miało skądinąd nie najlepszą wymowę¹⁸¹.

Prawie dwadzieścia lat, które upłynęły od momentu ukazania się pierwszego tomu *Dziejów Polski...* (1862) odebrały słowiańskiej charakterologii Szujskiego wiele z romantycznej ornamentyki¹⁸². W jego „dojrzałej”, utrzymanej już w rygorach *Teki Stańczyka*, syntezie *Historii polskiej treściwie opowiedzianej ksiąg dwanaście* (1880) ilość skarbów słowiańskiej duszy została jeszcze bardziej zredukowana. Zamiast o „wierności małżeńskiej” mowa jest o szkodliwym wielożeństwie powodującym „wschodnią ospałość”, natomiast nie ma już wzmianek o braku zebraków i nędzarzy oraz o goszczeniu chorych i kalek. W ogóle gościnność uległa jakby deprecjacji, uznana bowiem została za cechę wszystkich ludów o „podobnych formach ekonomicznego bytu”, w wypadku Słowian zaś mającą dodatkowe podłoże w lekkomyślności. Ciekawe też, że „nowy” Słowianin Szujskiego jawi się już nie jako „kontemplator”, który z jednej strony może trwać „w niemym osłupieniu”, z drugiej jednak od czasu do czasu potęgować w sobie siłę ducha i zrzucić „jarzmo despotyzmu”. Teraz jest on „fatalistą”. Właściwie to nie „teraz”, bo prawdę mówiąc: „Słowianin od najdawniejszych czasów występuje jako fatalista, długo znoszący zło, chociaż nie bez dzielnej siły, gdy zerwie się do walki. Z fatalizmu płynie jego niedbalstwo o jutro, jego żywa i lekkomyślna wesołość w przededniu nieszczęścia. Przyczyny złego rzadko szuka w sobie, tym chętniej za sobą: używający w chwili pomyślnej, kłótlwym jest, niezgodnym i nieufnym w chwilach, gdzie potrzeba zebrania wewnętrznego i jedności. Ruchy ludowe lubi, skuteczność organizacji rzadko uznaje. Despotyzm znosi, rządu utrzymać nigdy nie umiał”¹⁸³.

Trzeba przyznać, że tak skonstruowana słowiańska matryca charakterologiczna nie mogła sprzyjać endogenicznej koncepcji powstania polskiego

¹⁸⁰ Tamże, s. 42, przypis.

¹⁸¹ Historyk jedynie przez zawartość nawiasu – „Slavus” – zasygnalizował, że są tacy, dla których łaciński „Sclavus saltans” (niewolnik tańczący) stanowi źródłosłów nazwy „Słowianin”.

¹⁸² Zdaję sobie sprawę z tego, że określenie „romantyczna ornamentyka” może budzić wątpliwości, ale lepszego nie znalazłem.

¹⁸³ J. Szujski, *Historii polskiej treściwie opowiedzianej ksiąg dwanaście*, Warszawa 1880, s. 11.

państwa i to tym bardziej że Szujski *expressis verbis* wsparł ją tezą o „właściwym krwi słowiańskiej braku zmysłu do organizacji politycznej”¹⁸⁴, i co więcej, wzmocnił spektakularnym odniesieniem do dziejów Polski: „Jakby na dowód, jak mało szczerp słowiański sam z siebie posiadał organiczności politycznej, państwo najsamodzielniej i najczyściej słowiańskie; bo w środku ziem słowiańskich rozwijające się, ogarnąwszy i zespoliwszy ze sobą Litwę i Ruś, straciło niepodległość po dziewięciowiekowym istnieniu”¹⁸⁵. A zatem jak mogło dojść do narodzin polskiego państwa?

Zdaniem Szujskiego był to proces polityczny sprzęgnięty z przemianami społecznymi, które jak domniemywał, przebiegały w trzech stadiach. Początek dał mu zapewne etap wspólnot rodzinnych, co mogły potwierdzać nazwy patronimiczne występujące w liczbie mnogiej (typu Radwanowice, Unochowice, Kwiatkowice), przy czym cechy owej fazy przeszły do czasów historycznych i trwają po dziś dzień „jako najniższy stopień społecznego bytu”. Stadium drugie polegało na grupowaniu się rodzin w związki rodowe i prowadziło do panowania jednych nad drugimi oraz wykształcenia się własności indywidualnej (nazwy wsi kończące się na: -ów, -swo, -owo). W parze z tym szedł podział kraju na żupy – terytoria podległe jednemu rodowi i zawiadywane przez żupanów, będących małymi „królikami” (księżętami, kniaziami). Z tym etapem wiązał też Szujski początki organizacji militarnej (tysiiczników, setników, dziesiętników), skupiającej się wokół grodu, będącego miejscem obrzędów religijnych, zgromadzeń wiecowych, sądów, a w razie zagrożenia miejscem schronienia ludzi i ich dobytku. Ale wróćmy do owych „królików”. W trzecim stadium jeden z nich, ulegając obcym wzorcom, podporządkowuje sobie (nie bez ciężkich walk) pozostałych żupanów, a panowanie swe ugruntowuje „szczęśliwymi bojami z zewnętrznym nieprzyjacielem”. Tak się stać miało Czechach i Polsce, w odróżnieniu od Rusi, gdzie „potrzeba było obcego wkroczenia Waregów”¹⁸⁶. W ten oto sposób Szujski naszkicował dwa modele powstawania państw słowiańskich: endogeniczny – zilustrowany przykładami Czech i Polski, i egzogeniczny – ograniczony jednak tylko do Rusi Waregów i pomijający klasyczny pod tym względem przykład Bułgarii.

W sumie, w ujęciu Szujskiego, państwo polskie, mimo antypaństwowej wręcz matrycy charakterologicznej słowiańskiego ludu, narodziło się endogenicznie, choć, by przypomnieć określenie Walewskiego, niekoniecznie „samochętnie”.

¹⁸⁴ Tamże, s. 3.

¹⁸⁵ Tamże, s. 4.

¹⁸⁶ Tamże, s. 10.

MICHAŁ BOBRZYŃSKI, CZYLI O NIEDOPEŁNIONYCH
PAŃSTWOTWÓRCZYCH ZADANIACH „SŁOWIAŃSZCZYZNY POLSKIEJ”

Według autora głośnych swego czasu, a i do dziś przez wielu cenionych *Dziejów Polski w zarysie* Słowianie, po wcześniejszych migracjach, w V w. n.e. weszli w bezpośredni kontakt z cywilizacją i nareszcie znaleźli się w sytuacji, w której od niepamiętnych czasów pozostawali wobec Rzymian Germanie. Nie mogli się jednak mierzyć z tymi ostatnimi, bo choć i oni „byli jeszcze dziczą, ale dziczą silnie zorganizowaną”. Tymczasem Bobrzyńskiemu, tak jak Szujskiemu, Słowianie jawili się pod postacią rozlicznych podzielonych między sobą szczepów i ludów, którym brakowało „wszelkiej spójni i organizacji”. Mimo że z dawnych koczowników i wojowników stali się już głównie rolnikami, nie potrafili wyrobić w sobie „poszanowania prawa i despotycznej władzy, nie mieli poczucia siły, jaką daje wewnętrzna karność i zgoda”¹⁸⁷.

Bobrzyński utrzymywał, że określone ludy w danym miejscu i czasie mają do spełnienia konkretne „zadania” historyczne. Zgodnie z taką, teleologizującą bieg dziejów wizją, „zadanie” ówczesnych Słowian miało polegać na wykorzystaniu przyjaznych warunków zajmowanego przez nich terytorium, zakreśleniu i obronie jego granic oraz przejmowaniu zdobyczy „starszej cywilizacji”, po to, by ostatecznie osiągnąć stadium „zjednoczenia w zdrowo się rozwijające narody i państwa”¹⁸⁸. I rzeczywiście, poczynając od VI w. przez pięć stuleci Słowianie realizowali i zrealizowali tak zakreślone cele. Nie wszystkim jednak przyszło to równie łatwo. Wobec tradycyjnej słowiańskiej niezgody i przesadnego umiłowania wolności najłatwiej było tam, gdzie w wyniku podboju „dostała się do krwi słowiańskiej przymieszka jakiejś krwi obcej, pochopniejszej do życia politycznego”. Taką przymieszkę ze strony Protobułgarów otrzymali w drugiej połowie VII w. (678 r.) Słowianie zajmujący ziemie nad dolnym biegiem Dunaju. Najeźdźcy, którzy założyli „groźne wszystkim sąsiadom państwo”, złączyli się wkrótce z miejscową ludnością, przejmując słowiański język i obyczaje. Podobnie, tyle że dwa wieki później (862 r.), stało się to ze Słowianami północnymi, osiadłymi między Dnieprem a Dźwiną. Państwowotwórczą przymieszkę krwi zawdzięczali oni Waregom, którzy opanowali pod wodzą Ruryka Nowogród i Kijów, i utworzyli olbrzymie państwo oparte na skandynawskich wzorcach feudalnych. Los Normanów był podobny jak Bułgarów: „Przyjmując język słowiański zginęli w społeczeństwie słowiańskim bez śladu, przekazując mu tylko swoją nazwę, swoją dynastię Rurykowiczów i ustrój stworzonego przez się państwa”¹⁸⁹.

¹⁸⁷ M. Bobrzyński, *Dzieje Polski w zarysie*, oprac. i wstęp M.H. Serejski, A.F. Grabski, Warszawa 1977 (pierwodruk: 1879), s. 76.

¹⁸⁸ Tamże, s. 77.

¹⁸⁹ Tamże, s. 78.

Bobrzyński uważał, że podbój zewnętrzniczny, tak jak to miało miejsce w przypadku Bułgarii i Rusi, stanowił najprostszą i niejako najłatwiejszą drogę prowadzącą do narodzin państw słowiańskich. Jednak drogi rozwoju politycznego pozostałych Słowian były bardziej skomplikowane. „O wiele trudniej” przyszło po nich kroczyć trzem pokrewnym sobie szczepom południowosłowiańskim: Serbom, Kroatom (Chorwatom) i Słoweńcom. Nie ulegli oni bowiem żadnemu „obcemu żywiołowi”, który zorganizowałby im państwa i przejąwszy miejscową mowę i obyczaje, wszedł z podbitymi w związki krwi. Stosunkowo najlepiej potoczyły się losy Serbów. Pozostając pod dominującym wpływem „cywilizacji bizantyjskiej”, zachowali oni swą „narodowość i samoistość”, i stworzyli w XIII w. silne państwo. Gorzej natomiast było z Chorwatami, których „gniotło” Święte Cesarstwo Rzymskie, i którzy nie umiejąc dojść do jedności, poddali się panowaniu Węgrów (1091 r.), najgorzej zaś ze Słoweńcami w Karyntii i Krainie, gdzie „Kościół niemiecki i idąca za nim w tropy kolonizacja niemiecka wynaradawiała ich i tępiły wszelkie objawy politycznej i społecznej samoistości”¹⁹⁰.

Według Bobrzyńskiego, a nie był w tym odosobniony, tak rozumiany czynnik niemiecki odegrał również niebagatelną rolę w narodzinach idei i ruchów państwowotwórczych wśród Słowian zachodnich. Sojusz papieżstwa z Cesarstwem i „zbrojne apostołstwo” tego ostatniego sprawiać miały, że ludy zachodniosłowiańskie zaczęły odczuwać potrzebę obronnego łączenia się i „wśród morderczych walk uczyły się od nieprzyjaciela, jak się należy organizować, jak potrzeba tą samą bronią walczyć. Nareszcie przewyciężając swój wstręt ku chrześcijaństwu, przyjmowały je same, aby przez to wytrącić z ręki Niemcom broń najskuteczniejszą, odjąć im pozór, który walkę ich ze Słowianami jako poganami usprawiedliwiał”¹⁹¹. W myśl takiego schematu wyjaśniającego ukazywał Bobrzyński genezę państw czeskiego i polskiego.

W „zadaniowej” wizji biegu dziejów Bobrzyńskiego kolejnym – po etapie stabilizowania się Słowian na zajęтым przez nich terytorium – zadaniem stało się utworzenie państwa zachodniosłowiańskiego. Wydawało się, że cel ów osiągną ludy czeskie, „jednoczące się i organizujące” pod rządami dynastii Przemyślidów, jednak z obawy przed „dzikimi hordami węgierskimi” zmuszone one zostały do oddania się pod opiekę Niemiec (871 r.), czego efektem było przyjęcie obrządku łacińskiego i zachodnich urzędzeń (rozwiązań) politycznych. „Państwo czeskie w ten sposób powstało – pisał historyk – uzyskało wprawdzie możliwość samodzielnego wewnętrznego rozwoju, strzegło tym samym żywioł słowiański przed germanizacją, ale uznawszy zwierzchnictwo niemieckich cesarzów, wszedłszy w skład niemieckiego państwa, nie

¹⁹⁰ Tamże, s. 79.

¹⁹¹ Tamże, s. 80.

mogło już stanąć na czele całej Słowiańszczyzny zachodniej, zorganizować jej w jedno państwo, poprowadzić do walki z Niemcami i dokonać wielkiego posłannictwa, które się szczęśliwszej Polsce dostało w udziale¹⁹². Jakkolwiek programowy antyromantyzm Bobrzyńskiego nie ulega wątpliwości, to nie sposób ustrzec się refleksji, że tak rozumiana, „misyjna” teleologia polityczna mogłaby usatysfakcjonować niejednego z romantyków. „Zadaniowana”, by użyć „ministerialnego” już u nas kolokwializmu¹⁹³, Polska na tym etapie swych dziejów nie zawiodła. Zrobiła to, zdaniem tego historyka, znacznie później – w wyniku nieudanej realizacji zadania przekształcenia się w państwo „prawne”, ale to wybiega już poza temat tej książki, poświęconej kwestii budowy polskiego państwa, a nie jego destrukcji i wymazania w końcu XVIII w. z mapy świata.

Zaliczenie koncepcji genezy polskiego państwa, zarysowanej na kartach *Dziejów Polski w zarysie*, do kategorii koncepcji bezpodbojowych jest pewnym uproszczeniem. Jakkolwiek bowiem państwo polskie w ujęciu Bobrzyńskiego powstaje samorodnie, to podbój stanowi jednak znaczący element tej (podobnie zresztą jak wielu jej podobnych) koncepcji. Pojawia się on w dwóch postaciach – potencjalnej i dokonanej. Podbój potencjalny to podbój zewnątrzetniczny – „polskim” Słowianom zaczynają zagrażać Niemcy, którym należy dać odpór poprzez wzięcie w państwowe karby naszej plemiennej anarchii i swawoli. A podbój dokonany? Był i to nie jeden, tyle że dokonywał się on wewnątrz słowiańsko-polskiego etnosu.

Istniało dziewięć „szczepów”, które Bobrzyński zaliczył do całości, określonej przez siebie mianem „Słowiańszczyzny polskiej”. Ich nazwy i rozmieszczenie opisał w sposób tak skondensowany, że nic w tym wypadku nie zastąpi jego własnych słów¹⁹⁴: „Na zachodzie między rzeką Łabą (Elbą) a Odrą rozsiadły się trzy silne szczepy: **Serbowie (1)**, przypierający południową swoją granicą do Czech, pomiędzy rzekami Sołą i Bobrem w Łużycach i Miśni; **Lutycy, czyli Weletowie (2)**, wyżej na Odrę aż do brzegów Bałtyku i **Bodrycy, czyli Obotryci (3)**, od Lutyków na zachód w dzisiejszym Holsztynie i Meklemburgu. Wschodni brzeg Odry aż po Wisłę zajmował szczep **Pomorzanów (4)**. Rzeka Noteć i wielkie bagna odgraniczały ich od szczepu **Polan (5)** stojącego nad Wartą w samym środku tej Słowiańszczyzny. Na północny wschód od Polan rozsiadł się szczep **kujawski (6)** a za nim potężny szczep **Mazurów (7)** nad samą Wisłą; na południe zamieszkał

¹⁹² Tamże, s. 81.

¹⁹³ Jakkolwiek w publicystyce internetowej ma on dość często pejoratywne znaczenie, to w tym wypadku używam go w sensie pozaocennym.

¹⁹⁴ W przytoczonym fragmencie dla większej przejrzystości nazwy plemion zaznaczyłem ccionką pogrubioną i ponumerowałem (w nawiasach).

Chorwacie, zwani także Białochorobatami (8) w kraju gdzie leży dzisiaj Sandomierz i Kraków, aż po Karpaty; na południowy zachód nad górnym biegiem Odry, granicząc z Czechami, **Slężanie, czyli Ślązacy (9)**¹⁹⁵. Owe dziewięć szczepów nie było jednak częstkami elementarnymi „Słowiańszczyzny polskiej”. Każdy z nich składać się miał z tak licznych „ludów”, że wymienienie ich nazw na kartach *Dziejów Polski w zarysie* uznał Bobrzyński za wręcz niemożliwe. Co więcej, dopuszczał możliwość, że takie ludy jak Łęczycanie i Sieradzanie mogły wręcz stanowić odrębne szczepy, a więc wspomniana „dziewiątka” nie była definitywnie zamknięta.

Znaczącym czynnikiem integrującym ludy tego samego szczepu (plemienia) była jedność religijna manifestująca się między innymi w posiadaniu przezeń odrębnych bóstw i świątyń, takich jak w Gnieźnie, Krakowie, Kołobrzegu, Szczecinie, Arkonie na Rugii. Właśnie przy świątyniach gromadzono się w razie niebezpieczeństwa najazdu i podboju, jednoczono, wybierano wodza i poddawano jego rozkazom. W ten sposób jedność religijna stawała się podstawą spójności politycznej. Dla Bobrzyńskiego było oczywiste, że „im więcej najazdy takie zaczęły się mnożyć, im więcej Słowiańszczyźnie polskiej zagrażać, tym oczywiście ściślej kojarzyły się ludy jednego szczepu, tym więcej utrwalał związek militarny, szczepowy i jego naczelna władza”¹⁹⁶.

Co innego jednak organizacja polityczna o charakterze wewnątrzplemiennym, a co innego państwo jednoczące wiele szczepów. Tymczasem, według Bobrzyńskiego, dziewięć plemion (szczepów) wchodzących w skład „Słowiańszczyzny polskiej”, mimo „tożsamości pochodzenia i mowy”, nie miało początkowo najmniejszego poczucia łączności. Wprawdzie była jeszcze wspólnota obyczajów i charakterów, ale ta zupełnie nie sprzyjała ideom państwowotwórczym. Historyk sądził, że miało to wynikać ze specyfiki równinnej ziemi, która dawała „mieszkańcom swoim łatwe utrzymanie, nie zmuszała ich do walczenia z mozołem o codzienny byt, nie stawiała żadnych wielkich przeszkód do pokonania, nie podnosiła siły ich woli, przedsiębiorczości i energii działania, uczyniła charakter ich łagodnym, gościnnym i szlachetnym, ale zarazem dziwnie lekkomyślnym, bezradnym i miękkim i pogrążyła ich w stanie gnuśnej błogomyślności, objawiającej się w śpiewach i płasach, bez troski o jutro”¹⁹⁷.

Tożsamość pochodzenia, mowy i charakteru nie potrafiła uczynić tego, co spowodował zbliżający się „szczęk niemieckiego oręża”. Jego następstwa ukazywał Bobrzyński, odwołując się do szeregu mniej lub bardziej prawdopodobnych hipotez, dla których inspiracją było zapisane przez „Galla”

¹⁹⁵ M. Bobrzyński, dz. cyt., s. 86–87.

¹⁹⁶ Tamże, s. 86.

¹⁹⁷ Tamże, s. 87.

Anonima podanie ukazujące narodziny państwa polskiego jako wynik „podboju i połączenia ludów słowiańskich mieszkających nad Wartą przez książąt jednego z tych ludów”¹⁹⁸. A oto ciąg hipotez oddający charakter całości owego, jak je określał Bobrzyński, „najprawdopodobniejszego przypuszczenia”: 1) w IX w. zbrojne uderzenie Niemców na Słowian połabskich „musiało” mieć reperkusje wśród Polan, gdzie dawne rządy wiecowe zastąpiła sprawniejsza organizacyjnie władza książąt-wojowników; 2) książę – „prawdopodobnie” gnieźniński, który „może” nosił imię Ziemowita, wypędził księcia sąsiedniego ludu i w ten sposób połączył oba terytoria w jedno państwo; 3) jego dzieło kontynuowali następcy, którzy albo podbijali, albo „dobrowolnie” przyłączali „korzące” się przed nimi kolejne ludy, a „zjednoczywszy jeden szczerp mogli też książęta piastowscy pomyśleć o podboju innych sąsiednich szczerpów i narzuceniu im polskiej organizacji. W ten sposób przyłączyli po kolei Śląsk, Mazowsze, Pomorze, Chrobację i utworzyli wielkie państwo polskie kilka szczerpów w sobie obejmujące”¹⁹⁹; 4) ich dzieło zostało do końca doprowadzone („dopięte”) już przez władców historycznych, Mieszka i Bolesława Chrobrego.

Pora na rekapitulację. Bobrzyński odrzucał podbój zewnętrzny jako sposób powstania państwa polskiego. Oczywiście w sensie potencjalnym podbój ten istniał pod postacią „szczęku oręza niemieckiego”, ale było to tylko zagrożenie, impuls pobudzający samorodne formowanie się państwa i powiększanie go drogą podbojów o charakterze wewnętrznym. Co ciekawe, „wewnętrzność” występowała w jego koncepcji w dwojakiej postaci – szerszej i węższej. W szerszej, ponieważ były to podboje dokonywane wewnątrz etnosu ogólnosłowiańskiego, w węższej natomiast, ponieważ nie wyszły one poza obręb subetnosu, jaki stanowiła „Słowiańszczyzna polska”. Skądinąd podboje bratnich ludów i szczerpów nie były warunkiem *sine qua non* ich jednoczenia. Mogły się one ukorzyć bez walki – czy to z powodu korzyści, jakie przynosi silne państwo, czy ze strachu wywołanego wspomnianym „szczękiem”. Tyle że tym razem szczękał już oręż piastowskich władców. Uosabiali oni zasadę monarchiczności i dynastyczności – jedyną mogącą zapewnić państwu siłę i stabilność. Zdaniem Bobrzyńskiego istniała konieczność odejścia od praktyk słowiańskich wieców, zdominowanych przez pryncypium dobrowolności powoływania większych związków politycznych i ich naczelników. Dobrowolność obowiązywała wszak i „w drugą stronę”, prowadząc do wypowiedzania posłuszeństwa i zrywania doraźnych związków quasi-państwowych. Państwo zatem powinno być ukonstytuowane na przymusie. I temu właśnie zadaniu sprościli władcy z dynastii Piastów. To dzięki

¹⁹⁸ Tamże, s. 91.

¹⁹⁹ Tamże, s. 92.

nim Polska powstała nie w wyniku zewnętrznego podboju, ale w obronie przed nim, a elementy przymusu, jakie wystąpiły w trakcie jej narodzin, miały jak gdyby charakter napięć familijnych, występowały bowiem wewnątrz słowiańskiego subetnosu określonego mianem „Słowiańszczyzny polskiej”. Trudno się oprzeć wrażeniu, że tego typu „domowe podboje” miały, i to nie tylko w ujęciu Bobrzyńskiego, status niemal... pacyfistyczny. Ale czy takie ich rozumienie należy już do przeszłości? Do kwestii tej wypadnie powrócić w konkluzjach tej książki.

STANISŁAWA SMOLKI POLEMIKA Z FRANCISZKIEM PIEKOSIŃSKIM

W zdaniu otwierającym *Oświadczenie tymczasowe*, które Michał Bobrzyński umieścił w tomie czternastym „Rozpraw i Sprawozdań z Posiedzeń Wydziału Historyczno-Filozoficznego Akademii Umiejętności”, odnajdujemy następującą deklarację: „Rozprawę z p. Piekosińskim ułatwił mi p. Smolka przez gruntowne i stanowcze wyrócenie całej teorii najazdu. Już na posiedzeniach Akademii, na których p. Piekosiński czytał swoją rozprawę, miałem sposobność przeciw teorii najazdu nie tylko się oświadczyć, ale oświadczenie to popierać identycznymi niemal z p. Smolką argumentami. Na cały wywód p. Smolki w tym kierunku piszę się też zupełnie”²⁰⁰.

Wspomniany tom „Rozpraw i Sprawozdań z Posiedzeń Wydziału Historyczno-Filozoficznego Akademii Umiejętności”, w którym wraz z pracą Piekosińskiego zamieszczono dwa obszernie studia autorstwa Bobrzyńskiego i Smolki, poświęcony był genezie społeczeństwa polskiego. Znalazło to odzwierciedlenie w tytułach, jakimi trzech autorów opatrzyło swe teksty. Bobrzyńskiego interesowała *Geneza społeczeństwa polskiego na podstawie kroniki Galla i dyplomatów XIIgo wieku*²⁰¹, Piekosiński pisał *O powstaniu społeczeństwa polskiego w wiekach średnich i jego pierwotnym ustroju*²⁰², natomiast Smolka ocenił obu wymienionych, ogłaszając *Uwagi o pierwotnym ustroju społecznym Polski Piastowskiej z powodu rozpraw pp. Bobrzyńskiego i Piekosińskiego*²⁰³. Jakkolwiek w przytoczonych tytułach nie można odnaleźć ani słowa na temat genezy państwa polskiego, a w jej ramach hipotezy najazdu i podboju, to nie sposób się dziwić, że w powiązanych z nimi tekstach kwestia ta należała do najważniejszych. Bobrzyński na przykład wśród „pytań najglówniejszych” przyznawał pierwsze miejsce kwestii: „Czy społeczeństwo polskie z jednolitego czy też

²⁰⁰ „Rozprawy i Sprawozdania z Posiedzeń Wydziału Historyczno-Filozoficznego Akademii Umiejętności” 14, 1881, s. 399.

²⁰¹ Tamże, s. 1–84.

²⁰² Tamże, s. 85–292.

²⁰³ Tamże, s. 293–398.

z różnorodnych złożyło się żywiołów?” i wskazywał na dwie konkurujące ze sobą hipotezy, z których pierwsza, „nader rozpowszechniona”, zakładała, że źródłem podziału na szlachtę i „lud wiejski” był obcy podbój, druga natomiast głosiła, że „różnice stanów są skutkiem historycznego rozwoju”²⁰⁴. Nie ma potrzeby powracać tu do omówionych wyżej poglądów Bobrzyńskiego, nie sposób jednak zrezygnować z bliższej analizy poglądów Smolki, o którym jak dotychczas wypadło wspomnieć jedynie incydentalnie.

Smolka przyznawał, że choć w swej świeżo wydanej książce *Mieszko Stary i jego wiek* (1881) kwestię narodzin państwa polskiego potraktował, zgodnie z określonymi w tytule ramami chronologicznymi, ubocznie, to nie ma co do tego wątpliwości, że kluczem do zrozumienia przekształceń społeczeństwa Polski pierwszych Piastów jest odpowiedź na pytanie: „czy państwo polskie zawdzięczało swój początek najazdowi obcego plemienia, czy też urosło organicznie w podobnych warunkach jak inne pokrewne państwa słowiańskie”²⁰⁵. Sądził, że jakkolwiek źródła nie są w tym wypadku zbyt obfite, to wbrew rozpowszechnionym mniemaniom uznawał, że jest ich dostatecznie dużo, by wyjść poza krąg hipotez i rzecz ostatecznie rozstrzygnąć²⁰⁶. W „rozprawie z Piekosińskim”, by powtórzyć celne, choć zapewne użyte w intelektualnym pośpiechu określenie Bobrzyńskiego, Smolka odwoływał się nierzadko do tego, co „stwierdziła historia”, czy to pod postacią ustaleń faktograficznych i drobnych uogólnień, czy też generalizacji o niemal uniwersalnym stopniu ogólności, a więc zbliżających się do kategorii „praw”. Tak też było z następującą formułą: „Historia zaś stwierdza ogólnie, że gdzie tylko u Słowian przyszło do wytworzenia się silniejszych organizmów państwowych, działo to się zawsze w sposób dwojaki. Albo nad rozgałęzionymi plemionami jakiegoś szczepu jedno plemię zdobyło sobie przewagę i w **miejsce pierwotnego rozbicia** postawiło fundamenta budowy państwowej, albo też szczep jaki obcy ujarzmieniem Słowian utworzył państwo i zasymilował się później z podbitą ludnością, jak Waregowie na Rusi, a na półwyspie bałkańskim Bułgarzy” (podkr. – A.W.)²⁰⁷.

Prawdę powiedziawszy, Smolka nie natrudził się zbytnio, obwieszczając, że u Słowian „silne organizmy państwowe zawsze i wszędzie formowały się albo w wyniku obcego podboju”, albo w sposób wewnątrzszczepowy lub, jak to określił, „organiczny”. Skądinąd ten drugi wariant, podobnie jak w ujęciu Bobrzyńskiego, nie wykluczał podbojów dokonywanych na pokrewnych

²⁰⁴ Tamże, s. 3.

²⁰⁵ Tamże, s. 302.

²⁰⁶ Smolka miał tu na myśli głównie źródła proveniencji cesarsko-niemieckiej, dotyczące Słowian połabskich, oraz czeskiej, mogące służyć „bliższymi” analogiami.

²⁰⁷ S. Smolka, dz. cyt., s. 302–303.

sobie plemionach. W efekcie cała ta opozycja pojęciowa polegała na klasycznej rozłączności podziału logicznego. Zawartość formuły mówiącej, że państwa słowiańskie powstawały „albo w wyniku obcego podboju, albo innymi drogami” można łatwo zuniwersalizować przez opuszczenie przymiotnika „słowiańskie” i w ten sposób podnieść ją z poziomu generalizacji historycznej na szczebel prawa dziejowego. Liczba takich „praw” skonstruowanych według schematu, że w historii bywa „albo tak, albo nie tak” jest limitowana jedynie inwencją ich twórców.

W polemice z hipotezą najazdu znad Łaby Smolka zastosował zręczną figurę perswazyjną, zestawiając z jednej strony „dzieje wyobrażone” Piekosińskiego, z drugiej zaś dzieje „historycznie potwierdzone”. Owa konfrontacja „tego, co zostało wymyślone” z „tym, co było naprawdę” przybrała formę godną dosłownego przytoczenia choćby ze względu na potwierdzenie spostrzeżenia, które wykracza wprawdzie poza tematykę tej książki, ale dla piszącego te słowa było sporym zaskoczeniem, a mianowicie, że uczestnicy posiedzeń w Akademii Umiejętności nie zawsze musieli się nudzić.

Historia „wymyślona”. „Czy to rzecz podobna do prawdy – pisał Smolka – żeby owi kresowi Lechici nadłabscy, dzięki swej wojowniczej organizacji, zapożyczony od Normanów, którą przez tak długie wieki zachowali w warownych obozach, przelękli się tak strasznie natarcia Saxonów czy frankońskich monarchów, i znikli bez śladu z pierwotnych swoich siedzib, tak że nawet żadne echo ich bohaterskiej ucieczki nie przechowało się we współczesnych źródłach frankońskich lub w późniejszych podaniach WIDUKINDA, ADAMA BREMEŃSKIEGO albo HELMOLDA. Strach jakiś paniczny gnał ich ku wschodowi, bo nie zatrzymali się i u współplemiennych Obodrytów albo Lutyków, ale przebiegłszy ich ziemie, oparli się aż na wschodnich kresach lechickiego osiedlenia, obliczając przezornie, że dopiero za dwa wieki do tych stron dotrze oręż niemiecki”²⁰⁸.

Historia prawdziwa. „Inaczej postępowali historyczni Połabianie lechicy, o ile nam są znane ich dzieje ze źródeł współczesnych. Wchodzili bowiem w związki z Karolem Wielkim pomagając mu przeciw Saksonom właśnie pod koniec VIII wieku, i w nagrodę za to otrzymali dalsze rozprzestrzenienie swych siedzib kosztem kresowego osiedlenia saksońskich plemion. Później zaś, kiedy zaborcza polityka Karolingów i Ludolfingów przeciw nim się zwróciła, każdej piędzi ziemi bronili z uporem, pokonani godzili się na płacenie trybutu, byle pozostać w spokojnym posiadaniu tej ziemi, burzyli się w chwilach pomyślnych przeciw obcej zwierzchności i ulegli w końcu dla braku dość silnej organizacji wojennej, którąby Niemcom sprostać zdołali. Słowem historyczni Połabianie lechicy, Wągrowie,

²⁰⁸ Tamże, s. 329.

Obodryci itp. byli w całych swych dziejach istną antytezą fikcyjnych Połabian p. Piekosińskiego²⁰⁹.

Dziejów wyobrażonych c.d. – *reductio ad absurdum*. „Dalsze zresztą dzieje tego fikcyjnego szczepu, to również stek samych nieprawdopodobieństw. Przez dwa wieki istnieje utworzone przezeń państwo zaborcze, obszarem znaczne i silne organizacją wojenną, a mimo to nic sobie nie zdobywa prócz reputacji, cnotliwym tylko kobietom właściwej, bo w całym świecie nic o nim nie wiedzą. Rycerstwo stoi ciągle w pogotowiu wojennym, oszańcowane w wielkich obozach, czekając przez sześć pokoleń, aż przyjdzie pora do boju, skoro Niemcy się uporają z współplemieńcami męźnych najeźdźców, z historycznymi Połabianami, którzy nie mieli tyle rozumu aby uciekać nad Wartę i Wisłę. Prawda, że o tym państwie nie może wiedzieć współczesna historiografia niemiecka, gdyż najeźdźcy połabscy schowali się właśnie przed Niemcami w te strony bezpieczne. Dziwna rzecz jednak, że daleki geograf bawarski, piszący pod koniec IX wieku, ma jakieś niedokładne wiadomości o Wiślanach, Ślęzanach i Łęczycanach, a milczy jak grób o tym państwie potężnym, którego posady rozpięły się nad Wisłą, na obszarze późniejszego Śląska i w okolicach Łęczycy²¹⁰.”

Smolka odrzucał teorię podbojowej genezy polskiego państwa, polemizując z nią z ironią przechodzącą niemal w szyderstwo. Niejako na otarcie łez przyznawał Piekosińskiemu zasługę „niezawodnie ciekawego odkrycia” runicznej genezy herbów polskich oraz wskazania na znaczenie powiązanych ze znakami wojskowymi (godłami chorągiewnymi) zawołań rycerskich. Znamienne jednak, że chwając swego adwersarza, nie omieszkał zarazem go pouczyć, iż „runiczne odkrycie” bynajmniej nie wspiera hipotezy o najeździe znormanizowanych Lechitów znad Łaby. Zachowane zabytki ich „obumarłej cywilizacji” miały wskazywać, że nie znali oni pisma runicznego, a nawet więcej, ową nieumiejętność czyniły wręcz „faktem niewątpliwym”. Według Smolki większe walory perswazyjne miałyby koncepcja wywodząca państwowotwórczych najeźdźców nie z nadłabskich Lechitów, lecz z Pomorzan. Zachowywała ona teoretyczne ramy modelu Piekosińskiego, zmieniając jedynie wpisany w weń podmiot państwowotwórczy – znormanizowanych Lechitów zastępowali równie znormanizowani, ale usadowieni bliżej kolebki państwa polskiego Pomorzanie, co całość mogło czynić prawdopodobniejszą. Mogło, ale i tak byłby to wypadek jedyny, wyjątkowy. „Znamy bowiem z historii – pisał Smolka – rozmaite typy państw powstałych z najazdu, gdzie najeźdźcy utworzyli wyższą warstwę społeczeństwa, zepchnąwszy ludność ujarzmioną do stanowiska klasy poddanej, ale nie ma przykładu, żeby takie państwo

²⁰⁹ Tamże.

²¹⁰ Tamże, s. 339.

powstało kiedykolwiek z najazdu szczepu współplemiennego, wszędzie najeźdźcy reprezentują pierwiastek plemienny, odrębny od ujarzmionej ludności. Z tego powodu hipoteza Szajnochy, jakkolwiek z gruntu nieuzasadniona, ma znacznie więcej wewnętrznego prawdopodobieństwa, niżli pomysł p. Piekosińskiego²¹¹. Nie rozstrzygając, czy Smolka miał rację, utrzymując, że powstanie państwa w wyniku pobratymczego najazdu byłoby historycznym wyjątkiem, warto zwrócić uwagę, że chyba tkwił w tym jakiś paradoks, iż wariant bardziej prawdopodobny (pomorski) okazywał się w historii równie nieprawdopodobny jak wariant mniej prawdopodobny (połabski).

Utworzenie modelu alternatywnego, w którym Lechitów zastąpili Pomorzanie, zarzuty niewłaściwej interpretacji dwóch świadectw źródłowych (przytoczonej przez Al Bekriego relacji Ibrahima ibn Jakuba i kroniki „Galla” Anonima) oraz wykazanie „wewnętrznych nieprawidłowości” przejawiających się pod postacią rozlicznych kolizji „historii prawdziwej” z „historią wyobrażoną” Piekosińskiego stanowiły destruktywną (krytyczną) część rozprawy Smolki. Trzeba zatem odnotować, że historyk pomieścił w niej również część konstruktywną (konstrukcyjną?), w której geneza państwa polskiego przedstawiona została w konwencji samorodnego „zgarbiania” (nie podboju) przez „przedsiębiorczych dynastów plemiennych” pokrewnych szczepów słowiańskich i „rozciągania” (nie zbrojnego narzucania) swej hegemonii nad sąsiednimi dynastami lub sytuowania ich w nowym państwie jedynie w szeregach wyższej warstwy społecznej. To był, w ujęciu Smolki, najogólniejszy model formowania się państw słowiańskich. Wyjątki pod tym względem stanowiły „ponajazdowa” Ruś i Bułgaria, a z drugiej strony te plemiona słowiańskie, które „nie doczekały się takiej genezy organizacji państwowej i zmarniały w przedwiekowym rozdrobnieniu, nie wytworzywszy w karbach silniejszego ustroju państwowego odrębnej indywidualności narodowej”²¹². Prawdę powiedziawszy, tych wyjątków było dość sporo i można się zastanawiać, czy nie kwestionowały one zasadności całego modelu, który skądinąd dawał się odnieść nie tylko do Słowian.

* * *

Swoisty konkurs trzech historyków, jakim stał się czternasty tom „Rozpraw i Sprawozdań z Posiedzeń Wydziału Historyczno-Filozoficznego Akademii Umiejętności”, poświęcony formowaniu się społeczeństwa polskiego i w równej niemal mierze genezie polskiego państwa, nie miał wielkiego finału. Autorzy deklarowali bowiem, że to, co opublikowali stanowi

²¹¹ Tamże, s. 329.

²¹² Tamże, s. 331.

jedynie efekt wstępnych penetracji tematu i każdy z nich zamierza rzecz ująć w odrębnym, w pełni udokumentowanym źródłowo dziele. „Tymczasowość” do tego stopnia zaciążyła nad zawartością całego tomu, że Bobrzyński nawet swe zamieszczone w nim oświadczenie określił nieco dziwacznie dla nas brzmiącym mianem „oświadczenia tymczasowego”. Ponieważ owe teksty nie należały do najmniejszych (w przypadku Bobrzyńskiego i Smolki ich objętość wynosiła po ok. 100 stron, w przypadku Piekosińskiego – ponad 200), można się było spodziewać, że na ukazanie się dzieł „ostatecznych” trzeba będzie poczekać. Zapadła cierpliwa cisza. W 1883 r. przerwał ją Piekosiński, który mimo że dwa lata wcześniej zapowiadał przekształcenie swojego „ogólnego szkicu” w dzieło całkowicie „wykończone”, zamieścił w szesnastym tomie „Rozpraw i Sprawozdań z Posiedzeń Wydziału Historyczno-Filozoficznego Akademii Umiejętności” publikację niemającą jednak cech owego wykończenia. Była to po prostu polemika z niektórymi zarzutami wysuniętymi poprzednio przez Bobrzyńskiego i Smolkę.

W nowej publikacji Piekosiński podtrzymał swe stanowisko, starając się między innymi wykazać, że rozbieżności między obu jego krytykami jedynie potwierdzają hipotezę państwowotwórczego podboju²¹³. Ciekawe jednak, że szukał rozstrzygnięcia sporu bardziej w planie teoretycznym niż faktograficznym. Pytanie, które uznał za fundamentalne, brzmiało: „czy średniowieczny ustrój Polski piastowskiej, przedstawiający społeczność polską podzieloną na trzy klasy kastowo od siebie odgrozione²¹⁴ [...] mógł powstać bez żadnej zewnętrznej katastrofy, jedynie w drodze prawidłowego rozwoju tej gałęzi szczepu lechickiego, która osiadła w prawieku nad Wartą i Odrą, i była następnie zawiązkiem państwa polskiego?”²¹⁵. Warto zwrócić uwagę, że Piekosiński, będąc w odniesieniu do Polski zwolennikiem hipotezy państwowotwórczego podboju, kwalifikuje ów podbój do kategorii katastrof zewnętrznych i przeciwstawia mu, jako prawidłową, drogę „wewnętrznych” narodzin państwa. To nie przypadek, w konkluzjach wieńczących jego publikację czytamy bowiem, że w dziejach Lechitów „należy przyjąć podbój jako tę katastrofę dziejową, która pierwotny ustrój społeczny tego szczepu a raczej jego gałęzi osiadłej między Wartą, Odrą i Wisłą z gruntu zmieniła, a wtenczas obraz społeczeństwa polskiego [...] odpowiadać będzie ustrojowi społecznemu Polski piastowskiej w ogóle”²¹⁶. Idąc tym tropem, trzeba byłoby uznać, że państwo polskie powstało w sposób anomalny, dzięki wielkiej katastrofie, którą jedni

²¹³ F. Piekosiński, *Obrona hipotezy najazdu...*, s. 143.

²¹⁴ Były to: 1 – „liczna klasa szlachty”, 2 – „nader liczna klasa ludzi wolnych”, 3 – „liczna klasa niewolników”; tamże, s. 4.

²¹⁵ Tamże.

²¹⁶ Tamże, s. 144.

Lechici urządzili drugim, a całokształt dziejów tego państwa spięła w 1795 r. klamra dwóch katastrof.

Ani Smolka, ani Bobrzyński nie odpowiedzieli na takie *dictum*. Zapewne głównie dlatego, że uznali kwestię za zamkniętą. Ale nie tylko. Pierwszy z upływem lat coraz wyraźniej przenosił swe zainteresowania na czasy znacznie mu bliższe (prace o Konstytucji 3 maja i polityce Lubeckiego), drugiego coraz bardziej pochłaniała działalność polityczna. Kilkanaście lat później zrobił to wszakże Antoni Małecki, który w walce z „obłądem lechickim” zakwestionował argument Piekosińskiego, że o gwałtownym, „kastowym” zróżnicowaniu polskiego społeczeństwa w wyniku podboju świadczy brak warstw pośrednich między wolną szlachtą a pozostającym w poddaństwie i bez praw do ziemi chłopstwem. Warto tu przypomnieć, że Małecki odnajdywał taką warstwę w „klasie *heredes, possessores, liberi rustici*, słowem – włościańskiej wprawdzie, ale z dziada pradziada wolnej i posiadłej ludności, która z tamtymi żadnej ani ekonomicznej ani rodowej nie miała wspólności i właśnie stanowiła w pierwotnej Polsce ów między rycerstwem a klasą poddańczą »pomost«, którego istnienia p. Piekosiński zaprzecza”²¹⁷.

DALSZE ROZRACHUNKI Z HIPOTEZĄ PIEKOSIŃSKIEGO

Hipoteza Piekosińskiego nie znalazła entuzjastów ani wśród historyków zaliczanych do krakowskiej szkoły historycznej, ani tych, których – jak Stosława Łagunę – przyporządkowano szkole warszawskiej, ani w końcu również i takich, których tak jak Oswalda Balzera można było zaliczyć do obu szkół: i krakowskiej (pierwsza faza twórczości), i warszawskiej (druga faza)²¹⁸. Historyk ów, o czym będzie jeszcze mowa dalej, zarówno wtedy, gdy bliższy był krakowskim „pesymlstom”, jak i wówczas, gdy uznano go za herolda łączącego ze szkołą warszawską „optymlzml”, niezmiennie przeciwstawił hipotezie podboju „rodową”, a więc całkowicie endogeniczną i ewolucyjną zarazem koncepcję powstania polskiego państwa.

Nie było jednak tak, by Piekosiński niemal całkowicie został odosobniony w swej wizji „dwóch polskich ojczyzn”, z których jedna miała leżeć na Wartę, a druga nad Łabę. Za bardzo ostrożne wsparcie dla swej tezy mógł uznać wystąpienie Karola Potkańskiego, który w wyniku przeprowadzonej przez siebie analizy językoznawczej uznał za możliwą do przyjęcia hipotezę, że „nazwa Lęch pochodzi od fizjograficznych własności kraju i wyraża mniej więcej to samo, co Polanin”²¹⁹, czyli słowa, które po ztracie nosówki przybrało

²¹⁷ A. Małecki, *Lechici w świetle historycznej krytyki...*, s. 258.

²¹⁸ Pisałem o tym w przedmowie do: O. Balzer, *Z zagadnień ustrojowych Polski*, Warszawa 1985, s. 5–29.

²¹⁹ K. Potkański, *Lachowie i Lechici*, Kraków 1897, s. 37.

formę Lech, a później Lach, wywodzącą się z ukraińskiego słowa Ljad (ljadi), oznaczającego ugór. Jeśli zatem właśnie tym słowem miała się określać część tubylców ziem ruskich, to kolebką Lachów-Polan byłyby Ukraina. Nie zgadzając się jednak z takim ujęciem, Potkański zaproponował własne, zgodnie z którym „nazwa Lęchów jest bardzo stara, istniała tylko w przedhistorycznych czasach, a wreszcie myśmy się sami, ale zawsze w przeciwstawieniu do Słowian wschodnich tak nazywali. Przy takim sformułowaniu wniosku tylko to jest nowem, że myśmy się tak sami nazywali”²²⁰. Owo, tak mocno podkreślone, „nowe” było bardzo ważne. Słowo, jakimi wspólnota plemienna określała samą siebie decydowało wszak o jej tożsamości w danym fizjograficznie miejscu. Odrzucając pogląd, że pierwotne siedziby Lęchów były na Ukrainie, Potkański przyjmował, że „są one tam, gdzie Nestor je wskazał, nad Wisłą i za Wisłą, w Słowiańszczyźnie zaodrzańskiej”²²¹. W sumie wspierał więc pogląd o istnieniu dwóch ośrodków lechickich – jednego między Odrą a Łabą i drugiego między Odrą a Wisłą. Było to kilkanaście lat po uznaniu przez Smolkę i Bobrzyńskiego Lechitów nadłabskich za stworzoną przez Piekosińskiego fikcję, a zarazem w tym samym roku (1897), w którym Małecki opublikował monografię poświęconą dziejom „obłędu lechickiego”. Warto w tym miejscu nadmienić, że w swych późniejszych dociekaniach, udostępnionych czytelnikom dopiero w wydanych po I wojnie światowej pismach pośmiertnych, Potkański odciął się od możliwości uwzględnienia czynnika normańskiego w genezie polskiego państwa i społeczeństwa, co z kolei wzbudziło wątpliwości Franciszka Bujaka²²².

Według Balzera teoria Piekosińskiego, mimo że pod koniec XIX w. wzbudziła żywe zainteresowanie i to nie tylko w świecie nauki, „nie znalazła jednak prawie żadnego zwolennika, któryby ją wyraźnie przyjął czy też nowymi argumentami poparł”²²³. Na tej ocenie wypadnie w tym miejscu poprzestać, dodając wszakże, że jej autor w swej ostatniej pracy, ukończonej na kilka tygodni przed śmiercią (1933), uznał za celowe poddanie koncepcji Piekosińskiego „krytyce ogólnej, rozpatrującej całość argumentów tego poglądu w organicznym ich między sobą związku”, co też uczynił²²⁴.

Omówione tu koncepcje sformułowane były przez historyków reprezentujących różne postaci konserwatyzmu. Jednak bez względu na to, jakim

²²⁰ Tamże, s. 72.

²²¹ Tamże.

²²² Wątek ten podejmuję w rozdziale w rozdziale II przy okazji charakterystyki poglądów Bujaka.

²²³ O. Balzer, *O kształtach państw pierwotnej Słowiańszczyzny zachodniej*, w: *Pisma pośmiertne Oswalda Balzera*, t. 3, Lwów 1937, s. 19.

²²⁴ Szerzej o krytyce koncepcji Piekosińskiego przez Balzera piszę w kolejnym (II) rozdziale niniejszej książki.

przymiotnikiem usiłowałibyśmy dookreślić miejsce każdego z nich w *continuum* zawartym między ekstremami konserwatyizmu skrajnego („reakcyjnego?”), któremu najbliższy był Walewski, a konserwatyizmu liberalizującego („postępowego?”), z którym połączyć można Małeckiego i Smolkę, to we wszystkich omówionych koncepcjach narodzin polskiego państwa dostrzec można pewną niekonsekwencję. Po prostu ich autorzy niemal dogmatycznie przyjmowali tezę o słowiańskiej nieudolności państwowotwórczej, ale zarazem nie łączyli tej cechy z hipotezą powstania państwa polskiego w wyniku podboju zewnętrznego. A przecież takiemu właśnie połączeniu dałoby się przypisać walor koherencji. Pamiętać przy tym należy, że nawet Piekosiński, którego koncepcję z takim zapalem historycy szkoły krakowskiej zwalczali, „podbijał”, by tak rzec, samorodnie – słowiańskich Lechitów przez słowiańskich Lechitów, tyle że ci drudzy byli już wcześniej państwowotwórczo udoskonaleni przez Normanów. Owo „tyle” wystarczało jednak, by przy sacrum samorodności, „samozsiebnosci” i „samochętności” co najmniej postawić znak zapytania. Czy jednak owo sacrum było właściwe tylko myśli konserwatywnej? Z całą pewnością nie, bo przecież „najbardziej postępowy” z wszystkich nurtów myślenia o czymkolwiek – marksizm – poszedł w istocie tym samym, „samorodnym” szlakiem „państwowotwórczej” myśli. Kwestia zaskakującego dla wielu spotkania w myśli historycznej konserwatyizmu i marksizmu została nieco szerzej podjęta w trzecim rozdziale tej pracy, poświęconym historiografii polskiej po II wojnie światowej²²⁵.

5. MIĘDZY ENDO- I EGZOGENEZĄ (CZ. 1)

Chociaż koncepcje, o których będzie tu mowa, nie wyznaczały głównego nurtu w naszej myśli historycznej, to ich obecność jest trudna do zakwestionowania. Trzy spośród nich, które sformułowane zostały w dobie podzaborowej, autorstwa Edwarda Bogusławskiego, Stanisława Zakrzewskiego i „wczesnego” Jana Karola Kochanowskiego, miały jedną cechę wspólną, jaką było odwołanie się do czynników zewnętrznych, najczęściej germańsko-normańskich. Każda z nich odmiennie jednak ukazywała skalę i rodzaj owych czynników oraz ich relacje z uwarunkowaniami wewnętrznymi. Była jeszcze jedna koncepcja, a mianowicie Kazimierza Krotoskiego, w której normański wkład w dzieło budowy państwa polskiego ukazany został bodaj najoryginalniej,

²²⁵ Tu wypadnie jedynie nadmienić, że problematykę dającą się określić mianem „zaskakujących zbieżności” w odniesieniu do historiografii marksistowskiej po II wojnie światowej w sposób nowatorski podjął: M. Górny, *Przed wszystkim ma być naród. Marksistowskie historiografie w Europie Środkowo-Wschodniej*, Warszawa 2007, *passim*.

ta jednak sformułowana została już w okresie międzywojennym i zostanie omówiona w innym miejscu.

Wyjaśnienia wymaga jeszcze jedna kwestia, a mianowicie dlaczego koncepcje, które utrzymane były w konwencji teorii podboju, zostały usytuowane „między endo- i egzogenezą”. Otóż do takiego ujęcia skłania często ich niejednoznaczność czy też brak wyrazistości, w przypadku Kochanowskiego zaś fakt, że zaczynał on jako klasyczny „normanista”, a skończył jako niedościgły wręcz orędownik tezy o „samoziębnym” uformowaniu się państwa polskiego.

WIELONAJAZDOWA KONCEPCJA EDWARDA BOGUSŁAWSKIEGO

Według Edwarda Bogusławskiego – autora dwutomowej *Historii Słowian* (1888, 1899)²²⁶ – Słowianie byli europejskimi autochtonami, wywodzącymi się z zaludniających Europę od „tysiącleci” Ariów, a dokładniej z tego ich odgałęzienia, które najwcześniej zaczęło trudnić się rolnictwem. Ojczyznę Ariów miała być „Praaria” – „kraj po obu stronach Dunaju, zowiącego się pierwotnie Donawa, gdzie się znajdowała Mezja i Dacja, gdzie dziś Bułgaria, Węgry, Rumunia, Bessarabia i nawet kraj dalej ciągnący się ku wschodowi aż do Donu”. Klimat i zróżnicowana fizjografia sprawiała, że na takim obszarze „mógł żyć wygodnie i aryjski rolnik i aryjski koczownik”²²⁷, jednak jeszcze w epoce kamiennej obszar ten okazał się zbyt mały. Ariowie-rolnicy rozprzestrzenili się po całej Europie, doprowadzając niemal do zaniku jej wcześniejszych mieszkańców, jakimi mieli być Iberowie i Finowie. Owa „rolnicza” migracja nie była jednak klasycznym najazdem, lecz raczej

²²⁶ Bogusławski, uznając, że pisownia polska jest „wadliwa i irracjonalna”, a nawet wręcz „potworna”, wprowadził w swym dziele pisownię nową, którą określił mianem „postępowej”. Nie ukrywał, że obok reformy ortografii polskiej kierowała nim również chęć przyczynienia się do ujednoczenia wszystkich alfabetów słowiańskich. Sądził, że jego propozycja stanowić będzie niemały krok w stronę tak wyznaczonego celu. Natrudził się zatem niemało, pisząc „po nowemu”, czyli umieszczając głównie nad polskimi spółgłoskami różnego rodzaju znaki diakrytyczne (daszki, przecinki itp.), zapamiętać jednak nie wystarczyło mu do końca. Już w pierwszych słowach tomu 2 *Historii Słowian* uprzedzał czytelnika, że „z przyjemnym zapewne zdziwieniem” spostrzeże on, iż autor zarzucił swą „postępową grafikę” i powrócił do grafiki „starej” i „popularnej”. Przyznawał przy tym otwarcie, że przyczynę jego rezygnacji stanowiła niechęć, z jaką proponowana reforma przyjęta została przez „ogół czytelników” i „większość uczonych”. W sumie była to kolejna słowianofilska próba mająca prowadzić do stworzenia pisowni ogólnosłowiańskiej i zapewne w tym miejscu nie warto byłoby o niej wspominać, gdyby nie fakt, że stanowi ona wymowny wskaźnik ideowej orientacji Bogusławskiego, który skądinąd był również oddanym propagatorem tej wersji panslawizmu, która bezapelacyjną dominację w przyszłej Pansławii przyznawała Rosji.

²²⁷ E. Bogusławski, *Historia Słow’an*, t. 1, Kraków 1888, s. 88.

procesem kolonizacji nieuprawianych wcześniej ziem. W efekcie zarówno we wschodniej, jak i w zachodniej Europie pojawiła się ludność lito-windyjska, czyli litewsko-słowiańska. Jednoczyły ją wspólne wierzenia religijne, obyczaje i język, a także wspólnota ustroju społeczno-politycznego, który cechowały brak własności prywatnej, zróżnicowania społecznego oraz instytucji państwa. „W Słowianach – pisał Bogusławski – był zawsze silny duch kolonizacyjny, państwowego jednakże nigdy nie było”²²⁸.

Istniało jednak i drugie aryjskie odgałęzienie, a mianowicie nomadów, ludu cywilizacyjnie prymitywniejszego od rolniczych Słowian. Ci właśnie, wywędrowawszy z „Praari”, skierowali się na wschód, po pewnym jednak czasie właśnie stamtąd poczęły nadchodzić (Bogusławski nie wykluczał, że „powracać”) aryjskie plemiona germańskich nomadów i głównie one dokonały podboju rolniczych Słowian. W wyniku najazdów utworzone zostały odrębne państwa, wprowadzono zróżnicowanie społeczne (szlachta) i własność prywatną, a ludność litewsko-słowiańska poczęła mówić odmiennymi językami. Zazwyczaj podbici przyjmowali język i normy obyczajowe zwycięzców, bywało jednak i odwrotnie. Wyższy stopień rozwoju autochtonów (rolników) nierzadko powodował, że najeźdźcy przejmowali ich kulturę i religię, a wchodząc w związki rodzinne z miejscowymi kobietami, zatracali ślady swego koczowniczego pochodzenia.

Bogusławski należał do tych, którzy w całej rozciągłości przyjmowali klasyczną postać teorii podboju. Tak jak Gumpłowicz czy Limanowski, nie wyobrażał sobie innej drogi formowania się państw. „Wszędzie na całej kuli ziemskiej pisał – początek państwom dawały wędrowne drużyny. Tak samo było i na całej ziemi niegdyś windyjskiej”²²⁹. W efekcie znaczna część Słowian uległa „germanizacji, zmadziaryzowaniu lub zwłoszczeniu”, a pozostałej ich części nadal, i to w coraz większym stopniu, zagraża niebezpieczeństwo germanizacji.

Warto zwrócić uwagę, że taka koncepcja powstania państw zamieszkiwanych przez ludność słowiańską godziła w siebie dwie, zdawać by się mogło, rozłączne – w sensie podziału logicznego – kategorie, a mianowicie najazdu wewnątrzetnicznego i zewnątrzetnicznego. Był to z jednej strony najazd Ariów (nomadów) na Ariów (rolników), z drugiej jednak był on też najazdem Germanów (choć nie wyłącznie) na Słowian, w wyniku którego nastąpiła fuzja dwóch nie tylko odmiennych, ale wręcz przeciwstawnych sobie sposobów życia, obyczajów, wierzeń religijnych, języków itp. I tu, i tam mamy do czynienia z tak czy inaczej rozumianą „etnicznością” (etnosem), z tym że monoetniczności Ariów nie przeczy dwuetniczność koczowniczo-

²²⁸ Tamże, s. 297.

²²⁹ Tamże.

-wojowniczych Germanów i rolniczo-pokojowych Słowian. W istocie są to dwa różne stopnie „etniczności” zawarte w *continuum* swój – obcy. Lecz jeśli tak, to można powiedzieć, że w obrębie Ariów, stanowiących, według Bogusławskiego, konglomerat ludności o czaszkach długogłowych i krótkogłowych, a więc według ówczesnych kryteriów zróżnicowany „rasowo”, od „samego początku” kryły się dwie podstawowe struktury etniczne – litewsko-słowiańska i germańska. Konsekwencje takiego myślenia mogą doprowadzić do wniosku, że najazd zewnętrzny był w jakimś sensie najazdem wewnętrznym, zaprogramowanym niejako przez fakt prymarnego podziału na Ariów-rolników i Ariów-nomadów. Nie warto jednak snuć dalszych domysłów na temat przejrzystości i spójności koncepcji Bogusławskiego w jej części „aryjskiej”. I to tym bardziej, iż dla jej autora nie był to jedyny najazd, który prowadził do tego, że Polska wyłoniła się w średniowieczu jako państwo rządzone przez Piastów.

Według Bogusławskiego ziemie polskie już w czasach grecko-rzymskich kojarzone były Sarmacją i ziemiami Lugów (Łęchów, Lechów), wywodzących swą nazwę od łąk (pól) zwanych łęgami. Były to ziemie, których znaczną część zwano Chrobacją (Chorwacją) Białą lub Wielką, ze względu na to, że zajmowali ją Chorwaci (Chrobaci). Panowali oni również w Chrobacji czeskiej, jednak jeszcze za życia Chrystusa ich potęga została złamana. Na ziemiach polskich, czyli w Lechii, utrzymywali się jeszcze do końca III w., kiedy ostatecznie przenieśli się do Ilirii. Odtąd Chrobację polską, obejmującą ziemie krakowską i sandomierską, coraz częściej nazywano ziemią Wiślan. Jej centralnym grodem był Kraków.

Drugim obszarem, który dał początek państwu Piastów, były ziemie Polan. „Polanie – pisał Bogusławski – już za czasów starożytnych byli znani jako lud w Sarmacji, potem jako lud lechicki po obu stronach Warty mieszkający”²³⁰. Najpóźniej od początku VIII w. stolicami tych ziem były Gniezno i prawdopodobnie Kruszwica, którymi zawiadywali władcy z rodu Popielidów. Nie była to jednak dynastia lechicka, lecz pochodząca ze Skandynawii. Bogusławski domniemywał, że wywodziła się ona od „jakichś bliżej nieznanych Swewów”, którzy między I a IV w. podbili kraje nad Wartą, a potem sięgnęli również po tereny nad górną Wisłą. Od owych Swewów („Suevi”) wywodzić się też miały nazwy Slavonia i Slawi, które zastąpiły nazwy Lechii i Lechów. Rządy Popielidów były więc wynikiem normańskiego najazdu. A jak było z rządami Piastów?

Nie wiadomo, jak to się stało, zapewne jednak „naturalną rzeczą kolejną”, dynastia Popielidów zaczęła chylić się ku upadkowi, aż w połowie IX w., kiedy panowała jedynie nad ziemiami Polan z Gniezmem oraz Kujawami z Kruszwicą,

²³⁰ E. Bogusławski, *Historia Słowian*, t. 2, Kraków 1899, s. 373.

jej rządy ostatecznie upadły. Stać się to miało w wyniku politycznego przewrotu i mordu dokonanego na ostatnim przedstawicielu tego rodu. Sprawcą owej „krwawej rewolucji”, w trakcie której oprócz władcy zamordowani zostali jego żona i synowie, był Ziemowit, nazwany przez Bogusławskiego „synem rataja”. Byłby to zatem lechicki rolnik, wymierzający potomkom dawnych Normanów „sprawiedliwość dziejową”. Rzecz jednak ciekawa, że Bogusławski nie wykluczał, iż mogło się to stać „z pomocą najętej drużyny normandzkiej”. Oznaczałoby to, że Normanowie mieli swój udział w ponownej intronizacji władcy Lechitów, z tą jednak różnicą, że nowym władcą uczynili tym razem nie kogoś spośród swoich, lecz miejscowego Słowianina. „Członkowie tej drużyny – pisał w innym miejscu – pozostali już w wojsku Ziemowita i w Polsce, przynosząc zapewne z sobą runy jako znaki wojskowe”²³¹. Skądinąd o protoplaście piastowskiej dynastii Bogusławski wyrażał się, eufemistycznie rzecz ujmując, bez cienia sympatii: „Śmiały Ziemowit, który w ten sposób zmiażdżył Popielów, zwany był odtąd piastem czyli tłuczkiem. [...] Była to uzurpacja, dokonana drogą gwałtu i przemieszczenia. Czuli to Piastowie i stąd szerzyli i podtrzymywali tezę, że panowanie dostało się ich rodowi za wolą boską, że tylko Bóg mógł syna rataja uczynić księciem i tylko Bóg sprawił, że przy jego postrzyżynach i wyborze na księcia działy się cuda”²³². W swoich wywodach Bogusławski powoływał się na autorytety: Karola Szajnochy – „słusznie” widzącego w myszach, które miały zagryźć Popieła, „Normandów, piratów skandynawskich, tylko im zbyt wielką rolę wyznaczył”, Tadeusza Wojciechowskiego, Stosława Łaguny i Aleksandra Brücknera, którzy stali na stanowisku, że „słowo piast tylko tłuczek, żadnego piastuna, żadnego urzędu oznaczać nie mogło” oraz Franciszka Piekosińskiego, według którego potwierdzeniem państwowotwórczego najazdu znormanizowanych Lechitów były runy skandynawskie, dające początek herbom polskiej szlachty²³³.

KONCEPCJA „TRZECH(?) DRUŻYN” STANISŁAWA ZAKRZEWSKIEGO

Na początku XX w. grono zwolenników hipotezy podboju powiększył Stanisław Zakrzewski²³⁴. W odczycie habilitacyjnym wygłoszonym na Uniwersytecie Jagiellońskim w marcu 1903 r. (opublikowanym w zmienionej wersji

²³¹ Tamże, s. 378.

²³² Tamże, s. 378–379.

²³³ Tamże.

²³⁴ Zob. K. Śreniowska, *Stanisław Zakrzewski. Przyczynek do charakterystyki prądów ideologicznych w historiografii polskiej 1893–1936*, Łódź 1956, s. 62–63; ostatnio o S. Zakrzewskim pisała: K. Błachowska, *Stanisław Zakrzewski (1873–1936)*, w: *Złota księga historiografii lwowskiej...*, s. 377–398, gdzie bibliografia.

w *Zagadnieniach historycznych*, Lwów 1908, 1936) opowiedział się za koncepcją powstania państwa polskiego w wyniku podboju wewnątrznicznego, dokonanego przez władców z dynastii Piastów. Ironizował przy tym, wskazując na baśniową konwencję opowieści o spotęgowanych jakoby zagrożeniem niemieckim oddolnych dokonaniach zjednoczeniowych plemion słowiańskich. Nie wierzył, że takie dążenia uwidaczniały się w trakcie obrad starszyzn plemiennych na wiecach „odbywających się w cieniu rozłożystych, odwiecznych dębów w ostępach niedostępnych puszczy”²³⁵. Gminowładczą sielankę braterskiej integracji uważał za „niebysową nigdy abstrakcję” i polemizował z nią, splatając ze sobą dwa typy argumentacji. Pierwszy miał strukturę tak zwanego myślenia kontrfaktycznego czy historii alternatywnej (co by było gdyby?). Historyk wskazywał zatem, że „gdyby państwo nasze wytworzyło się z zasady plemiennej, łączyłoby w sobie tych plemion tak wiele, jak wiele ich istniało na przestrzeni od Łaby do Bugu”, co jak wiadomo się nie stało. Drugi typ argumentacji odwoływał się po prostu do historycznego konkretnego, jakim w tym wypadku była konstatacja, że w końcu IX w. zagrożenia niemieckiego dla plemion słowiańskich po prostu nie było. „Gdyby tak rzeczywiście było – pisał Zakrzewski, powracając zupełnie niepotrzebnie na grunt myślenia kontrfaktycznego (alternatywnego) – w polskim związku państwowym znalazłyby się na trwałe te słowiańskie plemiona, które były narażone na pierwsze niebezpieczeństwo od Niemców”²³⁶. Jest to argumentacja celniejsza w swej warstwie „konkretno-historycznej” (brak zagrożenia niemieckiego) niż w „kontrfaktycznej” obudowie, jaką historyk usiłował wzmocnić swe argumenty, nie tu jednak miejsce, by dokonywać jej bliższej oceny. Ważne, iż Zakrzewski nie miał wątpliwości co do tego, że „Piastowie skupili ziemie polskie drogą podboju”²³⁷.

Autor *Zagadnień historycznych* daleki był od kolektywistycznego pojmowania dziejów. Uważał, że w średniowieczu, ale nie tylko w tej epoce, „masom plemiennym” brakowało tych atrybutów, w jakie wyposażone są wybitne jednostki i elity. Historyczna podmiotowość „mas” była niewielka – nie miały „rozumu i woli jednoczenia się”, nie dysponowały też przemocą (przymusem) niezbędną do stworzenia i utrzymania państwa. A przecież to właśnie „przemoc była tą siłą, za pomocą której Piastowie trzymali w rękę to, co trzymać się dało, co tej przemocy uległo”²³⁸. Dopiero z biegiem czasu

²³⁵ S. Zakrzewski, *Epoka piastowska*, w: tenże, *Zagadnienia historyczne*, Lwów 1908, s. 58.

²³⁶ Tamże.

²³⁷ S. Zakrzewski, *Historia polityczna Polski*, w: *Encyklopedia polska*, t. 5, cz. 1, Kraków 1920, s. 22; szerzej na ten temat: K. Śreniowska, *Stanisław Zakrzewski. Przyczynek do charakterystyki prądów ideologicznych...*, s. 59–64.

²³⁸ S. Zakrzewski, *Epoka piastowska...*, s. 58.

przeszli oni „do środków bardziej wyrafinowanych, bardziej delikatnych, do skomplikowanego aparatu administracji państwowej”²³⁹.

Jest rzeczą ciekawą, że Zakrzewski z jednej strony wskazywał na wewnątrz- etniczny charakter państwowotwórczych podbojów Piastów, z drugiej zaś z całą mocą podkreślał, że decydującą rolę w owych podbojach odegrały warstwy społeczne o cudzoziemskiej proveniencji. Tak było z drużyną książęcą za Mieszka I, która jeśli nie w całości, to w znacznej mierze składała się z obcych. Podobnie za jego następców: „na dworze Chrobrego – pisał – zawsze są pożądanymi goście o ile są dzielnymi rycerzami. Jeszcze w XII w. Niemcy wchodzą w skład książęcego orszaku, osiadają w Polsce, otrzymują nadania w ziemi. Umiejętne zatem spożytkowanie sił obcych, zapewnienie im prawa obywatelstwa, prowadziło do zmonopolizowania ich roli społecznej na rzecz wzmocnienia potęgi księstwa”²⁴⁰. Drugim cudzoziemskim narzędziem w państwowotwórczym instrumentarium Piastów była składająca się głównie z Włochów, Niemców i Czechów warstwa kleru, stanowiąca, według określenia Zakrzewskiego, „książęcą drużynę duchowną”²⁴¹. Na owych dwóch „drużynach” nie kończy się jednak liczba warstw społecznych, jakie „książe piastowski wprowadza do Polski” i które zachowują status ludzi wolnych. Trzecią państwowotwórczą warstwę („klasę”) społeczną w Polsce czasów piastowskich, którą, by pozostać w konwencji terminologicznej Zakrzewskiego, można określić mianem „drużyny finansowej”, stanowili Żydzi. Jest to bodaj najoryginalniejszy rys koncepcji historyka i to tym bardziej że ogłosił on ją w czasie, gdy związany był z narodową demokracją, traktującą przecież „czynnik żydowski” jako wielce odległy od państwowotwórczych dla Polski zasług. Zakrzewski pisał: „Jeżeli drużyna przeznaczona była do służby wojskowej, a kler do służby duchownej na rzecz państwa – dynastii, to Żydzi mieli specjalne przeznaczenie. Zadaniem ich było regulowanie obrotu pieniężnego. Od najdawniejszych też czasów byli uważani za ludzi wyłącznie książęcych, byli warstwą specjalnie na rzecz księcia opodatkowaną, podlegającą wyłącznie jego jurysdykcji. Drużyna, kościół, Żydzi, to były elementy wolne, jakimi rozporządzał książę. [...] Jednym słowem ta warstwa wolnych cudzoziemców stanowi sferę, którąby można nazwać sferą ludzi książęcych”²⁴². Zdaniem Zakrzewskiego były to podstawowe **grupy społeczne** wprzęgnięte w państwowotwórcze poczynania władców.

²³⁹ Tamże.

²⁴⁰ *Polityka społeczna Piastów* – praca oparta na dwóch odczytach wygłoszonych w 1904 r. w Krakowie, opublikowana została po raz pierwszy w 1908 r. w *Zagadnieniach historycznych*, po raz drugi, pośmiertnie, w tomie 2 *Zagadnień...* (Lwów 1936), s. 88–106.

²⁴¹ Tamże, s. 89.

²⁴² Tamże, s. 90–91.

Na tym nie kończyło się jednak „cudzoziemskie” instrumentarium rządów piastowskich. Istniała bowiem jeszcze jedna grupa, która wprawdzie nie w całości, ale jednak w znaczącej części wchodziła w obręb państwowotwórczej „sfery ludzi książęcych”. Warstwę tę tworzyli niewolnicy, mający status całkowicie odmienny od statusu ludzi wolnych. „Różnica między pierwszymi a drugimi – pisał Zakrzewski – najcharakterystyczniejsza, to ta, że ludzie niewolni mogą należeć tak dobrze do księcia, jak do różnych elementów społecznych: mogą ich posiadać druzynnicy, książęta, Żydzi nawet, rycerstwo. Każda szczęśliwa wojna, każdy najazd na sąsiada, dawał księciu znaczną część połowu, drugą brała druzyna i rycerstwo”²⁴³. Według Zakrzewskiego niewolnicy książęcy odegrali znaczącą rolę w kształtowaniu społeczno-gospodarczego kształtu państwa Piastów. Oczywiście chodziło nie o świadome poczynania z ich strony (byli wszak najbardziej bezpodmiotową z „mas”), lecz o świadome posługiwanie się nimi przez władców, chcących osłabić dotychczasowe kasztelańsko-grodowe struktury organizacyjne, a zarazem pobudzić rozwój rolnictwa w państwie, którego ludność zajmowała się głównie myślistwem, rybołówstwem i pszczelarstwem. W czasach Hermana i Krzywoustego nastąpił, jak to określił Zakrzewski, „przełom w formie spożytkowania niewolników”. O ile dotychczas byli oni tylko polskim towarem eksportowym, to teraz książę panujący „poczyna go obracać w produkcyjną siłę gospodarczą”. Stać się to miało w wyniku „masowego” jakoby osadzania niewolników na książęcej ziemi i wprowadzania związanej z tym organizacji nadzoru mającego na celu zachowanie równowagi między osadnikami a ludnością miejscową. Zakrzewski nie dopowiedział jednak do końca, z jakich grup etnicznych wywodzili się niewolnicy. Z całą pewnością nie byli oni autochtonami na ziemiach, na których osadzani byli przez księcia, ale czy można jednak byłoby uznać ich za „pełnych” cudzoziemców, a nie za słowiańskich sąsiadów „zza między”, tego nie wiemy.

Pomijając warstwę faktograficzną i argumentacyjną wywodów Zakrzewskiego, powiedzieć trzeba, że skutków „masowego osadnictwa” niewolników w państwie pierwszych Piastów doszukiwał się on w: 1) „najwcześniejszym i najintensywniejszym” przekształceniu obszarów książęcych w obszary rolnicze, co było oznaką gospodarczego postępu, 2) osłabieniu władzy kasztelanów i złamaniu odrębności prawno-geograficznej grodów i gródtw w wyniku nadania osadzonym na „nietykalnej” ziemi książęcej niewolnikom odrębnej organizacji, co miało im dać siłę „psów gończych książęcych, trzymających w szachu całą ludność osady, tych, co to byli originarii”²⁴⁴, 3) osadzeniu na ziemiach książęcych druzynników (rycerzy), mających

²⁴³ Tamże, s. 90.

²⁴⁴ Tamże, s. 92.

sprawować kontrolę nad niewolnikami, co stanowiło jedną z dróg uformowania się stanu szlacheckiego i w ogóle wsi polskiej w jej „stałej formie”. Mówiąc krótko, umiejętnemu wykorzystaniu przez Piastów kolejnej prawdopodobnie cudzoziemskiej warstwy, jaką byli niewolnicy, zawdzięczała Polska postęp gospodarczy w rolnictwie, centralizację władzy państwowej, wykształcenie się typowej formy wsi polskiej, a także uformowanie się części stanu szlacheckiego.

Jeżeli niemal wszystko co państwowotwórcze było w Polsce cudzoziemskiej proveniencji, to siłą rzeczy nasuwało się pytanie, czy przypadkiem sami Piastowie również nie byli cudzoziemcami wywodzącymi się z cudzoziemskiej drużyny rodowej, która przybyła „z zewnątrz”. Pozytywna odpowiedź byłaby w tym wypadku jednoznaczna z odejściem od tezy o podboju wewnętrznym inicjującym powstanie państwa polskiego. I rzecz ciekawa, rozważając tę kwestię, Zakrzewski przychylił się wprawdzie do koncepcji podboju wewnętrznego, uczynił to jednak w sposób dość ostrożny. Uznając, że przekazy o „ojcowskim” stosunku Mieszka do członków jego drużyny mogą sugerować, że władca Polski był cudzoziemskiego pochodzenia, pisał: „Pomimo tego wolno wątpić żeby książę wyszedł z drużyny, przeciwnie, drużyna jest dziełem księcia. Jeszcze w czasach historycznych nie jest ona czymś zamkniętym, jakąś kastą istniejącą na zasadzie przywileju krwi”²⁴⁵. Twierdząc, że „wolno wątpić”, historyk dawał do zrozumienia, że nie ma twardych dowodów potwierdzających cudzoziemskie pochodzenie dynastii Piastów. Co innego jednak jeśli chodzi o rodowód samego Mieszka I, a w tę właśnie stronę coraz wyraźniej zmierzała myśl Zakrzewskiego w drugim i trzecim dziesięcioleciu XX w. W sumie zatem można powiedzieć, że jego koncepcja narodzin państwa polskiego akcentowała elementy zarówno „egzo-”, jak i „endogeniczne”.

Formułę „między egzo- a endo-” można jednak rozumieć inaczej, a mianowicie jako rodzaj przejścia od jednej skrajności do drugiej, czy też jako diametralne odwrócenie pierwotnie przyjmowanej koncepcji. W takim wypadku akcenty położone są jedynie na oba ekstremy, podczas gdy „środek” pozostaje pusty. I tak wypadnie zrobić, charakteryzując koncepcję Jana Karola Kochanowskiego. Zanim to jednak nastąpi, warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden oryginalny pomysł, zgodny z którym państwo polskie przyszło na świat w wyniku ożywionego handlu „międzynarodowego”, który jeszcze przed uformowaniem się tego państwa miał rozkwiąć na jego późniejszym obszarze i podnosić kulturę tamtejszej ludności.

²⁴⁵ Tamże, s. 89.

KAZIMIERZA RAKOWSKIEGO HIPOTEZA PAŃSTWOTWÓRCZEJ
ROLI RZEKOMEGO EMPORIUM GOPLAŃSKO-KRUSZWICKIEGO²⁴⁶

Na tle historyków, których nazwiska były tu już wspomniane, postać Kazimierza Rakowskiego może jawić się niezbyt profesjonalnie. „Redaktor, publicysta, pisarz, działacz polityczny, poseł na Sejm Śląski” – tyle możemy przeczytać w „główce” artykułu, który Adam Galos zamieścił w *Polskim słowniku biograficznym*. Jeśli jednak zerknijemy nieco dalej, to dowiemy się, że Rakowski najpierw studiował filozofię w Heidelbergu i Fryburgu szwajcarskim, a potem „ekonomię i politykę” w Berlinie pod kierunkiem takich uczonych jak historyk i teoretyk prawa Georg Jellinek – autor trzelementowej definicji państwa²⁴⁷, teoretyk kultury, filozof i socjolog Georg Simmel, historyk Heinrich von Treitschke oraz historyk kultury polskiej, literaturoznawca Aleksander Brückner. Jednak za okoliczność najważniejszą dla sformułowania przez Rakowskiego własnej koncepcji narodzin państwa polskiego należałoby uznać fakt, że rozprawę doktorską poświęconą powstaniu wielkiej własności ziemskiej w Polsce XV i XVI w. (obrona: Berlin 1899) przygotowywał on pod kierunkiem Gustava von Schmollera, twórcy „młodszej” niemieckiej szkoły historyczno-gospodarczej. Ale nie tylko w sensie naukowym „szkoła niemiecka” miała swój udział w kształtowaniu się jego osobowości. Drugą okoliczność była już wprawdzie znacznie mniej atrakcyjna od nauk, które Rakowski pobierał od swego uniwersyteckiego mistrza, ale i ona miała swój udział w powstaniu książki, w której zawarł on swą koncepcję narodzin państwa polskiego. Po prostu uczeń Schmollera był aktywny nie tylko na niwie naukowej, ale i politycznej. Jego publicystyka i działalność – czy to w organizacjach studenckich, czy w Towarzystwie Robotników Katolickich, czy w końcu jako organizatora kursów nauki języka polskiego – nie podobała się władzom, w efekcie czego, po licznych perypetiach, w 1901 r. „za podburzanie do niepokojów, obrazę jednego z ministrów i »podawanie w pogardę« urzędzeń państwowych w swoich artykułach”²⁴⁸ skazany został w Poznaniu przez władze niemieckie najpierw na dwa lata i trzy tygodnie, a później – za łamanie regulaminu więziennego – na dodatkowe dziewięć miesięcy więzienia. To, że był doktorem „od Schmollera” mogło mieć jakiś wpływ na decyzję, by w trakcie pobytu w świeżo oddanym do użytku więzieniu we Wronkach mógł jednak prowadzić prace naukowe. I prowadził je, w związku z czym, kiedy trzy lata później opuszczał więzienne mury

²⁴⁶ K. Rakowski, *Wewnętrzne Dzieje Polski (zarys rozwoju społecznego i ekonomicznego)*, Warszawa 1908.

²⁴⁷ Szerzej na ten temat piszę w rozdziale III niniejszej pracy, charakteryzując koncepcję J. Łowmiańskiego.

²⁴⁸ A. Galos, *Kazimierz Rakowski*, w: *Polski słownik biograficzny*, t. 30, Wrocław 1987, s. 522.

miał już niemal gotowe *Wewnętrzne Dzieje Polski (zarys rozwoju społecznego i ekonomicznego)*, które w 1908 r. wydał drukiem w Warszawie. Pierwszy człon tytułu tej jednotomowej publikacji jest, jeśli pominąć pisownię słowa „Dzieje”, identyczny z analogicznym fragmentem tytułu opublikowanych w latach 1882–1886 przez Tadeusza Korzона czterotomowych *Wewnętrznych dziejów Polski za Stanisława Augusta*. Dopiero drugie człony obu tytułów oraz wielce zróżnicowana pojemność chronologiczna okresów, do których zostały one odniesione, sygnalizować mogą odmiennosc obu ujęć – Korzon poddał analizie trzy dekady panowania ostatniego króla Rzeczypospolitej, prezentując wyniki swych badań pod postacią licznych zestawień, wykresów, tabel itp., natomiast Rakowski starał się ukazać tendencje i procesy rzutujące na całokształt dziejów polskiego państwa, od jego narodzin aż do katastrofy trzeciego rozbioru. Dane przytaczane przez Korzона miały potwierdzać, że po pierwszym rozbiore „dokonało się zadziwiające przeobrażenie, przebudowanie, prawie przetworzenie Polski”. Nie starczyło jednak ani czasu, ani sił, by przeciwstawić się wyjątkowo niesprzyjającym okolicznościom zewnętrznym. Pod tym względem Rakowski był zgodny z Korzonem, jakkolwiek konkluzja jego książki nie brzmiała zbyt optymistycznie: „Państwowość ościenną dobrze było z Polską, tonącą w politycznej anarchii i gospodarczym nieładzie – z państwem zupełnie od produkcji zagranicznej zależnym i sprowadzającym z zagranicy wszystkie artykuły handlu. Ale Polska gospodarczo wzmocniona, stojąca na własnych siłach, była dla rynków europejskich niepożądanym zjawiskiem. Drugi i trzeci podział kraju przeto, odsunął gospodarcze odrodzenie się jego – w daleką przyszłość”²⁴⁹. Jednak nie zapatrywania na *finis Poloniae*, jak wielu skłonnych było traktować trzeci rozbiór Polski, ani też usytuowanie w „dalekiej przyszłości” możliwości jej gospodarczego odrodzenia się, lecz swoista „ekonomiczno-emporiałna” koncepcja średniowiecznych narodzin państwa polskiego stanowiła o oryginalności jego myśli historycznej. Na czym zatem owa koncepcja się zasadzała?

Autor *Wewnętrznych Dziejów Polski* swą opowieść historyczną rozpoczyna od opisu „ustroju grodowego”, zastrzegając, że jego charakterystyka, wobec znikomej ilości i małej wiarygodności wyłącznie cudzoziemskich źródeł pisanych, możliwa jest głównie dzięki archeologii. Był to ustrój właściwy „szczepom” Słowian północno-zachodnich, czyli tych, spośród których w przyszłości wyłonili się Polacy, a które „na widowni dziejowej” pojawiły się w VI w., zajmując w Europie obszar od Łaby do Wisły. Owe szczepy czy też plemiona (nazwy te Rakowski traktował zamiennie) wiodły już wówczas osiadły tryb życia, zajmując się łowiectwem i hodowlą bydła, stanowiąc

²⁴⁹ K. Rakowski, dz. cyt., s. 2.

„najekstensywniejszy dział gospodarstwa”. Nieliczna ludność zajmowała w związku z tym bardzo duże obszary.

Zawężając jednak spojrzenie do mniej rozległych terytoriów niż te, które zaludniały wszystkie szczepy Słowian północno-zachodnich, Rakowski stwierdzał, że „jądrem tworzącego się państwa polskiego było dorzecze Warty, zajęte przez Polan”²⁵⁰, a jakkolwiek terytorium to było początkowo puszczą, to nie stanowiła ona niezdatnego do eksploatacji pustkowia. Mimo że jej mieszkańcy nie znali jeszcze pługa, to dawała możliwość hodowli bydła, polowania, rybołówstwa, pszczelnictwa, a nawet niewielkiej uprawy roli, na którą pozwalały polany oraz żyzne doliny nadrzeczne, a także brzegi jezior, gdzie tworzyły się większe skupiska ludności. Owa ludność podzielona była początkowo na rodziny i rody skupiające się w produkujących wyłącznie na własne potrzeby jednostkach gospodarczych – „dworach”. W miarę upływu czasu i wzrostu demograficznego Polan pojawiła się potrzeba „rozszerzania granicy etnograficznej na zachód”²⁵¹. Parcie na zachód napotkało jednak na będących „nieprzewycięzoną przeszkodą” Germanów, którzy też chcieli przeć, tyle że na wschód. Słowianie uznali zatem „konieczność gęstsze zaludnienia już zajętego kraju”²⁵², co nie było zbyt trudne, bo mimo wzrostu demograficznego kraj ten nadal pozostawał słabo zaludniony. W tym celu trzeba było jednak położyć nacisk na uprawę zbóż i tak też się stało. Nie gospodarka ekstensywna, polegająca na hodowli bydła i powiększaniu posiadanych obszarów, lecz intensywna, związana z uprawą roli, doprowadziła w efekcie do zwiększenia gęstości zaludnienia. Rodzinne i rodowe „dwory” stały się mniej odległe od siebie, a to zacieśniało kontakty międzyludzkie i doprowadzało do powstawania „jednostek społecznych wyższej kategorii”, zwanych opolami. Na ich obszarze powstawały grody, w których miejscowa ludność w wypadku zagrożenia z zewnątrz znajdowała schronienie. „W ten sposób – konkludował Rakowski – każdy gród był niejako stolicą każdego opola”²⁵³. Była to forma ustroju społeczno-politycznego, którą w historiografii objęto mianem ustroju gminowładnego lub „żupańskiego”. Według Rakowskiego w gminowładztwie, nieznanym prywatnej własności ziemi, tylko czasowe jej użytkowanie, nie było „miejsca dla przewagi jednych szczepów nad drugimi, nie było miejsca na spójnię, któraby przekształcić miała szereg ziem w jedno państwo, rządzone samowładnie, absolutnie”, toteż z ustroju gminowładnego „nie mógł się samoistnie zrodzić absolutyzm

²⁵⁰ Tamże.

²⁵¹ Tamże, s. 7–8.

²⁵² W takim sformułowaniu, co nie trudno dostrzec, krył się nadmierny optymizm co do wiedzy ekonomicznej i możliwości świadomych działań zbiorowego słowiańskiego podmiotu dziejów w ówczesnych warunkach.

²⁵³ K. Rakowski, dz. cyt., s. 11.

książęcy [...]. A przecież w IX wieku już istniał niewątpliwie związek rozmaitych szczepów, zespolonych pod przewodnictwem Polan w jedno państwo z dynastycznym i samowładnym księciem. Władza książęca w IX wieku dawno już jest ustalona [...]. Książę panujący u Polan w połowie X wieku, Mieszko, jest to już potomek dynastów, panujący nad państwem, które miało poza sobą pewną przeszłość²⁵⁴. Skąd jednak wzięło się to państwo, jeżeli pierwotne słowiańskie gminowładztwo samo z siebie nie było zdolne do takiego przekształcenia? Biorąc to pod uwagę, Rakowski uznawał wręcz za oczywiste, że odpowiedzi zaczęto poszukiwać, snując domysły o jego zewnętrznych, będących wynikiem podboju, narodzinach. Myślano, że musiał zaistnieć „jakiś kataklizm społeczno-polityczny, jakiś wpływ silnych, a z zewnątrz działających przyczyn”, które w czasach przedmieszkowych gruntownie przekształciły gminowładczy („żupański”) ustrój społeczny. Konsekwencją akceptacji takich przesłanek stała się hipoteza, „według której tą przyczyną, tak silnie, a z zewnątrz działającą na ustrój pierwotnej Polski, był najazd Słowian nadłabskich w końcu VIII wieku na Słowian między Odrą, Notecią a Wisłą”²⁵⁵.

Miał to być najazd, podczas którego przynoszono miejscowym „pierwiastki obcej kultury”. Rakowski nie wnikał jednak w to, do jakiego stopnia owe pierwiastki mogły niwelować etniczną bliskość (słowiańskość) najeźdźców i ludności podbitej, i zastępować je nową, „obcą” formą jedności. Było to dlań nieistotne, ponieważ sam wysuwał o wiele prawdopodobniejszą, jak utrzymywał, a zarazem pozbawioną elementów przymusu i zniewolenia, hipotezę. Prawdę powiedziawszy, nie sposób znaleźć dla niej krótszego określenia niż mogący nasuwać ironiczne skojarzenia przymiotnik „emporialna” lub – co może wzbudzić jeszcze szerszy uśmiech – „emporialistyczna”. Początki państwa polskiego łączył on bowiem z wielkim emporium, jakim miało być jezioro Gopło wraz z powiązaniem z nim systemem dróg wodnych i lądowymi przyległościami. Sądził, że to właśnie ono w zamierzczłych czasach przyczyniło się walenie do „zaszczepienia pierwiastków obcej kultury na ustroju społecznym Polski żupańskiej”. W celu zaistnienia państwowotwórczego impulsu z zewnątrz nie potrzebna była siła miecza, wystarczały pokojowe stosunki handlowe z kupcami i między kupcami, którzy ze wszech stron mieli ściągać do goplańskiego emporium.

Zdaniem Rakowskiego była to sytuacja wyjątkowo sprzyjająca Słowianom pomorskim, z tym że w owych czasach miano *Pomeranica terra* odnoszono do całego obszaru między Odrą, Wisłą a Notecią. Mimo że przekazy źródłowe

²⁵⁴ Tamże, s. 11–12.

²⁵⁵ Tamże, s. 12. Rakowski nie wspominał nazwisk autorów tej hipotezy, ale spośród renomowanych historyków w grę wchodził głównie W.A. Maciejowski i F. Piekosiński.

były w tej kwestii „ułamkowe”, to jednak uprawdopodobniały pogląd, że to właśnie Słowianie pomorscy, stykając się z Normanami, osiągnęli wyższy poziom kultury od Słowian lechickich i podjęli na wzór Normanów działalność „awanturniczo-kupiecką”. „W ich rękach – pisał Rakowski – pozostawały najważniejsze w owym czasie osady handlu nadbałtyckiego – Szczecin, Julin, Wineta, Arkona, które ściągały kupców z całego świata. Od Szczecina posuwały się w górę Odry, a następnie Notecią ku Gopłu kupieckie flotylle Pomorzan. Gopło było centralnym punktem, w którym spotykały się rozmaite kultury starożytnego świata: bizantyjska, romańska i skandynawsko-pomorska. Tak więc rozmaite kultury podawały sobie ręce na ziemi Polan”²⁵⁶. Nic zatem dziwnego, że czerpiący korzyści z handlu na taką skalę Polanie dużą wagę przywiązywali do grodów strzegących miejsc przepraw, takich jak Wyszogród, Santok, Włocławek, Konin, Łęczycza, a zwłaszcza Kruszwica, która panując nad wąskim przejściem z Gopła na północ, „była prawdopodobnie główną stacją handlową, w której koncentrował się ożywiony ruch handlowy Gopła jako zbiornika, do którego zmierzały wszystkie ważniejsze drogi ku Bałtykowi i od Bałtyku. Był to zapewne punkt, gdzie spotykali się kupcy pomorscy z kupcami rzymskimi i carogrodzkimi”²⁵⁷.

Rakowski domniemywał, że polańska ludność, zwłaszcza zamieszkująca na brzegach jeziora oraz w ich pobliżu, z zaistniałej w rejonie Gopła sytuacji czerpała nie tylko korzyści materialne. Przybysze z zewnątrz, i to zarówno ci z Rzymu i Carogrodu, jak i znormanizowani Słowianie pomorscy, „zaszczepiali” dziewiczym pod tym względem „tubylcom” kulturę, co dawało Polanom „wyższość i siłę wobec innych sąsiednich szczepów”, a następnie doprowadziło do „przełomowego procesu”, którego efektem było przekształcenie gminowładztwa w centralistycznie zbudowany organizm państwowy z władzą dziedzicznego księcia. Rakowski ubolewał wprawdzie, że nie znamy przebiegu tego procesu, ale pocieszał zarazem czytelników, że „znamy jednak jego sprężyny i charakter” i wiemy, dlaczego „Gopło i Kruszwica odegrały rolę ośrodka, który dał impuls do utworzenia państwa, złożonego z szeregu ziem, pod przewodnictwem Polan”²⁵⁸.

Niestety emporialne jezioro, które początkowo było o wiele głębsze, a także posiadało dobrze chronione połączenia z Bałtykiem, zaczęło tracić na znaczeniu. Upływ czasu, a wraz z nim wycinka lasów na Kujawach spowodowały obniżenie poziomu wód nie tylko w samym Gople, ale i w połączonym z nim układzie wodno-ładowym, w efekcie czego upadł handel i emporialny charakter całości.

²⁵⁶ Tamże, s. 16–17.

²⁵⁷ Tamże, s. 17–18.

²⁵⁸ Tamże, s. 18–19.

Rozważania swe zwięźcił Rakowski dość kategorycznie brzmiącą konkluzją: „Wytworzenie się władzy książęcej było jednym z wyników zetknięcia się dziewiczej kultury Słowian polańskich z kulturą obcych narodów, której przedstawicielami byli przejezdni kupcy; wytworzyć władzę książęcą mogła u Polan nie tyle wewnętrzna ewolucja społeczna, ile raczej potrzeba ujęcia przewagi szczepu Polan nad innymi szczepami w pewną organiczną formę”²⁵⁹. W takiej koncepcji odnaleźć można cechy postherderowskiego stereotypu organicznej niedołączności politycznej Słowian, którą przewyciężyć mogą jedynie wpływy, inspiracje czy też impulsy obce. Może do nich dochodzić albo pod przymusem – drogą podboju, albo dobrowolnie – głównie poprzez kontakty handlowo-kulturowe, umożliwiające pacyfistyczną recepcję pierwiastków „pozasłowiańskich”. Te ostatnie mogą być przekazywane nie tylko przez „obcych”, ale również przez inne odłamy Słowian, które już wcześniej zdołały je poznać i zaakceptować.

Podsumujmy myśl Rakowskiego. Gminowładztwo słowiańskie było swego rodzaju organiczną barierą uniemożliwiającą endogeniczne przekształcenia państwowotwórcze. Dopiero na jego gruzach Mieszko I mógł utrwalić absolutną władzę książęcą i wyprowadzić swe państwo na widownię dziejową. Jeśli bezpłodne państwowo gminowładztwo miało słowiańskie pochodzenie, to władza książęca była u nas pierwiastkiem tyle pożądanym, co egzogenicznym. W jego posiadanie można było wejść albo ulegając podbojowi, albo zaznając dobrodziejstwa obcej kultury politycznej, przyswajanej w wyniku pacyfistycznych kontaktów handlowych. Tę ostatnią szansę dało nam goplańskie emporium, dzięki któremu państwo mogło się narodzić. Była to szansa wykorzystana, bo wprawdzie z jeziora wielkie wody odeszły, ale „wtedy jednak posłannictwo dziejowe tego ogniska kultury na ziemi Polan już było spełnione”²⁶⁰. Ta ostatnia formuła, utrzymana bardziej w konwencji neoromantycznej niż ekonomistycznej, odzwierciedlała już klimaty, które nadały ton nastrojom i myśli dwudziestolecia międzywojennego oraz czasów nieco późniejszych²⁶¹.

²⁵⁹ Tamże, s. 19.

²⁶⁰ Tamże, s. 20.

²⁶¹ Kwestia aktualizacji tradycji romantycznej w życiu politycznym II Rzeczypospolitej, szczególnie zaś jej „zinstytucjonalizowanej» recepcji usankcjonowanej niejako przez partie i przywódców politycznych”, po raz pierwszy podjęta została w odrębnej monografii w czasach przesilania się mocy żywotnych PRL; zob. L. Kamiński, *Romantyzm a ideologia. Główne ugrupowania polityczne Drugiej Rzeczypospolitej wobec tradycji romantycznej*, Wrocław 1980, skąd cytat (s. 112).

OD „SAMYCH OBCYCH” DO „SAMYCH SWOICH” – EKSTREMY
MYŚLI HISTORYCZNEJ JANA KAROLA KOCHANOWSKIEGO

Przyjmuje się, że w ostatnich dziesięcioleciach XIX w. hipoteza mówiąca o najeźdźczym i „obcym” pochodzeniu polskiej szlachty została na ogół zgodnie uznana przez polską historiografię za przeżytek, który winien zostać skwitowany jeśli nie ostrymi słowami krytyki, to przynajmniej milczącą dezaprobatą. Jest w tym sporo prawdy, ale „nie do końca”. Oto bowiem w 1890 r. Jan Karol Kochanowski w niewielkiej książeczce zatytułowanej *Kilka słów w sprawie teorii historyczno-heraldycznej dra Fr. Piekosińskiego* nie tylko opowiedział się za hipotezą podboju, ale też poparł tezę o dynastycznym pochodzeniu polskiej szlachty. Co więcej, uznał, że owa teza może stanowić klucz do zrozumienia fenomenu polskich dziejów narodowych, fenomenu niemającego gdzie indziej swego odpowiednika.

Kochanowski podzielał pogląd Piekosińskiego na temat runicznego pochodzenia herbów polskiej szlachty, z tą jednak modyfikacją, że bardziej dlań prawdopodobne było, iż runiczne znaki herbowe przeniknęły na nasze ziemie nie w wyniku najazdu znormanizowanych Słowian znad Łaby, lecz – podobnie jak było to w wypadku Rusi – na skutek bezpośredniego najazdu Normanów z Północy. Wyrażając przypuszczenie, że „runy dostały się do Polski jako znaki chorągiewne wprost ze Skandynawii”²⁶², sugerował zarazem, że podobnie jak na Rusi mogło to nastąpić w wieku IX. „Twierdzenia Dra Piekosińskiego – pisał – że gdyby najazd na Polskę wprost ze Skandynawii nastąpił, stałby się niechybnie przyczyną stosunków miejscowych przewrotu, o którym wspominać musiałyby źródła, a po wtóre, że najeźdźcy byli widocznie tego pochodzenia, co autochtonowie nadwarteńscy, bo ich potomstwo imiona sławiańskie nosi, zdają mi się nader słabym argumentem przeciw przypuszczeniom powyższym. – Czyż bowiem najazd plemion nadłabskich na nadwarteńskie i podbój tych ostatnich nie był przewrotem w stosunkach miejscowych. I czy potomkowie normandzkich przybyszów na Rusi np. Światosław, syn Igora nie noszą imion sławiańskich?”²⁶³.

Ciekawe, że elementy runiczne dostrzegł Kochanowski również w herbach szlachty zachodnioeuropejskiej, ale spostrzeżenie to nie poprowadziło go, jak można byłoby oczekiwać, do wniosku o genetycznych zbieżnościach w formowaniu się państwa polskiego i państw zachodnioeuropejskich. Historyk utrzymywał, że na Zachodzie państwa i społeczeństwa kształtowały się samorodnie, a „szlachta zachodnia była jednego z ludem pochodzenia i tym się tłumaczy jej zasadnicza od polskiej różnica. Co zaś do run w jej herbach,

²⁶² J.K. Kochanowski, *Kilka słów w sprawie teorii historyczno-heraldycznej dra Fr. Piekosińskiego*, Kraków 1890, s. 29.

²⁶³ Tamże, s. 29–30.

to te były zarówno na zachodzie, jak w Skandynawii w użyciu jako pismo, i mogły śmiało bez żadnych najazdów służyć swojego czasu za godła²⁶⁴.

Hipotezie Piekosińskiego nadawał Kochanowski wagę ogromną. „Dynaścizność” polskiej szlachty traktował jako klucz do zrozumienia całokształtu polskich dziejów i ukazania ich wyjątkowości na tle dziejów innych państw i narodów. „Hipotezy tej bowiem treść główną – pisał – skreślić można w kilku słowach a mianowicie, że szlachta polska była w swej istocie pochodzenia książęcego – młodszą niejako bracią panującej dynastii Piastów. Fakt taki odpowiedziałby nam też bez wątpienia na postawione u wstępu zapytanie, dlaczego szlachta polska tak jedynym w swoim rodzaju była żywiołem w Europie, bo cokolwiek kto miał przeciw podobnej interpretacji tezy Dra Piekosińskiego do zarzucenia, przyznać musi, że taki żywioł dynastyczny jeśliby nawet o swym dynastycznym pochodzeniu zapomniał i poczucia jego w wiekach późniejszych już nie posiadał, to jednak tradycję wychowania pielęgnującego poczucie rodowego braterstwa, niezależności i buty, która się w szlachcie polskiej przejawiała na każdym kroku, choćby w owym prawie do tronu, mógł i musiał odziedziczyć duchowo po przodkach, stając się z swego założenia czynnikiem rozkładczym i stojącym na przeszkodzie normalnemu rozwojowi państwowej organizacji”²⁶⁵. Ze słów tych przebiła przekonanie o wyjątkowości polskiego procesu dziejowego, przy czym wyjątkowość ta oceniona została nie jako powód do chwały, lecz jako anomalia prowadząca państwo do zguby. Krył się w tym dialektyczny paradoks. Ten sam najazd, który sprawił, że uformowało się państwo polskie, dał temu państwu wywodzącą się z książęcych dynastii (Popielidów i Piastów) butną i przypisującą sobie prawo do niepodlegania „cudzej” władzy szlachtę i właśnie owa rozkapryszona politycznie warstwa stała się w ostatecznym rozrachunku głównym czynnikiem „znihilowania władzy królewskiej” i obezwładnienia polskiej maszyny państwowej.

Jest sprawą ciekawą, że Piekosiński zaliczał zjawisko społecznego różnicowania ludności w wyniku podboju do kategorii procesów „nieprawidłowych”. Ustrój, w którym społeczeństwo podzielone było na „klasy kastowo od siebie odgródzone z ich przywilejami z jednej a ciężarami z drugiej strony”, nie mógł, jego zdaniem, powstać „bez żadnej zewnętrznej katastrofy, jedynie w drodze prawidłowego rozwoju”²⁶⁶. Tezie tej pozostawał wierny mimo upływu czasu i postępu badań historycznych. „Taki ustrój – pisał – nie da się żadną miarą prawidłowym rozwojem wytłumaczyć”²⁶⁷. Piekosiński

²⁶⁴ Tamże, s. 31.

²⁶⁵ Tamże, s. 5–6.

²⁶⁶ F. Piekosiński, *Obrona hipotezy najazdu...*, s. 4.

²⁶⁷ Tenże, *Ludność wieśniacza...* (1896), s. 146.

polemizował przede wszystkim z historykami „najnowszej szkoły”. Obok Bobrzyńskiego, a zwłaszcza Smolki, zaliczał do niej Małeckiego, który konsekwentnie, acz z pełnym szacunkiem dla dorobku autora hipotezy o najezdniczej genezie polskiej szlachty powtarzał, że stan szlachecki wytwarzał się jednak w Polsce „samorodnie z łona własnego narodu, z niższej warstwy społecznej, z ludowej klasy”²⁶⁸. W perspektywie stwarzanej przez koncepcję Piekosińskiego inicjacyjnej dla polskiego państwa podbój był postrzegany jako zjawisko, które w sposób „nieprawidłowy” prowadziło do własnościowego i politycznego zróżnicowania jednolitego początkowo społeczeństwa. Prawidłowe było natomiast różnicowanie wewnętrzne, rozumiane zgodnie z zasadą transformacji autodynamicznych, to znaczy takich, których siły napędowe umiejscowione były „w środku”, a nie na zewnątrz układu²⁶⁹.

Nietrudno zauważyć, że spory wokół hipotezy podboju były sporami o prawidłowość polskiego procesu dziejowego, a właściwie o to, czy „od początku” byliśmy historycznie nienormalni, czy dopiero od pewnego momentu. Wkraczamy tu w krąg tez uważanych za reprezentatywne dla „historycznej nowej szkoły”, jaką w ostatnich dziesięcioleciach XIX w. stanowiło grono historyków związanych po upadku powstania styczniowego z ugrupowaniem galicyjskich konserwatystów, wydaje się zatem niezbędne kilka słów przypomnienia na temat charakteru tych tez oraz okoliczności ich sformułowania.

Polacy potrzebują historii samokrytycznej, ponieważ tylko ona odpowiada prawdzie i tylko ona może uchronić ich od „fałszywej” polityki. Jak dotychczas taką polityką były oparte na fałszywej wizji historii liczne spiski i powstania, które nie miały szans powodzenia i jedynie wykrwawiały naród. Trzeba przeciwstawić się romantycznym apologiom polskiej przeszłości, ugruntowującym mylną wiarę w siły własnego narodu, w jego rzekome zasługi dziejowe, w jego wyjątkowość, „naturę Chrystusową”, szlachetność, uczciwość i możliwość „wybicia się” na niepodległość. Jedynie historia samokrytyczna pozwoli na odmianę polskiego charakteru narodowego i zdezawuuje zachwaszczającą naszą świadomość zasadę *liberum conspiro*, równie szkodliwą jak dawne *liberum veto*. Nie konspirujmy i nie wykrwawiajmy się, lecz zwykłą codzienną pracą, bogaceniem się, podnoszeniem wiedzy i umiejętnością zabiegajmy o zachowanie polskiego „bytu narodowego”.

²⁶⁸ A. Małecki, *Lechici w świetle historycznej krytyki...*, s. 254.

²⁶⁹ Do rzadziej reprezentowanych stanowisk należało natomiast to, jakie zajął Tadeusz Wojciechowski w polemice z teorią najazdu Szajnochy. Dostrzegając, że ten ostatni modelował (prymitywizował) nasze najwcześniejsze dzieje w sposób taki „jak dzisiaj przedstawiają Indianów”, Wojciechowski opowiedział się po stronie tezy o pierwotnej, „naturalnej” nierówności; tenże, *Chrobacka. Rozbiór starożytności słowiańskich*, Kraków 1873, s. 61–63.

Zarysowany tu schemat myślowy po upadku powstania styczniowego trafił na szczególnie dobry grunt wśród galicyjskich konserwatystów, a w tym wśród dziejopisów zaliczanych do krakowskiej szkoły historycznej. To właśnie oni ogłosili zaciąg do „ochotniczej straży pożarnej”, która miała ochłodzić rozpalone romantyczną gorączką głowy Polaków. Strumieniami zimnej wody stały się tezy o dwóch polskich anomaljach historycznych: charakterologicznej i ustrojowej. Pierwsza dotyczyć miała cech narodowych Polaków, nieposiadających jakoby „zmysłu politycznego”, druga zaś cech ustrojowych szlacheckiej Rzeczypospolitej, które uniemożliwiały sprawne funkcjonowanie państwa. Niewydolny organizm państwowy oddziaływał negatywnie na schorowany naród, ten zaś z kolei na zasadzie „błędnego koła” w jeszcze większym stopniu prowadził państwo do rozstroju. W istocie więc twierdzenia o polskiej anomalii charakterologicznej zazębiały się z konstatacjami o polskiej anomalii ustrojowej. Znamienne jednak, że według takich klasyków krakowskiej szkoły historycznej jak Szujski czy Bobrzyński obie polskie anomalie pojawiły się dopiero na pewnym etapie rozwoju historycznego, przed osiągnięciem którego Polska, jakkolwiek opóźniona, mieściła się przecież w typie rozwoju „prawidłowego”, za jaki uchodził typ „zachodni”. Drogi Polski i Zachodu rozeszły się dopiero za Jagiellonów.

Zupełnie inaczej rzecz wyglądała z perspektywy, którą dawały hipotezy najazdu sformułowane przez Piekosińskiego i Kochanowskiego. Obaj uważali, że Polska już u podwalin swej państwowości w wyniku ingerencji czynnika zewnętrznego wkroczyła na drogę odbiegającą od „prawidłowego”, niczym niezakłóconego rozwoju. Oczywiście dla Piekosińskiego był to czynnik tylko do pewnego stopnia zewnętrzny (najeźdźcy zza Odry byli, podobnie jak i podbita ludność znad Warty, Lachami), ale – jak sam to wielokrotnie podkreślał – niemający nic wspólnego z rozwojem „prawidłowym”. „Nieprawidłowe” początki państwa polskiego nie oznaczały jednak dlań anomalii rzutującej na całokształt naszych dziejów. Historyk ów nie sądził, by najeźdźczo-dynastyczne pochodzenie polskiej szlachty wykształciło w niej samolubne parcie do przywilejów i w ostatecznym rozrachunku stało się „zarodkiem późniejszego upadku ojczyzny naszej”. W miarę upływu lat potrafił, jak już była o tym mowa, wyraźnie łagodzić swą początkową formułę najazdu jako „katastrofy”, a nawet mówić o jego „dobroczyńnych” skutkach²⁷⁰.

Inaczej natomiast kwestia polskiego odstępstwa od normy rysowała się w koncepcji Kochanowskiego, dla którego czynnikiem państwowotwórczym byli niemający wspólnej krwi z Lachami Normanowie. I w gruncie rzeczy to właśnie Kochanowski, podchwytując tezę Piekosińskiego o dynastycznym pochodzeniu polskiej szlachty, starał się w odwołaniu do niej

²⁷⁰ Zwrócił na to uwagę M.H. Serejski, *Z zagadnień genezy...*, s. 220.

wyjaśnić całokształt polskich losów dziejowych. Głównym przejawem polskiej odmienności miała być nieznana gdzie indziej „umysłowość” stanu szlacheckiego, który wraz ze swym dynastycznym pochodzeniem i co za tym idzie dynastycznymi roszczeniami do władzy nie miał odpowiednika w dziejach innych narodów.

Trudno się oprzeć myśli, że zainspirowana przez Piekosińskiego koncepcja Kochanowskiego w istocie poszerzała tezy o polskiej anomalii historycznej formułowane przez krakowską szkołę historyczną. Na polskie odstępstwo od normy prawidłowego rozwoju nie trzeba było czekać aż do czasów jagiellońskich, jak chcieli tego historycy krakowscy. Przejawiło się ono już w chwili narodzin Polski, jako swoisty samobójczy kod genetyczny, który z jednej strony powołał to państwo do życia, z drugiej zaś doprowadził do jego upadku. Tak myślał Kochanowski w ostatnim dziesięcioleciu XIX w., to jest wówczas, gdy „pesymistyczne” tezy szkoły krakowskiej wyznaczały jeszcze główny nurt w polskiej historiografii. Ale przecież już najbliższa przyszłość przyniosła znamienne odwrócenie klimatów polityczno-historycznych i Kochanowski bardzo wyraźnie odmienił swe poprzednie domniemania i oceny. Poszedł zatem drogą podobną do Piekosińskiego, z tym że uczynił to w sposób bez porównania wyrazistszy, a można powiedzieć, że wręcz drastyczny.

W dobie narastających nastrojów niepodległościowych (rewolucja 1905 r., a później I wojna światowa) w polskiej myśli historycznej nastąpił wyraźny odwrót od „pesymistycznych” tez o samozawinionym upadku i destrukcyjnym dla państwa kodzie historycznym, w jaki wyposażone zostało polskie społeczeństwo. Znamienne też, że właśnie wówczas Kochanowski wyraźnie przekształcił swą tezę o polskiej wyjątkowości dziejowej, stając się głównym heroldem neoromantyczno-„optymistycznego” zwrotu w polskiej historiografii. W nowym ujęciu dziejów ojczystych, któremu wierny pozostał już do końca swych dni, Polacy nadal pozostawali narodem o wyjątkowej historii, z tym jednak że była to już wyjątkowość nie negatywna, lecz zaszczytnie wyróżniająca nas na tle innych narodów. Zapewne rozliczał się po trosze z samym sobą, gdy w 1916 r. w wykładzie wygłoszonym w Towarzystwie Miłośników Historii mówił: „Od błędu wielorakiej przesady, w którą dziejopisarstwo polskie nieraz już popadało, strzec nas tu winien przede wszystkim instynkt wrodzony, wskazujący prawdę jasną a wielką, że **nie obcy zrodzili Polskę, lecz my sami**; toteż musiała ona być, była niewątpliwie, już w omawianej tu dobie [za Mieszka I – A.W.] zespołem sił potencjalnych dość potężnych na to, by korzystając z treści, a nie poddając się niewolniczo obcej swemu duchowi formie wpływów ościennych, wkroczyć pod sztandarem zwycięskim własnej, a tak oryginalnej, bo wybitnie swojskiej przyszłości orłowej w szranki narodów cywilizowanych

Europy” (podkr. A.W.)²⁷¹. W późniejszych wystąpieniach Kochanowskiego nie odnajdujemy już ani śladu tezy o wyjątkowości dziejów Polski polegającej na zewnętrznym, normańskim pochodzeniu większości polskich rodów szlacheckich i ich dynastycznym pochodzeniu. Okazywało się teraz, że „krew polska” od samego początku pozostawała niczym nieskażona. Podczas gdy Czesi ulegli oddziaływaniom niemieckim, a Chorwaci, Słoweńcy, Serbowie, Bułgarzy, Ukraińcy i Rosjanie – w różnych proporcjach i splotach – oddziaływaniom „koczowniczych hord uralskich”, Mongołów, Tatarów i Turków, tylko Polacy zdołali ocalić „rdzenny typ słowiański”. Jeżeli też Europa Środkowo-Wschodnia ma należeć w przyszłości do Słowian, to jej narody powinny oczyścić się z obcych naleciałości, do czego jedyną drogą jest wzorowanie się na „czystym typie polskim”²⁷². Głosząc takie „prawdy”, historyk pozostawał wierny tezie o polskiej wyjątkowości historycznej, z tym że jej treść była teraz diametralnie przeciwna. Wyjątkowość miała płynąć nie z wpływów obcych (najazd Normanów), lecz z ich braku, dzięki czemu właśnie w Polsce „czysty typ słowiański” zachował się jakoby w swej najpełniejszej postaci²⁷³, a „psychodziejowym przeznaczeniem Polaka” stała się rola „mistrza Europy środkowej”²⁷⁴. W miarę upływu lat myśl historyczna Kochanowskiego coraz częściej zapuszczała się w regiony historiozofii, a jego publikacje coraz wyraźniej wykraczały poza historiograficzne standardy epoki. Ich forma utrzymana była w konwencji młodopolskiej poetyki, natomiast treść nierzadko sięgała wyżyn apologii Polski i Polaków. Trudno się dziwić, że Jan Stanisław Bystron zaliczył ówczesne piśmarstwo Kochanowskiego do zjawisk z zakresu tzw. megalomanii narodowej.

²⁷¹ J.K. Kochanowski, *U progów drugiego Millenium (966–1916): (rocznica 950-ta początku Ery Chrześcijańskiej w Polsce)*, „Przegląd Historyczny” 20, 1916, 1, s. 26.

²⁷² Tenże, *Polska w świetle psychiki własnej i obcej. Rozważania*, wyd. 2, Częstochowa 1925, s. 254–255.

²⁷³ Tamże, s. 430–432.

²⁷⁴ Tamże, s. 428.

ROZDZIAŁ II

OD II RZECZYPOSPOLITEJ DO POLSKI LUDOWEJ

1. PAŃSTWO CZY NARÓD? „ARGUMENT Z PRZESZŁOŚCI” W POLITYCZNYCH SPORACH O RODZICIELSKĄ ZASŁUGĘ

Kwestia genezy polskiego państwa i narodu stanowiła w myśli historycznej i politycznej dwudziestolecia międzywojennego obszar ostrych sporów. Rozważania na temat hierarchizacji i wzajemnego podporządkowania interesów narodowego i państwowego sięgały korzeniami jeszcze XIX stulecia, kiedy to wykształciły się u nas główne orientacje polityczne: niepodległościowa i zachowawcza, z których pierwsza stawiała na odbudowę państwa, druga zaś na kultywowanie polskiego „bytu narodowego”¹ w obrębie obcych monarchii. W okresie międzywojennym ten dawny spór, którego istotę usiłowano zawrzeć teraz pod postacią alternatywy „państwo czy naród”, przybrał na sile, zwłaszcza po roku 1926.

Zwycięstwo, jakie w wyniku przewrotu majowego odniósł obóz piłsudczykowski, nie oznaczało bynajmniej triumfu określonej koncepcji czy doktryny politycznej. Trzeba ją było dopiero stworzyć. Rządy mocnej ręki, pozornie nieusiłujące szukać szerszych motywacji, odczuwały potrzebę ideologii, która mogłaby uzasadnić wiele drastycznych posunięć znacznie lepiej niż slogany o zaprowadzeniu porządku w państwie i potrzebie „radosnej twórczości”. Ideologia ta musiała się równocześnie przeciwstawić koncepcjom największego i w odczuciu sanacji najniebezpieczniejszego ideologicznie ugrupowania opozycji – endecji. Podjęto niemało prób w tym kierunku, których efekty, jak się wydaje, nie były zupełnie bezowocne².

¹ Aksjologiczne usytuowanie pojęcia „bytu narodowego” w doktrynie krakowskich konserwatystów omówił: M. Jaskólski, *Historia – naród – państwo*, Kraków 1981, s. 120–130; zob. też A. Wierzbicki, *Wokół „czarnej legendy” historiografii krakowskich konserwatystów*, „Kwartalnik Historyczny” 104, 1997, 2, s. 63–87.

² Szerzej na ten temat pisałem w: *Naród – państwo w polskiej myśli historycznej dwudziestolecia międzywojennego*, Wrocław 1978, s. 35–56.

W aksjologii obozu rządzącego państwo stało wyżej od narodu, który z kolei stanowił najwyższą wartość dla pozostających w opozycji narodowych demokratów. Toteż podczas gdy ci ostatni głosili, że „w Polsce nie państwo może stworzyć wartość i ekspansję narodu, lecz naród musi przez swój własny rozwój stworzyć wartość i potęgę państwa”³, to rzecznicy orientacji piłsudczykowskiej ujmowali rzecz *à rebours*: „Więc Państwo i po stokroć państwo Nie tylko dlatego, że nie mamy doskonalszej formy dla życia narodu ale przede wszystkim dlatego, że ono zapewnia narodowi maksimum rozwoju i pozwala mu spełniać jego misję”⁴.

W ogniu sporów i polemik, w których udział po stronie zwolenników tezy o wyższości narodu nad państwem wzięli między innymi Stanisław Grabski, Roman Rybarski, Feliks Młynarski, po stronie przeciwnej zaś: Stanisław Bukowiecki, Adam Skwarczyński, Olgierd Górka, niewielką, jak się wydaje, przewagę nad „narodowcami” uzyskali „państwowcy”. Tak przynajmniej można interpretować secesję z obozu endecji, która nastąpiła po rozwiązaniu Obozu Wielkiej Polski na terenie Poznańskiego. Grupa secesyjna skupiona w Związku Młodych Narodowców (ZMN) w sposób otwarty stanęła na gruncie doktryny państwowej. Jej przywódca, Zdzisław Stahl, motywując swe zbliżenie do obozu rządowego, tymi słowami charakteryzował polskie życie partyjno-polityczne: „Wspólną cechą tej całej przetwarzającej się w chaosie rozłamów i secesji lub rozkładającej się w impasie wewnętrznego skłócenia kultury partyjnej jest przede wszystkim piętno niezdrowego stosunku do organizacji państwowej, nadawane jej przez przedwojenną tradycję i nałogi starych asów politycznych”⁵.

Inny z czołowych działaczy tego ugrupowania, historyk Zygmunt Wojciechowski, motywował swe odejście z szeregów narodowych demokratów świadomością konieczności zsyntetyzowania w ramach jednej ideologii „idei narodowej i zasady silnej władzy”, co mogło, jego zdaniem, nastąpić jedynie na gruncie reprezentowanej przez sanację doktryny państwowej⁶. Analiza historyczna prowadziła Wojciechowskiego do jednoznacznego wniosku, że państwo jest niezbędnym i koniecznym warunkiem istnienia narodu, to zaś z kolei implikować miało imperatyw „kierowania się tylko nakazami interesu państwowego z całą świadomością, że interes ten będzie zawsze i konsekwentnie wymagał rozmaitego rodzaju rezygnacji, obciąż czy ustępstw z wszelkiego rodzaju podrzędniejszych interesów”⁷.

³ S. Grabski, *Naród a państwo*, Lwów 1922, s. 37.

⁴ *Pod znakiem odpowiedzialności i pracy. Dziesięć wieczorów*, red. A. Skwarczyński, Warszawa 1933, s. 258.

⁵ Z. Stahl, *Idea i walka*, Warszawa 1938, s. 69.

⁶ Z. Wojciechowski, *Mysli o polityce i ustroju narodowym*, ser. 1, Poznań 1935, s. 36 i n., ser. 2, Poznań 1937, s. 47 i n.

⁷ Tamże, ser. 1, s. 274–475.

W sporach o ustalenie hierarchicznej relacji między wartościami narodowymi i państwowymi posługiwano się niejednokrotnie argumentami o charakterze historycznym, powiązanych z dwoma przeciwstawnymi koncepcjami wzajemnych związków genetycznych między państwem a narodem. Dominujące w dwudziestoleciu międzywojennym przekonanie o wtórnym w stosunku do państwa pochodzeniu narodu napotykało sprzeciw ze strony publicystyki narodowodemokratycznej, zdającej sobie świetnie sprawę, że wspomaga ono doskonale doktrynę państwową. Stanisław Stroński dowodził więc między innymi, że: „Naród jest twórcą państwa. Samo powstanie państwa jest oznaką, że jest tam już naród, który byt swój utrwala i doskonali właśnie przez państwo. A także w dalszym rozwoju jest naród jedynym żywym i trwałym źródłem siły państwa. Państwo jest tworem narodu”⁸. Podobna myśl zawarta jest w wypowiedzi Tadeusza Gluzińskiego: „Państwo nie tworzy narodu sztucznie, naród zaś może żyć bez własnego państwa, jak to sami wiemy najlepiej”⁹. Rzecznicy „ideologii państwowej” replikowali natychmiast: „Dla historyka jest truizmem rola państwa jako czynnika wpływającego na powstawanie, utrzymywanie się i rozwój narodowości” (Zygmunt Wojciechowski)¹⁰; „logicznie i w zgodzie z całą nauką państwo jest starszym zawsze od narodu” (Olgierd Górka)¹¹.

Akceptowany ogólnie przez narodowych demokratów pogląd o wtórnym w stosunku do narodu pochodzeniu państwa, propagowany zwłaszcza po 1926 r., nie stanowił bynajmniej ideologicznego dogmatu tego obozu. Sam Roman Dmowski jeszcze w okresie I wojny światowej niejednokrotnie wskazywał na decydującą rolę, jaką odegrało państwo w procesie kształtowania się narodów. Pisał między innymi: „Państwo przez swe podboje i obrony swych posiadłości określiło i ustaliło granice ziemi ojczystej. Ono zaprowadziło w kraju wspólną religię i przez dłuższy czas tępiło wszelkie próby powrotu do dawnych wierzeń lub odszczepieństwa. Pod wpływem państwa nad pierwotnymi narzeczami, często bardzo od siebie dalekimi, zapanował jeden język kulturalny, literacki, wykształcony w wyższych formach życia państwowego i rozwiniętym na jego tle piśmiennictwie, język ojczysty, a granice jego panowania zgodne są zwykle z granicami państwa, o ile przez długi czas utrzymywały się one na tym samym miejscu. Pod wpływem wreszcie państwa i jego jednolitych instytucji ujednostajniały się pojęcia prawne i moralne, obyczaje, zwyczaje, metody postępowania w różnych dziedzinach życia społecznego, wytwarzał się jednolity typ cywilizacji,

⁸ S. Stroński, *Pierwsze lat dziesięć, 1918–1928*, Lwów 1928, s. 40.

⁹ T. Gluziński, *Odrodzenie idealizmu politycznego*, wyd. 2, Warszawa 1935, s. 23.

¹⁰ Z. Wojciechowski, dz. cyt., ser. 1, s. 48.

¹¹ O. Górka, *Naród a państwo jako zagadnienie Polski*, Warszawa 1937, s. 65.

pod jego opieką narastał dorobek duchowy narodu. Jest ono głównym twórcą wielostronnych węzłów narodowej jedności¹². Podobne idee, jakkolwiek wypowiedane już nie tak wyraźnie, odnaleźć można w wydanej w 1926 r. pracy Romana Rybarskiego *Naród, jednostka, klasa*, toteż wydaje się, że teorię o państwowotwórczej funkcji narodu endecja poczęła eksponować ze szczególną wyrazistością dopiero w okresie nasilenia walki ideologicznej z obozem piłsudczykowskim po przewrocie majowym.

Swego czasu wypowiedziano u nas tezę minimalizującą ideologiczno-polityczne oblicze sporu na temat genetycznej relacji między państwem a narodem. Sądzić jednak należy, że przyrównywanie tego sporu do dywagacji na temat tego, czy najpierw było jajko, czy kura, jak to czynił Andrzej Micewski¹³, bezpodstawnie deprecjonowało jego znaczenie. I to z wielu powodów.

Nie ulega wątpliwości, że była to kontrowersja mająca u progu dwudziestolecia międzywojennego już sporą tradycję. Czy jednak w skomplikowanym układzie stosunków politycznych w II Rzeczypospolitej stała się ona bezsensownym anachronizmem? Wydaje się, że taki pogląd nie oddaje wagi problemu, stojącego przecież w ciągu całego okresu międzywojennego w centrum zainteresowań naszej (a zapewne nie tylko) publicystyki politycznej. Nie jest to przy tym spór wkraczający w życie polityczne międzywojennej Polski na zasadzie inercji, po czym wygasający w miarę upływu czasu. Nasila się on wyraźnie po 1926 r., a więc w okresie intensywnych poszukiwań formuły ideologicznej mającej legitymizować („na zewnątrz”) i cementować („wewnątrz”) rządzący Polską obóz sanacji. Walka o uznanie nadrzędności interesu państwowego nad narodowymi to przede wszystkim wyraz ścierania się określonych koncepcji polityki w stosunku do mniejszości narodowych, polityki, która usiłowała rozwiązać jeden z newralgicznych problemów II Rzeczypospolitej. W tym sensie był to zupełnie nowy aspekt dawnego sporu, na który złożyły się takie okoliczności jak fakt zaistnienia niepodległego państwa polskiego i jego wielonarodowy charakter. Z drugiej strony ówczesna „ideologia państwowa” to przecież historyczna i aksjologiczna sankcja silnej władzy rządowej, w jakimś więc stopniu stanowiła ona uzasadnienie ewolucji polskiego życia politycznego w kierunku rządów autorytarnych. W takim, zupełnie odmiennym w stosunku do okresu przedwojennego, kontekście argumenty historyczne przedstawiające państwo jako warunek *sine qua non* genezy i istnienia narodu, a także formację historyczną stymulującą przebieg procesów narodowych były nie do pogardzenia. Traktowano je jako naukowe przesłanki określonych dyrektyw ideowo-politycznych,

¹² Cyt. za: Z. Wojciechowski, dz. cyt., ser. 1, s. 23.

¹³ A. Micewski, *W cieniu marszałka Piłsudskiego. Szkice z dziejów myśli politycznej II Rzeczypospolitej*, wyd. 2, Warszawa 1969, s. 103–104.

a jeśli nawet nie zawsze czyniono to szczerze, to przecież prawie zawsze z intencją, by w świadomości szarego obywatela nauka wsparła swym autorytetem określoną doktrynę czy też orientację polityczną. To samo odnosi się również do ujęć przeciwstawnych, warunkujących powstanie państwa wczesniejszym procesem narodotwórczym czy wręcz wczesniejszym uformowaniem się narodu. Odpowiedź na pytanie: **co było pierwsze?**, traktowana była przez obie strony jako równoznaczna z rozstrzygnięciem sporu: **co jest ważniejsze** w II Rzeczypospolitej – silna władza państwowa czy też liberalno-demokratyczne tęsknoty społeczeństwa?

Istniała jednak jeszcze jedna kwestia związana ze sporami o genetyczną relację między państwem a narodem. Tym razem miała ona bardziej zewnętrzny niż wewnętrzny charakter. Jeżeli bowiem naród polski wyłonił się z państwa uformowanego przez cudzoziemskich (obcoetnicznych) najeźdźców, to właśnie im zawdzięczał swe zaistnienie i byt historyczny. I to nie tylko z racji ich „wkładu krwi” w kolejne pokolenia Polaków, ale i w sensie zorganizowania państwowego tygła, który był niezbędny do „wytopienia” narodu. Takie elementy w latach dwudziestych wystąpiły między innymi w normanizujących, by tak powiedzieć, pomysłach autora omówionej wyżej koncepcji „trzech drużyn” – Stanisława Zakrzewskiego, a jeszcze wyraźniej w stanowisku Kazimierza Krotoskiego, który nieświadomie nawiązał do sformułowanego jeszcze w XIX w. poglądu Ludwika Kondratowicza. Najostrzejszą jednak postać, choć początkowo jak gdyby nierozpoznaną przez historyków polskich, przybrały one w historiografii niemieckiej.

2. MIĘDZY ENDO- A EGZOGENEZĄ (CZ. 2)

CZYNNIK NORMAŃSKI W UJĘCIU STANISŁAWA ZAKRZEWSKIEGO

Zakrzewski nie tylko śledził uważnie prekursorskie badania Kazimierza Wachowskiego¹⁴, ale jak to określił Aleksander Gieysztor, „przejął w pełni jego tezę o normańskim charakterze Jomsborga-Wolina i o bliskich związkach polityki pierwszych Piastów ze sprawami duńskimi i szwedzkimi”¹⁵.

¹⁴ K. Wachowski, *Jomsborg. (Normanowie wobec Polski w w. X). Studium historyczne*, Warszawa 1914; tenże, *Olaf Tryggwason na Pomorzu*, Warszawa 1914 (Sprawozdania z Posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, 7); tenże, *Norwegowie na Pomorzu za Mieszka I*, „Kwartalnik Historyczny” 45, 1932, 2–4, s. 181–210.

¹⁵ A. Gieysztor, *Kazimierz Wachowski (1873–1943)*, „Rocznik Towarzystwa Naukowego Warszawskiego” 31–38, 1938–1945, s. 268; G. Labuda, *Kazimierz Wachowski jako historyk Słowiańszczyzny zachodniej*, w: K. Wachowski, *Słowiańszczyzna Zachodnia*, wyd. 3, postł. G. Labuda, Poznań 2000, s. 167–177 (pierwodruk: Warszawa 1902).

Wachowski uważał, że w badaniach nad dziejami Jómshorga konieczne jest łącznie wykorzystywanie zarówno „suchych” i krótkich wzmianek kronikarskich, jak i tekstów sag, w których elementy mityczne i fantastyczne przenikały się z odniesieniami do wydarzeń historycznych. Sądził, że potraktowana z całym krytycyzmem i ostrożnością *Jómshvikinga saga* stanowi wartościowe źródło historyczne, uprawdopodobniające tezę, że założycielem Jómshorga był duński władca Harald Sinozębny, który mniej więcej w połowie X w. zmusił tamtejsze plemiona do płacenia daniny. Sytuacja miała się znacząco odmienić po śmierci Haralda (985 lub 986 r.), kiedy to jómshwingowie zerwali kontakty z nowym władcą Danii Swenem Widłobrodym, a poddali się zwierzchności Mieszka I. W zamian za zgodę tego ostatniego na okupację kraju, który określany był jako Jóm, wódz wikiński na znak poddaństwa zobowiązał się do dostarczania polskiemu władcy posiłków zbrojnych¹⁶.

Duże zainteresowanie dokonaniem Wachowskiego widoczne jest szczególnie w dwóch książkach, jakie Zakrzewski wydał w pierwszej połowie lat dwudziestych. Jakkolwiek opublikowana w 1921 r. niewielka monografia *Mieszko I jako budowniczy państwa polskiego* ukazała się nakładem Polskiej Składnicy Pomocy Szkolnych, to nieobce są jej takie atrybuty opracowania naukowego jak literatura przedmiotu i aparat, często bardzo specjalistycznych (entymematycznych) przypisów. Oczywiście w porównaniu z dziełem *Bolesław Chrobry Wielki*, które Zakrzewski wydał cztery lata później, prezentuje się ona znacznie skromniej, lecz przecież nie zmienia to wymowy zawartych w niej domniemań i konkluzji.

Historyk nie ukrywał, że wobec nader ubogich źródeł problematyka narodzin polskiego państwa obrosła gęstwą domysłów i hipotez. Właściwie była to konstatacja dość banalna, o tyle jednak pożyteczna, że przestrzegająca przed zacieraniem różnic między przeszłością wyłaniającą się ze źródeł historycznych a bezkrytycznymi wyobrażeniami na temat tego, „co było”. Niestety, pisząc o Mieszku I, Zakrzewski zapominał nierzadko o swej własnej przestrodze, która skądinąd pozostawała w konflikcie z wysoką oceną roli, jaką wcześniej wystawiał on „intuicji historycznej”. W efekcie to, co w fazie wyjściowej jego rozumowania było tylko domysłem, łączył z wnioskami, których hipotetyczność ulegała jakby zatarciu. Przykładem niechaj będzie sposób, w jaki przedstawiał państwowotwórcze oddziaływanie na „prastarą polską dynastię Piastów” wpływów wielkomorawskich oraz normańskich. A oto, co pisał na ten temat: „Z znikłych śladów późniejszych, zwłaszcza imienia jednego z synów Mieszka, Świętopelka, możemy się domyślać, że dość wcześnie przedostały się do rodu Piastów tradycje wielkomorawskie. Może babka Mieszka była morawską księżniczką. Tą drogą od wczesnych

¹⁶ K. Wachowski, *Jomsborg...*, s. 17.

czasów wzmocniło się poczucie dostojności rodu, który w słowiańszczyźnie zachodniej odziedziczył poglądy polityczne na Niemcy i na własną niepodległość właśnie po Mojmirze, Rościławie, i Świętopełku morawskich¹⁷. W sumie trzy zdania, z czego pierwsze dwa to piętrowa supozycja, w której z domysłu o wpływach wielkomorawskich płynął domysł o babce-księżniczce wielkomorawskiej, a trzecie – to wysnuty z owych domniemań, potraktowanych już jednak jako wiarygodne przesłanki, wniosek o „odziedziczeniu” przez ród Piastów „niepodległościowych” poglądów politycznych Mojmira, Rościława i Świętopełka.

Jeżeli „tradycja wielkomorawska” miała zaszczipać w Mieszku I ideę państwową, to domniemane normańskie koligacje jego ojca sugerowały sprawność organizacyjną i militarną. „Wolno się domyślać – pisał historyk – że jedna z żon Ziemomyśla, i to matka Mieszka, była Normanką, Dunką lub Szwedką najprawdopodobniej. Dzięki temu właśnie syn jej w szeregu imion, może nie wszystkich znanych, otrzymał dwa. Jedno po matce, imię skandynawskie Dagome, znane w odmianach także w Szkocji i Irlandii, znane również w Niemczech, zwłaszcza w Saksonii. Natomiast przy obrzędzie postrzyżyn, kiedy młody książę po ukończeniu lat siedmiu wychodził już spod opieki matki i wchodził w świat mężczyzn – syn Ziemomyśla dostał imię książęce – »Mieszko«, którego w tym brzmieniu należy używać¹⁸. Warto zwrócić uwagę, że Zakrzewski uznał bez zastrzeżeń słowo „Dagome” za pierwsze, normańskie imię polskiego władcy, co z kolei uprawdopodobniało przypuszczenie, iż jego matka była Normanką.

Wątek normański u Zakrzewskiego nie ogranicza się tylko do motywu wyprowadzonego z dokumentu *Dagome iudex*¹⁹. Pojawia się on w sposób rozbudowany przy okazji charakterystyki organizacji militarnej państwa pierwszych Piastów. W ogóle spośród wszystkich państwowotwórczych „drużyn”, które dałoby się wyodrębnić w koncepcji tego historyka, najważniejsza była wojskowa. Bez niej przekucie myśli w czyn byłoby niemożliwe. W X w. idea i miecz spletał w jedną całość piastowski władca i to nawet wtedy, gdy idea ta podyktowana była jedynie jego próżnością i pobudkami materialnymi. „Zarodek Polski w późniejszym rozumieniu rzeczy – pisał Zakrzewski. – Polski jako świadomej siły politycznej, świadomej swoich dążeń i swoich interesów, skupiał się na razie w osobie naczelnego księcia, nawet w jego

¹⁷ S. Zakrzewski, *Mieszko I jako budowniczy państwa polskiego*, Warszawa 1921, s. 41–42.

¹⁸ Tamże.

¹⁹ Skądinąd Zakrzewski ani razu nie nawiązuje w *Mieszku I...* do koncepcji Holtzmanna i Schultego, mimo że w tym czasie były one już sformułowane. Zbieżność dotyczy jedynie uznania „normańskości” imienia Dagome. O koncepcjach wspomnianych historyków niemieckich nieco szerzej piszę w dalszej, w podrozdz. *Polemiki historyków polskich z historiografią niemiecką – Zygmunt Wojciechowski i inni*.

najbardziej ekskluzywnym egoizmie czy to moralnej czy nawet materialnej natury. [...] Od tego, w jaki sposób temu księciu udało się pociągnąć większą część masy etnicznej ku sobie, zależało, czy zbiorowisko plemienne Polski wykształci się na państwo i na osobowość historyczną, czy też ulegnie rozbiciu i pochłonięciu przez obce elementy etniczne i obce państwa²⁰. By tak się nie stało, należało wyjść poza słaby i niewydolny system opierający organizację wojska na ludności rodzimej i pospolitym ruszeniu „opoli, żup szczepowych i plemion”, i dopełnić go drużynami cudzoziemskich najemników, które stacjonowały w różnych punktach kraju. Zakrzewski napomykał, że za Chrobrego drużyny takie były w grodach warownych Poznania, Giecza, Gniezna, Włocławka, i dawał do zrozumienia, że jeśli nie wszystkie, to przynajmniej część z nich stacjonowała tam już w czasach Mieszkowych. W sumie siły zbrojne Mieszka stanowić miały zjawisko znamionujące wyższy stopień rozwoju, jednoczyły bowiem elementy drużynnicze z ziemskimi, przy czym rolę spoiwa scalającego te elementy odgrywała najważniejsza i najsilniejsza z nich – ta, która stanowiła dworski orszak zbrojny i była „bezwzględnie” podporządkowana księciu.

Była jednak jeszcze jedna formacja militarna i to taka, której w swej opowieści o budowaniu polskiego państwa Zakrzewski poświęcił bodaj najwięcej miejsca, a mianowicie drużyna normańska, mająca stacjonować u ujścia Odry – w Wolinie-Jómsborgu. Zakrzewski, mimo że nie omieszczał zastrzec, iż sagi są źródłem wielce niepewnym, a na ich tle za szczególnie bałamutną uchodzi *Jómsvikinga saga*, za miarodajne uznał wyniki badań Kazimierza Wachowskiego, który właśnie tę sagę postawił w centrum swych zainteresowań. W konsekwencji orzekał, że: „Za pewne można przyjąć, że król duński Harald Sinozęby urządził szereg najazdów na pogranicze saskie i na słowiańskie wybrzeża Bałtyku. Już w połowie X w. założył on pod słowiańskim miastem Wolinem twierdzę »gród Wolin«, czyli Jomsborg. Tutaj osadził, według źródeł duńskich, liczną załogę o charakterze wolnej drużyny, na której czele stanął, tak przynajmniej dotąd się sądzi, szwedzki wygnaniec książę Styrbjorn. [...] Usadowienie się Duńczyków u ujścia Odry stanowiło ciężki cios dla książąt słowiańskich, którzy tutaj panowali”²¹.

W drużynie z Wolina przeważać mieli Duńczycy, jakkolwiek nie brakowało też Szwedów, Niemców i Polaków. Swoisty kodeks organizacyjny tej formacji, ujęty w dwunastu punktach (które Zakrzewski przytoczył w pełni zarówno w *Mieszku I...*, jak i w *Bolesławie Chrobrym Wielkim*), poświadczal, że była to struktura „wojenna” i dopiero z biegiem czasu jej surowe normy i obyczaje, tak jak to było z innymi tego typu formacjami, uległy złagodzeniu

²⁰ S. Zakrzewski, dz. cyt., s. 38–39.

²¹ Tamże, s. 57.

pod wpływem związków z miejscową ludnością. Zanim jednak do tego doszło bieg wydarzeń (głównie wojny duńsko-niemieckie, polsko-duńskie i „domowe” w Danii) sprawił, że Harald nie tracąc związków z Jomsborgiem, utracił jednak zwierzchnictwo nad nim, w następstwie czego „provincia cała Jomsborska wróciła do Mieszka, chociaż ten musiał się zgodzić na autonomiczny charakter tamtejszej drużyny. Jej stosunek do Polski występuje wyraźnie w sadze o Jomswikingach w związku z postacią na wpół legendową, na wpół historyczną – Duńczyka Palmatokiego, będącego wrogiem Haralda. Temu właśnie Palmatokiemu oddał Mieszko lud i kraj [...] po to żeby się Palmatoki tam osiedlił i zobowiązał bronić kraju i panowania królewskiego”²². W ten sposób Zakrzewski połączył wątek normański z królewskimi aspiracjami Mieszka. Warto zwrócić uwagę, że podmiotem politycznym pozostawał tu polski władca, który normańską drużynę potraktował jako instrument służący do realizacji jego królewskich ambicji. Zakrzewski nie dostrzegął w tym jednak zjawiska wyjątkowego. W takim posiłkowaniu się przez ówczesnych władców drużynami cudzoziemskich wojowników dostrzegął typowe cechy ogólnoeuropejskie. Nie sądził też, by poprzez odwołanie do czynnika normańskiego można było wyjaśniać strukturę polskiego społeczeństwa lub też przypisywać temu czynnikowi decydujące znaczenie w genezie polskiego państwa. Akcentując stosunkowo mocno oddziaływania normańskie na południowe wybrzeża Bałtyku i uznając, że „około roku tysięcznego co najmniej znaczenie równe zachodniej granicy miała rozległa północ, opierająca się o Bałtyk”²³, zastrzegł zarazem, że „z faktów powyższych i im podobnych nie można wysnuwać konkluzji przesadnych, nie będziemy też na ich podstawie snuć fantazji o normańskiej genezie społeczeństwa polskiego”²⁴.

W sumie według Zakrzewskiego państwo polskie było budowlą wzniesioną przez rodzimych władców z „prapolskiego rodu Piastów”. Była to jednak konstrukcja, której zarówno zamysł, jak i wykonanie przyszły „z zewnątrz”. Główny budowniczy (Mieszko I) przejął ideę „niepodległości” z państwa wielkomorawskiego (po babce) i wcielił ją w życie z normańską sprawnością organizacyjno-militarną (po matce), posługując się trzema cudzoziemskimi drużynami: wojskową, duchowną i finansową. Od czasów Hermana i Krzywoustego doszli do tego jeszcze mniej czy bardziej „cudzoziemscy” niewolnicy, którzy już w skromniejszym niż wcześniej stopniu stanowili towar eksportowy, w większym natomiast – osadzani na księżęcej ziemi, uprawiali ją, pełniąc zarazem wobec autochtonów funkcję „psów gończych”

²² Tamże, s. 58.

²³ S. Zakrzewski, *Bolesław Chrobry Wielki*, Lwów 1925, s. 150.

²⁴ Tamże, s. 151–152.

władcy. Dysponując takim instrumentarium, zarówno główny budowniczy, jak i jego następcy mogli drogą podboju utworzyć i przekształcać państwo, które to dzieło leżało poza możliwościami i dążeniami jego mieszkańców. Trudno bowiem oprzeć się wrażeniu, że konstrukcja Zakrzewskiego wznie- siona została na stereotypie politycznej nieudolności Słowian.

Można pytać, czy tego typu ujęcie należy sytuować bliżej koncepcji pod- boju wewnętrznego (władca i jego rodzimy lud), czy zewnętrznego (cudzo- ziemskie wykonanie), jednak trudno nie dostrzec, że arbitralny podział na państwa uformowane endo- lub egzogenicznie w tym wypadku nie wystarcza i odpowiedzi nie znajdziemy. Tytułowe w tym podrozdziale słowo „mię- dzy” konstytuują wszak elementy zarówno jednego, jak i drugiego rodzaju.

KAZIMIERZ KROTOSKI I NAJAZD „POLANO-RUSÓW” SPOD KIJOWA

W 1925 r. Kazimierz Krotoski opublikował na łamach „Kwartalnika Histo- rycznego” rozprawkę w znacznej mierze nawiązującą do normanistycznych koncepcji genezy państwa polskiego. Wykraczała ona jednak poza dotych- czasowe ujęcia dogmatyczną arbitralnością autora, według którego „przyjęta w nauce dzisiaj teza o samorodnem powstaniu państwa polskiego rodzimymi siłami jest tylko hipotezą, nie wytrzymuje dzisiaj krytyki i sprzeczna jest z przyjętym w nauce faktem, że żaden lud o prymitywnej kulturze rolni- czej nie stworzył sam z siebie państwa. Państwa tworzą zawsze i wszędzie wyłącznie nomady, zarówno lądowe, jak i morskie”²⁵. Wypadnie pozostawić na uboczu niedoskonałości owej formuły, która głosząc, że „przyjęta w nauce teza” jest sprzeczna „z przyjętym w nauce faktem”, sugeruje dość kontro- wersyjną koncepcję nauki jako domeny dopuszczającej niekoherencję „tez” i „faktów”. Na uboczu też niechaj pozostaną niekonsekwencje Krotoskiego co do tego, czy teoria najazdu miała obowiązywać „zawsze i wszędzie”, czy tylko w zawężeniu do „ludów o prymitywnej kulturze rolniczej”. Wprawdzie w dalszym toku narracji zapytywał z przekąsem: „dlaczego jednak Polska **jedyna wśród wszystkich narodów** ma zajmować wyjątkowe stanowi- sko i samorodny mieć początek” (podkr. A.W.)²⁶, ale pytaniu temu nadawał charakter czysto retoryczny.

Jakie były najważniejsze elementy sformułowanej przez Krotoskiego nowej wersji powstania państwa polskiego w wyniku podboju? Po pierw- sze zatem Polanie, których nazwa plemienna, wywodząca się od rolniczych „pól”, dała później nazwę Polsce i Polakom, nie byli nad Wartą i Notecią

²⁵ K. Krotoski, *Echa historyczne w podaniu o Popielu i Piascie*, „Kwartalnik Historyczny” 39, 1925, 1, s. 63–64.

²⁶ Tamże, s. 45.

plemieniem autochtonicznym. Usytuowany tam terytorialny związek państwa polskiego jeszcze w IX w. miały stanowić tereny bagnisto-lesiste, wśród których uprawne wysepki należały do rzadkości. W kniei napotkać można było jedynie na „lendy”, „łęchy”, „lechy” uzyskiwane drogą wypalania, a wykorzystująca je ludność nosiła miano „Lendyców”, zwanych też Lachami. Prawdziwych pól tam nie było, a więc nie mogło być i Polan. Po drugie, Polanie przybyli nad Gopło i Wartę dopiero pod koniec IX w., kiedy zostali zmuszeni do opuszczenia swych wcześniejszych siedzib nad Dnieprem, w pobliżu Kijowa²⁷. Tam bowiem nie brakowało ponoć naturalnych, otwartych przestrzeni umożliwiających rolniczy tryb życia, i tam właśnie Nestor i inni autorzy umieszczali pierwotnie ich plemię. Po trzecie, zbrojna zmiana siedzib przez Polan nie była najazdem i podbojem czysto słowiańskim (Słowian na Słowian), jeszcze nad Dnieprem bowiem popadli oni w zależność wobec normańskich Rusów i dopiero pod ich dowództwem, przemieszczając się „na ruskich korabiach”, które w wypadku braku połączeń wodnych przekształcane były w wozy, drogą przez Prypeć, Bug i Wisłę przybyli nad Gopło i podbili okoliczne ziemie.

W sumie Krotoski określał najeźdźców mianem „Polano-Rusów” lub „drużyny polano-ruskiej”, choć mówił też o „Polanach kijowskich pod wodzą Rusów”. Przyczyną owego przemieszczenia się plemion naddnieprzańskich miało być parcie na tamte tereny kolejnych, niejako konkurencyjnych drużyn normańskich pod wodzą Ruryka, czego wynikiem było między innymi zamordowanie w 882 r., by tak powiedzieć, „spolanozowanych” już, normańskich władców Polan Askolda i Dira²⁸ przez będącego następcą Ruryka Olega (879–912). W tej sytuacji Polano-Rusowie postanowili uchodzić na zachód. Na czele drużyny, która przybyła na ziemie położone między Odrą a Wisłą, stał już „Askoldzic-Popiel”²⁹, który w dalszym biegu wydarzeń został obalony przez wywodzącego się również z Polano-Rusów Ziemowita,

²⁷ Teza o Polanach mających zamieszkiwać tereny od okolic Kijowa do Kaniowa, a na północy wokół dolnego biegu rzeki Desny – na Czernichowszczyźnie, do dziś budzi wiele wątpliwości. Wybitny znawca tego zagadnienia Władysław Duczko jest pełen sceptycyzmu co do prawdziwości informacji, jakie na ten temat zawarła *Powieść minionych lat*, zachowana pod postacią kompilacji z XII w.: „Biorąc pod uwagę, że kronikarz mógł wymyślać cechy plemion o których opowiadał, można go również podejrzewać o wymyślenie istnienia Polan”; zob. tenże, *Rus Wikinów. Historia obecności Skandynawów we wczesnośredniowiecznej Europie Wschodniej*, tłum. N. Kreczmar, Warszawa 2007, s. 173 i n.

²⁸ W. Duczko w tym wypadku obdarza *Powieść minionych lat* nieco większym zaufaniem, uznając, że „możliwe jest, iż ci dwaj Skandynawowie byli postaciami historycznymi. Gdyby ich nazwiska nie przetrwały w jakiś sposób kronikarz nie miałby powodu ich wymyślać”; tamże, s. 171.

²⁹ „Aska” był to rdzeń, który Krotoski, za W. Semkowiczem, wywodził ze skandynawskiego wyrazu „asca” – popiół i stąd Popiel; zob. K. Krotoski, dz. cyt., s. 53.

pełniącego początkowo na jego dworze funkcję majordoma-wychowawcy, czyli piastuna-Piasta. Tak mniej więcej miało wyglądać powstanie państwa Polan i zamiana w nim polano-normańskiego Popiela na równie polano-normańskiego Piasta. W tej zamianie, jak domniemywał Krotoski, główną rolę odegrać miał jeszcze jeden normański element, a mianowicie ród Misków (od słowiańskiego tłumaczenia nazwy rodowej „Björn” na „Niedźwiadek” – „Miszka”), który obległ Askoldzica-Popiela w Kruszwicy i tam pozbawił go życia. W uznaniu teźże zasługi następcy tronu z nowej piastowskiej dynastii (prawnuk Ziemowita) otrzymał imię Mieszka. W późniejszych latach w pamięci miejscowej ludności wszystko się pozacierało i „Niedźwiadki” z rodu „Misków” przybrały postać „czworonożnych myszek krwiożerczych”³⁰, a historyczność owych wydarzeń ubajeczniczo została w opowieści o tym, jak „myszy Popiela zjadły”.

W uzasadnieniu swojej hipotezy Krotoski oparł się między innymi na wysoko skądinąd cenionej przez historyków publikacji Władysława Semkowicza, który wykazał, że polski ród Awdańców (Skarbków) był pochodzenia skandynawskiego. Używane często przez ten ród imiona Jaskotel i Jaszczold nasuwały bliskie skojarzenia ze skandynawskimi Asketil i Askold, a tak przecież nazywano normańskich władców naddnieprzańskich Polan. Potwierdzenia swych domniemań szukał też Krotoski w znaleziskach archeologicznych łączonych z Normanami, a także w toponomastyce. Uważał, że nazwy wielu współczesnych miejscowości w Wielkopolsce mają „naddnieprzańskie”, staroruskie pochodzenie. Obok czternastu miejscowości, które tak jak Rusinowo, Rusiec, Rusko, Rusinów zdawały się ściśle wiązać ze słowami „Ruś” i „Rusowie”, również Cerekiew, Popów, Kniaginice, Bojanowice, Iwanowice, Wasilewo, Chołm i Lednica miały być toponomastycznymi śladami najazdu ze Wschodu. Najbardziej zaś wymowną miała być nazwa stołecznego Gniezna, która w swej pierwotnej postaci brzmiała po prostu Kniezin (od „kniazia”).

Istnienie takich nazw jak Cerekiew czy Popów legło zapewne u podłoża jeszcze jednej hipotezy, którą Krotoski zwięźcił swe wywody: „Ponieważ zaś Popiel Askoldzic wedle wszelkiego prawdopodobieństwa był chrześcijaninem, kto wie, czy katastrofa kruszwicka nie odbyła się w części na tle reakcji pogańskiej Björnów-Miszek. – Nazwa ruskiego pierwszego naszego historycznego księcia tak samo, jak i przydomek jego wielkiego syna »Chrobry«, który już u żadnego z Piastów się nie powtarza, natomiast w używaniu jest u ruskich książąt, świadczą również o rusko-kijowskim pochodzeniu twórców państwa polskiego i dowodzą, że najazd, jak wszędzie, a nie samorodna ewolucja stosunków rodzinnych były impulsem do powstania państwa polskiego. Historia polska dzięki temu rozpoczyna się już w roku 882 a nie

³⁰ Tamże, s. 68.

dopiero 963³¹. Przesuwając zawiązki państwa polskiego o kilkadziesiąt lat wstecz i dając mu rusko-kijowską genezę, Krotoski sugerował zarazem, że pierwotne chrześcijaństwo na ziemiach polskich było pochodzenia wschodniego i przyszło do nas wraz z normańskim władcą Polan Askoldzicem-Popielem. Dopiero tu nad Wartą i Notecią, a dokładniej w Kruszwicy, Popiel-chrześcijanin uległ przyprowadzonemu przez siebie pogańskiemu odłamowi Normanów, reprezentowanemu przez popierający Ziemowita-Piasta ród „Misków”. W swej pełnej niedopowiedzeń i niespójności narracji Krotoski nie mówi *expressis verbis*, że była to „pogańska reakcja” na chrześcijaństwo wschodnie. Jednak z całego toku wywodów wynikało, że zachodni odłam chrześcijaństwa nie wchodził tu w grę. Szansa na to, że Rzym mógł dotrzeć do Polski wraz z Polanami spod Kijowa była naprawdę znikoma.

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę, że wśród historyków polskich Krotoski nie był bynajmniej pierwszym, który przychylił się do tezy o chronologicznym pierwszeństwie chrześcijaństwa wschodniego w państwie Piastów. Jeszcze w połowie XIX w. tezę tę wspierali August Bielowski i Wacław Aleksander Maciejowski. Skądinąd ten ostatni, jak już była o tym mowa, również był zwolennikiem hipotezy podboju i akcentował także, iż niezależnie od obcych przymieszek najeźdźcy byli pochodzenia słowiańskiego. Na tym jednak podobieństwa się kończyły, ponieważ według Maciejowskiego najeźdźcy przyszedli z Zachodu, znad Łaby, gdzie wcześniej nauczyli się od Sasów sztuki rządzenia. Zrozumiało, że stamtąd nie mógł dotrzeć do Polski obrządek wschodni, zupełnie tak samo jak spod Kijowa – zachodni.

FRANCISZKA BUJAKA NEGACJA CZYNNIKA NORMAŃSKIEGO – W STRONĘ UNIWERSALIZACJI ZASADY PAŃSTWOTWÓRCZEGO PODBOJU

Opublikowana w „Kwartalniku Historycznym” rozprawka Krotoskiego nie przeszła bez echa³², choć trudno powiedzieć, by spotkała się z większym zainteresowaniem. Przynajmniej w sensie ilościowym, jeśli chodzi bowiem o aspekt jakościowy, to szybko doczekała się krytycznej reakcji ze strony

³¹ Tamże, s. 69.

³² Odmienne miało być według Oswalda Balzera, który pisał: „Najnowsza hipoteza najazdu, rozwinięta przez Krotoskiego (1925) przebrzmiała w literaturze naszej bez echa”; zob. tenże, *O kształtach państw pierwotnej Słowiańszczyzny zachodniej*, w: *Pisma pośmiertne Oswalda Balzera*, t. 3, Lwów 1937, s. 25. W tym miejscu warto wszakże odnotować, że oprócz Bujaka wywołała ona zainteresowanie wybitnego emigracyjnego historyka rosyjskiego Aleksandra L. Pogodina, który wystawił jej ocenę tak niską, że miał wręcz za złe „Kwartalnikowi Historycznemu”, iż w ogóle zdecydował się na publikację tekstu Krotoskiego. Na fakt ów nie omieszczał zwrócić uwagi Stanisław Zajączkowski w recenzji artykułu Pogodina zamieszczonej w: „Baltico-Slavica. Biuletyn Instytutu Badawczego Europy Wschodniej w Wilnie” 1, 1933, s. 231–232.

Franciszka Bujaka, który odrzucił lub osłabił niemal wszystkie argumenty wspierające „rusko-kijowską” koncepcję genezy państwa polskiego. Przede wszystkim całkowicie zaprzeczył jednej z najważniejszych przesłanek, na których oparł swe wywody Krotoski, a mianowicie, że kraj nad Wartą nie posiadał pól, a zatem nie mogli go zamieszkiwać „Polanie”. To nieprawda – twierdził Bujak – źródła przecież utrzymują, że był to kraj gęsto zaludniony i mający dużo przestrzeni bezleśnych, oznaczanych takimi nazwami jak Dziewczopole, Inopole, Wielopole, Złotopole lub po prostu Pole. Natomiast niedobór owych przestrzeni występował właśnie tam, skąd mieli przyjść najeźdźcy. „Na Ukrainie – pisał – lasy sięgają jeszcze dziś daleko poza obszary niegdyś zamieszkałe przez Polan naddnieprzańskich”³³.

Wysuwając własne argumenty toponomastyczne, Bujak i od tej strony kwestionował pomysły Krotoskiego. Wskazywał między innymi, że wymienione przez tego ostatniego rzekomo ruskie nazwy (typu Cerekiew, Popów, Knieginice, Bojanowice) występują nie tylko w Wielkopolsce, lecz we wszystkich częściach Polski, a również na Morawach i w Czechach. Podobnie miało być z nazwami wywodzącymi się od tematu „Ruś”, które według Bujaka mogły powstać drogą osadzenia jeńców lub dobrowolnych przybyszów ze wschodu. Za równie nieuzasadnione uznał w końcu łączenie używanych przez niemieckiego kronikarza Thietmara form *Gnesni*, *Gnesin* „z jakimś Kniezinem”, ponieważ – jak pisał – „są to zwykłe postaci niemieckie Gniezna (*Gnesen*)”³⁴.

Nie wchodząc w szczegóły, nadmienić już tylko wypadnie, że Bujak nie znajdował podstaw do łączenia znalezisk normańskich w Wielkopolsce z hipotezą najazdu, a co więcej, ośmieszał wręcz przebieg dróg, jakie na swych korabkach przemierzać mieli Normanowie. „Szczytem zapału wareskiego d-ra Krotoskiego – pisał – jest tworzenie drogi wodnej przez przełęcz dukielską od Ujścia Huczwy do Bugu aż do Dunaju”³⁵.

Konkluzja Bujaka była jednoznaczna – hipoteza Krotoskiego jest nie do utrzymania w nauce, nie znajduje bowiem potwierdzenia w źródłach lub też opiera się na błędnej ich interpretacji. Jej istotnymi przesłankami było stereotypowe wśród zwolenników teorii podboju przeświadczenie o braku wśród Słowian zdolności czy też samorodnych możliwości państwowotwórczych oraz przekonanie, że plemiona lechickie stanowiły całość jednolitą etnicznie. Bujak kwestionował obie te przesłanki. „Plemiona lechickie nie były jednolite pod względem rasowym – pisał – wśród nich było bardzo wiele żywiołów północnoeuropejskich, długogłowych, jak świadczą czaszki z XI w. z Kujaw

³³ F. Bujak, *Nowa hipoteza o początkach państwa polskiego*, „Roczniki Historyczne” 1, 1925, s. 293–294.

³⁴ Tamże, s. 293.

³⁵ Tamże, s. 292.

i Mazowsza. Otóż żywiły te musiały posiadać cechy psychiczne podobne do cech plemion germańskich. Ale zresztą, gdzie jest germański patent na zdobyczą twórczość państwową?”³⁶.

Chciałoby się powiedzieć, że Krotoski napotkał w Bujaku przeciwnika nieprzejednanego, który „na całej linii” odrzucił jego sugestie i twierdzenia. A jednak tak nie było. Atakując bowiem określoną wersję hipotezy powstania państwa polskiego drogą podboju, Bujak bynajmniej nie kwestionował samej teorii najezdniczego powstawania państw. Twierdził jedynie, że stan źródeł, jakimi dysponujemy, nie upoważnia ani do twierdzenia, że państwo polskie powstało drogą podboju, ani też do utrzymywania, że wykształciło się ono w sposób samorodny, „ewolucyjny”. Co więcej, można było odnieść wrażenie, że teoria podboju jawiła mu się jako teoria nadrzędna, mieszcząca w sobie teorię ewolucyjnego samoródtwa, rozumianą jako „proces jednoczenia” czy też zgodnego „scalania się” plemion jednoetnicznych. „Najazd był możliwy – pisał – i musi się nam wydać równie prawdopodobny jak rozszerzenie przez władcę jednego plemienia swego panowania na plemiona sąsiednie. Rozszerzenie władzy przez dynastę jest także podbojem, tylko innego rodzaju. Skutki takiego sąsiedzkiego podboju musiały być podobne, jak skutki podboju obcego choć może łagodniejsze. Ruś i Bułgaria powstały przez podbój obcy, a raczej przez obcą pracę organizacyjną, wobec szczupłych zastępów waregskich i bułgarskich w stosunku do ludności słowiańskiej, ale Czechy w X wieku zjednoczone zostały nie przez obcych najeźdźców, ale przez władcę jednego plemienia miejscowego. Państwo wielkomorawskie też nie przez podbój zewnętrzny powstało w IX wieku. Kroacja zjednoczona została w X wieku przez miejscową dynastię. Tak samo później Serbię w XII wieku nie obcy najeźdźcy zaczęli skupiać, lecz miejscowa dynastia Nemanjów [dzisiaj dominuje forma Nemaniczków – A.W.]. Dlaczegożby i Polska nie mogła powstać w ten sam sposób”³⁷.

Nie było to jednak pierwsze wystąpienie Bujaka, w którym wykazywał on niemało przychylności dla hipotezy podboju. Rok wcześniej, w drugim tomie wydanych przez niego³⁸ *Pism pośmiertnych Karola Potkańskiego* (1924) ukazało się studium zatytułowane *Napis grobowy Bolesława Chrobrego*, w którym autor (zm. 1907), biorąc pod uwagę treść owego napisu (*Regnum Sclavorum, Gothorum sive Polonorum*), a zwłaszcza określenie „Gotów czyli Polaków”, rozważał możliwość uznania normańskiej genezy polskiego państwa i społeczeństwa.

³⁶ Tamże, s. 295.

³⁷ Tamże.

³⁸ Bujak był autorem obszernego zyciorysu Potkańskiego, zamieszczonego w tomie 1 (Kraków 1922) oraz naukowego opracowania całości tej edycji z wyjątkiem trzech spośród czternastu tekstów umieszczonych w tomie 2 (Kraków 1924), które wydali Jan Stanisław Bystroń, Władysław Heinrich i Władysław Semkowicz.

Potkański miał opinię „relatywisty”, unikającego ustaleń i ocen jednoznacznych, w tym jednak wypadku nie miał wątpliwości, pisząc: „zresztą tego i dowodzić nie potrzeba, że Gotowie Polakami nie byli, ani odwrotnie Polacy Gotami”³⁹. Jego, by tak powiedzieć, „firmowy supozycjonizm” („hipotetyzm”?) ujawnił się dopiero w następnym zdaniu: „I takie przypuszczenie wydaje się mi możliwym, że w XI czy XII wieku tułała się na północy Europy nazwa Gotów i że w nią ubierały się różne narodowości jako w nazwę niejako zaszczytną. Możliwe to jest, ale przecież zdaje się być naciągane”⁴⁰. I oto w tym miejscu Bujak w rozbudowanym przypisie od wydawcy uznał za wskazane zwrócenie uwagi, że hipoteza normańskiego podboju bynajmniej nie zasługuje na aprioryczne odrzucenie. Zdają się za nią przemawiać zarówno dane toponomastyczne nasuwające skojarzenia z Gotami, jak i spisane wprawdzie dopiero w XVI w. i „mętne”, ale jednak „odnoszące się do rzeczywistych faktów” podanie mówiące o tym, że pruscy Ulmerugowie, podbici przez wodza o nazwisku Matza, uwolnili się z niewoli przy pomocy Gotów. „Gdyby Matza był mazowieckim Masławem czyli Mojsławem z czasów Kazimierza Odnowiciela – suponował Bujak – to tymi Gotami byłiby nie tylko Słowianie ruscy ale i polscy pod wodzą Kazimierza” i zapytywał: „Czyż wobec tego można stanowczo odrzucać z królewskiego tytułu Bolesława Chrobrego »**Gotów czyli Polaków**« jako sztuczny wytwór autora napisu nagrobkowego. W każdym razie należy się w tej sprawie jeszcze głós językoznawstwu” (podkr. A.W.)⁴¹.

Myśl Bujaka prowadziła wyraźnie w stronę uniwersalizacji zasady państwowotwórczego podboju i podniesienia jej do rangi „prawa historycznego”. Zwracając uwagę na to, że łączenie lub scalanie pobratymczych plemion sąsiedzkich „jest także podbojem, tylko innego rodzaju”, kwestionował on w istocie zasadę państwowego samorództwa. W ujęciu, które zaprezentował, polemicznym wobec sugestii Krotoskiego, państwa powstawały egzogenicznie w wyniku podboju zewnętrznego i to nawet wówczas, gdy tak jak podbój Słowian przez Słowian, „podbojowość” mogła się jawić jako stosunkowo łagodna forma monoetnicznej integracji.

KAZIMIERZ TYMIENIECKI I JEGO „SOCJOLOGIZACJA” MYŚLENIA O POCZĄTKACH PAŃSTW

We wręcz przeciwną stronę prowadziła natomiast myśl Kazimierza Tymienieckiego, który w referacie wygłoszonym w 1925 r. na IV Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Poznaniu zwracał uwagę na potrzebę

³⁹ *Pisma pośmiertne Karola Potkańskiego*, t. 2, Kraków 1924, s. 126.

⁴⁰ Tamże, s. 126–127.

⁴¹ Tamże, s. 126.

rozgraniczenia interpretacji teoretyzująco-universalizujących, bliskich socjologii, od historycznych, ograniczonych do wydarzeń i procesów zachodzących w określonym czasie i przestrzeni. Nie chodziło mu jednak o całkowite rozgraniczenie obu tych ujęć, uznawał bowiem, że „obecnie socjologia interesować nas może jedynie pośrednio” i dopuszczał inspiracje z jej strony, tyle że przestrzegał przed historią oderwaną od dziejowego konkretności. Ci, którzy tak jak Piekosiński „weszli na niewłaściwą drogę” i dopatrywali się „praprzyczyny” narodzin społeczeństwa i państwa polskiego w najeździe, ulegali mirażowi „logicznych dedukcji” i bagatelizowali źródła, które przecież nic „o najeździe nie mówią”. Tymieniecki zwracał przy tym uwagę, że należy oddzielić kwestię teoretyczną „praprzyczyny” od historycznej genezy, przez którą zawsze należy rozumieć „przejście z jednej fazy w drugą, a inaczej mówiąc przetworzenie się pewnych form społecznych wcześniejszych w odmienne od tamtych formy późniejsze”⁴². Przestrzegając przed fetyszyzowaniem socjologii, którą prawie utożsamiał z oderwaną od „faktów” teorią, opowiadał się jednak za stosowaniem „metody socjologicznej” w historii. Polegać ona miała na tym, „że odnajdywać będziemy elementy form społecznych, jednakże nie dla nich samych, lecz ażeby z ich pomocą poznać lepiej konkretne grupy zjawisk historycznych i przeniknąć ich rozwój w danym indywidualnym ich zrealizowaniu”⁴³. Szedł zatem tropem koncepcji „typów idealnych” Maxa Webera, mających charakter nie tyle opisów rzeczywistości historycznej (wchłaniającej w siebie również „współczesność”), ile modeli epistemologicznych czy też instrumentów poznawczych pozwalających jedynie na lepsze tej rzeczywistości poznanie i opisanie bardziej historycznych różnic niż podobieństw.

„Metoda socjologiczna” nakazywała Tymienieckiemu snuć refleksję na temat relacji „harmonia – konflikt”, które zachodziły między małymi a dużymi grupami społecznymi, takimi jak u Słowian były ród i plemię, a także jako wyższa i rozleglejsza od plemienia forma dużej grupy społecznej, którą stanowiło państwo. Jeśli ród i plemię wykazują u wszystkich ludów wiele analogii, to w wypadku państwa mamy do czynienia z jednej strony ze zjawiskiem recepcji poszczególnych instytucji i wzorów obcych, z drugiej zaś z czerpaniem sił żywotnych z tego, co rodzime i miejscowe. „Na tej właśnie podwójnej podstawie oparła się też u nas monarchia Piastów” stwierdzał Tymieniecki, lecz – co znamienne – szczególny akcent położył on ostatecznie na drugi z wymienionych czynników, orzekając: „Teoria o dynastycznym

⁴² K. Tymieniecki, *Geneza społeczeństwa polskiego*, w: *Pamiętnik IV Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Poznaniu 6–8 grudnia 1925*, t. 1: *Referaty*, Lwów 1925, s. 1–2 (Sekcja IV, odrębna paginacja).

⁴³ Tamże, s. 2.

szlachty polskiej pochodzeniu, nawet w formie najbardziej umiarkowanej jest nie do przyjęcia”⁴⁴. Słowem, zdaniem Tymienieckiego, hipoteza podboju nie wyjaśniała ani sposobu uformowania się społeczeństwa polskiego, ani powstania państwa polskiego.

ANTYNOMIE KONCEPCJI „PODBOJOWEJ EWOLUCJI”
ROMANA GRODECKIEGO

W 1926 r. opublikowane zostały *Dzieje polski średniowiecznej w dwu tomach* autorstwa trzech historyków: Romana Grodeckiego, Stanisława Zachorowskiego i Jana Dąbrowskiego. Jakkolwiek tylko Grodecki podjął w tej publikacji kwestię państwowotwórczego podboju, to przecież również Dąbrowski, sygnujący całość dzieła swym nazwiskiem, powinien podzielać i zapewne podzielał jego zapatrywania na temat genezy państwa polskiego⁴⁵. Już choćby tylko z tego powodu, ale nie tylko, warto posłużyć się nieco dłuższym cytatem. „Państwo polskie pojawia się w r. 963 w postaci gotowej. Sposób, w jaki powstało, przedstawić sobie można tylko w formie przypuszczenia. Poglądy naukowe, jakie w tej mierze wyrażono składają się na dwie zasadniczo odmienne hipotezy, mianowicie teoria najazdu i teoria ewolucyjnego powstania państwa. Wedle pierwszej państwo powstało nagle, niejako doraźnym aktem powołane do życia, mianowicie przez podbój; teoria ewolucyjna, aczkolwiek nie tylko nie odrzuca możliwości wstrząśnień wojennych, lecz owszem uważa je za konieczne, przyznaje im jednak tylko – istotną zresztą – rolę niezbędnych bodźców, pod których wpływem państwo się formowało, za ich pomocą rozszerzając się następnie i utwierdzając w dłuższym procesie dziejowym. Dziś powszechnie i słusznie nabrało uznania to drugie stanowisko, choć przez nikogo jeszcze w systematyczny całokształt nie ujęte i mimo, że różnice zapatrywań między poszczególnymi przedstawicielami tego poglądu są znaczne”⁴⁶.

Przytoczone tu słowa godne są bliższej analizy nie tylko dlatego, że stanowią wykładnię poglądów co najmniej dwóch, a może i trzech znanych historyków. „Może”, ponieważ zmarły wcześniej Zachorowski mógł ich po prostu nie znać, choć zawarte w nich treści były mu zapewne bliskie. Co więcej, wydaje się, że kondensują one kilka cech charakteryzujących kompleksowo ówczesną refleksję historyczną dotyczącą powstania państwa

⁴⁴ Tamże, s. 6.

⁴⁵ Część tej edycji, napisana przez trzeciego autora, S. Zachorowskiego, który zmarł w 1918 r., została zaczerpnięta przez dwóch pozostałych z wydanej przez PAU w 1919 r. *Historii politycznej Polski*.

⁴⁶ R. Grodecki, S. Zachorowski, J. Dąbrowski, *Dzieje polski średniowiecznej w dwu tomach*, t. 1: *Do roku 1333*, Kraków 1926, s. 14.

polskiego. Po pierwsze zatem obrazują omówione tu już na wstępie, typowe dla polskiej historiografii (a wydaje się, że nie tylko historiografii i nie tylko polskiej) nakładanie na siebie konotacji takich terminów (pojęć) jak teoria i hipoteza. Po drugie, stanowią wyraz rozterek i trudności eksplanacyjnych, wynikających z intencji wyeliminowania aksjologicznie niżej stojącego wariantu „podbojowego”. Państwo samorodne miało większą wartość emocjonalną i ideologiczno-polityczną niż państwo, by tak rzec, bękarcie, powstałe w wyniku gwałtu dokonanego na autochtonach przez alochtonów. Z drugiej strony, hipoteza ewolucyjna odbierała obcym (chodziło tu głównie o Niemców) możliwość przypisywania sobie ojcowskich zasług w dziele stworzenia państwa polskiego. Co więcej, wobec często wyrażanych przekonań, że państwo było głównym czynnikiem narodotwórczym („bez państwa nie byłoby narodu”), odbierała im również zasługi utworzenia z Polaków „prawdziwego” narodu. W ścisłym związku z tą kwestią pozostaje, charakterystyczny dla polskiej myśli historycznej i politycznej okresu II Rzeczypospolitej, omówiony tu wcześniej spór o to, czy najpierw był naród, który stworzył państwo polskie, czy też najpierw było państwo, w tygłu którego „wytopił się” naród.

Hipoteza ewolucyjnego powstania państwa polskiego była wprawdzie, jak twierdził Grodecki, powszechnie uznawana, nie oznaczało to jednak, iż wynikała ona z teorii uniwersalnej, zgodnie z którą państwa zawsze i wszędzie powstawały samorodnie. Historyk ten zwracał uwagę, że choćby w odniesieniu do Słowian nie określała ona jedynej drogi państwowotwórczej, bo podbój zdecydował o powstaniu Bułgarii i „analogicznie, choć mniej zasadniczo”, Rusi. W „Waregorusach” dostrzegał on „przybyszy”, których rola „polegała nie na zorganizowaniu zupełnie nowego państwa drogą podboju, lecz na ulepszeniu istniejących już urzędzeń państwowych”⁴⁷. Formuła dopatrująca się w Waregach przybyszy-reformatorów nie wyróżniała się zbytnią przejrzystością, ale intencje historyka stawały się łatwiej czytelne po dojściu do konkluzji, którą wieńczył swe wywody: „Poza tym wszystkie inne państwa słowiańskie były owocem własnego rodzimego wysiłku i zmysłu państwowotwórczego”⁴⁸.

Przeciwstawiając „teorię najazdu” „teorii ewolucyjnej”, Grodecki utrzymywał, że jedynie ta ostatnia jest „słuszna” i „powszechnie przyjęta”, zarazem jednak przyznawał, że państwowotwórcza ewolucja wymaga niezbędnych bodźców pod postacią „wstrząśnień wojennych”, i że wstrząśnienia te, odgrywając „istotną rolę”, są dla niej wręcz „konieczne”. Taki tok myślenia dałoby się skądinąd odwrócić, utrzymując, że najazdowi, jeśli miał on zaowocować powstaniem trwałego państwa, towarzyszyć musiały ukształtowane w toku

⁴⁷ Tamże, s. 12.

⁴⁸ Tamże.

ewolucji czynniki stabilizacyjne, obejmujące zarówno podbijających, jak i podbitych. W efekcie obie hipotezy („teorie”) powstania państwa polskiego dałoby się zamknąć w obrębie jednej, odwołującej się zarówno do czynników dynamizujących (gwałtownie przyspieszających lub opóźniających ów proces – wojny, podboje), jak i stabilizujących, wchodzących w obszar historii „długiego trwania”. Wymagałoby to jednak przesunięcia akcentów na wyjaśnianie funkcjonalne, tymczasem w ówczesnej historiografii, którą Wojciech Wrzosek zalicza do „historiografii klasycznej”, dominowała zasada wyjaśniania przyczynowego, opartego na regule temporalnego następstwa przyczyn i skutków. Tu też można się doszukiwać źródeł kłopotów Grodeckiego, który już to rozdzielał, już to łączył państwowotwórczą ewolucję z państwowotwórczym podbojem.

Nagle pojawienie się państwa polskiego w 963 r. w „postaci gotowej” (w pełni ukształtowanej) wobec milczenia źródeł przypisywać można było raczej gwałtownej (podbojowej) genezie jego narodzin, niż ewolucyjnemu dochodzeniu do formy dojrzałej. A jednak historyk wybrał „teorię” ewolucyjną i to nie tylko dlatego, że była ona „powszechnie przyjęta” i z bliżej niewyjaśnionych względów „słuszna”. Późne narodziny państwa uwiarygodniać miało to, że: „Mieszkając w głębi lądu, otoczeni dookoła innymi ludami słowiańskimi, nie stykali się Polacy bezpośrednio z żadnym innym narodem, a nie podlegając obcym najazdom ani trwalszej niewoli, nie doznawali też stąd podnieć do śpieszniejszego organizowania się państwowego”⁴⁹.

Twierdząc, że Polacy nie stykali się bezpośrednio z żadnym innym narodem i nie podlegali obcym najazdom, Grodecki uprawdopodobniał hipotezę ewolucyjną. Czynił to jednak w sposób niezbyt przejrzysty, nasuwało się bowiem pytanie: dlaczego sąsiedztwo otaczających „Polaków” „ludów słowiańskich” miało iść w parze z tym, że nie podlegali oni „obcym najazdom”? Czy dlatego, że Słowianie, zgodnie z herderowskim i słowianofilskim stereotypem, mieli być ludem pokój miłującym, któremu idee wojen, najazdów i podbojów były z gruntu obce?

Grodecki nie uległ temu stereotypowi. Okazywało się bowiem, że niezależnie od „słuszności”, jaką przyznawał hipotezie („teorii”) ewolucyjnego powstania państwa polskiego, to ostatnie przedstawiał raczej jako wynik... podboju. W podrozdziale zatytułowanym *Podbój i zjednoczenie plemion polskich przez Piastów* czytamy: „Chronologicznego porządku podbojów Piastów ustalić już niepodobna [...]. Zdaje się, że w ten sposób wewnętrznego niejako podboju należy sobie wyobrażać dokonanie przez rodzimą dynastię Piastów zjednoczenia plemiennych terytoriów czy księstw. Za takim przebiegiem rzeczy, jak w Czechach, gdzie w miarę coraz silniejszego zacieśniania

⁴⁹ Tamże, s. 15.

się federacji plemion, jedno z nich, a raczej jego dynastia wybiła się ponad inne, nic u nas nie przemawia; nie było zaś zwłaszcza celów takiej federacji. Podbój wyszedł z ziemi Polan, którzy swą nazwę narzucili następnie całości, w czym równocześnie tkwi też dowód tego procesu dziejowego. O stosunkowo wysokim stopniu skonsolidowania władzy książęcej pierwszych Piastowiczów świadczy jej dziedziczność z ojca na syna w tym rodzie przed 950 r.⁵⁰ A zatem w ostatecznym rozrachunku Grodecki skłonny był przychylić się do tezy o „wewnętrznym podboju”, rozumianym jako podbój „swoich przez swoich” czy też „naszych przez naszych”. Była to teza łagodna, odrzucająca możliwość państwa niechcianego, wymuszonego, powstałego w wyniku gwałtu zwycięzców na pokonanych. Zarazem jednak stała ona w wyraźnej opozycji do „ewolucjonistycznych” deklaracji historyka. Podboje piastowskie wyznaczały główny szlak formowania się polskiego państwa, szlak – co sam przyznawał – całkowicie odmienny od federacyjno-ewolucyjnej drogi czeskiej.

Jednym ze źródeł wątpliwości dotyczących koncepcji Grodeckiego jest brak wyraźniejszego określenia, co to jest podbój wewnętrzny i w konsekwencji brak wskazania na to, co sprawiło, że państwowotwórcze podboje Polan miały mieć taki właśnie charakter. Historyk pisał, że objęły one „Polaków”, otoczonych ze wszech stron przez ludy słowiańskie, zarazem jednak twierdził, że owi „Polacy” stali się nimi dopiero po tym, jak Polanie podbili część otaczających ich ludów i „narzucili” im swą nazwę. Jeżeli zatem taki podbój miał mieć charakter „wewnętrzny”, to tylko dlatego, że był to podbój wewnątrzetniczny, a konkretnie wewnątrzsłowiański. Pozostawała jednak niepewność, czy tak rozumiany podbój może harmonizować z hipotezą ewolucyjnej („republikańskiej”) genezy państwa.

STANISŁAW ARNOLD – W STRONĘ KONCEPCJI PODBOJOWEJ AKCELERACJI EWOLUCJI PAŃSTWOTWÓRCZEJ

W *continuum* wyznaczonym przez ekstremy samoródtwa i podboju skrajna koncepcja „czystego” podboju, określanego zazwyczaj mianem podboju przez „obcą rasę” (nie wchodzę tu w wielopostaciowość i amorficzność konotacji „rasy”), występowała dość rzadko (Szajnocha czy też „wczesny” Kochanowski). Częściej odwoływano się do samoródtwa, najczęściej jednak narodziny polskiego państwa postrzegano jako splot czynników wewnętrznych utożsamianych z rodzimością i zewnętrznych utożsamianych z obcością. Ten splot dokonywać się miał na ziemiach będących kolebką późniejszego państwa polskiego, mógł jednak zachodzić również poza nimi: czy to nad

⁵⁰ Tamże, s. 23–24.

Łabą (koncepcja normanizacji tamtejszych Lechitów), czy to pod Kijowem (koncepcja wykształcenia się normańsko-słowiańskich Ruso-Polan), i dopiero później nastąpił jego transfer na ziemie „rdzennie” polskie. Takie ujęcia, utrzymane w konwencji państwowotwórczego podboju dokonanego wprawdzie z zewnątrz, ale przez podmioty łączące w sobie cechy wewnątrz- i zewnątrz- etniczne, należały jednak do rzadkości. Retortą, w której państwowotwórczy ogień miał spajać rodzimość i obcość, były najczęściej, warto to powtórzyć, ziemie na Odrą, Wartą i Wisłą.

I tak też należy postrzegać koncepcję profesora Uniwersytetu Warszawskiego Stanisława Arnolda, historyka, któremu naświetlenie kwestii początków państwa polskiego powierzyli inicjatorzy pomnikowego wydawnictwa *Polska, jej dzieje i kultura* (t. 1, 1932). Arnold w swym wyważonym ujęciu nie poszedł tak daleko jak Piekosiński czy Krotoski. W tym, co napisał dostrzec można próbę pogodzenia pomysłów własnych z poglądami wyrażanymi przez Bujaka, Zakrzewskiego, Grodeckiego czy też Tymienieckiego. Trudno się zresztą dziwić, była to wszak elita polskich mediewistów.

Zwracając uwagę, że terytoria, na których później uformowało się państwo polskie, zasiedlane były przez Słowian jeszcze w „epoce Chrystusowej”, Arnold dopiero na wiek IV–VI datował zajęcie ich przez „polskie” plemiona słowiańskie⁵¹. Miały one wkroczyć na ziemie opuszczone przez wcześniejszych słowiańskich mieszkańców, którzy przemieścili się na zachód, tworząc w ten sposób grupy Słowian zachodnich, natomiast obszary zajęte przez plemiona nowo przybyłych w miarę upływu czasu były scalane w terytoria „szczepowe”. Arnold nie miał złudzeń, że odbywało się to w atmosferze słowiańskiej sielanki. Nie było mowy o żadnej „spokojnej ewolucji”, był to podbój słabych władców przez silniejszych. „Cementem, który spajał samodzielne plemiona w jedną całość – pisał – była władza miecza, nie zaś pokojowe porozumienie lub przymierze. Szczegółów tego podboju nie znamy. Opierając się jednak na analogiach ze światem zachodnio-słowiańskim i na pewnych pozostałościach ustrojowych Polski późniejszej, można stwierdzić, że stwarzał on nowy typ organizacji państwowej, którą można by określić jako pra-feudalną”⁵².

Wszystko zatem odbywało się własnymi siłami. A czynnik normański? Arnold *expressis verbis* głosił, że inicjacja procesu państwowotwórczego dokonywała się w obrębie jednorodnych etnicznie plemion „polskich”. Jakkolwiek

⁵¹ S. Arnold, *Początki państwa polskiego*, w: *Polska, jej dzieje i kultura: od czasów najdawniejszych do chwili obecnej*, t. 1: *Od pradziejów do roku 1572*, oprac. W. Antoniewicz, Warszawa [1932], s. 51. Znamienne, że Arnold, by uniknąć podejrzeń o anachronizację, pisał: „dzisiejsze ziemie polskie”, a napomykając o ówczesnych „plemionach »polskich«”, to ostatnie słowo ujmował w cudzysłów.

⁵² Tamże, s. 54.

nie negował kontaktów władców nowo powstałego państwa polskiego z drużynami normandzkimi, a także istnienia „nordyjskich żywiołów”, które przeniknęły do rycerstwa polskiego, to nie omieszczał zastrzec, że jeśli „żywioł obcy (np. normandzki) mógł wziąć żywy udział w akcji poszczególnych książąt polskich”, to jedynie „jako czynnik pomocniczy, imigracyjny”, co nie było „wcale równoznaczne z najazdem takim, jaki np. w wieku IX miał miejsce u Słowian wschodnich, od najeźdźców właśnie normandzkich później ruskimi zwanymi”⁵³. Z najazdem i normandzkim podbojem Arnold nie łączył również miana *Dagome*, występującego w zachowanym w archiwum papieskim regeście dokumentu z lat 985–992, chociaż podobnie jak Zakrzewski nie wykluczał, że mogło to być zniekształcone drugie, „skandynawskie” imię polskiego władcy, nadane mu „zapewne przez jakieś powinowactwo matki Mieszka z Normanami”⁵⁴.

Można powiedzieć, że w ujęciu Arnolda skupiała się spora część dylematów nękających naszą myśl historyczną z chwilą, gdy jej przedmiotem stawała się kwestia narodzin polskiego państwa. Kształtować się ono miało samorodnie, wewnątrzetnicznie, ewolucyjnie, ale zarazem drogą podbojów, na której władcy „jednoczyciele” posługiwali się nie namową i perswazją, lecz po prostu orężem, siły własne swego ludu skłonni zaś byli wzmacniać, ale w zależności od potrzeby także i okiełznywać, siłami zewnętrznymi. Całość kwestii komplikowało dążenie do pogodzenia dwóch przeciwnych aksjologii: ewolucji i podboju. W ujęciu polskich historyków twórcy samorodnie formowanego państwa ślamazarne tempo „samoczynnych” przemian ewolucyjnych skłonni byli przyspieszać przy pomocy wypróbowanego bodźca, jakim był miecz. I to niekoniernie własny.

OSWALD BALZER – W STRONĘ „CZYSTEJ” ENDOGENEZY

Pisząc o historiografii II Rzeczypospolitej, nie sposób pominąć postaci Oswalda Balzera, wybitnego znawcy dziejów państwa i prawa, który zakończył życie w 1933 r., a więc jeszcze przed upływem okresu międzywojennego. Oczywiście „nie sposób pominąć” nie tylko dlatego, że uczony ten należał do najściślejszej elity polskich dziejopisów. Po prostu w ostatnich swoich pracach, z końca lat dwudziestych i początku trzydziestych XX w., skoncentrował się on na problematyce genezy państw zachodniosłowiańskich, w tym na ocenie historiografii odwołującej się do hipotezy powstania państwa polskiego drogą podboju.

Balzer należał do nielicznych dziejopisów, który podejmując refleksję nad państwem i narodem, dostrzegali potrzebę uporządkowania siatki

⁵³ Tamże.

⁵⁴ Tamże, s. 61.

terminologiczno-pojęciowej, jaką w historiografii, choć rzecz prosta, nie tylko w niej, bo i w etnologii czy archeologii również, zwykło się nakładać na różne rodzaje grup etnicznych. Warto tu przypomnieć niezbyt wyraziste relacje, jakie występowały w myśli historycznej Michała Bobrzyńskiego między konotacjami „szczepu” utożsamianego z „plemieniem” i dziewięcioszczepowej „Słowiańszczyzny”⁵⁵, dookreślonej skądinąd przez tego historyka *avant la lettre* mianem „polskiej”⁵⁶. Warto dlatego, że jest to dobry przykład ukazujący, że nawet historykom tej klasy co autor *Dziejów Polski w zarysie* nieobce były kłopoty terminologiczno-pojęciowe, a Balzer właśnie pod kierunkiem Bobrzyńskiego doskonalił arkana swej historycznej profesji i przy należnym szacunku dla swego nauczyciela mógł z bliska obserwować niedoskonałości jego „warsztatu pojęciowego”⁵⁷.

W dążeniu do wyraźnego rozgraniczenia zasięgów różnego rodzaju grup etnicznych Balzer zwracał uwagę, że dawniej takie nazwy jak Pszowianie, Wolinianie, Brzeżanie czy Drzewianie uważane były za nazwy plemion i dopiero większe całości, powstałe z ich połączenia, określano mianem szczepu. Historyk dostrzegał jednak, że wraz z upływem lat tendencja ta uległa odwróceniu – grupy „niższe” zaczęto nazywać szczepami, natomiast wyższe plemionami, ale to, jego zdaniem, również nie rozwiązało sprawy, ze względu na pewien uzus językowy. „W dość pospolitym użyciu naszego języka – pisał – określamy mianowicie nazwą szczepu całe wielkie odłamy ludzkości, zgoła niewspółmierne z drobnymi jednostkami etnicznymi, o jakich tu mowa. Mówimy o szczepie germańskim słowiańskim itp., jako najbliższych poddziałach rasy aryjskiej. Szczep jest tu zatem pojęciem wyższorzędnym w stosunku nawet do jednostki narodowej [narodu – A.W.]”⁵⁸. W tej sytuacji Balzer zaproponował zachowanie terminu „szczep” jedynie w ostatnim z wymienionych znaczeń, a zrezygnowanie z odnoszenia go do plemion albo skupień kilkuplemiennych, które nie są jeszcze narodami. Wprawdzie padła propozycja, by te ostatnie określać nazwą „ludów”, ale zdaniem historyka również „ten określnik nie będzie całkiem ścisły; występuje

⁵⁵ Na temat niejasnego statusu tego pojęcia pisałem szerzej w: *Mit czy rzeczywistość? „Słowiańszczyzna” w myśli historycznej polskiego romantyzmu*, w: *Słowianie, Słowiańszczyzna – pojęcia i rzeczywistość dawniej i dziś. Zbiór studiów*, red. K. Handke, Warszawa 2002, s. 59–76 oraz w: *Mitologizacje i demitologizacje „Słowiańszczyzny” w polskiej myśli historycznej XIX wieku*, w: *Mity i stereotypy w dziejach Polski i Ukrainy w XIX i XX wieku*, red. A. Czyżewski, R. Stobiecki, T. Toborek, L. Zaskilniak, Warszawa–Łódź 2012, s. 65–78.

⁵⁶ Zob. rozdz. I, podrozdz. *Michał Bobrzyński, czyli o niedopełnionych państwowotwórczych zadaniach „Słowiańszczyzny polskiej”*.

⁵⁷ Skądinąd nie był to uczeń najwierniejszy; zob. A. Wierzbicki, *Przedmowa*, w: O. Balzer, *Z zagadnień ustrojowych Polski*, Warszawa 1985, s. 6 i n.

⁵⁸ O. Balzer, *Uwagi o kształtach państw pierwotnej Słowiańszczyzny zachodniej. Ustęp z większej całości*, w: *Księga pamiątkowa ku czci Władysława Abrahama*, t. 1, Lwów 1930, s. 2.

on bowiem w języku naszym w znaczeniu dość rozciągliwym, oznaczając nieraz zwykłe plemię, a kiedyindziej znowuż cały naród, czy nawet całość zaludnienia pewnego państwa, niezależnie od zróżnicowania etnicznego”⁵⁹. Balzer sugerował, by również i dla tego pojęcia zachować nazwę plemienia, z tym że w razie potrzeby należałoby podkreślać, iż chodzi tu o „plemię złożone”. W efekcie całość jego propozycji terminologicznych charakteryzowała następująca hierarchia ogólności: 1) „plemiona jednolite”, 2) „plemiona złożone”, 3) „narody” i 4) „szcypy”, znikwały natomiast całkowicie „ludy”. Jakkolwiek nie sposób odmówić wielu racji pomysłom znakomitego uczonego, to jednak trudno byłoby liczyć na ich upowszechnienie wśród historyków, przyzwyczajonych do takich choćby nazw jak Wiosna Ludów. W efekcie do dnia dzisiejszego napotykaemy na utyskiwania, że „definicji plemienia nie ustaliła też mediewistyka przedwojenna, jak również współczesna, a sytuacja ta dotyczy także archeologii”⁶⁰.

Zarysowane tu propozycje Balzera pozostawały w związku z konkluzjami, do których doszedł on w badaniach nad najwcześniejszymi dziejami państw zachodniosłowiańskich. Najogólniejsze z tych konkluzji sprowadzały się do wyróżnienia trzech typów ustrojowych tych państw, a mianowicie: 1) „państwa jednolitego”, rządzonego przez jednego, wyłącznego władcę, któremu bezpośrednio podporządkowane było całe terytorium, „bez jakiegokolwiek pośredniej władzy mniejszych książąt plemiennych” (Czechy i po części państwo obotryckie), 2) „państwa związkowego”, będącego wśród Słowian zachodnich ustrojowym wyjątkiem, występującym tylko w ramach republikańskiej formy rządów (Lutycy w X–XII w.) oraz 3) „państwa złożonego”, będącego w istocie „państwem państw”, który to typ występował najczęściej. Osoba panująca sprawowała w nim władzę bezpośrednią jedynie na pewnym terytorium, „nad innymi natomiast obszarami już tylko władzę pośrednią, mając poddaną sobie mniejszą czy większą ilość państewek plemiennych, z osobnymi naczelnymi tamże organami, które czasem urządzone są na modłę republikańską, najczęściej jednak są to książęta plemienni, poddani władzy księcia zwierzchniego”⁶¹. Jak jednak formowały się takie państwa? Tu odpowiedź Balzera była jednoznaczna – drogą „kolejnego łączenia jednostek mniejszych w całości większe”, a pobudki do tego były rozmaite, z tym że jedną z najważniejszych stanowiła potrzeba wspólnej obrony wobec „przemoznego sąsiada”. Nie zawsze jednak prowadziło to do stworzenia trwałych więzi organizacyjnych, często współpraca ustawała, ponieważ z chwilą zakończenia

⁵⁹ Tamże.

⁶⁰ M. Kara, *Najstarsze państwo Piastów – rezultat przełomu czy kontynuacji? Studium archeologiczne*, Poznań 2009, s. 21.

⁶¹ O. Balzer, *Uwagi o kształtach państw...*, s. 24–25.

działań wojennych górę zaczynały brać dążenia odśrodkowe. Balzer nie przeceniał również integracyjnego oddziaływania wzorców zewnętrznych, jakimi były „starsze” organizacje państwowe, obejmujące większe skupienia etniczne i terytorialne, sadił bowiem, że czynnik ten mógł mieć „znaczenie co najwyżej wtórne, w każdym razie podrzędniejsze”. Tak naprawdę liczył się podmiot ludzki i to bardziej w jego indywidualnych niż zbiorowych postaciach. „Wszystkie większe skupienia państwowe – pisał – jakie w Słowiańszczyźnie zachodniej wykazać można, powstały bez wyjątku za sprawą przedsiębiorczych zdobywczych władców [...]. Nie zdołamy natomiast wskazać ani jednego wypadku formacji większego państwa za sprawą ustrojów republikańskich, gdzie zaś z biegiem czasu, jak u Lutyków [...] ustalił się ustrój republikański, tam mimo już poprzednio dokonane zjednoczenie, organizm państwowy wykazuje cechy słabości i rozpada się rychło”⁶². Przyznając wśród czynników państwowotwórczych priorytet władzy książęcej, Balzer zbiegał się z tym nurtem, który bodaj najdobitniej wyraził w swej twórczości Stanisław Zakrzewski, rozmiął się jednak z autorem tezy o „trzech drużynach”, deprecjonując znaczenie wzorców i wpływów zewnętrznych. Można powiedzieć, że w porównaniu z Zakrzewskim sytuował się on bliżej ideału „czystej” samorodności państw Słowian zachodnich, a w tym, rzecz prosta, także polskiego.

W napisanym na początku lat trzydziestych XX w., lecz opublikowanym dopiero w 1937 r., w trzecim tomie *Pism pośmiertnych...*, studium *O kształtach państw pierwotnej Słowiańszczyzny zachodniej*⁶³ rozdział I zatytułowany został *Uwagi o teoriach najazdu jako czynnika twórczego państwowości polskiej*. Według zawartej w przypisie informacji Balzera jest to tekst, w którym po raz pierwszy sformułował on swój pogląd na tytułową kwestię. Pisząc, że częściowo formułował go już w wykładach uniwersyteckich prowadzonych od końca XIX w., z jego „szkieletem” zaś zapoznał w 1905 r. członków Akademii Umiejętności, przyznawał jednak, że nie bez sugestii ze strony innych historyków uznał potrzebę dopełnienia i pogłębienia swych wcześniejszych wywodów. Można powiedzieć, że obudowany przez Balzera ciałem tez i ustaleń szczegółowych „szkielet” został ukonkretniony pod postacią następujących konkluzji: 1) najstarsze przekazy historiograficzne nie przekazują „żadnych tradycji najazdu”, 2) w ustroju pierwszego państwa polskiego brak „jakichkolwiek wyraźnych śladów jego ukształtowania się drogą podboju z zewnątrz”, 3) teza o braku zdolności państwowotwórczych wśród Słowian, mimo argumentu „ruskiego” i „bułgarskiego”, jest nie do utrzymania wobec

⁶² Tamże, s. 14.

⁶³ Jego pierwotna wersja ukazała się jeszcze za życia Balzera w 1930 r. pt. *Uwagi o kształtach państw pierwotnej Słowiańszczyzny zachodniej...*

kontrargumentów wskazujących na „samorodny proces kształtowania się innych większych państw: na południu Chorwacji i Serbii [...] czy przede wszystkim w Słowiańszczyźnie zachodniej, na Czechy w ciągu w. X. zjednoczone w wielkie państwo narodowe”⁶⁴.

Wskazując na źródłową bezprzedmiotowość argumentów mających falsyfikować tezę o samorodnym powstaniu państwa polskiego, Balzer dookreślał swe stanowisko na temat jego narodzin, z tym że nie czynił tego jednak zbyt dobitnie. Pisał wprawdzie, że w kwestii genezy polskiego państwa „wszelkie teorie najazdu nie wytrzymują krytyki”, zarazem jednak jak gdyby łagodził arbitralność tej oceny, gdy tekst swój zamykał następującymi słowami: „Nie ma wystarczającej podstawy, żeby możliwość tego rodzaju samorodnej formacji wykluczyć z góry co do Polski; owszem, wskazane co dopiero, piętujące się na każdym kroku trudności w przyjęciu teorii najazdu, prowadzą wprost do wniosku, że genezę państwowości tłumaczyć należy wprost ewolucją stosunków miejscowych, mniejsza na razie o to, w jaki sposób pojętą: czy to jako wpływ rozwoju pokojowego, czy to następstwo jakichś walk, przewrotów itp., zdarzonych jednakże w obrębie samego społeczeństwa tamtejszego”⁶⁵.

Usiłując pogodzić logiczne napięcia między koncepcjami ewolucji a podboju wewnętrznego lub zewnętrznego, będące skądinąd w historycznej epistemologii pochodnymi trudności związanych z nachodzeniem na siebie wyjaśniania „ściśle przyczynowego” i „dyspozycyjnego”⁶⁶, Balzer dopuścił możliwość tak szerokiego rozumienia pojęcia państwowotwórczej ewolucji, że obejmowało ono również kategorię zbrojnego podboju dokonującego się wszelako nie za sprawą obcego „zewnętrznego” najazdu, lecz „wewnątrz” takiej czy innej całości terytorialno-etnicznej. Podobnie jak w ujęciu wielu innych historyków polskich najazd wewnętrzny nie stanowił dlań antynomii procesu ewolucyjnych narodzin państw i jawił się raczej jako katalizator owego procesu.

Jakkolwiek analizy ilościowe, objętościowe, statystyczne, itp., itd. często zawodzą, to nie sposób z nich zrezygnować, charakteryzując bardzo skondensowane, bo zaledwie szesnastostronicowe *Uwagi o teoriach najazdu...*, mające w zasadzie charakter analitycznego studium z zakresu historii historiografii. A zatem ile miejsca i komu poświęcił Balzer tym tekście?

1. Przede wszystkim pół stronicę dotyczyło kronikarzy i kronik, ukazujących trzy wątki państwowotwórcze kojarzone z legendarnymi postaciami: a) Popiela i Piasta, b) Kraka i Wandy oraz c) Lecha. Tak miało być począwszy od Anonima zwanego Gallem, który ograniczył się do postaci Popiela i Piasta, przez Mistrza Wincentego, wysuwającego na pierwszy plan Kraka

⁶⁴ Tenże, *O kształtach państw pierwotnej Słowiańszczyzny zachodniej...*, s. 28.

⁶⁵ Tamże.

⁶⁶ Zob. J. Topolski, *Metodologia historii*, wyd. 2 popr. i uzup., Warszawa 1973, s. 488–492.

i Wandę, lecz nierezygnującego także z Popiela i Piasta, *Kronikę wielkopolską*, wprowadzającą dodatkowo postać Lecha, a skończywszy na Długoszu, który wszystkie z tych „tradycji” przekształcił w „pełną, w organiczny związek ujętą syntezę”, tworząc kanon, z którego „korzystała z daleko posuniętym zaufaniem, w zasadzie bez zmian istotnych, późniejsza nasza historiografia prawie, że do schyłku w. XVIII”⁶⁷.

2. Pozostała część *Uwag o teoriach najazdu...* poświęcona została okresowi „**bardziej krytycznego**” pisania naszej historii, któremu początek dał Naruszewicz. Balzer uważał za niecelowe omawianie większości późniejszych poglądów, przyjmujących z jednej strony postać hipotez najazdu, który przyszedł spoza „terenu Polski”, z drugiej zaś koncepcji ewolucyjnej integracji politycznej, dokonanej bez ingerencji „żywiółów zewnętrznych”. Ograniczył się więc do krótkich wzmianek o Tadeuszu Czackim i jego „mylnej tezie o normańskim charakterze państwa polskiego”, a także o Wacławie Aleksandrze Maciejowskim i Karolu Szajnosze, którzy ulegli „naiwnym etymologiom językowym” dotyczącym nazwy „Lach”. W nawiązaniu do koncepcji Szajnochy zwracał również uwagę, że jakkolwiek wikingowie korytami rzek wdzierali się niejednokrotnie w głąb kontynentu europejskiego, to nie wystarcza to, by ową niewątpliwą prawdę „uznać za dowód przekonywający dokonanego przez nich rzekomego podboju, gdyż stałe osiedlenie najeźdźców i założenie przez nich organizacji państwowej bardzo tylko wyjątkowo wiązało się z tego rodzaju wyprawami (Normandia, Sycylia)”⁶⁸. Zdaniem Balzera nie można w końcu zapominać, że „na obszarze ziem polskich ślady wpływów skandynawskich czy to w znaleziskach archeologicznych, czy w nazwach miejscowości występują w bardzo tylko znikomym zasobie” i są najprawdopodobniej wynikiem albo wcześniejszych, „przygodnych” wypraw i kontaktów handlowych, albo późniejszych związków rodzinnych Piastów z dynastiami skandynawskimi.

W ramach okresu „bardziej krytycznego” uwagę Balzera zwróciło jeszcze tylko dwóch historyków polskich⁶⁹, a mianowicie Franciszek Pieksiński i Kazimierz Krotoski. Zdawać by się mogło, że hipoteza pierwszego z nich, którą już przed półwieczem odrzucili Michał Bobrzyński, Stanisław Smolka i Antoni Małnecki, a nieco później niezależnie od całego szacunku dla towarzyszących jej wielu ustaleń i tez obocznych, także Stosław

⁶⁷ O. Balzer, *O kształtach państw pierwotnej Słowiańszczyzny zachodniej...*, s. 14.

⁶⁸ Tamże, s. 15–16.

⁶⁹ Poza nimi Balzer ograniczył się do dwuzdaniowego akapitu (tamże, s. 27–28), w którym sygnalizował, że po „usunięciu” hipotezy Krotoskiego można mówić już wyłącznie o reminiscencjach teorii najazdowych w historiografii niemieckiej, czego wyrazem stały się koncepcje Schultego i Holtzmana, o których szerzej piszę w końcowej części tego rozdziału: *Polemiki historyków polskich z historiografią niemiecką – Zygmunt Wojciechowski i inni*.

Łaguna, Stanisław Kutrzeba, Władysław Semkowicz i Oskar Halecki, nie może budzić ambicji krytycznych uczonego tej klasy, jaką w zakresie historii państwa i prawa reprezentował Oswald Balzer. A przecież w swej niemal testamentowej narracji poświęconej „teoriom najazdu” właśnie on uhonorował szczególnie Piekosińskiego, poświęcając mu dziewięć z szesnastu stron całości tekstu. Co więcej, w artykule, w którym tylko incydentalnie, by tak powiedzieć, przywoływane są nazwiska Czackiego, Maciejowskiego czy Szajnochy, po to, by wskazać najogólniejsze cechy ich koncepcji, w odniesieniu do Piekosińskiego analizy są wręcz drobiazgowe. Na przykład rozważana wnikliwie kwestia „stanic” Lachów znad Łaby, czyli niesionych na czele poszczególnych oddziałów długich żerdzi, na szczycie których umieszczone były „pewne kombinacje kształtów z pomniejszych kawałków drewna złożone, odpowiadające różnym znakom runicznym”, które to, będąc znakami dowódców-dynastów, uległy później transformacjom i zostały „zużytkowane w nowo kształtujących się herbach”. Ciekawość czytelnika zainteresowanego charakterem owych transformacji Balzer zaspokaja z zegarmistrzowską wręcz precyzją, informując na przykład, że według Piekosińskiego transformacje obejmowały „zaokrąglenie prostych kresek runicznych, uszczerbienie ich, to znowuż uświęcenie, czyli dodanie krzyża, w tym kombinacje kilku run wiązanych w rodzaju monogramów, zwłaszcza kombinacje z runą tyr w gałęziach rodów seniorackich itp.”⁷⁰

Do takiego stopnia wnikliwości Balzera nie zdołał jednak pobudzić Krotoski, którego koncepcji poświęcił autor *Uwag o teoriach najazdu...* dwie strony. Nie bez znaczenia mogła być w tym wypadku, niezbyt skądinąd trafna, ocena Balzera, że hipoteza Krotoskiego przebrzmiała u nas „bez echa”⁷¹. Jeśli jednak wziąć pod uwagę zwięzłość, z jaką Balzer potraktował wszystkie pozostałe koncepcje, to owe „dwie strony” powinno poprzedzić słowo „aż”. Można snuć wiele domysłów na temat przyczyn ześrodkowania uwagi wybitnego historyka właśnie na tych dwóch koncepcjach, z których pierwsza (Piekosińskiego) głosiła, że państwo przyszło do nas z zachodu, znad Łaby, a druga (Krotoskiego), że ze wschodu, spod Kijowa, a zatem dwóch diametralnie odmiennych kierunków geograficznych i kulturowych. Wydaje się, że w stronę domysłu najtrafniejszego prowadzi zwrócenie uwagi nie na to, co dzieli, lecz co łączy obie te hipotezy, a mianowicie na założenie o partnerskiej, by tak rzec, słowiańsko-germańskiej genezie państwa i narodu polskiego. Balzer był historykiem świetnie poruszającym się w meandrach polityki, który w sporze z Theodorem Mommsenem dał się poznać jako obrońca praw narodów zachodniosłowiańskich w Europie końca XIX i początków XX w., a swoim

⁷⁰ O. Balzer, *O kształtach państw pierwotnej Słowiańszczyzny zachodniej...*, s. 18.

⁷¹ Zob. wyżej, przyp. 32.

wystąpieniem przed trybunałem w Grazu (1902) sprawił, że w ostatecznym rozrachunku Morskie Oko przypadło nie Węgrom, lecz Galicji, a później Polsce. Toteż kiedy pod koniec życia skupił swą uwagę na krytyce hipotezy o podbojowej genezie państwa polskiego, można przypuszczać, że kierował się w znacznej mierze intencją ograniczenia możliwości jej polityczno-propagandowego wykorzystania, przy czym za szczególnie groźny uznał ten jej wariant, zgodnie z którym podbój mający inicjować narodziny polskiego państwa jawił się jako wspólne, słowiańsko-germańskie dzieło.

Charakteryzując najkrócej stanowisko Balzera, dałoby się powiedzieć następująco: jeśli wobec całkowitego braku źródeł mogących potwierdzać jakikolwiek podbój zewnętrzny czynnik podbojowy odegrał jakąś rolę w procesie formowania się polskiego państwa, to po pierwsze mógł mieć on jedynie charakter „wewnętrzny”, a po drugie – drugoplanowy.

POLEMIKI HISTORYKÓW POLSKICH Z HISTORIOGRAFIĄ NIEMIECKĄ –
ZYGMUNT WOJCIECHOWSKI I INNI

Jakkolwiek sformułowanej w połowie XIX w. koncepcji normańsko-germańskiej genezy państwa polskiego drogą podboju już wówczas nadawano różnorakie oblicza polityczno-ideowe, to jednak dopiero w okresie międzywojennym, a zwłaszcza po dojściu Hitlera do władzy, poczęła ona budzić coraz większą czujność naszej historiografii. Stało się bowiem tak, że już na początku tego okresu wśród historyków niemieckich znaleźli się tacy, którzy usiłowali wykazać, że Mieszko I był po prostu wodzem normańskim⁷². Teza ta skutkowałą kolejną bulwersującą konstatacją, a mianowicie, że Piastowie nie wywodzili się z ludności autochtonicznej i nie byli z pochodzenia Słowianami. Tezy o normańskim pochodzeniu pierwszego historycznego władcy Polski opublikowane zostały w 1918 r. w dwóch artykułach zamieszczonych w „Zeitschrift des Vereins für Geschichte Schlesiens” przez Roberta Holtzmanna⁷³ oraz Lamberta Schultego⁷⁴. W pierwszym z nich Holtzmann domniemywał, że Mieszko I, przekazując swe państwo w darze papieżowi, chciał zrobić na nim jak największe wrażenie i w tym celu posłużył się w dokumencie *Dagome iudex* swym pierwszym, normańskim imieniem. Imię słowiańskie, które, jak można uznać⁷⁵,

⁷² Wątek ten wnikliwie prześledził Ryszard Rosin w studium zatytułowanym *Geneza państwa polskiego w historiografii niemieckiej okresu międzywojennego*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Łódzkiego. Seria 1, Nauki Humanistyczno-Społeczne” 1955, 1, s. 105–123.

⁷³ R. Holtzmann, *Böhmen und Polen im 10. Jahrhundert. Eine Untersuchung zur ältesten Geschichte Schlesiens*, „Zeitschrift des Vereins für Geschichte Schlesiens” 52, 1918, s. 1–37.

⁷⁴ L. Schulte, *Beiträge zur ältesten Geschichte Polens*, „Zeitschrift des Vereins für Geschichte Schlesiens” 52, 1918, s. 38–57.

⁷⁵ R. Holtzmann, dz. cyt., s. 35.

przyjął on dopiero po dokonaniu podboju i podporządkowaniu sobie w połowie X w. ziem nad Wisłą, Odrą i Wartą, mogło wszak sugerować, że jest on niepozornym naczelnikiem plemienia, a nie władcą nowego, dużego państwa. A normańskość budziła respekt. Z dwóch lekcji pierwszego słowa tego dokumentu („Dagone”, „Dagome”), mającego być zapisem imienia owego władcy, Holtzmann wybrał pierwszą i wykazywał, że imię „Dagon” lub „Dago” jest spokrewnione z germańskim wyrazem Tag i spotykane w sagach duńskich⁷⁶. Kolejnym argumentem Holtzmanna było to, że źródła historyczne nie nazywają państwa Mieszka I Polską, a nazwa ta pojawia się w nich dopiero na przełomie X i XI w., co uprawdopodobnia wniosek, że państwo to nie miało jednolitej podstawy etnicznej (typu pokrewieństwo plemion, wspólnota obyczajów itp.) i stworzył je dopiero wódz normański, który wraz ze swą drużyną wylądował u ujścia Odry, po czym podporządkował sobie drobne państewka słowiańskie. W efekcie u podstaw państwowości polskiej spieść się miały pierwiastki słowiańskie i germańskie⁷⁷.

Zdecydowanym zwolennikiem tezy, że Polska jako państwo ukształtowała się w wyniku podboju był – obok Holtzmanna – Lambert Schulte, który podejmując wątek również związany z dokumentem *Dagome iudex*, szczególnie nacisk położył jednak na inny przekaz źródłowy, a mianowicie relację Ibrahima ibn Jakuba, zawierającą opis drużyny Mieszka I⁷⁸. Przyjmując tę wersję herderowskiego stereotypu charakterologicznego, która wskazywała na całkowitą nieudolność militarną Słowian, Schulte w ogóle nie brał pod uwagę, że członkowie Mieszkowej drużyny mogli wywodzić się z autochtonów. Naruszałoby to ogólny kanon powstawania państw słowiańskich w wyniku obcoetnicznego podboju, a przecież miały go potwierdzać dzieje pierwszych państw na Morawach (Samon), Rusi (Ruryk) i w Czechach (sic!, Przemyślidzi)⁷⁹. Według Schultego w Polsce było podobnie, o czym decydował fakt, że Mieszko I miał drużynę. Jeśli zaś jakiś władca miał jakąś drużynę, to ani ten władca nie mógł być Słowianinem, ani ta drużyna nie mogła rekrutować się spośród Słowian. Była to podstawowa przesłanka teoretyczna wyznaczająca w 1918 r. linię wywodów historyka

⁷⁶ R. Rosin, dz. cyt., s. 108.

⁷⁷ Ze strony Holtzmanna nie było to wystąpienie incydentalne. Co więcej, stanowisko swe wzmocnił w późniejszych publikacjach, w tym w aparacie naukowym do wydanej w 1935 r. kroniki Thietmara, gdzie pisał już „o znanym normańskim pochodzeniu rodziny Piastów”; zob. *Monumenta Germaniae historica. Scriptores rerum Germanicarum*, Nova Series, t. 9, Berlin 1935, s. 446, przyp., cyt. za: Z. Wojciechowski, *Mieszko I i powstanie państwa polskiego*, Toruń 1935, odb. z „Zapisków Towarzystwa Naukowego w Toruniu” 10, 1935, 4, s. 86.

⁷⁸ Przekaz Ibrahima ibn Jakuba omawiał również w swym artykule Holtzmann, jednak nie czerpał z niego argumentów na rzecz normańskiego pochodzenia Mieszka i jego drużyny.

⁷⁹ R. Rosin, dz. cyt., s. 108.

niemieckiego⁸⁰. Wprawdzie Schulte wspierał te wywody, odwołując się między innymi do hipotezy Piekosińskiego na temat runicznej genezy najwcześniejszych herbów polskich, a także do etymologicznych spekulacji na temat normańskiego pochodzenia wystawcy dokumentu *Dagome iudex*, ale w jego ujęciu były to drugoplanowe warstwy argumentacyjne.

Przez kilka lat od publikacji (1918) pomysły Holtzmanna i Schultego pozostawały w cieniu. Ich recepcja była znikoma, a jeśli chodzi o historiografię naukową – krytyczna. W istocie da się ona sprowadzić do negatywnej opinii, jaką na łamach „Historische Zeitschrift” umieścił w 1919 r. Adolf Hofmeister, który stwierdził, że żaden z tych historyków nie przytoczył przekonujących dowodów na poparcie swych tez⁸¹. Sceptycyzm wobec hipotezy o normańskim pochodzeniu Mieszka, a także roli wpływów normańskich w dziele formowania się państwa polskiego Hofmeister wyrażał także w późniejszych latach, w tym również w czasie II wojny światowej (1942), do czego wypadnie powrócić w nieco innym miejscu.

Również w Polsce koncepcje Holtzmanna i Schultego wzbudziły początkowo niewielkie zainteresowanie. Literaturoznawcy i językoznawcy Eugeniuszowi Kucharskiemu dały one asumpt do bardzo skądinąd zagmatwanych rozważań etymologicznych, mających uzasadniać wniosek, że słowa *Dagome iudex* stanowiły jakoby odpowiednik słowiańskiej nazwy *śad'k* (*śadca*), mającej oznaczać po prostu „władcę”. Według Kucharskiego zabiegający o koronę Mieszko I nie chciał, by tytułowano go ani *princeps*, ani *dux*, bo wśród jego rodaków „knięzem” częstowano pierwszego lepszego przybłędę-misjonarza⁸², i w końcu udało mu się uzyskać nadanie mu jego „tytułu rodzimego”. Nie Mieszko był jednak pierwszym budowniczym naszego państwa, ponieważ już w końcu VIII w. Polska była państwem „wielkim” i posiadającym „jednolitą władzę”, powstałym bez udziału czynnika zewnętrznego. Niestety, ambicje i przejawiające się wyraźnie „wdzierstwo” (gwałtowność, samowładczość) pierwszego władcy tego państwa sprawiły, że zostało ono „rozbite”, a znaczna część jego ziem weszła w skład państwa wielkomorawskiego. Trud, jaki podjęli pierwsi Piastowie polegał więc nie tyle na budowie państwa od podstaw, ile na „zbieraniu” utraconych ziem⁸³. Taka wizja samorodnych narodzin,

⁸⁰ We wcześniejszych swych pracach Schulte pisał wprawdzie o podboju, jaki dał początek państwu Piastów, nie mówił jednak nic na temat tego, że był to podbój zewnętrzny; zob. Rosin, dz. cyt., s. 109; por. omówioną wyżej koncepcję Grodeckiego.

⁸¹ F. Vigener, A. Hofmeister, C. Knetsch, *Römisch-germanische Zeit und frühes Mittelalter bis 1250*, „Historische Zeitschrift” 1919, 120, s. 358.

⁸² E. Kucharski, *Polska w zapisce karolińskiej, zwanej niewłaściwie „Geografem bawarskim”*, w: *Pamiętnik IV Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Poznaniu 6–8 grudnia 1925*, t. 1, Lwów 1925, Sekcja II, s. 11 (paginacja odrębna).

⁸³ Tamże, s. 10.

a potem samorodnej restytucji państwa polskiego, nakazała Kucharskiemu zakończyć swe wystąpienie na IV Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Poznaniu (1925) następującymi słowami: „Polska już w VIII wieku jest wielkim i zorganizowanym państwem. Wśród Słowian ówczesnych byliśmy jedynym szczepem o zdolnościach państwowotwórczych, posiadaliśmy jedyne w słowiańszczyźnie nazwy rodzime na określenie władzy królewskiej i wielko-książęcej. Wszelkie skandynawskie brewerie o pochodzeniu państwa polskiego trzeba sobie wybić z głowy”⁸⁴. Był to imperatyw wyrażony dość dosadnym językiem, lecz jakkolwiek Kucharski nie odwoływał się bezpośrednio do żadnych nazwisk – ani historyków niemieckich, ani polskich, to przecież na przykład Bujakowi czy Zakrzewskiemu takie „brewerie”, w mniejszym lub większym stopniu, dałoby się jednak przypisać.

W odniesieniu do Holtzmanna i Schultego uczynił to natomiast Oswald Balzer, który w ukończonej na kilka tygodni przed śmiercią (1933) rozprawie na temat struktury pierwszych państw zachodniosłowiańskich wystąpienia tych historyków zaliczył do kategorii „reminiscencji teorii najazdowych we współczesnej literaturze niemieckiej”. Balzer nie rozwijał jednak tego wątku i ograniczył się do jednozdaniowego komentarza: „Wszelako nazwa ta [Dagome – A.W.] nie wskazuje już wyłącznie na wpływy normańskie, jeno na ogół germański, a gdyby jej nawet przypisać pochodzenie ściśle normańskie, dałaby się znowuż objaśnić snadno przenikaniem do Polski wpływów kulturalnych normańskich za pierwszych Piastów historycznych, czy też ich związkami rodzinnymi z dynastiami skandynawskimi, bez uciekania się do pomysłów jakiegoś uprzedniego najazdu”⁸⁵.

Koniec Republiki Weimarskiej i dojście Hitlera do władzy były impulsem sprzyjającym ugruntowywaniu się tezy o germańskiej inicjatywie i państwowotwórczym wkładzie w historię Polski. W 1933 r. ukazała się przygotowana pod redakcją mediewisty Alberta Brackmanna, we współpracy z badaczem nowożytności Karlem Brandim, praca zbiorowa historyków niemieckich, zatytułowana *Deutschland und Polen*. Zgodnie ze wstępną deklaracją, kierować ona miała badania nad stosunkami polsko-niemieckimi na nowe tory, wyrażając przy tym „szczerą chęć do porozumienia i współpracy z nauką polską”⁸⁶. Idea całości tej edycji zrodziła się jeszcze przed objęciem władzy przez faszystów i związana była z przygotowaniem do VII Międzynarodowego Kongresu Nauk Historycznych, który zgodnie z uchwałą poprzedniego Kongresu (Oslo 1928) miał się odbyć, i *de facto* odbył się, w Warszawie w końcu

⁸⁴ Tamże.

⁸⁵ O Balzer, *O kształtach państw pierwotnej Słowiańszczyzny zachodniej...*, s. 27–28.

⁸⁶ *Deutschland und Polen. Beiträge zu ihren geschichtlichen Beziehungen*, red. A. Brackmann, München–Berlin 1933, s. III.

sierpnia 1933 r. Czy jednak edycja *Deutschland und Polen* znamionowała jakiś zasadniczy zwrot w stosunku historyków niemieckich do polskiej przeszłości? Miarodajną wydaje się tu opinia wyrażona przez Hansa Schleiera w opublikowanym w 1975 r. w NRD dwutomowym dziele poświęconym wprawdzie zgodnie z tytułem „burżuazyjnej historiografii w Niemczech weimarskich”, zawierającym jednak obfite odniesienia do postaw historyków niemieckich w czasach późniejszych⁸⁷. Otóż Schleier dostrzegł w nazistowskich Niemczech nie przełom, lecz kontynuację dawnych, deprecjonujących polski potencjał kulturowy i polityczny wątków. Wątki „fryderycjańskie” i „wilhelmińskie” pozostawały nadal żywe, a nawet nasilały się wraz ze wzrostem nastrojów i dążeń rewizjonistycznych w dobie Republiki Weimarskiej. Autorowi *Burżuazyjnej historiografii w Niemczech weimarskich* ówczesne poglądy historyków niemieckich jawiły się następująco: „Hasło niemieckiej misji kulturalnej na wschodzie było podstawą do jednostronnego szowinistycznego pomniejszania bądź też wręcz eliminowania wszystkich elementów polskich jakie składały się na ogólny potęg kultury powszechnej, czy kultury tego regionu [wcześniej Schleier omawia różne koncepcje Mitteleuropy – A.W.]. Hałaśliwie uskarżano się na »krzyczącą niewdzięczność« Polaków wobec przynoszących im kulturę Niemców. Jednym tchem odmawiano często Polakom prawa do posiadania własnego państwa narodowego. Należy tu raz jeszcze przypomnieć, że zadeklarowano po prostu, iż Europa Wschodnia i Południowo-wschodnia jest takim terytorium, na którym z przyczyn politycznych i etnicznych nie mogą jakoby powstawać zwarte narodowe państwa. Apogeum znalazły te tendencje w wystąpieniu Hansa Rothfelsa na zjeździe historyków w Getyndze w roku 1932”⁸⁸. W takiej sytuacji trudno się dziwić temu, że „nazistowski reżim **utrzymał skład delegacji, zatwierdził tematy referatów, a także zaakceptował starą koncepcję opracowania** specjalnie na Kongres propagandowej, głęboko tendencyjnej syntezy dziejów stosunków polsko-niemieckich” (podkr. A.W.). Tymi ostatnimi słowy pod opinią Schleiera podpisał się polski badacz historiografii niemieckiej – Henryk Olszewski⁸⁹.

Jednak mimo tak deklarowanych intencji strony niemieckiej, historycy polscy przyjęli większość tekstów zamieszczonych w *Deutschland und Polen* z dezaprobatą, której dali wyraz między innymi w bloku artykułów i referatów

⁸⁷ H. Schleier, *Die bürgerliche deutsche Geschichtsschreibung der Weimarer Republik: I. Strömungen – Konzeptionen – Institutionen; II. Die linksliberalen Historiker*, Berlin 1975. Ukazał się polski przekład części pierwszej tej pracy: *Burżuazyjna historiografia w Niemczech weimarskich*, którego autorem, podobnie jak zamieszczonego tam *Wstępu*, jest Jerzy Serczyk (Warszawa 1985).

⁸⁸ H. Schleier, *Burżuazyjna historiografia...*, s. 122.

⁸⁹ H. Olszewski, *Nauka historii w upadku. Studium o historiografii i ideologii historycznej w imperialistycznych Niemczech*, Poznań 1982, s. 113.

opublikowanych w 1934 r. w „Kwartalniku Historycznym”⁹⁰. Znamienne, że nawet Stanisław Zakrzewski, który wcześniej dość mocno przeciw akcentował udział „czynnika germańskiego” w budowie polskiego państwa (m.in. drużyny pierwszych Piastów, duże prawdopodobieństwo normańskiej babki Mieszka), dostrzegł w niemieckim wydawnictwie „jednolitą nić przekonania o niezmiernym wpływie kultury niemieckiej, i to zarówno duchowej, jak materialnej na kulturę polską, a także jakiejś specyficznej poprzez wieki misji politycznej Niemiec na Wschodzie, której Polska bądź jest obiektem, bądź nieudolnym uczniem, a w każdym razie przejawem”⁹¹. Stanowisko historyków polskich bodaj najlapidarniej oddają jednak słowa Józefa Feldmana, który pisał: „Czytelnik mógłby łatwo odnieść wrażenie, że Niemcy obdarzywszy Polskę zamożnością i kulturą ofiarowali jej na koniec świadomość narodową”⁹².

Czy zatem również państwo polskie uznane zostało za germański „podarunek”? Otóż nie. Na kartach *Deutschland und Polen* mimo domniemań i sugestii bynajmniej nie zadekretowano, że powstało ono w wyniku normańskiego podboju dokonanego przez Dagona (Mieszka I) i jego normańską drużynę. Hermann Aubin pisał tylko o „wpływach” normańskich, ale też i bizantyjskich na formujące się państwo, Brackmann dopuszczał możliwość, że Mieszko był jednak Słowianinem, tyle że wykorzystującym wzorce organizacyjne zaczerpnięte od normańskich sąsiadów osiadłych na Pomorzu, a sam Holtzmann, który wraz z Schultem stanowił przeciw parę intelektualnych rodziców „Dagono-Mieszka”, zaznaczył hipotetyczność swych poglądów, pisząc: „W słowiańskich szczepach, które później utworzyły Państwo Polskie, dokonało się zjednoczenie niedługo po połowie X wieku rękoma silnego władcy, który przy pomocy wojska drużynnego wiele małych ludów

⁹⁰ Wypełniły one dział „Artykuły i Referaty” zaopatrzone podtytułem „Dyskusja z powodu książki *Deutschland und Polen*” (s. 776–786), w którym teksty swe umieścili kolejno: Stanisław Zakrzewski, Stanisław Kętrzyński, Zygmunt Łempicki, Kazimierz Tymieniecki, ks. Józef Umiński, Stanisław Bodniak, Stanisław Zajaczkowski, Roman Lutman, Zygmunt Wojciechowski, Oskar Halecki, Mieczysław Gębarowicz, Teofil E. Modelski. Odrębne wydanie z przedmową S. Zakrzewskiego: *Niemcy i Polska. Dyskusja z powodu książki Deutschland und Polen*, Lwów 1934; zob. też K. Błachowska, *Stanisław Zakrzewski (1873–1936)*, w: *Złota księga historiografii lwowskiej XIX i XX wieku*, red. J. Maternicki, współpr. L. Zaszkiłniak, Rzeszów 2007, s. 397.

⁹¹ „Kwartalnik Historyczny” 48, 1934, s. 780–781. Podobnie oceniał główną tendencję *Deutschland und Polen* T.E. Modelski, który podsumowując dyskusję, podkreślał, że oprócz kilku wyjątków: „W wydawnictwie całym przewija się sąd, że Polska całą swą kulturę i wszystkie jej zdobycze i walory zawdzięcza jedynie Niemcom. To jest przewodni i kierujący i górujący motyw całości, mylny niewątpliwie”; tamże, s. 886.

⁹² J. Feldman, *Rothfels Hans, Das problem des Nationalismus im Osten*, „Kwartalnik Historyczny” 48, 1934, s. 873.

w dolinach Warty i Wisły przemocą połączył i w jedność przetopił. Można przypuścić z wielkim prawdopodobieństwem, że ten twórca państwa był Normaninem Dagonem, przybyłym poprzez morze: wylądowawszy prawdopodobnie u ujścia Odry podporządkował sobie szczepy siedzące w kierunku w górę od ujścia rzeki, a następnie obok dawnego przyjął i drugie imię, słowiańskie Mieszka, podobnie jak ta rzecz miała się i przy jego wielu następcach, przy których da się wykazać imię niemieckie obok słowiańskiego⁹³.

Wszystko to było wyrażone w kategoriach wprawdzie „wielkiego”, ale tylko prawdopodobieństwa. Pozostali autorzy *Deutschland und Polen* „normanistycznej” wykładni pochodzenia wystawcy dokumentu *Dagome iudex* nie eksponowali. Podobnie też było z odpowiedzią historyków polskich. Nawet Zygmunt Wojciechowski, który już wkrótce zasłużył się szczególnie w dziele zwalczania „fałszywej teorii normańskiej genezy państwa polskiego”⁹⁴, mimo że stosunkowo stanowczo zakwestionował koncepcję Holtzmanna, to jednak nie zdezawuował jej całkowicie. „Na pewno się jednak myli prof. Holtzmann – pisał Wojciechowski – jeżeli w myśl dawniejszych swych przypuszczeń uważa Mieszka I za Normanina. Podstawa wnioskowania – tekst dokumentu *Dagome iudex* – jest niewątpliwie za szczupła by mogła doprowadzić do tak daleko idących wniosków. Tezie Holtzmanna możnaby przeciwstawić jako przeciwdowód klasycznie słowiańsko-polską, rodową budowę dynastii piastowskiej. Balzer był nawet skłonny dopatrywać się w czasach Mieszka I elementów wspólnoty rodowej w rodzie panującym. Nade wszystko jednak mieliby w tej sprawie coś do powiedzenia prehistorycy i dopóki nie usłyszymy z ich strony o śladach wykopalisk normańskich w okolicy Gniezna, które było niewątpliwą kolebką dynastii piastowskiej, dopóty teza najazdowa wisieć będzie w powietrzu”⁹⁵. Była to narracja niezbyt koherentna, ale możliwa do przyjęcia przez obie strony. Polską zadowalała formuła, że Holtzmann „na pewno” się myli, niemiecką natomiast przynajmniej po części mogła usatysfakcjonować konstatacja, że teza o normańskości Mieszka jednak „wisi w powietrzu” i czeka na rozstrzygnięcie przez archeologów.

W ocenie Brackmanna, będącego w tym czasie jednym z najważniejszych przedstawicieli niemieckiej nauki historycznej (m.in. zawiadywał pruskimi archiwami państwowymi i współredagował „Historische Zeitschrift”), historycy polscy nie potrafili jednak, bądź też nie chcieli, odczytać koncyliacyjnego

⁹³ *Deutschland und Polen...*, s. 148; fragm. w tłum. Z. Wojciechowskiego, zamieszczony w tenże: *Mieszko I i powstanie państwa polskiego...*, s. 2 [86].

⁹⁴ Tak ów historyk zatytułował ostatnią część rozdz. I w książce: *Państwo polskie w wiekach średnich. Dzieje ustroju*, Poznań 1945, s. 13–17.

⁹⁵ „Kwartalnik Historyczny” 48, 1934, s. 296–297.

nastawienia autorów *Deutschland und Polen*. Urażony takim przyjęciem firmowanego przez siebie wydawnictwa podjął on wątek polsko-normański w odrębnej rozprawie, która ukazała się w 1934 r.⁹⁶ Znamienne, że deprecjonował w niej argumenty lingwistyczno-etymologiczne dotyczące domniemych skandynawskich imion Mieszka I (Dagona) i jego córki Świętosławy, występującej w źródłach skandynawskich jako Sygryda/Sigrid Storråda, a także „normańskiego” brzmienia imion pojawiających się w niektórych rodach polskich. Sądził, że mogły one wspierać tezę o skandynawskich wpływach w państwie Mieszka, jednak nie wystarczały do uzasadnienia koncepcji normańskiego podboju. Natomiast za ową tezę miał przemawiać kształt ustrojowy państwa pierwszych Piastów, cechującego się silną i scentralizowaną władzą monarchiczną. Według Brackmanna był to ustrój typowy dla normańskiego sposobu organizacji podbitych ludów i terytoriów w wiekach IX–XI, nie zaś dla Słowian, którzy w tym czasie nie mieli jeszcze dość sił państwowotwórczych i impulsy w tym kierunku otrzymywali z zewnątrz. Trzeba jednak zwrócić uwagę, że jakkolwiek Brackmann opowiadał się za tezą o podboju, to w latach trzydziestych, odmiennie niż w kolejnej dekadzie, bynajmniej nie orzekał do końca jej zwycięstwa. Podobnie jak Wojciechowski, spodziewał się, że ostateczne rozstrzygnięcie przyniosą badania archeologiczne i językoznawcze⁹⁷.

W latach trzydziestych zintensyfikowało się zjawisko weryfikowania sformułowanej przez historyków tezy o normańskich początkach państwa polskiego przez archeologów, językoznawców, antropologów itp. „Samo w sobie” trudno byłoby je uznać za niekorzystne i wyłącznie niemieckiej proweniencji. Na opinię archeologów czekał przecież w Polsce Zygmunt Wojciechowski, będący otwartym przeciwnikiem wywodów Holtzmanna. Nie próżnowali też polscy antropologowie, szczególnie zaś Jan Czekanowski, który nie krył, że inspiracją dla jego badań była treść napisu na nagrobku Chrobrego, a zwłaszcza opinia Franciszka Bujaka na temat stanowiska, jakie w tej sprawie zajął Karol Potkański⁹⁸. W odniesieniu do Polski i Litwy Czekanowski nie wykluczał państwowotwórczej roli Gotów. Oba te państwa mogły stanowić, jak to określił, „pozostałość wysiłków organizacyjnych tego szczepu”⁹⁹, a choć rozstrzygnięcia tej kwestii spodziewał się nie tyle ze strony historii i antropologii, ile archeologii i filologii, to w konkluzjach *Zarysu antropologii Polski* nie omieszczał jednak na plan pierwszy wysunąć argumentu z zakresu antropologii fizycznej: „Najważniejszy osiągnięty tu wynik stanowi stwierdzenie,

⁹⁶ A. Brackmann, *Die Anfänge des polnischen Staates*, Berlin 1934.

⁹⁷ Tamże, s. 6–10.

⁹⁸ Zob. wyżej, rozdz. II, podrozdz. *Franciszka Bujaka negacja czynnika normańskiego – w stronę uniwersalizacji zasady państwowotwórczego podboju*.

⁹⁹ J. Czekanowski, *Zarys antropologii Polski*, Lwów 1930, s. 81.

że między warstwami społecznymi występują wyraźnie zarysowane różnice składu antropologicznego. Szlachtę różni od ludu wyższa odsetka elementu nordycznego i niższa odsetka elementu iberyjsko-etnicznego¹⁰⁰. Takie ujęcie korespondowało z tezą Piekosińskiego o „kastowym” przedziale między szlachtą a chłopami, jaki „od początku” miał występować w społeczeństwie państwa Piastów. Normańskość Lechitów znad Łaby odnosić się przecież mogła nie tylko do wzorców politycznych i kulturowych, ale również i do zadziergniętych wcześniej na Zachodzie związków krwi.

Dążenie do interdyscyplinarności badań nad początkami państwa polskiego zawodziło wówczas, gdy historycy odnajdowali dowód koronny w wywodach językoznawców i antropologów, podczas gdy oni na poparcie swych tez przywoływali wcześniej wyrażane opinie (hipotezy) tychże historyków. Opisał to, nie bez ironii, Gerard Labuda: „Wobec uporczywego milczenia źródeł jasne jednak było, że historycy niewiele mają do powiedzenia w tej kwestii. Tym szersze pole do popisu znaleźli tutaj przedstawiciele nauk »pomocniczych« historii; co nauka polska przeżyła i przezwyciężyła w połowie XIX wieku, zakwitło w pełni w Niemczech sto lat później. Kwestią wikińską zajęli się więc językoznawcy ([Max] Vasmer), prehistorycy (Wolfgang La Baume, [Hans] Jänichen, [Kurt] La[n]genheim, H[erbert] Jankuhn i in.), antropologowie (O[tto] Reche) i rozmaici inni przyczynkarze. Historycy niemieccy przyjęli ten sukurs z wdzięcznością. Przy czym wytworzyło się zjawisko zdumiewające, gdyż wymienieni wyżej przedstawiciele nauk pomocniczych historii oparli się w swych poszukiwaniach na tezie ugruntowanej przez historyków, natomiast historycy zaczynają obecnie odwoływać się do wyników tamtych dyscyplin¹⁰¹. Natomiast w kwestiach szczegółowych „każdy ze specjalistów, obracając się w ramach własnego materiału, zaczął dochodzić do innych wyników [...], które porównane ze sobą mogą zadać cios śmiertelny całej hipotezie. Przyjąwszy normańskie pochodzenie dynastii piastowskiej i normański początek państwa polskiego, trzeba było określić, w jakim czasie miał zajść ten wiekopomny fakt. Robert Holtzmann przypuścił, że koło r. 960 Normanin Dago-Mieszko podbił plemiona słowiańskie w Wielkopolsce, Wilhelm Koppe przesunął ten fakt do r. 940, Otto Reche odrzucił w ogóle normańskie pochodzenie Mieszka i przyjął, że ród Piastów wywodził się z Germanów, którzy ongiś bawili na ziemiach polskich i jako

¹⁰⁰ Tamże, s. 546; por. W. Hensel, *Geneza państwowości polskiej w świetle badań archeologicznych*, w: *Pamiętnik VII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich we Wrocławiu 19–22 września*, t. 1: *Referaty*, Warszawa 1948, s. 218 i n.

¹⁰¹ G. Labuda [rec.] A. Brackmann, *Die Wikinger und die Anfänge Polens. Eine Auseinandersetzung mit den neuesten Forschungsergebnissen*, „Abhandlungen der Preussischen Akademie der Wissenschaften. Philosophisch-historische Klasse”, roczn. 1942, 6, Berlin 1943, wyd. 2, w: „Kwartalnik Historyczny” 55, 1948, s. 97.

tw. Restgermanen (Germanie »resztkowi«, »szczątkowi«) przetrwali tutaj do czasów przybycia plemion słowiańskich w VII–VIII wieku¹⁰².

Tezy postawione przez Brackmanna w *Die Anfänge des polnischen Staates* znalazły wsparcie wśród historyków niemieckich. Wątpliwości, czy normańskie imiona, a zwłaszcza rzekome imię Mieszka I, występujące incydentalnie tylko w jednym źródle pisanym, będącym na dodatek regestem oryginału, są argumentem wystarczająco uzasadniającym tezę o normańskim podboju usiłował rozwiać Gerhard Sappok. Domniemywał on między innymi, że brak wzmianek o imieniu Dago(na) w kronice Anonima zwanego Gallem (napomykającego skądinąd o dwóch imionach Mieszka) wynikał ze świadomego zabiegu jej autora, któremu owo imię „nie pasowało” do słowiańskiego brzmienia imion pozostałych polskich władców, natomiast analogiczny brak imienia Dagon w kronikach niemieckich miał być spowodowany tym, że sprawy polskie w ogóle traktowane w nich były drugoplanowo¹⁰³. W sumie Sappok usiłował wzbogacić „ustrojową” interpretację Brackmanna i mimo intencji tego ostatniego dołączyć do niej warstwę lingwistyczno-etymologiczną.

Odmienne natomiast było w Polsce, gdzie poglądy Brackmanna zostały otwarcie zakwestionowane lub potraktowane z dużą dozą sceptycyzmu. Bardzo szybko zareagował na nie Zygmunt Wojciechowski, w opublikowanej w 1935 r. rozprawie *Mieszko I i powstanie państwa polskiego*¹⁰⁴, dopełnionej rok później tekstem zatytułowanym *Jeszcze o Mieszku I*¹⁰⁵. Relacjonując najnowsze badania, które mniej lub bardziej wyraźnie korespondowały z kwestią normańskiego wkładu w budowę polskiego państwa, Wojciechowski przywoływał między innymi historyczne prace Mariana Zygmunta Jedlickiego, Leona Koczego, Józefa Widajewicza, językoznawcze badania nad pradziejami Polski Tadeusza Lehra-Spławińskiego, a spoglądając na stronę niemiecką, nie omieszkął zwrócić uwagi na to, że Holtzmann w aparacie naukowym do wydania kroniki Thietmara w 1935 r. mówi o „znanym normańskim pochodzeniu polskich Piastów”, który to pogląd już wcześniej „przedostał się” w Niemczech do podręczników¹⁰⁶.

W starciu z Brackmannem Wojciechowski przywołał argumenty dające się ułożyć w swoisty model polemiczny wyznaczający obszary polsko-niemieckich kontrowersji. W formie rozwiniętej model ów przywołał dziesięć lat później, w jednej z pierwszych polskich publikacji, jakie ukazały się po

¹⁰² Tamże, s. 97–98.

¹⁰³ R. Rosin, dz. cyt., s. 112–113, 121 (przyp. 32, 33, 34).

¹⁰⁴ Z. Wojciechowski, *Mieszko I i powstanie państwa polskiego...*

¹⁰⁵ Tenże, *Jeszcze o Mieszku I. Nieco polemiki i uzupełnień, w tem słowo o pochodzeniu dynastii zachodnio-pomorskiej*, Toruń 1936.

¹⁰⁶ Tenże, *Mieszko I i powstanie państwa polskiego...*, s. 2 [86].

zakończeniu działań wojennych w 1945 r.¹⁰⁷ Był to więc jak gdyby kanon „zamknięcia” polskiego wątku państwowotwórczego w historiografii II Rzeczypospolitej, ale też zarazem kanon „otwarcia” krótkotrwałej, bo zaledwie kilkuletniej, przedmarksistowskiej jeszcze fazy refleksji polskiej w czasach Polski Ludowej. Kanon ów opisany został dokładniej w rozdziale następnym, tu zatem wystarczy zwrócić uwagę na trzy jego elementy, jakie można odnaleźć w *Mieszku I...* (1935) i jego o rok późniejszym dopełnieniu. Były to: 1) kwestia „jedynozródowości” łączonego z Mieszkiem imienia Dagon/m, którą Brackmann w istocie zbagatelizował, 2) wysuwana na plan pierwszy przez Brackmanna kwestia normańskiego jakoby charakteru państwa Mieszka I, które nosząc cechy monarchii scentralizowanej, nie mogło być dziełem anarchicznych Słowian, oraz 3) łącząca się z elementem poprzednim kwestia bezpodstawności tezy, że „szczyty słowiańskie w czasie od VIII do początków XI wieku nie miały jeszcze dość własnych sił państwowotwórczych, lecz pobudki w tym kierunku otrzymywały z zewnątrz”¹⁰⁸. Tezę tę podważać miało samodzielne uformowanie się takich państw jak wielkomorawskie, czeskie i „państwo Wiślan”. Poglądy historyków niemieckich związane z hipotezą normańskich początków państwa polskiego omówił też Wojciechowski w odrębnej pracy, która ukazała się w 1939 r., na krótko przed zaatakowaniem Polski przez Niemcy i ZSRS¹⁰⁹.

W tym miejscu wypadnie jednak ze względów konstrukcyjnych zawiesić charakterystykę poglądów Wojciechowskiego, by powrócić do niej już na najbliższych kartach tej książki, poświęconych czasom po II wojnie światowej.

* * *

Czy dałoby się przyjąć za Albertem Brackmannem i Herbertem Ludatem, że po przegranej przez Polskę kampanii wojennej w 1939 r. „temat stracił na aktualności i można go teraz spokojnie rozważać”¹¹⁰. Być może historycy niemieccy mogli uznać, że aktualny podbój Polski pozbawił polityczno-ideologicznych podtekstów rozważania na temat domniemanego podboju anarchicznej słowiańskiej masy ludzkiej sprzed lat tysiąca, jednak z całą pewnością nie da się tego powiedzieć o historykach polskich. Z drugiej strony, trudno nie dostrzec, że nawet podczas toczącej się wojny hipoteza normańska nie została jednoznacznie zideologizowana na potrzeby III Rzeszy, a wśród historyków niemieckich występowały na jej temat spore

¹⁰⁷ Tenże, *Państwo polskie w wiekach średnich. Dzieje ustroju...*

¹⁰⁸ Tenże, *Mieszko I i powstanie państwa polskiego...*, s. 3 [87].

¹⁰⁹ Tenże, *Polska nad Wisłą i Odrą w X wieku. Studium nad genezą państwa Piastów i jego cywilizacji*, Katowice 1939, s. 9–14.

¹¹⁰ R. Rosin, dz. cyt., s. 115.

różnice zdań¹¹¹. Inicjatywę scalenia rozbieżnych stanowisk podjął w odrębnej rozprawie Brackmann¹¹², który – według określenia Labudy – postawił sobie za cel nadanie „dogmatowi normańskiemu wewnętrznej spójności”¹¹³. Tym razem uczony niemiecki nie miał już wątpliwości, że Mieszko I był jednak wikingiem, noszącym germańskie imię Dagr, i jakkolwiek nie on sam założył państwo polskie, to uczynili to jego normańscy przodkowie, którzy podbili ziemie na Kujawach i w Wielkopolsce na początku X w. Tezę o państwowotwórczym podboju normańskim uważał Brackmann za potwierdzoną i to zarówno po stronie niemieckiej, jak i polskiej. Mylił się jednak i to nie tylko jeśli chodzi o historyków polskich. W tym samym niemal czasie Ludat odrzucił „dogmat normański”, twierdząc między innymi, że z lekcji Dagome nie da się wyprowadzić imienia Dagr¹¹⁴, Hofmeister opublikował zaś zmodyfikowaną wersję swych krytycznych tekstów z lat wcześniejszych, w której poszerzeniu uległa warstwa argumentacyjna zaprzeczająca domniemaniom na temat normańskiego wodza posługującego się słowiańskim imieniem Mieszko¹¹⁵. Po latach Labuda uznał stanowisko, jakie w kwestii normańskiej zajął w 1942 r. Ludat za przejaw nie tylko naukowego krytycyzmu, ale i bardzo rzadkiej w okresie hitleryzmu niezależności myśli naukowej¹¹⁶. Trudno zatem byłoby powtórzyć za Zygmuntem Wojciechowskim, który w opublikowanej w 1945 r.¹¹⁷ syntezie *Państwo polskie w wiekach średnich. Dzieje ustroju* uznał,

¹¹¹ Wyrazem tego jest m.in. praca zbiorowa *Deutsche Ostforschung. Ergebnisse und Aufgaben seit dem ersten Weltkriege*, t. 1, Leipzig 1942, w której W. Koppe w artykule *Das Reich des Mieseko und die Wikinger in Ostdeutschland* (s. 253–266) podtrzymał tezę Holtzmanna, że Wikingowie, których podbój dał początek polskiemu państwu, przybyli nad Wartę, posuwając się wzdłuż Odry, co z kolei kwestionował Brackmann, opowiadający się za nieco innym kierunkiem najazdu (wzdłuż Wisły i dopiero później w kierunku zachodnim i północno-zachodnim).

¹¹² A. Brackmann, *Die Wikinger und die Anfänge Polens. Eine Auseinandersetzung mit den neuesten Forschungsergebnissen*, wyd. 2, Berlin 1943 (Abhandlungen der Preussischen Akademie der Wissenschaften. Philosophisch-historische Klasse, 1942, 6), ss. 67.

¹¹³ „Kwartalnik Historyczny” 55, 1948, s. 98.

¹¹⁴ H. Ludat, *Die Anfänge des polnischen Staates*, Kraków 1942, s. 94. Odrzucenie przez Ludata tezy o normańskich początkach państwa polskiego nie oznaczało, że stanął on na gruncie tezy o „samorodnym” jego powstaniu. Według niemieckiego historyka: „Polska nie zawdzięcza swego powstania jednorazowemu najazdowi północnych Wikingów, lecz dłuższy czas trwającym wpływom zachodniogermańskim” (państwo frankońskie, Bawaria, pośrednictwo czeskie); zob. R. Rosin, dz. cyt., s. 11.

¹¹⁵ A. Hofmeister *Der Kampf um die Ostsee vom 9. bis 12. Jahrhundert. Rede, gehalten bei der 26. Croy-Feier der Universität Greifswald am 7. Juli 1930*, Greifswald 1942, s. 13, 34–35.

¹¹⁶ G. Labuda, *Początki państwa polskiego w historiografii polskiej i niemieckiej*, w: *Stosunki polsko-niemieckie w historiografii. Studia z dziejów historiografii polskiej i niemieckiej*, cz. 1, red. J. Krasuski, G. Labuda, A.W. Walczak, Poznań 1974, s. 168.

¹¹⁷ Pisanej, jak poświadczył to sam autor, w latach 1939–1940; zob. Z. Wojciechowski, *Państwo polskie w wiekach średnich. Dzieje ustroju...*, s. VII.

że rozwinięta przez Brackmanna teza Schultego i Holtzmanna „stała się sztandarowym poglądem nauki niemieckiej, twierdzącej uporczywie, że państwo polskie wywodzi się z podboju normańskiego”¹¹⁸. Co więcej, jeśli przypomnieć poglądy Tadeusza Czackiego, Wacława Aleksandra Maciejewskiego, Karola Szajnochy, Franciszka Piekosińskiego czy „młodego” Jana Karola Kochanowskiego, to jednak prekursorstwo w przypisywaniu Germanom większego lub mniejszego „rodzicielskiego” wkładu w genezę polskiego państwa należy się zapewne nam samym. W takim kontekście wprowadzony przez Schultego i Holtzmanna wątek *Dagome iudex* jawić się może jako próba wsparcia „dziejowym szczegółem” formułowanych wcześniej w kategoriach bardziej ogólnych hipotez polskich. Próba nieudana, ponieważ „dziejowy szczegół” również nie przekroczył granic hipotezy. W ten sposób powstawała sytuacja, w której hipoteza-matka (podbój normański) rodziła hipotezę-córkę (Mieszko to normański Dago), która to córka miała poświadczać, że jej matka nie była hipotezą.

Nie jest moim celem poszukiwanie w tym miejscu odpowiedzi na pytanie, dlaczego „nauka historii w stanie upadku”, jak określił kondycję ówczesnej historiografii niemieckiej Henryk Olszewski¹¹⁹, nie w pełni uległa ideologicznej presji tezy o normańskim założycielu państwa polskiego. Taki cel leży poza zakresem profesjonalnych kompetencji piszącego te słowa. Można jednak postawić kilka innych pytań, na które oby kiedyś zechcieli odpowiedzieć ci, którzy takie kompetencje posiadają. A zatem, czy przytoczone tu fakty były przejawem niejako organicznej odporności nauki historii, która nawet będąc „w upadku”, potrafiła zachować enklawy autonomiczne wobec oficjalnej ideologii III Rzeszy? A może należy je łączyć ze swoistą dwuznacznością ideologiczną tezy o księciu Dago i jego normańskiej drużynie, która miała dać początek polskiej szlachcie, a wchodząc w związki krwi ze słowiańskimi autochtonami wniosła nie tylko organizacyjny, ale i „rasowy” wkład w powstanie polskiego państwa i narodu? Do jakiego stopnia ten naród i to państwo łączyć miały z Niemcami „braterskie” więzi genetyczne? Czy los Polski w 1939 r., a później jej okupacja i walka okupantów z państwem podziemnym nie nabierały w takim kontekście znamion czynu bratobójczego? Czy zatem, by już skończyć ciąg owych pytań, które wypadnie pozostawić bez odpowiedzi, o wiele użyteczniejsza ideologicznie nie byłaby teza o germańskich wzorcach państwowotwórczych oraz wpływach (importach?) społecznych, gospodarczych i kulturowych, które przychodząc „beznajazdowo” ze strony państwa Franków, Bawarii i wcześniej przenikniętych pierwiastkami germańskimi Czech, sprawiły, że wreszcie mogło się narodzić kolejne państwo słowiańskich fajtlap politycznych?

¹¹⁸ Tamże, s. 14.

¹¹⁹ H. Olszewski, dz. cyt.

ROZDZIAŁ III

HISTORIOGRAFIA POLSKI LUDOWEJ

1. POWOJENNE ECHA SPORU O NORMANISTYCZNĄ WYKŁADNIĘ NARODZIN PAŃSTWA POLSKIEGO

Po II wojnie światowej polsko-niemiecki spór o normanistyczną wykładnię dokumentu *Dagome iudex*, który rozgorzał w okresie międzywojennym, wszedł w fazę uwiądu. Przyczyniły się do tego zarówno względy czysto naukowe, jak i polityczno-ideologiczne, spowodowane z jednej strony totalną klęską Niemiec, z drugiej „triumfem” marksistowskiej filozofii dziejów, z jej skłonnością do traktowania przyczyn przekształceń układów społecznych i politycznych bardziej w kategoriach endo- niż egzogenezy, czyli w kategoriach układów społeczno-ekonomicznych samokierunkujących i napędzających się, a nie sterowanych i napędzanych „z zewnątrz”. Stało się tak zapewne dlatego, że refleksja typu „endo” zdawała się szczególnie sprzyjać ideologicznemu fetyszowi dziejowej podmiotowości Człowieka Pracy. Oczywiście zgodnie z kanoniczną regułą komunistycznej wykładni dziejów, głoszącą, jak poetycko powiadał Majakowski, że „jednostka zerem, jednostka bzdurą”, Człowiekowi Pracy nadawano status nie indywidualistyczny, lecz kolektywistyczny. Sam jeśli mógł cokolwiek, to niewiele, ale w swej zbiorowej postaci – grupie, klasie społecznej, a zwłaszcza zaś w uosabiającej najwyższe wartości „ludu pracującego miast i wsi” organizacji partyjnej – potrafił, zgodnie ze słowami tegoż poety, „wznieść nawet dom pięciopiętrowy” (sic!). Człowiek Pracy wraz ze swym kolektywistycznym statusem był czymś więcej niż synekdochą „ludu pracującego miast i wsi”. W teorii państwa mającego być produktem walki klas, a nie traktowanych heroistycznie wyczynów wodzowskich różnych Mieszko-Dagonów i Ruryków, walczył on o swe **grupowo-państwowe** prawa do wolności po to, by po ich uzyskaniu wywalczone przez niego państwo mogło dokonać swego żywota i jako narzędzie ucisku klasowego wraz z niepotrzebnymi już klasami uciskanych i uciskających „obumrzeć”. W sumie ideologiczny klimat nadchodzących „nowych czasów” nie był dla normanistów zbyt przychylny

Początkowo jednak echa normanistycznego sporu pobrzmiwały jeszcze dość głośno, choć jednostronnie – w czasie wojny i okupacji głównie po stronie niemieckiej, natomiast w czasach późniejszych – po stronie polskiej. Warto zatem przytoczyć nieco szczegółów ukazujących, jak w owe lata historiografia polska sytuowała się wobec „falszerstw historiografii niemieckiej”, bo taką etykietą opatrywano u nas traktowaną *en bloc*, przynajmniej aż do czasów zaistnienia NRD, naukę historyczną naszych zachodnich sąsiadów.

WOBEC „FAŁSZERSTW HISTORIOGRAFII NIEMIECKIEJ”

Zygmunt Wojciechowski należał do grona poznańskich narodowców, zaangażowanych żywo w życie polityczne II Rzeczypospolitej, i to zarówno w jego wewnętrznych, jak i zewnętrznych, ukierunkowanych szczególnie na problematykę niemiecką, aspektach¹. One to właśnie zajmowały pierwszoplanowe miejsce w jego twórczości historycznej w ostatnich latach dwudziestolecia międzywojennego, a także w okresie okupacji, kiedy związał się ze strukturami Polskiego Państwa Podziemnego. W 1939 r. plon jego dokonań w zakresie historii stosunków polsko-niemieckich został wzbogacony publikacją *Polska nad Wisłą i Odrą w X wieku. Studium nad genezą państwa Piastów i jego cywilizacji*, a w czasie okupacji książką *Polska – Niemcy. Dziesięć wieków zmagania*, która ukazała się w 1943 r., choć na jej karcie tytułowej ze względów konspiracyjnych widniała data 1938 r. oraz informacja, że jest to nowe wydanie tomu I *Szkiców historycznych* Karola Szajnochy. Wojciechowski był jednym ze współtwórców działającego w Warszawie tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich, a dorobek jego ówczesnych współpracowników stanowił zaczątek Instytutu Zachodniego, którym kierował począwszy od 1945 aż do śmierci w 1955 r.²

Do czołowych postaci związanych z działalnością Instytutu Zachodniego, placówki specjalizującej się w problematyce tzw. Ziemi Odzyskanych i stosunków polsko-niemieckich, należał również Gerard Labuda, który przejął dyrektorską pieczę nad Instytutem w 1958 r. Podobnie jak Wojciechowski, po wojnie kontynuował on swe wykrystalizowane jeszcze w okresie międzywojennymi zainteresowania dotyczące początków państwa polskiego. W 1946 r. wydał *Studia nad początkami państwa polskiego*, pisane częściowo w okresie wojny, a następnie stanowiące podstawę jego habilitacji. W tej bogato udokumentowanej pracy opowiedział się między innymi za uznaniem za datę

¹ Więcej na ten temat piszę w rozdz. II niniejszej pracy.

² Zob. A.F. Grabski, *Zygmunt Wojciechowski i historia macierzystych ziem Polski*, w: Z. Wojciechowski, *Zygmunt Stary (1506–1548)*, wyd. 2, oprac. i wstęp A.F. Grabski, Warszawa 1979, s. 21 i n.

początków państwa polskiego lat 964–965, kiedy Mieszko I prowadził walki z Geronem, a następnie z Hodonem.

W pracach Instytutu Zachodniego dążenie do ukazania głównych cech rozwojowych uwidoczniających się w toku narodzin i późniejszych przekształceń państwa polskiego nakładało się na próby reinterpretacji naszych dziejów narodowych z punktu widzenia zmian terytorialno-politycznych, jakie zaszły po II wojnie światowej. Dylemat Polski „piastowskiej” czy „jagiellońskiej” nigdy nie był w naszej (choć nie tylko w naszej) myśli historycznej dylematem czysto poznawczym, mającym rozstrzygnąć, czy spośród obu tych idei „naukowo” słuszne dla Polski było ukierunkowanie zachodnie czy wschodnie i które z tych ukierunkowań wyznaczało wzorzec „prawidłowy”, zgodny z polskimi racjami historycznymi, a które mu zaprzeczało. Teraz jednak wzorzec i antywzorzec historyczny niemal całkowicie zanurzyły się w polityce. Trafnie ujął to Rafał Stobiecki: „Powrót na »ziemie ojców«, jak nazywano Ziemię Zachodnie i Północne, interpretowany był jako powrót do tradycji państwa polskiego z okresu Mieszka I i Bolesławów oraz jako wynik sprawiedliwości dziejowej. [...] W celu ukazania związków nowej Polski z Ziemiami Odzyskanymi nagminnie nadużywano kategorii »praw historycznych«, »praw dziejowych«. Jest to myślenie klasycznie ahistoryczne, próbujące modelować przeszłość na wzór teraźniejszości [...] jest ono jednak niezwykle atrakcyjne, mające za sobą głębokie uzasadnienie polityczne i społeczne. Problem integracji z nową państwowością Ziem Odzyskanych w aspekcie politycznym, społecznym i gospodarczym stał się bowiem w tym czasie problemem ogólnonarodowym. Argumentacja historyczna, wskazująca na związki Ziem Odzyskanych z genezą państwowości polskiej znalazła swoje odzwierciedlenie w szeregu prac, wydanych bezpośrednio po wojnie, a często przygotowywanych jeszcze w latach trzydziestych oraz w okresie wojny i okupacji”³.

Czołowe miejsce wśród tych prac zajmuje opatrzona dedykacją „Pamięci Oswalda Balzera”⁴ książka Zygmunta Wojciechowskiego poświęcona dziejom ustroju średniowiecznego państwa polskiego, wydana w Poznaniu kilka miesięcy po kapitulacji Niemiec. Argumenty, jakie jej autor skierował przeciwko „fałszywej teorii genezy państwa polskiego”⁵ wysnutej z dokumentu *Dagome iudex* w niemałej mierze wpłynęły na stanowisko oficjalnej historiografii Polski Ludowej w jej latach „najpierwszych”, z tym że od strony

³ R. Stobiecki, *Historia pod nadzorem. Spory o nowy model historii w Polsce (II połowa lat czterdziestych – początek lat pięćdziesiątych)*, Łódź 1993, s. 67–68.

⁴ Wojciechowski wymieniał Balzera na pierwszym miejscu wśród trójki mistrzów (obok Jana Ptaśnika i Wincentego Zakrzewskiego), którzy w okresie studiów i początków kariery uniwersyteckiej we Lwowie kształtowali go jako historyka.

⁵ Z. Wojciechowski, *Państwo polskie w wiekach średnich. Dzieje ustroju*, Poznań 1945, s. 13.

teoretyczno-metodologicznej już wkrótce okazały się one zbyt tradycyjalne jak na „ducha nowych czasów”. Zanim jednak ów duch doszedł w Polsce wyraźniej do głosu, musiało upłynąć kilka lat i już choćby tylko dlatego warto nieco dokładniej przyjrzeć się strukturze uformowanego przez Wojciechowskiego kanonu polemicznego, kwestionującego wartość tezy o germańskich narodzinach polskiego państwa. Wcześniej jednak niezbędne jest jedno zastrzeżenie. Otóż nie wszystkie elementy konstrukcji, którą można określić mianem „modelu Wojciechowskiego”, są autorstwa tego historyka. Niektóre z nich należałoby uznać za intelektualną własność innych badaczy, w tym również niemieckich. Autorskie są natomiast: wybór tych elementów oraz struktura całości modelu, którą dałoby się ująć pod postacią sześciu bloków perswazyjnych o różnych stopniach ogólności.

1. Bezpodstawne są twierdzenia o braku państwowotwórczych zdolności i umiejętności wśród Słowian w wiekach VIII–X. Przeczy im powstanie państw wielkomorawskiego i czeskiego, a także organizacja państwowa „Polski południowej”.

2. Nie ma pozytywnych dowodów normańskiej genezy państwa polskiego. Wprawdzie imię Dag albo Dago występuje w źródłach skandynawskich i niemieckich, ale w dokumencie, na który powołują się historycy niemieccy, imię brzmi Dagome względnie Dagone. Nie występuje ono w żadnym z innych źródeł, które „Mieszka nazywają Mieszkiem i tylko Mieszkiem, a także na monetach występuje Mieszko jako MESCO, a nie Dago. [...] Źródła proveniencji polskiej nazywają naszego księcia Mysco, tzn. Miško, źródła proveniencji obcej często używają postaci Misaca, tzn. Miška”⁶.

3. Dokument *Dagome iudex* nie jest znany ani z oryginału, ani z kopii. Zachowało się jedynie jego streszczenie (regest), w którym skądinąd przekręcone zostało brzmienie wielu nazw miejscowych. Jest to zatem tekst zepsuty, skażony. Natomiast: „Zważywszy wszystko to, co ze źródeł nieskażonych wiemy o imieniu Mieszka, musimy przychylić się do poglądu [O. Balzera – A.W.], który formę Dagome uważa za zniekształcenie słowa »ego Mesco« (Ja Mieszko)”⁷.

4. Nie można, tak jak robiła to „nauka niemiecka”, uznawać za wiarygodną podaną przez „Galla” Anonima wiadomość, że Mieszko zwany był początkowo innym imieniem, jednocześnie zaś traktować jako „fantazję” podaną przez tego samego autora informację, że imię ojca Mieszka brzmiało Ziemo-myśl. W ogóle „imiennictwo rodziny Mieszka jest na wskroś słowiańskie”⁸.

⁶ Tamże, s. 14. Późniejsza nauka polska wykazała, że Mieszko I nie bił własnej monety, a przypisywany mu denar powstał za czasów Mieszka II.

⁷ Tamże.

⁸ Tamże.

5. Pogląd jakoby opisana przez Ibrahima ibn Jakuba drużyna Mieszka wywodziła się z drużyny skandynawskiej jest „całkowicie błędny”, tak jak „fałszywe” jest twierdzenie, że drużyny militarne były zjawiskiem wyłącznie germańskim. Oswald Balzer w swych badaniach nad początkami państw słowiańskich wykazał, że drużyna u Słowian zachodnich była zjawiskiem tak powszechnym jak u „szczerpów bałtyckich”. Porównując drużynę duńską, która (jeśli dawać wiarę skandynawskim sagom) miała w 985 r. „wedrzyć się na tereny u ujścia Odry (Jómsborg-Wolin na Wolinie) z opisaną przez ibn Jakuba drużyną Mieszka z roku 965 dostrzegamy, że różniły się one zasadniczo. Szczególnie odmienny był status kobiet, dla których w ogóle w drużynie duńskiej nie było miejsca, zaś drużynnikom nie wolno było zawierać związków małżeńskich. Natomiast w drużynie Mieszka, książę patronował materialnie życiu rodzinnemu swych wojów, o czym ibn Jakub pisał następującymi słowami »Gdy któremu z nich urodzi się dziecko, wówczas on (Mieszko) zaraz po urodzeniu dziecięcia nakazuje wyznaczyć mu żołd, czy ono męskiej czy żeńskiej płci. A gdy dojdzie do pełnoletniości, żeni jego, jeżeli on męskiej płci i płaci zań ojcu dziewczyny swadziebny podarek«⁹».

6. Jeżeli jeszcze w 1934 r. Wojciechowski wyrażał nadzieję, że ostateczny werdykt w sprawie państwowotwórczego najazdu Normanów na Polskę wydażą archeologowie, to teraz uznawał, że sprawa została już rozstrzygnięta „w wyniku wykopalisk dokonanych w ostatnich latach w Gnieźnie i Poznaniu przede wszystkim. W żadnym z tych grodów nie znaleziono zabytków pochodzenia wikińskiego”¹⁰.

Dużo elementów tak zarysowanego kanonu polemicznego, który potraktowany całościowo stworzył, a i do dziś po części tworzy, bodaj najpowszechniejszy u nas syndrom genezy polskiej państwowości, odnaleźć można w książce *Początki Polski* pióra Józefa Widajewicza – również ucznia Balzera. Rzecz znamienna, że w okresie międzywojennym, podobnie jak Wojciechowski, związany był Widajewicz z poznańskim środowiskiem młodych narodowców. Książka – wydana w 1948 r., a więc w czasach, gdy powojenne rozrachunki polsko-niemieckie cechował jeszcze duży emocjonalizm – nasycona była sformułowaniami bardzo obrazowymi. Widajewicz mówił w niej o „nordyjskiej chorobie” historyków niemieckich, wywołanej „bakcyłem wyrazu Dagome”¹¹, zwracał uwagę na kruchość źródłowej podstawy owego terminu¹², a jeśli chwalił wybitnego historyka niemieckiego (Alberta Brackmanna) to tylko za to, że poddał on krytyce twierdzenia innego znanego

⁹ Tamże, s. 15.

¹⁰ Tamże.

¹¹ J. Widajewicz, *Początki Polski*, Wrocław 1948, s. 127.

¹² Tamże, s. 119.

niemieckiego historyka: „jakoż kilka stron wypełnionych krytyczną oceną teorii Holtzmanna stanowi istotnie cenną część pracy Brackmanna” – przyznawał nie bez ironii¹³. Sam zaś stwierdzał, że „najwymowniejszym świadectwem, które przemawia przeciwko tezie o germańskim pochodzeniu naszej dynastii jest, że nie wspominają o tym niemieccy kronikarze i rocznikarze” i dodawał: „nie ma absolutnie żadnych wskazówek, żeby to imię [Dagome – A.W.] przyniósł nasz książę »zza morza«”¹⁴.

2. W STRONĘ „JEDYNIĘ SŁUSZNEJ” TEORII

I Wojciechowskiemu, i Widajewiczowi marksistowski sposób postrzegania i opisywania przeszłości był obcy. W pierwszych latach powojennych odnosiło się to skądinąd do większości historyków w kraju, co uwidoczniło się wyraźnie w czasie VII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich, który odbył się we Wrocławiu we wrześniu 1948 r. Z drugiej jednak strony, w trakcie przygotowań do Zjazdu dawała się już odczuć wyraźna presja władz w stronę komunistycznego zideologizowania i upolitycznienia historii. W jej wyniku Polskie Towarzystwo Historyczne zmuszone zostało do skorygowania planowanego programu obrad¹⁵. Zapowiedzią „nowego” rozumienia historii było również uformowanie się Marksistowskiego Zrzeszenia Historyków, w skład którego weszło kilka osób wcześniej związanych z PPS bądź z PPR¹⁶. W sprawozdaniu przedstawionym Jurijowi Żdanowowi przez delegację historyków sowieckich, która jesienią 1948 r. bawiła w Polsce, uczestnicząc między innymi w Zjeździe, szacowano, że Zrzeszenie stanowiło niewielką, 25–30-osobową grupę, do której „prócz młodzieży i historyków sowieckiej szkoły (Celina Bobińska, Roman Werfel, Żanna Kormanowa), weszło również kilku historyków starszego pokolenia (Natalia Gąsiorowska, Stanisław Arnold)”. Co więcej, poziom teoretyczny tej grupy budził spore wątpliwości, ponieważ jej większość nie potrafiła wyjść poza obręb „prymitywnego materializmu ekonomicznego”, a na dodatek wśród młodych pleniły się „lewackie nastroje wobec starych profesorów”¹⁷.

¹³ Tamże, s. 126.

¹⁴ Tamże, s. 19–27.

¹⁵ *Powszechne Zjazdy Historyków Polskich w Polsce Ludowej. Dokumenty i materiały*, wstęp, wybór i oprac. T.P. Rutkowski, Toruń 2014, s. 11.

¹⁶ Byli to: Celina Bobińska, Natalia Gąsiorowska, Henryk Jabłoński, Żanna Kormanowa, Kazimierz Piwarski, Marian Henryk Serejski, Józef Sieradzki i Roman Werfel; za: tamże, s. 14.

¹⁷ Cyt. za: J. Szumski, *Polityka a historia. ZSRR wobec nauki historycznej w Polsce w latach 1945–1964*, Warszawa 2016, s. 98.

Taka ocena obserwatorów sowieckich niezbyt dobrze rokowała Zrzeszeniu i rzeczywiście władze polityczne uznały, że korzystniejsze będzie oddziaływanie na środowisko historyczne przede wszystkim za pośrednictwem Polskiego Towarzystwa Historycznego¹⁸.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że VII Powszechny Zjazd Historyków Polskich traktowany był jako kolejne ogniwo w łańcuchu wrocławskich inicjatyw organizacyjnych, takich jak Wystawa Ziem Odzyskanych i Światowy Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju (lipiec–wrzesień 1948 r.), mających dokumentować związki Polski Ludowej z „ideą piastowską”. Ale nie tylko. W ZSRS istniały plany włączenia go w ciąg działań mających na celu dokonanie „przewrotu metodologicznego” w humanistyce krajów „demokracji ludowej”, przy czym punktem szczytowym owego zamierzenia miał być moskiewski Kongres Słowistów. Ustalono nawet, że na Kongresie polską naukę historyczną będą reprezentować Stanisław Arnold, Henryk Batowski, Tadeusz Lehr-Spławiński, Zygmunt Wojciechowski oraz Natalia Gąsiorowska, ale eskalacja konfliktu Stalina z Josipem Broz-Tito sprawiła, że termin Kongresu przesuwano i w efekcie „chwilowo odłożono przeprowadzenie przewrotu metodologicznego w polskiej humanistyce”¹⁹. Nie wpłynęło to wszakże na fakt uczestnictwa w obradach VII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich delegacji sowieckiej, która pod przewodnictwem Piotra Tretiakowa objechała ponadto z odczytami kilka ośrodków uniwersyteckich w Polsce. Efekt owego rozpoznania był dla strony polskiej więcej niż marny. „Wyniki pobytu sowieckiej delegacji w Polsce – jak ujmuje to Jan Szumski – i przeprowadzona przez nią analiza sytuacji panującej w różnych ośrodkach akademickich utrwaliły przekonanie partyjnych decydentów w Moskwie o słabości polskich »marksistów« i niezdolności PPR do samodzielnego przeprowadzenia zasadniczych zmian w nauce historycznej”²⁰. Jest przy tym rzeczą ciekawą, że delegacja rosyjska, będąca w istocie polityczno-ideologicznym rekonesansem przed dokonaniem „marksistowskiego przełomu”, za głównego wroga owego zamierzenia uznała „największego historyka” i zarazem – jak pisano – „najbardziej znanej postaci dla naszych historyków” – Władysława Konopczyńskiego, który wbrew wcześniejszym zapowiedziom nie wziął udziału w Zjeździe, ze względu na to, że jak pisał w jednym z prywatnych listów, „z góry wie czym się skończy

¹⁸ Tamże.

¹⁹ Tamże, s. 100 (Sprawozdanie delegacji sowieckiej w Polsce).

²⁰ Tamże, s. 99. Stenogram referatu sprawozdawczego Tretiakowa wraz z dyskusją nad nim został opublikowany dopiero w III RP; zob. *Stenogram wspólnego posiedzenia Sekcji Historycznej WOKS i Sekcji Naukowej Komitetu Słowiańskiego, 3 listopada 1948 r.*, wybór i oprac. Z. Romek, w: *Klio Polska. Studia i materiały z dziejów historiografii polskiej po II wojnie światowej*, t. 1, red. A. Wierzbicki, Warszawa 2004, s. 193–219.

ten zjazd”²¹. Jak widać, delegacja sowiecka miała dostęp nie tylko do zjazdowych referatów.

W trakcie VII Zjazdu Zygmunt Wojciechowski przewodniczył obradom Sekcji II (Dzieje Słowiańszczyzny), w pracach której szczególny nacisk położony został na problematykę początków państwa polskiego. Ciekawe jednak, że ani on, ani też Widajewicz, który obok Wojciecha Hejnosza pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Sekcji, mimo swych niewątpliwych kompetencji referatów nie wygłosili²². Zrobili to natomiast: ciesząc się zasłużonym autorytetem wybitnego mediewisty Kazimierz Tymieniecki oraz coraz wyraźniej ugruntowujący swą nieprzeciętną pozycję w polskiej archeologii, niespełna trzydziestoletni podówczas, Witold Hensel.

Kazimierz Tymieniecki w tekście zatytułowanym *Geneza państwowości polskiej* skoncentrował się na ustaleniu dyrektyw metodologicznych oraz wskazaniu bloku zagadnień związanych z tytułową „genezą”. Wskazywał między innymi na potrzebę zachowania szczególnej ostrożności badawczej ze względu na fakt, że w polskim przypadku „choćby pod względem ilościowym, legenda będąca odbiciem późniejszych wyobrażeń o początkach państwa, bardzo przeważa nad współcześnie zapisanymi wiadomościami”²³, a „w stosunku do całości »dziejów bajecznych« naszych kronikarzy należy stwierdzić, że dają one obraz nie tylko, że niepodobny, ale często nawet wręcz przeciwny do tego, jaki wynika ze źródeł współczesnych”²⁴. Drugim komponentem wystąpienia Tymienieckiego była propozycja czteroelementowego zespołu zagadnień związanych z genezą państwa polskiego, który po niewielkiej rozbudowie przybrał następującą postać:

„1. Oddziaływania zewnętrzne na »rodzimą kulturę« Słowian oraz sprawa ich wpływu na organizację państwową i społeczną:

- a. świat antyczny
- b. koczownicy
- c. północ europejska.
2. »Dogmat« Polski plemiennej
3. Powstanie państwa »narodowego«
 - a. warunki polityczne

²¹ *Stenogram wspólnego posiedzenia...*, s. 207–208.

²² Mogło się to łączyć z narastającą oficjalną niechęcią wobec propiłsudczykowskiemu Związku Młodych Narodowców, z którym obaj historycy przed wojną byli związani (zob. rozdz. II niniejszej książki), a także z chęcią okazania przez nich pewnej solidarności w stosunku do Władysława Konopczyńskiego, szykanowanego już w tym czasie nie tylko za swój „reakcjonizm”, ale i za autorytet, jakim cieszył się w środowisku historyków polskich.

²³ K. Tymieniecki, *Geneza państwowości polskiej*, w: *Pamiętnik VII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich we Wrocławiu 19–22 września*, t. 1: *Referaty*, Warszawa 1948, s. 199.

²⁴ Tamże, s. 202.

- b. społeczno-gospodarcze i demograficzne
 - c. kulturalne
4. Sposoby przebycia drogi od państwa plemiennego do państwa narodowego²⁵.

Występujące w owym zestawieniu dwustopniowe rozróżnienie państwa „plemiennego” i „narodowego” (elementy 2 i 3) stało się punktem wyjścia dla Witolda Hensla, autora drugiego z wygłoszonych w Sekcji „słowiańskiej” referatów, którego tytuł był niemal identyczny z tytułem wypowiedzi Tymienieckiego: *Geneza państwowości polskiej*, z tym że dopełniony jednak został zawężającą formułą: *w świetle badań archeologicznych*. Autor jasno określił swoje stanowisko teoretyczne: „w naszym mniemaniu o początkach państwowości polskiej mówić możemy nie od momentu, gdy istniała już państwowa organizacja jakiegoś z plemion, które później weszły czy nawet spowodowały wytworzenie się państwowości polskiej, lecz dopiero od chwili, gdy nastąpiło przełamanie granic plemiennych, które doprowadziło do większej wieloplemiennej wspólnoty. W ten sposób ścieśniamy niejako zakres pojęcia »państwo«, podobnie jak czynili to dawniej poniekąd, niezapomniany Oswald Balzer oraz szczególnie Kazimierz Tymieniecki”²⁶. Hensel z dużą przenikliwością zbliżył do siebie koncepcje Tymienieckiego i Balzera, zwracając uwagę, że ten ostatni wprowadził w polskiej historiografii pojęcie „wyższo-rzędnej organizacji państwowej”. Nietrudno dostrzec, że w wersji występującej w referacie Tymienieckiego Balzerowskiej „organizacji wyższo-rzędnej” odpowiadało „państwo narodowe”.

Hensel, jakkolwiek polemizował z niektórymi uczonymi polskimi, szczególnie zaś z Janem Czekanowskim, który swoje badania antropologiczne prowadził zafascynowany utożsamiającą Polaków i Gotów inskrypcją nagrobkową Chrobrego²⁷, to jednak na plan pierwszy wysunął krytykę pomysłów ogłaszanych przez badaczy niemieckich. Zdaniem polskiego archeologa bowiem, głównie w dążeniu do udowodnienia tezy o normańskim pochodzeniu dynastii piastowskiej, zaczęli oni zaliczać do wikińskich pozostałości „wszystkie zabytki przypominające wyglądem lub sposobem wykonania wytwory znajdujące w Skandynawii”, nie uwzględniając tego, że cały ich szereg „był wyrabiany gdzieindziej i również w tym kraju stanowił obiekty importowane”²⁸. Hensel wystąpił również przeciwko traktowaniu średnio-wiecznego Wolina jako wojskowej osady wikińskiej. Powoływał się przy tym

²⁵ Tamże, s. 208.

²⁶ W. Hensel, *Geneza państwowości polskiej w świetle badań archeologicznych*, w: *Pamiętnik VII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich...*, t. 1, s. 209.

²⁷ Zob. rozdz. II, podrozdz. *Franciszka Bujaka negacja czynnika normańskiego – w stronę uniwersalizacji zasady państwowotwórczego podboju*.

²⁸ W. Hensel, dz. cyt., s. 220.

na nowe odkrycia archeologiczne, które „pokazały nam typowo słowiański gród” i mimo że „w mieście Wolinie mieszkali, jak świadczą o tym niektóre odkryte tam domy, kupcy wikińscy, straż nad miastem i portem znajdowała się w rękach słowiańskich”²⁹. Powoływał się również na opinię Gerarda Labudy, według którego wiarygodność sagi mówiącej o wikińskiej załodze Jómsborga jest bardzo wątpliwa³⁰.

Rekapitułując całokształt swych wywodów, Hensel sformułował sześć tez:

„1) na terenie dzisiejszych ziem polskich spotykamy się z formacjami państwowymi od czasów przedhistorycznych.

2) w świetle obiektywnych danych archeologicznych państwo polskie jako organizacja o szerszym zasięgu uchwytne jest dopiero od połowy X-go wieku.

3) geneza tej państwowości jest rodzima i wychodzi z łona jednego z plemion polskich.

4) hipoteza o gockiej genezie państwa polskiego nie ma uzasadnienia archeologicznego.

5) hipoteza o wikińskim pochodzeniu Piastów oparta jest na metodycznie błędnych dowodzeniach i brak jej zasadności w świetle materiału archeologicznego.

6) O ewentualnym zapożyczeniu form ustrojowych od państw ościennych nie jesteśmy dziś w stanie powiedzieć nic konkretnego w świetle znanych materiałów archeologicznych”³¹.

Można przypuszczać, że przewodniczący obradom Sekcji „słowiańskiej” Zygmunt Wojciechowski musiał odczuwać szczególną satysfakcję, przysłuchując się wystąpieniu Hensla. Oto bowiem archeologia, ze strony której jeszcze w latach trzydziestych spodziewał się ostatecznego rozstrzygnięcia sporów na temat *Dagome iudex* i falsyfikacji hipotezy normańskiego podboju, potwierdziła jego stanowisko. Wprawdzie już nieco wcześniej uznawał je za udokumentowane, teraz jednak zostało ono wsparte autorytetem szeroko rozumianego środowiska historyków polskich.

Referaty na temat początków polskiego państwa zostały dostrzeżone przez historyków sowieckich, którzy bardzo szybko podzielili się swoimi opiniami na ich temat („Voprosy Istorii” 1949). Niemal równie szybko opinie te zostały przetłumaczone na język polski i opublikowane w Warszawie (1950). Okazało się, iż nauka „ojczyzny komunizmu” krytycznie oceniła zjazdowe wystąpienia Tymienieckiego i Hensla, uznając, że „zagadnienie powstania państwa polskiego nie zostało właściwie postawione na Zjeździe. W istocie

²⁹ Tamże, s. 222.

³⁰ G. Labuda, *Legenda Jomsborga*, „Sprawozdania Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk” 13, 1945/1946, 1, s. 38 i n.

³¹ W. Hensel, dz. cyt., s. 223.

rzeczy ani prof. Kazimierz Tymieniecki, ani Witold Hensel nie postawili sobie takiego zadania, mimo że pierwszy referent zatytułował swój referat: »Geneza państwowości polskiej«, drugi zaś – »Geneza państwowości polskiej w świetle badań archeologicznych«. Referat Mariana Jedlickiego, poświęcony temu samemu tematowi, nie został wydrukowany w »Pamiętniku« Zjazdu³². Jeżeli jednak pod adresem Tymienieckiego sowieccy recenzenci nie skierowali ani jednego dobrego słowa, to tekst Hensla zawierał w sobie coś, co wzbudziło ich uznanie, a mianowicie krytykę hipotezy podboju. „Najmocniejszą stroną referatu Hensla – pisali – jest niewątpliwie miazdząca krytyka teorii mówiącej o pochodzeniu państwa polskiego od Gotów i Normanów. **Archeologom polskim udało się całkowicie uzasadnić tezę o organicznym, nie związanym z żadnym podbojem zewnętrznym, procesie powstania państwa Słowian polskich**” (podkr. A.W.)³³. Za godną odnotowania uznali też informację, że według najnowszych wykopalisk Wolin był w połowie X w. „grodem typowo słowiańskim, na którego terytorium znajdowały się jedynie poszczególne domy kupców-Wikingów”³⁴.

Przytoczona tu opinia o endogenicznym (co nie znaczy bezpodbojowym) uformowaniu się polskiego państwa wymagała wsparcia intelektualnego ze strony marksistowskiej teorii materializmu historycznego, a najskuteczniej, jak wierzono, mogli to zrobić najbardziej pod tym względem doświadczeni przedstawiciele nauki Kraju Rad. Ciekawe, że zbliżeniu do siebie w historiografii postaw tradycyjalnych i postępowych przysłużyły się z jednej strony koncepcja ponadplemiennej „wyższości organizacji państwowej” jako państwa *sensu stricto* (Balzer) oraz pokrewna jej koncepcja „państwa narodowego” (Tymieniecki), z drugiej zaś koncepcja państwa i narodu wyrażona najdobitniej przez Stalina w jednej z najgłośniejszych (w krajach „demokracji ludowej”) publikacji teoretyczno-ideologicznych, która wbrew swemu nader skromnemu tytułowi poświęcona była nie tylko relacji zachodzącej między marksizmem a „zagadnieniami językoznawstwa”.

W ramach przygotowań do I Kongresu Nauki Polskiej (Warszawa, 29 czerwca – 2 lipca 1951 r.) Marksistowskie Zrzeszenie Historyków wraz z Wrocławskim Towarzystwem Miłośników Historii oraz Wrocławskim Towarzystwem Naukowym zorganizowało w lipcu 1950 r. „roboczą” konferencję poświęconą dotychczasowym badaniom historycznym nad stosunkami polsko-niemieckimi. Przewodniczący obradom Stanisław Arnold nie krył przed

³² W. Koroluk, I. Miller, M. Misko, *Nauka Polska na VII Zjeździe Historyków we Wrocławiu w 1948 r.*, w: *Zbiór artykułów historycznych o Polsce w literaturze radzieckiej*, red. Ż. Kormanowa, Warszawa 1950, s. 265.

³³ Tamże, s. 266–267.

³⁴ Tamże, s. 268.

zebranych, że konferencja „ma się przyczynić do należytego ustawienia nauki historii w Polsce, w związku z dzisiejszymi wymogami życia”, a te dają się sprowadzić do potrzeb, „jako stoją przed Polską Ludową idącą ku socjalizmowi”. „Inaczej mówiąc – kontynuował, zagajając obrady – chcielibyśmy wysunąć cały szereg momentów i pozycji, które występowały dawniej w naszej historiografii i które jako przeżytki tkwią jeszcze u nas; chcielibyśmy wskazać na ich szkodliwość i jednocześnie wydobyć pewne wskazania na przyszłość, a program nowych prac związać z ogólnym Narodowym Planem Gospodarczym [tzw. sześciolatka – A.W.] i całym nurtem, który wiedzie ku socjalizmowi”. Przytoczone tu sformułowania znamionowały zagęszczanie się ideologiczno-politycznego klimatu w Polsce wczesnych lat pięćdziesiątych. Skądinąd klimat ów wyraził znakomicie utrzymany w konwencji „Demokratycznego savoir-vivre’u” gest Stanisława Arnolda, który do prezydialnego stołu zaprosił „prof. Maleczyńskiego, prof. Wojciechowskiego i przodownika pracy Antoniego Trusiłłę”³⁵.

Sfera ideologii ulegała w tym czasie coraz wyraźniejszej „militaryzacji”. Wyznaczały ją dwa rodzaje walk: „o coś” (np. o pokój, o socjalizm, o naukowy pogląd na świat, o postęp i wolność wszystkich ludów itp.) oraz „z czymś” (np. z imperializmem, kapitalizmem, kolonializmem, wyzyskiem, reakcjonizmem, itd.). Zazwyczaj jednak obie odmiany walk prowadzonych przez „klasę pracującą miast i wsi” łączono ze sobą w ten sposób, że „walka o coś” była zarazem „walka z czymś”. I tak też stało się w wypadku wrocławskiej konferencji historyków, kiedy to główny akcent położono na prowadzoną w duchu marksizmu-leninizmu walkę „z wszelką wrogą ideologią, zarówno nacjonalistyczną jak kosmopolityczną” oraz na internacjonalistyczną przyjaźń z demokratycznymi Niemcami „i wspólną z nimi walkę o pokój”. Dyrektywa „walki” bodaj najwyraźniej uwidoczniła się w referacie Ewy Maleczyńskiej, *Problem polsko-niemiecki w dotychczasowej historiografii polskiej*, a konkretnie w jego partiach poświęconych polsko-niemieckim sporom wokół edycji *Deutschland und Polen*³⁶. Jego autorka z jednej strony chwaliła polskich uczestników tych sporów za zwrócenie uwagi na „wartość rodzimego rozwoju”, z drugiej zaś doszukiwała się u nich nacjonalistycznych, a zarazem kosmopolitycznych inklinacji, mających przejawiać się w stosowaniu analizy i argumentacji „geopolitycznej”, akcentującej znaczenie wpływów obcych. Rozważania Maleczyńskiej zdominował ideologiczny zapał, niezbyt sprzyjający konkluzjom w rodzaju tej, która, odpowiadając na pytanie: „Jakimi oczyma patrzyła na problem polsko-niemiecki historiografia dwudziestolecia?”, orzekała: „Była kontynuacją burżuazyjnego nurtu myśli przy zwiększającym się coraz

³⁵ S. Arnold, *Zagajanie obrad*, „Sobótka” 5, 1950 [1951], s. 2.

³⁶ Zob. rozdz. II niniejszej pracy, a także wcześniejsze fragmenty tego rozdziału.

[bardziej? – A.W.] wpływie burżuazyjnej nauki niemieckiej na naukę polską. To ostatnie stwierdzenie może się wydać paradoksem. Przecież krok za krokiem zbijaliśmy twierdzenia niemieckie, polemizowali o tysiączne szczegóły. Tak. Jednakże odrzucając wyniki przyjmowaliśmy metodę, przyjmowaliśmy sposób myślenia – przeciwstawiając dalej nacjonalizmowi niemieckiemu – polski nacjonalizm, rasizmowi niemieckiemu »ducha dziejów Polski« albo zgoła polski rasizm»³⁷. Przykładem owego „rasizmu” i „skrajnego nacjonalizmu” miało być, według Maleczyńskiej, drugie wydanie *Dziejów Polski* autorstwa Wacława Sobieskiego, a konkretnie zamieszczony w nim fragment informujący, że w końcowym okresie Wielkiej Wojny: „Cała **rasa** anglosaska walczyła teraz z Niemcami na obszarach kuli ziemskiej. Jak z tego widać tej **rasie** Polska zmartwychwstająca ma wiele do zawdzięczenia, zarówno Wilsonowi, jak Balfourowi” (podkr. A.W.)³⁸. Na plus Maleczyńskiej należy zapisać, że zdawała sobie sprawę ze zmieniających się konotacji terminu „rasa”, podkreślając, że pierwsze wydanie trzypięciotomowej syntezy dziejów Polski Sobieskiego wyszło w 1923 r. (właściwie w latach 1923–1925), na minus natomiast – niezbyt piękną sugestię, że wznowiono ją w 1936 r. (właściwie w 1938 r.), „kiedy słowo »rasa« było już używane w znaczeniu bardzo określonym, w czasach hitlerowskiej rasistowskiej propagandy»³⁹. Ów plus zdejmował rasistowskie brzemienie z Sobieskiego, było to bowiem wydanie pośmiertne (autor zmarł w 1935 r., czego nie odnotowała), zarazem jednak nakładał owo brzemienie na szersze grono historyków (czego również nie odnotowała), ponieważ drugie, „rasistowskie” wydanie *Dziejów Polski* Sobieskiego przejrżeli i uzupełnili między innymi Kazimierz Tymieniecki i Władysław Konopczyński. W sumie ideologiczny wywód Maleczyńskiej był wielce naciągany, ale wydaje się, że nie warto wchodzić w to, co było w nim wynikiem ideologicznej potrzeby, a co zwykłej niewiedzy.

3. OTWOCKIE FUNDAMENTY „JEDYNIIE SŁUSZNEJ”

Jeżeli w pierwszych powojennych latach napór „postępowych” idei marksistowskich nie był u nas tak silnie odczuwany, w przeciwieństwie do bezpośredniego przymusu fizycznego (walki i represje ze strony resortów siłowych), mającego na celu stabilizację nowych władz, to po zjeździe zjednoczeniowym PZPR (grudzień 1948 r.) nastąpiło nasilenie „ofensywy ideologicznej”.

³⁷ E. Maleczyńska, *Problem polsko-niemiecki w dotychczasowej historiografii polskiej*, „Sobótka” 5, 1950, s. 9.

³⁸ Cyt. za: tamże, s. 12.

³⁹ Tamże.

Widać to wyraźnie w skali i charakterze większości publikacji Spółdzielni Wydawniczej „Książka i Wiedza”, utworzonej w 1948 r. w wyniku połączenia wydawnictw „Książka” (PPR) oraz „Wiedza” (PPS). To specjalizujące się w literaturze marksistowskiej wydawnictwo już rok później miało na swoim koncie wielokrotne edycje pism Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina, a także marksistów nieco mniejszej miary, takich jak Żdanow, i jeszcze mniejszej, jak Bierut. Z całą pewnością nie do tych ostatnich należał Adam Schaff, który po kilkuletnim pobycie w Moskwie oraz uzyskaniu tam doktoratu powrócił do Polski, gdzie wydał *Wstęp do teorii marksizmu. Zarys materializmu dialektycznego i historycznego*. Praca ta przynosiła klasyczną stalinowską wykładnię marksizmu, w tym dotyczącą relacji państwo – naród. Najkrócej dałoby się ją scharakteryzować następująco – żeby zaistniało państwo musi wcześniej zaistnieć społeczeństwo podzielone na walczące ze sobą klasy wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. „Istotę polityczną” państwa stanowi bowiem to, że jest ono „aparatem” przemocy pozostającym na usługach klasy panującej, oraz to, że ów aparat potrzebny jest tylko tak długo „jak długo społeczeństwo jest rozbite na wrogie i zwalczające się klasy, jak długo istnieje wyzysk i konieczność zmuszania wyzyskiwanych do poddania się wyzyskowi”⁴⁰. Było to ujęcie, które nie pozostawiało cienia wątpliwości, że państwo jest klasowo wrogie „ludowi pracującemu miast i wsi”. Ale tu powstawały niemałe komplikacje ideologiczne, rodziły się bowiem pytania, czy takie państwa jak ZSRS lub Polska Ludowa również należy traktować jako przejaw dziejowego zła? Co myśleć o dyktaturze proletariatu? Jak ustosunkować się do anarchii?, itp., itd. Kreml dostrzegł to niebezpieczeństwo i szybko zareagował, podobnie jak władze Polski Ludowej, dzięki czemu już w 1950 r. ukazało się u nas tłumaczenie dziewięciu listów Stalina, które kilka miesięcy wcześniej (czerwiec–sierpień) opublikowane zostały na łamach moskiewskiej „Prawdy”. Zbiorowi temu nadano wspólny tytuł, dzięki czemu powstało jedno, zwarte wydawnictwo, o trudnej podówczas do zakwestionowania, z uwagi na postać jego autora, doniosłości.

Niewielka, licząca nieco ponad dwadzieścia stron broszura, zatytułowana *Marksizm a zagadnienia językoznawstwa*, stała się na kilka lat przedmiotem wzmoczonych analiz oraz źródłem mniej lub bardziej szczerych inspiracji humanistów-marksistów, w przypadku zaś historiografii polskiej – jedną z najczęściej cytowanych publikacji podczas Pierwszej Konferencji Metodologicznej Historyków Polskich, która odbyła się przy współudziale gości z ZSRS 28 grudnia 1951 r. – 12 stycznia 1952 r. w Otwocku. Była to edycja, która korygowała dotychczasowy stalinowski model

⁴⁰ A. Schaff, *Wstęp do teorii marksizmu. Zarys materializmu dialektycznego i historycznego*, wyd. 5 popr. i uzupeł., Warszawa 1950, s. 233–234.

historiografii, ukształtowany w swym zasadniczym zrębie jeszcze w latach trzydziestych XX w.⁴¹

Warto w tym miejscu przypomnieć, że według doktrynalnej wersji materializmu historycznego na początku i końcu łańcucha przekształceń historycznych umieszczone były formacje bezklasowe, w których środki produkcji należały do wszystkich – wspólnota pierwotna i komunizm, czy też socjalizm, rozumiany nierzadko jako pierwsze stadium komunizmu. Były to zarazem formacje bezpaństwowe – we wspólnocie pierwotnej państwo w swej klasycznej postaci było jeszcze nieznanne, natomiast w bezklasowej ostateczności zwanej komunizmem mogło być ono jedynie wspomniane jako „obumarły” przejaw dramatycznej, uwikłanej w walki klasowe przeszłości. Jeżeli jednak odrzucić ekstremy początku (wspólnoty pierwotnej) i trwania ostatecznego (komunizmu), to cały zawarty między nimi przedział wypełniały formacje, które bez państwowego składnika nadbudowy obyć się nie mogły, a mianowicie: niewolnictwo, feudalizm, kapitalizm oraz czasami, ze względu na swój mieszany status, socjalizm. To było istotne *novum*, które przynosiło dzieło o językoznawstwie. Wprawdzie w wyniku rewolucji socjalistycznej państwo, zgodnie z tym, co w *Anty-Dühringu* mówił Engels, powinno obumrzeć, ale „marksiści radzieccy – jak obwieszczał to Stalin – na podstawie analizy sytuacji światowej w naszym okresie, doszli do wniosku, że wobec otoczenia kapitalistycznego, gdy zwycięstwo rewolucji socjalistycznej ma miejsce tylko w jednym kraju, a we wszystkich innych krajach panuje kapitalizm, kraj zwycięskiej rewolucji powinien nie osłabiać, lecz wszelkimi sposobami wzmacniać swoje państwo, organa państwa, organa wywiadu, armię, jeśli kraj ten nie chce być rozgromionym przez otoczenie kapitalistyczne. Rosyjscy marksiści doszli do wniosku, że formuła Engelsa ma na względzie zwycięstwo socjalizmu we wszystkich krajach lub większości krajów, że nie da się jej zastosować do wypadku, gdy socjalizm zwycięża w jednym z osobna wziętym kraju, we wszystkich zaś innych krajach panuje kapitalizm”⁴². Ten fragment rozważań Stalina o „językoznawstwie” nie został jednak przytoczony w trakcie konferencji otwockiej. Być może dlatego, by uniknąć refleksji, że przodujący kraj socjalizmu nie mógł się obyć bez najostrzejszych form państwowego przymusu, mającego na celu jak najszybsze wyzwolenie ludu pracującego nie od czego innego tylko od... państwowego przymusu właśnie. Była to zapewne jedna z najbardziej intelektualnie dramatycznych w swych

⁴¹ Andrzej Feliks Grabski kolejne kulminacje (dyskusje, starcia polityczne, represje) związane z kształtowaniem się stalinowskiego modelu historiografii sytuował głównie na lata 1931, 1934, 1938, pomijając tym samym fazę powojenną, dla której szczególne znaczenie miał właśnie *Marksizm a zagadnienia językoznawstwa*; por. A.F. Grabski, *Stalinowski model historiografii*, „Dzieje Najnowsze” 24, 1992, s. 23–45.

⁴² J. Stalin, *Marksizm a zagadnienia językoznawstwa*, Warszawa 1950, s. 20.

kolejnych odsłonach, bo, jak to określam, najbardziej zapętłona w odniesieniu do wartości postać marksistowskiego historyzmu.

W sumie można powiedzieć, że w dojrzałym modelu stalinowskim – tym, który dopełnił się w głośnym „dziele” o językoznawstwie – nie ma jednoznacznej hierarchizacji wartości narodowych i państwowych. I jedne, i drugie mogły oscylować między złem a dobrem. W perspektywie teoretycznej państwo było jednoznacznie złe, po prostu uciskało czy też gnębiło, natomiast w perspektywie różnych zawężeń historycznych mogło być dobre, a nawet bardzo dobre. Podobnie jak dobry okazał się naród, który wraz ze swym językiem został usytuowany przez Stalina poza nadbudową. Kiedy jednak naród stawał się pożywką dla nacjonalizmu i szowinizmu, rzecz prosta, doktryna stawiała go po stronie zła. Można się zastanawiać, czy taka aksjologia obrotowa, odnoszona do rudymenarnych dla historyka kategorii pojęciowych „państwa” i „narodu”, sama w sobie jest dobra czy zła, brzydka czy piękna, logiczna czy nielogiczna, ale są to już nieco zdezaktualizowane wyżyny marksistowskiego wartościowania dziejów.

W trakcie konferencji otwockiej zasady rozwinięte przez Stalina przybliżył historykom polskim Piotr Tretiakow, wyjaśniając między innymi, co oznacza baza (ustrój ekonomiczny społeczeństwa), a co nadbudowa, która jest „najpotężniejszym narzędziem walki klasowej”, i że ta ostatnia, składająca się w głównej mierze z państwa, wprawdzie nie mogła w przeszłości zmienić kierunku ogólnego biegu procesu historycznego, „ale mogła przyspieszyć lub zahamować ten proces”. W ten sposób państwo spełniało doniosłą rolę „w okresie przechodzenia jednej formacji społeczno-ekonomicznej w drugą”⁴³. Ale taka formuła nie wyjaśniała całokształtu zagadnienia i mimo że państwo pełniło funkcję katalizatora przejść międzyformacyjnych, to jednak nie na nie położył teraz nacisk Stalin, lecz na naród, wskazując między innymi, że język nie należy ani do bazy, ani do nadbudowy i nie ma charakteru klasowego (krytyka poglądów Nikołaja J. Marra i jego zwolenników). Tretiakow zwracał uwagę, że dojrzałe pojmowanie stalinowskiej teorii narodu stawia przed nauką historyczną cztery główne zadania: „a) zbadanie problemu etnogenezy, b) oświetlenie procesu tworzenia się średniowiecznych narodowości, c) oświetlenie procesu powstawania narodów burżuazyjnych i wreszcie d) zbadanie procesu rozpadania się tych narodów i powstawania na ich miejsce nowych narodów socjalistycznych”⁴⁴. Takie ujęcie godziło w stereotyp marksistowskiej aksjologii, która w imię internacjonalistycznego

⁴³ P. Tretiakow, *Znaczenie prac Józefa Stalina o zagadnieniach językoznawstwa dla nauki historii*, w: *Pierwsza Konferencja Metodologiczna Historyków Polskich: przemówienia, referaty, dyskusja*, t. 1, Warszawa 1953, s. 70.

⁴⁴ Tamże, s. 72.

hasła „proletariusze wszystkich krajów łączcie się” przeciwstawiała się „nacionalizmowi i szowinizmowi”, a zarazem „burżuazjnému” kosmopolityzmowi jako siłom wrogim proletariackiej, „ponadnarodowej” jedności. Okazywało się, że w stalinowskim modelu marksizmu kwestie narodowe mogły zyskiwać nie mniejsze sacrum postępowości niż walka klas⁴⁵. Co innego z modelem z *Manifestu komunistycznego*, gdzie proletariat, jak wiadomo, „nie ma ojczyzny”.

Zarysowując stalinowską wersję teorii narodu, Tretiakow przeciwstawiał się błędnemu jakoby rozumieniu kategorii „narodowości” przez uczonych burżuazyjnych, niepotrafiących odróżnić tego pojęcia od pojęcia „narodu”. Jego zdaniem: „Uczeni burżuazyjni nie widzieli żadnej różnicy między narodowością rosyjską i narodem rosyjskim, między narodowością polską i narodem polskim”⁴⁶. Przeciwnie natomiast miało być z nauką marksistowską, która „zawsze” dostrzegała różnice między tymi dwoma kategoriami **ludzkich wspólnot**. Historyczne następstwo, a zarazem hierarchię owych wspólnot wyznaczały dlań: plemię, narodowość, naród burżuazyjny i naród socjalistyczny. Nie rozwijając szerzej tego wątku, warto jednak nadmienić, że termin „narodowość” występował w leksykografii polskiej już na początku wieku XIX (słownik Lindego), a zatem nie tylko przed zaistnieniem stalinowskiej wykładni marksizmu, lecz w ogóle marksizmu jako takiego. Nie oznaczał on wówczas ani **wspólnoty ludzkiej** utożsamianej z narodem, ani też swego rodzaju nie w pełni ukształtowanego narodu, lecz **cechę** określoną jako „narodową właściwość, którą się jeden naród od drugiego różni”⁴⁷, czyli miał funkcję, którą w klasycznej strukturze definicji pełni *differentia specifica*. I tak było przez cały wiek XIX, choć już w ostatnich jego dziesięcioleciach „narodowościami” zaczęto nazywać również narody bezpieczeństwa i niezajmujące wyodrębnione terytorium. Jednak to ostatnie znaczenie jeszcze w słowniku Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwiedzkiego (1904) podawane było dopiero na drugim miejscu. Pierwsze przypadało zaś rozwiniętej wprawdzie do syndromu właściwości narodowych, ale utrzymanej w dawnej konwencji,

⁴⁵ W odniesieniu do historiografii krajów Europy Środkowo-Wschodniej dostrzegł to Maciej Górny, który pisał: „Wspólną cechą charakterystyczną polskiej, wschodniemieckiej, czeskiej i słowackiej marksistowskiej wizji dziejów było przede wszystkim podporządkowanie jej optyce narodowej. Najwyraźniej widoczne jest to w dwóch ostatnich przypadkach, gdzie marksiści przyjęli w znacznym stopniu sposób myślenia budzicieli narodowych. Schemat, w którym »narodowe« średniowiecze poprzedza mało w istocie interesujący okres nowożytny prowadzący do kolejnej »narodowej« epoki: wieku XIX, był zresztą obecny także w pracach polskich i niemieckich. Nowożytność traktowano z reguły jako nazbyt kosmopolityczną, nienarodową, by mogła stać się ważnym źródłem postępowych tradycji”; tenże, *Przed wszystkim ma być naród. Marksistowskie historiografie w Europie Środkowo-Wschodniej*, Warszawa 2007, s. 414–415.

⁴⁶ P. Tretiakow, dz. cyt., s. 74.

⁴⁷ S.B. Linde, *Słownik języka polskiego*, t. 2, cz. 2, Warszawa 1809, s. 252.

definicji określającej „narodowość” nie jako **grupę społeczną**, lecz jako **cechę** czy też **zbiór cech** przypisywanych określonemu narodowi⁴⁸.

Jak widać, spostrzeżenia, którymi dzielił się Tretiakow na temat niwelującej jakoby różnice między narodem i narodowością historiografii burżuazyjnej, bardzo trudno byłoby odnieść do polskiej historiografii i myśli historycznej. I to tym bardziej że w dwudziestoleciu międzywojennym mieliśmy do czynienia z najprzeróżniejszymi ujęciami relacji naród – narodowość. By sprawy nie komplikować, ograniczyć się tu wypadnie do przypomnienia, że Marceli Handelsman, historyk o wysokiej kulturze teoretyczno-metodologicznej, a zarazem jeden z najlepszych polskich znawców problematyki narodowej, posługiwał się zamiennie terminami „narodowości” i „świadomości narodowej”, co więcej, wbrew naszej tradycji postrzegał „dojrzałą”, nowoczesną postać narodowości jako zespół cech lub elementów, który od strony formalnej upodabnia, a nie różnicuje poszczególne narody⁴⁹. W sumie bogactwo sposobów rozumienia kategorii narodowości w historiografii polskiej XIX i XX w. sprawiało, że polscy historycy „burżuazyjni” mogli z czystym sumieniem postawić się poza sferą uczonych krytykowanych przez Tretiakowa⁵⁰. Warto dodać, że rozbieżności dotyczące konotacji tego terminu utrzymywały się jeszcze w dobie PRL i obecne są również współcześnie.

Na konferencji otwockiej najważniejsze jednak aspekty teoretyczne związane z naświetleniem genezy państw i narodów w duchu materializmu historycznego uwidoczniły się w rozważaniach na temat feudalizmu. Instruktażowy pod tym względem referat wygłosił akademik Borys Grekow, uchodzący za najwybitniejszego eksperta, a zarazem wdrażacza (adaptatora?) myśli teoretycznej Stalina do badań nad narodzinami feudalizmu w Rosji. *Casus* rosyjski ze względu na etniczną, terytorialną i ogólnie historyczną bliskość słowiańskich narodów Europy Wschodniej i Środkowo-Wschodniej miał dla historyków polskich szczególną wymowę. Jej rangę podnosił fakt, że nauka Kraju Rad znacznie wcześniej oraz intensywniej od polskiej mogła szukać urzędowo zalecanych inspiracji w pismach klasyków marksizmu i samego

⁴⁸ Zgodnie z nim narodowość to „ogół właściwości, odróżniających jeden naród od drugiego, cechy narodowe, odrębność narodowa”; zob. *Słownik języka polskiego*, t. 3, red. J. Karłowicz, A. Kryński, W. Niedźwiedzki, Warszawa 1904, s. 147.

⁴⁹ Pisał on m.in.: „A jednak mamy do czynienia z narodowością jako czymś niezaprzeczenie jednakowym, o zasadniczo jednakowych cechach i jednakowej wartości w dziejach nowoczesnych, niezależnie od czasu dojrzwania tego zjawiska w związku z postęпами demokratyzacji u poszczególnych grup narodowych”; zob. M. Handelsman, *Rozwój narodowości nowoczesnej*, oprac. i wstęp T. Łepkowski, Warszawa 1973, s. 26.

⁵⁰ W czasie konferencji otwockiej problematyce narodu poświęcili swe wystąpienia: Natalia Gąsiorowska, Tadeusz Lehr-Spławiński, Aleksander Gieysztor, Henryk Łowmiański, Brygida Kürbisówna, Ewa Małczyńska, Karol Małczyński; zob. *Pierwsza Konferencja Metodologiczna Historyków Polskich: przemówienia, referaty, dyskusja*, t. 2, Warszawa 1953.

Stalina, którego dzieło *Marksizm a zagadnienia językoznawstwa*, mówiąc słowami Grekowa, stanowiło „potężny bodziec do ponownego teoretycznego przemyślenia wielu zagadnień historycznych, a zwłaszcza problemu feudalizmu w Rosji”⁵¹. Prawdę mówiąc, w państwie „zwycięskiego proletariatu” czerpanie z „marksistowskich inspiracji” nie tylko było zalecane, ale wręcz nakazywane. Wszystko to sprawiało, że w dziele transferu „najlepszych naukowych wzorców” mentorzy z Kraju Rad nie mieli sobie równych.

A jednak Grekow nie mógł zaskoczyć historyków polskich, stwierdzając, że wobec znikomości, a często zupełnego braku źródeł pisanych w dociekaniach nad początkami państw słowiańskich niezbędne jest oparcie nauki historycznej na badaniach archeologicznych. Był to postulat dawno u nas artykułowany i ponawiany, a po II wojnie światowej coraz wyraźniej wprowadzany w życie, co między innymi znalazło wyraz w trakcie obrad VII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w 1948 r. oraz w utworzeniu w tymże roku (formalnie dopiero 3 kwietnia 1949 r.) instytucji o nazwie Kierownictwo Badań nad Początkami Państwa Polskiego, mającej na celu koordynację prac badawczych, zwłaszcza archeologicznych i edytorskich, organizację konferencji naukowych, prace nad podręcznikiem uniwersyteckim itp.⁵² Kierownictwo Badań, na którego czele stał Aleksander Gieysztor, istniało do 1954 r., kiedy to powstał Instytut Historii Kultury Materialnej PAN. Nowa placówka, obejmując między innymi dotychczasowy zakres działalności Kierownictwa Badań, przejęła również „archeologiczną” część planowanego podręcznika, przygotowywanego przez Instytut Historii PAN.

Ukazując, w jaki sposób archeologowie mogą włączyć się do badań nad genezą feudalizmu, a tym samym nad procesem wyodrębniania się pierwszych organizacji politycznych na Rusi oraz ukształtowanego w IX w. państwa kijowskiego, Grekow zwracał uwagę na to, że jeżeli początkowo (od I w. n.e.) Słowianie, będąc w fazie „rozwinętego ustroju rodowego”, zamieszkiwali duże, nieobwarowane wsie, to później (w VII w.) spotyka się również osady umocnione. „Nietrudno domyślić się o co tutaj chodzi – kontynuował swe rozważania Grekow. – To bogaty i mocny politycznie właściciel ziemski, panujący nad masą chłopskiej ludności, fortyfikuje swą siedzibę, zna bowiem wrogi stosunek do siebie otaczającej go masy. [...] Wiemy, że bogaci właściciele ziemscy nie zajmowali się bezpośrednio pracą produkcyjną, że pracowali na nich nie tylko niewolnicy, ale i chłopi-smerdowie, którzy popadli

⁵¹ B. Grekow, *Geneza feudalizmu w Rosji w świetle nauki Józefa Stalina o bazie i nadbudowie*, w: tamże, t. 1, s. 198.

⁵² Opisowe podsumowanie przerwanych przez II wojnę światową wcześniejszych prac archeologicznych zawarł J. Kostrzewski w: *Kultura prapolska*, Poznań 1947 (wyd. 2: 1949).

w zależności w różny sposób. W przedklasowym społeczeństwie nazywano smerdami w ogóle ludzi wolnych. W społeczeństwie klasowym znaleźli się oni w dole hierarchii społecznej, poniżej bojarów. Udowodnili to już filologowie Šafarik i Szachmatow⁵³. W tak opisanej transformacji społeczeństwa bezklasowego w klasowe, poprzedzonej okresem przejściowym, którego charakter w ocenie Grekova „najlepiej” określił Stalin, nadając mu nazwę „okresu półpatriarchalnego-półfeudalnego”, historyk sowiecki odwoływał się w istocie do jednej tylko konstatacji archeologicznej, mówiącej o tym, że w pewnym momencie dziejowym wśród Słowian obok osad „otwartych” pojawiły się również ufortyfikowane. Reszta to domysły wysnute z teorii materializmu historycznego lub hipotez sformułowanych przez... filologów. Trudno przypuszczać, by narracja typu „wiemy, o co tu chodzi” i odwołująca się do bynajmniej nie wykopaliskowej kategorii chłopów-smerdów, którzy „utracili swą dawną wolność” i znaleźli się na dole hierarchii społecznej, „poniżej bojarów”, mogła przemówić na rzecz archeologii i wypełnić luki wynikające z braku lub niedostatku źródeł pisanych. Nie musiała jednak, ponieważ, jak wiadomo, historycy polscy od badań archeologicznych bynajmniej nie stronili. A luki wypełniała teoria⁵⁴.

Wśród historyków, i to bez względu na to, do jakiego stopnia przyjmowali oni założenia „jedynie naukowej” teorii, panowała na ogół zgoda, że w historii zarówno Germanów, jak i Słowian nie odnotowano klasycznej formacji niewolniczej. Tym tropem szedł również Grekow, który wprawdzie daleki był od twierdzenia, że Słowianom niewolnictwo było w ogóle nieznanne, akcentował jednak, że nie miało ono „formacyjnego” charakteru. Oczywiście nawet na Rusi istnieli niewolnicy, jednak była to całkiem inna, łagodniejsza forma wyzysku, a mianowicie „niewolnictwa patriarchalnego”. Grekow powoływał się tu między innymi na przekaz Pseudo-Maurycego, który w *Strategikonie* opisywał specyficzny stosunek Słowian do jeńców, polegający na tym, że po wyznaczonym okresie niewolniczej pracy obdarzano ich wolnością i mogli albo powrócić do domu, albo pozostać „jako ludzie wolni i przyjaciele”. Historyk sowiecki nie miał wątpliwości, że „położenie jeńca u Słowian różniło się zasadniczo od losu jeńca w Bizancjum. U Słowian nie robiono z niego niewolnika. Próby jednak zatrzymania jeńca »na czas określony« albo otrzymania za niego okupu itd. świadczą, że wewnątrz społeczeństwa słowiańskiego istniały już elementy socjalne gotowe wykorzystać

⁵³ B. Grekow, dz. cyt., s. 200.

⁵⁴ Na temat złudzeń niektórych marksistów co do metodologicznej poprawności wysnuwania z teorii materializmu historycznego „faktów pozaźródłowych” pisałem w: *A kiedy źródeł zabraknie? Kartki z dziejów historiografii PRL*, w: *Historyk wobec źródeł. Historiografia klasyczna i nowe propozycje terminologiczne*, red. J. Kolbuszewska, R. Stobiecki, Łódź 2010, s. 131–140.

przebywanie jeńców dla swoich interesów”⁵⁵. Innymi słowy, według Grekowa wśród Słowian istniały jakieś zaczątki (przesłanki) klasycznego niewolnictwa, nigdy jednak nie uzyskały one swej pełnej formacyjnej postaci i Słowianie wkroczyli w fazę feudalną prosto z wyniesionego ze wspólnoty pierwotnej ustroju rodowo-patriarchalnego.

Cytując obficie Engelsa, Grekow eksponował szczególną rolę germańskich i słowiańskich „barbarzyńców” w rozwoju historycznym Europy. Snuł przy tym refleksję na temat wyższości „barbarzyńskich” stosunków społecznych nad panującymi w Rzymie i Bizancjum, i dlatego zapewne germańską i słowiańską barbarzyńskość ujmował niemal niezmiennie w cudzysłów. Istotę jego wywodu doskonale oddają następujące słowa: „»Barbarzyńcy« zburzyli rzymskie państwo niewolnicze, oczywiście nie po to, aby na jego ruinach stwarzać nowy ustrój oparty na niewolnictwie. »Barbarzyńcy« rozwinęli i uczynili panującą pańszczyźnianą formę zależności, która istniała już w ich ojczyźnie i była łagodniejsza niż niewolnictwo [...] dzięki czemu Europa mogła zrobić ogromny krok naprzód mimo że »barbarzyński« ustrój życia był pod pewnymi względami prymitywniejszy [...]. **Prosty lud rzymski połączył się z »barbarzyńcami-zwycięzcami« i utworzył wspólnie z nimi państwo nowego już typu – państwo feudalne**” (podkr. A.W.)⁵⁶. Warto zwrócić uwagę na te słowa – odzwierciedlają one skalę interpretacyjnych trudności wyłaniających się przed historykami skrzepowanymi rygorami „nauki Józefa Stalina o bazie i nadbudowie”, w tym o „wewnętrznej”, będącej wynikiem walki klas, nie zaś obcego podboju, genezie państw. W wypadku Rzymu powstawał kłopot, ponieważ zasługi utworzenia państwa nowego typu nie można było przypisać czynnikowi „zewnątrznemu”, jakimi byli „zwycięzcy barbarzyńcy”, czynnik ten można było jednak, przynajmniej częściowo, uwewnętrznić i „usamorodnić” poprzez stwierdzenie, że ci, którzy przyszedli z zewnątrz, działali wspólnie z „prostym ludem rzymskim”. Skądinąd ten schemat interpretacyjny okazywał swą przydatność nie tylko w odniesieniu do feudalnej przeszłości, ale i do historii bardzo blisko wchodzącej w teraźniejszość, kiedy to Armia Czerwona, współdziałając z polskim ludem oraz z innymi „demoludami”, miała im wszystkim jedynie „pomagać” w budowie państw nowego typu.

Na początku lat pięćdziesiątych zasługi Grekowa dla ugruntowania poglądu o endogenicznym formowaniu się państw, w tym związków politycznych, których ukoronowaniem było powstanie państwa kijowskiego, podnoszone były zarówno w ZSRS, jak i w jego państwach satelitarnych. Oczywiście *signum temporis* przejawiało się w tym, że ukłony w stronę Grekowa kierowano po uprzednim złożeniu hołdów autorowi rozważań

⁵⁵ B. Grekow, dz. cyt., s. 291.

⁵⁶ Tamże, s. 205–206.

na temat „marksizmu w językoznawstwie”. W 1952 r. sowieckie obchody siedemdziesięciolecia urodzin Grekova uświetniono wydaniem w Moskwie książki pamiątkowej, którą w 1953 r. na łamach „Kwartalnika Historycznego” zrecenzował Jerzy Topolski. Charakteryzując poglądy jubilata, pisał on między innymi: „W wyniku uwarunkowanych rozwojem sił wytwórczych procesów różnicowania klasowego na tle wzrastania elementów feudalnych powstają u Słowian organizacje państwowe. Te twory polityczne oddziałują z kolei na bazę, wzmacniając własność feudalną oraz ekonomiczne i polityczne znaczenie feudałów. Prace Stalina o marksizmie w językoznawstwie ukazały historykom radzieckim nowe perspektywy także dla poglądów na tworzenie się państwa staroruskiego. W świetle nowych danych, w szczególności archeologicznych, początki okresu przedfeudalnego, kiedy u Słowian Wschodnich kształtowało się społeczeństwo klasowe i państwowość, można odnieść do przełomu VI i VII wieku n.e. (np.) związek dulebski. W takim ujęciu Ruś kijowska nie może być uważana za pierwsze państwo Słowian wschodnich. Rozbija to resztki błędnych pojęć związanych z »teorią normańską« pochodzenia państwa ruskiego. Badania ostatnich dziesięcioleci ukazują Ruś kijowską IX–X wieku jako państwo potężne o wysokiej jak na owe czasy kulturze”⁵⁷. Topolski, być może z jubileuszowej kurtuazji, nie napomknął, że droga Grekova do endogenicznej koncepcji narodzin Rusi Kijowskiej nie była zbyt prosta. Polski znawca dziejów Rosji, jakim był pozostający po II wojnie światowej na emigracji Henryk Paszkiewicz, w swym dziele poświęconym początkom Rusi (*The Origin of Russia*, London 1954)⁵⁸ wytknął Grekowowi dość gwałtowną zmianę zapatrywań. Oto w 1940 r. historyk ten miał wyrażać przekonanie, że dowodów, na które powoływali się zwolennicy normańskiej koncepcji genezy państwa staroruskiego, „nigdy nie będzie można całkowicie zniweczyć”, ponieważ „za wiele jest niezbitych faktów wydobytych przez tę szkołę”, natomiast już dwa lata później tezy normanistów uznał za dzieło „faszystowskich fałszyfikatorów historii”. Polski historyk historiografii, Mirosław Filipowicz, komentując ową gwałtowną transformację poglądów Grekova, pisał: „Pominąwszy już groteskowy skądinąd fakt, że »faszystami« (jak rozumiemy, faszystami *avant la lettre*) musieliby być nie tylko niemieccy historycy osiemnastowieczni, ale i twórcy rosyjskiej historiografii, warto zastanowić się nad przyczynami tej zdumiewającej w swej szybkości ewolucji poglądów Grekova. Piszącego te słowa przekonuje wyjaśnienie dane przez Paszkiewicza: pierwszą z opinii

⁵⁷ J. Topolski, *Z zagadnień kształtowania się i rozwoju feudalizmu (księga pamiątkowa poświęcona 70-leciu B. Griekowa)*, Moskwa 1952, „Kwartalnik Historyczny” 60, 1953, 2, s. 225.

⁵⁸ Wydanie z polskiego rękopiśmiennego oryginału opatrzone przedmową Jerzego Wyrozumskiego: H. Paszkiewicz, *Początki Rusi*, z rkpsu przyg. K. Stopka, Kraków 1996.

Grekow wypowiedział po traktacie Ribbentrop-Mołotow, drugą – już w czasie wielkiej wojny »ojczyźnianej«⁵⁹. Korzystając z okazji, wypadnie jedynie dopisać się do listy osób przekonanych, że zmiana klimatów i sojuszy politycznych najpierw po sierpniu 1939 r., a później po czerwcu 1941 r. miała podstawowe znaczenie dla kolejnych zwrotów w poglądach oficjalnej nauki sowieckiej na powstanie państwa staroruskiego, ukazywane już to przy uwzględnieniu, już to przy całkowitej negacji podbojowego „czynnika germańskiego”.

4. MARKSISTOWSKA HISTORIA HISTORIOGRAFII WOBEC BADAŃ NAD POCZĄTKAMI PAŃSTWA POLSKIEGO

Nigdy wcześniej badania nad początkami państwa polskiego nie wzbudzały takiego zainteresowania jak po II wojnie światowej. Wprawdzie zintensyfikowały się one już w okresie międzywojennym, by przypomnieć polsko-niemieckie kontrowersje wokół edycji *Deutschland und Polen*, ale dopiero dwie cechy „nowej ludowej rzeczywistości” nadały tym badaniom szczególne znaczenie. Pierwsza to fakt, że satelitarne w stosunku ZSRS państwo zamknięto w granicach, które w stosunku do obszaru II Rzeczypospolitej okrojono na wschodzie, a poszerzono na zachodzie, co łączono z powrotem do „sprawiedliwej historycznie” idei Polski piastowskiej i odcięciem się od „niesprawiedliwej ekspansji wschodniej”, związanej z ideą Polski jagiellońskiej. Druga natomiast to monopolistyczna niemal w PRL pozycja teorii marksistowskiej, traktującej państwo jako element nadbudowy, właściwej formacjom ekonomiczno-społecznym o charakterze klasowym oraz formacjom występującym w okresach „przejściowych”. Oba te uwarunkowania: pierwsze – o charakterze ideologiczno-politycznym i drugie – o charakterze teoretycznym, sprzyjały tezie o feudalnie samorodnych narodzinach piastowskiego państwa. Warto przy tym pamiętać, że była to teza, która wykluczając sprawczy charakter czynnika germańskiego, trafiała u nas na klimat szczególnie podatny – z jednej strony przygotowany w toku polsko-niemieckich sporów z lat trzydziestych XX w., z drugiej zaś emocjonalnie wzmocniony i zaktualizowany przez traumę wojny, okupacji, a przede wszystkim eksterminacji ludności II RP.

Na początku lat pięćdziesiątych w badaniach nad początkami polskiego państwa poczesne miejsce zajęła refleksja z zakresu historii historiografii. Z jednej strony skłaniała do niej potrzeba odnalezienia się w nowej

⁵⁹ M. Filipowicz, Henryk Paszkiewicz. *O polskim wkładzie do teorii normańskiej i badań nad genezą państwa moskiewskiego*, „Roczniki Humanistyczne” 48, 2000, 2, s. 125.

rzeczywistości i dokonania bilansu w dziedzinie tak newralgicznej jak dzieje polskiej państwowości, z drugiej fakt, że był to czas, w którym formowała się nowa specjalizacja, jaką w stosunku do wcześniej wyodrębnionych dziedzin historii była właśnie historia historiografii, na obszar której historycy wkraczali wcześniej bardzo rzadko i na ogół w sposób wielce schematyczny. Wielu głosiło, iż funkcję tej dziedziny spełniają standardowe charakterystyki „stanu badań” wpisane w paradygmat naukowych tekstów historycznych, w związku z czym wszyscy twórcy tych tekstów są i tak „w jakimś sensie” historykami historiografii. Nie ma potrzeby wykazywać, że upływ czasu zdezwauował takie postawy, warto jednak zwrócić uwagę, iż oba wyróżnione tu elementy, z których pierwszy dałoby się określić, oczywiście w znacznym uproszczeniu, mianem „politycznego”, a drugi „naukowego”, wyznaczały pola aktywności Mariana Henryka Serejskiego – przed wojną wyróżniającego się mediewisty i historyka idei ze szkoły Handelsmana, a zarazem socjalistypaństwowca, związanego z takimi organizacjami jak Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, POW, PPS (w czasie II wojny PPS-WRN) oraz z Ministerstwami Spraw Wojskowych i Spraw Zagranicznych, dla których opracowywał studia i ekspertyzy, dotyczące głównie aktualnej sytuacji politycznej II Rzeczypospolitej. Po II wojnie światowej Serejski skoncentrował się niemal wyłącznie na budowaniu fundamentów polskiej historii historiografii, przy czym do rzędu zagadnień pierwszoplanowych zaliczył sporządzenie przeglądowego ujęcia dotychczasowych badań nad początkami polskiego państwa. W ten sposób jego drogi zeszyły się z drogami Aleksandra Gieysztor, stojącego na czele Kierownictwa Badań nad Początkami Państwa Polskiego. Skądinąd nie po raz pierwszy, wcześniej bowiem, jeszcze przed wojną, obaj historycy uczestniczyli w seminarium „karolińskim” (mediewistycznym) Handelsmana⁶⁰.

Rok 1952 zamykał w istocie czteroletni okres prac prowadzonych w ramach Kierownictwa Badań nad Początkami Państwa Polskiego. Uczestnicy czwartej konferencji sprawozdawczej tego afiliowanego przy Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków załączka instytutu naukowego⁶¹, która odbyła

⁶⁰ Szerzej na ten temat pisałem m.in. w: *Marian Henryk Serejski jako animator polskiej historii historiografii po II wojnie światowej*, w: *Historia historiografii i metodologia historii w Polsce i na Ukrainie*, red. J. Maternicki, J. Pisulińska, L. Zaskilniak, Rzeszów 2015, s. 37–50.

⁶¹ Instytutowe aspiracje Kierownictwa Badań nad Początkami Państwa Polskiego potwierdza m.in. jego struktura organizacyjna, w ramach której wyodrębnione zostały: Pracownia Edytorska, Pracownia Atlasu Wczesnośredniowiecznego, Pracownia Paleobotaniczna, Pracownia Antropologiczna oraz Pracownia Inwentaryzacji Grodzisk. Planowano utworzenie Pracowni Numizmatycznej. W ramach niektórych pracowni centralnych istniały również placówki terenowe (agendy); zob. T.W., *Konferencja sprawozdawcza Kierownictwa Badań nad Początkami Państwa Polskiego*, „Kwartalnik Historyczny” 60, 1953, 1, s. 316–318; szerzej na ten temat: B. Noszczak, „Sacrum” czy „profanum”? *Spór o istotę obchodów Milenium polskiego*

się w grudniu 1952 r. w Sopocie, wiedzieli, że już wkrótce „patronat” nad ich działalnością przejęty zostanie przez dwie nowo tworzone placówki Polskiej Akademii Nauk – Instytut Historii Kultury Materialnej oraz Instytut Historii. Owo „przejęcie patronatu” oznaczało praktycznie kres istnienia Kierownictwa Badań, co też nastąpiło w końcu 1953 r.

Trudno się dziwić, że właśnie z kręgu osób mniej lub bardziej związanych z Kierownictwem Badań nad Początkami Państwa Polskiego wyszły pierwsze teksty będące próbami spożytkowania marksistowskich inspiracji teoretycznych w badaniach nad miejscem czynnika „podbojowego” w genezie polskiego państwa. Były to próby, które jeśli nie całkowicie, to przynajmniej w znacznej mierze poddawały krytycznemu osądowi dotychczasowy dorobek naszej historiografii. Podobnie było po I wojnie światowej, kiedy to historycy również mieli poczucie rozpoczynania „nowego etapu”, jakkolwiek ów nowy etap nie był wówczas utożsamiany ani z monopolem marksistowskiej, ani jakiegokolwiek innej wykładni dziejów. Mimo szczytnego pluralizmu teoretyczno-metodologicznego trudno jednak powiedzieć, by w międzywojennym dwudziestoleciu historia historiografii uległa autonomizacji jako wyodrębniona dziedzina nauk historycznych. Natomiast po II wojnie światowej, gdy w Polsce Ludowej poczęło narastać zjawisko swoistej „sakralizacji” marksizmu, dla wyodrębniającej się coraz wyraźniej historii historiografii powstał klimat dość sprzyjający. Ekspozowana w marksistowskiej teorii i metodologii nauki zasada walki z „błędami przeszłości” dawała historii historiografii szansę szczególną. Takie, z grubsza, były okoliczności, w których Serejski otworzył swym referatem wspomnianą tu już sopocką konferencję sprawozdawczą.

MARIAN HENRYK SEREJSKI – PREKURSOR
BADAŃ HISTORIOGRAFICZNYCH NAD HIPOTEZĄ PODBOJU

Można byłoby się spodziewać, że w stanowiącym rozwinięcie tego referatu studium *Z zagadnień genezy państwa polskiego w historiografii (o tzw. teorii podboju)*, które już kilka miesięcy później zostało opublikowane na łamach „Kwartalnika Historycznego”⁶², zaangażowanie jego autora w zachodzące w owych latach procesy marksistowskiej reorientacji polskiej historiografii będzie szczególnie widoczne, choćby ze względu na jego wcześniejsze związki z ruchem socjalistycznym i przystąpienie w 1948 r. do Marksistowskiego Zrzeszenia Historyków. I rzeczywiście, w tekście Serejskiego napotykamy na fragmenty utrzymane w konwencji metodologiczno-teoretycznej nowomowy

(1949–1966), Warszawa 2002, gdzie w ramach rozdz. II umieszczony został podrozdział zatytułowany *Struktura organizacyjna Kierownictwa Badań nad Początkami Państwa Polskiego*.

⁶² M.H. Serejski, *Z zagadnień genezy państwa polskiego w historiografii (o tzw. teorii podboju)*, „Kwartalnik Historyczny” 60, 1953, 1, s. 147–163.

owych lat, z tym że pomieszczone one zostały jednak głównie w dwóch końcowych akapitach, podczas gdy niemal cała publikacja utrzymana była w stylu, by tak powiedzieć, tradycyjnym, a co więcej, wykazywała tezę przeciwną sprymitywizowanym marksistowskim schematom, arbitralnie i jednoznacznie dzielącym idee, teorie i twierdzenia na „dobre” i „złe”, „słuszne” i „niesłuszne”, „postępowe” i „wsteczne”, „proletariackie” i „burżuazyjne itp., itd. Otóż Serejski, poddając analizie różne konteksty ideologiczno-polityczne, w których osadzano u nas hipotezę podboju od czasów oświecenia aż do dwudziestolecia międzywojennego, pisał: „Jeśli zatem prawdą jest, że teoria podboju spotykała się z atakami lub sympatiami w zależności od pozycji klasowej i poglądów politycznych jej krytyków, to byłoby jednak błędem i symplifikacją rozumienie jej funkcji ideologicznej we wszystkich jej wersjach i na wszystkich etapach rozwoju społecznego Polski, jako jednoznacznej, służącej tym samym celom. Złożoność zagadnienia występuje na jaw, skoro uprzytomnimy sobie, że teorię najazdu wyznaje tak samo republikanin starszszlachecki Michał Wielhorski, jak i Jezierski, że posługuje się nią np. Wacław Maciejowski i Karol Szajnocha, natomiast odrzuca ją Lelewel. Wynika z powyższego, że ocenę jej każdorazowo należy kontrolować z konkretnymi warunkami miejsca i czasu, z określonym kręgiem idei, z określonym układem stosunków klasowych. Okaże się wtedy, że może ona w różnych okolicznościach być narzędziem walki z panującym ustrojem, ale także służyć jego obronie, słowem może mieć znaczenie tak postępowe, jak i wsteczne”⁶³. Oczywiście była to konkluzja dająca się odnieść nie tylko do teorii podboju, ale i do wielu innych idei, mających potencjalnie rozległy diapazon zróżnicowanych powiązań i przeciwstawnych nierzadko funkcji politycznych.

Znamienne, że fragment mówiący o relatywności odniesień teorii podboju do kryteriów postępu i wsteczności Serejski pominął w drugiej redakcji artykułu z 1953 r., który w odmienionej nieco postaci wznowiony został dwanaście lat później⁶⁴. Dla wprowadzonych wówczas zmian zapewne nie bez znaczenia były z jednej strony spór o kryteria postępowości, w jaki historyk wszedł z Niną Assorodobraj i Celiną Bobińską po opublikowaniu przezeń w 1953 r. pracy poświęconej Karolowi Boromeuszowi Hoffmanowi⁶⁵, z drugiej

⁶³ Tamże, s. 149.

⁶⁴ M.H. Serejski, *Przeszłość a teraźniejszość. Szkice i studia historiograficzne*, Wrocław 1965, s. 205–222.

⁶⁵ Tenże, *Studia nad historiografią Polski. Cz. 1, K.B. Hoffman*, Łódź 1953; zob. A. Wierzbicki, *Karol Boromeusz Hoffman, Przyczynek do genezy szkół historycznych w Polsce drugiej połowy XIX wieku*, w: K.B. Hoffman, *Historia reform politycznych w dawnej Polsce*, Warszawa 1988, s. 12–15; M. Górny, *Od Lelewela do Smoleńskiego. Spory historiograficzne lat pięćdziesiątych*, w: *Klio Polska. Studia i materiały z dziejów historiografii polskiej po II wojnie światowej*, t. 2, red. A. Wierzbicki, Warszawa 2006, s. 160–177.

zaś chęć uwolnienia tekstu od marksistowskiej ornamentyki werbalnej, typowej dla wczesnych lat pięćdziesiątych, która, co warto tu powtórzyć, została umieszczona w końcowej, niejako „doklejonej” części studium. W ten sposób w wersji z 1965 r. zabrakło następującego akapitu, kończącego pierwotnie całość: „Nie było naszym zadaniem szczegółowe omówienie teorii u nas dość dawno już przewycięzonej i przebrzmiałej. Metodologia, którą się dziś posługujemy, daje klucz do naukowego rozwiązania problemu genezy państwa polskiego i zróżnicowania klasowego bez uciekania się do błędnej hipotezy najazdu. Nie negując roli przemocy, gwałtu, katastrof, podbojów w dziejach ludzkości metodologia marksistowska uważa je za zjawiska wtórne, pochodne, jej znaczenie za funkcjonalne w stosunku do stanu sił wytwórczych i stosunków produkcyjnych, zależnie od ich rozwoju jako istotniej dźwigni w procesie powstawania państw”⁶⁶. Tego typu deklaracja metodologiczna, zgodnie z regułami historycznego rzemiosła, a przecież Serejski znał je doskonale, powinna być zamieszczona na wstępie tekstu, podobnie jak towarzyszący jej przypis, wskazujący, zgodnie z „cytatologiczną” konwencją owych czasów, na odpowiednią literaturę autorstwa klasyków marksizmu. W tym wypadku historyk wybrał tylko jednego z nich, Fryderyka Engelsa i jego *Anty-Dühring*, po czym postawił kończącą całość kropkę. Można odnieść wrażenie, że ów merytorycznie skądinąd zrozumiały, ale wielce lakoniczny przypis autor potraktował jako „doklejkę” do „doklejki”. W sumie studium Serejskiego, nawet w swej pierwotnej wersji, reprezentuje dość ascetyczną, by tak rzec, postać marksistowskiego werbalizmu i „cytatologii”, dzięki czemu do dziś zachowuje znaczące walory poznawcze.

ALEKSANDER GIEYSZTOR – W STRONĘ „PAN-OWSKIEJ” SYNTEZY DZIEJÓW POLSKI

W niecały rok po artykule Serejskiego na łamach tegoż „Kwartalnika Historycznego” ukazała się publikacja Aleksandra Gieysztor, zawierająca nieco odniesień do teorii podboju, w całości jednak usiłująca zarysować całokształt problematyki narodzin państwa polskiego. Studium to, będące w istocie podsumowaniem koncepcji opracowanych w ramach Kierownictwa Badań nad Początkami Państwa Polskiego, odegrało znaczącą rolę w pracach nad syntezą dziejów Polski, które w 1953 r. przejął Instytut Historii PAN. Można to dostrzec nie tylko w strukturze, ale i w treści pierwszych partii owej syntezy, opracowanych skądinąd w większości przez tego samego autora⁶⁷.

⁶⁶ M.H. Serejski, *Z zagadnień genezy...*, s. 163.

⁶⁷ Obejmowały one epokę wspólnoty pierwotnej oraz pierwsze dwie części epoki feudalizmu (do końca X w.), które poprzedził rozdział opracowany przez M.H. Serejskiego, poświęcony głównym poglądom na dzieje Polski przedrozbiorowej.

Publikacja Gieysztor z 1954 r., zatytułowana *Geneza państwa polskiego w świetle nowszych badań*⁶⁸, przynosi więcej niż zapowiada tytuł, ponieważ zawarta w niej charakterystyka obejmuje badania jeszcze z pierwszej połowy XIX w., które z ponad stuletniej perspektywy trudno byłoby zaliczyć do „nowszych”. Odwołując się do marksistowskiego schematu powstawania państw jako rezultatu rozwoju sił wytwórczych oraz klasowej struktury społeczeństwa, historyk zwracał uwagę na „słuszne” stanowisko tych przedstawicieli wcześniejszej historiografii polskiej, którzy podobnie jak Joachim Lelewel, Wawrzyniec Surowiecki czy Ignacy Daniłowicz dostrzegali załączki państwa co najmniej kilka wieków przed panowaniem Mieszka i łączyli je z rozkładem wspólnoty, którą określali mianem gminowładztwa. Ubolewał jednak nad tym, że dalszy rozwój polskiej historiografii przyniósł „gwałtowną rewizję poglądów szkoły lelewelowskiej”, w wyniku której państwo poczęto przedstawiać „jako wytwór ponadklasowy”⁶⁹.

W ujęciu Gieysztor w obrębie „historiografii burżuazyjnej”, mimo że zajmowała ona w tej kwestii stanowisko „niejednolite i zagmatwane”, wyodrębniły się jednak dwie przeciwstawne orientacje. Pierwsza – „etatystyczna”, dawała się sprowadzić do aksjomatu, że „na początku było państwo”, które stanowiło „potężny regulator życia społecznego i jego narastających konfliktów”. Pogląd ten przyjmowała konserwatywna szkoła krakowska, zwłaszcza w osobach Michała Bobrzyńskiego i Stanisława Smolki, których „spoza szkoły” wsparł nieco później Antoni Małcki. Natomiast orientacja druga – „korporacjonistyczna” i „liberalno-mieszcząńska”, przeciwstawiała czynnikowi „państwowemu” czynnik „społeczny”, nadając mu bez porównania większe znaczenie. Jej koryfeuszem był Oswald Balzer, za którym podążali między innymi Karol Potkański i Zygmunt Wojciechowski. Istotą ich stanowiska miał być sugestywny, choć mylny pogląd o „niezwykłej trwałości ustroju rodowego w polskim średniowieczu i o **bezpośrednim** pochodzeniu organizacji społecznej i państwowej z organizacji rodowej. Wynikła stąd hipoteza – konkludował Gieysztor – pierwotnej wspólnoty dynastycznej Piastów oraz patrymonialnego charakteru ich państwa, przybierająca jeszcze do niedawna w ujęciach podręcznikowych cechę pewnika” (podkr. A.W.)⁷⁰. Największa wada teorii rodowej polegała, według Gieysztor, na deprecjacji znaczenia walki klasowej, w toku której wytworzyła się własność ziemiska i formowały

⁶⁸ A. Gieysztor, *Geneza państwa polskiego w świetle nowszych badań*, „Kwartalnik Historyczny” 61, 1954, 1, s. 104–136.

⁶⁹ Tamże, s. 103.

⁷⁰ Gieysztor miał na myśli *Państwo polskie wieków średnich* Z. Wojciechowskiego (Poznań 1948), trzeba jednak dodać, że surowość swej oceny osłabił, dodając w przypisie, że ostatnie wypowiedzi „zapowiadają częściową rewizję poglądów tego autora”; tamże, s. 105, przyp. 10.

stosunki feudalne. Wyraźnym symptomem takiej postawy miało być unikanie przez Balzera utrwalonego we wcześniejszej historiografii terminu „klasa” i posługiwanie się pojęciem „grupa”⁷¹.

Spośród innych zwolenników teorii rodowej Gieysztor dość surowo ocenił Potkańskiego, który miał ulec „z jednej strony solidarystycznemu schematowi socjologii burżuazyjnej, z drugiej zaś niedialektycznemu ewolucjonizmowi pozytywistycznemu”. Krytycznie odniósł się także do Wojciechowskiego i Tymienieckiego, którzy również nie potrafili dostrzec, że narodziny państwa wymagały uprzedniego zaistnienia klasowej struktury społecznej, co w wypadku społeczeństw słowiańskich dokonywało się w ramach feudalnej formacji ekonomiczno-społecznej, z pominięciem formacji niewolniczej. W ogóle w dwudziestoleciu międzywojennym jedynym z liczących się polskich historyków odpornych na błędy teorii rodowej miał być Stanisław Arnold, z tym że „negował on znaczenie własności ziemskiej dla kształtowania się klasy panującej, co następnie [w Polsce Ludowej – A.W.] sprostował już z innych pozycji metodologicznych”⁷². W czasach Polski Ludowej do krytyków teorii rodowej należeli Juliusz Bardach oraz Jan Adamus⁷³.

Warto zwrócić uwagę, że opozycja „etatyizmu” (aksjologii preferującej czynnik polityczno-państwowy) i „korporacjonizmu” (aksjologii preferującej czynnik „społeczno-narodowy”), którą Gieysztor posłużył się w swym studium, nie wykraczała poza endogeniczne, a zarazem wewnętrzne paradygmaty genezy państwa i narodu. Bez względu na to, czy państwo wyłoniło się z narodu, czy naród z państwa⁷⁴, oba procesy miały charakter rodzimy, niewymagający najazdowej interwencji „czynnika zewnętrznego”. Jednak i tu było miejsce na podbój, z tym że dokonywał się on wewnątrz miejscowego etnosu. Natomiast cementujące państwo walki z nieprzyjacielem nadchodzącym „z zewnątrz” i etnicznie odmiennym miały ze strony budowniczych państwa polskiego charakter defensywny, a nie podbojowy.

⁷¹ Tamże, s. 105.

⁷² Tamże, s. 106–107.

⁷³ J. Adamus, *O „teorii rodowej” państwa Piastów*, „Czasopismo „Prawno-Historyczne” 4, 1952, s. 94 i n.; J. Bardach, *Uwagi o „rodowym” ustroju społeczeństwa i prawie bliższości w Polsce średniowiecznej*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 4, 1952, 406 i n. Kilka lat później krytyce zwolenników hipotezy o „rodowych” początkach państwa polskiego, szczególnie zaś Balzera, poświęcił Adamus odrębną rozprawę, w której połączył optykę historyka prawa i historyka historiografii: *Polska teoria rodowa*, Łódź 1958. Ogromna erudycja autora, wielowątkowa konstrukcja rozprawy, a także nader entymematyczny (również dla części specjalistów) charakter narracji sprawiły, że nie miała ona większej recepcji. Wydaje się jednak, że przesadna jest opinia o „naukowym niebycie” tego cenionego przez historyków historiografii badacza; zob. J. Matuszewski, *Jana Adamusa droga ku naukowemu niebytowi*, „Studia z Dziejów Państwa i Prawa Polskiego” 17, 2014, s. 271 i n.

⁷⁴ Kwestię tę naświetlam szerzej na początku rozdz. II niniejszej książki.

W ten sposób, wskazując, że w ujęciu Balzera geneza piastowskiego państwa jawiła się z jednej strony „jako owoc podboju prowadzonego przez książąt polańskich, którzy na tej drodze umacniali swą władzę”, z drugiej zaś jako rezultat „konieczności wspólnej obrony przed sąsiadami”⁷⁵, postrzegał Gieysztor „korporacjonistyczną” koncepcję tego historyka.

Na jeszcze jeden aspekt przeciwstawienia „etatyzmu” i „korporacjonizmu” należy zwrócić uwagę, a mianowicie, że jedynie drugi jego człon pod postacią teorii rodowej odpowiadał na pytanie: „jak powstało państwo polskie?”. Pierwszy natomiast zakładał jedynie, że najpierw było państwo (proto-państwowe związki polityczne), a później zróżnicowanie społeczne, nie odnosił się jednak do kwestii narodzin tego państwa. A przecież krakowscy konserwatyści, którym taka forma „etatyzmu” została przez Gieysztora przypisana, mówili niemało na temat „samochętnej” genezy państwa, wykazując zgodną skłonność do synchronicznego pojmowania znamionujących ów proces „wewnętrznych” przemian politycznych i społecznych oraz odrzucania hipotezy zewnętrznego podboju. Pod tym względem między nimi a „korporacjonistą” Balzerem, który sam przecież wywodził się ze szkoły krakowskiej, jest więcej podobieństw niż różnic. Natomiast za „etatystę” w całym znaczeniu tego słowa uznać należałoby Piekosińskiego, którego poglądy przedstawiciele szkoły krakowskiej z takim zapalem zwalczali.

Obok „etatystów” i „korporacjonistów”, które to przeciwstawienie w obrębie podejmowanej tu problematyki dałoby się zaliczyć do ontologii takich „bytów historiograficznych” jak państwo czy naród, umieścił Gieysztor „intuicjonistów”, a więc kategorię niewspółmierną do pierwszych dwóch, opartą bowiem na kryterium epistemologicznym. Zwracała ona uwagę nie tyle na przedmiot historycznego poznania (np. jednostka, grupa społeczna, państwo, naród) i nadawane mu statusy ontologiczne, ile na sposób (metodę), w jaki to poznanie miało się dokonywać. Wśród historyków polskich, którzy pokładali duże nadzieje w intuicji, na plan pierwszy wysunął postać Stanisława Zakrzewskiego, badacza nierzadko wkraczającego „na manowce tej metody” w nadziei, że wypełni ona luki źródłowe. W efekcie miało go to doprowadzić do wielu „bezprzykładowych prawie ujęć przeceniających rolę jednostek władczych”⁷⁶. Nie ulega wątpliwości, że Zakrzewski, który naświetlając początki państwa polskiego, na plan pierwszy wysuwał rolę nie tylko władców, ale i całej piastowskiej dynastii, był zwolennikiem heroistyczno-elitarystycznej koncepcji powstania państwa polskiego. W jego państwowotwórczej aksjologii właśnie władcy i przywódcy aktywnie uosabiali państwo i stali pod tym względem jakby na przeciwnym biegunie w stosunku do „biernej społecznej

⁷⁵ A. Gieysztor, dz. cyt., s. 105.

⁷⁶ Tamże, s. 107.

masy”, lecz jeśli tak, to czy ów „intuicjonista” nie był zarazem klasycznym wręcz „etatystą”?⁷⁷. Poznawczy intuicjonizm nie kolidował ani z „etatyzmem”, ani z „korporacjonizmem”, był po prostu konotacją innego rzędu.

W ujęciu Gieysztora „intuicjonistami” okazywali się wszyscy ci, którzy przenosili początki państwa polskiego w czasy i okoliczności niepotwierdzone w źródłach pisanych. Nie było ich jednak wielu, ponieważ „ogół historiografii” miał stronić od takiej metody, najczęstszej skądinąd w „spekulacjach archeologicznych”, a nieobcej również językoznawcom i antropologom, co miały egzemplifikować dokonania Eugeniusza Kucharskiego i Jana Czekanowskiego⁷⁸.

Lata II Rzeczypospolitej według Gieysztora raczej oddaliły nas, niż przybliżyły do rozstrzygnięcia kwestii genezy państwa polskiego. „Główne dzieło syntetyczne” powstałe w tym okresie, za jakie uważał dwutomowe *Dzieje Polski średniowiecznej* autorstwa Romana Grodeckiego, Stanisława Zachorowskiego (tom pierwszy) i Jana Dąbrowskiego (tom drugi), miało utrwaląc sporo błędnych tez. Najważniejsze spośród nich to: 1) wytyczenie orientacyjnej granicy między „prehistorią a historią” państwa polskiego na rok 963, do której to daty „właściwe znamię”, a nawet „istotę” dziejów Polski określać miała „pogańskość”; 2) przyjmowanie „doktryny młodszości cywilizacyjnej” Polski; 3) odwoływanie się do teorii rodowej, uznającej przejście od plemienia do państwa jako wynik celowej działalności elit rodowo-dynastycznych i podboju „wewnętrznego”; 4) wyprowadzanie własności ziemskiej i klasowej struktury społeczeństwa z uprzedniego uformowania się państwa; 5) postrzeganie siły napędowej polskiego procesu państwowotwórczego w dynastii piastowskiej i traktowanie mas (czynnika kolektywnego, zbiorowego) jako „siły odśrodkowej”, która nie tylko usiłuje, ale i potrafi „podważyć i rozerwać spójnię państwową”⁷⁹.

W swym przeglądzie historiograficznym Gieysztor właściwie pominął wątki germańskie, związane z polsko-niemieckimi sporami z lat trzydziestych i dyskusjami wokół *Deutschland und Polen*. Zadawolił się w tym wypadku lakoniczną, dwuzdaniową konstatacją, napomykając z jednej strony, że: „W sprawie genezy państwa polskiego historiografia hitlerowska, jak wiadomo, odnowiła jako narzędzie imperializmu tzw. teorię podboju, dostatecznie skompromitowaną i odrzuconą przez realistyczny odłam historiografii burżuazyjnej, zarówno polskiej jak niemieckiej (już przez R[icharda] Roeppla)”, z drugiej zaś,

⁷⁷ W tym kierunku prowadziły rozważania Krystyny Śreniowskiej zawarte w poświęconej Zakrzewskiemu rozprawie, przedstawionej w 1953 r. na posiedzeniu Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, która opublikowana została pt. *Stanisław Zakrzewski. Przyczynek do charakterystyki prądów ideologicznych w historiografii polskiej 1893–1936*, Łódź 1956.

⁷⁸ A. Gieysztor, dz. cyt., s. 107.

⁷⁹ Tamże, s. 108–109.

że Zygmunt Wojciechowski „dla rozbudowy argumentacji za rodzimym rozwojem państwowości polskiej” wykorzystał w licznych publikacjach materiały dialektologiczne (głównie dzieło Kazimierza Nitscha) i archeologiczne (najnowsze prace Józefa Kostrzewskiego i Władysława Kowalenki), „choć zagadnienia gospodarczo-społeczne pozostały nadal na uboczu”⁸⁰. Ta ostatnia uwaga – krytyczna, w przeciwieństwie do poprzedniej – stanowiła wprawdzie niezbyt niski, ale niewątpliwy ukłon złożony duchowi marksistowskiego „przełomu metodologicznego”. Jednak owych ukłonów, w tym również i niższych, było więcej.

W tym miejscu wypadnie nieco słów poświęcić wątkom formalnojęzykowym, właściwym zideologizowanej i upolitycznionej nowomowie czasów „triumfującego postępu” i „zwycięskiego socjalizmu”. Jej obecność w tekstach naukowych nie stanowiła zapewne „nieuchronnej konieczności”, ale w relacji władza – nauka uwiarygodniała niewątpliwie tę ostatnią, tworząc atmosferę „wzajemnego zrozumienia”, bez której prowadzenie wielu badań byłoby utrudnione czy wręcz niemożliwe. Sporo wskazuje na to, że w 1953 r., to jest wtedy, gdy omawiany tu tekst był prawdopodobnie składany do druku, Gieysztor mógł jeszcze chcieć bronić istnienia Kierownictwa Badań nad Początkami Państwa Polskiego. Możliwe więc, że chodziło mu o to, by przekonać decydentów, iż Kierownictwo Badań ma w jego osobie przewodnika politycznie kompetentnego, by uprawiać naukę zgodnie z interesami mas ludowych oraz ich „siły kierowniczej”. Wprawdzie w roku następnym (1954), kiedy to studium Gieysztor ukazało się drukiem, było już za późno, by coś wskórać i dotychczasowe funkcje Kierownictwa Badań w znacznej mierze zostały przejęte przez IH PAN i IHKM, ale tekst pozostał. Dlatego też trudno się dziwić, że nie brakuje w nim fragmentów, które dzisiaj uznalibyśmy, eufemistycznie mówiąc, za pozamerytoryczne.

Są one szczególnie wyraźne w tych partiach studium, które poświęcone zostały historiografii powstającej już w Polsce Ludowej, kiedy to badaniom nad początkami naszego państwa nadany został „nowy kierunek, oparty na zdobywanych nowych podstawach metodologii marksistowskiej”. Wprawdzie, jak zwracał uwagę Gieysztor, mniej więcej do 1950 r. trwał okres znacznej inercji w stosunku do dawnych ujęć, ale w wyniku przełamania zjawiska „rozszczerzenia ruchu robotniczego [chodziło o stan sprzed powstania w końcu 1948 r. PZPR – A.W.], będącego hegemonem przebudowy społeczno-gospodarczej i ideologicznej naszego kraju”, wszystko idzie ku lepszemu. Są oczywiście znaczne trudności spowodowane z jednej strony utrzymywaniem się resztek dawnego ustroju społeczno-gospodarczego i jego nadbudowy ideologicznej, z drugiej zaś pierwszymi oznakami „wrogości

⁸⁰ Tamże, s. 109.

odnawiającego się faszyzmu neohitlerowskiego wobec koncepcji, metod i wyników naszych badań nad genezą państwa polskiego”, ale mimo takich przeszkód: „Zagadnienie początków państwa polskiego wyrosło wśród problemów nauki historycznej jako jedno z czołowych i w praktyce badawczej wyprzedziło zrazu nawet wiele innych. [...] Między innymi czynnikami ruina państwa burżuazyjnego unaoczniała nienaukowość koncepcji państwa pozaklasowego; wyznaczyły to drogę badań nad syntezą państwa staropolskiego w kierunku uchwycenia tych faz procesu historycznego, które doprowadziły do powstania klas społecznych. Nawrót do terytorialnej struktury pierwszych Piastów ożywił zainteresowania nauki ziemiami zachodnimi i ich rolę w najdawniejszych dziejach Polski”⁸¹. W czasach, gdy historykom nadawano status żołnierzy frontu ideologicznego odwołanie do idei obrony Ziemi Odzyskanych i potrzeby walki z neohitleryzmem miało swoją wymowę. Była to retoryka obliczona na polityczne uwierzytelnienie naszej nauki historycznej i w efekcie na pozyskanie dla niej w miarę autonomicznego wobec władz statusu. Nie sposób jednak wykluczyć, że płynęła ona z mniejszych lub większych modyfikacji wcześniejszych przekonań światopoglądowych autora. Oczywiście nie były to zjawiska alternatywne, ponieważ u jednej i tej samej osoby oba typy motywacji, czyli podszyta konformizmem taktyka „autonomizacyjna” oraz autentyczne przemyślenia i przekształcenia w sferze przyjmowanych wartości światopoglądowo-ideowych mogły splatać się ze sobą. Uwagi te należy mieć na względzie, przypominając charakter ocen wystawionych przez Gieysztor historykom polskim, którzy w pierwszych latach po II wojnie światowej podejmowali kwestię narodzin naszego państwa. Pamiętać przy tym należy, że była to kwestia wręcz newralgiczna wobec propagandowego schematu narodzin państwa „sprawiedliwości społecznej”, które powołały do życia masy ludowe, a nie jak to było „u początków” naszych dziejów – jednostki i skupione wokół nich elity, czy też w II Rzeczypospolitej, kiedy to niepodległość, wolność i sprawiedliwość stały się jakoby pustymi słowami, kamuflującymi istotę obszarniczo-burżuazyjnego wyzysku klasowego. W efekcie całość propagandowego ujęcia układała się w następującą triadę: 1) narodziny państwa pierwszych Piastów były zjawiskiem utrwalającymi feudalną niewolę, 2) narodziny II Rzeczypospolitej to tylko transformacja klasycznej niewoli feudalnej w obszarniczo-burżuazyjną, 3) dopiero Polska Ludowa stała się niemal doskonałym urzeczywistnieniem wolności „mas pracujących miast i wsi”. „Niemał”, ponieważ pełną wolność miał przynieść dopiero komunizm po odesłaniu do historycznego lamusa takiego narzędzia przymusu jak państwo i to nawet wówczas, gdy było to już państwo „ludowe”.

⁸¹ Tamże.

W historiograficznej warstwie narracji Gieysztora główny akcent położony został na dwa, niewątpliwie najważniejsze wydarzenia, odzwierciedlające kolejne fazy teoretyczno-metodologicznych transformacji zachodzących w polskiej historiografii w pierwszych latach po zakończeniu wojny: wrocławski zjazd historyków (1948) i późniejszą o trzy lata, dwutygodniową konferencję historyków polskich i sowieckich w Otwocku (1951/1952). Oba te wydarzenia były już tu omawiane z punktu widzenia losów hipotezy obcoetnicznego podboju jako czynnika sprawczego narodzin polskiego państwa, wypadnie zatem jedynie zwrócić uwagę, że ujęcie Gieysztorą było znacznie szersze, obejmowało bowiem również koncepcje bezpodbojowe.

Gieysztor trafnie oceniał, że jakkolwiek VII Powszechny Zjazd Historyków Polskich we Wrocławiu (1948) zapowiadał już szerszy zwrot historiografii polskiej w stronę marksizmu, to jeśli przez kilka lat publikacje na tematy wiążące się z narodzinami polskiego państwa w ogóle czerpały z teorii i metodologii marksistowskiej, to w stopniu raczej niewielkim. Do wydawnictw tego typu zaliczał takie prace jak Gerarda Labudy *Studia nad początkami państwa polskiego* (Poznań 1946), Józefa Widajewicza *Początki Polski* (Wrocław 1948) czy w końcu „olbrzymie dzieło K[azimierza] Tymienieckiego *Ziemie polskie w starożytności. Ludy i kultury najdawniejsze* (Poznań 1951) – odznaczone nagrodą państwową I stopnia w 1953 r.”, które obejmując „całą epokę wspólnoty pierwotnej”, częściowo nosiło już znamiona nowatorskie, a łącząc stare ujęcie z nowym, znalazło się jak gdyby „na przełęczy dwu podstaw metodologicznych”⁸².

W ocenie Gieysztorą tradycyjną drogą szedł w swych publikacjach z końca lat czterdziestych również Henryk Łowmiański, jednak już w 1953 r. wydał pierwsze studium monograficzne poświęcone genezie państwa i „narodowości” polskiej oparte „świadomie na założeniach materializmu historycznego”. Miało ono otwierać „wyższy etap dyskusji, przynosząc nowe ustalenia i nowe problemy sporne do rozważenia na gruncie wspólnej nauce polskiej metodologii naukowej”⁸³. Wyprzedzając nieco tok wydarzeń, warto w tym miejscu dodać, że za apogeum tak rozumianego nowego metodologicznie etapu należy uznać opublikowaną w 1957 r. monografię Łowmiańskiego *Zagadnienie roli Normanów w genezie państw słowiańskich*, której w tym jeszcze rozdziale wypadnie poświęcić odrębne miejsce.

Tekst Gieysztorą miał klasyczną, dwuczęściową strukturę konstrukcyjną, od dawna uznaną za typową dla szeroko rozumianych nauk humanistycznych, w tym dla historii. Pierwsza z części miała charakter krytycznego omówienia stanu badań (w mniejszej mierze źródeł pisanych, których zgrab pozostawał

⁸² Tamże, s. 110.

⁸³ Tamże, s. 111.

już wówczas i do dnia dzisiejszego pozostaje właściwie bez zmian⁸⁴) oraz zawierała sporo materiału historiograficzno-faktograficznego, z tym że nawet jeśli pominąć jej marksistowską ornamentykę, daleko nie wszystkie uogólnienia i oceny, jakie zawierała, takie na przykład jak zastosowanie typologii wyróżniającej „etatystów”, „korporacjonistów” oraz „intuicjonistów”, znalazły uznanie wśród historyków historiografii⁸⁵.

Na tle części pierwszej, **krytycznej**, część druga miała już wyraźny charakter **konstrukcyjny**, stanowiła bowiem próbę zespolenia wiedzy źródłowej, w tym archeologicznej, z marksistowską teorią genezy państwa jako wytworu społeczeństw klasowych. Wiele myśli zawartych w tej części autor wykorzystał już wkrótce w pierwszym tomie tzw. PAN-owskiej syntezy dziejów Polski, w związku z czym można uznać, że jego studium stało się wzorcem pierwszej w PRL oficjalnej wykładni najwcześniejszych dziejów polskiej państwowości. Co więcej, można również powiedzieć, że tracąc wprawdzie na znaczeniu i ulegając pewnym modyfikacjom, wykładnia ta utrzymywała się w polskiej historiografii (oczywiście nie na całym jej obszarze) co najmniej do końca PRL. Jakże zatem były jej najważniejsze elementy?

1. *Feudalne początki państwa polskiego jako państwa słowiańskiego*. Podział społeczeństwa na klasy stanowi *conditio sine qua non* narodzin władzy państwowej. Nie można utrzymywać, tak jak robią to zwolennicy teorii rodowej, że klasy społeczne powstały po uprzednim uformowaniu się państwa. Przyjmując taką przesłankę teoretyczną, Gierymski uznawał, że punktem wyjściowym badań nad genezą państw we wszystkich krajach słowiańskich jest proces rozkładu wspólnoty pierwotnej i wykształcania się fundamentów nowej formacji społeczno-gospodarczej, jaką był feudalizm. Co jednak z niewolnictwem, które przecież w klasycznej „progresywistycznej” (słowo „postępowej” byłoby tu niezbyt adekwatne i w sumie mylące) teorii formacji usytuowane było między wspólnotą pierwotną a feudalizmem? Otóż w dziejach Słowian, Germanów

⁸⁴ Pomijam tu korekty formalne typu zmiany „Galla Anonima” w „Anonima zwanego Gallem”.

⁸⁵ Wydaje się np., że wspomnianą tu typologię sceptycznie potraktował M.H. Serejski, który w ogóle zignorował ją w swej charakterystyce polskiej historiografii zawartej w pierwszym tomie opracowanej w IH PAN *Historii Polski*. Ciekawe, że podział na „etatystów” i „korporacjonistów” ostatecznie pominął również sam A. Gierymski w *Przeglądach historiografii*, stanowiących wyodrębnione fragmenty opracowanych przez siebie rozdziałów tejże *Historii Polski*, odnoszących się do wspólnoty pierwotnej i początków feudalizmu na ziemiach polskich; zob. *Historia Polski*, t. 1, s. 24–27, 105–110. Jeszcze ciekawsze jest jednak, że Serejski swoją ostatnią w życiu książkę, poświęconą dominującym nurtom w polskiej historiografii, oparł w istocie na opozycji „naród (korporacjoniści) – państwo (etatyści)”; zob. tenże, *Naród a państwo w polskiej myśli historycznej*, Warszawa 1973. Oczywiście, w ujęciu Serejskiego, którego interesowały kierunki interpretacyjne, a nie metody ich rozpoznawania, „intuicjoniści” pozostawali w ogóle poza polem refleksji.

i po części Celtów wystąpiły pewne cechy swoiste, a mianowicie ziemie zajmowane przez te ludy „nie przeszły formacji niewolniczej, odbywając drogę od schyłkowych postaci wspólnoty pierwotnej do ustroju feudalnego. Stąd geneza państwa polskiego pokrywa się z początkami formacji feudalnej, przygotowywanej – rzecz jasna – jeszcze w łonie poprzedniego ustroju w ciągu długiego czasu”⁸⁶. Taka formuła nie musiała jednak oznaczać całkowitego braku w naszych najwcześniejszych dziejach „elementu niewolniczego”. Element taki istniał, jednak: 1) nie stanowił „głównej siły produkcyjnej”, lecz – „jak można przyjąć” – miał charakter „niewolnictwa patriarchalnego”, funkcjonującego niejako na poboczach wspólnoty rodowej; 2) jego ewentualna obecność nie wykraczała poza „zaczątki układu niewolniczego”, które „istnieć już mogły” zwłaszcza na południu późniejszych ziem polskich⁸⁷. Łatwo dostrzec, że autor przytoczonych tu słów z dużą ostrożnością budował swój wzorzec i bynajmniej nie ukrywał jego hipotetyczno-probabilistycznych elementów, sygnalizowanych zastrzeżeniami typu „jak można przyjąć” czy „istnieć już mogły”.

2. *Wspólnota terytorialna*. Również w kategoriach mniej lub bardziej prawdopodobnych domniemań naświetlał Gieysztor proces przemian wspólnoty pierwotnej, której graniczną („schyłkową”) formą miało być opole – wspólnota terytorialna występująca u Słowian połabskich, przede wszystkim jednak u plemion polskich. Przemiany te, które miały następować w okresie od II do V w., występowały początkowo pod postacią zróżnicowania na biednych i bogatych, co jednak nie nosiło jeszcze charakteru klasowego, ponieważ ziemia nadal pozostawała własnością wspólnoty. Dopiero w późniejszym okresie opole uległo przekształceniom własnościowym. Stało się wspólnotą terytorialną, w której istniała już prywatna własność ziemską gruntów uprawnych poszczególnych rodzin, chociaż „inne pożytki, jak lasy, pastwiska i wody pozostawały we wspólnym władaniu kolektywu sąsiedzkiego. Nieobce mu są – konkludował Gieysztor – oczywiście więzy krwi, lecz nie one decydują o spoistości tego rodzaju wspólnoty”⁸⁸.

3. *Pierwsze związki polityczne*. Od tak rozumianych wspólnot terytorialnych różniły się związki polityczne o charakterze „demokracji wojennych”, w których ludzie wolni i równi w obliczu działań wojennych wybierali na wiecu naczelników-wodzów. Powstanie tych związków na ziemiach późniejszej Polski przyspieszyło „przesuwanie się”, czy jak to w innym miejscu historyk określił „przemarsz”, nadchodzących z północy najeźdźców – Gotów i Gepidów. W ten sposób powstawały pierwsze u nas demokracje

⁸⁶ A. Gieysztor, *Geneza państwa polskiego...*, s. 113.

⁸⁷ Tamże, s. 115.

⁸⁸ Tamże, s. 116.

wojenne. „Związki Wenedów – pisał Gieysztor – bo tak nazwać należy postać polityczną ziem polskich tego czasu, posiadały możliwość przeciwstawiania się najeźdźcom, a nadto organizowania dalekich wypraw, przybierających głównie w IV–VI w. formę migracji demograficznych. Należy je częściowo rozpatrywać zgodnie ze zdaniem uczonych radzieckich w ramach aktywnego udziału Słowian w likwidacji Cesarstwa Rzymskiego i w kształtowaniu nowego oblicza etnicznego Europy”⁸⁹. Tak zatem z jednej strony Gieysztor jak gdyby poszedł za sugestiami Grekowa o słowiańsko-barbarzyńskim wkładzie w rozpad murszejącego imperium i budowę odnowionej politycznie oraz etnicznie Europy, z drugiej jednak uznał, że w odniesieniu do zajmujących ziemie polskie związków Wenedów stanowisko „uczonych radzieckich” jest jedynie „częściowo” słuszne, co w zgodzie z kurtuazyjną konwencją tamtych czasów oznaczało zazwyczaj, że jest po prostu niesłuszne. Ale spekulacje na ten temat niechaj pozostaną tu na uboczu. Godny mocniejszego podkreślenia jest natomiast nieco inny aspekt koncepcji polskiego historyka. Otóż „przesuwający się” Goci i Gepidzi nie wnieśli wkładu organizacyjnego w powstawanie słowiańskich związków Wenedów, które uformowane zostały endogenicznie. Najeźdźcze „przesuwanie się” czy też „przemarsze” ludów północnych działały jedynie jak katalizator – prowadziły bowiem nie tyle do narzucania ludności miejscowej gockich wzorców polityczno-administracyjnych, ile do przyspieszania procesów związanych z rozwojem sił wytwórczych i wewnętrzną, by tak rzec, feudalizacją stosunków gospodarczo-społecznych, których stabilizatorem w konsekwencji stawał się czynnik państwowy.

4. *Narodziny społeczeństwa klasowego i pierwszych organizacji państwowych.* Jakkolwiek w wiekach VI–IX, a nawet jeszcze w X w., „ogromna większość” ludności na ziemiach polskich miała status wolnych chłopów zgrupowanych w mniejszych lub większych wspólnotach terytorialnych typu opola, to już wówczas można mówić o wykształcaniu się dwóch klas, a mianowicie ludzi zależnych, którzy utracili wolność między innymi ze względów ekonomicznych, oraz feudałów, rekrutujących się spośród starszyzny opolnej i tych, którzy uzyskiwali większe od przeciętnych nadwyżki produkcyjne. Zgodnie z marksistowskim kanonem interpretacyjnym, na który powoływał się Gieysztor, powstawała w ten sposób baza ekonomiczna i sprzyjająca jej nadbudowa, której istotnym elementem było państwo. W takich warunkach nastąpiło „wyodrębnienie się władzy politycznej z mas ludowych i jej przechwycenie przez możnych, stanowiących klasę najsilniejszą gospodarczo i zdobywającą przewagę polityczną”⁹⁰. Opisując mechanizm klasowego formowania się pierwszych „państwewek” na ziemiach polskich, Gieysztor zwracał

⁸⁹ Tamże, s. 117.

⁹⁰ Tamże, s. 122–123.

uwagę na kwestie sporne, które czekają na rozstrzygnięcie. Niezależnie od „bardzo mylącego” określenia państweczek powstających z terytorialnych związków opolnych mianem „plemiennych”, jako trzy najważniejsze wymieniał: 1) ocenę roli wiecu, „który jak się wydaje był miejscem ujawniania się antagonizmów społeczno-politycznych między wolnymi dziedzicami a wielmożami, których narastająca przewaga nie ulega wątpliwości”, 2) „zagadnienie władzy książęcej rozpatrzone od strony jej genezy jako reprezentacji interesów możnych”, 3) właściwe naświetlenie roli drużyny w genezie organizacji państwowych, która w wielu ujęciach tego zagadnienia wysuwana była na plan pierwszy. Według Gieysztora „drużyna zapewniała skuteczność przymusu pozaekonomicznego wewnątrz państwa i broniła jego obszaru, próbowała rozszerzać granice i łupiła sąsiadów. **Nic jednak nie wskazuje na to, aby państwa słowiańskie powstawały w wyniku działalności grupy awanturników wojskowych, a poglądy tego rodzaju w przypadkach szczególnych zostały skutecznie obalone.** Drużyna wydaje się być narzędziem klasy feudalów, częścią aparatu państwowego, ale nie czynnikiem twórczym; w szczególności w źródłach ruskich występuje zależność drużyny młodszej tzn. właściwej, od księcia i od jego otoczenia bojarskiego. Można też przytoczyć przykłady polskie z XI w.” (podkr. A.W.)⁹¹. W tym miejscu Gieysztor zbliżał się do oficjalnego stanowiska historyków sowieckich, pamiętać jednak należy, że również wśród historyków polskich XIX i XX w. państwowotwórcza rola drużyny akcentowana była różnorodnie, od minimalizacji aż niemal do fetyszyzacji, bo takie wrażenie odnieść można, analizując koncepcję Stanisława Zakrzewskiego, którą wyżej określiłem mianem teorii „trzech drużyn”⁹².

5. *Powstawanie „terytorialnej podstawy państwa ogólnopolskiego”*. Jeżeli od marksistowskich przesłanek teoretycznych i związanej z nimi stylistyki językowej oddzielić rdzeń koncepcyjny, to w ujęciu Gieysztora odnaleźć można wiele z dawnego schematu państwowego samoródstwa. U początków polskiego państwa były zatem mniej lub bardziej wyraziste „nasze ziemie”, zamieszkałe przez Słowian zbliżających się bardziej do zgermanizowanych odłamów Słowian zachodnich (głównie połabskich, ale też i pomorskich oraz łuzycyckich) niż do Słowian wschodnich czy południowych. Jeszcze przed Mieszkiem w „państewkach” zajmujących te ziemie podejmowano próby budowy większych państw. Dostrzeć je można na Śląsku, Pomorzu, a zwłaszcza w Małopolsce, o której, dzięki źródłom wielkomorawskim, wiemy stosunkowo najwięcej. Tam właśnie w IX w. spore znaczenie uzyskała organizacja polityczna Wiślan, która nie była jednak na tyle silna, aby nie tylko rozszerzyć

⁹¹ Tamże, s. 123.

⁹² Zob. rozdz. I niniejszej książki, s. 104–108.

swój zasięg, ale i oprzeć się obcej zaborczości. Skuteczniejsza natomiast okazała się „ekspansja” Polan. Ich centrum polityczne w dorzeczu środkowej Warty było korzystnie odsunięte od większych państw – na południu od Moraw i Czech, na zachodzie zaś oddzielały je od Niemiec organizacje polityczne Słowian połabskich.

Gieysztor nie ukrywał, że niewiele wiadomo o etapach kształtowania się państwa Polan w drugiej połowie IX w. Podkreślał jednak, że chociaż nie ma całkowicie pewnych przekazów źródłowych, to jednak te, które się zachowały, czyli wymienione w kronice „Galla” Anonima słowiańskie imiona przodków Mieszka oraz podanie o „chłopskim” pochodzeniu Piastów, są do tego stopnia wiarygodne, iż można uznać rodzimy charakter polskiej dynastii. Nie omieszczał jednak zabezpieczyć swych wywodów, skądinąd niedającym się pominąć w większości narracji historycznych, zastrzeżeniem: „jak się wydaje”. Na większe kłopoty natrafił, gdy przyszło mu probierz samorodności i „rodzimości” przyłożyć do sposobu powiększania terytorium, które z „państwka” Polan przekształcone zostało w Polskę. Oto co pisał na ten temat: „Wśród Polan okazały się widoczne szczególnie pomyślne warunki dla **ekspansji feudalnej**, które wskazywały wielmożom korzystne dla nich strony wzmocnienia centralnego aparatu państwowego. Należało do nich **jednoczenie** terytoriów sąsiednich. Porządek geograficzny przemawiałby za najwcześniejszym **przyłączeniem** kraju między górną Wartą, Pilicą oraz górną Bzurą, czyli późniejszej ziemi łęczyckiej (i sieradzkiej). Potem ich **zdobyczą** stało się Mazowsze, zachowujące jeszcze w XI w. pamięć samodzielności politycznej. W ten sposób na początku rządów Mieszka koło połowy X w. zostały **zjednoczone** w zawiązku państwa ogólnopolskiego dość znaczne terytoria, **ciążące ku niemu** podobnym rozwojem społecznym, językiem i kulturą. [...] W oparciu o podstawę terytorialną i ludnościową, **zdobyta** w końcu IX w. i w pierwszej połowie X w., państwo Polan mogło **rozszerzyć** swój obszar na całość dorzecza Odry i Wisły, zapoczątkować rozwój państwa polskiego i nadać równoległemu procesowi kształtowania się narodowości polskiej silne podstawy” (podkr. A.W.)⁹³. Łatwo dostrzec, że w przytoczonym fragmencie ani razu nie padło określenie „podbój”, chociaż były takie słowa, które jak „ekspansja” czy „zdobycz” ocierały się o jego aksjologiczną zawartość. Co więcej, tłumione one były czy też równoważone przez „integracyjne” eufemizmy typu „przyłączenie”, „jednoczenie” czy „ciążenie” sąsiadów ku wielkopolskiemu centrum państwowotwórczemu. Pośród tych eufemizmów bodaj największe znaczenie miał ostatni z wymienionych, on bowiem rozstrzygał, że państwo polskie powstawało nie drogą podboju, lecz endogenicznie, wyłaniając się niejako z „ciążącego

⁹³ A. Gieysztor, *Geneza państwa polskiego...*, s. 133–134.

ku sobie” etnosu zachodniosłowiańskiego. W istocie terytorialne zdobycze Polan utożsamione tu zostały z „jednoczeniem” terytoriów, których ludność do owych Polan „ciążyła”. W efekcie już w pierwszej połowie X w. Mieszko uzyskał niezbędną podstawę terytorialną, by jego „państewko” przekształciło się w państwo, którego istnienie już w 963 r. znalazło pośrednie potwierdzenie w kronice Widukinda z Korbei.

Jeśli pominąć marksistowskie inspiracje teoretyczno-metodologiczne, koncepcja Gieysztora zbliżała się do teorii państwowego samorództwa dziewiętnastowiecznych konserwatystów galicyjskich, chociaż w odróżnieniu od tych ostatnich zignorował on zupełnie charakterologiczny wątek państwowotwórczej nieudolności Słowian. Pod tym względem jego wywody były o wiele bardziej spójne. Skądinąd można się w nich doszukiwać podobieństw do wcześniejszych koncepcji grawitacyjnego, by tak powiedzieć, formowania się państw (drogą „ciążenia związków” politycznych fizycznie oraz „duchowo” słabszych do silniejszego, przyciągającego nie tyle swą siłą materialną, ile realizacją najwyższych wartości ogólnoludzkich), tak typowych dla romantycznych wizji Polski „magnetycznej”, które w reakcji przeciw krakowskiej szkole historycznej odżyły w pierwszych dziesięcioleciach XX w. (Jan Karol Kochanowski, Antoni Chołoniewski i inni).

6. *Państwo a chrystianizacja*. „Zadania polityczne Mieszka I i jego wielmożów polegały na umacnianiu wewnętrznym organizacji państwowej typu feudalnego i na ogarnięciu nią dalszych obszarów”⁹⁴. Pisząc te słowa, Gieysztor nie precyzował, kto lub co postawiło przed polskim władcą owe dwa rodzaje zadań, a zwłaszcza misję umacniania państwa „typu feudalnego”⁹⁵. „Poważna liczba badaczy” miała potwierdzać, że zrealizowano je w latach 990–992, kiedy to po włączeniu Małopolski i Śląska nastąpiło „zakończenie formowania się terytorialnej podstawy państwa ogólnopolskiego”. Natomiast w dziele umocnienia organizacji państwowej drogą wewnętrzną konsolidacji „niemałą rolę odegrało przyjęcie chrześcijaństwa”. Kryła się w tym pewna niekonsekwencja, gdy w dalszym toku wywodów „niemała rola” określona została jako „konieczność”, bez której wspomniana konsolidacja byłaby niemożliwa. „Ocena aktu chrystianizacji Polski – pisał Gieysztor – podobnie jak Rusi i Czech, sprowadza się do **uznania jego koniecznego miejsca w procesie utrwalania się państwa polskiego** i jego bazy feudalnej. Ujemne skutki w przypadku Polski przejmującej obrządek łaciński, podkreślone przez najnowszą literaturę, takie jak: podporządkowanie hierarchii kościelnej obcym czynnikom politycznym, oraz wpływ opóźniający

⁹⁴ Tamże, s. 134–135.

⁹⁵ Wizja „zadaniowanego” procesu historycznego nastuwa bliskie skojarzenia z myślą Bobrzyńskiego; zob. rozdz. I niniejszej książki, s. 87–92.

powstanie własnej kultury piśmienniczej, okazały się w dalszych etapach procesu historycznego” (podkr. A.W.)⁹⁶. Konkluzja Gieysztorą była dość prosta – najpierw powstało państwo polskie, dla którego *conditio sine qua non* trwałego istnienia stanowiło przyjęcie chrześcijaństwa. Innymi słowy, jakkolwiek państwo polskie nie powstało w wyniku chrystianizacji, to jednak bez niej nie mogłoby istnieć.

Podkreślając, że podobnie było w wypadku Rusi i Czech, Gieysztor odcinał się od ewentualnych posądzeń o traktowanie naszych dziejów w kategoriach „religiancko-kościelnej” wyjątkowości utrzymanej w konwencji „Chrystusa narodów”. Był to zarzut, który stanowił niebagatelny oręż w ideologicznym arsenale władz komunistycznych i dlatego, jak można domniemywać, historykowi szczególnie zależało, aby władze nie sięgały do tego arsenału. Tym bardziej że zaangażował się w ideę obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego, z którą środowiska naukowe, zwłaszcza z kręgu mediewistyki archeologicznej, łączyły nadzieje na uzyskanie środków umożliwiających prowadzenie szeroko zakrojonych badań⁹⁷. Dla władz komunistycznych nie do przyjęcia było utożsamienie narodzin Polski z chrztem Mieszka I, co w polskiej nauce, jak konstatował sam Gieysztor, uchodziło wcześniej niemal za pewnik. Natomiast do zaakceptowania przez władze była gradacja temporalna – najpierw państwo, potem chrześcijaństwo, chociaż przedział między „najpierw” a „potem” był wręcz znikomy, a przy tym niezbyt wyrazisty. Nie dawało

⁹⁶ A. Gieysztor, *Geneza państwa polskiego...*, s. 135.

⁹⁷ Charakterystyczne, że Kierownictwo Badań nad Początkami Państwa Polskiego nazywane było potocznie „Millenium”. Nazwa ta upowszechniła się po wygłoszonym w 1948 r. przez Gieysztorą referacie *Polskie Millenium. Z zagadnień współpracy i archeologii wczesnodziejowej* (w rozszerzonej wersji opublikowanym w „Przeglądzie Historycznym” 38, 1948, z. dod., s. 391–405), w którym autor nawiązywał do idei obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego sformułowanej w 1946 r. przez Witolda Hensla („Przegląd Wielkopolski” i osobna odbitka: *Potrzeba przygotowania wielkiej rocznicy. O niektórych zagadnieniach polskiej prehistorii*, Poznań 1946), korygując jednak zawarte w niej utożsamienie daty chrztu Polski z datą narodzin polskiego państwa. Więcej szczegółów na ten temat odnaleźć można przede wszystkim w: B. Noszczak, dz. cyt., zwłaszcza w rozdziale drugim tej pracy, zatytułowanym *Inicjatywa „milenijna” środowisk naukowych (1945–1953)*; zob. też recenzję książki Noszczaka: A. Abramowicz w „Archeologia Polski” 50, 2005, 1–2, s. 194–202, a także tekst polemiczny E. i S. Tabaczyńskich, „*Sacrum*” czy „*profanum*”? *Uwagi na marginesie pracy B. Noszczaka (2002) oraz recenzji A. Abramowicza (2005)*, „Archeologia Polski” 50, 2005, 1–2, s. 134–144. W tym miejscu można jedynie zaznaczyć, że o ile Andrzej Abramowicz ocenia książkę Noszczaka pozytywnie jako „dobrze udokumentowana i ciekawą” (s. 201), o tyle Eleonora i Stanisław Tabaczyńscy oceniają ją surowo: „jako bardzo słabą merytorycznie i szkodliwą społecznie” (s. 141). Ostatnio ukazała się, mniej jednak przydatna dla tematyki mojej książki, publikacja: *Pół wieku milenium. Religijne, polityczne i społeczne aspekty obchodów tysiąclecia chrztu Polski (1956–1966/1967)*. *Studia i materiały*, red. B. Noszczak, Warszawa 2017.

się choćby ukryć, że **zakończenie** budowy „terytorialnej podstawy państwa ogólnopolskiego” nastąpiło dopiero w ćwierć wieku po akcie chrystianizacji⁹⁸. Władzom zależało jednak na zachowaniu tej gradacji, a co więcej, na nadaniu jej wymiaru niemal ponadczasowego. W oficjalnej hierarchii cnót obywatela PRL państwo powinno stać przed religią, jeśli ta w ogóle do cnót obywatelskich mogła być zaliczana. Oczywiście tylko do czasu jego „obumarca”, co było warunkiem osiągnięcia komunizmu. Na takim tle ideowym postawa Gieysztorą jawi się jako koncyliacyjna, otwierająca drogę do pozyskania przychylności zarówno władz państwowych, jak i kościelnych dla milenijnych przedsięwzięć aktywizujących **środowiska naukowe**. Oczywiście w sensie ideowo-politycznym nie miała ona większego wpływu na nasyconą elementami rywalizacji dwudzielność obchodów milenijnych – z jednej strony polityczno-państwowych, z drugiej zaś kościelno-religijnych.

„Na naszych ziemiach spośród państwerek doby formowania się układu feudalnego jedno, sytuowane nad Wartą, podjęło dzieło jednoczenia całego obszaru i doprowadziło je do końca w ciągu drugiej połowy X wieku...”⁹⁹. Gdybyśmy to zdanie wyrwali z kontekstu, byłoby trudne do zrozumienia. Mamy tu bowiem pewną niejasność co do tego, czy „nasze ziemie” należy traktować jako terytorium państwa polskiego (wówczas istotne staje się odniesienie do nazw dających się sparametryzować temporalnie takich jak: „Corona Regni Poloniae”, „Rzeczpospolita Obojga Narodów”, „II Rzeczpospolita”, „Polska Ludowa”, „PRL” czy też III RP jako terytorium „narodowe”, „ojczyste” „historyczne”, np. u Bobrzyńskiego „Słowiańszczyzna polska”), któremu to podejściu szczególnie bliskie jest nastawienie emocjonalne. Podobna aksjologia nakładana jest na ludność związaną „z dziada pradziada” z owym „praojczystym terytorium” czy też z „narodową ojcowizną” i wymieniającą się z władzą zwierzchnią i jej odgałęzieniami różnego typu świadczeniami (materialnymi, militarnymi, itp.). Wszystko to prowadzi na ogół do traktowania genezy własnego państwa bardziej w aspekcie procesualnym niż wydarzeniowym, bardziej w duchu ewolucji etniczno-kulturowej oraz „**historycznej**” (wspólnota losów dziejowych i grawitacji „pobratymczych ludów”), niż jednorazowego aktu, za jaki zazwyczaj rozumie się podbój. Oczywiście można łączyć te dwa podejścia na różne sposoby, i tak zazwyczaj czynimy, choć najczęściej nie w pełni świadomie. Ma to swoje dobre i złe strony, ale z przeprowadzenia ich bilansu trzeba tu zrezygnować, choćby ze względu na aksjologiczne metamorfozy i transgresje dobra i zła,

⁹⁸ Na takie intencje może wskazywać fakt, że informacja o stanowisku „poważnych badaczy” na temat „zakończenia formowania terytorialnej podstawy państwa ogólnopolskiego” w latach 990–992 znalazła się jedynie w przypisie przywołanego wyżej artykułu Gieysztorą; zob. tenże, *Polskie Millenium...*

⁹⁹ Tenże, *Geneza państwa polskiego...*, s. 126.

których bodaj najwdzięczniejszą dla historyka domeną są właśnie różnego typu podboje.

Ukazując, jak na „naszych ziemiach” dopełniał się feudalizm i jak w wyniku rozwoju (wzrostu) sił wytwórczych umacniała się klasa „wielkiej własności ziemskiej”, upatrująca w organizacji państwowej ostoję swej uprzywilejowanej pozycji, Gieysztor usiłował swą narracją o początkach Polski podporządkować marksistowskiej wersji państwowego samorództwa. Bez względu na to, czy państwa powstawały z zachowaniem kanonicznego następstwa formacji, czy też – jak miało to być w wypadku państw słowiańskich, germańskich i „po części” celtyckich – z pominięciem formacji niewolniczej¹⁰⁰, swe zaistnienie zawdzięczały one kołu zamachowemu historii, jakim miał być immanentny rozwój sił wytwórczych i dychotomiczne zróżnicowanie klasowe społeczeństw. Państwo stanowiło instrument władzy tych, którzy posiadali środki produkcji (w feudalizmie była to głównie ziemia), nad tymi, którzy ich nie posiadali. Tak jak nie mogło zaistnieć w bezklasowym ustroju wspólnoty pierwotnej, tak w przyszłości musiało przestać istnieć („obumrzeć”) w teleologicznie i finalistycznie pojmowanym bezklasowym komunizmie, aspirującym do zajęcia „naukowego” miejsca po wcześniejszych „religianckich przesądach” o nastaniu Królestwa Bożego na ziemi.

RYSZARD ROSIN – W KRĘGU ROZRACHUNKÓW Z HISTORIOGRAFIĄ NIEMIECKĄ

Zminimalizowany, czy wręcz uznany przez Gieysztora za nieistotny, problem normańskiego pochodzenia Mieszka I podjął w odrębnym studium Ryszard Rosin. Badacz ten, wchodzący w skład łódzkiego zespołu kierowanego przez Serejskiego, nie bez inspiracji ze strony tego ostatniego, przygotował i opublikował w 1955 r. artykuł oparty na niemieckich źródłach historiograficznych obejmujących okres dwudziestolecia międzywojennego i II wojny światowej¹⁰¹. Jest to tekst, który od strony historiograficznej dopełnia wystąpienia Labudy (1948 r.)¹⁰², Serejskiego (1952/1953 r.) i Gieysztora (1954 r.), trudno

¹⁰⁰ Abstrahuję tu od rozważań na temat azjatyckiego sposobu produkcji i kwestii istnienia feudalizmu w Chinach.

¹⁰¹ R. Rosin, *Geneza państwa polskiego w historiografii niemieckiej okresu międzywojennego*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Łódzkiego. Seria 1, Nauki Humanistyczno-Społeczne” 1955, 1, s. 105–123. Przed Rosinem najobszerniej na ten temat wypowiedział się Z. Wojciechowski. Jego omówienie poglądów historyków niemieckich z 1939 r. mogło objąć jednak tylko prace opublikowane do 1938 r.; zob. tenże, *Polska nad Wisłą i Odrą w X wieku. Studium nad genezą państwa Piastów i jego cywilizacji*, Katowice 1939, s. 9–14. Ustalenia Rosina wykorzystałem już częściowo w rozdz. II niniejszej pracy.

¹⁰² Ze względów konstrukcyjnych polemikę G. Labudy z wcześniejszymi wystąpieniami A. Brackmanna omówiłem w rozdz. II niniejszej pracy.

zatem go nie docenić, chociaż nie sposób zarazem nie postawić kilku znaków zapytania przy niektórych z wysuniętych w nim konkluzji.

Rosin włączył się do grona tych historyków polskich, którzy w koncepcji „normańsko-Dagońskiej” od samych początków jej narodzin doszukiwali się politycznej stronnicości historiografii niemieckiej, chcące jakoby za wszelką cenę służyć polityce swojego państwa. Według niego pomysły Holtzmanna i Schultego wprowadzone do publicznego obiegu w 1918 r. „dokładnie odzwierciedlają koncepcje ówczesnej polityki niemieckiej w stosunku do Polski, zapoczątkowanej oficjalnie w listopadzie 1916 r. Zdobyte przez państwa centralne na Rosji carskiej ziemie polskie miały tworzyć dzięki wspólnemu wysiłkowi zwycięzców monarchię konstytucyjną na czele z królem pochodzącym z niemieckiej dynastii panującej. **Historycy niemieccy mieli wykazać**, że precedens ten nie jest czymś nowym. Już w X w. germańscy wojownicy ze swoim wodzem znanym w historii Polski pod imieniem Mieszka I podbili ziemie nad Wartą i Wisłą i stworzyli z podbitej ludności państwo polskie rządzone przez władców obcego, normańskiego pochodzenia” (podkr. A.W.)¹⁰³. Wywód Rosina mógł budzić aprobatę, odwoływał się bowiem do często wyrażanego przekonania o „fałszywej historii”, mającej być czy to „służebnicą”, czy mistrzynią „fałszywej polityki”. Z drugiej jednak strony hipotezom Holtzmanna i Schultego w roku ich publikacji (1918) trudno przypisywać chęć realizacji tak rozumianego zamówienia politycznego, choćby dlatego, że od połowy tego roku, wobec odmienionej sytuacji na frontach Wielkiej Wojny i rychłej listopadowej kapitulacji Cesarstwa, takie „zamówienie” po prostu nie miało sensu. Skądinąd historyk polski przyznawał, że: „Klęska Niemiec w pierwszej wojnie światowej pozbawiła teorię najazdu jej aktualnie politycznego znaczenia, a zwięzła, ale bardzo krytyczna recenzja A. Hofmeistera artykułów Holtzmanna i Schultego zamknęła przed nią drogę w ogólnoniemieckich wydawnictwach naukowych”¹⁰⁴.

Rosin nie miał wątpliwości, że hipoteza normańskiego podboju i stworzenia państwa polskiego przechodziła w okresie międzywojennym i w latach II wojny światowej różne koleje losu, w zależności od zmian politycznych. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że nie tylko sfera polityczna wpływała na jej żywotność. Obok uwarunkowań politycznych duże znaczenie miały, jak to określał, „błędne pozycje metodologii burżuazyjnej”, przejawiające się pod postacią deprecjacji procesów wewnętrznych oraz przeceniania roli jednostek. Sam opowiadał się za marksistowską dyrektywą, by powstawanie państw łączyć z „podziałem społeczeństwa na wrogie sobie klasy, z rozwojem sił wytwórczych, charakterem stosunków społecznych oraz poziomem

¹⁰³ R. Rosin, dz. cyt., s. 107.

¹⁰⁴ Tamże, s. 110.

kultury materialnej i duchowej”, nie zaś sprowadzać do „jednorazowego aktu państwowego powstałego wyłącznie dzięki działalności i zasługom wybitnej osobistości, »genialnego władcy«”¹⁰⁵. Trafnie przy tym dostrzegął, że dla odnoszonych do państw słowiańskich hipotez endogenicznych niekorzystny klimat stwarzał i stwarza postherderowski stereotyp Słowianina. Wiedział jednak, że charakterologiczny kanon słowiańskiej nieudolności politycznej upowszechnił się wbrew intencjom niemieckiego myśliciela, który wysoko oceniał „przyszłościowe” przymioty Słowian. W efekcie stało się tak, że ten sam Słowianin, opatrzony taką samą w istocie etykietą charakterologiczną, raz okazywał się prekursorem ukazującym nadchodzący styl bycia i życia dla lepszej niż dotychczas Europy (Herder), innym znów razem niezdarnym, pozbawionym politycznego instynktu i woli przetrwania „niewolnikiem tańczącym”. Trudno nie przyznać Rosinowi racji, gdy pisał, że Herder „nie był wrogo ustosunkowany do Słowian i jego wyidealizowany obraz Słowiańszczyzny pierwotnej dopiero w interpretacji uczonych niemieckich XIX w. przybrał cechy zdecydowanie ujemne”¹⁰⁶. Z drugiej strony Rosin jak gdyby nie dostrzegął, że obok historyków niemieckich nie ma, jeśli wręcz nie większy wkład w upowszechnianie się takich przekonań mieli uczeni polscy, którzy tak jak galicyjscy konserwatyści z dużą ekspresją potrafili ubolewać nad politycznymi ułomnościami „słowiańskiej duszy”¹⁰⁷.

Zarysowana wyżej tendencja interpretacyjna, przejawiająca się w pomijaniu polskich antecedencji historiograficznych i ekspozowaniu niemieckiego pochodzenia tezy o germańskim wkładzie w budowę państwa polskiego, uwidoczniła się najwyraźniej w jednej z głównych konkluzji Rosina, która głosiła, że niemiecka hipoteza z 1918 r. „**była tworem zupełnie nowym**” (podkr. A.W.)¹⁰⁸. Miał o tym decydować fakt, że w historiografii niemieckiej, mimo że niejednokrotnie powoływano się na wcześniejsze hipotezy formułowane przez Polaków, to do „poglądów Czackiego, Szajnochy, Maciejowskiego i Krotoskiego nigdy jednak bezpośrednio nie nawiązywano, jedynie od czasu do czasu powoływano się na prace Piekosińskiego. Zasadniczo nawiązywanie do polskich przedstawicieli teorii najazdu ograniczało się do dwóch, trzech zdań streszczających ich poglądy, a jeszcze częściej do samego wymienienia nazwisk”¹⁰⁹. W sumie, zdaniem Rosina, całkowitą nowość „tworu niemieckiego”

¹⁰⁵ Tamże, s. 106.

¹⁰⁶ Tamże.

¹⁰⁷ Szerzej na ten temat pisałem w rozdz. I niniejszej książki, m.in. w partiach poświęconych krakowskiej szkole historycznej, a także w monografii *Spory o polską duszę. Z zagadnień charakterologii narodowej w historiografii polskiej XIX i XX wieku*, wyd. 2 rozsz., Warszawa 2010.

¹⁰⁸ R. Rosin, dz. cyt., s. 107.

¹⁰⁹ Tamże.

w stosunku do hipotez formułowanych wcześniej przez Polaków miała potwierdzać nie jego treść, ale fakt, że powstał on w odwołaniu do „zupełnie innej bazy źródłowej” niż ta, którą wykorzystywali historycy polscy w XIX w.¹¹⁰ Był to argument o dużej sile perswazyjnej, z tym że ukierunkowanej jednak *à rebours*, bo przecież w klasycznej procedurze badawczej sformułowanie analogicznej hipotezy na podstawie różniącej się bazy źródłowej jest traktowane jako wzmocnienie hipotezy „starej”, nie zaś jako konstrukcja nosząca cechy „całkowitej nowości”. Odmierna podstawa źródłowa tej samej hipotezy po prostu ją uwiarygodnia czy wręcz konfirmuje. Zwracając na to uwagę, nie można jednak zapominać, że bogaty materiałowo, a zarazem niepozbawiony conceptualnych walorów tekst Rosina powstawał na początku lat pięćdziesiątych minionego stulecia, a więc krótko po zakończeniu II wojny światowej, kiedy to utrzymywała się atmosfera niechęci, a nierazko wręcz pogardy, i to nie tylko dla polityczno-ideologicznych, ale też intelektualno-naukowych produktów opatrzonych znakiem *made in Germany*. W owych czasach bariery psychologiczne i polityczne bynajmniej nie sprzyjały twierdzeniom, że niemieckie hipotezy normańskich początków Polski mogły nawiązywać do hipotez formułowanych wcześniej przez historyków polskich. Określenie ich przez Rosina mianem „zupełnej nowości” miało zatem zabarwienie jednoznacznie pejoratywne, analogicznie do tego, jakim kilkadziesiąt lat wcześniej posłużył się Adam Asnyk w znanej satyrze na krakowską szkołę historyczną, zaczynającej się od diagnozy: „Historyczna **nowa** szkoła / Swą metodę badań ścisłą / Sprowadzoną hurtem z Niemiec / Rozpowszechnia ponad Wisłą”, a kończącej prognozą: „I nicując dawne sądy / Nie powstrzyma się w zapędzie / Aż dowiedzie, że król Herod / Dobroczyńcą był dla sierot”. Po prostu tak rozumiane, zabarwione „konserwatywną” ironią określenie tego, co nowe, aksjologicznie stało na przeciwnym krańcu w stosunku do urzędowo zsakryfikowanej (przynajmniej we współczesnej nam Europie) innowacyjności.

HENRYK ŁOWMIAŃSKI – KOMPARATYSTYCZNA ANALIZA KONCEPCJI NORMANISTYCZNYCH

Spośród historyków polskich w czasach PRL kwestię hipotezy normańskich początków polskiego państwa najpełniej ujął Łowmiański. Na tle pozostałych publikacji poświęconych tej problematyce jego monografia zatytułowana *Zagadnienie roli Normanów w genezie państw słowiańskich* (1957) wyróżnia się obudową teoretyczną, bogatym zapleczem warsztatowo-źródłowym, co dotyczy zwłaszcza części poświęconej Rusi, a także komparatystycznym

¹¹⁰ Tamże.

ukierunkowaniem, polegającym na paralelnym potraktowaniu genezy państw: czeskiego, polskiego i ruskiego. Jeśli pominąć część „ruską”, objętościowo ponad siedmiokrotnie większą od razem wziętych części „czeskiej” i „polskiej”, książkę tę można uznać za rodzaj historiograficznej dygresji związanej z powierzonymi Łowmiańskiemu pracami redaktora naukowego pierwszego tomu firmowanej przez IH PAN *Historii Polski* (1957), a jeszcze bardziej z przygotowaniem do monumentalnego dzieła, jakim są *Początki Polski* (t. 1–6, 1963–1985). Znamienne jednak, że niezależnie od różnorodnych wątpliwości, owa „dygresja” stanowi w historiografii polskiej publikację godną szczególnej uwagi¹¹¹. Można jedynie dodać, że mimo upływu lat, do dnia dzisiejszego pod wieloma względami nadal znajduje ona uznanie wśród specjalistów¹¹².

TEORIA

Łowmiański przyznawał, że ważnym motywem, który skierował jego uwagę w stronę badań nad genezą państw słowiańskich, były zastarzałe uprzedzenia co do państwowotwórczych możliwości Słowian. Historyk nie przywoływał tu jednak nazwiska Herdera, którego charakterologicznym koncepcjom nadawano antysłowiańskie ostrze, wskazywał natomiast na bliższego jego czasem Johanna Peiskera jako na tego przedstawiciela historiografii obcej (tj. niesłowiańskiej), który w formie dojrzałej („wykończony”) przedstawił tezę o „odwiecznej niewoli Słowian w jarzmie najeźdźców germańskich lub turkotatarskich i grożącej Słowianom anarchii w razie zrzucenia tej niewoli”¹¹³. Autor tej tezy nie stanowił jednak najlepszego przykładu, ponieważ niemal w tym samym czasie Jan Adamus zaliczył jego twórczość do „literatur słowiańskich”¹¹⁴, w wyniku czego teza Peiskera przybrała charakter argumentu „obrotowego”¹¹⁵. Łowmiański widział w niej dzieło obce, Adamus dzieło rodzime – słowiańskie. Trudności z plemiennym usytuowaniem Peiskera

¹¹¹ Dzisiaj, jeśli chodzi o kwestię ruską, prym dierży dzieło Władysława Duczki *Ruś wikingów. Historia obecności Skandynawów we wczesnośredniowiecznej Europie Wschodniej*, tłum. N. Kreczmar, Warszawa 2007, natomiast w naświetlaniu kwestii polskiej przodują publikacje Lecha Leciejewicza i Błażeja M. Stanisławskiego.

¹¹² Zob. P. Boroń, *Norsemen and the Polish Territories in the Early Middle Ages – Theories, Ideas and Speculation*, w: *Scandinavian Culture in Medieval Poland*, red. S. Moździoch, B. Stanisławski, P. Wiszewski, [tłum. T. Borkowski], Wrocław 2013, s. 34–52.

¹¹³ H. Łowmiański, *Zagadnienie roli Normanów w genezie państw słowiańskich*, Warszawa 1957, s. 6. Podstawę dla takich sądów Łowmiański znalazł w pracy: J. Peiskera, *Die älteren Beziehungen der Slaven zu Turkotataren und Germanen und ihre sozialgeschichtliche Bedeutung*, „Vierteljahrschrift für Sozial- und Wirtschaftsgeschichte” 3, 1905, s. 301, 305.

¹¹⁴ J. Adamus, *Polska teoria rodowa...*, s. 16.

¹¹⁵ Nawiązuję tu do określeń Ewy Morawskiej („ksenofobia obrotowa”) i Antoniego Słonimskiego („przedmurze obrotowe” w sztuce *Rodzina*).

i przypisania jego tezie, czy to obcej, czy to rodzimej proveniencji zdają się rozwiewać te współczesne opracowania i wydawnictwa słownikowo-encyklopedyczne, które kompromisowo, chciałoby się powiedzieć „krakowskim targiem”, widzą w nim historyka i sławistę austriackiego.

Naukową rangę kwestii określonej w tytule swej normanistycznej monografii Łowmiański dostrzegał głównie w tym, że odnosi się ona do koincydencji dwóch procesów zachodzących w średniowiecznej Europie. Z jednej strony było to nasilenie się od połowy VIII w. ekspansji skandynawskiej, która „przez lat 300, osiągnęła też wyjątkowy efekt przestrzenny, obejmując wszystkie peryferie Europy od Hebrydów i Irlandii po Bizancjum, od Sewilli i Tuluzy do Ładogi i przenikając nieraz w głąb tego kontynentu”¹¹⁶, z drugiej zaś – „krystalizowanie się” w Europie ustroju feudalnego. Wtedy to właśnie z pomroki dziejów wyłoniły się Czechy, Ruś i Polska.

Już w tym miejscu warto zwrócić uwagę na sposób, w jaki historyk stawiał interesującą go kwestię. W polu jego widzenia pozostawała w istocie koincydencja nie dwóch, ale trzech procesów zachodzących w średniowiecznej Europie, a mianowicie: 1) wzmożenia się normańskiej ekspansji, 2) „krystalizowania się” feudalizmu, 3) narodzin państw i, rozumianych zgodnie z ówczesnym marksistowskim kanonem, „narodowości”, czyli wspólnot niedojrzałych jeszcze czy też „niepełnych”, niespełniających wszystkich warunków stalinowskiej definicji narodu. Wewnątrz owej triady Łowmiański przeprowadził jednak rozgraniczenie – pierwsze dwa człony zaliczone zostały do kategorii przyczyn, natomiast trzeci do kategorii skutków. Innymi słowy, jeżeli pierwsze dwa wyjaśniały (*eksplanans*), to trzeci był jedynie wyjaśniany (*eksplanandum*). W sytuacji, gdy państwo mogło być tylko skutkiem, a nie przyczyną, to poza polem analizy i refleksji pozostawała relacja odwrotna, zgodnie z którą to właśnie ono zaszczepiło w Polsce feudalizm, bądź tak jak między innymi uważali Joachim Lelewel, Antoni Walewski, a w dwudziestoleciu międzywojennym choćby Jan Karol Kochanowski czy Roman Rybarski, że Polacy feudalizmu nigdy nie zaznali, choć państwo mieli.

Nie był to jednak intelektualny fałsz. Łowmiański, którego książka ukazała się w atmosferze „październikowej odwilży”, szedł jak gdyby dawnym, przedodwilżowym tropem, deklarując, że prezentuje ujęcie marksistowskie w jego klasycznej postaci. Może to zabrzmieć nieco dziwacznie, ale w tym wypadku był to marksizm engelsowski. „Obowiązywał” zatem dogmat feudalizmu jako *conditio sine qua non* powstania większości państw słowiańskich, które nie przeszły formacji niewolniczej i nie zostały założone przez niesłowiańskich najeźdźców. W przeciwieństwie do swoich poprzedników, którzy tak jak Serejski czy Rosin, podejmując kwestię państwowotwórczego podboju

¹¹⁶ H. Łowmiański, dz. cyt., s. 5.

Polski, ograniczali się w zasadzie do zdawkowych deklaracji o doniosłości rozwoju sił wytwórczych i trafności ujęcia engelsowskiego, Łowmiański osadził swe rozważania w bliższym sąsiedztwie teorii, której obszar wyznaczała dychotomia egzogenicznego i endogenicznego formowania się państw. Historyk nie odwoływał się jednak do owych nierozpowszechnionych jeszcze w tamtych latach terminów (wywodzących się bodaj z geologii) i najczęściej mówił, tak jak inni mu współcześni, o procesach wewnętrznych – utożsamianych z ewolucją i zewnętrznych – łączonych przeważnie z podbojem lub łagodniejszymi formami „wpływów”. W bliskim sąsiedztwie tego przeciwstawienia sytuowały się opozycyjne konotacje homogeniczności („wewnętrzności”) i heterogeniczności („zewnętrzności”) ¹¹⁷.

Spoglądając z nieco innej strony, teoretyczne pole swych rozważań na temat powstawania państw nakreślił Łowmiański w odwołaniu do dychotomii podejścia wydarzeniowego („obcy najazd”) i procesualnego (ewolucyjny, „wewnętrzny” rozwój społeczeństwa), przy czym za najbardziej reprezentatywnych dla obu tych orientacji autorów uznał z jednej strony Ludwika Gumplowicza, z drugiej zaś Fryderyka Engelsa. Jakkolwiek otwarcie przyznawał, że jego własne poglądy są inspirowane przez tego ostatniego, to bynajmniej poglądów Gumplowicza nie obejmował w całości anatema. Oczywiście, idąc za Engelsem, daleki był od uznania, że ludność państwa składała się zawsze i wszędzie z elementów heterogenicznych, powstałych w wyniku podporządkowania sobie autochtonów przez obcych jej „rasowo” najeźdźców. Główną słabością wywodu autora *Rasse und Staat* (1875) było dłań całkowite pominięcie czynnika gospodarczego, bo przecież państwowotwórczy najazd mógł być skuteczny tylko w sytuacji, gdy autochtoni potrafili osiągać takie nadwyżki produkcyjne, które zdolne były utrzymać rekrutującą się spośród zdobywczycy alochtonów klasę panującą. Bez tych nadwyżek państwo, nawet jeśli zostało utworzone, nie miało szans na przetrwanie.

Wyżej od Gumplowicza stawiał Łowmiański poglądy socjologa i teoretyka państwa Franza Oppenheimera, który również uznawał, iż podbój to *causa efficiens* powstawania państw, zaznaczając jednak zarazem, że „podbita i eksploatowana masa tylko w tym wypadku może udźwignąć ciężar maszyny państwowej, jeśli osiągnęła odpowiedni szczebel struktury gospodarczej stwierdzał tedy, że nie prowadzi do powstania ustroju państwowego podbój ludu trudniącego się łowiectwem, umożliwia natomiast stworzenie organizacji państwowej podbój ludności rolniczej i to posługującej się pługiem. Jest to już pogląd bardziej zbliżony do stanowiska tych badaczy,

¹¹⁷ Kwestia pochodnych czy też zbliżonych znaczeniowo opozycji terminologiczno-pojęciowych to obszar tak rozległy, że szersze jej podjęcie w tym miejscu i przez tego autora jest po prostu niemożliwe.

którzy szukają przyczyny powstania państwa wewnątrz danego społeczeństwa, a nie poza nim”¹¹⁸. Brzmi to nieco paradoksalnie, ale przekonanie, że nie ma genezy państwa bez pługa blisko korespondowało z ukierunkowanym w stronę sprawczej roli sił wytwórczych ujęciem marksistowskim. Czy jednak musiało być ono równoznaczne z całkowitą eliminacją podboju z rzędu czynników państwowotwórczych?

Jeżeli podczas konferencji otwockiej, a także w świetle późniejszych, na ogół zdawkowych, wypowiedzi historyków polskich koncepcja Engelsa jawiła się dość monolitycznie, to w ujęciu Łowmiańskiego z 1957 r. sprawa już nie wyglądała tak prosto. Wczytawszy się w dzieło *O pochodzeniu rodziny, własności prywatnej i państwa*, historyk zwracał uwagę, że jego autor nie negował bynajmniej możliwości podboju jako „współczynnika” formowania się państw, chociaż naświetlając ich genezę, szczególny nacisk kładł na przyczyny wewnętrzne. Co więcej, przykład Aten miał utwierdzać Engelsa w przekonaniu, że jest „możliwe powstanie państwa w rezultacie wyłącznie procesu wewnętrznego” i pozwalać na traktowanie tego rodzaju genezy za „typową”¹¹⁹. Owa typowość nie obowiązywała już jednak w pełni w dziejach Germanów, w których Engels odnajdywał przykłady „zarówno ewolucyjnego przekształcania się ustroju rodowego w ustrój terytorialny i państwowy, jako też organizacji państwa przez zdobywców germańskich, mianowicie na terenach podbitych Cesarstwa rzymskiego”¹²⁰. W efekcie konkluzja Łowmiańskiego na temat poglądów Engelsa była niezbyt wyrazista: „**W zasadzie** uznawał organizację państwową za »produkt społeczeństwa na określonym stopniu rozwoju«, mianowicie za wynik rozszczepienia się społeczeństwa na klasy o sprzecznych interesach ekonomicznych” (podkr. A.W.)¹²¹. Niezbyt wyraziste było też ostateczne zestawienie zapatrywań trzech porównywanych przez Łowmiańskiego myślicieli na to, czy odpowiedni poziom rozwoju sił wytwórczych (przynoszący podbitym nadwyżki produkcyjne) stanowi warunek konieczny powstania państwa. Mając na myśli czynniki gospodarcze, historyk pisał: „L. Gumplowicz **właściwie** nie dostrzegał ich wcale, Fr. Oppenheimer umieszczał je **raczej** na drugim planie, Fr. Engels przypisywał im decydujące znaczenie” (podkr. A.W.)¹²². „W zasadzie”, „właściwie”, „raczej” – wbrew pozorom te ostrożne sformułowania przemawiają na korzyść analitycznego warsztatu ich autora.

Ostrożność, jaką przejawiał Łowmiański, unikając sądów bardziej kategorycznych, nie oznacza jednak, że nie formułował ich wcale. Podstawową

¹¹⁸ H. Łowmiański, dz. cyt., s. 8.

¹¹⁹ Tamże.

¹²⁰ Tamże.

¹²¹ Tamże, s. 8–9.

¹²² Tamże, s. 9.

dla siebie dyrektywę metodologiczną sformułował, a zarazem uzasadnił następującymi słowy: „podbój nie może w żadnym razie uchodzić za czynnik główny i decydujący w genezie organizacji państwowej, może natomiast wchodzić w grę jako czynnik uboczny. Historia bowiem dostarcza wiele przykładów, a jeden z nich stanowią właśnie ludy skandynawskie, przechodzenia do ustroju państwowego bez obcej interwencji zdobywczej, natomiast nie dostarcza przykładów powstania dzięki podbojowi trwałych organizmów państwowych, pozbawionych należytego zabezpieczenia gospodarczego”¹²³.

Łowmiański zdawał sobie sprawę, że wykreślenie zjawiska podboju z rzędu, jak to określał, „prawidłowości historycznych związanych w sposób konieczny z genezą państwowości” nie rozstrzyga ostatecznie roli innych czynników zewnętrznych, różnorodnych „impulsów”, „wpływów” i „kontaktów”. Nie wątpił, że kontakty między różnymi grupami etnicznymi są bardzo ważnym „czynnikiem postępu”, ale jakkolwiek mogą one sprzyjać przyspieszonemu wzrostowi gospodarczemu, to jednak nie stanowią warunku wystarczającego formowania się państw. Państwowotwórcza efektywność impulsów zewnętrznych zależy bowiem od osiągnięcia określonego stopnia „dojrzałości wewnętrznej”. Taką to konkluzją dopełniał Łowmiański obraz teoretycznych przesłanek swych rozważań, które jak widać utrzymane były głównie w konwencji wyjaśniania dyspozycyjnego¹²⁴. W ostatecznym rozrachunku państwa rodziły się jakby samorodnie, czyli na zasadzie „wewnętrznych” przemian gospodarczych, społecznych i kulturowych. Można powiedzieć, że nawet wówczas, gdy organizowali je obcy etnicznie najeźdźcy, decydującym czynnikiem okazywał się czynnik wewnętrzny ucieleśniony w owym Oppenheimerowskim pługu, dzięki któremu autochtoni mogli wyżywić zwycięskich alochtonów. W każdym razie pług jako czynnik państwowotwórczy jeśli nie w warstwie dosłownej, tak jak to było u Oppenheimera, to w warstwie metaforyczno-symbolicznej, dającej skojarzenia z określonym, „nadwyżkowym” poziomem produkcji, odgrywał w koncepcji Łowmiańskiego rolę kluczową.

EGZEMPLIFIKACJA I WNIOSKI

Czechy. Spośród trzech „większych i trwałych organizmów państwowych”, jakie powstały na Rusi, w Polsce i Czechach, najmniej miejsca w *Zagadnieniu roli Normanów w genezie państw słowiańskich* zajęły Czechy. W istocie pozostawione one zostały na uboczu głównego nurtu myśli Łowmiańskiego, który dzieląc stanowisko przyjęte przez ogół historyków, odrzucał możliwość państwowotwórczego wpływu Normanów na dzieje Czech i Moraw. Zwracał

¹²³ Tamże.

¹²⁴ Tamże, s. 10–11.

on uwagę, że w tej kwestii źródła pisane milczą, ponieważ brakuje materiałów onomastycznych mogących uchodzić za ślady normańskiej obecności w życiu naszych południowych sąsiadów i że w sumie nie ma przekazów mówiących o obecności Normanów, choćby tylko jako „drugorzędnego czynnika” państwowotwórczego w dziejach państwa czeskiego. Jest wprawdzie – przyznawał – niewielka ilość danych archeologicznych, w tym militariów, ale nawet w najbardziej tendencyjnych interpretacjach nie upoważniają one „do snucia domysłów o wikińskim pochodzeniu Przemyślidów i Sławnikowiców, nawet i Samona, o panowaniu Wikingów w grodzie praskim, o ożenku Wikinga Mieszka I z równie dobrze urodzoną, a więc wikińską księżniczką Dobrawą itp.” (autor przywołuje tezy postawione przez trzech autorów niemieckich w publikacjach z lat 1935, 1942, 1944)¹²⁵. Domysły te, niezasługujące na miano hipotez, nie znalazły uznania nawet wśród historyków traktujących dzieje Słowian z punktu widzenia zdecydowanie pronormandyjskiego – „Czechy i Morawy uchodzą nie bez podstawy za przykład **nie dającej się zakwestionować rodzimej genezy państw słowiańskich**” (podkr. A.W.)¹²⁶. Można jedynie żałować, że wybitny historyk nie uznał w tym miejscu za wskazane zastrzec, by ostatnie słowa przytoczonego tu passusu nie sprawiały wrażenia, iż odnoszą się do wszystkich państw słowiańskich, łącznie z bułgarskim i ruskim, których podbojowej genezy w historiografii polskiej, i nie tylko polskiej, na ogół nie kwestionowano.

Polska. Trudno nie zgodzić się z Łowmiańskim, że w dziejach koncepcji normańskich początków państwa polskiego dają się wyodrębnić dwie fazy: starsza – obejmująca wiek XIX i okres do I wojny światowej oraz młodsza, która z temporalnej perspektywy snuty przez tego historyka rozważań (1957 r.) obejmowała czasy dwudziestolecia międzywojennego i II wojny światowej¹²⁷. Pierwsza miała się odznaczać tym, że kwestia normańskich początków polskiego państwa rozważana była niemal wyłącznie przez historiografię polską, druga zaś odwracała niejako ową tendencję, stając się głównie domeną „inwencji obcych badaczy” i polemicznych reakcji ze strony uczonych polskich¹²⁸. Można natomiast zakwestionować inne sformułowanie, które wyszło spod jego pióra, a mianowicie, że w XIX w. jeden tylko historyk polski, Karol Szajnocha, identyfikował Lechitów z najeźdźcami normańskimi, a jego wywody „jednomyslnie odparte przez historiografię polską pozostały w naszej literaturze pozycją samotną”¹²⁹. Były to słowa rozmijające się ze stanem faktycznym, ponieważ w 1890 r. hipotezę bezpośredniego,

¹²⁵ Tamże, s. 14, przyp. 20.

¹²⁶ Tamże, s. 13–14.

¹²⁷ Na okres pierwszej dekady Polski Ludowej Łowmiański nie zwrócił większej uwagi.

¹²⁸ H. Łowmiański, dz. cyt., s. 15.

¹²⁹ Tamże, s. 15–16.

czysto normańskiego podboju, który miał dać początki polskiemu państwu, poparł w niewielkiej rozprawce *Kilka słów w sprawie teorii historyczno-heraldycznej dra Fr. Piekosińskiego* Jan Karol Kochanowski, z tym że wkrótce jednak porzucił ją i stał się jednym z najgorliwszych orędowników tezy o wyłącznie słowiańskich korzeniach polskiego państwa¹³⁰.

W swym przeglądzie koncepcji związanych z hipotezą normańskich początków naszego państwa sformułowanych w pierwszej z wyróżnionych wyżej faz Łowmiański wymienia wielu historyków, o których była już mowa na kartach niniejszej książki. Wśród mniej lub bardziej incydentalnych wzmianek odnaleźć można, obok wspomnianego Szajnochy, nazwiska Czackiego, Lelewela, Piekosińskiego, Małeckiego, Bobrzyńskiego, Smolki, Potkańskiego. Historycy cudzoziemscy są tu reprezentowani dość skąpo (Richard Roepell i dwaj normaniści rosyjscy – Wiktor Rozen i Arist Kunik). Ich domeną jest natomiast faza druga, w której dominują dziejopisowie niemieccy, w tym Robert Holtzmann, Lambert Schulte, Adolf Hofmeister, Hans Jänichen, Wilhelm Koppe, Herbert Ludat oraz, cieszący się w tym gronie szczególną uwagą Łowmiańskiego, Albert Brackmann. To ostatnie nie było zresztą nazbyt oryginalne, ponieważ już od lat trzydziestych XX w. polemiki z Brackmannem wyznaczały główną linię „państwowotwórczych” starć historyków polskich z niemieckimi.

Włączając się w polsko-niemiecką „Dragonomachię”, wyznaczającą główny podzakres zapoczątkowanej u progu II Rzeczypospolitej polsko-niemieckiej „normanomachii”, Łowmiański poddawał, zdawkowej skądinąd, krytyce stanowisko Holtzmanna, który bez „jakiegokolwiek oparcia we wskazówkach źródłowych” snuł domysły, „że Duńczycy pod wodzą Dagona wylądowali w ujściu Odry, podbili małe plemiona słowiańskie między Odrą a Wisłą i założyli ośrodek państwa koło Poznania i Gniezna”. Była to dlań hipoteza, która „nie zasługiwała właściwie na dyskusję”¹³¹. Bardziej ambiwalentnie polski historyk oceniał natomiast poglądy Brackmanna, który mimo że zmierzał do wykazania państwowotwórczej roli Normanów, to zrezygnował z argumentów polegających na odwoływaniu się do występujących na ziemiach polskich imion skandynawskich, słusznie uznając, że mogło być to zjawisko odzwierciedlające jedynie kontakty handlowe i polityczne, a nie fakt najazdu i podboju. Przyznawał również rację Brackmannowi, gdy ten odrzucał domniemania na temat tzw. szczątkowych Germanów (*Restgermanen*), mających stanowić od czasów Wędrówki Ludów warstwę społeczną, która panując wśród Słowian zachodnich, spełniała rolę politycznego „czynnika organizacyjnego”. Na tym jednak miała się kończyć zbieżność stanowisk obu uczonych, ponieważ: „Dla Brackmanna – jak pisał Łowmiański –

¹³⁰ Szerzej na ten temat piszę w ostatnich partiach rozdz. I niniejszej książki.

¹³¹ H. Łowmiański, dz. cyt., s. 18.

nie ulegało wątpliwości, że państwo polskie stworzyła obca siła, zastanawiał się tylko, czy dokonali tego dzieła »szczątkowi Germanowie«, czy też Wikingowie, a gdy pierwsza możliwość nie wydała się prawdopodobna, wypadło przyjąć drugą¹³².

Istotę „polskiej” części monografii Łowmiańskiego stanowi, według słów jej autora, „systematyczne rozpatrzenie argumentów powoływanych na dowód normańskich początków państwa polskiego”¹³³. Jest dość oczywiste, że w tak kierunkowanej analizie aspekt typologizacyjny łączy się z aspektem polemicznym – argumenty przeplatają się z kontrargumentami, co wzmacnia wyrazistość narracji. Natomiast za pewien mankament warsztatowy można uznać, że Łowmiański nie zawsze wskazywał na autorów argumentów „za” i „przeciw”, uznając to za oczywiste czy też ogólnie znane. Ów nadmierny stopień entymematyczności należy jednak potraktować jako usterkę drugorzędną, ponieważ w ostatecznym rozrachunku mniej lub bardziej liczna obecność niedopowiedzeń i „skrótów myślowych” w całości tekstu była, przynajmniej formalnie, jego autorskim przywilejem.

Jakie zatem były węzłowe punkty przeprowadzonej przez tego historyka krytycznej typologii argumentów przywoływanych w sporach na temat domniemanych normańskich początków polskiego państwa? Łowmiański wskazał tu na pięć zakresów pojęciowych, odnoszących się do: 1) podstawy źródłowej badań, 2) stanu politycznych dyspozycji i umiejętności organizacyjnych średniowiecznych Słowian, 3) normańskiego jakoby charakteru ustroju państwa pierwszych Piastów, mającego się przejawiać głównie pod postacią centralizmu i absolutyzmu władzy, 4) tezy o typowo germańsko-normańskim charakterze drużyny Mieszka I oraz 5) danych onomastycznych i archeologicznych, a w tym kwestii drugiego, normańskiego jakoby, imienia Mieszka I. Warto się przyjrzeć nieco bliżej owym pięciu punktom węzłowym.

1. Podejmując sprawę rudymentarą, jaką dla historyków stanowi podstawa źródłowa ich badań, Łowmiański na plan pierwszy wysuwał „**symptomatyczne milczenie źródeł pisanych** o działalności i w ogóle istnieniu Normanów w Polsce” (podkr. A.W.)¹³⁴. Wymowy owego milczenia nie kwestionowało, jego zdaniem, ilościowe ubóstwo tych źródeł, ponieważ w sumie i tak wystarczały one do odtworzenia przemian politycznych o charakterze zewnętrznym i wewnętrznym. Historyk polski stawiał zatem pytanie: „czy można przypuścić, żeby tak ruchliwy i zgodnie z tezą normańską »panujący« żywioł skandynawski uszedł uwagi pisarzy” i, kontynuując swój tok

¹³² Tamże, s. 21.

¹³³ Tamże.

¹³⁴ Tamże, s. 21–22.

wywodów, wskazywał na Brackmanna, który milczenie w tej sprawie Anonima zwanego Gallem tłumaczył tendencyjnością nadwornego kronikarza polskiego władcy. Zwracając uwagę, że nie tylko „Gall”, ale wszystkie inne źródła pisane „zachowują również zupełne milczenie o Normanach w Polsce”, Łowmiański zdawał sobie sprawę, że argumentacja *ex silentio* jest ryzykowna – uważał jednak, że nie odbiera mu to „pełnego prawa” do tezy, iż ewentualny państwowotwórczy wkład Normanów „nie tylko nie miał istotnego znaczenia w genezie państwa polskiego, ale miał w ogóle nader ograniczone rozmiary”¹³⁵. Po prostu w połowie X w. zarówno Słowianin Mieszko I, jak i podległa mu ludność słowiańska nie stanowili już, jak było to skądinąd u początków wszystkich ludów i narodów, biernej politycznie masy, niezdolnej do funkcjonowania w obrębie własnego państwa.

2. Wraz z „bierną masą” w obręb rozważań wkraczał **argument charakterologiczny**, czyli ocena stanu politycznych dyspozycji i umiejętności średniowiecznych Słowian. Według Łowmiańskiego przyjmowana przez Brackmanna teza „jakoby Słowianie nie dorośli w dobie formowania się monarchii wczesnośredniowiecznych i średniowiecznych do wytworzenia państwowości o własnych siłach”¹³⁶ nie da się utrzymać. Na jej rzecz bynajmniej nie przemawia ani „chwilowy” kryzys po śmierci Chrobrego, ani też rozbitcie polityczne Polski w XII i XIII w., oznaczające – analogicznie do rozbitcia feudalnego w krajach zachodnich oraz w innych państwach słowiańskich – jedynie zmiany w „formach państwowości”, a nie podważenie istoty i ogólnych zasad organizacji państwowej¹³⁷.

3. Jest rzeczą charakterystyczną, że w tekstach historycznych aspirujących do konceptualizacji naszych dziejów ojczystych w sposób mniej lub bardziej „całościowy” w bliskim sąsiedztwie refleksji charakterologicznej pozostawał **namysł nad ustrojem** polskiego państwa. Tak też było w wypadku polemiki Łowmiańskiego z Brackmannem, według którego głównym argumentem na rzecz tezy o normańskiej genezie państwa polskiego miał być charakter władzy, jaką sprawował Mieszko I. Uczony niemiecki powoływał się na opinię wybitnego polskiego historyka ustroju Stanisława Kutrzeby, który w Polsce Mieszka I dostrzegł znamiona scentralizowanych rządów władcy absolutnego. Uznając, że centralizacja i absolutyzm to cechy typowe dla wszystkich państw stworzonych przez Normanów, Brackmann odnajdywał w sformułowaniu Kutrzeby „polskie” potwierdzenie tezy, iż również władztwo pierwszych Piastów było takim państwem. Natomiast Łowmiański, polemizując z Brackmannem, odwrócił niejako tok rozumowania tego

¹³⁵ Tamże, s. 22.

¹³⁶ Tamże.

¹³⁷ Tamże, s. 23.

ostatniego. Zaznaczając, że pogląd Kutrzeby na charakter władzy książęcej w Polsce został ostatnio „osłabiony”, pisał: „Już pierwsi znani bliżej ze źródeł historycznych Piastowie, Mieszko I i Bolesław Chrobry nie wyglądają na despotycznych zdobywców, jakimi ich wyobrażali sobie normaniści, liczą się oni z głosem swych »optymatów« i rycerzy. [...] Jeśli zachodziło podobieństwo słowiańskich instytucji państwowych do skandynawskich, to polegało nie na wytworzeniu specyficznie silnej scentralizowanej o cechach absolutystycznych władzy monarszej, ale raczej na ograniczeniu tej władzy przez czynniki społeczne, możnych i rycerstwo. Podobieństwo to obejmujące również kraje słowiańskie, które pozostawały poza zasięgiem ekspansji normańskiej, nie świadczy bynajmniej o skandynawskim pochodzeniu słowiańskich form ustrojowych, gdyż podobne formy organizacyjne wytwarzały się w podobnych warunkach rozwoju społecznego, odpowiadały »duchowi czasu« zgodnie z wyrażeniem używanym przez Brackmanna”¹³⁸. Trzeba przyznać, że był to wywód, w którym historyk polski wykazał się niemałymi umiejętnościami erystycznymi.

4. Z cechami ustrojowymi państwa pierwszych Piastów ściśle łączyła się kwestia **drużyny książęcej Mieszka I**. Podejmując ją, Łowmiański przywołał tezę wyrażoną w 1878 r. przez rosyjskiego znawcę języków i kultur wschodnich, a zarazem normanistę Wiktora Rozena, utrzymującego, że Normanowie, którzy wdzierali się w górę wszystkich większych rzek kontynentu od ujścia Newy do Rodanu, nie mogli ominąć ujścia Wisły, co z kolei dawało Mieszkowi I możliwość werbowania ich w celu zabezpieczenia się przed napadami innych rozbójników¹³⁹. Stwierdzając, że był to pogląd, na który chętnie powoływali się zwolennicy tezy o germańskim charakterze opisanego przez Ibrahima ibn Jakuba drużyny Mieszka, Łowmiański kwestionował jego źródłowe przesłanki. Natomiast swój własny pogląd wysnuwał nie tyle ze źródeł, tak jak to wcześniej robili u nas Oswald Balzer czy Zygmunt Wojciechowski, ile z teorii marksistowskiej, która oddawała eksplanacyjny prymat czynnikom „wewnętrznym” (endogenicznym). Symptomem takiej postawy była następująca konstatacja: „Źródła nie przynoszą bezpośrednich wskazówek, czy drużyna stanowiła własną inwencję środowiska polskiego, czy też była wzorowana na odpowiednich obcych instytucjach; **nic jednak nie stoi na przeszkodzie uznaniu za jedynie uzasadniony pogląd, że zgodnie z naturalnym biegiem procesu dziejowego rozwinęła się ona z poprzedniej formy, czyli z drużyny właściwej**. Tak też w drodze ewolucyjnej rozumiano genezę drużyn słowiańskich w nauce

¹³⁸ Tamże, s. 25–26.

¹³⁹ А.А. Куник, В.Р. Розен, *Известия ал-Бекри и других авторов о Руси и славянах*, Санкт-Петербург 1878, s. 101.

polskiej; nie przeczy temu pogładowi w żadnym razie fakt, że z analogicznymi formami drużyn spotykamy się i na gruncie skandynawskim” (podkr. A.W.)¹⁴⁰. Komprymując myśl Łowmiańskiego, dałoby się powiedzieć tak: jeśli źródła milczały, to wystarczała znajomość „naturalnego biegu procesu dziejowego”, by uznać za „jedynie uzasadnione” twierdzenie o samorodnych narodzinach nie tylko drużyny Mieszka, ale też innych drużyn słowiańskich. Prawdę powiedziawszy, trudno w tym wypadku o lepszą ilustrację dyrektywy metodologicznej, którą usiłowano ugruntować w toku konferencji otwockiej, a mianowicie, aby wobec braku źródeł tkankę faktograficzną rekonstruować, opierając się na teorii procesu dziejowego¹⁴¹. Jawić się to może jako paradoks, ale Łowmiański, który w Otwocku przestrzegał młodych badaczy przed tego typu praktykami¹⁴², teraz zapewne w wyniku nieuwagi czy intelektualnego pośpiechu incydentalnie im uległ.

Trudniej natomiast byłoby uznać, że to nieuwaga lub pośpiech sprawiły, że w rozważaniach na temat drużyny Mieszka I Łowmiański zupełnie nie odniósł się do źródłowej analizy relacji Ibrahima ibn Jakuba, stanowiącej znaczący element antynormanistycznego modelu Zygmunta Wojciechowskiego¹⁴³. Można odnieść wrażenie, iż w ogóle minimalizował on wkład tego historyka w spory na temat początków państwa polskiego. W sumie, mimo że obaj uczeni odrzucali tezę o normańskiej genezie drużyny Mieszka, to w ich wywodach i typach argumentacji można dostrzec znaczące różnice. Łowmiański czynił to w odwołaniu do przesłanek metodologicznych, wysnutych z marksistowskiej teorii biegu dziejów, Wojciechowski natomiast opierał się na analizie konkretnego źródła historycznego. Swoje stanowisko teoretyczno-metodologiczne Łowmiański wzmacniał konkluzją odnoszącą się nie tylko do aktualnego stanu nauki historycznej, ale i tego, który może ona osiągnąć w przyszłości: „Tedy sam fakt istnienia drużyn u Słowian, a w szczególności drużyny Mieszka I, nie służy dla poparcia tezy o skandynawskiej genezie państwa polskiego; nawet gdyby ktoś dowiódł, chociaż tego dotąd nie dokazano, że Piastowie wzorowali się na urządzeniach drużyn skandynawskich bowiem nie przesądziłby tym samym kwestii udziału czynnika skandynawskiego w organizowaniu państwa polskiego”¹⁴⁴. Jest to konkluzja trudna do zakwestionowania.

5. Wobec braku dostatecznych przekazów pisanych **szczególnej wartości nabierają badania onomastyczne i archeologiczne**. Podzielając

¹⁴⁰ H. Łowmiański, dz. cyt., s. 27.

¹⁴¹ Nicco szerzej na ten temat pisałem w: *A kiedy źródeł zabraknie?...*, s. 131–140.

¹⁴² H. Łowmiański, *Granice poznania historycznego*, w: *Pierwsza Konferencja Metodologiczna Historyków Polskich...*, t. 1, s. 106.

¹⁴³ Zob. początek niniejszego rozdziału.

¹⁴⁴ H. Łowmiański, *Granice poznania historycznego...*, s. 28.

take stanowisko, Łowmiański podążał „przedwojennym” jeszcze tropem Wojciechowskiego, a częściowo, jak już była o tym mowa, nawet „samego” Brackmanna. Owa częściowość nie dotyczyła oczywiście głównych tez historyka niemieckiego, będącego przecież zwolennikiem egzogenicznej koncepcji normańsko-germańskiej genezy państwa polskiego. Przejawiła się natomiast w obrębie argumentacji drugoplanowej, takiej na przykład jak przyczyny występowania wśród ludności państwa polskiego imion normańskich. „Tak więc obce imię – pisał Łowmiański – nie zawsze określa przynależność etniczną swego posiadacza, a nawet jego odległych przodków, ponieważ w wielu wypadkach stanowi odbicie aktualnych lub dawnych stosunków politycznych czy też handlowych albo kulturalnych. To spostrzeżenie winno być brane pod uwagę również przy interpretacji nazw miejscowych, o ile one są ukształtowane od imion mieszkańców czy też właścicieli. Za wyraźny dowód obcej imigracji można natomiast uznać nazwy miejscowe treści zawodowej lub topograficznej o obcym brzmieniu; tych jednak w skandynawskim brzmieniu ani na obszarze Polski, ani na Rusi badania na ogół nie konstatują”¹⁴⁵.

Przyjmując takie założenia metodologiczne, Łowmiański skierował szczególną uwagę na Wielkopolskę, powszechnie uznawaną za miejsce narodzin polskiej państwowości. Ciekawe, że zbierając dane na temat obiektów skandynawskich znajdujących się na jej obszarze, oparł się na zestawieniach i mapkach opracowanych przez badaczy niemieckich – Hansa Jänichena i Petera Paulsena. Oczywiście był do tego poniekąd zmuszony wobec braku w tym zakresie ekwiwalentnych dokonań Polaków, ale trudno nie dostrzec, że fakt ów utrudniał ewentualne posądzenia o narodową stronniczość¹⁴⁶. A były owe posądzenia dość realne, jako że wnioski, do jakich dokumentacja niemiecka doprowadziła historyka polskiego, nie były najlaskawsze dla tezy o normańskiej genezie państwa Piastów. Co zatem Łowmiański ustalił? Po pierwsze, w porównaniu z innymi obszarami w Wielkopolsce wystąpiła wyraźna dysproporcja między stosunkowo dużą liczbą nazw miejscowych a ilością znalezisk archeologicznych, którym przypisane zostało pochodzenie skandynawskie, przy czym ta druga liczba bynajmniej nie wyróżniała Wielkopolski w porównaniu z Pomorzem czy Śląskiem. Po drugie, bezwzględna wartość owej „stosunkowo dużej” liczby nazw była bardzo skromna, wynosiła bowiem tylko 19. Co więcej, uznawany przez autorów niemieckich normański źródłosłów nazw takich miejscowości jak Gordowo, Szczodronka czy Szczodrowo wydawał się wątpliwy, nie mówiąc już o z pewnością nieskandynawskiej nazwie jeziora Gopło. Obliczywszy, że wobec 3 tysięcy

¹⁴⁵ Tamże.

¹⁴⁶ H. Jänichena i P. Paulsena; tamże, s. 29.

osad istniejących na tym terenie owa, niepełna w istocie, 19 stanowi tylko 7 promili, Łowmiański sformułował konkluzję, że: „Wikingowie mogli osiągnąć zaledwie niewielki procent wśród klasy panującej, a stanowili znikomą część ogółu ludności. Tedy toponomastyka dostarcza świadectwa w sensie wręcz przeciwnym niż sądzili zwolennicy tezy o normańskim pochodzeniu państwa polskiego”¹⁴⁷.

Wyrażając wątpliwości co do normańskiej (skandynawskiej) proveniencji niektórych źródeł toponimicznych, Łowmiański bynajmniej nie zamierzał wykazywać ich całkowitej bezzasadności. Uważał, że nazwy miejscowości pochodzące od wyrazu Wareg (*vaering*) przenikały również do nas, tyle że za pośrednictwem Rusi (na Zachodzie w ogóle nie znano tej nazwy). Na potwierdzenie tego przekonania przywoływał fakt, że część z nich leży na szlaku lądowym wiodącym z Kijowa przez Kraków w kierunku zachodnim. Natomiast nazwy tego typu występujące w Wielkopolsce, takie jak Warężyn czy Waręgowice, wiązał nie z drogą lądową Kijów – Kraków, lecz ze szlakiem bałtyckim, którym również miały przenikać do Polski elementy rusko-wareckie.

Spośród hipotez antroponimicznych odwołujących się do jakoby normańskiego brzmienia imion występujących w rodzie Piastów największą uwagę Łowmiańskiego przyciągnęła, rzecz prosta, kwestia Dagona. Historyk wyrażał przekonanie, że z normanistyczną wykładnią źródłostwo tego wyrazu można polemizować w inny sposób, niż to czynili jeszcze w XIX w. Karol Boromeusz Hoffman czy Oswald Balzer, który w *Genealogii Piastów* (1895) przychylił się do tezy, że stanowi on zepsutą formę wyrażenia *Ego Me(sco)*. Dla Łowmiańskiego bardziej prawdopodobne było to, że imię Dago(ne) zostało zapisane dokładnie, tyle że było to jednak drugie, już nie pogańskie, a chrześcijańskie imię polskiego księcia, który w akcie darowizny skierowanym do papieża uznał za stosowne posłużyć się właśnie nim¹⁴⁸. W pełnej formie miało ono brzmieć Dagobert, „co **wskazuje** na stosunki Mieszka I z Lotarynią, gdzie istniał kult tego świętego” (podkr. A.W.)¹⁴⁹. Biorąc pod uwagę, że punktem wyjścia rozważań Łowmiańskiego był jedynie, jak sam to określił, „domysł”, to wysnuta z niego konkluzja podana została w formie nader

¹⁴⁷ Tamże, s. 30.

¹⁴⁸ Łowmiański obudował tu historycznie hipotezę językoznawcy Jana Otrębskiego; zob. H. Łowmiański, *Imię chrześcijańskie Mieszka I*, „Slavia Occidentalis” 19, 1948, s. 261–283. Według Jerzego Strzelczyka był to pomysł, który cieszył się i nadal cieszy „bodaj największym uznaniem”, jakkolwiek oparty jest na bardzo kruchych podstawach; zob. tenże, *Mieszko Pierwszy. Chrzest i początki Polski*, wyd. 4, Poznań 2016, s. 72. Więcej mankamentów hipotezy o Mieszku będącym również Dagobertem wytknął Łowmiańskiemu G. Labuda w tenże, *Mieszko I*, Wrocław 2002, s. 40–42.

¹⁴⁹ H. Łowmiański, *Granice poznania historycznego...*, s. 32.

kategorycznej. O wiele lepsza byłaby w tym wypadku forma trybu warunkowego – „**co wskazywałoby**”, ale to już kwestia drugorzędna. Większe natomiast znaczenie miał fakt, że argumenty antroponimiczne akcentujące obecność imion skandynawskich w rodzie Piastów deprecjonował Łowmiański dodatkowo, wskazując, że przekonanie, jakoby córka Mieszka I Świętosława (żona króla szwedzkiego Eryka), nosiła imię Sigrid (Sygryda) Storråda było błędne, co wykazali przedstawiciele nie tylko polskiej nauki.

Zamykając swą krytykę argumentów mających przemawiać na rzecz tezy o normańskich początkach Polski, historyk przynosił refleksję w stronę danych archeologicznych, które zupełnie nie potwierdzały stanowiska badaczy dających wiarę sagom mówiącym o opanowaniu Wolina przez jarla Styrbjörna. Podkreślał, że zarówno w odniesieniu do wieku X, jak i czasów późniejszych słowiańskość Wolina po prostu „nie ulega wątpliwości”. Przypominał też w końcu opinię renomowanego archeologa Józefa Kostrzewskiego, który jeszcze przed wojną wskazywał na nikłość wikingów w Polsce i wyrażał przekonanie, że „chyba jest to dostatecznym argumentem do obalenia twierdzeń o powstaniu Polski drogą najazdu z Północy”¹⁵⁰. Swe własne wywody Łowmiański zaś podsumował następująco: „musimy się liczyć z udziałem Normanów w organizacji i prowadzeniu handlu polskiego; mniej jasna wydaje się ich penetracja do szeregów rycerstwa a w szczególności do warstwy możnowładczej, chociaż nie jest wykluczona. W każdym razie brak jej wyraźnych śladów przemawia przeciwko napływowi Normanów na większą skalę, a czyni już zgola nieprawdopodobnym ich wybitniejszy udział w organizowaniu państwa polskiego. O najeździe normańskim rzecz jasna, nie może być nawet mowy”¹⁵¹.

W argumentacji Łowmiańskiego nie brak zbieżności z opisanym wcześniej modelem Wojciechowskiego. Obaj historycy odrzucali tezę o prymarnym braku charakterologicznych dyspozycji państwowotwórczych wśród Słowian, obaj zwracali uwagę na brak źródeł pisanych mogących potwierdzać, że państwo polskie zostało stworzone przez Normanów, obaj w końcu, aczkolwiek innymi metodami, wykazywali rodzimo-słowiańską genezę drużyny Mieszka I, będącej wszak instytucją militarną poświadczającą państwowy charakter rządów polskiego władcy. Różnice wystąpiły natomiast w kwestii domniemanego normańskiego imienia Mieszka I. O ile Wojciechowski szedł w tym wypadku tradycyjnym w naszej historiografii tropem, wykazującym błędność zapisu imienia Dagone/me, o tyle Łowmiański wybrał ścieżkę oryginalniejszą, przypuszczając, że imię chrzestne Dago należy raczej wiązać z lotaryńskim kultem św. Dagoberta. Na uwagę zasługuje też wyeksponowanie i połączenie

¹⁵⁰ Tamże, s. 33.

¹⁵¹ Tamże, s. 34.

przez Łowmiańskiego argumentów onomastycznych z archeologicznymi i w sumie wykazanie w tym obrębie wielkiego ubóstwa danych mogących uprawdopodobnić twierdzenie o państwowotwórczej obecności Normanów na obszarze władztwa polskiego księcia.

Konstrukcja rozprawy Łowmiańskiego opiera się, jak nietrudno zauważyć, na trychotomicznym podziale, zgodnie z którym tytułowe „zagadnienie roli Normanów” rozważane jest w odniesieniu do historii Czech, Polski i Rusi. Te trzy zakresy oznaczają zarazem trzy stopnie udziału Normanów w formowaniu się trzech ościennych państw słowiańskich. W odniesieniu do Czech jest to stopień zerowy. Jeśli pominąć incydentalne, zabarwione politycznie wystąpienia, pogląd ten dominuje wśród historyków, nie ma bowiem źródeł pisanych, archeologicznych i z niewielkimi wyjątkami onomastycznych mogących uwiarygodnić tezę o egzogenicznych początkach czeskiego państwa. Natomiast w odniesieniu do Polski, jakkolwiek można już mówić o istnieniu źródeł archeologicznych i onomastycznych (bo pisane, przy potraktowaniu Dagona jako Dagoberta, jak dotychczas nie istnieją w dziejopisarским obiegu), to są one tak ubogie, że można jedynie dopuścić myśl o niewielkim i w sumie nieistotnym wpływie czynnika normańskiego na powstanie polskiego państwa. W efekcie, zdaniem historyka, najazd i podbój także i tu nie wchodziły w grę, a państwo polskie powstało również w sposób endogeniczny.

Pozostawała jednak Ruś, której Łowmiański poświęcił najobszerniejsze partie swej książki, co mógł uczynić choćby tylko z tego powodu, że w odniesieniu do nich nie występował już symptom „milczenia źródeł pisanych”. Bliższa analiza sposobu, w jaki naświetlił on kwestię powstania państwa ruskiego odbiegłaby jednak zbyt daleko od podstawowego dla piszącego te słowa pytania: „jak powstało państwo polskie?”, w związku z czym w tym miejscu wypadnie ograniczyć się jedynie do konkluzji, którymi historyk podsumował swe rozważania na temat Rusi. Były one bardzo ostrożne. Badacz nie miał bowiem pewności, ale skłonny był przychylić się do tezy, że w relacjach słowiańsko-normańskich na Rusi występowały dwa okresy przedzielone cezurą trzeciej ćwierci X w. W pierwszym okresie Normanowie występowali tam w roli kupców oraz – ze względu na znajomość języków obcych – dyplomatów, a „ponieważ odznaczali się także doświadczeniem w technice wojennej, a zwłaszcza w żegludze i wyprawach szlakami wodnymi **Ruś wykorzystała ich pomoc i w tym zakresie**” (podkr. A.W.)¹⁵². Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że relacje normańsko-słowiańskie jawią się tu w kategoriach niemal przyjacielskiego współdziałania i „bratniej pomocy” w utrwalaniu wyrosłego na słowiańskich korzeniach państwa. „Bratniej”,

¹⁵² Tamże, s. 182.

ponieważ „powołana” na tron dynastia normańska była już wcześniej zeslawizowana. By rozwiać wszelkie wątpliwości, Łowmiański napisał *expressis verbis*: „Ale nie znajduje potwierdzenia również pogląd, jakoby Normanowie dali impuls lub inicjatywę do przeobrażeń społeczno-gospodarczych i do zorganizowania państwa na ziemiach ruskich. Państwo było wytworem Rusi, następstwem jej rozwoju wewnętrznego, społeczno-gospodarczego i kulturalnego, podobnie jak wewnętrzny proces decydował o powstaniu innych państw słowiańskich, w szczególności polskiego, które również znalazło się w sferze ekspansji normańskiej, chociaż słabszej niż Słowiańszczyzna Wschodnia i przypadającej raczej na drugi jej okres”¹⁵³.

Jeżeli państwo na Rusi powstało w pierwszym z wyodrębnionych przez Łowmiańskiego okresów, to co się stało w okresie drugim? Były to wprawdzie czasy, kiedy książęta ruscy korzystali z „**pomocniczych** oddziałów” zbrojnych oraz z administracyjnej „**pomocy**” Waregów (podkr. A.W.), „jednak w tym okresie państwo ruskie już było od dawna zorganizowane, stabilizowała się tylko jego podstawa terytorialna, były udoskonalone instytucje”¹⁵⁴. Podobnie zatem jak Czechy i Polska, w ujęciu Łowmiańskiego państwo ruskie powstało również endogenicznie, czynnik normański zaś nie miał w jego genezie istotnego znaczenia. Chyba że wcześniej uległ slawizacji, stając się tym samym czynnikiem rodzimym. Analogie do takiego ujęcia, będącego formą „uwewnętrznienia” normańskiego czynnika zewnętrznego, czyli swoistego zaautochtonizowania alochtonizmu, można odnaleźć w myśli reprezentowanej w XIX w. przez Szajnochę i Piekosińskiego, a w XX w. przez Krotoskiego. Można zatem powiedzieć, że był to obszar conceptów, w obrębie którego myśl marksistowska odbywała swe kolejne „przyjacielskie spotkanie” z myślą „obszarniczą i burżuazyjną”.

Niezależnie od pewnych przerysowań, spośród których na plan pierwszy zdaje się wysuwać nadmierne eksponowanie czynnika ekonomicznego, współcześnie nam badacze podkreślają, że monografia Łowmiańskiego zamknęła „dyskusję nad koncepcją domniemanego podboju ziem polskich przez ludzi Północy, skutkiem którego miało być powstanie państwa. Zaczął się nowy okres poszukiwań rozwiązania kwestii normańskiej na bazie wnikliwych badań źródłowych. Wcześniej dyskusja była zdominowana przez historyków skupiających uwagę głównie na regeście *Dagome iudex* oraz badaczy przyjmujących za podstawę studiów przede wszystkim teksty literatury skandynawskiej. Do dialogu zaczęli włączać się jednak archeolodzy”¹⁵⁵.

¹⁵³ Tamże.

¹⁵⁴ Tamże, s. 183.

¹⁵⁵ B.M. Stanisławski, *Jómswikingowie z Wolina-Jómsborga. Studium archeologiczne przenikania kultury skandynawskiej na ziemie polskie*, Wrocław 2013, s. 20.

JANA ADAMUSA KRYTYCZNA ANALIZA „NIEKLASOWEJ”
TEORII RODOWEJ

Wśród polskich publikacji z drugiej połowy lat pięćdziesiątych, wkraczających na obszar hipotez dotyczących powstania państwa polskiego w wyniku podboju, zwraca uwagę książka Jana Adamusa zatytułowana *Polska teoria rodowa*¹⁵⁶. Jej autor, podobnie jak Serejski i Rosin, związany był po wojnie z łódzkim środowiskiem uniwersyteckim, wcześniej jednak zdobywał umiejętności historyka, studiując w Wiedniu i Lwowie, gdzie specjalizował się w historii państwa i prawa polskiego pod kierunkiem Oswalda Balzera i Przemysława Dąbkowskiego. Doktorat uzyskał w 1927 r. we Lwowie, jednak sześć lat później, po nieudanej próbie kolokwium habilitacyjnego, w trakcie którego doszło do scysji z Balzerem, przeniósł się do Wilna, by tam uzyskać habilitację. W czasie wojny, zatrzymany przez władze sowieckie, przeszedł przez obóz w Kazachstanie, po czym w szeregach armii Andersa opuścił ZSRS i drogą przez Bliski Wschód i Londyn trafił z powrotem do kraju.

Książka Adamusa to godna szczególnej uwagi próba polemiki z tytułową „teorią rodową”, łączoną u nas przede wszystkim z nazwiskiem Balzera¹⁵⁷. Erudycyjność i wielowątkowość tego dzieła, a przy tym jego nader entymematyczna narracja, sprawiły jednak, że do dziś nie znalazło ono wielu zwolenników. W gruncie rzeczy wśród mediewistów i historyków prawa nie tylko *Polska teoria rodowa*, ale też inne prace Adamusa pozostają niemal zapoznane, chociaż on sam spodziewał się, że może zostać wręcz „zakrzyczany” sloganami niekompetentnych i zakłamanych krytyków. Według opinii wyrażonej w 2014 r. przez Jacka Matuszewskiego, „przypadł mu los zdecydowanie gorszy od »zakrzyczenia sloganami«. Jest zlekceważony i pozostaje w zasadzie przemilczany”¹⁵⁸. Należy jednak zastrzec, że tę uwagę trudno byłoby odnieść do historyków historiografii, spośród których niejedyn, w tym wspomniany przez Matuszewskiego Andrzej Feliks Grabski, a także piszący te słowa, zalicza tego uczonego do grona prekursorów „metodologicznego” skrzydła uprawianej przez nich dziedziny badań.

Nie oznacza to, że nawet ci, którzy cenią Adamusa, lubią jego odwołania do licznych autorów i związanych z nimi teorii, tez i hipotez. Niewielki zapal

¹⁵⁶ J. Adamus, *Polska teoria rodowa...*

¹⁵⁷ Na temat tzw. etatyizmu i korporacjonizmu w historiografii oraz teorii rodowej zob. rozdz. III, podrozdz. *Aleksander Gieysztor – w stronę „PAN-owskiej” syntezy dziejów Polski*.

¹⁵⁸ J. Matuszewski, dz. cyt., s. 275. Nie śmiem wypowiadać się na temat historyków prawa i mediewistów, natomiast jako historyk historiografii sędzę, że Autor wyraźnie krzywdzi moich kolegów i mnie samego. Wielokrotnie myśl teoretyczna i metodologiczna tego uczonego służyła mi inspiracją, co poczynawszy od 1974 r. podkreślałem i nadal podkreślam w moich publikacjach.

do lektury dzieł tego badacza ma źródła nie tylko w ich nużącej, i to nawet specjalistów, erudycji. Czytelnika *Polskiej teorii rodowej* przez dłuższy czas może na przykład nurtować fundamentalne pytanie, czy zawarty w jej tytule przymiotnik „polska” odnosi się do **narodowości głosicieli tej teorii**, którzy w tym wypadku byłiby ograniczeni do przedstawicieli polskiej myśli historycznej, czy też do **„rodowego” charakteru genezy polskiego państwa**.

Adamus, który zdawał sobie sprawę z rangi uściśleń terminologiczno-pojęciowych (czego przykładem mogą być jego rozważania na temat średniowiecznego rozumienia pojęcia „rodu”), w tym wypadku zagmatwał nieco sprawę. W stronę drugiego z wymienionych sposobów rozumienia terminu „polska teoria rodowa” prowadzić nas może konstatacja autora, że istnieje również „słowiańska” teoria rodowa, który to fakt ma utrudniać badanie polskiej teorii rodowej¹⁵⁹, ale w pierwszych partiach autorskiej narracji termin ów pozostaje niedookreślony. Stopniowo dopiero dowiadujemy się, że teorie rodowe nawiązujące do sformułowanej już w czasach starożytnych koncepcji pierwotnej wspólnej własności, pod którą Adamus deklaratywnie się podpisywał i która wskrzeszona została później w myśli filozoficznej XVIII w., „najłatwiej się rodzą na terenie niemieckim”, w związku z czym „prawie można powiedzieć, że są tworem jakiegoś »geniuszu« czy też »ducha« niemieckiego”. W historiografii teorie rodowe pojawiły się jednak dopiero w XIX w. „albo u [Bartholda Georga] Niebuhra, lub też u Justusa Mösera, K[arla] F[riedricha] Eichorna i J[akoba] Grimma. Wszystko to są Niemcy – konkludował polski historyk i dodawał. – Tak samo twórcą ruskiej teorii rodowej jest [Johann Philipp Gustav von] Ewers, a **polskiej [Richard] Röpell**” (podkr. A.W.)¹⁶⁰. A zatem o polskości teorii decyduje nie narodowość jej autora czy też miejsce, w którym powstała (jak np. polska szkoła matematyczna, filmowa czy informatyczna), lecz przedmiot, do którego ją odnoszono. Po prostu była ona „polska” dlatego, że dotyczyła Polski. Skądinąd konkluzje Adamusa nie zawsze były w pełni konsekwentne. W innym bowiem miejscu tej samej książki można przeczytać, że „stanowisko rzeczywistego twórcy polskiej teorii rodowej państwa należy przyznać M[aksymilianowi] Kanteckiemu, który w wrocławskiej dysertacji doktorskiej [poświęconej testamentowi Bolesława Krzywoustego – A.W.] opiera się na Ewersie i na rosyjskiej literaturze, przenosząc na nasz teren rosyjską teorię rodową. Teoria ta powstała zapewne pod wpływem profesorów wrocławskich Caro i Roeppla”¹⁶¹. A zatem kto w końcu miał być „rzeczywistym” twórcą polskiej

¹⁵⁹ J. Adamus, *Polska teoria rodowa...*, s. 10–11.

¹⁶⁰ Tamże, s. 64 (w książce Adamusa stosowany jest przemiennie dwojaki zapis nazwiska historyka niemieckiego – przez „oe” i „ö”).

¹⁶¹ Tamże, s. 274.

teorii rodowej – Niemiec Roepell czy Polak Kantecki? Adamus nie potrafił czytelnikowi swej książki udzielić w tym wypadku jednoznacznej odpowiedzi.

Precyzując obszar odniesień polskiej teorii rodowej, Adamus wskazywał na trzy jej gałęzie, z których pierwsza (odnosząca się do struktury społecznej) i druga (odnosząca się do formowania państwa) występowały również w teoriach rodowych obejmujących dzieje innych państw i narodów, natomiast trzecia, jaką miała być teoria heraldyczno-genealogiczna (Piekosiński), stanowiła już tylko „specyfikę polskiej teorii rodowej, nieznaną żadnej innej słowiańskiej teorii rodowej”¹⁶². Posługując się takim rozróżnieniem, historyk zastrzegł jednak, że w praktyce owe trzy gałęzie, nie tracąc formalnie swej autonomii, mogą częściowo zachodzić na siebie, a nawet spletać się w jedną całość¹⁶³.

„RODOWE” CZY „WŁASNOŚCIOWO-KLASOWE”
POCZĄTKI POLSKIEGO PAŃSTWA

Trudności badawcze, zdaniem Adamusa, potęgował fakt, że w historiografii relacje między podstawowymi kategoriami pojęciowym były dalekie od wyrazistości. Historyk odwoływał się do trzech typów teorii państwa, spośród których: 1) teoria „patriarchalna» – wiąże państwo z prawem rodzinnym (rodzina lub ród)”, 2) teoria „patrymonialna» – wiąże państwo z prawem rzeczowym (własność ziemi)”, 3) teoria „umowy społecznej» – wiąże państwo z prawem zobowiązań”¹⁶⁴. Traktując państwo umowy społecznej jako konstrukt jedynie „filozoficzny”, Adamus skoncentrował swe rozważania na relacjach zachodzących między teoriami patriarchalną a patrymonialną, bo tylko one, jak to określał, miały odniesienia do rzeczywistości „faktycznej”. Ale i tu kwestia również komplikowała się na skutek braku wyraźnych ustaleń terminologiczno-pojęciowych. „Słowo patriarchalizm – pisał – rozplywa się też w jakimś już bardziej mglistym pojęciu przewagi starszeństwa wieku, albo oznacza nawet idylliczny stan sprawowania władzy przez zbiorowość przed pojawieniem się książąt”¹⁶⁵. Jeszcze gorzej miało być z teorią patrymonialną.

¹⁶² Tamże, s. 123.

¹⁶³ By nadać większej spójności wywodom Adamusa, można powiedzieć, że Roepell występuje w nich jako twórca ogólnej polskiej teorii rodowej, obejmującej zarówno genezę społeczeństwa, jak i państwa polskiego w jej postaci „spliczonej”, natomiast Kantecki jedynie jako twórca jej pojedynczego, „państwowego” odgałęzienia. Jest to jednak nader spekulatywna interpretacja, w stosunku do której należy zachować pełen sceptycyzmu dystans. O wiele ponętniejsze wydaje się przypuszczenie, że jej autor, czyli piszący te słowa, uległ po raz kolejny mitowi koniecznej koherencji w koncepcjach zasłużonych przedstawicieli polskiej, choć nie tylko polskiej, myśli historycznej.

¹⁶⁴ J. Adamus, *Polska teoria rodowa...*, s. 267.

¹⁶⁵ Tamże, s. 267–268.

Tu trudności pojęciowe potęgowały się, ponieważ „teoria patrymonialna opiera państwo na własności ziemi (patrimonium)”, podczas gdy „w rzeczywistości nigdy takich państw nie było”. Na tym jednak kłopoty terminologiczno-pojęciowe nie kończyły się. Na dodatek bowiem „od dawna istniała skłonność do ujmowania jednym nawiasem i stosunku rodzinnego i stosunku własności, a z czasem pod nazwą patrymonialność rozumieć poczęto właściwie wszelkie domieszki prawa prywatnego do państwa”¹⁶⁶. Jako przykład łączenia czy też mieszania obu teorii pod wspólnym szyldem patrymonialności przytoczył Adamus samego twórcę teorii patrymonialnej – Karla Ludwiga von Hallera, a jako ich oddzielania – Johna Locke’a, spośród Polaków zaś Oswalda Balzera.

Nominalna odmienność państwa patriarchalnego i patrymonialnego sprowadzała się w istocie do opozycji władzy związanej z tak czy inaczej rozumianym rodem (głównie „gniazdowym”, czyli genotypicznym lub „klientarnym”, czyli wychodzącym poza „związki krwi”) oraz władzy związanej z własnością ziemi. Zwracając na to uwagę, Adamus stwierdzał, że przez ponad połowę XIX w. historiografia polska, w przeciwieństwie do rosyjskiej i czeskiej, nie była zbyt łaskawa dla rodowej teorii genezy państwa. Wprawdzie pierwsze jej przebliski widoczne były w pracach Józefa Szujskiego (1862), Juliana Bartoszewicza (1864), Karola Boromeusza Hoffmana (1872) oraz Michała Bobrzyńskiego (1874 i 1879), lecz dopiero rok 1880 przyniósł publikację, która w przywoływanym tu już autorze Maksymilianie Kanteckim pozwoliła dostrzec „rzeczywistego twórcę polskiej teorii rodowej państwa”¹⁶⁷.

Na czym zatem miała polegać polska teoria rodowa w wydaniu jej „rzeczywistego twórcy”? Adamus wskazał tu na dwa elementy. Po pierwsze Kantecki utrzymuje, że u dawnych Słowian istniały rody, na czele których stał naczelnik („starejszina”, jak go miano określać w południowo-słowiańskich zadrugach), a zasady przekazywania godności owego naczelnika pozostawały w zgodzie z kryteriami następstwa tronu w słowiańskich rodach książęcych. Po drugie ten sam autor przyjmuje zarazem, że z treści prywatnego spadkobrania można wnosić o zasadach dziedziczenia władzy i odwrotnie, co rzuca światło na „zwyczaj podziałów państwa u Słowian oraz zwyczaj, iż jeden z książąt piastował naczelną władzę »starejsziny«”¹⁶⁸.

Krytyka koncepcji Balzera. Wywody Adamusa prowadziły do krytyki Balzera, który jego zdaniem pozostawał w tej kwestii pod wpływem poglądów Jaromíra Čelakovskiego (w innych partiach książki Adamusa – „Čelakovskiego”).

¹⁶⁶ Tamże, s. 268.

¹⁶⁷ M. Kantecki, *Das Testament des Bolesław Schiefmund. Seniorat und Primogenitur in Polen*, Posen 1880.

¹⁶⁸ J. Adamus, *Polska teoria rodowa...*, s. 274.

Wprawdzie autor *Genealogii Piastów* rzadko szedł za nim trop w trop, ale nie zmienia to faktu, że w ostatecznym rozrachunku to właśnie publikacja czeskiego historyka prawa „walnie pomogła Balzerowi uformować jego poglądy na prawo następstwa tronu i budowę monarchii Piastów”¹⁶⁹.

Jeżeli u dawnych Słowian były i rody (patriarchalizm), i własność ziemio-terytorium (patrymonializm), to obie „teorie” (tezy, hipotezy) miały swą poznawczą przydatność. Czy jednak ta przydatność była równoważna? Adamus zdawał się nie mieć wątpliwości, że: „Jeśli idzie o stosunek teorii rodowej do opisu faktów patrymonializmu i do teorii patrymonialnych, to **teoria rodowa [patriarchalna – A.W.] jest jedną właśnie z teorii patrymonialnych; pojęcie patrymonializmu jest szersze, pojęcie rodowości natomiast w państwie węższe**” (podkr. A.W.)¹⁷⁰. Czy zatem całe to rozróżnienie jest bezkolizyjne, ponieważ jedna teoria wchłania w siebie drugą? Taki przynajmniej wniosek nasuwały teoretyczne rozważania Adamusa nad... teoriami. Ale czy tylko na poziomie teorii wyższego rzędu mają się rozstrzygać losy subteorii? Adamus był jednak niezbyt konsekwentny, obdarzając nas następującą konkluzją: „Jeśli tak sobie przeciwstawiliśmy podejście patrymonialne do państwa Piastów z teorią rodową tegoż państwa, nie można się dalej wahać, której z nich należy oddać pierwszeństwo. Zresztą sądzić wolno, że teoria rodowa państwa nie zdoła się też od strony faktycznej utrzymać”¹⁷¹. Trudno takiej formule przypisać nadmiar precyzji, czytelnik bowiem pozostawał w niepewności, czy teorii rodowej nie należałoby przyznać statusu teorii sekundującej teorii patrymonialnej, czy też czekać aż narastająca faktografia „też” nie pozwoli na jej utrzymanie i całkowicie ją odrzuci.

Znamienne, że w swych rozważaniach Adamus nie zastanawiał się bliżej nad miejscem, jakie w obrębie teorii patrymonialnej, a także mającej ostatecznie stanowić tylko jeden z jej podzakresów teorii patriarchalnej (rodowej), zajmować mogą teorie najazdu zewnętrznego i wewnętrznego. A przecież historia dostarcza wiele przykładów walk rodów „wewnętrznych” i „zewnętrznych”, które prowadziły do przemian własnościowych. Ale te sprawy pozostawmy już na uboczu.

Dla tematyki niniejszej pracy szczególne znaczenie ma kwestia wprzęgnięcia teorii rodowej w naświetlenie kwestii genezy i budowy państwa Piastów. W ujęciu Adamusa jest to obszar ścierania się dwóch hipotez, z których „jedna chciała widzieć w prasłowiańskim ustroju zadrużnym wolność; a druga autokratyzm [wywodzony z mniej lub bardziej domniemanej funkcji i władzy starostów czy naczelników – A.W.]; uzasadnienie zaś obu było

¹⁶⁹ Tamże, s. 277.

¹⁷⁰ Tamże, s. 293.

¹⁷¹ Tamże, s. 294.

bardzo słabe, jeśli go w ogóle nie brakowało”¹⁷². Tak miało być w wypadku Balzera, który skądinąd wbrew wielu opiniom nie był twórcą, lecz jedynie zwolennikiem rodowej teorii powstania państwa polskiego. „Aby uzgodnić »wolnościowy« obraz Praszłowania z absolutyzmem Piastów – pisał Adamus – Balzer musi, za wzorami dawniejszymi, wsunąć pomiędzy jedno i drugie jakiś hipotetyczny czynnik, jakiegoś »deus ex machina«, który wprowadzi konsekwencję w rozchodzące się w przeciwne strony świata części systemu. Hipoteza praszłowania nie godzi się z hipotezą absolutyzmu piastowskiego, a w celu uzgodnienia dwu hipotez używa jeszcze trzeciej hipotezy. Jest to więc cała wielka budowa, w której jedna hipoteza opiera się na innych. **Otóż tą hipotezą uzgadniającą jest hipoteza podboju wewnętrznego.** On to właśnie miał spowodować wzmocnienie władzy księcia, który się staje »władcą absolutnym« (podkr. A.W.)¹⁷³. Ujmijmy to innymi słowy, zdaniem Adamusa Balzer usiłując pogodzić tezę o pierwotnej praszłowania wolności (zadruga, gminowładztwo) z tezą o absolutystycznym charakterze władzy pierwszych polskich władców, przerzucił między nimi eksplanacyjny pomost, jakim miał być podbój wewnętrzny dokonany przez Piastów. Jako argumenty wzmacniające taką interpretację Adamus przywoływał następujące słowa Balzera: „Jest to w ogóle rzecz powszechnie wiadoma, że wielkie organizmy państwowe z reguły formują się przez siłę, gwałt, podbój (np. powstanie państwa frankońskiego, powstanie innych państw słowiańskich, jak państwa Samona, państwa wielkomorawskiego, czeskiego itd.), a następnie że ten proces powstania państwa doprowadza z reguły do okrzepienia władzy książęcej i do okrzepienia społeczeństwa w jego prawach”. Nie ulega wątpliwości, że słowa te wzmacniają linię interpretacyjną przyjętą przez Adamusa w stosunku do myśli historycznej Balzera, warto jednak zwrócić uwagę, że nie dają podstaw do oceny, że są one „właściwie dedukcją z prawa, że państwa powstają w drodze podboju, sformułowanego – jak wiadomo – przez socjologa L[udwika] Gumplowicza”¹⁷⁴. Adamus jakby nie dostrzegając, że w przytoczonym fragmencie Balzer wyraźnie pozbawił to „prawo” cechy uniwersalności, używając dwukrotnie zwrotu „z reguły”, a przy tym zapominał (kilka wersów wyżej sam bowiem o tym pisał), że historycy ów odwoływał się do hipotezy podboju wewnętrznego, podczas gdy „prawo Gumplowicza” mówiło o podboju zewnętrznym¹⁷⁵. Szkoda przy tym, że w swej polemice nie odwołał się do pełnej postaci Balzerowskiego ujęcia hipotezy podboju z początku lat trzydziestych XX w., która nie pozostawiała

¹⁷² Tamże, s. 259.

¹⁷³ Tamże, s. 260.

¹⁷⁴ Tamże, przyp. 36.

¹⁷⁵ Szerzej na ten temat zob. wyżej, *Wprowadzenie*, s. 17–19.

cienia wątpliwości co do tego, że w odniesieniu do Polski państwowotwórczy podbój zewnętrzny w ogóle nie wchodził w rachubę¹⁷⁶. Jeśli zaś chodzi o podbój wewnętrzny, to zjawiska, które miały być jego przejawem, Balzer sytuował ostatecznie w obrębie ewolucji mającej prowadzić do powstania polskiego państwa, stając skądinąd na podobnym stanowisku jak Grodecki.

Jakkolwiek *Polska teoria rodowa* Adamusa swą problematyką, jak już nadmieniałem, „wkraczała w obszar hipotez powstania państwa polskiego w wyniku podboju”, to jednak obszaru tego szerzej nie spenetrowała, koncentrując się głównie na zagadnieniach społeczno-prawnych, które łączono z narodzinami polskiego feudalizmu. Można nawet powiedzieć, że i ten obszar zawężyła wręcz do koncepcji jednego tylko historyka (Balzera), a w jej ramach do kwestii podboju wewnętrznego, który w sposób gwałtowny i niespodziewany, niczym „deus ex machina”, spowodować miał przejście od słowiańskiej wolnościowej anarchii do państwowego absolutyzmu Piastów. Niezręczność tego odniesienia do Balzera, który w wypadku państwa Piastów najład w wewnętrzny skłonny był traktować jako jedną z form przemian **ewolucyjnych**, jest wręcz oczywista¹⁷⁷. Dramaturgiczna zasada „deus ex machina” nie pozostaje w harmonii z ewolucją i takimi jej asocjacjami jak stopniowalność, stadialność czy procesualność. Zapewne trafniejsze byłoby przypisanie jej tym marksistom, którzy przejawy państwowotwórczego podboju wewnętrznego, mającego być efektem walki klas, odnajdywali nawet w odniesieniu do ludzi, czasów i miejsc, o których źródła historyczne milczą. Tego jednak Adamus nie dostrzegł, gdy w ostatnim rozdziale swego, skądinąd w wielu partiach głębokiego dzieła, podkreślał, że dopiero marksizm roztoczył przed historykami *Nowe widnokreśli*¹⁷⁸. Znamiona dokonującego się w tej kwestii „przełomu” odnajdywał w historiografii ZSRS (Grekow, Tretiakow, Dzierżawin), a także w polskiej (Arnold, Bardach, Gieysztor, Wojciechowski oraz Adamus, czyli on sam). Na pierwszym planie, zapewne jako symboliczny łącznik między tym, co polskie a tym, co sowieckie umieścił jednak myśl historyczną Juliana Marchlewskiego.

Czy państwo polskie stworzyły więzi rodowe, czy klasowo-własnościowe? Mówiąc bardziej metaforycznie – czy zrodziły je więzy krwi, czy też chęć obrony zagrabionej (sprywatyzowanej?) „własności” wspólnoty pierwotnej? Według Adamusa, opowiadającego się za drugim z tych wariantów, polska teoria rodowa, łączona z przekonaniem o absolutyzmie pierwszych Piastów,

¹⁷⁶ Więcej na ten temat zob. rozdz. II niniejszej książki.

¹⁷⁷ Zob. rozdz. II, podrozdz. *Oswald Balzer – w stronę „czystej” endogenezy*.

¹⁷⁸ Trudno orzec, czy zbieżność tak zatytułowanego rozdziału z tytułem pisma wydawanego w latach 1943–1946 w ZSRS najpierw przez Związek Pisarzy Radzieckich, a później przez Związek Patriotów Polskich jest przypadkowa.

znalazła się w odwrocie, a nadzieje na całkowite przewycięzenie jej reliktyw należało wiązać z marksistowskim przełomem metodologicznym i wzorcami historycznego myślenia zaczerpniętymi z Kraju Rad.

5. MIEJSCE HIPOTEZY PODBOJU W MILENIJNYM KANONIE POWSTANIA PAŃSTWA POLSKIEGO

DWA TYSIĄCLECIA

Zgodnie z uchwałą Sejmu PRL z 1958 r. dwa lata później rozpoczęły się, trwające aż do 1966 r., obchody Tysiąclecia Państwa Polskiego, nad którymi instytucjonalno-organizacyjną pieczę powierzono Frontowi Jedności Narodu. Wobec niemałej już literatury na ten temat nie ma potrzeby wracać tu do wątków związanych z narodzinami milenijnej idei, łączących się głównie z postaciami Witolda Hensla i Aleksandra Gieysztora¹⁷⁹. Nie ma również potrzeby rozwijania kwestii uwarunkowań ideologiczno-politycznych obchodów Tysiąclecia Państwa, które w intencji ówczesnych władz miały poprzedzić i zneutralizować obchody Tysiąclecia Chrześcijaństwa i Kościoła w Polsce, zapowiedziane w 1957 r. na rok 1966 przez kardynała Stefana Wyszyńskiego¹⁸⁰.

Chociaż państwowe obchody milenijne zainaugurowane zostały w lutym 1960 r. na plenarnym posiedzeniu Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu w Kaliszu, który obchodził w tym czasie jubileusz swego, szacowanego na osiemnaście stuleci żywota, to pod względem zainteresowania najwyższych władz, a także rangi interesujących historyka historiografii

¹⁷⁹ Uchwały i postanowienia formalnoprawne dotyczące uroczystości rocznicowych tak państwowych, jak i kościelnych niezbyt korespondują z „okresem tzw. badań milenijnych (1948/1949–1965/1970) prowadzonych przez archeologów »w związku z przygotowaniem obchodów Wielkiej Roczniczy Millennium Państwa«”; zob. M. Kara, *Mediewistyka historyczna i archeologia średniowieczna w badaniach nad początkami państwa Piastów. Przykład „współpracy” historiografii i archeologii*, w: *Przeszłość społeczna. Próba konceptualizacji*, red. S. Tabaczyński, A. Marciniak, D. Cyngot, A. Zalewska, Poznań 2012, s. 870.

¹⁸⁰ Uczynił to Bartłomiej Noszczak, który w monografii „*Sacrum*” czy „*profanum*”?... skoncentrował się na wątku „milenijnej” rywalizacji obchodów rządowych i kościelnych, pomijając świadomie analizę efektów prac naukowych pobudzonych i zintensyfikowanych przez te obchody. Wątek ideologicznej rywalizacji rządowych i kościelnych obchodów Millennium podjął również Janusz Tazbir, który w ostatnim rozdziale drugiego, rozszerzonego wydania swej książki, poświęconej problematyce polskiego przedmurza chrześcijańskiej Europy (wyd. 1: 1987), zatytułowanym znamienne „Walka o rząd dusz”, końcowy efekt tej rywalizacji ocenił jednoznacznie: „niewątpliwie jednak propagandowe zwycięstwo odniosła strona kościelna”; zob. J. Tazbir, *Polska przedmurzem Europy*, Warszawa 2004, s. 194.

rezultatów, bez porównania większe znaczenie miała nieco późniejsza sesja (21–23 czerwca 1960 r.) zorganizowana w Warszawie przez Polską Akademię Nauk¹⁸¹. Warto odnotować, że była to sesja wizytowana przez delegację sowiecką, a także delegacje krajów „demokracji ludowej”, natomiast obecność jedyne go zagranicznego uczestnika spoza tego kręgu, jakim był „przebywający na studiach” w Polsce historyk francuski, miała raczej charakter przypadkowy¹⁸². Nieobecność uczonych zachodnich zrekompensował zapewne I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka, który w depeście, odczytanej wszakże dopiero po części powitalnej (w tym po życzeniach okolicznościowych Przewodniczącego Rady Państwa Aleksandra Zawadzkiego oraz referatach Hensla i Gieysztor), wyraził swą przychylność i życzliwe zainteresowanie tematyką sesji¹⁸³. Wygłoszone na niej referaty, po modyfikacji niektórych tytułów i korektach objętościowych oraz merytorycznych¹⁸⁴, zdążono opublikować jeszcze w tym samym roku na łamach „Kwartalnika Historycznego”, którego okładkę zaopatrzone w znaczący podtytuł *Początki państwa polskiego. Studia i materiały*. W głównym bloku tematycznym, zatytułowanym *Referaty wygłoszone na sesji PAN poświęconej Początkom Państwa Polskiego*, umieszczone zostały teksty: Witolda Hensla (*Podstawy dziejowe rozwoju kultury wczesnopolskiej*), Aleksandra Gieysztor (*Ideowe wartości kultury polskiej w w. X–XI. Przyjęcie*

¹⁸¹ Komitet Obchodów Tysiąclecia miał niejednorodnie rozbudowaną strukturę, obejmującą zarówno „pion naukowy, jak i organizacyjną stronę obchodów”. Jak pisał Eugeniusz Rudziński, kierował on „przygotowaniami i pracami millennialnymi w oparciu o następujące komisje: archeologiczną, grunwaldzką, historyczną, muzealną, popularyzacji, koordynacji inicjatywy lokalnej i wydawniczą”; tenże, *Obchody tysiąclecia państwa polskiego w pierwszym roku jubileuszowym*, „Kwartalnik Historyczny” 68, 1961, 1, s. 259–262.

¹⁸² Tak można sądzić na podstawie danych zawartych w: W. Różańska, *Sesja PAN poświęcona początkom Państwa Polskiego*, „Kwartalnik Historyczny” 67, 1960, 4, s. 1069.

¹⁸³ Tamże, s. 1070.

¹⁸⁴ Jeśli korekty objętościowe są w takich wypadkach normą dość oczywistą, to z korektami merytorycznymi bywa gorzej. Przykładem może tu być tytuł referatu *Podstawy dziejowe kultury polskiej* otwierającego naukową część sesji, nie tylko wspólnie napisanego, ale – jak można wnosić z zamieszczonego w tym samym numerze „Kwartalnika Historycznego” sprawozdania – wspólnie wygłoszonego w części pierwszej przez Hensla, w części drugiej przez Gieysztor; W. Różańska, dz. cyt., s. 1069–1070. Jednak ten sam, jak można przypuszczać, referat występuje w „Kwartalniku” już w postaci podzielonej przez autorów na dwa odrębnie zatytułowane teksty. Tekst Hensla nosi tytuł *Podstawy dziejowe rozwoju kultury wczesnopolskiej*, natomiast Gieysztor – *Ideowe wartości kultury polskiej w w. X–XI. Przyjęcie chrześcijaństwa*. Wobec tego, że Hensel określa swój tekst mianem „referatu” (na sesję), natomiast Gieysztor traktuje swój tekst jako „artykuł” (do „Kwartalnika”) oraz wobec braku jakichkolwiek wyjaśnień redakcyjnych na ten temat, historyk historiografii znajduje się w mało komfortowej sytuacji, chcąc choćby wyjaśnić, do jakiego stopnia (i czy w ogóle) kwestia przyjęcia chrześcijaństwa była poruszona we wspólnym referacie, zwłaszcza że jego tytuł, w przeciwieństwie do tekstu opublikowanego przez Gieysztor w „Kwartalniku”, nic o niej nie mówi.

chrześcijaństwa), Henryka Łowmiańskiego (*Podstawy gospodarcze i społeczne powstania państwa polskiego i jego rozwoju do początku XII wieku*), Juliusza Bardacha (*Polskie państwo wczesnopiastowskie. Dorobek i perspektywy badań*), Tadeusza Lehra-Spławińskiego (*Początki języka polskiego*), Tadeusza Manteuffla (*Państwo Mieszka a Europa*) oraz Gerarda Labudy (*Zagadnienie suwerenności Polski wczesnofeudalnej*). Jeśli pominąć niepublikowany, zapewne ze względów technicznych, wykorzystujący bowiem obficie dokumentację ikonograficzną (przezrocza), referat Jana Zachwatowicza *Polska architektura monumentalna w X i XI wieku*, to zarówno charakter przytoczonych wyżej wystąpień, jak i nazwiska ich autorów zdają się stanowić dostateczną podstawę, by podjąć próbę rekonstrukcji „oficjalnego” milenijnego kanonu powstania państwa polskiego. Tym bardziej że już dwa lata później kanon ten został potwierdzony w dwutomowej edycji zbiorowej, ukazującej trudności badawcze, a zarazem wieloaspektowość problematyki początków państwa polskiego¹⁸⁵. Podejmując w tym miejscu taką próbę, trzeba jednak zastrzec, że będzie to rekonstrukcja wielce selektywna, koncentrująca się bowiem, zgodnie z tytułem, na ustaleniu miejsca, jakie w obrębie zespołu czynników zaliczanych wówczas do polskiego syndromu państwowotwórczego przyznawano tak czy inaczej rozumianemu podbojowi.

Już choćby pobieżny rzut oka na przytoczone wyżej tytuły, i to zarówno te, które sygnalizowały charakter całej zorganizowanej przez PAN sesji poświęconej „**początkom** Państwa Polskiego”, jak i te, które określały tematykę poszczególnych referatów, ukazuje, że główny akcent położony został nie na fazę, w której państwo to jawiło się już jako uformowane, lecz na proces kładzenia jego fundamentów, podwalin czy w końcu wznoszonych już wprawdzie na tych fundamentach, lecz niekończących jeszcze dzieła, „zrębów”. Warto przypomnieć, że dominującą we wcześniejszej historiografii polskiej tendencją było łączenie politycznych narodzin Polski z postacią Mieszka I, któremu rzadko kto odmawiał zasługi głównego „budowniczego” polskiego państwa, potrafiącego trafnie ocenić państwowotwórcze znaczenie przyjęcia chrześcijaństwa. Nastawienie na tropienie przedchrześcijańskich śladów narodzin Polski znalazło odzwierciedlenie w tytułach sporej części referatów, gdzie odwoływano się do takich, nie zawsze oczywistych, konotacji jak „kultura wczesnopolska” (Hensel)¹⁸⁶, „państwo wczesnopiastowskie”

¹⁸⁵ Znaczącym elementem przygotowań do tej edycji była zorganizowana w maju 1960 r. przez Instytut Zachodni w Poznaniu sesja, podczas której referaty Hensla i Gieysztera spotkały się z przychylnym przyjęciem Tymienieckiego. Inicjatywy poznańskie zaowocowały ostatecznie publikacją dzieła *Początki państwa polskiego. Księga tysiąclecia*, t. 1: *Organizacja polityczna*, t. 2: *Spółczesność i kultura*, red. K. Tymieniecki, współpr. G. Labuda, H. Łowmiański, Poznań 1962.

¹⁸⁶ Por. wyżej, przyp. 180.

(Bardach) czy „Polska wczesnofeudalna” (Labuda). Jednak bodaj najwyraźniej owa „wczesnościowa” inklinacja interpretacyjna uwidoczniła się już na pierwszej karcie tekstu Gieysztora, na której odnaleźć można takie sformułowania jak „dawna przeszłość słowiańska i wczesnopolska”, „wczesne społeczeństwo polskie”, „przebieg wczesnych dziejów kultury Polaków”¹⁸⁷, „wczesna kultura psychiczna i umysłowa Polski piastowskiej”, czy najmniej, jak się wydaje, enigmatyczna, „ideologia wczesnośredniowieczna”¹⁸⁸.

Nie ulega wątpliwości, że poszukiwania „najwcześniejszych” państwa polskiego początków, godząc w tezę o życiodajnej dla jego zaistnienia chrystianizacji, wychodziły naprzeciw oczekiwaniom władz PRL, co z jednej strony kojarzyć się mogło z kwestionującym reguły warsztatu naukowego konformizmem historyków, z drugiej jednak pozwalało na uzyskanie wyjątkowych wręcz środków materialnych, umożliwiających prowadzenie badań, zwłaszcza archeologicznych, o niespotykanym dotychczas zakresie, co ów konformizm podnosiło niemal do rangi cnoty¹⁸⁹. Trzeba bowiem przypomnieć, że pod względem naukowo-poznawczym badania te przyniosły rezultaty znacznie trwalsze od ideologii i polityki, której miały służyć, a zdarzało się, że niezbyt dla tej ideologii wygodne. Spektakularnym przykładem może tu służyć rozwój badań nad budownictwem sakralnym, której to potrzebie Kościoł nigdy wcześniej nie mógł finansowo sprostać w takim stopniu jak stało się to w związku z komunistycznymi obchodami milenijnymi.

Nastawienie na wykazywanie „przedchrześcijańskości”, a zarazem rodziomości większości elementów mających tworzyć polski syndrom państwowotwórczy dostrzec można w koncepcji Hensla. Choć była to tendencja, której uczony ów nie sygnalizował *expressis verbis*, to jednak dość łatwo daje się ją dostrzec w konkluzjach, jakimi zwieńczył swoje wystąpienie. Zgodnie z nimi kultura „wczesnopolska” była samorodną kulturą ludności autochtonicznej, rozwijającą się podobnie do wielu kultur występujących „na północ od Alp”. Wprawdzie w stosunku do niektórych krajów tego obszaru cechowały ją pewne

¹⁸⁷ A. Gieysztor, *Ideowe wartości kultury polskiej w w. X i XI. Przyjęcie chrześcijaństwa*, „Kwartalnik Historyczny” 67, 1960, 4, s. 922.

¹⁸⁸ Tamże, s. 923.

¹⁸⁹ Trudno nie zgodzić się z opinią, że: „Na niespotykaną skalę nauka zyskała w tym czasie potężnego mecenasa w postaci państwa. Z pewnością był to »złoty okres« nauk historycznych, które skwapliwie skorzystały z możliwości (przede wszystkim z funduszy), jakie władze państwowe stworzyły uczonym. [...] Jednakże ceną, jaką przyszło uczonym zapłacić za czas koniunktury naukowej w okresie Tysiąclecia było większe lub mniejsze uzależnienie się od potrzeb władz państwowych”; B. Noszczak, dz. cyt., s. 159, 256. Rzecz znamienna, że oceny te, mimo swej ogólnie negatywnej opinii o książce Noszczaka, podzielili Eleonora i Stanisław Tabaczyńscy w: „Sacrum” czy „profanum”? *Uwagi na marginesie pracy B. Noszczaka (2002) oraz recenzji A. Abramowicza (2005)*, „Archeologia Polski” 50, 2005, 1–2, s. 135.

opóźnienia, ale zostały one odrobione w okresie jeszcze przedmieszkowym, a konkretnie – od VII do końca IX w. Istotnych różnic więc nie było. Tym bardziej nie było kulturowych „różnic w rozwoju polskich ziem zachodnich oraz pozostałych obszarów Polski. Równie wczesnopolska jest kultura Śląska jak Małopolski, czy Pomorza, jak Wielkopolski i Mazowsza”. Pisząc te słowa, Hensel nie omieszczał zaznaczyć, że podobne poglądy wypowiadali też Gieysztor (referat) i Tymieniecki (głos w dyskusji) podczas sesji, którą w maju 1960 r. zorganizował w Poznaniu Instytut Zachodni¹⁹⁰. Były to wypowiedzi utrzymane w konwencji „argumentu z historii w polityce”, przemawiającego na rzecz ucieleśnionej po II wojnie światowej idei „powrotu Ziem Zachodnich do Macierzy”, co zgodnie z zasadą „sprawiedliwości dziejowej” nadawało im status Ziem Odzyskanych. Niemalą potencję polityczną miał też końcowy wniosek, który – choć w sposób nieco zakamuflowany – deprecjonował państwowotwórczą rolę chrztu Mieszka: „Mylne są wszelkie teorie próbujące twierdzić, że dopiero w II połowie X w. nastąpiły warunki do rozwoju Polski. Należy stwierdzić, że było odwrotnie, a mianowicie, że osiągnięcia uprzednich pokoleń umożliwiły dalszy pomyślny rozwój kultury wczesnopolskiej w drugiej połowie X w.”¹⁹¹ A zatem za Mieszka jak gdyby nic państwowotwórczego się nie stało. Była to formuła nieco enigmatyczna, jakkolwiek jej intencje były dość przejrzyste.

Konstatacja, zgodnie z którą miało być „odwrotnie” w stosunku do tego, co głosiła teza o szczególnej dla „rozwoju Polski” drugiej połowie X w., czyli wówczas, kiedy Mieszko I przyjął chrzest, jest trudna do interpretacji. Hensel mówił tak jak gdyby owa „odwrotność” rozwojowa przejawiała się w... **kontynuacji** pasma uprzednich dokonań na polu rozwoju kultury „wczesnopolskiej”, a przecież „odwrotność” rozwoju kojarzy się raczej z jego zaniechaniem czy wręcz regresem. Nie było również jasności, jak szeroko rozumieć ową kulturę. W sumie z konkluzji referatu, w których ani razu nie padają określenia „państwo polskie” czy też „polska państwowość”, trudno dowiedzieć się, czy kultura ta obejmowała również różne stopnie i formy tradycji polityczno-państwowej. Można odnieść wrażenie, że archeolog ograniczył się w tym wypadku jedynie do pewnych sugestii i niedopowiedzeń, zostawiając ich rozwinięcie i doprecyzowanie historykowi, którym w tym wypadku był Gieysztor. Skądinąd drogi tych uczonych już od wczesnych lat powojennych schodziły się ze sobą niejednokrotnie, obaj byli przecież inicjatorami i realizatorami idei uświetnienia od strony naukowej obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego.

¹⁹⁰ W. Hensel, *Podstawy dziejowe rozwoju kultury wczesnopolskiej*, „Kwartalnik Historyczny” 67, 1960, 4, s. 919, przyp. 85.

¹⁹¹ Tamże, s. 918–919.

Jeszcze w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych Gieysztor uważał, że jeśli (1) chrystianizacja nie stanowiła czynnika koniecznego w procesie narodzin polskiego państwa, który to proces miał się dopełnić przed 966 r., to (2) była ona jednak niezbędna dla zapewnienia temu państwu dalszego istnienia¹⁹². W czasie obchodów milenijnych formuła ta występowała już jednak w postaci skorygowanej. Jeśli pierwszy jej człon Gieysztor pozostawił bez zmian, to w drugim zrezygnował całkowicie z tezy o niezbędności chrystianizacji dla **zachowania bytu** „wczesnego” państwa polskiego. Nowa formuła nie oznaczała jednak całkowitej deprecjacji państwowotwórczych walorów chrześcijaństwa. W ujęciu „milenijnym” przychodziło ono „na wezwanie” świadomej swych politycznych celów rodzimej grupy „budowniczych państwa polskiego”, jaką stanowili książę i popierający go „wczesnofeudalni” możnowładcy. Przychodziło do państwa już istniejącego, a zarazem takiego, które mogło trwać, wykorzystując ideologicznie kultury pogańskie. Chrześcijaństwo nie było więc niezbędne, ale w stosunku do ówczesnego wachlarza możliwości było państwowotwórczo optymalne. Gieysztor przytaczał przykłady prób „upaństwowienia” kultów pogańskich: czy to u Słowian połabskich (Radogoszcz-Retra, Arkona), czy na Rusi (Kijów za Włodzimierza bezpośrednio przed przyjęciem chrześcijaństwa), czy w końcu u Ślęzan (góra Ślęza-Sobótka). Stało się jednak tak, że wśród Słowian, ludów skandynawskich oraz Węgrów chrześcijaństwo wyparło wierzenia pogańskie. „Klasa panująca w tych społeczeństwach – pisał Gieysztor – uznała je, **nie bez głębokich racji**, za rozwiązanie korzystniejsze i skuteczniejsze niż wszelkie inne” (podkr. A.W.)¹⁹³. O walorach chrześcijaństwa decydowała w tym wypadku nie jego niezbędność dla procesów narodzin oraz utrzymania się i wzmacniania państwa, lecz jego większa pod tym względem efektywność od kultów pogańskich. Z takim ujęciem blisko korespondowało położenie akcentu na rodzime korzenie państwa Piastów, co w odniesieniu do chronologicznego układu relacji państwo polskie – chrześcijaństwo odwracało niejako tendencję dominującą przed II wojną światową. O tym, jak duże znaczenie przykładał Gieysztor do tezy, że w dziejach polskich diachronia przyznawała pierwszeństwo państwu, a nie chrześcijaństwu świadczy fakt, iż w jednym i tym samym tekście powtarzał tę tezę wielokrotnie. Oto kilka przykładów: „do pełnego i zgodnego z interesem państwa i klasy rządzącej wykorzystania chrztu należało mieć wówczas już uprzednio zorganizowany aparat władzy politycznej zdolny do obrony przed obcą interwencją przygotowywaną przez misję [najazdy misyjne – A.W.] i do wyzyskania zalet wewnętrznych i zewnętrznych sytuacji kraju ochrzczonego [...]. Polska, Ruś

¹⁹² A. Gieysztor, *Geneza państwa polskiego...*, s. 135.

¹⁹³ Tenże, *Ideowe wartości kultury polskiej...*, s. 925.

i Węgry, a wcześniej Morawy i Czechy przyjmowały chrześcijaństwo w warunkach poważnej już stabilizacji ustroju państwowego¹⁹⁴; „Jak staraliśmy się wskazać chrystianizacja w X i XI w. da się wyrozumieć w ramach organizacji **nowego**, wielkiego państwa polskiego, które posłużyło się Kościołem dla uzupełnienia w bardzo istotny sposób swojej struktury i swojej ideologii” (podkr. A.W.)¹⁹⁵; „Państwo Mieszka i Bolesława wstępowało na nowe tory rozwoju uzbrojone w dostateczne wartości własne, aby pewną dłońią sięgać po dorobek kultury światowej, uprzystępniany w formach właściwych epoce i korzystać z niego także dla utwierdzenia swej suwerenności kulturalnej oraz narodowości polskiej”¹⁹⁶.

Ani Hensel, ani Gieysztor nie byli osamotnieni w twierdzeniu, że państwo polskie narodziło się ewolucyjnie, w wyniku procesów wewnętrznych, typowych dla przemian związanych z kształtowaniem się układu feudalnego i obejmujących najpierw, po marksistowsku pojmowane, struktury gospodarcze i społeczne (bazę, formację społeczno-ekonomiczną), a później strzegący tej bazy „państwowy” rdzeń nadbudowy. W czasie Sesji Tysiąclecia, bo takie jej określenie funkcjonowało w środowisku historyków¹⁹⁷, w podobnym duchu wypowiadał się między innymi Juliusz Bardach, pisząc: „również zasadnicza zmiana w sferze ideologii, jaką było przyjęcie chrześcijaństwa została umożliwiona – niezależnie od poprzedniej jego infiltracji w niektórych ośrodkach – dzięki aktywnej działalności monarchii wczesnofeudalnej [...]. Terytorialne rozprzestrzenienie się chrześcijaństwa było nie do pomyślenia bez współdziałania aparatu władzy monarchii wczesnopiastowskiej. Najlepszy dowód, że nie rozpowszechniło się w X–XI w. na Pomorzu, gdzie tej władzy zabrakło”¹⁹⁸.

Rozważania na temat genetycznych powiązań między oboma członami relacji „polskie państwo a chrześcijaństwo” uczestnicy dyskusji osadzali w różnych kontekstach: gospodarczym, społecznym, kulturowym, polityczno-prawnym, próbując również tam, gdzie było to możliwe, szukać komparatystycznych odniesień do słowiańskich sąsiadów Polski, głównie Czech i Rusi, oraz do innych krajów, położonych, jak określił to dość ogólnie Hensel, „na północ od Alp”. W większości wystąpień przekonanie o „wczesnofeudalnej” genezie państwa polskiego łączyło się z typową dla marksizmu predylekcją

¹⁹⁴ Tamże, s. 926.

¹⁹⁵ Tamże.

¹⁹⁶ Tamże, s. 938.

¹⁹⁷ Jeszcze w tym samym numerze „Kwartalnika Historycznego”, w którym opublikowano teksty referatów, nazwą Sesja Tysiąclecia posłużył się Karol Buczek; zob. tenże, *Głos w dyskusji nad początkami państwa polskiego*, „Kwartalnik Historyczny” 67, 1960, 4, s. 1079, przyp. 2.

¹⁹⁸ J. Bardach, *Polskie państwo wczesnopiastowskie (dorobek i perspektywy badań)*, „Kwartalnik Historyczny” 67, 1960, 4, s. 1005–1006.

do wyjaśniania dyspozycyjnego¹⁹⁹, polegającą na wiązaniu przemian dużych struktur historycznych typu państwo czy społeczeństwo z uprzednimi przemianami takich czynników jak „siły wytwórcze” i „stosunki produkcji”, a więc zawartych niejako we wnętrzu owych struktur. Stanowisko to uwidoczniło się bardzo wyraźnie w wystąpieniu Labudy, według którego zarówno państwo, jak i stanowiąca jego atrybut suwerenność „nie przychodzi z zewnątrz”, lecz „**musi** być wytworzona i obroniona przez społeczeństwo wznoszące się na wyższy stopień rozwoju” (podkr. A.W.)²⁰⁰. Była to teoria wielce nieprzychylna dla hipotezy podboju, zwłaszcza w jej egzogenicznym wariantcie, i trudno się dziwić, że akceptując ją, Labuda był intelektualnie zobligowany do deprecjacji koncepcji tych historyków, którzy – jak pisał – „swego czasu wywodzili genezę warstwy panującej Polski wczesnopiastowskiej spoza kraju lub wyprowadzali genezę państwa przy pomocy teorii najazdu”. Trzeba przyznać, że nie bez pewnej nonszalancji historyk dookreślał swe przekonania następującymi słowy: „Nie będziemy się tutaj wdawali w rozpatrzenie tego kompleksu zagadnień, gdyż stoimy na stanowisku, że teorie te nie mają żadnego zastosowania na terenie Polski. Państwo polskie powstało drogą wewnętrznej ewolucji i organizacja instytucji państwa jest wynikiem różnicowania klasowego zachodzącego wewnątrz kraju”²⁰¹.

Ciekawe, że spośród uczestników Sejsi Tysiąclecia żaden z historyków nie zajął, tak jak to często bywało przed zaistnieniem Polski Ludowej, stanowiska, zgodne z którym niezbędnym impulsem umożliwiającym dopełnienie się polskiego procesu państwowotwórczego było przyjęcie chrześcijaństwa. Zapewne zdarzyło się tak dlatego, że uznanie państwowotwórczej roli chrześcijaństwa, które narodziło się daleko poza polską „Macierzą”, z jednej strony godziło w marksistowską skłonność do wyjaśniania biegu dziejów w kategoriach „czynników wewnętrznych”, z drugiej natomiast uderzało w komunistyczną strategię ideologiczną mówiącą, że należy nie tylko strzec się, ale i aktywnie przeciwstawiać teologicznej czy też „religianckiej” wykładni biegu dziejów.

Pewności, z jaką autorzy referatów przedstawiali swe tezy o klasowym, „wczesnofeudalnym” i w sumie wcześniejszym od przyjęcia nad Wisłą chrześcijaństwa podłożu narodzin polskiego państwa nie podzielił jednak Karol Buczek. W trakcie dyskusji zapowiedział on, że swój głos prześle nieco później w postaci obszerniejszego tekstu, i rzeczywiście tekst ten został zamieszczony w tym samym tomie „Kwartalnika Historycznego” co wygłoszone

¹⁹⁹ Odniesień tych pozbawione były referaty Tadeusza Manteuffla i językoznawcy Tadeusza Lehra-Spławińskiego.

²⁰⁰ G. Labuda, *Zagadnienie suwerenności Polski wczesnofeudalnej*, „Kwartalnik Historyczny” 67, 1960, 4, s. 1035.

²⁰¹ Tamże, s. 1042.

w trakcie sesji referaty. Znamienne, że uczony nie omieszkiał wyrazić swego sceptycyzmu co do charakteru też zawartych nie tyle w referatach, ile w opublikowanych wcześniej opracowaniach podręcznikowych i popularyzatorskich, takich jak część pierwsza „PAN-owskiej” *Historii Polski* pod redakcją Henryka Łowmiańskiego (1957), *Historia państwa i prawa Polski do połowy XV wieku* pióra Juliusza Bardacha (1957) i *Jak powstawała Polska* autorstwa Stanisława Trawkowskiego (1959). Warto zwrócić uwagę, że wszyscy wymienieni autorzy byli aktywnymi uczestnikami sesji, ponieważ Trawkowski, który nie należał wprawdzie do grona referentów, był animatorem, a zarazem sprawozdawcą otwartej w czasie Sesji Tysiąclecia wystawy, której „istotnym zadaniem” miało być „wyrażanie syntezy historycznej za pomocą środków ekspozycyjnych”²⁰². Opinia Buczka o dokonaniach tychże historyków była bardzo krytyczna. Ich teksty sprawiać miały wrażenie, że wiedza o procesach prowadzących do powstania państwa polskiego jest już bardzo zaawansowana, podczas gdy w rzeczywistości ma ona jedynie status „hipotez roboczych”. Nie płyną one z wszechstronnych i dogłębnych badań, lecz są raczej próbami „wtłoczenia początkowych faz polskiego procesu historycznego w prokrustowe łoże pewnych odgórnie przyjętych schematów i założeń. Te zaś zalatują już z daleka bądź czysto idealistycznym subiektywizmem, bądź też – na drugim biegunie – równie czystym materializmem i determinizmem ekonomicznym, utożsamianym najnieśluszniej z materializmem dialektycznym i historycznym, który nie uznaje schematycznego automatyzmu...”²⁰³. Pisząc te słowa, Buczek zręcznie odesłał zarówno autorów krytykowanych tekstów, jak i czytelników jego własnego tekstu do świeżo wydanego (Warszawa 1960) dzieła zatytułowanego *Podstawy marksizmu-leninizmu. Podręcznik*. W realiach PRL lat sześćdziesiątych taki elementarz trudny był do zakwestionowania, czy choćby tylko zignorowania.

Umieściwszy teoretyczno-metodologiczne źródła krytykowanych przez siebie „hipotez roboczych” między Scyllą idealistycznego subiektywizmu a Charybdą deterministycznego ekonomizmu, Buczek przeciwstawił się uniformizującym schematom, prowadzącym do zacierania odrębności historycznych w formowaniu się „organizacji państwowych w różnych stronach Słowiańszczyzny, nie mówiąc już o ludach celtyckich, germańskich, bałtyckich itd.”²⁰⁴, a także do ignorowania tego, że każde z państw słowiańskich powstawało na odmiennym „podłożu” geograficznym i historycznym. Poza ekonomistycznym pojmowaniem marksistowskiej teorii procesu dziejowego

²⁰² S. Trawkowski, *Wystawa „Początki Państwa Polskiego”. Ekspozycja wystawowa a synteza historyczna*, „Kwartalnik Historyczny” 67, 1960, 4, s. 1107.

²⁰³ K. Buczek, dz. cyt., s. 1080.

²⁰⁴ Tamże.

„schematyczny automatyzm” miały też ugruntowywać mankamenty „dających się dowolnie interpretować” źródeł archeologicznych i językoznawczych oraz ułomności komparatystyki polegającej na analogiach, „z pomocą których można udowodnić wszystko, choć naprawdę nie da się udowodnić niczego”²⁰⁵. W efekcie Buczek starał się wykazać, że w polskich dziejach państwowotwórcze znaczenie „wczesnofeudalnej organizacji społeczeństwa” jest wyolbrzymiane. Pisał: „Organizacja ta bowiem, mimo postępowego w danym momencie historycznym charakteru, zakuwała wszystko, co do jednej dziedziny życia społecznego, a zwłaszcza gospodarkę, w sztywne ramy na wpół jeszcze patriarchalnego prawa książęcego, hamując rozwój sił wytwórczych i feudalizację organizacji społecznej [to jest siebie samej – A.W.]”²⁰⁶. Trudno jest wchodzić w istotę owej nieco zagmatwanej konkluzji, ale jedno można powiedzieć – twierdząc, że domniemania co do klasowego oblicza „wczesnofeudalnej organizacji społecznej” nie uprawdopodobniały hipotezy o „wczesnofeudalnych” narodzinach polskiego państwa, Buczek otwarcie przeciwstawił się milenijnjo-peerelowskiej dominancie. I trzeba przyznać, że uczynił to bardzo sprawnie, jakkolwiek nie sposób powiedzieć, czy ku zadowoleniu tych, których odesłał do najświeższego podręcznika „jedynie słusznej” teorii.

Odpowiedzi na pytanie, co było najpierw – chrystianizacja czy narodziny polskiego państwa? – nie dawało się zamknąć w konwencji czysto chronologicznej. Ideologiczna warstwa obchodów milenijnych w PRL sytuowała je w rzędzie pytań wykraczających poza tradycyjne układy diachroniczne oparte na faktografii zaczerpniętej ze źródeł. Choćby dlatego, że takich źródeł po prostu nie było, a i do dzisiaj nie ma. Jeśli pominąć wytwory Klio Frenezynnej, nikt, nigdy i nigdzie nie wystawił państwu polskiemu metryki zaświadczającej, że „urodziło się” ono w określonym dniu określonego roku jako dziecko piastowskiego ojca i nadwiślańskiej ziemi-matki, które to wydarzenie nastąpiło albo „w ścisłym związku”, albo też „całkowicie bez związku” z tym, czy jego rodzice byli już ochrzczeni, czy jeszcze nie.

Dążenie do jednoznacznego rozstrzygnięcia, co w naszych dziejach było pierwsze: państwo czy chrześcijaństwo, jakkolwiek miało swój aspekt historyczno-poznawczy, to w peerelowskich realiach przybierało przede wszystkim charakter ideologiczno-polityczny. Jeśli sięgniemy myślą do międzywojennego dwudziestolecia, zafrapować nas może analogia do sporu o to, co było najpierw: państwo, dzięki któremu uformował się polski naród, czy też naród, dzięki któremu powstało polskie państwo²⁰⁷. Wydaje się jednak,

²⁰⁵ Tamże.

²⁰⁶ Tamże, s. 1103.

²⁰⁷ Przed laty kwestię tę podjąłem szerzej w monografii: *Naród – państwo w polskiej myśli historycznej dwudziestolecia międzywojennego*, Wrocław 1978, s. 35–56.

że ta analogia jest niewiele warta. I to nie tylko dlatego, że w gruncie rzeczy trudno odmówić racji przestrogom przed złudnym poznawczo urokiem jeśli nie wszystkich, jak utrzymywał to Buczek, to przynajmniej większości analogii. Jej główny mankament polega na tym, że jeśli w dwudziestoleciu międzywojennym spór o rodzicielską relację między państwem a narodem miał po obu stronach godnych siebie przeciwników, czyli sanację i endecję, to w realiach peerelowskich zwolennicy „państwowej” genезy polskiego chrześcijaństwa toczyli walkę ze zwolennikami „chrześcijańskiej” genезy polskiego państwa. Sedno rzeczy tkwi jednak w tym, że tych ostatnich niemal nie było, a jeśli byli to swoboda ich wypowiedzi była wielce ograniczona, jeżeli w ogóle istniała. Toczące się w takich warunkach zmagania historiograficzne kojarzą się bardziej z bokerską „walką z cieniem” niż z przeciwnikiem rzeczywistym. Ich wyimaginowany charakter nie zmienia jednak faktu, że różnego rodzaju napięcia aksjologiczne występujące między biegunami „państwa ludu pracującego miast i wsi” a religii mającej stanowić „opium ludu”, lub w bolszewickiej mutacji tej Marksowskiej formuły – „opium dla ludu”, stanowiły czynnik ograniczający w PRL swobodę badań i wypowiedzi na temat genetycznych relacji między chrystianizacją a uformowaniem się polskich struktur państwowych.

OSKAR HALECKI I INNI. MILENIJNE AKCJE I KONTRAKCJE – EKSKURS EMIGRACYJNY

Oczywiście historiografia polska na Zachodzie nie podlegała, tak jak krajowa, ideologiczno-politycznej presji władzy komunistycznej (a jeśli to w postaci śladowej lub zakamuflowanej), w związku z czym były liczne obszary, na których między jedną a drugą uwidaczały się spore różnice. Do takich obszarów należała między innymi kwestia wyboru między separowaniem a łączeniem ze sobą dwóch polskich Tysiącleci: „chrześcijańskiego” i „państwowego”.

Na emigracji najwięcej do powiedzenia na ten temat miał Oskar Halecki, historyk, którego profesjonalne kompetencje, a zarazem zaangażowanie w rocznicowe obchody spotkały się ze szczególną dezaprobatą najwyższych władz PRL²⁰⁸. Potwierdzeniem tego była postawa Władysława Gomułki, który

²⁰⁸ Kompetencje Haleckiego były jednak nie do podważenia, niekwestionowany znawca emigracyjnej historiografii polskiej, Rafał Stobiecki, w studium poświęconym Haleckiemu dał taką oto, jednozdaniową ich ocenę: „Ze względu na swoją pozycję w nauce światowej, znajomość języków (biegle pisał i wykładał w czterech językach, a z łaciną w pięciu) i błyskotliwą erudycję, był O. Halecki, obok Mariana Kukieła (1885–1973), niewątpliwie przez lata czołowym autorytetem dla całego środowiska historyków polskich na uchodźstwie, a także symbolem istnienia niezależnej nauki historycznej poza krajem”; zob. R. Stobiecki, *Historycy polscy wobec wyzwań XX wieku*, Poznań 2014, s. 173–174.

w 1966 r. uznał za stosowne zganić Haleckiego jako „reakcjonistę” i „wroga Polski Ludowej”, którego wizja ojczyzny przeszłości skaziła myśl historyczną zamierzającego się udać na uroczystości do Rzymu prymasa Polski. „Dlatego właśnie – mówił Gomułka – odmówiliśmy kardynałowi Wyszyńskiemu paszportu, ażeby nie spotkał się ze swoim nauczycielem – profesorem Haleckim”²⁰⁹. Namacalnym wręcz potwierdzeniem owej paszportowej dydaktyki historii stało się pogardliwe ciśnięcie książką Haleckiego o mównicę sejmową. Skądinąd *Historia Polski*, bo tą książką posłużył się I sekretarz PZPR, nie była w tym wypadku najlepszym narzędziem „udobitnienia” jego poglądów. Jej rocznicowy mankament polegał na tym, że nie nawiązywała, bo też i nie mogła bezpośrednio nawiązywać, do państwowych uroczystości milenijnych. Pierwsze jej wydanie ukazało się jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym, a ostatnie dopełniał wprawdzie rozdział dotyczący czasów po II wojnie światowej, lecz obejmujący jedynie pierwsze dziesięciolecie Polski Ludowej, czyli okres kończący się na trzy lata przed „rocznicową” uchwałą Sejmu PRL z 1958 r.²¹⁰ Sedno rzeczy tkwiło jednak w czym innym. Otóż brzmiący niczym bolesne westchnienie tytuł dołączonego rozdziału – *Dziesięć lat niedoli* – świetnie oddawał jego treść, a ta zawierała między innymi daleki od milenijnych nastrojów opis represji, z jakimi, zwłaszcza po 1948 r., polskie władze kościelne spotkały się ze strony władz komunistycznych. Było to podstawowe kryterium ideologiczno-polityczne, które nawet bez rocznicowej potrzeby uzasadniało potępienie *Historii Polski* z najwyższej w PRL mównicy. Można się domyślać, że nie bez znaczenia pozostawało jednak jeszcze jedno, tym razem ściśle techniczne („materialistyczne”?) kryterium, jakim była niewielka waga oraz „poręczność” owej bardzo skromnej rozmiarami publikacji, świetnie nadającej się do ekspresyjnego trzaśnięcia nią o mównicę.

Takich możliwości nie dawała już odznaczająca się okazałymi gabarytami (ponad 600 stron druku w formacie A4) księga, którą Halecki opracował w bezpośrednim związku z milenijnymi obchodami i wydał w 1966 r. w Rzymie pt. *Tysiąclecie Polski katolickiej*. A przecież to dopiero na jej kartach zostało postawione drażliwe dla władz PRL pytanie: „w jakim stopniu

²⁰⁹ Ostatnio znaczącym aspektem relacji między myślą historyczną Haleckiego i Wyszyńskiego zajął się A. Rajewski, *Stefan Wyszyński wobec idei Przedmurza w myśli historycznej Oskara Haleckiego*, „Klio Polska. Studia i Materiały z Dziejów Historiografii Polskiej” 7, 2015, s. 169–193.

²¹⁰ *Historia Polski*, która pierwotnie przeznaczona była dla cudzoziemców, obejmowała początkowo jedynie okres do 1914 r. (wydanie francuskojęzyczne – 1934; następne edycje w języku fińskim i wielokrotnie angielskim oraz ponownie francuskim i hiszpańskim – 1945), trafiła ostatecznie do rąk czytelników polskich w wyniku autoryzowanego przez Haleckiego (1957) przekładu z angielskiego, dokonanego przez Jana Bielatowicza i Zofię Kozarynową.

Tysiąclecie Polski chrześcijańskiej jest też Tysiącleciem państwa polskiego²¹¹, a zarazem udzielona jeszcze bardziej drażliwa odpowiedź, wskazująca, że to „te same czynniki naukowe i polityczne, które chciałyby sprowadzić nasze Millenium głównie, a w miarę możliwości nawet wyłącznie, do Tysiąclecia nie chrześcijaństwa lecz państwa, podkreślają – nie bez niekonsekwencji – że państwo polskie jest spuścizną Polski pogańskiej i starają się cofnąć jego genezę jak najdalej wstecz”²¹².

Ciekawe, że choć Halecki nie odrzucał konstatacji archeologicznych, które wskazywały na odległy, sięgający „wielu tysiącleci” (sic!) autochtonizm naszych przodków w dorzeczu Odry i Wisły, a nawet przeciwnie, uważał te konstatacje za najcenniejsze, to jednak czuł się zobowiązany przestrzec, że „wyciągane z tego odwiecznego osadnictwa i rozwoju kultury, zwłaszcza materialnej, wnioski co do genezy organizacji plemiennej, a cóż dopiero państwowej, są z natury rzeczy tak niepewne, że prowadzą tylko do coraz to nowych, nieraz sprzecznych ze sobą hipotez”²¹³. W ten sposób pozostający na emigracji uczony zbliżał się do bardziej ostrożnego „ujęcia archeologicznego”, które w trakcie Sesji Tysiąclecia reprezentował Hensel, niż do interpretacji utrzymanych w konwencji „wczesnofeudalnej” genezy państwa polskiego, które zdominowały wystąpienia historyków.

Halecki był sceptyczny wobec prób szukania pogańskich początków polskiego państwa czy też wobec domysłów, że jeszcze za Karola Wielkiego działalność misyjna mogła dotrzeć do ziem położonych między Odrą a Wisłą, natomiast za prawdopodobne uznawał przypuszczenie, że zbliżający się nacisk monarchii karolińskiej przyspieszył tworzenie się państwek o „kantonalnym” charakterze i że takie właśnie państwka obejmowały plemiona i grody wyszczególnione jeszcze w pierwszej połowie IX w. w tekście przypisywanym tzw. Geografowi Bawarskiemu. W sumie, chociaż nie kwestionował on tezy, że istniała jakaś pogańska protopaństwowość i najsilniejsze impulsy państwowotwórcze wyszły w tym wypadku z późniejszej Wielkopolski, to w ostatecznym rozrachunku powtarzał jednak, iż polityczno-państwowej spuścizny „Polski pogańskiej” nie należy przeceniać, podobnie zresztą jak nie należy przenosić do czasów przedchrześcijańskich genezy narodu polskiego.

Uznając, że o istocie, a może raczej o „pełni” państwowości polskiej w średniowiecznej rzeczywistości miała decydować jej **europiejskość**, Halecki pisał: „Pogańskie państwo polskie – a raczej piastowskie, bo jeszcze

²¹¹ O. Halecki, *Tysiąclecie Polski katolickiej*, Roma 1966 (Sacrum Poloniae Millenium. Rozprawy – Szkice – Materiały historyczne. Tom jubileuszowy Chrztu Polski 966–1966), s. 24.

²¹² Tamże, s. 25.

²¹³ Tamże.

go Polską nie nazywano – nie mogło z natury rzeczy należeć do tworzącej się od czasów Karola Wielkiego wspólnoty europejskiej, która była przecież wspólnotą z istoty swej chrześcijańską²¹⁴. Jakkolwiek bowiem mogły wchodzić tu w rachubę oddziaływania niechrześcijańskich ludów ówczesnej Europy, a zwłaszcza Normanów czy też usadowionych na Półwyspie Iberyjskim Arabów, to pod względem państwowotwórczym nie miały one istotnego znaczenia. Halecki zwracał uwagę, że: „Dziś nie trzeba zbijać hipotez o powstaniu państwa polskiego przez najazd i pod wpływem skandynawskich Wikingów oraz o normandzkim pochodzeniu Piastów. Także nauka niemiecka obecnie coraz powszechniej uznaje bezpodstawność tych nieraz całkiem fantastycznych teorii, stwierdzając tylko, że najnowsze wykopaliska potwierdzają ważność handlowych stosunków ze światem skandynawskim dla podstaw ekonomiczno-finansowych państwa Mieszkowego. Natomiast do rozwoju kulturalnego a zwłaszcza do chrystianizacji tego państwa, nie mogły się przyczyniać stosunki z awanturniczymi Wikingami, ani nawet z ich ojczyzną skandynawską, której królestwa same dopiero powoli przyjmowały wiarę chrześcijańską²¹⁵. W tej sytuacji domysły na temat nieznanego skądinąd źródłem germańskim normańskiego księcia Dagome, który miał podbić niewydolnych państwowo Słowian z dorzecza Odry i Wisły, ochrzcić ich i zarazem obdarzyć „prawdziwym” państwem, po prostu nie wchodziły w grę²¹⁶. Za jeszcze bardziej nieprawdopodobne Halecki uznawał poszukiwania aspektów natury religijnej w stosunkach z muzułmańskimi Arabami, i to tym bardziej że pośredniczyli w nich „zdolni i ruchliwi Żydzi”. U szczytu owej piramidy nieprawdopodobieństw historyk umieścił jednak domniemanie, o którym pisał następującymi słowami: „Jeszcze fantastyczniejszym od pomysłów możliwego związku mahometan i pogan przeciw chrześcijańskiemu cesarstwu byłoby przypuszczenie, że Mieszko przed nawróceniem starał się poznać najrozmaitsze religie z muzułmańską i żydowską włącznie, jak to według tylekroć cytowanego przekazu tak zwanej kroniki Nestora, miał czynić Włodzimierz kijowski w podobnej, niewiele późniejszej sytuacji²¹⁷. Jak widać, Halecki nie stronił od swoistej faktografii „hipotetycznej” czy wręcz „pozaźródłowej”, konstruowanej na zasadzie analogii lub „wysnuwania faktów” z różnych teorii procesu dziejowego.

²¹⁴ Tamże, s. 27. Szerzej na ten temat pisałem w: *Europa w polskiej myśli historycznej i politycznej XIX i XX wieku*, Warszawa 2009, s. 221–231.

²¹⁵ O. Halecki, dz. cyt., s. 28.

²¹⁶ Halecki podzielał opinię, że „najbardziej przekonującym wytłumaczeniem zarówno imienia jak też dziwnego zgoła tytułu »sędziego«, z jakim występuje w streszczeniu dokumentu, jest domysł, że »Dagome iudex to po prostu źle odczytany Mescio dux z poprzedzającym słowem ego«”; tamże, s. 42.

²¹⁷ Tamże, s. 28–29.

Wielowariantowe myślenie historyczne, zwane często „kontrfaktycznym” bądź „alternatywnym”, jakkolwiek miało swoje zastosowanie, nie było jednak dlań tożsame z procedurą nadawania statusu wydarzeniowego temu, o czym źródła milczały. Mogło natomiast, głównie w wyniku sprowadzania *ad absurdum*, stawiać tamę różnego rodzaju fantazmatom, będącym zaprzeczeniem historiografii krytycznej. Toteż wobec dogmatu o klasowym pochodzeniu państwa i powiązanych z nim, a niepotwierdzonych źródłowo konstatacji na temat wczesnego polskiego feudalizmu i wczesnego polskiego państwa feudalnego Halecki po prostu się dystansował.

Nie był jednak nieprzejednanym przeciwnikiem wszystkiego, co w związku z obchodami milenijnymi wyszło spod pióra historyków żyjących i publikujących w PRL. Artur MękarSKI zwrócił na przykład uwagę na to, że Halecki na łamach emigracyjnych „Tek Historycznych” „szczególnie ciepło ocenił i szczegółowo omówił wydaną pod redakcją Kazimierza Tymienieckiego dwutomową *Księgę Tysiąclecia*”²¹⁸, w której dostrzegł niejedną dowód na to, że „początki państwa polskiego nie dają się w pełni wytłumaczyć bez równoległych badań nad początkami Kościoła i kultury katolickiej w Polsce”²¹⁹, a jako godną uznania przytoczył zamieszczoną tam opinię Tadeusza Silnickiego, że „zagadnienie rocznicy tysiąclecia odnosi się w równej mierze do powstania ponadplemiennego państwa polskiego, jak i do przyjęcia przez tę Polskę chrześcijaństwa”²²⁰.

Na emigracji nie była to postawa odosobniona, czego przykładem mogą być wywody prawnika i historyka dziejów społeczno-gospodarczych, Wojciecha Zaleskiego²²¹, który w cenionym skądinąd przez Haleckiego dziele trafnie uchwycił istotę engelsowsko-marksistowskiej teorii państwa jako wytworu walki klas i zarzucił autorom pierwszej części „PAN-owskiej” syntezy dziejów Polski bezkrytyczne uleganie tej teorii. Zaowocować to miało nieuzasadnionymi twierdzeniami na temat istnienia na późniejszych ziemiach polskich wielkiej własności ziemskiej w czasach i okolicznościach wręcz nieprawdo-

²¹⁸ A. MękarSKI, *Między historiozofią a polityką. Historiografia Polski Ludowej w opiniach i komentarzach historyków i publicystów emigracyjnych 1945–1989*, Warszawa 2011, s. 68–69.

²¹⁹ O. Halecki, *O początkach państwa i chrześcijaństwa w Polsce (na marginesie wydawnictw krajowych)*, „Teki Historyczne” 1966–1968, s. 38.

²²⁰ T. Silnicki, *Początki organizacji Kościoła w Polsce za Mieszka I i Bolesława Chrobrego*, w: *Początki Państwa polskiego. Księga tysiąclecia...*, t. 1, s. 365.

²²¹ Wojciech Zaleski posiadał, tak jak znaczna część wytrawnych historyków, stopień doktora praw i mimo że działał też intensywnie jako skrajnie prawicowy polityk i publicysta, to dziełem jego życia pozostała niżej cytowana praca historyczna z zakresu... historii społeczno-gospodarczej. Janusz Tazbir zwrócił m.in. uwagę na to, że według Haleckiego praca ta reprezentowała „daleko wyższy poziom wiedzy i obiektywizmu” niż obcojęzyczna, „oficjalna”, milenijna edycja PRL autorstwa A. Gieysztor, S. Herbsta i B. Leśnodorskiego; zob. J. Tazbir, *Spór o syntezę tysiąclecia*, „Nauka” 2007, 2, s. 39.

podobnych. Zaleski dawał do zrozumienia, że presję w kierunku interpretacji „wczesnościowej” wywierała historiografia sowiecka, podczas gdy w kraju nawet „poważni badacze ze szkoły marksistowskiej [czego przykładem miał być Stanisław Arnold – A.W.], przeczyli istnieniu w Polsce klasy wielkich właścicieli ziemskich przed drugą połową XI wieku”²²². Wskazując na paradoksy, do jakich prowadziło dopasowywanie do teorii walki klas rzeczywistości historycznej, Zaleski pisał między innymi: „Jeżeliby to całe przedstawienie pierwotnych stosunków własności miało jakikolwiek związek z rzeczywistością, to należałoby przyjąć, że wielcy właściciele ziemscy utworzyli sobie władzę książęcą po to, by oddać księciu dosłownie wszystkie uprawnienia, przedstawiające jakąkolwiek wartość gospodarczą ich ziemskich posiadłości. Cóż bowiem pozostawało z własności wód, w których książę miał prawo rybołówstwa, później jeszcze prawo spadku wodnego [młyn, tartak itp. – A.W.], albo co pozostawało z prawa własności do lasu, w którym prawo polowania przysługiwało księciu? Wiadomo przecież, że drzewo na pniu nie było wówczas uważane za jakąś wartość gospodarczą. Wszechpotężnej klasie wielkich właścicieli ziemskich pozostawało chyba tylko prawo urządzania majówek w swych lasach, tudzież kąpania się w swych wodach”²²³ – konkludował z przekąsem Zaleski, wykazując absurdalność jednej z koronnych interpretacji „wczesnościowych”.

Gdybyśmy jednak szukali na emigracji postaw, które pod względem „milenijnej ekspresji” mogły dorównać Władysławowi Gomułce, to należałoby wskazać na Zygmunta Nowakowskiego. Ów pozostający od 1939 r. na obczyźnie doktor filologii polskiej, ceniony aktor, reżyser i uznany pisarz, który skądinąd odrzucił przyznany mu w 1937 r. Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury, nie szczędził swoim adwersarzom słów najokrutniejszych. Dotyczyło to zwłaszcza bohaterów jego felietonów, a taki właśnie los spotkał Aleksandra Gieyszтора, Stanisława Herbsta i Bogusława Leśnodorskiego, autorów krótkich tekstów (Marian Kukiel nazywał je „artykułami”) do *Millenium* – na poły albumowej (ponad sto ilustracji), na poły „pisanej” syntezy polskich dziejów, wydanej w PRL w 1961 r. w wersji polskiej oraz w dwóch wersjach obcojęzycznych: angielskiej i francuskiej²²⁴.

By rzecz ująć jak najkrócej, Nowakowski w jednym z ostatnich w swym życiu felietonów²²⁵ bezlitośnie potraktował wspomnianych autorów, nazywając

²²² Zob. W. Zaleski, *Tysiąc lat naszej wspólnoty. Społeczne i gospodarcze dzieje narodu polskiego w zarysie*, Londyn 1961, s. 33.

²²³ Tamże.

²²⁴ Zob. J. Tazbir, *Spór o syntezę tysiąclecia...*, s. 29–44, gdzie wnikliwa analiza i ocena emigracyjnej recepcji tej edycji.

²²⁵ Z. Nowakowski, *Gaude Mater Polonia*, w: tenże, *Lajkonik na wygnaniu. Felietonów sto i jeden (1950–1962)*, Londyn 1963, s. 370–371.

ich między innymi „szajką” i „trójcą oszustów”. Uczynił tak dlatego, że sygnowali oni swymi nazwiskami edycję, która minimalizowała lub wręcz pomijała wątki związane z dziejami wschodnich terytoriów Rzeczypospolitej, a zarazem starała się wykazać, że „o wiele ważniejszym niż Unia Lubelska faktem w naszych dziejach jest powstanie... komitetu lubelskiego”²²⁶. Jednak bodaj najbardziej ubodła go opinia owej „prawdziwie hultajskiej trójki historyków”, którą uznał za konieczną do przytoczenia w „dosłownym przekładzie”²²⁷. „Postuchajmy – pisał Nowakowski – »Unia polski z Wielkim Księstwem Litewskim, które obejmowało po największej części dzielnice rosyjskie, uwikłała nasz kraj w długie wojny, prowadzone w imię niesłusznej i beznadziejnej sprawy celem przeszkodzenia unifikacji krajów rosyjskich«. To zdanie, umieszczone już na wstępie tekstu Stanisława Herbsta, brzmiało tak nieprawdopodobnie, że nestor polskich historyków na emigracji gen. Marian Kukiel²²⁸ nie mógł wręcz uwierzyć, by mogło wyjść spod pióra tego cenionego przezeń uczonego i trzeba przyznać, że wykazał się niemałą intuicją, przypuszczając, że zostało ono wciśnięte „sztancą stereotypową dostawaną stale” w PRL lub że jego treść została przekręcona w przekładzie z polskiego na angielski, „bo »ruski« to »Russian« u Anglika”. Domniemanie Kukieła uprawdopodobnił Janusz Tazbir, stwierdzając, że w edycji polskojęzycznej zdanie takie po prostu nie istniało i zostało, zgodnie ze stosowanymi wówczas praktykami, dopisane dla potrzeb „zagranicznych”, a co więcej, utrzymane zostało nawet w późniejszym o piętnaście lat (1976 r.), a więc już „postmilenijnym” wydaniu niemieckojęzycznym, które ukazało się trzy lata po śmierci Herbsta²²⁹.

Nowakowskiego bulwersowała nie tylko tekstowa, ale też ilustracyjna część edycji, którą w całości określał wyłącznie mianem „albumu”, co zapewne miało deprecjonować krótki, ale zawsze przecież mający „całościowe” aspiracje, wykład trzech renomowanych historyków. Wprawdzie inni, i to zarówno w kraju, jak i na emigracji (np. Marian Kukiel czy już na początku XXI w. Janusz Tazbir), widzieli w niej, obok albumu, również syntezę polskich dziejów, ale dla Nowakowskiego był to niezmiennie „album”, dopełniony jedynie wielce tendencyjnymi tekstami. Jak zatem oceniał on historyczną wymowę tak rozumianej całości: „Album zawiera 104 ilustracje, w czym nie ma ani

²²⁶ Tamże, s. 370.

²²⁷ Zarówno Nowakowski, jak i większość zabierających w Wielkiej Brytanii głos w dyskusji nad wspomnianą edycją miała do dyspozycji jej wariant anglojęzyczny: *Millenium. A Thousand Years of Polish History* (1961), a nie polski oryginał, co odegrało znaczącą rolę w jej zagranicznej recepcji.

²²⁸ Kukiel, mając już w tym czasie 81 lat, cieszył się niezmiennie ogromnym autorytetem naukowym i moralnym.

²²⁹ J. Tazbir, *Spór o syntezę tysiąclecia...*, s. 31–32.

jednej, która by związana była czymkolwiek np. ze Lwowem albo Wilnem, z Krzemieńcem albo Nowogródkiem. Za to znajdziemy w tym *Tysiącleciu Historii Polski* nader efektowną fotografię Passionarii która w godnym towarzystwie Świerczewskiego odbiera defiladę w jakimś mieście hiszpańskim. Historia Polski i Passionaria! Kaś ta wlazła?”²³⁰. Na tej efektownej eksklamacji skierowanej w stronę przewodniczącej Komunistycznej Partii Hiszpanii Dolores Ibárruri Gómez (La Pasionaria) wypadnie zakończyć lapidarne podsumowanie przez Nowakowskiego zawartości „albumu”.

Krytyka fotografii La Pasionarii i Świerczewskiego należy do tych ocen rocznicowej edycji, które łączyły Nowakowskiego i Kukieła. Były jednak wśród nich oceny o wiele ważniejsze. Kukiel mówił tymi samymi słowami co Nowakowski, gdy ubolewał, że „wojna 1920 r. jest w tym wydawnictwie »niepotrzebną i nieszczęśliwą«, a bitwa warszawska nie wspomniana” i niemal tymi samymi, gdy z goryczą bilansował całość edycji. „A tysiąclecie? – zapytywał. – Odpisano z niego pięćset lat polskiego dorobku na Wschodzie. Nowej Polsce, ku uczczeniu tysiąclecia państwa, dano za patronów Różę Luxemburg z Marchlewskim i Dzierżyńskim – tych, którzy przez ćwierć wieku wysilali się, by przekonać robotników polskich i całego świata, że Polska nie może i nie powinna istnieć jako państwo – i że na państwo polskie nie ma już miejsca w historii”²³¹.

Kukiel był bez wątpienia mniej skory od Nowakowskiego do wystawiania ostrych ocen autorom rocznicowego wydawnictwa, starał się zgłębić ich sytuację oraz intencje. Największa jednak różnica polegała na tym, że w przeciwieństwie do Nowakowskiego potrafił swe oceny niuansować. Nawet tekst Leśnodorskiego uznawał w części obejmującej dzieje Polski w XVIII i XIX w. za „na ogół poprawny” i dopiero w części drugiej, tej pozbawionej choćby wzmianki o bitwie warszawskiej, dostrzegł skażenie „szablonem historii partyjnej z SDKPiL jako prekursorem Polski Ludowej”. Wyżej stawiał tekst Herbsta (od połowy XV do XVIII w.), który poza inkryminowanym zdaniem, będącym, jak sądził, cudzego autorstwa, uznawał za stojący „na naukowo należytych poziomie”, a w partiach poświęconych kulturze polskiej wręcz „świetny”. Natomiast najważniejszy dla odpowiedzi na pytanie „jak powstało państwo polskie?” tekst Gieysztora (dzieje Polski do połowy XV w.), wprawdzie krótki, ale akcentujący „fundamentalne znaczenie przyjęcia chrześcijaństwa z Zachodu dla przyszłości państwa i kultury polskiej”²³², ocenił najwyżej. Co więcej, nawet jego nikłej objętości nie zapisał na poczet mankamentów, stwierdzając wyrozumiale, że „trudno było na tych kilku

²³⁰ Z. Nowakowski, dz. cyt., s. 370–371.

²³¹ „Teki Historyczne” 11, (Londyn) 1960–1961, s. 320–321.

²³² Tamże, s. 320.

stronach tekstu powiedzieć wiele”²³³. Wyrozumiałość Kukiela przejawiała się również w jego stanowczym sprzeciwie wobec przytoczonych tu już epitetów, jakimi Nowakowski obdarzył trzech autorów. Zdaniem Kukiela złożyli oni „haracz propagandowy wymierzony nauce polskiej za duże możliwości badań i publikacji przed nią otwarte. Haracz bolesny, a efekt propagandowy odwrotny od zamierzonego”²³⁴.

W polemikę Kukiela z Nowakowskim włączyli się, obok publicystów i „przeciętnych” czytelników emigracyjnych wydawnictw, historycy takiego formatu jak Oskar Halecki czy Henryk Paszkiewicz. Pierwszy z nich niezależnie od tego, że zajął stanowisko zbliżone „raczej do opinii do Kukiela”²³⁵ i w krajowej syntezie odnajdywał pewne zalety, to „daleko wyższy poziom wiedzy i obiektywizmu” dostrzegł w powstałym na emigracji, a w tym miejscu już przywoływanym, „milenijnym” dziele Wojciecha Zaleskiego. Drugi natomiast – jak to ujął Tazbir – „zdecydowanie i ostro stanął po stronie Nowakowskiego, pisząc, iż list prof. Kukiela uważa za szkodliwy”²³⁶. Co więcej, łagodność dla rocznicowego wydawnictwa skierowanego do zagranicy spotkała się dezaprobatą nie tylko konkretnych postaci reprezentujących emigracyjne kręgi kultury i nauki polskiej. Doczekało się ono również instytucjonalnego potępienia ze strony londyńskiego Zrzeszenia Profesorów i Docentów Polskich Szkół Akademickich. Nie można było natomiast usłyszeć słów nagany dochodzących z kraju. Podobnie jednak jak i pochwały – przynajmniej w pismach specjalistycznych, które jak gdyby przemilczały jego ukazanie się. Jedyne dwie krótkie recenzje zdołał odnaleźć badacz recepcji anglojęzycznej wersji *Millenium...* w codziennej prasie polskojęzycznej, a mianowicie w „Zyciu Warszawy” z 1962 r. oraz w późniejszej o lat czternaście „Trybunie Ludu” (1976)²³⁷.

W ogólnym rozrachunku polemiczne starcie Nowakowskiego z Kukielalem przyniosło na emigracji zwycięstwo temu, który to starcie zapoczątkował. Opcja Nowakowskiego zwyciężyła zarówno wśród profesjonalistów, jak i „zwykłych” czytelników emigracyjnej prasy, którzy na jej łamach niejednokrotnie wyrażali swe opinie. Warto odnotować, że z takim zainteresowaniem nie spotkała się inna, skierowana ku zagranicy rocznicowa synteza, która ukazała się w PRL. Wydany po angielsku, francusku i hiszpańsku *Zarys historii Polski od początków państwa do czasów najnowszych* autorstwa Stanisława Arnolda i Mariana Żychowskiego (Warszawa 1962) pozostał w kręgach

²³³ Cyt. za: J. Tazbir, *Spór o syntezę tysiąclecia...*, s. 31.

²³⁴ M. Kukiel, *List do redakcji*, „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, 9 II 1961.

²³⁵ Jest to ocena Janusza Tazbira zawarta w *Spór o syntezę tysiąclecia...*, s. 39.

²³⁶ Tamże, s. 38.

²³⁷ Tamże, s. 44.

emigracyjnych niemal niedostrzeżony. Zapewne z wielu przyczyn, ale głównie dlatego, że jego treść i formę, a także nazwiska autorów, oceniono jako mniej reprezentatywne dla oficjalnej historiografii PRL.

Nie ulega wątpliwości, że między historiografią krajową a emigracyjną istniało w dobie PRL wiele różnic, a nawet stref wręcz zapalnych, wśród których naczelnymi miejscami zajmowały kwestia przyjęcia chrześcijaństwa i ocena roli ziem wschodnich w dziejach państwa polskiego. Nie znaczy to oczywiście, by historiografia emigracyjna nie знаła podziałów „wewnętrznych”. Uwidoczniały się one najwyraźniej w odniesieniu do najnowszych dziejów – dwudziestolecia międzywojennego i II wojny światowej, kiedy znaczna część historyków aktywnie uczestniczyła w działaniach często przeciwstawnych sobie formacji politycznych i wojskowych. Efektem tego były liczne spory rozrachunkowe, co w obrębie historiografii stwarzało niezbyt pożądaną relację, w której podmiot nakładał się na przedmiot badania. Jednak taka sytuacja nie zachodziła w odniesieniu do czasów formowania się państwa polskiego i dlatego historyk polskiej historiografii emigracyjnej, Rafał Stobiecki, mógł napisać, że milenijne rozważania koncentrowały się wokół takich pytań jak „skąd przychodzimy? jakie jest nasze miejsce w Europie? kim jesteśmy my – Polacy? Podkreślano zatem za zwolennikami teorii autochtonicznej, długą obecność plemion słowiańskich na terytorium dzisiejszej Polski, **zgodnie odrzucono teorię najazdu**, zwracano uwagę na wspólnotę kulturową plemion wchodzących w skład państwa Mieszka” (podkr. A.W.)²³⁸. Zważywszy, że również w PRL hipoteza najazdu została „zgodnie odrzucona”, można powiedzieć, że stanowiła ona jeden z nielicznych obszarów, na których obie polskie historiografie, niezależnie od różnic teoretyczno-metodologicznych, dochodziły do jednakowych konkluzji.

MILENIJNY KANON POWSTANIA PAŃSTWA POLSKIEGO

Pora jednak powrócić na grunt krajowy i podjąć próbę ukazania struktury milenijnego kanonu powstania państwa polskiego w historiografii PRL. Kanon ten zaczął być kształtowany na pograniczu lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX w., a uzyskawszy swą dojrzałą postać w okresie oficjalnych obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego (1960–1966), przetrwał aż do końca historiografii doby PRL, a można powiedzieć, że po części utrzymuje się również do dzisiaj. Rysują się cztery elementy owego kanonu, z których pierwsze dwa mają charakter teoretyczny, dotyczą bowiem ogólnych zasad narodzin państw, natomiast kolejne dwa – historyczny, ponieważ celem ich jest odtworzenie

²³⁸ R. Stobiecki, *Klio na wygnaniu. Z dziejów polskiej historiografii na uchodźstwie w Wielkiej Brytanii po 1945 r.*, Poznań 2005, s. 297.

wydarzeniowo-faktograficznej tkanki narodzin konkretnego państwa, jakim była Polska. Godne podkreślenia jest również to, że zarysowana niżej konstrukcja jedynie po części nawiązuje do pięciu paradygmatów, które charakteryzując „milenijny” (choć nie tylko) sposób myślenia o narodzinach polskiego państwa, wyodrębnił w swych ostatnich tekstach Michał Kara²³⁹. Kładąc bowiem główny akcent na teoretyczne, metodologiczne oraz ideologiczne podłoże dominującej w PRL tendencji interpretacyjnej, a także na sposób ujmowania genetycznych relacji między narodzinami państwa a chrystianizacją jest ona konstrukcją w pewnym sensie komplementarną w stosunku do ujęcia Kara, co nie znaczy, rzecz prosta, że polemiczną.

Element 1. „Mechanizm państwowotwórczy” w sposób zadowalający wyjaśnia jedynie marksistowska teoria materializmu historycznego, zgodnie z którą państwo stanowi główny składnik nadbudowy bazy ekonomiczno-społecznej i stoi na straży interesów klasy wyzyskiwaczy, którzy, by posłużyć się współczesnym nam eufemizmem, „sprywatyzowali” wspólne niegdyś środki produkcji (pola, lasy, wody itp.). A zatem *conditio sine qua non* „samorodnego” powstania państwa stanowi podział społeczeństwa na klasę posiadających środki produkcji (wyzyskiwaczy) i klasę tych środków pozbawioną (wyzyskiwanych).

Element 2. Jakkolwiek klasy społeczne wykształcić się mogą w wyniku podboju zewnętrznego (autochtonów przez alochtonów), to dominującym sposobem ich powstawania jest wewnętrzne różnicowanie się społeczeństwa w wyniku gry czynników ekonomicznych, szczególnie zaś rozwoju tzw. sił wytwórczych i stosunków produkcji. Sposób ten bywa metaforycznie określany mianem „podboju wewnętrznego”, lecz jego istotą jest procesualny czy, mówiąc inaczej, ewolucyjny charakter uformowania się państwa. Proces państwowotwórczy inicjowany jest zazwyczaj w obrębie ludów tożsamyh lub pokrewnych etnicznie, choć w dalszym biegu wydarzeń może przybierać charakter imperialny i obejmować ludy etnicznie zróżnicowane.

Element 3. Specyfiką dziejów Słowian był fakt, że nie wykształcili oni u siebie pierwszej z klasowych formacji społeczno-ekonomicznych, jaką miało być typowe dla europejskiej starożytności niewolnictwo. Bezklasowa starożytność słowiańska nie stwarzała zatem ani konieczności, ani możliwości

²³⁹ M. Kara, *Mediewistyka historyczna i archeologia średniowiecza...*, s. 872–873; tenże, *Najstarsze państwo Piastów – rezultat przełomu czy kontynuacji? Studium archeologiczne*, Poznań 2009, s. 11–39; tenże, *Historiografia i archeologia polska o mechanizmach formowania się władztwa Piastów. Próba zestawienia ważniejszych poglądów*, w: *Institucja „wczesnego państwa” w perspektywie wielości i różnorodności kultur*, red. J. Banaszkiewicz, M. Kara, H. Mamzer, wyd. 2 popr., Poznań 2015, s. 303–316; tenże, *Problematyka genezy państwa Piastów w nowszych poglądach archeologów polskich*, w: *Spór o początki państwa polskiego. Historiografia, tradycja, mit, propaganda*, red. W. Drelicharz, D. Jasiak, J. Poleski, Kraków 2017, s. 37–38.

państwowotwórczych i dopiero średniowieczny feudalizm, dychotomizując pod względem własnościowym poszczególne słowiańskie ludy, pociągnął za sobą narodziny słowiańskich państw, z których przytłaczająca większość powstała w wyniku przemian „wewnętrznych”. Podobnie było z państwem polskim, które powstało procesualnie (ewolucyjnie). Głoszone przez niektórych, w tym przez historyków niemieckich, koncepcje państwowotwórczego podboju, który przyszedł „z zewnątrz”, z obcego Słowianom świata, okazały się niemającym rzeczywistych podstaw mitem. Państwo polskie stworzone zostało przez ludność autochtoniczną słowiańskiego pochodzenia, a zatem „podboje wewnętrzne” były w istocie fragmentem procesu ewolucyjnego scalania bratnich plemion i jednoczenia zamieszkałych przez nie ziem, czymś w rodzaju samorzutnych „przedsięwzięć integracyjnych”²⁴⁰.

Element 4. Chryścianizacja nie odegrała roli czynnika koniecznego w genezie polskiego państwa. Społeczeństwo klasowe, a w jego ramach możnawładcza wielka własność ziemska, wraz z państwem uformowała się jeszcze w dobie pogańskiej, obejmującej fazę „wczesnofeudalną”. Co więcej, to właśnie istniejąca wcześniej organizacja państwowa umożliwiła przyjęcie chrześcijaństwa, a to dlatego, że było ono dla jej funkcjonowania ideologicznie i kulturowo efektywniejsze od kultów pogańskich. Bez zapotrzebowania ze strony istniejącego już wcześniej „państwa pogańskiego” chryścianizacja jako cel sam w sobie byłaby praktycznie nieskuteczna. Nietrudno zauważyć, że implikacją takiego myślenia historycznego była „dialektyczna” teza o pogańskich korzeniach... chrześcijaństwa.

W sumie milenijny kanon narodzin państwa polskiego stwarzał szczególne zapotrzebowanie na interpretacje, dla określenia których nie udało mi się znaleźć lepszego słowa niż „wczesnościowe”. Trzeba przyznać, że teoria marksistowska stawiała tu historyków w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Skąd bowiem miało się wziąć państwo Mieszka I i Bolesława Chrobrego, skoro nadwiślańskich autochtonów, tak jak wszystkich innych Słowian, „ominała” dwuklasowa formacja niewolnicza, a kolejna dwuklasowa (feudalizm) również nie była u nich nazbyt widoczna – przynajmniej do czasów przyjęcia chrześcijaństwa. Niedopowiedziana odpowiedź marksistów brzmiała w tym wypadku następująco: jeśli prastłowiański feudalizm nie rzuca się w oczy, to dlatego, że był on we „wczesnym” stadium, umożliwiającym już jednak powstanie „wczesnego” państwa, które wprawdzie wobec braku potwierdzeń

²⁴⁰ Jest to określenie zaczerpnięte z dzieła Jerzego Wyrozumskiego, który pisząc o narodzinach państw w wyniku uzurpacji i monopolizacji prawa książęcego przez wybitne jednostki, przypisuje tym jednostkom umiejętność „doraźnych przedsięwzięć integracyjnych, dla których przyjęła się nazwa »podboju wewnętrznego«”; zob. tenże, *Dzieje Polski piastowskiej (VIII wiek – 1370)*, Kraków 1999 (Wielka Historia Polski, 2), s. 71.

w źródłach pisanych także nie rzucano się w oczy, ale zgodnie z naukową teorią rozwoju społeczeństw istnieć już powinno. „Wczesny feudalizm” i „wczesne państwo” to główne kategorie konstytuujące w PRL milenijną interpretację narodzin Polski. Różne odmiany owego „wczesnościowego” stylu myślenia zaprezentowane zostały w trakcie omówionej Sesji Tysiąclecia. Ale co zrobić z jeszcze wcześniejszym feudalizmem i jeszcze wcześniejszym państwem, które równie dobrze można było wykoncypować? Wydaje się, że orzeczenie (bo trudno to nazwać propozycją) Stalina, o którym Borys Grekow mówił na konferencji otwockiej i które ograniczało kwestię do jednej tylko „półpatriarchalnej i półfeudalnej” fazy²⁴¹, mającej poprzedzać pełny feudalizm słowiański, było nieco bezpieczniejsze myślowo, jakkolwiek i ono prowadzić mogło w stronę domniemań o słowiańskich „półpaństwach”, a także rodzić pokusę, by te państwa podzielić na „czwierćpaństwa” itp., itd. Schemat historii rozumianej jako kolejne warstwy stopniowalnej „wczesności” przenosił ostatecznie myśl na grunt metafizyki, traktującej niebytu jako najwcześniejszą postać bytu lub, by rzecz filozoficznie odwrócić, bytu jako najwcześniejszą postać niebytu, ale dla niezbyt biegłych w metafizycznych igraszkach myślowych historyków, w tym również piszącego te słowa, jest to grunt nader grząski.

Odpowiedź na pytanie, jak w milenijnym kanonie usytuowana była hipoteza podboju na pozór brzmi prosto – w jej najdrastyczniejszej postaci w ogóle nie występowała, chyba że jako przedmiot krytyki. Zarówno historiografia marksistowska w kraju, jak i ulegająca różnym „burżuazyjnym dogmatom” historiografia emigracyjna, mimo odmiennych przesłanek teoretycznych, metodologicznych oraz ideologiczno-politycznych, zgodnie odrzucały wariant podboju zewnątrzetnicznego. Co innego jeśli chodzi o kwestię podbojów „wewnętrznych”, obejmujących plemiona i związki ponadplemienne o zbliżonym statusie etnicznym („braterskim”) i terytorialnym („sąsiedzkim”). Takim podbojom nie sposób było zaprzeczyć, lecz traktowano je zazwyczaj jako rodzaj przyspieszonych przemian ewolucyjnych czy też, eufemistycznie mówiąc, „przedsięwzięć integracyjnych”, co skądinąd utrzymuje się w pewnym stopniu do dnia dzisiejszego.

Kwestią godną szerokiego potraktowania i to bynajmniej nie na marginesie rozważań nad narodzinami jednego tylko państwa, jest wpływ interpretacji „wczesnościowych” związanych z polskimi obchodami milenijnymi na rozwój międzynarodowych badań nad „koncepcją”, „teorią” czy wręcz nad „instytucją” tzw. wczesnego państwa (*Early States*). Według ich polskiego prekursora, Michała Tymowskiego, badania te zapoczątkowane zostały dopiero na początku lat siedemdziesiątych, kiedy to powołany został międzynarodowy

²⁴¹ B. Grekow, dz. cyt., s. 198.

zespół archeologów, antropologów, prawników i historyków²⁴². Wydaje się, że ujmując rzecz nieco szerzej, bliższe przyjrzenie się polskim badaniom mile-nijnym, jakkolwiek nie miały one międzynarodowych ram organizacyjnych, mogłoby początki koncepcji „wczesnopaństwowych” przesunąć nieco wstecz, a może jeszcze dalej niż „nieco”, gdybyśmy myślą objęli okres dwudziestolecia międzywojennego, a w jego ramach ostatnie prace Oswalda Balzera.

6. ZGODNIE Z KANONEM I POZA NIM – OD LAT SZEŚĆDZIESIĄTYCH XX W. DO KOŃCA PRL

HENRYKA ŁOWMIAŃSKIEGO REKAPITULACJA „POCZĄTKÓW POLSKI”

W 1976 r. ukazał się obszerny artykuł Łowmiańskiego zatytułowany *Problematyka początków państwa polskiego w nowszych badaniach historycznych*, który z jednej strony stanowił samoocenę dokonań badawczych autora, z drugiej zaś próbę odniesienia jego własnego dorobku do dokonań innych historyków, którzy po II wojnie światowej prowadzili badania nad początkami państwa Piastów²⁴³. Nie ma tu potrzeby wykazywania, że dla poszukującego odpowiedzi na pytanie „jak powstało państwo polskie?” jest to publikacja szczególnie cenna, choćby tylko dlatego, że jej autor zasłużył sobie na miano jednego z najbardziej kompetentnych badaczy, którzy w ogóle podejmowali tę problematykę. Fakt, że ów tekst stanowi pełną wersję referatu wygłoszonego „w formie skróconej jako wykład publiczny w trakcie XI Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Toruniu”²⁴⁴ potwierdza wykorzystana w nim literatura przedmiotu, doprowadzona do 1973 r., w tym do ukazania się ostatniego opublikowanego za życia autora, piątego tomu jego pomyślnych *Początków Polski*²⁴⁵. Jest to okoliczność, która jeszcze bardziej podnosi

²⁴² Prace tego zespołu zaowocowały sześciotomowym wydawnictwem zbiorowym, a podsumowane zostały w 2008 r. w specjalnej edycji ukazującego się w Moskwie czasopisma „Social Evolution and History”; zob. M. Tymowski, *Modele formowania się państw w Afryce przedkolonialnej w świetle teorii wczesnego państwa*, w: *Institucja „wczesnego państwa” w perspektywie wielości i różnorodności kultur*, red. J. Banaszkiewicz, M. Kara, H. Mamzer, Poznań 2013, s. 758.

²⁴³ H. Łowmiański, *Problematyka początków państwa polskiego w nowszych badaniach historycznych*, „*Slavia Antiqua*” 23, 1976, s. 75–110.

²⁴⁴ Tamże, s. 75, przyp. 1.

²⁴⁵ Dzieło to, którego pełny tytuł brzmi *Początki Polski: z dziejów Słowian w I tysiącleciu n.e.*, publikowane było wraz ze wznowieniami niektórych tomów w latach 1961–1973. Pośmiertnie ukazał się też tom 6 o zmienionym drugim członie tytułu: *Początki Polski: polityczne i społeczne procesy kształtowania się narodu do początku wieku XIV*, cz. 1–2, Warszawa 1985.

znaczenie tej publikacji dla oceny tego, co w przekonaniu Łowmiańskiego łączyło poszczególne tomy jego dzieła, a co w trakcie ich ukazywania się i siłą rzeczy rozciągniętej w czasie lektury było trudne do uchwycenia nawet dla specjalistów. Dotyczy to oczywiście zarówno walorów, jak i mankamentów całości.

MARKSIZM A TRZYELEMENTOWA KONOTACJA PAŃSTWA

Podobnie jak w wypadku monografii poświęconej roli Normanów w genezie państw słowiańskich (1957), także i teraz Łowmiański przyznawał się do inspiracji marksistowskich, wskazując jednak zarazem na pomysły czerpane z innych nurtów teoretycznych i metodologicznych²⁴⁶. Przypomnieć tu warto przywoływaną w *Zagadnieniu roli Normanów w genezie państw słowiańskich* koncepcję Franza Oppenheimera, którą pozwoliłem sobie w pierwszych partiach tego rozdziału określić mianem koncepcji „państwowotwórczego pługa” – uzależniała ona bowiem możliwość powstawania państw od określonego poziomu „sił wytwórczych” i „nadwyżki produkcyjnej” związanej z przejściem od gospodarki wypaleniskowej do ornej²⁴⁷. Również i teraz Łowmiański zastosował podobny zabieg perswazyjny, z tym że autorytetem, na który się powoływał, był już ktoś inny, a konkretnie autor uznawanej za klasyczną, trzelementowej definicji państwa, niemiecki teoretyk państwa i prawa Georg Jellinek (1851–1911), według którego „substrat państwa stanowią **ludzie wydający rozkazy** (element 1) oraz **ludzie dający im posłuch** (element 2). Oczywiście państwo posiada również **obszar** (element 3), lecz sięgnąwszy w głąb kwestii dojdziemy do przeświadczenia, że także obszar stanowi pierwiastek ściśle związany z człowiekiem” (podkr. i numeracja elementów w nawiasach – A.W.)²⁴⁸. Uznając, że niepewny status trzeciego elementu ma znaczenie tylko „logiczne, a nie praktyczne, bowiem historyk nie spotyka się z państwami pozbawionymi podstawy terytorialnej”, Łowmiański ostatecznie opowiedział się za trzelementowym składem państwowotwórczego syndromu, a co więcej, wzmocnił swe stanowisko, powołując się na, przyjmującego podobną definicję, Oswalda Balzera²⁴⁹.

²⁴⁶ Zob. w niniejszym rozdziale podrozdział zatytułowany *Henryk Łowmiański – komparatystyczna analiza koncepcji normanistycznych*.

²⁴⁷ Oczywiście chodziło tu o przejście z gospodarki wypaleniskowej na orną i wprawdzie przywoływany w monografii o Normanach Oppenheimerowski pług został teraz zastąpiony przez Łowmiańskiego „żelaznym radłem”, ale nie zmienia to istoty rzeczy; zob. H. Łowmiański, *Problematyka początków...*, s. 85–86 i n.

²⁴⁸ Cyt. za: tamże, s. 75.

²⁴⁹ Łowmiański przytaczał tu następujące słowa Balzera: „Na pojęcie państwa składają się trzy czynniki, łączą się one w następującej definicji: państwo jest to organiczne połączenie

Komentując definicje Jellinka i Balzera, autor *Początków Polski* uznał za wskazane podkreślić, że: „Materializm historyczny nie kwestionuje trzech elementów będących faktem oczywistym, jednak widzi istotę państwa nie w samym ich połączeniu, jak to czynili pozytywiści, lecz w charakterze tego połączenia. Istnieją bowiem społeczeństwa, w których władza należy do ludu, i społeczeństwa, w których władza się wyodrębnia i zostaje przejęta przez grupę odgórną osiągającą zarazem kontrolę nad środkami produkcji i obciążającą pozostałą ludność świadczeniami na swoją korzyść. Dopiero ta druga forma organizacyjna tak różna od pierwszej, **właściwa społeczeństwom klasowym**, stanowi państwo. Można więc odróżnić społeczeństwa przed-państwowe **dwuelementowe**, w których władza jest identyczna z ludem (gdyż starszyzna znajduje się pod jego kontrolą) i społeczeństwa państwowe **trzyelementowe** z władzą wyodrębnioną. Powstanie państw to przeobrażenie społeczeństwa dwuelementowego w społeczeństwo trzyelementowe” (podkr. A. W.)²⁵⁰. Ów dość przejrzysty tok wywodów zakłócała formuła głosząca, że „władza identyczna jest z ludem, gdyż starszyzna znajduje się pod jego kontrolą”, do czego wypadnie jeszcze powrócić w nieco innym miejscu. Tutaj natomiast wystarczy ograniczyć się do konkluzji, że wywody te, wsparte autorytetem zaliczanego do pozytywistycznych teoretyków prawa Jellinka, nie kolidowały z marksistowskim paradygmatem interpretacji narodzin państw jako wytworu walki klasowej.

W efekcie przyjęte przez Łowmiańskiego marksistowskie założenia teoretyczne zaowocowały skonstruowaniem narracji w trzech blokach tematycznych: 1) „lud”, 2) „władza” oraz 3) „terytorium”. Historyk był przekonany, że jeśli triadyczny schemat zostanie wypełniony konkretną treścią historyczną, to opisane zostaną wszystkie zazębiające się trybiki („kółka”) „mechanizmu organizacyjno-państwowego”²⁵¹. Wprawdzie opis tego „mechanizmu” nie był dlań tożsamy z naświetleniem jego genezy, czyli „przyczyn sprawczych”, ale i tu z pomocą przychodził marksizm. „Metoda materializmu historycznego – pisał – daje wskazówkę, gdzie ich należy szukać, zgodną zresztą z obserwacją faktów historycznych”. Okazywało się ostatecznie, że sprawa nie była nader skomplikowana, historyk wskazywał bowiem tylko dwie przyczyny, z których charakter „podstawowy” nadawał zaledwie jednej z nich – „ekonomicznej”. Polegała ona na tym, że „społeczeństwo długo nie miało

pewnego ludu na pewnym terytorium osiedlonego, pod pewną wspólną władzą” (O. Balzer, *Historia ustroju Polski. Skrypt wykładów uniwersyteckich*, Lwów 1933, s. 5); H. Łowmiański, *Problematyka początków...*, s. 76. Obszerniej o koncepcji narodzin państwa polskiego O. Balzera pisałem w rozdz. II, podrozdz. *Oswald Balzer – w stronę „czystej” endogenezy*.

²⁵⁰ H. Łowmiański, *Problematyka początków...*, s. 75–76, gdzie też wcześniej przytoczone fragmenty.

²⁵¹ Tamże, s. 76.

dostatecznych środków materialnych, dostatecznych nadwyżek produkcyjnych potrzebnych do utrzymania aparatu państwowego i góry [warstwy – A.W.] panującej”. Dopiero przejście od gospodarki wypaleniskowej do ornej stwarzało warunki uzyskania owych nadwyżek. To jednak nie zamykało kwestii genezy konkretnych „mechanizmów” państwowych. W toku dalszych przekształceń niezbędne okazywało się zaistnienie przyczyny drugiego typu, którą Łowmiański określał mianem przyczyny ideologicznej. Ustrój państwowy mogło stworzyć tylko społeczeństwo, które znało i akceptowało jego „model”, jego ukonkretnioną ideę czy też wzorzec. Łatwo dostrzec, że kauzalna dychotomia ekonomiki oraz ideologii korespondowała blisko z marksistowską dychotomią bazy i nadbudowy. Ta ostatnia wtopiona jednak została w formalnie trójelementową strukturę całości koncepcji, ponieważ główną, „ekonomiczną przyczynę sprawczą” historyk umieścił w obrębie elementu pierwszego, określonego mianem „ludu”, którego dziełem miało być „osiągnięcie wyższych form technicznych i podniesienie produkcji do poziomu umożliwiającego stworzenie państwa”, natomiast dopełniającą ją przyczynę „ideologiczną” w obrębie elementu nazwanego „władzą”, „gdyż realizacja nowego modelu była przede wszystkim dziełem najbardziej [tym – A.W.] zainteresowanej starszyny plemienną”²⁵². Prawdę powiedziawszy, można tu doszukiwać się sporych niekonsekwencji, ponieważ, jak już napomykałem, historyk ten utrzymywał, że w „bezklasowym” modelu dwuelementowym (lud + terytorium) władza była „identyczna z ludem”, z tym że ów lud „kontrolował starszynnę plemienną”, która nie będąc ani elementem pierwszym (czyli tymże ludem), ani drugim (czyli terytorium, które ów lud zajmował), mogła mieć jedynie status „pozaelementowy”. Rzecz jednak w tym, że bez owego, by tak rzec, „pozaelementu” nie byłoby możliwe przejście do struktury trzelementowej, ponieważ to właśnie starszyna była głównym rzecznikiem i realizatorem idei („modelu”) państwa. W sumie, trzeba to powtórzyć, nie był to wywód nazbyt przejrzysty i spójny. Warto jednak przyrzeć mu się nieco bliżej, koncentrując uwagę na kwestii metod i narzędzi państwowotwórczych, jakimi według Łowmiańskiego posługiwali się Piastowie.

WOJNA I POKÓJ – DWIE KOMPLEMENTARNE DROGI FORMOWANIA PAŃSTWA

Łowmiański utrzymywał, że rozróżnienie między dwu- a trzelementowymi organizacjami politycznymi, z których tylko te ostatnie były równoznaczne z formacjami państwowymi, stało się fundamentem rozwoju nowoczesnych badań nad początkami państw. Do czasów przyjęcia tego rozróżnienia literatura przedmiotu doszukiwała się tych początków w łączeniu pod jedną

²⁵² Tamże, s. 76–77.

władzą „odwiecznych a licznych organizacji plemiennych już wyposażonych w atrybuty państwowości”. Tak na przykład jeszcze w 1958 r. ujmował tę kwestię na łamach „Kwartalnika Historycznego” Kazimierz Tymieniecki, według którego utworzenie państwa Piastów poprzedzała bardzo długa epoka „państw terytorialno-plemiennych”²⁵³. Podobne stanowisko reprezentował Witold Hensel, a także Konrad Jażdżewski, którzy opowiadali się za wprowadzeniem wczesnopiętowiecznej, by tak powiedzieć, kategorii „protopaństw”²⁵⁴, podczas gdy w rzeczywistości państwa albo były w swej pełnej postaci, albo ich po prostu nie było. Co więcej, Łowmiański przyznawał, że on sam ulegał dawniej owej tendencji, pisząc na przykład o „państwie Samona”, w którym jednak nie sposób dostrzec „cechy »trzyelementowości« [różnicowania klasowego – A.W.] i nie jest ona prawdopodobna wobec efemeryczności tego tworu”²⁵⁵. Tymczasem trzyelementowe podejście teoretyczne pozwoliło na zrozumienie, tego, że proces państwowotwórczy był nie tylko procesem „ilościowym” (wzrostu terytorialnego), ale i „ustrojowym”, związanym z powstaniem nowego jakościowo zjawiska, którym było społeczeństwo klasowe uformowane w wyniku wykształcenia się społecznej „góry” – warstwy sprawującej władzę nad ludem. Czy ów podział klasowy nastąpił w toku połączenia w jednym ośrodku „grupy lechickiej”, czy też wystąpił już wcześniej w wielu ośrodkach oraz czy komasacja terytorialna była wynikiem **podboju**, czy też **dobrowolnego podporządkowania się** jednemu politycznemu centrum – te pytania pozostawały, jak pisał, otwarte²⁵⁶. Podkreślał przy tym, że w powojennej historiografii polskiej najczęściej mówiono o gnieźnieńskim ośrodku państwowotwórczym (np. Bardach, Gieysztor), choć byli też tacy, którzy – tak jak Widajewicz – wskazywali na państwo Wiślan²⁵⁷.

Czy jednak rzeczywiście pytania o dobrowolny bądź przymusowy (podbojowy) charakter komasowania terytorium państwa Piastów Łowmiański pozostawił otwarte? Co do tego można mieć spore wątpliwości. Płyną one między innymi z interpretacji wzmianki zawartej w kronice „Galla” Anonima, zgodnie z którą Siemowit, a potem Lestek (Leszek) powiększali swe

²⁵³ K. Tymieniecki, *Polskie państwo feudalne*, „Kwartalnik Historyczny” 65, 1958, s. 829.

²⁵⁴ W. Hensel, *Polska przed tysiącem lat*, wyd. 2 uzup., Wrocław 1964, s. 46; K. Jażdżewski, *Z problematyki początków Słowiańszczyzny i Polski*, cz. 1, Łódź 1968 (*Acta Archaeologica Lodziensia*, 16), s. 86.

²⁵⁵ H. Łowmiański, *Problematyka początków...*, s. 93.

²⁵⁶ Tamże, s. 91–92.

²⁵⁷ J. Widajewicz, *Państwo Wiślan*, Kraków 1947. Łowmiański podzielał stanowisko K. Buczka, który stwierdził, że Widajewicz nie zdołał wykazać, iż takie państwo w ogóle istniało, podkreślał jednak zarazem, że nie jest to równoznaczne ze stwierdzeniem jego nieistnienia; zob. H. Łowmiański, *Początki Polski*, t. 4, Warszawa 1970, s. 447 i n.; tenże, *Problematyka początków...*, s. 92.

państwo „usu laboris et militie”, które to określenie Łowmiański przekładał na „trudem i wojną” lub też „pokojowymi wysiłkami i działaniem wojennym”. Jego zdaniem za taką właśnie translacją, wskazującą na dwie metody „polityki zdobywczej Piastów”, przemawia to, że „podbój siłą oręza jedynie nie przyniósłby trwałych rezultatów i tak szybkiego wzrostu monarchii”²⁵⁸. Pomijając dyskusyjność tej ostatniej konstatacji, to wbrew temu, o czym pisał *expressis verbis*, nie pozostawiał jednak otwartymi pytań o taki czy inny sposób powiększania piastowskich terytoriów. Wskazywał, skądinąd nie bez oczywistych po temu racji, na dwie metody, które logicznie rzecz biorąc traktował jako alternatywne, ale zarazem dopełniające się (komplementarne) w dziele tworzenia państwa.

PAŃSTWOTWÓRCZA ROLA SIŁ ZBROJNYCH

W historiografii polskiej, i nie tylko polskiej, po dziś dzień dominuje pogląd, że podstawowym instrumentem propaństwowych działań pierwszych Piastów pozostawała formacja militarna, jaką była drużyna książęca. Stanowisko to było trudne do zakwestionowania (choćby ze względu na relację Ibrahima ibn Jakuba), w związku z czym jeżeli występowały jakieś różnice poglądów, to dotyczyły one głównie liczebności i etnicznego składu owego wręcz fundamentalnego dla władzy państwowej narzędzia. Bodaj najbardziej wyrazistym przykładem przypisywanego drużynie znaczenia politycznego było przeniesienie przez Stanisława Zakrzewskiego jej funkcji państwowotwórczych również na „drużynę duchowną”, co historyk ten wyraził *expressis verbis*, a także na drużynę „finansową”, co *implicite* zawarł w swej teorii, którą w rozdziale pierwszym określiłem mianem koncepcji „trzech drużyn”²⁵⁹. Jeżeli jednak Zakrzewski podkreślał w większości obcoetniczny skład owych „drużyn”, w których początkowo mieli dominować Niemcy (drużyna wojskowa), Włosi, Czesi i Niemcy (drużyna duchowna) oraz Żydzi (drużyna finansowa), to Łowmiański kwestię „drużynowego” instrumentarium władcy ujął całkowicie odmiennie. Po pierwsze zdeprecjonował on militarną wartość tradycyjnie pojmowanej drużyny książęcej, po drugie zaś państwowotwórczy akcent położył na rycerstwo wywodzone z rodzimych, czysto słowiańskich związków plemiennych.

Zdaniem Łowmiańskiego utrzymujące się do jego czasów w historiografii przekonanie, że „podstawę sił zbrojnych księcia stanowiła »drużyna«”²⁶⁰

²⁵⁸ H. Łowmiański, *Problematyka początków...*, s. 92–93.

²⁵⁹ Zob. rozdz. I, s. 104–108.

²⁶⁰ Było to określenie zaczerpnięte z: A. Nadolski, *Polskie siły zbrojne w czasach Bolesława Chrobrego. Zarys strategii i taktyki*, Łódź 1956, s. 13. Skądinąd stanowisko to odnajdziemy bez trudu w publikacjach bliższych naszej teraźniejszości, m.in. na kartach cieszącej się

związane było z niezbyt precyzyjnym pojmowaniem tego słowa, które w rzeczywistości odnosiło się do niewielkiego oddziału książęcych – jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli – ochroniarzy czy też bodygardów, w żaden jednak sposób niemogącego stanowić militarnej „podstawy” władzy. Historyk uzasadniał swoje stanowisko, posługując się odniesieniem do słowiańskiej Rusi, gdzie, jak utrzymywał, cała drużyna, nosząca tam nazwę „grid”, zakwaterowana była w „gridnicy”, czyli zaledwie w jednej z izb mieszczących się w książęcej siedzibie. Jeżeli to odniesienie trafnie ograniczało liczebność prawdziwej drużyny książęcej, czyniąc z niej formację zbliżoną do straży przybocznej, to rzeczywiście militarnego fundamentu władzy należało szukać gdzie indziej. Łowmiański odnajdywał go w warstwie społecznej, jaką tworzyli „wasale książęcy, czyli rycerstwo obowiązane do szczególnej wobec księcia wierności, jednak prowadzące własne gospodarstwa domowe”²⁶¹, i tym różniące się od, będących na całkowitym utrzymaniu władcy, drużynników. Rycerska podstawa władzy książęcej była wewnętrznie zróżnicowana – warstwę wyższą tworzyli możni wywodzący się ze starszyzny plemiennej, a niższą rycerstwo, które za Piekosińskim i Smolką określał mianem rycerstwa szeregowego. W sumie więc dzięki takiemu właśnie charakterowi sił zbrojnych Piastów mogli z jednej strony stabilizować swą władzę, z drugiej zaś powiększać podlegające im terytorium drogą państwowotwórczych podbojów.

W tej ostatniej dziedzinie największymi osiągnięciami poszczycić się mógł syn Siemowita, Lestek. Łowmiański upatrywał w nim tego władcę, który najefektywniej poddawał władzy Piastów nowe obszary. Jeśli bowiem jego ojciec – jak przypuszczał – swój czyn zbrojny ograniczył do „scalenia” w końcu IX w. Polan, to ekspansja Lestka objęła Goplan, Mazowszan i Łędzian, po to, by osiągnąć „kres możliwości na granicach Rusi”. W ogóle do połowy X w. Piastowie kierowali swą ekspansję na Wschód. Dlaczego? Łowmiański domniemywał, że w swych podbojach świadomie kierowali się tam, gdzie istniała najlepsza koniunktura polityczna, etniczna i mentalnościowa dla przynieszonego przez nich „modelu państwa”, czyli w stronę innych plemion „lechickich”, które podbite, skłonne były dobrowolnie zaakceptować bratni podbój, zapewniający im spokój i bezpieczeństwo wobec zagrożeń tak wewnętrznych, jak i zewnętrznych. W ten to sposób w działaniach Piastów spletały się ze sobą w harmonijnej współpracy dwie komplementarne metody zjednoczeniowe – wojennego przymusu (podboju) i pacyfistycznej

dużym powodzeniem popularnej syntezy opublikowanej już na początku XXI stulecia; zob. H. Samsonowicz, J. Tazbir, *Tysiącletnie dzieje*, Wrocław 2000, gdzie na s. 12 wyrażona jest opinia, że „w połowie X w. władcy polańscy stworzyli drużynę – **zbrojną armię** podległą księciu i pozostającą na jego utrzymaniu [...] ich zadaniem była walka, dająca księciu i wojom łupy, które mogli korzystnie sprzedać” (podkr. A.W.).

²⁶¹ H. Łowmiański, *Problematyka początków...*, s. 96.

dobrowolności. Dzięki uznaniu tej zasady mógł Łowmiański odnaleźć w Lestku „największego zdobywcę w historii Piastów”, z tym że nie omieszkał jednak usprawiedliwiająco zastrzec: „ale był to zdobywca wewnętrzny”²⁶². Jeśli rzecz działa się wewnątrz tak czy inaczej rozumianego etnosu słowiańsko-lechickiego, to można powiedzieć, że Piastowie podbijali „samiych swoich”. Nie warto tu jednak wchodzić w aksjologiczne rozterki, czy lepiej jest podbić obcego, czy „swojaka”, choć nie sposób oprzeć się refleksji, że Łowmiański usiłował przedstawić podboje Piastów jako rodzaj katalizatora przyspieszającego zjednoczeniowe dążenia podbijanych plemion.

W połowie X w. kierunek wschodni „zjednoczeniowych” podbojów został zarzucony. Piastowie pozostawili w spokoju „obszar wschodnio-lechicki” i obrali kierunek północny, w związku z czym w ich rękach znalazło się Pomorze (z wyjątkiem Wolina). W ten sposób starano się przejąć kontrolę nad szlakami handlowymi oraz stworzyć bazę ekspansji na Połabie. Nie oznaczało to jednak rezygnacji z, pozostającego w związanej z Czechami strefie wschodniolechickiej, Krakowa, będącego ośrodkiem o wielkim znaczeniu politycznym, który model państwa przyjął wcześniej niż Gniezno i tym samym wcześniej stał się „ośrodkiem państwowym”. Ostatni akt budowy państwa polskiego, jakim było połączenie dwóch ośrodków państwowych – Krakowa i Gniezna, odbył się już bezpodbojowo. Łowmiański domniemywał, że stało się to w wyniku zawarcia związku małżeńskiego między córką Dobromira, będącą dziedziczką księstwa krakowskiego, a Bolesławem Chrobrym. Autor *Początków Polski* ujął to w dwóch zdaniach: „Analiza ówczesnej sytuacji politycznej wskazuje, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Bolesław Chrobry pojął w 987 r. Emmildę krakowską, przygotowując grunt do unii gnieźnieńsko-krakowskiej, która w 992 r. po objęciu przez Chrobrego tronu polskiego stała się faktem dokonany, a w 999 pozbyła się ograniczenia prawnego ze strony czeskiej. W ten sposób dobiegł końca proces budowy państwa polskiego w jego piastowskich granicach”²⁶³. W szóstym tomie *Początków Polski*, opublikowanym rok po śmierci autora, Łowmiański jak gdyby nieco osłabił to stanowisko, dopuścił bowiem możliwość, że Mazowsze, które – w przeciwieństwie do Małopolski, Śląska, Wielkopolski i Pomorza – nie miało jeszcze własnej diecezji, pozostawało nie tylko poza ogólnokrajową organizacją kościelną, ale i poza jednolitym systemem grodów ponadplemiennych, umożliwiającym egzekwowanie prawa książęcego²⁶⁴.

²⁶² Tamże, s. 106.

²⁶³ Tamże, s. 107–108; zob. też H. Łowmiański, *Początki Polski*, t. 5, Warszawa 1985, s. 568, 571, 613 i n.

²⁶⁴ Tenże, *Początki Polski: polityczne i społeczne procesy kształtowania się narodu...*, cz. 1, s. 11 i n.

MIĘDZY ENDO- A EGZOGENEZĄ, CZYLI O „SPONTANICZNEJ”
RECEPCJI ADRIATYCKIEGO MODELU PAŃSTWA

Koncepcja Łowmiańskiego ukierunkowana jest zasadniczo w stronę endogenezy, z tym że po części przyjmuje ona również wariant „egzo”. Wyrazem takiego nastawienia historyka są przyjęte przez niego konotacje „spontanicznej inwencji” i „spontanicznej recepcji” określonego modelu państwa. To pierwsze pojęcie wręcz wzorcowo mieści się w konwencji „endo”, oznacza bowiem, że państwo powstało z własnej, rodzimej inicjatywy i według własnego pomysłu. Cecha ta występuje już jednak w pewnym ograniczeniu w wypadku drugiej konotacji, kiedy to państwo powstaje również z własnej woli, ale tym razem według pomysłu zaczerpniętego „z zewnątrz”. I tak też miało być z państwem polskim. Skąd zatem wzięliśmy „model” tego państwa?

W średniowiecznej Europie w zasięgu migracji ludów słowiańskich znalazły się dwie strefy i dwa modele „odwiecznie ukształtowanej organizacji państwowej”, a mianowicie strefa adriatycka i czarnomorska. „W strefie adriatyckiej – pisał Łowmiański – pierwsze państwa słowiańskie powstały przed lub po 800 r. w Karantanii, Chorwacji dalmatyńskiej i posawskiej; w strefie czarnomorskiej około tego czasu uformowały się państwa bułgarskie i ruskie w Kijowie. Znad Adriatyku model państwa zawędrował nad Morawy, a z Moraw do Czech i do Polski, mianowicie do Krakowa i Gniezna”²⁶⁵. Badacz przypuszczał, że nastąpiło to w ostatnim ćwierćwieczu IX w. najpierw w Krakowie, a później, już w X w., objęło kolejne terytoria podporządkowywane władzy Piastów.

Jakkolwiek wzorzec przyszedł „z zewnątrz”, to jego przyjęcie i realizacja były już dziełem czynników wewnętrznych. Ujmując rzecz w ten sposób, autor *Początków Polski* godził ujęcie „egzo” z ujęciem „endo”, z tym że w całości jego narracji dominantę stanowiło jednak to ostatnie. Oczywiście nie znaczy to, że czynniki „zewnętrzne” skłonny był całkowicie usuwać z pola swojego widzenia. Zwracając na przykład uwagę, że samodzielna budowa polskiego państwa stała się możliwa dzięki sprzyjającym okolicznościom zewnątrzpolitycznym, wskazywał na: 1) „osłabienie ekspansji niemieckiej na wschodzie u schyłku państwa wschodnio-frankońskiego”, 2) „buforową funkcję Połabia, które od rozpoczęcia natarcia przez Henryka I aż do końca X w. absorbowало niemal całkowicie niemieckie poczynania zaczepne na wschodzie”, 3) „brak zainteresowania ziemiami polskimi ze strony Rusi”, 4) „zabezpieczenie ziem polskich dzięki sąsiedztwu z Rusią przed atakami ze strony stepowców”, 5) „brak zakłócenia polskiego procesu wewnętrznego ze strony Normanów, którzy rozwinęli ekspansję w kierunku zachodnim

²⁶⁵ Tamże, s. 93.

i wschodnim, omijali natomiast ujście Wisły i Odry widocznie z braku dogodnych połączeń z Morzem Czarnym²⁶⁶. Jeżeli jednak przyjrzymy się bliżej owemu zestawieniu, możemy dostrzec, że istotą każdego z wymienionych czynników było to, że istniał on tylko potencjalnie, praktycznie jednak nie występował. I w takim też duchu Łowmiański sformułował swą konkluzję, utrzymaną w konwencji zasady głoszącej, że wyjątek potwierdza regułę: „W tej sytuacji jedynym zewnętrznym czynnikiem ingerującym w procesy wewnętrzne ziem polskich były Morawy i Czechy²⁶⁷. Narodziny państwa polskiego zdominowane były przez czynniki endogenetyczne, nie obyły się jednak bez współudziału czynnika „egzo”.

Opowiadając się za marksistowskim wariantem trzelementowej definicji państwa, Łowmiański zajmował rygorystyczne wręcz stanowisko w kwestiach terminologiczno-pojęciowych. Uważał, że albo państwo istnieje w swej pełnej, definicyjnej postaci, albo w ogóle nie istnieje, innymi słowy – albo związki polityczne obejmują społeczeństwa posiadające zróżnicowaną, a przy tym konfliktową strukturę klasową i wtedy mogą być państwami, albo – nie mając takiej struktury – państwami być nie mogą. Były to założenia teoretyczne idące w parze z przekonaniem, że takie kategorie jak państwa „wczesne”, „niedojrzałe” lub „niepełne” nie znajdują uzasadnienia. W imię owego formalistycznie jurydycznego poglądu Łowmiański występował przeciwko zwolennikom nieco elastyczniejszej aparatury terminologiczno-pojęciowej, którą inni historycy na ogół aprobowali w słusznym, jak się wydaje, przekonaniu, że całej badanej przez nich przeszłości nie da się uwięzić w scjentyistycznych formułach typu: „tak, a nie inaczej”. Dlatego też nie pochwałił Witolda Hensla za to, że ten „proponował użycie dla tego rodzaju organizacji politycznych terminu »protopaństwo«” i argumentował, iż „nawet w najlepiej znanej i stosunkowo późnej organizacji tego typu, w »państwie« Samona nie dostrzegamy cechy »trzelementowości« i nie jest ona prawdopodobna wobec efemeryczności tego tworu²⁶⁸. Tak zwane państwo Samona państwem nie było, brakowało mu bowiem jednego z trzech elementów konstytutywnych, jakim miała być, obok „ludu” i „terytorium”, „klasowa” struktura społeczna. Utyskiwał zatem Łowmiański, że podobną jak Hensel drogą poszedł Konrad Jażdżewski, który, wyodrębniając „etap rozwojowy tworów protopaństwowych²⁶⁹, nie zdawał sobie sprawy, że jest to formuła czysto werbalna i niewnosząca niczego nowego, ponieważ „pojęcie protopaństwa mieści się w ramach ustroju plemiennego²⁷⁰. Gwoli sprawiedliwości

²⁶⁶ Tamże, s. 95.

²⁶⁷ Tamże.

²⁶⁸ W. Hensel, *Polska przed tysiącem lat...*, s. 46.

²⁶⁹ K. Jażdżewski, dz. cyt., cz. 1, s. 86.

²⁷⁰ Tamże, przyp. 40.

należy odnotować, że Łowmiański nie oszczędził w tym wypadku również i swojej osoby, nadmienając, że zanim przyjął własną, nazwijmy ją „zmarksizowaną”, formułę trzejelementowości państwa, to również i on błędził, gdy idąc za dawną literaturą przedmiotu, niesłusznie posługiwał się określeniem „państwo Samona”²⁷¹.

Podsumowując analizę „państwowotwórczej” koncepcji Łowmiańskiego, warto w tym miejscu powtórzyć, że w odróżnieniu od kanonu milenijnego, akcentującego istnienie „wczesnych”, przedfeudalnych czy też nie w pełni feudalnych form polskiej państwowości, historyk ów przyjął ekstremalne kryterium, zgodnie z którym albo państwo istniało w całej swej klasowo uwarunkowanej, „trzejelementowej” postaci, albo nie istniało w ogóle. Takie konstrukcje pojęciowe jak „prapaństwo”, „protopaństwo”, „półpaństwo” odrzucał w imię klasycznego podziału logicznego „albo, albo – *tertium non datum*”. Pozostawał natomiast w zgodzie z tym kanonem, nadając całości swej koncepcji orientację endogeniczną. Podkreślał wszak, że tylko czynnik morawski i czeski ingerował w „procesy wewnętrzne ziem polskich”, natomiast pozostałe z mogących wchodzić w rachubę czynników zewnętrznych znajdowały się w czasie formowania przez Piastów ich państwa w stanie dezaktywacji czy też historycznej drzemki (bo nie był to sen głęboki), co dla pomyślności „wewnętrznych” działań państwowotwórczych stwarzało korzystny „kontekst historyczny”. Można jednak powiedzieć jeszcze więcej – w ocenie Łowmiańskiego czynnik morawsko-czeski miał ambiwalentny charakter, ponieważ „ingerując z zewnątrz w procesy wewnętrzne ziem polskich”, z jednej strony zakłócał przebieg tych procesów, z drugiej jednak prznosił na te ziemie ożywczy wzorzec polityczny, jakim był zaczerpnięty ze strefy adriatyckiej model państwa. Prawie pół wieku później grupa archeologów-mediewistów poparła tezę głoszącą, że impulsy państwowotwórcze przysły do nas z Moraw i Czech. Czy owe impulsy miały się przejawiać jedynie pod postacią „spontanicznej” recepcji adriatyckiego modelu państwa, jak utrzymywał Łowmiański, czy może towarzyszyła im jednak zbrojna argumentacja przychodząca „z zewnątrz”, to kwestia, która podjęta zostanie w zakończeniu tej książki.

W tym miejscu godny odnotowania jest swoisty dualizm postawy teoretyczno-metodologicznej Łowmiańskiego, polegający na tym, że z jednej strony wyraźnie akcentował on swoje związki z marksizmem, z drugiej jednak starał się zwracać uwagę na zbieżności tego ujęcia z innymi, uznawanymi wówczas jako „poza-”, a nawet „anty-”marksistowskie orientacjami teoretycznymi, takimi na przykład jak trzejelementowa, „pozytywistyczna” definicja państwa Georga Jellinka. Podobnie było wówczas, gdy wolał mówić o wykształceniu się

²⁷¹ H. Łowmiański, *Początki Polski: polityczne i społeczne procesy kształtowania się narodu...*, cz. 1, s. 93.

„góry” społeczno-politycznej, a nie klasy posiadaczy podstawowych środków produkcji, której istnienie warunkować miało powstanie państw. Odnieść można wrażenie, że w miarę upływu czasu historyk coraz wyraźniej dystansował się od zasobu leksykograficznego manifestującej swą wierność marksizmowi nowomowy w jej „naukowej” postaci. Być może jednak była to cecha dająca się przenieść na większą grupę badaczy, w tym tych, którzy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX w. uczestniczyli w pisaniu tak pożądanym przez marksistów syntez naszych dziejów ojczystych. *Signum temporis* owych lat przejawiało się skądinąd w coraz częstszym zastępowaniu słowa „synteza” określeniem „opracowanie całościowe”. Nawiasem mówiąc, termin „synteza” wydaje się dla autorów bezpieczniejszy niż epistemologicznie niemożliwa do realizacji obietnica ujęcia „całościowego”, jako że nawet najmniejszy wycinek rzeczywistości historycznej jest „całościowo” nieopisywalnym makrokosmosem. A zatem słów kilka o kilku „syntezach”.

W KRĘGU „POMILENIJNYCH” SYNTEZ DZIEJÓW POLSKI
(BENON MIŚKIEWICZ, JERZY WYROZUMSKI, TADEUSZ MANTEUFFEL,
WŁADYSŁAW CZAPLIŃSKI)

Mianem syntez historycznych określamy ujęcia mniej lub bardziej autorsko zindywidualizowane. Historycy historiografii mówią nierzadko o mono-autorskich syntezach dziejów Polski, napisanych na przykład przez takich autorów jak Lelewel, Szujski lub Bobrzyński, mówią jednak również o syntezach Topolskiego czy Tazbira, którzy napisali jedynie wybrane rozdziały „swoich” syntez, ale też jako redaktorzy naczelni czuwali nad doбором współautorów oraz całością edytorskiego przedsięwzięcia, nadając mu czy to bardziej społeczno-gospodarczą – jak Topolski, czy kulturową – jak Tazbir linię przewodnią, zwaną również przez niektórych „osią syntezy”. Sprawę komplikują jeszcze bardziej kolejne cechy „warsztatowego” języka historyków historiografii, skądinąd często wykraczającego poza ich środowisko. Wieloautorskie dzieło zwane „syntezą Topolskiego”²⁷² zwykliśmy nazywać też syntezą „poznańską”, ze względu na to, że jej autorzy mniej lub bardziej formalnie związani byli ze środowiskiem historyków z tego właśnie ośrodka, natomiast dzieło zwane „syntezą Tazbira” – z analogicznego powodu – syntezą „warszawską”²⁷³. Poza tak rozumianą autorską geografiją syntez dziejów

²⁷² Niezależnie od tego Jerzy Topolski pozostawił po sobie dwa opracowania „całościowe” wyłącznie swego autorstwa: *Zarys dziejów Polski* (Warszawa 1982, 1986) i *Historia Polski od czasów najdawniejszych do 1990 roku* (Warszawa 1992 i n.) oraz jedno napisane pospół z Antonim Czubińskim – *Historia Polski* (Wrocław 1988 i n.).

²⁷³ Również J. Tazbir pozostawił po sobie syntezę dwuautorską; zob. H. Samsonowicz, J. Tazbir, dz. cyt.; więcej na ten temat zob. rozdz. IV niniejszej książki.

Polski nie pozostał również i Kraków, z tym że pierwsza synteza „krakowska” nie miała w ogóle redaktora naczelnego, który mógłby użyczyć jej swego nazwiska. Nadrobiono to jednak z nawiązką, dwadzieścia lat później bowiem nad edycją kolejnej syntezy czy też, jak to się już wówczas mówiło, „opracowania całościowego”, czuwał trzyosobowy komitet redakcyjny, niewywyższający jednak godnością „naczelnego” żadnego ze swych członków²⁷⁴. Nie koniec na tym. Jeżeli bowiem pozostawilibyśmy kryterium „geograficzne” nieco na uboczu, to istnieją jeszcze inne probiezże stosowane przez historyków historiografii, którzy odróżniają na przykład syntezę „PAN-owską”, której patronował Instytut Historii PAN, a którą pisali i redagowali autorzy reprezentujący środowiska historyczne z całej Polski, od, mogącej uchodzić za kolejne opracowanie „krakowskie”, trzytomowej edycji „Znaku”, co po części daje się przełożyć na opozycję światopoglądu laickiego i religijnego, po części zaś budzi skojarzenia z jednej strony z marksistowskimi źródłami syntezy firmowanej przez PAN, z drugiej zaś z konserwatywnymi inklinacjami ruchu społecznego, którego wyrazem stało się w Sejmie PRL katolickie koło poselskie „Znak”²⁷⁵. Możliwość różnorakich, często zachodzących na siebie typologizacji opracowań aspirujących do miana syntezy zapewne wystarczająco uzasadnia troskę o równomierne rozłożenie akcentów między nazwiskami konkretnych historyków a „geograficzno-środowiskową” oraz

²⁷⁴ Mam tu na myśli powstałe w związku z jubileuszem 600-lecia odnowienia Akademii Krakowskiej dziesięciotomowe dzieło Wielka Historia Polski, nad którym pieczę sprawował komitet redakcyjny w składzie: Stanisław Grodziski, Jerzy Wyrozumski i Marian Zgórniak. Kwestie związane z formowaniem się państwa polskiego, podobnie jak w wypadku pierwszej syntezy krakowskiej, omówione zostały przez Wyrozumskiego w ramach napisanego przez niego w całości drugiego tomu jubileuszowej edycji; zob. J. Wyrozumski, dz. cyt. Tom ten opublikowany został już w III RP, a zatem poza cezurą końcową mojej pracy. Nieco szerzej na jego temat wypowiadam się jednak w rozdz. IV, który ma charakter rekonesansowego przeglądu stanu badań w ostatnim ćwierćwieczu.

²⁷⁵ W tę stronę prowadzi fakt, że siedziba wydawcy (Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”, związany z popaździernikową, katolicką frakcją sejmową w PRL) mieściła się i nadal się mieści (choć pod innym adresem) w Krakowie, a także to, że dwóch spośród trzech autorów „życiorysowo” związanych było ze środowiskiem krakowskim. Byli to: Władysław Czapliński, który w ogóle wywodził się z Galicji i do 1946 r. pracował w Krakowie, gdzie m.in. był profesorem historii w Państwowym Pedagogium, a po wojnie przez krótki czas prowadził wykłady na UJ, oraz Jan Marian Małecki, związany z Krakowem m.in. jako zasłużony historyk jego przeszłości oraz rektor Akademii Ekonomicznej i profesor zwyczajny historii w tamtejszej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Trzeci autor syntezy „Znaku”, Henry Rollet, pisząc swe dzieło (*La Pologne au XX^e siècle*, wstęp J. Laloy, Paris 1984) większych związków z Krakowem nie miał, a – co więcej – nie wiedział, że dzieło to zostanie spożytkowane jako trzeci i ostatni tom syntezy „Znaku” (1994); zob. A. Chwalba, *Wstęp*, w: *Zarys dziejów Polski 1939–1984*, tłum. M. Eckstein, Kraków 1994, o czym szerzej będzie jeszcze mowa.

„instytucjonalną” proweniencją zbiorowych dzieł, w których powstawaniu historycy ci uczestniczyli na ogół w pełni świadomie, jakkolwiek nierzadko bez głębszej wiedzy o tym, co w kolejnych tomach napiszą inni tych dzieł współautorzy. Wszelako względy konstrukcyjne wymagają przyjęcia w tym miejscu jednolitego kryterium prezentacji owych wieloautorskich konstrukcji „całościowych”. Jeśli miałyby nim być osoba redaktora naczelnego, to takie kryterium, jak już była o tym mowa, dałoby się zastosować w wypadku syntez „poznańskiej” (Jerzy Topolski) i „warszawskiej” (Janusz Tazbir), pominięłoby wszakże pierwszą, całkowicie pozbawioną nie tylko zespołu redakcyjnego, ale i redaktora naczelnego syntezę „krakowską”, natomiast w wypadku drugiej „krakowskiej” syntezy przybrałoby charakter demokratycznej triady, jaką stanowił komitet redakcyjny w składzie: Stanisław Grodziski, Jerzy Wyrozumski i Marian Zgórnjak, spośród których żaden nie dał się wyróżnić godnością redaktora naczelnego. Wydaje się zatem, że stosunkowo najdogodniejsze ze względów konstrukcyjnych jest uwzględnienie kryterium „geograficzno-środowiskowego” przy jednoczesnym uznaniu nadrzędności kryterium „odautorskiego”, pojmowanego w dosłownym, a nie „redakcyjnym” znaczeniu tego słowa. Oczywiście w syntezach zbiorowych kryterium to ulega zwielokrotnieniu w zależności od liczby współautorów. W wypadku niniejszego tekstu będzie to zawsze kryterium jednoosobowe, ograniczone do nazwiska tego historyka, który w ramach opracowania „całościowego” naświetlał kwestię nie tyle formowania, ile uformowania polskiego państwa.

I jeszcze jedno zastrzeżenie. Rozważania na temat wpływu wcześniejszych uwarunkowań podrozbirowych na charakter owych syntez, a w tym bliskości „poznańskich” kontaktów z historiografią niemiecką, „warszawskich” z rosyjską, a „krakowskich” z historiografią c.k. monarchii, wypadnie tu zawiesić, choćby tylko z tego powodu, że wymagałyby one uprzedniej, pogłębionej refleksji nad relacjami zachodzącymi między historiografią niemiecką, c.k. austriacką i rosyjską, co groziłoby pograżeniem się w wielotomowej magmie impertynenckich dociekań. Warto zwrócić uwagę, że na takie przedsięwzięcie nikt po dziś dzień się nie odważył.

Druga połowa lat siedemdziesiątych przyniosła na tle tego, co było wcześniej, jeśli nie erupcję, to znaczną obfitość multiautorskich syntez polskich dziejów narodowych. W 1975 r. ukazała się synteza „poznańska”, trzy lata później „krakowska”, rok po niej zaś „warszawska”. Niedługo potem, bo w 1985 r., na rynku edytorskim pojawił się pierwszy tom syntezy „Znaku”. Gdybyśmy ów szyfr rozkodowali z punktu widzenia autorstwa zawartych w owych syntezach fragmentów poświęconych narodzinom polskiego państwa, to w pierwszym wypadku byłby to Benon Miśkiewicz, w drugim Jerzy Wyrozumski, w trzecim Tadeusz Manteuffel, a w czwartym Władysław Czapliński. I dlatego pytanie, które w tym miejscu ośmielam się postawić, brzmi:

co każdy z owych czterech historyków myślał o roli podboju w formowaniu się państwa, które, by raz jeszcze użyć porównania Andrzeja Nowaka, pojawiło się na widowni dziejowej jak Atena, która zrodziła się w głowie Zeusa „nagle i od razu w pełnej zbroi”.

Benon Miśkiewicz myślał w gruncie rzeczy to samo co Henryk Łowmiański, na którego autorytet jako autora *Początków Polski* powoływał się wielokrotnie. Składał przy tym ukłon w stronę najnowszej nauki historycznej, która jakoby potrafiła wyjść poza polityczną interpretację procesu narodzin państwa, akcentującą dobrowolność scalania się „mniejszych organizmów państwowych” lub wcielanie ich do „organizmu” większego drogą „podboju wewnętrznego”. Doniosłość dokonanych w nauce zmian miała polegać na dostrzeżeniu, że był to nie tylko proces polityczny, ale obejmujący przede wszystkim przekształcenia społeczne, gospodarcze i ustrojowo-prawne. Miśkiewicz podpisywał się pod opinią Łowmiańskiego, że w dotychczasowej historiografii polskiej jedynie Michał Bobrzyński w swej syntezie z 1879 r. zarysował „najbardziej zgodny z rzeczywistością”²⁷⁶ model kształtowania się polskiego państwa, polegający na przejściu od „wiecowej” demokracji plemiennej do organizacji wielkoplemiennej z mocną władzą książęcą oraz tendencją do podboju „plemion sąsiednich”. Akceptując państwowotwórczy charakter tak rozumianych podbojów wewnętrznych, w których słabsi sąsiedzi zaliczani byli do spraw „wewnętrznych” silniejszego, Miśkiewicz odrzucał w polskim wypadku możliwość podboju zewnętrznego. „Zdając sobie sprawę z hipotetyczności wielu ustaleń – pisał – możemy jednak podkreślić fakt ewolucyjnego charakteru kształtowania się państwa polskiego, tzn. zarazem odrzucić występujący (choć w sposób odosobniony) w dawniejszej literaturze polskiej, a także rozwijany z powodów pozanaukowych przez niektórych historyków niemieckich, pogląd, że państwo polskie powstało w wyniku podboju zewnętrznego. Trafna jest natomiast teza wyprowadzająca jego genezę z rozwoju wewnętrznego, przy uwzględnieniu doniosłej roli istniejącej sytuacji międzynarodowej”²⁷⁷. Przytoczone tu słowa stanowią kolejny przykład skłonności historyków do eufemistycznego traktowania podbojów „sąsiedzkich” jako ogniw czy też etapów wspólnej państwowotwórczej ewolucji, obejmującej synchronicznie zarówno tych, którzy podbijają, jak i tych, którzy „dają się” podbijać, uzyskując ostatecznie również status ludów „państwowych”. Dla zagubionych w tym wywodzie można przywołać casus Szajnochy, który w urzekającej harmonii kompozycji połączył państwowotwórczą normańskość zdobywców w „jednorodny” związek krwi z anarchiczną słowiańskością podbitych. Można powiedzieć, że w ujęciu Szajnochy jedni (Normanowie)

²⁷⁶ *Dzieje Polski*, red. J. Topolski, Warszawa 1976, cyt z wyd. 2, Warszawa 1978, s. 88.

²⁷⁷ Tamże, s. 95.

dali państwo, czyli sprawny ustrój polityczny, natomiast drudzy (Słowianie) dali naród, czyli język, obyczaj, kulturę.

Tego typu „ewolucjonizm” dałoby się też przypisać pierwszej z dwóch syntez „krakowskich”, w których Jerzy Wyrozumski podejmował kwestię narodzin państwa polskiego. Ich ukazanie się, w 1975 i 1999 r., przedzieliło dwudziestolecie, w trakcie którego w przeszłość odeszły PRL, PZPR, ZSRS, a wraz z nimi szczególna estyma, jaką oficjalna humanistyka „bratnich krajów” darzyła „prawdziwie naukowy światopogląd”. W 1975 r. Wyrozumski, który raczej stronił od rewolucyjnej retoryki spod znaku „walki klas”, pozostawał jednak jeszcze w konwencji kanonu milenijnego: „Nie da się inaczej wyjaśnić genezy naszej państwowości – pisał – jak tylko w drodze powolnego narastania elementów feudalizmu w łonie wspólnoty pierwotnej, aż do ich przejścia w nową społeczno-ustrojową i gospodarczą jakość, która bez aparatu państwowego obejść się nie mogła”²⁷⁸. Historyk nie krył jednak, że niezależnie od klasowej struktury amorficznego w istocie, bo jedynie „modelowego”, feudalizmu państwo polskie miało swojego twórcę z krwi i kości. Władcą, któremu, jak twierdził, historiografia polska słusznie przypisała zasługę „budowniczego państwa polskiego”, był Mieszko I. „Wiele bowiem wskazuje na to – kontynuował swe wywody – że dopiero jego geniusz zespolił te elementy, które w budowie trwałego organizmu politycznego były niezbędne”²⁷⁹. Ta z kolei formuła, utrzymana w konwencji heroistycznej wizji dziejów, oddalała Wyrozumskiego od marksistowskiego kolektywizmu, przyznającego atrybut historycznej podmiotowości nie tyle jednostkom, ile ludom, klasom i innym grupom społecznym. Jeżeli czyniono w tym zakresie pewne wyłomy (koncesje), to jednostkowa genialność przysługiwała głównie Marksowi, Engelsowi, Leninowi i, jakkolwiek tylko w okresie kultu jednostki, również „Wielkiemu Stalinowi” – jako „chorążemu pokoju” i budowniczemu społeczeństwa bezklasowego. Na tym tle przypisanie genialności twórcy wczesnofeudalnego państwa, które z biegiem czasu przybrało postać wyzyskującej ludzi pracy, feudalnej Rzeczypospolitej szlacheckiej, mogło być poczytane za krok ideologiczne fałszywy. Jakże jednak elementy i „przełomowe momenty” wystąpiły w dziele tej budowy? Po pierwsze Wyrozumski wskazywał na wznoszenie wielkich grodów, zwłaszcza w Gnieźnie i Poznaniu, których funkcje były bardziej zróżnicowane od funkcji wcześniejszych grodów plemiennych, służących w razie zagrożenia zapewnieniu bezpieczeństwa okolicznej ludności. Za Mieszka wznoszono grody, które, wychodząc poza funkcję dużych schronów dla tubylców, były już siedzibami panującego, załóg wojskowych i funkcjonariuszy książęcych,

²⁷⁸ J. Wyrozumski, *Historia Polski. Do roku 1505*, Warszawa 1978, s. 111.

²⁷⁹ Tamże, s. 112.

czyli niezbędnymi elementami sprawowania władzy terytorialnej. Takie grody w znacznie większym stopniu niż dawniejsze przyciągały stałych osadników, którzy osiedlając się w ich pobliżu, tworzyli podgrodzia, dające początek miastom. Po drugie władza Mieszka znajdowała oparcie w licznej drużynie wojskowej, utrzymywanej w całości przez księcia, można zatem domyślać się, że istniała paląca potrzeba stworzenia „systemu skarbowego” zabezpieczającego potrzeby państwa, co uczynił książę, wprowadzając stałą rentę gruntową (produktową, odrobkową, a w późniejszych czasach oczywiście pieniężną²⁸⁰) o charakterze publicznym. Po trzecie, i tu myśl Wyrozumskiego ponownie zbliżała się do konwencji marksistowskiej: „bardzo istotnym i przełomowym elementem tworzącego się państwa wczesnofeudalnego w Polsce była również nowa nadbudowa ideologiczna w postaci religii chrześcijańskiej, która ponad kultami i świadomością plemienną tworzyła świadomość nową, integrującą państwo w duchu chrześcijańskiego uniwersalizmu, wierności władcy i pokory”²⁸¹.

Był jednak jeszcze jeden element, który Wyrozumski eksponował szczególnie wyraźnie, a mianowicie rozwój terytorialny państwa Mieszka I. Mogłoby się wydawać, że właśnie w obrębie tego elementu dałyby się usytuować różnorakie hipotezy podboju, tymczasem historyk krakowski niemal w ogóle nie zwracał na nie uwagi. Podkreślał wprawdzie, że panowanie Mieszka I (od około połowy X w. do 992 r.) niemal w całości wypełniły walki o powiększenie podległego piastowskiemu władcy terytorium, stwierdzał też, że do najwcześniejszych „zdobyczy” państwa Polan dałoby się zaliczyć Kujawy i pozostające początkowo poza jego pierwotnym obrębem obszary Wielkopolski, zarazem jednak uznał za konieczne wysunięcie na plan pierwszy tezy głoszącej, że w wyniku tych walk „zostały zespolone plemiona o bardzo bliskich sobie cechach kulturalno-językowych, osiadłe na zwartym pod względem geograficznym obszarze”²⁸². Ciekawe, że w odniesieniu do owego „zespolenia” plemion bliskich sobie i kulturowo, i geograficznie nie zdecydował się na użycie terminu „podbój wewnętrzny”. Co więcej, w ogóle w całości jego narracji o kształtowaniu się terytorium państwa Mieszka I słowo „podbój” występuje tylko raz – w zdaniu: „Podbój Pomorza Zachodniego został przez Mieszka dokonany w latach 967–972”²⁸³. Jakkolwiek w ujęciu Wyrozumskiego trudno byłoby doszukać się otwartej polemiki z różnymi postaciami hipotezy państwowotwórczego podboju, to z całą pewnością historyk ten nie wpisywał się w krąg jej entuzjastów, a nawet jak gdyby dystansował się od

²⁸⁰ Wyrozumski, tak jak inni ówczesni historycy, sądził, że Mieszko bił – choć w niewielkich ilościach – własną monetę, co zostało w czasach późniejszych skorygowane.

²⁸¹ J. Wyrozumski, *Historia Polski. Do roku 1505...*, s. 116.

²⁸² Tamże.

²⁸³ Tamże, s. 116–117.

niej, co dostrzec można jeszcze wyraźniej w tym, co pisał dwadzieścia lat później na kartach „drugiej”, zbiorowej syntezy krakowskiej²⁸⁴.

Jeszcze ostrożniej niż Wyrozumski odnosił się do koncepcji państwotwórczych podbojów historyk, który naświetlał kwestię powstania państwa polskiego na kartach syntezy „warszawskiej”. Tadeusz Manteuffel, bo on w ramach tej właśnie syntezy podjął się roli autora piszącego o narodzinach Polski, bodaj w ogóle nie napomknął o walkach, które w IX w. poprzednicy Mieszka, a później również i on, mogli prowadzić lub prowadzili w celu powiększenia podległego im terytorium. Sugerował przy tym, że dzieło „powiększania” nie miało ostrego, konfliktowego charakteru, ponieważ były to czasy, w których „nie wytworzyło się jeszcze poczucie wspólnoty etnicznej, a różnice językowe i obyczajowe wśród plemion słowiańskich nie stanowiły bariery nieprzekraczalnej, łatwo mogły być one podporządkowane takim lub innym ośrodkom państwowym”²⁸⁵. Między Bałtykiem a Karpatai były tylko dwa takie ośrodki, z których jeden znajdował się nad górną Wisłą (Wiślanie), drugi zaś obejmował obszary środkowej Warty (Polanie). Pierwszy stracił jednak swą państwotwórczą potencję w wyniku wchłonięcia go przez państwo wielkomorawskie, w związku z czym w grę mógł wchodzić tylko ośrodek polański z Gniezmem na czele. Manteuffel starał się nie wychodzić poza źródła i wyraźnie unikał spekulacji na temat roli podbojów w formowaniu się polskiego państwa. Utrzymując, że plemiona, które weszły w jego skład, mówiły zbliżonymi językami, miały podobne obyczaje, a zarazem nie miały poczucia swej odrębności etnicznej, sugerował, że jeżeli element zjednoczeniowego przymusu w tym wypadku w ogóle istniał, to miał znikome znaczenie i nie był odczuwany przez podbitych w kategoriach klęski i utraty wolności.

Trudno się dziwić, że tak jak wielu innych historyków, Manteuffel przyznawał, iż dzieje powstania i wzrostu terytorialnego tego „ośrodka”, którego skądinąd nie wahał się określać również mianem „**państwa** gnieźnieńskiego”, nie są znane, a pierwsze wzmianki o walkach Mieszka mówią raczej o jego kłopotach niż sukcesach. Najazd Wichmana sprzymierzonego z Wioletami (963 r.) zbiegł się w czasie z najazdem margrabiego saskiego Gerona, który w 964 r. doprowadził „do jakiejś formy związania księcia Polan z Cesarstwem”, łączącej się ze składaniem daniny z „nieznanego nam bliżej obszaru”²⁸⁶. Dalsze przekazy były już jednak bardziej budujące. Udaną decyzją nazwał Manteuffel przymierze z Czechami, którzy zrezygnowali z wcześniejszego

²⁸⁴ Kwestię tę ponownie podejmuję w rekonesansowym zarysie koncepcji podboju w historiografii polskiej ostatniego ćwierćwiecza, który zamieszczam w ostatnim rozdziale niniejszej książki.

²⁸⁵ *Zarys historii Polski*, red. J. Tazbir, Warszawa 1979, s. 13.

²⁸⁶ Tamże.

popierania Wioletów. Podkreślał przy tym, że przyjęcie przez Mieszka i jego otoczenie chrztu oprócz doraźnych skutków politycznych w sensie kulturowym przyniosło dopiero skutki długofalowe. Po prostu dlatego, że „akcja misyjna wymagała długiego czasu. A chociaż uznano ją formalnie za zakończoną z chwilą ustanowienia normalnej hierarchii kościelnej w r. 1000, w rzeczywistości trwała parę setek lat”²⁸⁷. Oczywiście w bieżących zabiegach o ustanowienie tej hierarchii niemałe znaczenie miał dokument *Dagome iudex*. Znamienne jednak, że poświęcając mu odrębny podrozdział, Manteuffel w ogóle nie podjął kwestii ewentualnego podboju normańskiego. O hipotezach tego typu nawet nie napomykał. Podpisał się natomiast pod hipotezą, że Mieszko dał w nim w opiekę Rzymowi w charakterze *regnum ablatum* tylko swoje wcześniejsze władztwo gnieźnieńskie, podczas gdy władzę nad pozostałymi ziemiami miał sprawować pierworodny jego syn – Bolesław²⁸⁸.

W ramach wydawnictwa określanego mianem syntezy „Znaku” kwestia narodzin polskiego państwa podjęta została w tomie pierwszym autorstwa Władysława Czaplińskiego. Historyk ów jeszcze wyraźniej niż Manteuffel zacierał fundamentalną (szczególnie dla Łowmiańskiego) granicę między państwem w pełnym znaczeniu tego słowa a ośrodkiem posiadającym mniejszą lub większą strukturę i potencję państwowotwórczą, pisząc: „Na ogół historycy polscy zgadzają się, że na terenach późniejszej Polski utworzyły się w IX w. dwa ośrodki państwowotwórcze: państwo Wiślan i państwo Polan. Gdy chodzi o pierwsze z nich, to chociaż źródła współczesne określają jego księcia jako »bardzo potężnego« dostało się ono w latach osiemdziesiątych IX w. pod panowanie władców wielkomorawskich, a po rozbiciu tego organizmu państwowego przez Węgrów – pod rządami czeskich Przemyślidów. Nieco później może powstał drugi ośrodek, mianowicie państwo Polan”²⁸⁹. Czapliński podkreślał, że „większość historyków” zgodna była również co do tego, iż Mieszko I poprzedzało trzech innych władców „państwa Polan”: Siemowit, Lestko i Siemomysł, a uznając, że każdy z nich panował po około dwadzieścia lat, początki tego państwa, którego centrum miało się mieścić w kilkuczłonowym i silnie ufortyfikowanym grodzie gnieźnieńskim, przenosił na przełom IX i X w.²⁹⁰ Nie ukrywał, że nie ma jasności co do tego, w jaki sposób udało się „zjednoczyć” wszystkie plemiona wielkopolskie, zarazem jednak, w czym różnił się między innymi od Wyrozumskiego, nie miał wątpliwości, iż stało się to jeszcze zanim Mieszko objął władzę.

²⁸⁷ Tamże, s. 15–16.

²⁸⁸ Tamże, s. 18.

²⁸⁹ W. Czapliński, *Zarys dziejów Polski do roku 1864*, Kraków 1985, s. 13–14.

²⁹⁰ Skądinąd w wyniku przewrotu dendrochronologicznego, który przed niemal dwudziestu laty dokonał się w naszej archeologii, wykazano, że gród gnieźnieński został zbudowany dopiero z drzew świątych w 940 r.

Co więcej, Czapliński wyrażał przypuszczenie, jakoby państwo, które otrzymał on po przodkach, obejmowało również Mazowsze oraz obszary zamieszkiwane przez Łędzian (ziemie sandomierską i lubelską), a zapominając niejako o hipotetycznym charakterze owych stwierdzeń, konkludował: „Tak więc państwo książąt piastowskich w chwili objęcia rządów przez Mieszka było już dostatecznie silne i stosunkowo wielkie”. Wymowy tych słów nie mogło w sposób znaczący pomniejszyć zastrzeżenie: „Trzeba jednak zwrócić uwagę, że dynastia ta, wywodząca się od półmistycznego Piasta Chościkowica, nigdy w czasie swego trwania nie była określana jako dynastia Piastów. Nazwę tę nadali jej dopiero historycy śląscy w XVII wieku. W średniowieczu książęta tej dynastii byli po prostu określani jako »panowie przyrodzeni«”²⁹¹.

Trudno się dziwić, że w ujęciu firmowanym przez katolicki „Znak” szczególnie wyeksponowane zostało znaczenie przyjęcia religii chrześcijańskiej. Według Czaplińskiego było to wręcz „najważniejsze posunięcie” polskiego władcy, który okazał się bardzo dobrym graczem w polityczne szachy. „Mieszko – pisał – musiał się zorientować, że cesarstwo, przesuwając swe granice ku wschodowi poprzez podbijanie słowiańskich plemion nadłabskich, może zagrozić Polsce, tym bardziej jeśli podboje ziem polskich będzie można usprawiedliwić polityką misyjną i zamiarem rozszerzania chrześcijaństwa. Zapowiedzią tej polityki stały się napady awanturnika niemieckiego Wichmana na ziemie polskie, potem zajęcie w 963 r. przez margrabiego Gerona ziemi Łużyczan. Wiele zapowiadało, że cesarstwo będzie próbowało pozyskać dla chrześcijaństwa również Ruś. Tym samym byłaby pogańska Polska otoczona z zachodu, wschodu i południa państwami chrześcijańskimi”²⁹². Trzeba przyznać, że owa wizja utrzymana w konwencji „co byłoby, gdyby”, mogła znaleźć pełne zrozumienie wśród marksistów. Co innego jednak jeśli chodzi o mniej lub głębiej wierzących, dla których odejście od poganizmu powinno znaleźć również, choćby tylko śladową, ale przecież nieco wyższego rzędu, motywację pod postacią „duchowej potrzeby” przyjęcia chrześcijaństwa. Czapliński jak gdyby zapominał o tym, ale ten obszar rozważań pozostawmy tu na uboczu. Wiele wskazuje, że historyk ten kierował swoje myśli w stronę znalezienia wspólnego mianownika między tymi, którzy rządzą w PRL a tymi, którzy są rządzonymi, i w tym celu usiłował „przemycić” swoją narrację. Ukłon w stronę marksistowskiej konwencji przebiega również z innej formuły Czaplińskiego. „Pewną rolę w podjęciu tej decyzji mógł też odegrać wzgląd na stosunki wewnętrzne. Przyjmując bowiem chrześcijaństwo z całym narodem dokonałby Mieszko pewnego ujednoczenia ideologicznego kraju i podporządkował swych poddanych kultowi jednego

²⁹¹ W. Czapliński, dz. cyt., s. 14.

²⁹² Tamże, s. 15.

Boga w miejsce kultów bogów plemiennych, utrudniających zrośnięcie się poszczególnych plemion w jeden naród²⁹³. Przypisywanie Mieszkowi tego typu „ogólnonarodowych” motywów trzeba potraktować jako anachronizm, który jednak wychodził naprzeciw „duchowi nowych czasów”. Piastowski władca jawił się jako człowiek świątły i postępowy, który przyjmując chrześcijaństwo, wykazał troskę o właściwą nadbudowę dla feudalnej bazy. Takie ujęcie niewątpliwie torowało drogę dla oficjalnej akceptacji oceny głoszącej, że chrystianizacja Polski była „najważniejszym” czynem polskiego władcy. Skądina, podobnie jak Manteuffel, Czaplinski zwracał uwagę na to, że przyjęcie chrześcijaństwa przez Mieszka i jego otoczenie zapoczątkowało jedynie trwający w sumie kilka wieków „**proces** chrystianizacji społeczeństwa polskiego” (podkr. A.W.)²⁹⁴.

Decydując się na uwzględnienie w tym miejscu tzw. syntezy „Znaku”, warto na koniec postawić pytanie, czy w ogóle można nazwać syntezą dziejów określonego państwa i narodu wieloautorską całość, w której ostatni tom, doprowadzający narrację do czasów współczesnych jego autorowi, był w istocie fragmentem zupełnie innej książki (*La Pologne au XX^e siècle*), napisanej w innym języku i opublikowanej w zupełnie innym kraju (wyd. 1: Paris 1984). Co więcej, napisanej przez autora nieznanego treści tomów dotyczących dziejów wcześniejszych, jako że w trakcie powstawania jego książki jeszcze ich nie było. W sumie stało się tak, że jak pisał Andrzej Chwalba: „W roku 1991, Jan M. Małecki opublikował *Zarys dziejów Polski 1864–1939*, który stanowił kontynuację pracy Władysława Czaplńskiego *Zarys dziejów Polski do roku 1864* wydanej uprzednio także przez »Znak«. Obie łączy powinowactwo metodologiczne i układ tematyczny. Obecnie [tzn. w 1994 r. – A.W.] otrzymujecie Państwo trzecią część **triady syntezy historii Polski**, której autorem jest badacz francuski Henry Rollet. Wszystkie trzy książki łączy wspólny nastrój, umiar i rozważa w prezentowaniu sądów, zwięzły styl i klarowny język wykładu, dzieli, **co zrozumiale**, inna wizja dziejów naszego kraju” (podkr. A.W.)²⁹⁵. Zdaniem autora tych słów współautorzy jednej i tej samej syntezy w sposób oczywisty mają różne wizje dziejów kraju (państwa, narodu), którego „syntezę” napisali. Wspólnym mianownikiem „syntetyczności” ich dzieł jest natomiast „nastrój”, „umiar”, „rozważa”, „przejrzystość”, „zwięzłość stylistyczna”, czyli wszystkie te wyróżniki formalne, których oczekujemy od prac seminaryjnych średnio zaawansowanych studentów historii i które uznajemy za niezbędne standardy profesjonalnego warsztatu historycznego. Są to jednak cechy właściwe zarówno syntezom, jak i najdrobniejszym

²⁹³ Tamże, s. 16.

²⁹⁴ Tamże, s. 18.

²⁹⁵ A. Chwalba, dz. cyt., s. 9.

przyczynkom, zarówno ujęciom typu makro, jak i mikro. A przecież jeżeli syntezę historyczną ma wyróżniać jakaś *differentia specifica*, to trzeba jej poszukiwać w tym, że zwłaszcza w wypadku dzieł wieloautorskich powinna być zachowana szczególna troska o jak największą zgodność kryteriów teoretycznych i metodologicznych (m.in. skal przestrzennych, temporalnych, aksjologicznych, demograficznych, gospodarczych itp., itd.) przyjmowanych przez każdego, a nie choćby nawet przez większość z współautorów, po drugie zaś w jednolitości jej „linii przewodniej”, wiążącej poszczególne fragmenty w jedną, w miarę kompatybilną, choć niekoniecznie koherentną całość. Synteza nie może dotyczyć „formy”, lecz conceptualnego meritum całości dzieła. W przeciwnym wypadku będziemy mieli do czynienia, jak by to powiedzieli chemicy, z mieszaniną poszczególnych składników, nie zaś z tworzącym odrębną jakość związkiem chemicznym. Może najlepiej istotę syntezy historycznej oddał Józef Ignacy Kraszewski, pisząc półtora wieku temu, że jednocząc w swych dziejach pierwiastki wschodnie i zachodnie, „myśmy mieli siłę więcej niż stworzyć własne, bo chłonać wyrobione przeciwne pierwiastki i w sobie je łączyć, a do równowagi doprowadzać. [...] Braliśmy zewsząd, częstokroć bez wyboru, namiętnie, posłuszni naturze naszej, piliśmy jak gąbka z jednej strony nektary wschodu, z drugiej eliksiry zachodnie, ale w nas to oboje łączyło się na chemiczny twór nowy, który tylko nasz organizm mógł wyrobić. Całe dzieje Polski są tą walką, tym procesem jednania dwóch przeciwnych pierwiastków”²⁹⁶. Śmiem twierdzić, że jeżeli syntezy dziejów narodowych mają sens, to tylko wówczas, gdy usiłują oddać istotę jakiegoś „związku chemicznego”, choćby w rodzaju tego, o którym pisał Kraszewski, ale w takim wypadku, by rzecz ująć z drugiej strony, nader często myśl historyczna wkracza w regiony metafizyki utrzymanej w konwencji, jak to swego czasu określił Jan Stanisław Bystrzeński, „megalomani narodowej”.

7. GERMAŃSKO-NORMAŃSKIE WĄTKI W OKRESIE „POSTMILENIJNYM”

W odróżnieniu od pierwszych powojennych dziesięcioleci w ostatnich dwóch dekadach PRL kwestia ewentualnej obecności czynnika germańskiego w dziele formowania się państwa polskiego nie występowała już w historiografii polskiej z większą intensywnością. Wprawdzie prym pod tym względem nadal wiodło środowisko historyków poznańskich, ale i ono jakby mniej

²⁹⁶ J.I. Kraszewski, *Polska w czasie trzech rozbiorów 1772–1799. Studia do historii ducha i obyczaju*, t. 1: 1772–1791, Warszawa 1902, s. 9–10.

emocjonalnie zdawało się podchodzić do hipotez o germańskich początkach państwa polskiego, czy to w ich wersji „normańskiej”, czyli podboju jakoby już dokonanego, czy to w wersji „cesarsko-niemieckiej”, dającej się sprowadzić do ewentualności podboju pogańskiej Polski przez chrześcijańskich sąsiadów z zachodu, czyli podboju potencjalnego. Jednak zważywszy, że aż do czasów Mieszka I agresja ze strony Cesarstwa była jedynie zagrożeniem, to nadal otwarte pozostawało pytanie: skąd wziął się ów władca i jak ugruntował swą władzę na podlegających mu terytoriach?

Chcąc na nie odpowiedzieć do wyboru pozostawały w gruncie rzeczy dwie koncepcje skrajne. Warto w tym miejscu przypomnieć, że jedna z nich to koncepcja endogeniczna – „samorodnej” ewolucji mającej prowadzić plemiona zachodniosłowiańskie w stronę „dojrzałej” lub „pełnej” formy państwowej. W obrębie tej właśnie koncepcji sytuowano nierzadko różne postacie podboju wewnętrznego, w tym również podboje zbrojne, które traktowano jako kolejne ogniwa ewolucyjnego procesu jednoczenia ludów bliskich sobie pod względem etnicznym i terytorialnym. Natomiast koncepcja druga to klasyczny, egzogeniczny wariant gwałtownego podboju, dokonywanego przez etnicznie i terytorialnie obcych najeźdźców. Opowiadając się w istocie za pierwszą z wyróżnionych koncepcji, główne nurty historiografii polskiej już w XIX w. odrzuciły wariant czysto normański, reprezentowany u nas przez takich historyków jak Karol Szajnocha czy „wczesny” Jan Karol Kochanowski, podobny los spotkał nieco później „mieszane” warianty upatrujące najeźdźców w znormanizowanych Lechitach znad Łaby (Piekosiński), czy jeszcze później, bo już w II Rzeczypospolitej, w Polano-Rusach spod Kijowa (Krotoski). W dwudziestoleciu międzywojennym kwestia normańska nabrała szczególnej wagi wobec tendencyjnej postawy historyków niemieckich, zwłaszcza po dojściu Hitlera do władzy, i trend ten utrzymywał się aż do obchodów milenijnych. A jak było w kolejnych dekadach PRL?

Kanon milenijny, który od strony teoretycznej oraz ideologicznej był przeciwstawny „prawu Gumplowicza” o podbojowej, a zarazem zewnątrz-etnicznej, czy jak to określał ów uczonej, odmiennej „rasowo” genezie państw, nakładał się na wcześniejsze, sięgające jeszcze XIX w., konstatacje historyków, którzy w przytłaczającej większości wskazywali jeśli nie na całkowity brak, to na znikomość i ułomności wszelkich źródeł pisanych i niepisanych (archeologicznych, językoznawczych, antropologicznych itd.), mających wskazywać na normańskie korzenie polskiego państwa. Znamienne, że w okresie milenijnym, a także i później, dwaj wybitni mediewiści, których zapamiętania nie zawsze ze sobą harmonizowały, Henryk Łowmiański i Gerard Labuda, utrzymywali zgodnie, że normanistyczna koncepcja narodzin polskiego państwa pozbawiona jest podstaw. Pierwszy dał temu najpełniejszy

wyraz w monografii opublikowanej w 1957 r.²⁹⁷, drugi swe rozpoczęte jeszcze przed wybuchem II wojny światowej badania podsumował w 1974 r., pisząc: „Teorię podboju, w tym szczególnie teorię o państwowotwórczej roli żywiołu normańskiego w wyjaśnianiu genezy średniowiecznego państwa polskiego, należy obecnie – dzięki krytycznemu stanowisku historiografii polskiej, radzieckiej i innych, w tym także skandynawskiej – uznać za ostatecznie odrzuconą”²⁹⁸.

Stanowisko to potwierdza wydana w 1979 r. przez Instytut Historii Kultury Materialnej PAN praca Lecha Leciejewicza, w której kwestia ewentualnego wkładu Normanów w powstanie państwa polskiego jest w istocie nieobecna. Wywód autora przebiegał bowiem tak: Normanowie to lud europejski, który od czasów przełomu neolitycznego, podobnie jak Słowianie, żył z uprawy roli i hodowli zwierząt, ale trudne warunki ekologiczne Północy sprawiły, że udoskonalili oni także umiejętności myśliwskie i rybackie. To jednak również nie zaspokoilo ich podstawowych potrzeb egzystencjalnych, w związku z czym znaleźli rozwiązanie swych kłopotów pod postacią, jak to określił Leciejewicz, „emigracji”²⁹⁹.

Ciekawe jednak, że w źródłach normańskich (zapiskach runicznych, utworach skaldów, sagach) rzadko pojawia się motyw militarnej i politycznej aktywności normańskiej na południowym wybrzeżu Morza Bałtyckiego, które na obszarze rozciągającym się od Zatoki Kilońskiej do ujścia Wisły zasiedlone było przez ludność zachodniosłowiańską. Intensywna „emigracja” na owe tereny jakby nie pociągała Normanów. Zarówno źródła pisane, jak i pozapisemne artefakty wskazują na pewien rodzaj równowagi, przejawiającej się tam w słowiańsko-normańskiej wymianie gospodarczej i „doraźnych” (określenie Leciejewicza) związkach politycznych, głównie o charakterze łączących obie strony mariaży dynastycznych.

Podstawowymi przedmiotami wymiany towarowej były najprawdopodobniej z jednej strony dostarczane Skandynawom przez Słowian produkty rolnicze i ceramiczne (garncarskie), a z drugiej, pozyskiwane od Normanów z obfitującej w surowce Skandynawii, wytwory metalowe (żelazo, miedź), przy czym szczególnym zainteresowaniem cieszyła się wytwarzana tam broń oraz biżuteria. Oczywiście owa komplementarność handlowa Słowian i Normanów owocowała nie tylko pod postacią wzajemnego zapotrzebowania na produkty wytwarzane po „obu stronach” Bałtyku i nie zawsze przybierała

²⁹⁷ H. Łowmiański, *Zagadnienie roli Normanów...* Szerzej na ten temat zob. w niniejszym rozdziale podrozdz. *Henryk Łowmiański – komparatystyczna analiza koncepcji normanistycznych*.

²⁹⁸ G. Labuda, *Początki państwa polskiego w historiografii polskiej i niemieckiej*, w: *Stosunki polsko-niemieckie w historiografii. Studia z dziejów historiografii polskiej i niemieckiej*, cz. 1, red. J. Krasuski, G. Labuda, A.W. Walczak, Poznań 1974, s. 173.

²⁹⁹ L. Leciejewicz, *Normanowie*, Wrocław 1979, s. 184.

postać wymiany towarowej dokonywanej w atmosferze, jakbyśmy to powiedzieli dzisiaj, „wzajemnej życzliwości i zaufania”. Toteż naszkicowawszy owo mogące dawać nader idylliczne skojarzenia tło ogólne, Leciejewicz nie omieszkiał sprowadzić czytelnika na ziemię i, stawiając bardziej szczegółowe pytania, urealnić jednak opisywaną rzeczywistość. „Czym handlowano, czym obdarzano się nawzajem, co rabowano? – zapytywał jednak na koniec i odpowiadał: – Ze Skandynawii docierały, jak mówiliśmy, broń i biżuteria, srebrna moneta, na Północ szła ceramika, wyroby bursztynowe, może sól i najpewniej zboże. Niemałą rolę odgrywał też, jak wszędzie, handel niewolnikiem, futrami, płodami leśnymi, których nie brakowało po obu stronach morza” (podkr. A.W.)³⁰⁰.

Czy Normanowie mogli mieć istotny udział w narodzinach państwa polskiego? Pozytywnej odpowiedzi na to pytanie, utrzymanej w duchu tej, którą przed ponad stuleciem udzielił Szajnocha, Leciejewicz w ogóle nie brał pod uwagę. Był jak najdalszy od akcentowania z jednej strony „niemowlęctwa historycznego” i politycznej nieudolności Słowian, z drugiej zaś organizacyjnej sprawności i politycznej dojrzałości Normanów. Podkreślał natomiast, że „władcy i normańscy i słowiańscy traktowali się nawzajem jako równoprawni partnerzy”, a kontakty kulturowe Normanów ze Słowianami miały „większe znaczenie jedynie w przypadku mieszkańców strefy nadmorskiej. Powiązania z »interiorem« ograniczały się w zasadzie do wymiany handlowej i doraźnych koneksji politycznych”³⁰¹. A przecież to właśnie z owego „interioru”, zwanego później Wielkopolską, Mazowszem i Śląskiem, wyłoniło się państwo polskie.

Jednak już kilkanaście lat później ten sam uczoney uznał za stosowne znacznie silniej zaakcentować kwestię normańskiej obecności w centralnej strefie ziem słowiańskich nad Odrą i Wisłą. W 1993 r. tak oto określał intensywność i dynamikę występowania rzeczywistych oraz mniej lub bardziej prawdopodobnych śladów, jakie przybysze z Północy mieli pozostawić na tych ziemiach: „W ciągu IX i 1 połowy X w. pozostałości po Skandynawach w dorzeczu Odry i Wisły ograniczały się do strefy nadmorskiej. Począwszy od lat 960–970 zaczęły mnożyć się jednak świadectwa kontaktów z Północą w głębi lądu, w Wielkopolsce, na Mazowszu i Śląsku, a więc na rdzennym obszarze państwa Piastów. Znaleźiska te wnikliwie rozpatrzył Jan Żak, stwierdzając, że w 2 połowie XI w. występowały już one znacznie rzadziej i w większym rozproszeniu, w ciągu XII w. – zupełnie sporadycznie”³⁰².

³⁰⁰ Tamże, s. 182.

³⁰¹ Tamże, s. 182, 184.

³⁰² L. Leciejewicz, *Normanowie nad Odrą i Wisłą w IX–XI wieku*, „Kwartalnik Historyczny” 100, 1993, 4, s. 59.

Wśród hipotez godnych uwagi Leciejewicz wskazywał na domniemania Michała Kara, według którego pewne zespoły grobowe z Wielkopolski „mogłyby świadczyć o przebywaniu tam drużynników normańskiego pochodzenia”, oraz Teresy Kiersnowskiej, przypuszczającej, że zarówno niektóre przedmioty znalezione w obrębie i w okolicach grodu w Łęczycy, jak i niejedna z nazw miejscowych stanowią pozostałości waresko-skandynawskie, w tym po protoplastach rodu Awdańców, uważanego przez wielu (przynajmniej od czasów interpretacji danej przez Władysława Semkowicza) za ród pochodzenia normańskiego. Ciekawe, że uznając wspomniane tu hipotezy za oparte na niewystarczającym zasobie źródeł, ponieważ – jak pisał – „znaleziska pojedynczych przedmiotów nie mogą stanowić podstawy daleko idących wniosków na temat przynależności etnicznej osób, które je używały”, sam postanowił uprawdopodobnić je argumentami zaczerpniętymi ze źródeł pisanych pozostawionych przez Thietmara, Anonima zwanego Gallem oraz autora tzw. Legendy Krystiana. W efekcie wyrażał przekonanie, że jakkolwiek w X–XI w. władcy polscy nie mieli „tak bliskich powiązań ze środowiskiem normańskim jak obodrzyccy”, to Mieszko I i Bolesław Chrobry, doceniając znaczenie kontaktów zamorskich, opanowali Pomorze i, jakkolwiek z różnym skutkiem, zabiegali o opanowanie ujścia Wisły. Znamienne też, że cenili sobie związki dynastyczne ze Skandynawami, czego spektakularnym przykładem mogą być „rodzinne” losy córki Mieszka I, Sygrydy Storrådy, najpierw żony króla szwedzkiego Eryka Zwycięskiego, później władcy Danii i Norwegii Swena Widłobrodego, a zarazem matki Olafa Skötkonunga i Kanuta Wielkiego. Zdaniem Leciejewicza tego typu kontakty uprawdopodobniały obecność na dworach pierwszych Piastów nie tylko skandynawskich kupców, ale i wojowników. Ostateczny wniosek historyka brzmiał: „nie ma powodu negować obecności Skandynawów w dorzeczu Odry i Wisły w IX–XI w.”³⁰³ Przy takiej konkluzji pytanie o to, czy obecność Normanów na tych ziemiach można byłoby łączyć z państwowotwórczym najazdem i podbojem nasuwało się wręcz automatycznie. Ciekawe, że historyk nie postawił go jednak *expressis verbis*, choć pośrednio zdawał się udzielać na nie negatywnej odpowiedzi, stwierdzając, iż „nie była to penetracja [tych ziem przez Skandynawów – A.W.] porównywalna z wyprawami Wikingów na kraje Europy Zachodniej czy Wschodniej”, a normańsko-słowiański układ sił w południowej strefie Bałtyku cechowała „równowaga”, będąca wynikiem „podobnych kierunków rozwoju społeczno-gospodarczego i polityczno-ustrojowego mieszkańców przy równoczesnym zapotrzebowaniu na komplementarną wymianę dóbr materialnych i doświadczeń”³⁰⁴.

³⁰³ Tamże, s. 62.

³⁰⁴ Wszystkie cyt. za: tamże, s. 62.

Błażej M. Stanisławski we wzmiankowanym już tu zarysie problematyki normańskiej w polskiej historiografii i archeologii zwrócił uwagę na to, że począwszy od drugiej połowy minionego stulecia podobne poglądy wyrażał w swych publikacjach Władysław Łosiński, według którego kontakty zachodniosłowiańsko-skandynawskie odzwierciedlały istnienie „nadałtyckiej strefy gospodarczej”³⁰⁵. W sumie zaś: „Wspólną płaszczyzną, na której spotykały się poglądy głoszone przez H. Łowmiańskiego, G. Labudę, J. Żaka, L. Leciejewicza i W. Łosińskiego, była konkluzja, iż kontakty słowiańsko-skandynawskie sprowadzały się głównie do relacji gospodarczo-handlowych”³⁰⁶.

Jeśli podkreślano znaczenie „nadałtyckiej strefy gospodarczej”³⁰⁷, to jednak nie spotkała się z uznaniem historyków polskich koncepcja nadałtyckiej „prowincji (wspólnoty) kulturowej”, mającej obejmować społeczności zamieszkujące obszary wokół Bałtyku, sformułowana w niemieckojęzycznej publikacji Gleba S. Lebediewa³⁰⁸. Nie oznaczało to, że tak renomowani badacze jak Władysław Duczko nie dostrzegali pozagospodarczych procesów integracyjnych zachodzących zarówno wewnątrz, jak i między osadami handlowo-rzemieślniczymi.

Podsumowując charakterystykę zapatrywań czołowych w ostatnich dekadach przedstawiciele naszych nauk historycznych na kwestię narodzin państwa polskiego, Stanisławski stwierdził, że „H. Łowmiański, G. Labuda, J. Żak, L. Leciejewicz i W. Łosiński reprezentowali też wspólne stanowisko w kwestii genezy państwa. Wcześniejszy pogląd, zakładający powstanie państwa drogą zewnętrznego podboju (przemocy), zastąpiła koncepcja wewnętrznego rozwoju społeczeństwa – najczęściej drogą powolnej ewolucji, sformułowana na bazie nauk F. Engelsa”³⁰⁹. Czy jednak takiej konkluzji nie osłabia trudna do zakwestionowania obecność Normanów na wyspie Wolin, począwszy od czasów Mieszka I?

Kwestia ta bodaj po raz pierwszy odnotowana została przez literaturę XVI w. (Thomas Kantzow, 1505–1542, autor *Chronik von Pommern*) i odtąd z różnym, już to narastającym, już to malejącym nasileniem zaprzęta uwagę badaczy aż do dnia dzisiejszego. Wskazywano na liczne jej aspekty – literaturoznawcze, językoznawcze, kulturologiczne, ideologiczne czy w końcu polityczne, czyli te, które w sposób oczywisty najbliżej korespondują z pytaniem o początki polskiego państwa. Sądzę, że tyle trafnym, ile barwnym tego wyrazem jest zapożyczona po części od Szajnochy formuła zastosowana

³⁰⁵ B.M. Stanisławski, dz. cyt., s. 48.

³⁰⁶ Tamże, s. 49.

³⁰⁷ Tamże.

³⁰⁸ G.S. Lebedev, *Der Slavische Burgwall Gorodec bei Luga. Zum Problem der west- und ostslawischen Beziehungen*, w: *Beiträge zur Ur- und Frühgeschichtliche*, t. 2, Berlin 1982, s. 225–238.

³⁰⁹ B.M. Stanisławski, dz. cyt., s. 49.

przez Leona Koczego, który dostrzegł w ujęciach Kazimierza Wachowskiego, Stanisława Zakrzewskiego i w pewnej mierze Józefa Widajewicza dążenie do odnalezienia w dziejach zachodnich obszarów Rzeczypospolitej analogii do jej kresowo-kozackiego Wschodu, czemu służyć miały określenia doszukujące się w Jómbsborgu „sławetnego kosza” i „osadzonej w nim Siczy normańskiej”³¹⁰. Skądinąd ciekawe, że w II Rzeczypospolitej poczęło się upowszechniać pojęcie „kresów zachodnich” (m.in. Teodor Tyc i jego „Strażnica Zachodnia” oraz Związek Obrony Kresów Zachodnich).

Widoczne w dwudziestoleciu międzywojennym próby ideologiczno-politycznego spożytkowania kwestii skali i charakteru z jednej strony skandynawskiej, z drugiej zaś słowiańskiej obecności na Wolinie, a szczególnie w Wolinie-Jómbsborgu, wychodziły zarówno ze strony niemieckiej, jak i polskiej. Błażej Stanisławski i Władysław Filipowiak wskazując, że „nie były one wolne od nacjonalizmów”, dostrzegają w ich ukierunkowaniu dwie następujące po sobie przeciwstawne fazy: „Najpierw, ideologia faszystowska narzucała badaczom pangermanistyczny światopogląd. Zgodnie z nim podejmowano próby wykazania skandynawskiego, w domyśle – germańskiego rodowodu, bądź kiedy to się nie udawało, przynajmniej znaczącego wpływu kulturowego ludzi Północy na rozwój Wolina. Wówczas też sympatią władz (niemieckich) cieszyły się badania nad rolą Normanów w dziejach Wolina. Po wojnie, kiedy Wolin znalazł się w granicach Polski, nastąpiła radykalna zmiana zakresu poprawnej politycznie problematyki badawczej, główny nacisk został położony na studia nad słowiańskością Wolina, a kwestie skandynawskie uległy całkowitej marginalizacji. Badacze polscy pracujący w ówczesnych realiach mogą czuć się jednak usprawiedliwieni. Źródła normańskie, którymi wówczas dysponowano, były niezwykle skromne, a w kontekście ogromu znalezisk słowiańskich wręcz śladowe”³¹¹.

Wróćmy jednak do barwnych określeń Koczego, według którego „teoria runologiczna” Piekosińskiego o normańskim pochodzeniu szlachty polskiej „pozostała własnością autora”, zamykając pierwszy okres polskiej „normanomachii”³¹². Później wszakże, po pewnym okresie „spokoju”, rozgorzały spory o Jómbsborg, do których walnie przyczyniła się praca Wachowskiego z 1914 r.³¹³ Stało się tak dlatego, że ich rozstrzygnięcie mogło mieć wpływ na uznanie przynależności roztocza odrzańskiego czy to do Polski, czy do

³¹⁰ L. Koczy, *Polska i Skandynawia za pierwszych Piastów*, Poznań 1934, s. 3. O skandynawskim „związku rycerskim” Lachów Jumskich, który „był rodzajem Siczy kozackiej”, pierwszy pisał bodaj K. Szajnocha w: *Lechicki początek Polski. Szkic historyczny*, Lwów 1858, s. 41.

³¹¹ B. Stanisławski, W. Filipowiak, *Wolin wczesnośredniowieczny*, cz. 1, Warszawa 2013, s. 41.

³¹² L. Koczy, dz. cyt., s. 3.

³¹³ Nieco szerzej piszę o niej w końcowych partiach rozdz. I przy okazji charakterystyki koncepcji Stanisława Zakrzewskiego.

Danii³¹⁴. Pisząc te słowa w 1934 r., a więc już w atmosferze polsko-niemieckich konfrontacji historycznych wywołanych ukazaniem się wydawnictwa *Deutschland und Polen*³¹⁵, historyk polski, jakkolwiek nie *explicite* to przecież dość wyraźnie dawał do zrozumienia, że w grę wchodzi tu polityczne aspekty związane z rywalizacją elementów słowiańskich z germańskimi oraz ocena tego, który z tych elementów miał w owym, rozległym przecież „roztoczu”, charakter mniej lub bardziej „macierzysty”. Pod względem naświetlenia tej kwestii szczególną pozycję w polskiej historiografii przyznawał Wachowskiemu, przez którego prace „patrzała nauka polska i patrzy po dziś dzień na stosunki Polski z *Ultima Thule* w zaraniu naszych dziejów”³¹⁶. Stwierdzenie to nie oznaczało jednak, by Koczy dostrzegał w pracach Wachowskiego wzór niedościgły. Sam polemizował z niektórymi ich tezami, uznając, że wynikają one z niezbyt krytycznego stosunku do faktograficznej zawartości sag. Spośród publikacji polskich najwyżej pod tym względem ceniał zamieszczony w *Genealogii Piastów* fragment poświęcony Sygrydzie Storrådzie³¹⁷, w którym Balzer jakkolwiek nie odrzucał źródeł staronordyjskich do dziejów Słowian, to zalecał zarazem, by traktować je z wielką ostrożnością.

Raz jeszcze wypadnie zwrócić uwagę na to, że do badaczy najbardziej wyczulonych na kwestię dziejowych relacji polsko-niemieckich czy – aby rzecz ująć nieco szerzej – słowiańsko-germańskich należał Zygmunt Wojciechowski. To właśnie on w 1934 r. jako pierwszy z polskich historyków udał się na pozostający wówczas w granicach Niemiec Wolin, by rozpoznać, jaki jest stan badań wykopaliskowych prowadzonych tam przez uczonych niemieckich. Jego obserwacje stały się tworzyszem trzech artykułów, które rok później ukazały się na kartach poznańskich „Roczników Historycznych”. Można się domyślać, że przynajmniej niektóre poruszone w nich wątki pozostawały w związku z tym, że w 1935 r. miał miejsce swoisty desant historyków polskich. Wtedy to właśnie, obok ponownie Wojciechowskiego, na Wolinie pojawili się: Leon Koczy, Józef Kostrzewski, Kazimierz Tymieniecki i Józef Widajewicz, którzy spotkali się z otwartym przyjęciem ze strony kierujących pracami wykopaliskowymi archeologów niemieckich (Otto Kunkel, Karl August Wilde), określających Wolin jako osadę słowiańsko-normańską, czyli „wendyjsko-wikińską” z lat około 900–1200. Co do tego ostatniego określenia dwojakie wątpliwości wysunął na łamach poznańskich „Roczników Historycznych” (1935) Kazimierz Tymieniecki, który po pierwsze

³¹⁴ L. Koczy, dz. cyt., s. 3–4.

³¹⁵ Sporom wokół *Deutschland und Polen* poświęciłem spore partie rozdz. II niniejszej pracy.

³¹⁶ L. Koczy, dz. cyt., s. 4.

³¹⁷ O. Balzer, *Sygryda (Syryta) Storrada (Dumna)*, w: tenże, *Genealogia Piastów*, Kraków 1895, s. 44–52.

kwestionował rozciąganie istnienia wikińskiego Jómsborga na cały czas posługiwania się w Skandynawii tą nazwą, później odnoszoną już tylko do miasta słowiańskiego lub „na powrót słowiańskiego”, po drugie zaś wskazywał na brak precyzji w określeniu osada „wendyjsko-wikińska”, ze względu na to, że wikingami bywali również Słowianie. W sumie wikińska kolonia w Jómsborgu była dlań jedynie epizodem w dziejach grodu³¹⁸.

Po II wojnie światowej, gdy Wolin znalazł się w granicach Polski Ludowej, prace archeologiczne na wyspie podjęli Polacy, choć zanim to się stało wśród historyków zarysowały się znaczne różnice poglądów. W 1948 r. Gerard Labuda odrzucił tezę o koszu wikińskim w Jómsborgu, stwierdzając, że jest to legenda będąca wymysłem literatury XII w., która zupełnie nie znajduje poparcia w pracach wykopaliskowych. Nie zdołały one bowiem potwierdzić istnienia na Wolinie zwartego osiedla normańskiego, a spotykane tam znaleziska skandynawskiego pochodzenia „tłumaczy się” żywymi stosunkami handlowymi między ludami nadbałtyckimi³¹⁹.

W takim stanowisku Witold Hensel dostrzegł z kolei nadwartościowanie ilościowych parametrów znalezisk archeologicznych przy jednoczesnej deprecjacji, o wiele od nich ważniejszych, parametrów jakościowych, takich na przykład jak stwierdzona jeszcze przed wojną przez Karla Augusta Wildego palisadowa konstrukcja domów, uchodząca (przynajmniej wówczas) za niekwestionowany dowód obecności skandynawskiej. Z takim ujęciem łączyło się u Hensla przekonanie, że ważniejsze od poświadczenia śladów jakiegось obecności w określonym ośrodku jest ustalenie tego, kto sprawował w nim władzę, a to mogą rozstrzygnąć dopiero przyszłe badania³²⁰. W tym samym mniej więcej czasie tezę Labudy zakwestionował Tymieniecki³²¹, z drugiej zaś strony kilka lat później poparł ją Łowmiański³²².

Polskie badania archeologiczne w Wolinie prowadzone były od 1952 r., lecz jakkolwiek przyniosły sporo znalezisk pochodzących ze skandynawskiego kręgu kulturowego, to kierujący nimi Władysław Filipowiak, opowiadając się za tożsamością Jómsborga i słowiańskiego Wolina (1958), zawarte w sagach podanie o rezydujących tam jómswikingach uznał jednak za mało wiarygodne i skłonny był je traktować jako „echo pamięci o militarnych działaniach Normanów na południowych wybrzeżach Bałtyku”³²³.

³¹⁸ Za: B.M. Stanisławski, dz. cyt., s. 74–75.

³¹⁹ G. Labuda, *Legenda Jomsborga*, „Sprawozdania Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk” 13, 1945/1946, 1, s. 38–39.

³²⁰ W. Hensel, *Problem Jomsborga*, „Przegląd Zachodni” 1948, 9, s. 319–321.

³²¹ K. Tymieniecki, *Z metodyki badań nad starożytnościami słowiańskimi*, „Przegląd Historyczny” 37, 1948, s. 15.

³²² H. Łowmiański, *Zagadnienie roli Normanów...*, s. 32.

³²³ B.M. Stanisławski, dz. cyt., s. 77.

Kolejne powiększenie stanu znalezisk archeologicznych pochodzenia skandynawskiego przyniosły wykopaliska prowadzone w Wolinie latach 1999–2003, lecz, jak się wydaje, największe znaczenie miał fakt, że w 2000 r. Władysław Duczko interpretując charakter wolińskich znalezisk i konstatując, że świadczą one o „pobycie w mieście przedstawicieli wojowniczych elit z Północy”³²⁴, poparł zarazem postulat zawarty w artykule Leszka Słupeckiego, który powziąwszy wątpliwości co do stanowiska Labudy negującego źródłowe wartości sagi o jómswikingach, uznał potrzebę ponownego rozpatrzenia duńskiego zaangażowania w Wolinie. Duczko odnalazł również w owych znaleziskach cechy typowe dla skandynawskiej sztuki West viking, a w jej ramach stylu Borre i, co więcej, sformułował tezę, że intensywność występowania tych cech pozwala mówić o „pomorskiej szkole ornamentyki skandynawsko-insularnej”³²⁵. Stanowisko Duczki podzielił również Władysław Filipowiak, a wziął pod uwagę także Przemysław Urbańczyk, którego koncepcje wypadnie omówić nieco szerzej w ostatnim, czwartym rozdziale, zamykającym tę książkę. Tu jednak nie sposób pominąć faktu, że jak dotychczas najpełniejszy i najbardziej kompetentny obraz kształtowania się naszej wiedzy na temat jómswikingów z Wolina oraz ich ewentualnego udziału w budowie polskiego państwa dał Błażej M. Stanisławski, który swe dzieło zwięździł bardzo ostrożną, utrzymaną w istocie w duchu supozycji, konkluzją: „Można zatem uznać, że przedstawione w tej pracy argumenty uzasadniają koncepcję, w myśl której możliwe jest, iż państwo wczesnopiastowskie stworzyła miejscowa dynastia, która w późniejszym etapie jego organizacji (tu schyłku X i w 1. połowie XI wieku) skupiła wokół siebie grupę »współpracowników« rekrutujących się z przedstawicieli obcych elit. Jedną ze społeczności przebywających w otoczeniu władcy byli kupcy i wojownicy manifestujący swoją tożsamość przedmiotami dekorowanymi w stylu Borre – jómswikingowie z Jómsborga. Posiadali oni możliwości, zasoby, wiedzę, doświadczenia i kontakty, które predysponowały ich do odegrania roli organizatorów pewnego etapu formowania systemu społeczno-gospodarczego, zwanego państwem piastowskim”³²⁶. Warto zwrócić uwagę, że jómswikingowie pojawiają się w polu widzenia Stanisławskiego już po utworzeniu państwa polskiego przez rodzimą dynastię, nie są więc czynnikiem sprawczym,

³²⁴ W. Duczko, *Obecność skandynawska na Pomorzu i słowiańska w Skandynawii we wczesnym średniowieczu*, w: *Salsa Cholbergiensis. Kołobrzeg w średniowieczu*, red. L. Leciejewicz, M. Rębkowski, Kołobrzeg 2000, s. 29; tenże, *Skandynawowie w Europie Wschodniej i na ziemiach polskich we wczesnym średniowieczu. Recepcja i odrzucenie – kiedyś i dzisiaj*, w: *Recepcja i odrzucenie. Kontakty międzykulturowe w średniowieczu*, red. L.P. Słupecki, P. Sierzęga, A. Rozwałka, M. Dzik, Rzeszów 2017 (Materiały V Kongresu Mediewistów Polskich, 1), s. 67–81.

³²⁵ Tenże, *Obecność skandynawska na Pomorzu i słowiańska w Skandynawii...*, s. 28–29.

³²⁶ B.M. Stanisławski, dz. cyt., s. 298.

lecz elitarną grupą służącą jedynie umocnieniu czy też efektywniejszemu (bezpieczniejszemu) trwaniu tego państwa. Ostatnio, w publikacji będącej plonem konferencji „Spór o początki państwa polskiego”, która odbyła się w Krakowie w kwietniu 2015 r., badacz ten opowiedział się za możliwością przebywania w państwie gnieźnieńskim jeszcze jednej elitarniej grupy mającej wikińskie korzenie. Miała ona przybyć nie tak jak jómswikingowie z północnego zachodu, lecz z południowego wschodu, z terenów Rusi, i to nieco później od tych pierwszych. Znamienne jednak, że ślady obydwu tych grup, jakimi w odniesieniu do jómskwikingów jest głównie styl Borre, a w odniesieniu do wikingów ruskich mają być groby komorowe, pochodzą dopiero z okresu po 966 r., a więc z czasów, gdy „zrąb państwa piastowskiego” już istniał. „Bezpodstawne jest zatem [założenie] – konkluduje Stanisławski – jakoby ludzie Północy byli inicjatorami powstania tego organizmu. Ponadto stosunkowo nieliczne ślady ich obecności na południu wskazują, że były to raczej pojedyncze postacie, a nie jakaś większa społeczność. Wikingowie nie stanowili zatem grupy dominującej w gronie elity państwa piastowskiego”³²⁷. Ten wniosek należy uznać za najbardziej miarodajny dla oceny miejsca, jakie współczesne polskie nauki historyczne wyznaczają państwowotwórczemu znaczeniu obecności Normanów na ziemiach, którymi władał Mieszko I.

³²⁷ Tenże, *Udział Wikingów w powstaniu państwa polskiego*, w: *Spór o początki państwa polskiego...*, s. 154.

po milenijnym – Wielkim Wejściem archeologii w obręb badań nad początkami państwa pierwszych Piastów. To drugie *Grande-Entrée* łączy się przede wszystkim z przyswojeniem i zastosowaniem, nie tak jak miało to miejsce w wypadku pierwszego, „postępowych” i „prawdziwie naukowych” marksistowskich założeń teoretyczno-metodologicznych, lecz z niezależną od ideologii i polityki metodą dendrochronologiczną, która w wielu wypadkach umożliwia dość precyzyjne (z dokładnością do jednego roku, a niekiedy również i do pory roku) datowanie momentu ścięcia drzew, z których wykonywano zarówno duże konstrukcje budowlane (grody, statki-łódzie, obiekty sakralne), jak i drobniejsze wyroby, na przykład rzeźby czy ramy obrazów. Pozwoliło to na ustalenie faktu powstania prawie w tym samym czasie (koniec lat trzydziestych – początek czterdziestych X w.), głównie na obszarze dzisiejszej Wielkopolski, niemałej liczby już nie „plemiennych”, lecz potężniejszych, „państwowych” grodów, w tym, uważanego na ogół³ za centralny dla państwa pierwszych Piastów, grodu gnieźnieńskiego, któremu jak dotąd przypisywano znacznie wcześniejsze, bo sięgające VIII–IX w., początki⁴. Uczyniło to wielce prawdopodobną tezę, że państwo polskie nie tylko „pojawiło się nagle”, o czym mówiono już wcześniej⁵, ale też, że „nagle powstało”, na co, jak dotychczas, nie znajdowano dostatecznych przesłanek. Dzięki dendrochronologii nagłość pojawienia się tego państwa na widowni dziejowej znalazła wyjaśnienie w nagłości jego narodzin. Jeśli jednak dotychczasowa zagadka przestała istnieć, to jej miejsce zajęła nowa, pod postacią pytania: co sprawiło, że niemal w tym samym czasie w wielu niezbyt oddalonych od siebie miejscach mogła powstać duża ilość warownych konstrukcji, których budowa wymagała nie tylko ogromnych nakładów sił fizycznych (ilości wykonawców), ale i umiejętności technicznych, a także możliwości organizacyjnych na skalę dotychczas na tym obszarze niespotykaną. Skąd nagle na słabo zaludnionych ziemiach, później nazwanych Wielkopolską, wzięli się posłuszni wykonawcy, skąd konstruktorzy, a skąd organizatorzy nadzorujący całość owego przedsięwzięcia? W ten oto sposób polska historiografia, po długich latach faworyzowania ugruntowanej w ostatnich dekadach XIX w.

potwierdził choćby paradoks uprawiania polityki historycznej, polegającej na manifestacyjnym negowaniu sensu... polityki historycznej.

³ Do dziś niektórzy rozważają, czy rodowym centrum Piastów nie był jednak Kalisz, Giecz lub Ostrów Lednicki.

⁴ Jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym na VIII w. datował początki zespołu grodowego w Gnieźnie Józef Kostrzewski, po wojnie zaś systematyczne, „milenijne” badania na Wzgórzu Lecha w Gnieźnie prowadził Kazimierz Żurowski, który potwierdził opinię Kostrzewskiego, a za nim przyjęło ją wielu innych badaczy; zob. T. Jasiński, *Początki Polski w nowym świetle*, „Nauka” 2007, 4, s. 10.

⁵ Zob. wyżej, *Wprowadzenie*.

tezy o braku możliwości gwałtownej genezy naszego państwa i opowiadania się za ewolucyjnym (procesualnym) ciągiem jego stawania się, powróciła w regiony hipotezy podboju. „W regiony”, ponieważ owej hipotezy całkowicie otwarcie jednak nie sformułowano i to nawet przy ograniczeniu się do tzw. podboju wewnętrznego⁶. Zapewne dlatego, że słowo „podbój” jawi się nam jako wieloznaczne i aksjologicznie raczej ujemnie nacechowane, zwłaszcza gdy łączymy je ze zwycięską agresją „zewnętrzniczną”⁷. Pojawiła się zatem tendencja, by rzecz ujmować nieco łagodniej, czy też ostrożniej, i mówić raczej nie o różnych postaciach państwowotwórczych podbojów, lecz o 1) państwowotwórczych „uzurpacjach” jako „przedsięwzięciach integracyjnych”, 2) państwowotwórczych „rewolucjach” i na koniec 3) państwowotwórczych „przełomach”. A oto skromna egzemplifikacja owej eufemizującej, by tak rzec, triady, ograniczona do stanowisk zajmowanych w ostatnich kilkunastu latach przez niektórych renomowanych historyków i archeologów.

2. UZURPACJA JAKO RODZAJ „PRZEDSIĘWZIĘCIA INTEGRACYJNEGO”

Według Jerzego Wyrozumskiego w trakcie przekształcania struktur plemiennych i ponadplemiennych w państwa występowała „pewna prawidłowość”, jaką było prawo książęce. Powstawało ono drogą uzurpacji i zmonopolizowania

⁶ Pomijam tu strefę myśli historycznej, która wykracza poza profesjonalne standardy badawcze. W jej obrębie pojawiła się ostatnio praca, w której autor swą „własną interpretację” charakteryzuje tymi oto słowami: „Państwo polskie rzeczywiście powstało w wyniku militarnego przewrotu, ale czynnik sprawczy i decydujący nie był pochodzenia miejscowego, lecz zewnętrznego. Byli nimi skandynawscy Waregowie, którzy przybyli z Rusi Kijowskiej w pierwszych dziesięcioleciach X wieku, wspierani w drugiej połowie tegoż stulecia przez wikingów z Pomorza, w szczególności z Wolina”; zob. Z. Skrok, *Czy wikingowie stworzyli Polskę?*, Warszawa 2013, s. 6. Szkoda jednak, że z pola widzenia autora tych słów umknęło to, że o państwowotwórczym dla Polski podboju dokonany przez Normanów spod Kijowa pisał już w 1925 r. w „Kwartalniku Historycznym” Kazimierz Krotoski, którego studium, poddane krytyce m.in. przez Franciszka Bujaka, odeszło w niemal całkowite zapomnienie. Stan ten utrzymuje się do dnia dzisiejszego, czego potwierdzeniem zdaje się być fakt, że Zdzisław Skrok nie odnotował tekstu Krotoskiego ani w swej narracji, ani w wykazie „literatury wybranej”, czego nie mam mu za złe. Szerzej o koncepcji Krotoskiego i wielce krytycznej w stosunku do niej opinii Bujaka, który skądinąd był dość przychylny teoretycznym przesłankom hipotezy państwowotwórczego podboju, piszę wyżej, zwracając m.in. uwagę na opinię Błażeja M. Stanisławskiego, że bezpodstawne są twierdzenia, iż Wikingowie przybyli z jednej strony z Rusi, a z drugiej z Jomsborga, mogli być inicjatorami państwa, którym władał Mieszko. Na kartach mojej książki czytelnik znajdzie również informację, że pół wieku przed Krotoskim koncepcję państwowotwórczego najazdu wraz z hipotezą „dwustronnego” podboju głosił Ludwik Kondratowicz (Władysław Syrokomla).

⁷ Szerzej konotację tego pojęcia omawiam we *Wprowadzeniu*.

władzy przez jednostki łączące wielką siłę woli z ukierunkowującymi ich poczynania wizjami przyszłości oraz umiejętnościami kreowania i kaptowania elit. Prawo wprowadzane przez wyróżniających się wymienionymi cechami przywódców przenikało do „wszystkich” dziedzin życia społecznego, „organizując je pod kątem potrzeb państwa”⁸. W ten sposób uzurpację dopełniały takie elementy państwowotwórcze, jak: 1) integracja polityczna plemion i związków ponadplemiennych, 2) utworzenie „odpowiedniej” siły zbrojnej, 3) organizacja administracji terytorialnej, a także 4) przyjęcie wzmacniającej całość ideologii, wyprowadzanej w średniowiecznej Europie głównie z religii.

Wymienione cztery obszary działania Wyrozumski zaliczył do kategorii „aktów jednorazowych”, dokonywanych „w krótkim czasie” i w sumie nie omieszkął określić ich jako „doraźnych **przedsięwzięć integracyjnych**, dla których przyjęła się nazwa »podboju wewnętrznego«” (podkr. A.W.)⁹. Pisząc te słowa, w których czteroelementowemu syndromowi „podboju wewnętrznego” nadana została wyjątkowo szeroka konotacja, Wyrozumski z jednej strony wskazywał, że „czynnikiem ułatwiającym tak rozumianą integrację, a niekiedy i samą uzurpację było z reguły zagrożenie zewnętrzne”, z drugiej jednak, jak można sądzić, starał się zdystansować wobec państwowotwórczych apologii jakiegokolwiek podboju. Zjawisko z istoty swej „złe”, jakim był podbój, nie powinno owocować „dobrym” skutkiem, jakim było stworzenie piastowskiego państwa. Zespół elementów doraźnych nie był wszakże czynnikiem wystarczającym do uformowania państwa. Niezbędny był jeszcze jeden, piąty element, mający jednak odmienny od poprzednich status temporalny. Była nim rzeczona już „prawidłowość”, jaką stanowiło prawo książęce, które – jak pisał – „działać musiało na długą metę”. W odniesieniu do dziejów Polski jego żywot miał zaczynać się w połowie X w., a kończyć wraz ze śmiercią Mieszka III Starego w 1202 r.¹⁰

Rozgraniczenie tego, co doraźne i dokonane w krótkim czasie od tego, co trwało w dłuższym wymiarze chronologicznym prowadzi w stronę Braudelowskiej koncepcji zróżnicowania czasów historycznych w obrębie różnych planów rzeczywistości dziejowej, wyznaczonej z jednego krańca przez „jednorazowe” wydarzenia, z drugiego zaś przez struktury „długiego trwania” (*longue durée*)¹¹. Kwestia ta nie rysuje się zbyt jasno, ponieważ Wyrozumski

⁸ J. Wyrozumski, *Dzieje Polski Piastowskiej (VIII wiek – 1370)*, Kraków 1999 (Wielka Historia Polski, 2), s. 71.

⁹ Tamże.

¹⁰ Znalazło to m.in. odzwierciedlenie w tytule odrębnego (III) rozdziału *Dziejów Polski piastowskiej*, który brzmi: *Piastowskie państwo prawa książęcego (od połowy X wieku do 1202)*.

¹¹ Koncepcje Fernanda Braudela charakteryzujemy najczęściej w odwołaniu do triady: 1 – „długie trwanie”, 2 – koniunktury, 3 – wydarzenia. Od tego stereotypu interpretacyjnego odbiegł Andrzej Feliks Grabski, który analizując zarówno teoretyczne wypowiedzi Braudela,

bezpośrednio nie powołuje się na historyka francuskiego. Ale przecież, kiedy mówi o wymienionych wyżej czterech elementach państwowotwórczego syndromu, to nadaje im status wydarzeniowy (aktów „jednorazowych” i dokonanych „w krótkim czasie”), podczas gdy prawu książęcemu, które miało funkcjonować mimo swych wzlotów i upadków przez dwa i pół stulecia, przyznaje już inny wymiar temporalny – jeśli nie tożsamy ze strefami rzeczywistości historycznej „długiego trwania”, to przynajmniej do nich zbliżony, nasuwający skojarzenia z „koniunkturami” Fernanda Braudela. Jest to refleksja, którą w tym miejscu dałoby się uznać za całkowicie zbyteczną, gdyby nie to, że ułatwia ona zrozumienie dość oryginalnie pojmowanego przez Wyrozumskiego pojęcia „podboju wewnętrznego”. Podbojem tym są dlań wyłącznie „akty doraźne” i „jednorazowe”, nie są nim natomiast sfery rzeczywistości historycznej utrwalane przez te akty, a wśród nich, działające „na dłuższą metę”, prawo książęce. Podejście tego typu nie dopuszcza możliwości podboju wewnętrznego o charakterze ewolucyjnym w rodzaju ekspozowanej w nurcie marksistowskim teorii wyłaniania się klas drogą stopniowo wzrastającego uzależniania słabszych (fizycznie, psychicznie, intelektualnie, gospodarczo itp.) od silniejszych. Wprawdzie Wyrozumski nie mówi tego *explicitie*, ale podbój ewolucyjny zdaje się traktować jako zwykły oksymoron czy też antylogię. Podbój musi być gwałtowny, rewolucyjny. Być może dlatego w podrozdziale zatytułowanym *Przegląd zapatrywań historiografii polskiej na powstanie państwa polskiego*, który zamieścił w swych *Dziejach Polski piastowskiej*, w ogóle nie uwzględnił historiografii marksistowskiej¹².

W teoretycznej warstwie wywodów Wyrozumskiego jest znacznie więcej ostrożnych, by tak rzec, niedopowiedzeń. Chciałoby się na przykład dowiedzieć, czy można rozróżniać uzurpację „wewnętrzną” od „zewnętrznej”, a jeśli tak, to jak wyodrębnić granice (zwłaszcza etniczne i terytorialne) między tym, co w odniesieniu do określonego układu historycznego stanowi jego wewnętrzność, a co zewnętrzność. Ciekawe też byłoby dowiedzieć się, na czym w istocie polegała doraźność i jednorazowość takich na przykład elementów

jak i jego praktykę dziejopisarską, sformułował tezę, że historia strukturalna („długiego trwania”) i historia wydarzeniowa to przypadki graniczne historii globalnej, między którymi historyk francuski pozostawiał miejsce nie tylko na „koniunkturę”, tak jak to czynił w głośnym dziele *Morze Śródziemne: przestrzeń i historia, ludzie i dziedzictwo* (tłum. M. Boduszynska-Borowikowa, B. Kuchta, A. Szymanowski, Warszawa 1994), ale na wiele innych „podestów” i związanych z nimi odmiennych szybkości dokonywania się zmian, ich trwania i przemijania; zob. A.F. Grabski, *Kształty historii*, Łódź 1985, s. 470–504. Szerzej na ten temat pisałem w: *W stronę postaw otwartych. „Annales” w refleksji historyków polskich po II wojnie światowej*, w: *Klio Polska. Studia i materiały z dziejów historiografii polskiej po II wojnie światowej*, t. 1, red. A. Wierzbicki, Warszawa 2004, s. 49–80.

¹² J. Wyrozumski, dz. cyt., s. 73–76.

państwowotwórczego syndromu jak integracja struktur plemiennych i ponadplemiennych czy też przyjęcie przez lud propaństwowej ideologii w rodzaju chrystianizmu, co tacy historycy jak Manteuffel czy Czapliński „rozciągali” na całkiem nie „doraźne” kilka stuleci.

Wyrozumski nie kwestionuje stanowiska od dawna ugruntowanego w naszej historiografii i przyjmuje, jak sam to określa, „intuicyjne rozumienie” pojęcia państwa polskiego jako „organizmu politycznego” stworzonego przez Mieszka I. Nie ignorując tego, że państwo Mieszka to pewien etap ewolucji „państwa Polan” i że na obszarze późniejszej Polski istniał wcześniej jeszcze jeden „organizm polityczny”, jakim było „państwo Wiślan”, oba te „organizmy” skłonny jest traktować jako związki plemienne. Dojrzałą od nich formę polityczną przybrał dopiero kolejny „organizm”, którego ojcem miał być Mieszko I jako władca, który „w dorzeczach Odry, i Wisły, na obszarze zbliżonym pod koniec jego życia do obszaru dzisiejszej Polski, stworzył **ponadplemienny** już ustrój prawa książęcego” (podkr. A.W.)¹³.

Zwracając uwagę na postrzeganą przez dawniejszych historyków osobliwość państwa, które pojawiło nagle i to od razu jako „twór na tyle politycznie dojrzały, że mogło być partnerem władców niemieckich”¹⁴, Wyrozumski wkracza w obręb rozważań nad ewentualnością podboju zewnętrznego jako trybu (sposobu) narodzin państwa Mieszka I. Snute są one w obrębie bardzo skondensowanego, ale dobrze skonceptualizowanego przeglądu stanowisk, jakie w tej kwestii występowały w historiografii polskiej. Niestety, ów przegląd nie obejmuje historiografii powstałej po II wojnie światowej, i to zarówno w kraju, jak i na emigracji. Cenne natomiast jest w nim zwrócenie uwagi na ostatnie dwudziestolecie XIX w. jako na okres ostrej krytyki hipotezy podbojowej genezy polskiego państwa, w efekcie czego została ona zepchnięta na margines polskiej myśli historycznej, co z kolei sprzyjało rozwojowi nowych koncepcji o charakterze ewolucjonistycznym, z teorią rodową Balzera na czele. Umknęło natomiast uwadze Wyrozumskiego znaczne ożywienie sporów o teorię podboju spowodowane normanistycznymi koncepcjami historyków niemieckich sformułowanymi u progu dwudziestolecia międzywojennego, a nagłośnionymi w latach trzydziestych po publikacji wydawnictwa *Deutschland und Polen*¹⁵. Pewnym mankamentem jest

¹³ Tamże, s. 73.

¹⁴ Tamże.

¹⁵ Omówieniu tych sporów poświęciłem większą część poprzedniego rozdziału niniejszej książki. Wyrozumski w tym wypadku ograniczył się tylko do jednego, po trosze mylącego zdania, które brzmi: „Jeszcze w 1933 roku uczony niemiecki Albert Brackmann w zbiorowej pracy *Deutschland und Polen* z powagą traktował Mieszka I jako wodza wikińskiego Dagona (imię z aktu *Dagome iudex*), który przybył nad Wisłę na czele normańskich wojów wprost z Danii lub z Pomorza i założył państwo polskie”; tamże, s. 74.

też niedostrzeżenie potrzeby formalnego wyodrębnienia i uściślenia kategorii podboju zewnętrznego o charakterze wewnątrzetnicznym, to znaczy takiego, który łączy elementy endo- i egzogenezy. A przecież wszystkie te warianty przewinęły się przez polską myśl historyczną, a w ostatnich latach zdają się przeżywać renesans.

3. REWOLUCJE

Formułę państwowotwórczej rewolucji piastowskiej, otwarcie odchodzącą od dominującej w dobie PRL „ewolucyjnej” wykładni powstawania państw, warto tu bliżej zilustrować, odwołując się do popularyzatorskiej w swym kształcie, co nie znaczy jednak, że niewyróżniającej się dodatkowo brakiem większych narracyjnych kolizji na stykach poszczególnych części i rozdziałów, a tym samym cieszącej się stosunkowo dużą harmoniczną „wewnętrzną” publikacji Henryka Samsonowicza i Janusza Tazbira zatytułowanej *Tysiącletnie dzieje*. Jej autorzy, utrzymując, że państwo polskie powstało w wyniku „prawdziwej rewolucji społecznej”, przeprowadzonej zapewne w połowie X w. albo przez ojca Mieszka I, albo przez niego samego, istotę owej gwałtownej zmiany dostrzegli w stworzonej przez księcia drużynie, dającej możliwość awansu społecznego ludziom, „którzy w starych strukturach plemiennych nie mieli większego znaczenia”¹⁶. Dowodzona przez księcia drużyna stanowiła „dobrze zorganizowaną i uzbrojoną armię”, której rodzime zawiązki uzupełniali zbiegający do księcia przybysze „z innych stron”. Podboje i łupy oraz obrona i zawiadywanie opanowywanymi stopniowo terytoriami to klasyczny wręcz arsenał działań państwowotwórczych, dla których warunkiem *sine qua non* była drużynnicza armia.

Kładąc duży nacisk na „podbojową” genezę państwa polskiego, autorzy nie biorą pod uwagę, że mogło ono powstać w wyniku podboju zewnętrznego, dokonanego na przykład przez Normanów. Znamienne, że nazwa tych ostatnich w ogóle nie pojawia się w tych partiach *Tysiącletnich dziejów*, które poświęcone są powstawaniu państwa Piastów¹⁷. Natomiast państwowotwórcze podboje dokonywane przez Polan odnoszą się jedynie do sąsiednich plemion, bliskim Polanom zarówno w sensie terytorialnym, jak i etnicznym. Z podbojami tego typu Samsonowicz i Tazbir skłonni są łączyć powstanie podobnie zbudowanych grodów, które początkowo skupione wokół Gniezna, pojawiły się później na Mazowszu (Płock), Pomorzu (Gdańsk,

¹⁶ H. Samsonowicz, J. Tazbir, *Tysiącletnie dzieje*, Wrocław 2000, s. 14.

¹⁷ Jedynym określeniem nasuwającym skojarzenia z Normanami jest: „kupcy ze Skandynawii”; tamże, s. 10.

Kołobrzeg) oraz nad środkową Wisłą (Sandomierz). Nie mając złudzeń, że budowa państwa przebiegała całkiem bezkonfliktowo, wspomniani badacze zwracają jednak uwagę, iż „dla znacznej części mieszkańców nowy ustrój przynosił korzyści: zapewniał bowiem stabilizację, chronił przed najazdami z zewnątrz, dawał szansę na awans społeczny dla wielu młodych ludzi. Służby książęce pilnowały »miru targowego«, czuwały nad bezpieczeństwem na drogach publicznych, ścigały rozbójników i najeźdźców”¹⁸. Jakkolwiek jest to interpretacja starająca się ważyć podbojowe blaski i cienie, to można odnieść wrażenie, że szala z blaskami jest tu bardziej łaskawa dla dających życie polskiemu państwu podbojów „wewnętrznych”. Stabilizacja polityczna wymagała jednak realizacji dwóch kolejnych celów: „po pierwsze, nowe państwo polskie musiało znaleźć swe miejsce w świecie cywilizacji europejskiej, po drugie, rosnące ambicje i potrzeby nowej władzy wymagały stworzenia podstaw teoretycznych, wymagały ideologii”¹⁹. Obu tym potrzebom sprostało wprowadzenie chrześcijaństwa, będącego religią państw europejskich, konstytuującą imperium rzymskie Karola Wielkiego i Ottona I. Z jednej strony chrześcijaństwo przynosiło ze sobą normy prawa kościelnego i rzymskiego, wraz z powiązanymi z nimi kanonami etycznymi i estetycznymi, z drugiej zaś dawało konkretne korzyści polityczne. Autorzy *Tysiącletnich dziejów* nie mieli cienia wątpliwości, że podjęta przez Mieszka decyzja przyjęcia chrześcijaństwa miała „podłoże polityczne”²⁰. Skądinąd taka, czysto polityczna intencja Mieszkowej decyzji jest niemal historiograficznym standardem, do rzadkości natomiast należały, a i po dziś dzień należą, próby doszukiwania się w niej potrzeb natury duchowej, czyli tęsknot poganina, który „dojrzał” i odczuł potrzebę monoteistycznego chrześcijaństwa wraz z jego aksjologią.

Chociaż przyjęcie chrześcijaństwa stanowiło najważniejszy etap tworzenia państwa polskiego, to jednak nie był to, zdaniem Samsonowicza i Tazbira, etap ostatni. Finalizacja państwowotwórczego dzieła nastąpiła dopiero za panowania Bolesława Chrobrego, a jej głównymi wskaźnikami były: 1) uzyskanie odrębnej organizacji kościelnej (Gniezno, 1000 r.), 2) zawarcie pokoju w Budziszynie (1018 r.), w wyniku którego Polska uzyskała pozycję „partnera politycznego” Cesarstwa, 3) ukończenie „**zbierania ziem**, które miały tworzyć państwo” (podkr. A.W.)²¹, 4) koronowanie Bolesława na króla

¹⁸ Tamże, s. 14.

¹⁹ Tamże, s. 14–15.

²⁰ Tamże, s. 14.

²¹ Autorzy przypominają: „W jego obręb weszły oprócz obszarów zdobytych już przez Mieszka (ziemi gnieźnieńskiej, sandomierskiej, Mazowsza, Pomorza, Śląska), także ziemia krakowska i terytoria położone nad lewobrzeżnymi dopływami Bugu (zwane później Grodami Czerwieńskimi). Dalsze nabytki na zachodzie (Łużyce, Milsko), na południu (Czechy, Morawy, część dzisiejszej Słowacji) oraz na północnym zachodzie (terytoria nadmorskie

Polski (Gniezno, 1025 r.), co przyczyniło się do zakorzenienia w świadomości nie tylko Polaków, ale też środowisk dworskich i kościelnych innych krajów europejskich pojęcia Królestwa Polskiego. Na ostatnim, piątym miejscu wypadnie postawić wskaźnik „świadomościowy”, czy też „tożsamościowy”, niemający żadnego faktograficznego odniesienia, który, siłą rzeczy, autorzy podali w formie szeregu mniej lub bardziej prawdopodobnych przypuszczeń. Było nim, jak czytamy: „**najpewniej** wytworzenie się wśród elit społecznych świadomości ogólnopolskiej. **Najprawdopodobniej** drużyna Chrobrego składała się z członków różnych plemion zamieszkujących jego państwo. Długoletnie wojny prowadzone z Niemcami, Rusią i Czechami **wytworzyć musiały** poczucie wzajemnej solidarności, wzmacnianej zdobywanymi łupami, wspomnienia zaś zwycięstw i porażek składać się zaczęły na wspólną pamięć o chwalebnej przeszłości całego państwa. Tradycje plemienne **zapewne** pozostawały w świadomości ludzi, ale uzupełniane były wiedzą o najbliższej przeszłości, ważnej dla szerszej wspólnoty” (podkr. A.W.)²². Warto zwrócić uwagę na chwalebna ostrożność tego supozycyjnego ciągu myśli – każde z następujących po sobie czterech, niezbyt długich zresztą, zdań podane jest w formie wprawdzie wysoce prawdopodobnego, ale tylko domysłu.

W efekcie, zbliżając się do ostrożności, jaką obaj uczeni zachowali w przytoczonym tu fragmencie *Tysiącletnich dziejów*, można byłoby uznać, że Samsonowicz i Tazbir skłonni są do akceptacji formuły mówiącej, że narodzone za Mieszka I państwo pełną podmiotowość polityczną uzyskało dopiero za Chrobrego, a głównym źródłem tej podmiotowości była silna, uformowana „drogą prawdziwej rewolucji społecznej”, armia, która z jednej strony ograniczała możliwość zewnętrznego podboju państwa Piastów, z drugiej zaś umożliwiała powiększanie stanu posiadania drogą „zbierania” plemion sąsiednich, etnicznie bardzo bliskich Polanom, kwalifikujących się bowiem do kategorii Słowian zachodnich. W związku z tym, jakkolwiek na kartach omawianej książki nie odnajdziemy takiego określenia, dałoby się powiedzieć, że były to podboje „wewnętrzne”²³. Utrzymując, że drużyna Mieszka I zainicjowała byt państwa polskiego, natomiast wojska Chrobrego nadały temu państwu „dojrzały” czy też wykończony kształt terytorialny i wyprowadziły to państwo na arenę międzynarodową, Samsonowicz i Tazbir usytuowali się w obrębie koncepcji, która od dawna wiodła prym w polskiej historiografii z chwilą, gdy ta podejmowała kwestię „ostatecznych” czy może raczej

nie utrzymały się na stałe przy Gnieźnie). Niemniej Polska, która narodziła się za Mieszka I, w czasach jego następcy stała się jednym z liczących się państw na wschodzie Europy”; tamże, s. 23.

²² Tamże.

²³ Prawdę powiedziawszy, takiego terminu nie udało się odnaleźć również na kartach opracowań innych autorów.

całkowitych (pełnych?) narodzin państwa polskiego. Wprawdzie w XI w. Królestwo Polskie istniało krótko, ale samo jego pojęcie „weszło na stałe do świadomości Polaków oraz środowisk dworskich i kościelnych innych krajów europejskich”²⁴. Ta ostatnia konkluzja podana została już w trybie oznajmującym, a nie przypuszczającym.

Nic nie stoi na przeszkodzie, aby kwestię relacji zachodzących między rewolucjami a przewrotami rozważać w kategoriach nasuwających skojarzenia z zamachami stanu. Przeciwnie – jeśli pominąć zjawiska określane metaforycznie jako rewolucje „pełzające” czy „aksamitne”, to immanentna gwałtowność rzeczywistych przewrotów i rewolucji jako form dochodzenia do władzy musi wręcz skłaniać do podjęcia tej problematyki. Nie jest zatem niczym zaskakującym, że właśnie ta cecha przykuła uwagę uczestników czterodniowej, a zarazem „dwuetapowej” konferencji „Zamach stanu w dawnych społecznościach”, która odbyła się w Warszawie w grudniu 2001 i lutym 2002 r. W jej trakcie Piotr Boroń, uznając historyczność wydarzeń opisanych przez „Galla” Anonima, stwierdził między innymi, że „już samo wyniesienie na tron pierwszego Piasta nosi cechy gwałtownego przewrotu”²⁵, co kilka lat później, powołując się na to samo źródło historyczne, potwierdził Przemysław Urbańczyk: „Pozbawiając Gallową opowieść zbędnych ozdobników, uzyskamy niemal podręcznikowy opis procesu tworzenia wczesnośredniowiecznego państwa dynastycznego. Przejęcie dominującej pozycji przez człowieka wybranego przez »lud« niezadowolony z poprzedniego przywództwa, to przecież typowy scenariusz rozwiązywania kryzysu władzy w organizacjach wodzowskich”²⁶. Warto przypomnieć, że wobec takich interpretacji, utrzymywanych w konwencji wiary w mniej lub bardziej zniekształcone, ale jednak prawdziwe „detale historyczne” (sytuacyjne, osobowe itp.), mające tworzyć tkankę owych podań, zdystansował się już w 1986 r. Jacek Banaszkiewicz, który w książce poświęconej podaniu o Piaście i Popielu poddał analizie porównawczej, występujący również w kulturach innych ludów Europy, szczególnie zaś w Niemczech, topos mysiej egzekucji dokonywanej przeważnie na złym władcy-kapłanie. Toteż gdy niemal ćwierć wieku później, a więc już po wypowiedziach Boronia i Urbańczyka, przygotowywał on drugie wydanie swej książki, uznał za stosowne dopełnić ją rozdziałem zatytułowanym tyle ironicznie, co „rewolwerowo”: „*Zamach stanu w Gnieźnie*” czyli kilka uwag do drugiego wydania książki „*Podanie o Piaście i Popielu*”²⁷.

²⁴ H. Samsonowicz, J. Tazbir, dz. cyt., s. 21.

²⁵ P. Boroń, „*Zamachy stanu*” w *społeczniwach słowiańskich a instytucja wiecu*, w: *Zamach stanu w dawnych społecznościach* red. A. Sołtysik, współpr. J. Olko, Warszawa 2004, s. 207.

²⁶ P. Urbańczyk, *Trudne początki Polski*, Wrocław 2008, s. 181.

²⁷ J. Banaszkiewicz, *Podanie o Piaście i Popielu. Studium porównawcze nad wczesnośredniowiecznymi tradycjami dynastycznymi*, wyd. 2 uzup., Warszawa 2010, s. 9–24. Według Banaszkiewicza,

Wiele elementów, akcentujących jeśli nie gwałtowny, to bardzo szybki tok przemian państwowotwórczych dokonanych w czasach pierwszych Piastów, odnalazła Hanna Kóčka-Krenz, według której „można sądzić”, że w porównaniu z ujęciami ewolucyjnymi „ukształtowanie się państwa Piastów przebiegało w nieco inny, przyspieszony sposób” i stanowiło w istocie „przełom w strukturze władzy”²⁸. Zapoczątkować ów przełom miały podboje dokonane przez legendarnego Siemomysła, którego dzieło kontynuował, budując sieć potężnych grodów warownych, jego syn Mieszko I, a sfinalizował wnuk, Bolesław Chrobry. Cały ten ciąg wydarzeniowy, ze względu na brak w nim wyraźnego stadium rywalizacji lokalnych przywódców plemiennych, miał, zdaniem tej badaczki, „**charakter rewolucyjny**” i to stanowiło o „swoistości **procesów** zachodzących na ziemiach polskich przed ponad tysiącem lat” (podkr. A.W.)²⁹. Taką konkluzją, do której wypadnie jeszcze powrócić, Kóčka-Krenz zwińczyła swój tekst zatytułowany *Proces formowania się państwa Piastów*.

Jeszcze wyraźniej o „piastowskiej rewolucji” pisał Andrzej Buko. Jej szczególnym miejscem miała być Wielkopolska, która w odróżnieniu od regionów z nią sąsiadujących nie była narażona na zagrożenia „zewnętrzne”, co w dużej perspektywie czasowej sprzyjało osadnictwu i budowaniu struktur ponadplemiennych. W trakcie długiego procesu (faza ewolucyjna) powstawały tam grody będące ośrodkami zhierarchizowanej władzy, jednak na początku X w., prawdopodobnie w wyniku podboju przez Polan, nastąpiło całkowite zniszczenie „plemiennych” grodów nadodrzańskich, a także częściowe tych, które położone były w głębi regionu (faza rewolucyjna). Według wyników badań, na które powołuje się Buko, w pierwszej połowie X w. zniszczona została „znakomita większość”, czyli kilkadziesiąt grodów wielkopolskich, a osadnictwo na zachodzie, prawdopodobnie w wyniku przesiedleń, zostało wyraźnie rozrzedzone. Przeciwnie natomiast było w głębi regionu, szczególnie wokół „dzisiejszego Gniezna, Poznania, Ostrowa Lednickiego czy Gieczu”, gdzie osadnictwo kilkakrotnie powiększyło gęstość zaludnienia. Nie kryjąc, że zdumiewa go wręcz „zakres i skala zniszczeń dawnych centrów plemiennych dokonanych przez twórców nowej dynastii”³⁰, Buko nie waha

a i piszącego te słowa również, opowieści tego typu należy traktować holistycznie i nadawać im sensy symboliczno-aksjologiczne (np. motyw zbrodni i nieuchronnej kary), nie zaś faktograficzne, płynące z przekonania, że fabuły zawarte w narracjach mitologicznych, legendowych, podaniowych i tym podobnych zawierają w sobie rdzeń lub choćby tylko źdźbło „prawdy historycznej”, odnoszącej się do kogoś lub czegoś, co zaistniało w konkretnym miejscu i czasie.

²⁸ H. Kóčka-Krenz, *Proces formowania się państwa Piastów*, „Folia Praehistorica Posnaniensia” 20, 2015, s. 206.

²⁹ Tamże, s. 213–214.

³⁰ A. Buko, *Archeologia Polski wczesnośredniowiecznej. Odkrycia, hipotezy, interpretacje*, wyd. 3 rozsz., Warszawa 2011 (pierwodruk: 2005), s. 191.

się posługiwać określeniem „piastowska rewolucja”³¹ lub (by nie popaść w monotonię?) „rewolucja piastowska”³².

4. PRZEŁOMY

Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych XX w. Zofia Kurnatowska wyrażała przekonanie, że przemiany społeczne, gospodarcze i polityczne związane z „uformowaniem się państwa polskiego”³³ nosiły znamiona „przełomu kulturowego”, nie miała jeszcze do dyspozycji wyników zastosowania w polskiej archeologii metody dendrochronologicznej³⁴. Dopiero nieco później, pod koniec XX i w pierwszych latach XXI w. rezultaty zastosowania owej metody uprawdopodobniły jej wcześniejsze intuicje. Skądinąd ona sama miała niemały udział w jej ocenie i prezentacji, była bowiem recenzentką rozprawy habilitacyjnej *Oak Dendrochronology of the Neoholocene in Poland* (1999), którą dr. inż. Marek Krąpiec przedstawił w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, zaskakując wynikami swych badań środowisko archeologów i mediewistów. Nowa metoda datowania doprowadziła do ustalenia, że gród w Gnieźnie powstał nie wcześniej niż w 940 r., a to wywołało niemałą konsternację wśród „tradycjonalistów”, ponieważ teza o wcześniejszych od grodu gnieźnieńskiego narodzinach państwa polskiego dałaby się utrzymać albo pod warunkiem usytuowania gniazda plemiennego Polan i dynastycznego Piastów w jakimś innym starszym grodzie, albo w odwołaniu do jakiegoś większego terytorium, w obrębie którego obok młodszych istniały również grody starsze³⁵. Kwestię tę wypadnie jednak pozostawić tu nieco

³¹ Tamże, s. 189.

³² Tamże, s. 194.

³³ Z. Kurnatowska, *Z badań nad przemianami organizacji terytorialnej w państwie pierwszych Piastów*, „Studia Lednickie” 2, 1991, s. 12.

³⁴ Jest to metoda, której twórcą był astronom amerykański Andrew Ellicott Douglass (1867–1962), stosowana w bardzo ograniczonym stopniu i z niewielkimi początkowo rezultatami już w dwudziestoleciu międzywojennym, zarówno w USA, jak i w Europie, gdzie zainteresowanie nią wyrażali m.in. uczeni niemieccy, szwedzcy, a także i polscy, którzy w 1938 r. wysłali próbki z Biskupina do Instytutu Geochronologii w Sztokholmie, co jednak nie zakończyło się powodzeniem.

³⁵ Tę drugą drogę znawca najnowszych badań nad genezą państwa polskiego charakteryzuje następująco: „Za budowniczych monarchii piastowskiej uznaje się Polan [...]. Pod względem terytorialnym Polan łączy się z obecną Wielkopolską, natomiast ich pierwotny macecznik lokuje się na terytorium zawartym między grodami w Gieczu, Gnieźnie i Poznaniu, czasami dopisując do tej grupy także gród w Kaliszu”; M. Kara, *Problematyka genezy państwa Piastów w nowszych poglądach archeologów polskich*, w: *Spór o początki państwa polskiego. Historiografia, tradycja, mit, propaganda*, red. W. Drelicharz, D. Jasiak, J. Poleski, Kraków 2017, s. 37.

na uboczu. Ważne bowiem jest to, że jeśli centralna rola samego Gniezna jako rodowej domeny Piastów uznana została za nieprawdopodobną, to zarazem nie tylko nie zakwestionowano, ale wręcz wzmocniono twierdzenie, że terytorialnym centrum państwowotwórczych dokonań tej dynastii była Wysoczyzna Gnieźnieńska.

Tomasz Jasiński nie ma cienia wątpliwości, że z ustaleń, do których doszli Zofia Kurnatowska i jej uczeń Michał Kara, oraz przywoływana już w tym miejscu badaczka Ostrowa Tumskiego w Poznaniu Hanna Kóčka-Krenz „wynika, iż na terytorium Wysoczyzny Gnieźnieńskiej około 900 r. doszło do przemian kulturowych, mających charakter **gwałtownego przełomu cywilizacyjnego**. Przemiany te należy wiązać z początkami formowania się państwa polskiego” (podkr. A.W.)³⁶. Zarazem jednak Jasiński zapewnia, że „ośrodek gnieźnieński” nie był całkowicie pozbawiony znaczenia w formowaniu państwa polskiego, ponieważ odgrywał on „od samego początku, tj. od momentu przełomu kulturowego około 900 r., ważną rolę jako ośrodek kultu pogańskiego”³⁷. Mimo że w Gnieźnie nie było jeszcze grodu, to była jednak pogańska Góra Lecha, stanowiąca owo kultowe centrum, w związku z czym władza nad Gniezmem dawała możliwość sakralizacji obrzędów introinizacyjnych, czyli łączenia sacrum z profanum.

Skąd jednak miały płynąć impulsy wyznaczające przełomowy charakter roku 900? Jeśli pominąć Wschód to, zdaniem Jasińskiego, idącego niezmiennie za Kurnatowską, niemal zewsząd. „Nowa kultura”, mająca znamionować przełom cywilizacyjny, była eklektyczna. Odnaleźć w niej można elementy napływające z Pomorza, Połabia, Bawarii, Turyngii, Górnej Saksonii, Łużyc, na szczególną jednak uwagę zasługuje kierunek południowy, związany z upadkiem państwa wielkomorawskiego, najazdami węgierskimi i poszukiwaniem przez ludność Wielkich Moraw schronienia w sąsiednich krajach. I to nie dlatego, że Jasiński sam już wcześniej, opierając się na relacji Konstantyna Porfirogenety, sugerował możliwość napływu nad Wartę wielkomorawskich „uchodźców”. Historyk ten zwracał uwagę, że jak wykazywali to Kurnatowska i Kara, wiele wczesnośredniowiecznych zabytków poznańskich znajduje analogie „tylko i wyłącznie” w okolicy Nitry (nazwa regionu, miasta i rzeki na Słowacji), stanowiącej ważną część państwa wielkomorawskiego. Oczywiście przyczyn takiego stanu rzeczy można się doszukiwać w importach handlowych czy też w ewentualnych osadniczych przemieszczeniach wywodzącej się stamtąd ludności, jakie mogły nastąpić po opanowaniu przez Chrobrego Moraw i Słowacji, nie da się jednak zbagatelizować drugiego argumentu Kurnatowskiej i Kara, który wprowadził do dyskusji zaskakujące wręcz informacje.

³⁶ T. Jasiński, dz. cyt., s. 12.

³⁷ Tamże.

„Chodzi mianowicie – pisał Jasiński – o nazwę miasta Poznania. Nazwa Poznań – w świetle językoznawstwa nie ma co do tego wątpliwości – znaczy tyle co gród, założony przez człowieka, który miał na imię Poznan. Kim był Poznan? Tego nie wiemy, ale musiał być to ktoś znaczny, a imiona u ludzi znacznych w tym czasie miały charakter rodowy. Czy potrafimy ustalić, jak nazywał się i gdzie mieszkał ród w którym imię Poznan było imieniem rodowym? Otóż Pani Profesor i jej uczeń pokazali, że w okolicach Nitry działał ród, w którym spotykamy nie tylko Poznanów, ale który w ogóle nazywał się ród Poznan”³⁸. Co dalej, tego Jasiński *explicito* nie dopowiedział, ale zawieszając jakby dalszą interpretację „zaskakujących informacji”, zdecydował się na ostrzeżenie, że jednak wpływów wielkomorawskich nie należy „zbyt przeceniać”, ponieważ „założyciele państwa polskiego byli otwarci na wszelkie impulsy cywilizacyjne, płynące z różnych stron”³⁹.

W drugiej połowie XX w., również nie bez wpływu archeologii, upowszechniło się wśród polskich mediewistów kryterium dające się określić mianem „grodowego wskaźnika państwowości”⁴⁰. Wskaźnik ów odnosił się do grodów nowego typu – potężniejszych od wcześniejszych i noszących już charakter ponadplemienny, które, co podkreślał z całą mocą największy w tym względzie autorytet, jakim był Henryk Łowmiański, tworzyły na określonym terenie jednolity system umożliwiający stosowanie prawa książęcego⁴¹.

„Kryterium grodowe” w połączeniu z metodą dendrochronologiczną wskazywało wyraźnie, że na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych X w. taki właśnie system grodów stworzony został na obszarze Wysoczyzny Gnieźnieńskiej, której mieszkańcy, według Jasińskiego, „zdobyli się na nadzwyczajny wysiłek, wznosząc w niezwykle krótkim czasie aż pięć potężnych grodów i jeden rozbudowując. Prace były prowadzone z tak ogromnym rozmachem, iż ścięto na terenie Wysoczyzny Gnieźnieńskiej wszystką dębinę. Budowa tych grodów to wielkie dzieło ówczesnej inżynierii i sztuki budowlanej Polan. Inwestycja prawie na miarę budowy piramidy Cheopsa, jeżeli pamięta się, że budowano, równocześnie pięć grodów i w niezwykle krótkim czasie. Niewątpliwie był to moment **przełomowy** w rodzeniu się państwa polskiego i nie ulega też wątpliwości, iż budowa tych grodów około 940 r. była przejawem konsolidacji władzy państwowej. To był właśnie moment narodzin protopaństwa polskiego” (podkr. A.W.)⁴². Jakkolwiek owo ostatnie

³⁸ Tamże, s. 13.

³⁹ Tamże.

⁴⁰ Zob. K. Modzelewski, *Organizacja gospodarcza państwa piastowskiego: X–XIII wiek*, Wrocław 1975, s. 134; Z. Kurnatowska, dz. cyt., s. 11.

⁴¹ Zob. rozdz. III niniejszej pracy, podrozdz. *Henryk Łowmiański – komparatystyczna analiza koncepcji normanistycznych*.

⁴² T. Jasiński, dz. cyt., s. 14.

sformułowanie niezujący już w tym czasie Łowmiański uznałby za niewłaściwe, stojąc bowiem na stanowisku trójelementowej definicji państwa, odrzucał zarazem, jak już była o tym mowa, wszelkie konstrukcje terminologiczno-pojęciowe wprowadzające gradację typu państwa pierwotne (w tym „organizmy” lub „struktury protopaństwowe”, „primordialne”, państwa „wczesne”, „dojrzałe” „półpaństwa”, „państwka” itp., itd.), to zapewne metoda dendrochronologiczna zrobiłaby na nim niemałe wrażenie. Ale nie warto spekulować.

Oparłszy się na omówionych wyżej przesłankach, Jasiński zarysował w ostatecznym rozrachunku obraz „początków Polski”, który miał charakter dwóch następujących po sobie przełomów. Podążając za Kurnatowską i Kara, przełom sytuował na około 900 r., drugi zaś na 940. Trzeba przyznać, że otrzymaliśmy w ten sposób wręcz wyjątkową, jak na współczesną mediewistykę polską, a zapewne nie tylko polską, skalę dokładności „początków” państwa polskiego. Najciekawsze jednak, że koncepcja ta łączy w sobie dwie zasady formowania się państw, które spora część historyków rozdzielała jak wodę z ogniem – ewolucyjną i rewolucyjną. Jasiński zwracał uwagę na to, że w latach 900–939 liczba grodów mogących spełniać funkcję państwowe wzrastała powoli – ewolucyjnie, wówczas to uformowała się eklektyczna kultura ludności zajmującej ziemię między Odrą a Wisłą i być może nastąpił napływ uchodźców z państwa wielkomorawskiego. Natomiast przełom roku 940, mierzony tymże samym grodowym kryterium, miał znamiona wielkiej gwałtowności, którą wywołać mogło zagrożenie bądź ze strony niemieckiej (szczególnie Sasów, którzy po stłumieniu powstania Słowian połabskich uzyskali możliwość przekroczenia Odry), bądź czeskiej. „Jedno jest pewne – pisał Jasiński – proces formowania się państwa polskiego został gwałtownie przyspieszony przez zagrożenie wywołane wybuchem, a następnie stłumieniem powstania Słowian połabskich. Na skutek tego zagrożenia doszło do konsolidacji władzy i militaryzacji społeczności zamieszkującej Wysoczyznę Gnieźnieńską. [...] Nie ulega bowiem wątpliwości, iż wzniesienie w jednym niemal momencie całej sieci ogromnych grodów, a zapewne też powołanie lub zreorganizowanie drużyny wojów, doprowadziło do znacznego wzmocnienia młodziutkiego państwa polskiego, które od tego momentu stało się liczącym się ośrodkiem politycznym”⁴³. Przyniesione tu słowa wyraźnie wskazują, że ich autor, podobnie jak Tazbir i Samsonowicz, przyznaje szczególną rolę polityczną gwałtowanej militaryzacji kraju, której przejawem z całą pewnością była budowa „sieci ogromnych grodów” oraz, choć tym razem już tylko „zapewne”, organizacja lub reorganizacja drużyny wojów. Znamienne wszak, że w jego ujęciu nie był to czynnik warunkujący

⁴³ Tamże, s. 18.

narodziny, lecz jedynie wzmacniający i nadający międzynarodową rangę „młodziutkiemu” państwu, które powstało już przed zaistnieniem tego czynnika.

5. SYNDROM PODBOJU WEWNĘTRZNEGO

Spośród pierwszych historyków, którzy, tak jak Jasiński, dostrzegli fundamentalną rolę, jaką w badaniach nad narodzinami państwa Piastów odegrał, nie waham się użyć tego określenia, przewrót dendrochronologiczny dokonany w polskiej archeologii i historiografii u progu XXI stulecia, godną uwagi koncepcję zarysował w swej rozprawie habilitacyjnej Leszek Moczulski⁴⁴. Historyk ten, uznając, że „archeologowie stworzyli nową jakość w badaniach nad najwcześniejszymi dziejami Polski”⁴⁵, pod czym nie sposób się nie podpisać, na plan pierwszy wysunął cztery elementy polskiego syndromu państwowotwórczego.

1. **Gwałtowność**, z jaką pojawiają się w dorzeczu Wisły i Odry niespotykane dotąd zasoby ludzkie, jakkolwiek nieodnotowane jeszcze przez tzw. Geografa Bawarskiego (845 r.), ale już wkrótce wyłaniające się z mroków historii jako sprawna machina, która wycina lasy i przemienia je w pola. Zapewne stąd właśnie, jak dość stereotypowo domniemuje Moczulski, ludzie wprawiający ową maszynę w ruch zyskali nazwę Polan⁴⁶. Wycinka drzew miała cel dwojaki. Z jednej strony pozyskiwany był surowiec pozwalający na budowę grodów, które w X w. noszą już charakter ponadplemienny, z drugiej natomiast – zwiększony został areal ziemi uprawnej, pozwalający na zaspokojenie zarówno potrzeb własnych rolników, jak i tych, którzy tworzą władze terytorialne i rezydują już w owych grodach, pobierając od pracujących na roli różne rodzaje renty.

2. **Przymusowe przemieszczenia ludności i „wielkopolski” fenomen zaniku nazw plemiennych**. Można mieć wątpliwości co do tego, jaki status nadaje Moczulski pierwszym Polanom, nie mówi bowiem jednoznacznie, czy najwcześniejsza ich nazwa miała charakter plemienny, czy ponadplemienny – zrodzony w czasie wielkiej deforestacji przeprowadzonej na obszarze „Starej Wielkopolski” i kilku ziem do niej przyłączonych. Autor *Narodzin Międzymorza* nie jest zbyt oryginalny, gdy utrzymuje, że o Polanach można mówić dopiero w odniesieniu do ostatnich lat IX w., natomiast o wiele bardziej przykuwa uwagę, podkreślając, że dane archeologiczne wskazują,

⁴⁴ L. Moczulski, *Narodziny Międzymorza. Ukształtowanie ojczyzn, powstanie państw oraz układy geopolityczne wschodniej części Europy w późnej starożytności i we wczesnym średniowieczu*, Warszawa 2007, ss. 827.

⁴⁵ Tamże, s. 580.

⁴⁶ Tamże, s. 584.

iż wzmożona akcja budowy grodów była blisko skorelowana z przymusowymi przemieszczeniami ludności. Jeszcze ciekawsza jest jednak konstatacja, że w parze ze wspomnianymi zjawiskami szedł zanik wcześniejszych nazw poszczególnych plemion słowiańskich zajmujących dorzecze Wisły i Odry, co od strony formalnoetnicznej różniło ludność tych ziem od innych ziem i plemion słowiańskich, na których, tak jak w dorzeczu Łaby wraz z Kotliną Czeską, a także w dorzeczu Dniepru, przez długi jeszcze czas zachowywały swą odrębność wcześniejsze nazwy. W efekcie „tylko pomiędzy słowiańskim zachodem a wschodem, na obecnych ziemiach polskich, bogactwo różnorodności plemiennej przestało istnieć. [...] Przyczyna może być tylko jedna: dochodzi do **integracji** mniejszych plemion w znacznie większe związki, które uzyskują własne nazwy, siłą rzeczy nieznaną w poprzednich pokoleniach” (podkr. A.W.)⁴⁷. Czy taki właśnie fenomen mieli stanowić Polanie? Czy „polańskość” była wspólnotą „z krwi i kości”, czy też wyłoniła się z „między-plemiennej integracji” dokonywanej w trakcie przymusowej wycinki lasów. Pytanie to, jak się wydaje, pozostaje nadal otwarte.

3. **„Państwo gnieźnieńskie”**. Wprawdzie w końcu IX w. grodu w Gnieźnie jeszcze nie było, jednak znajdująca się tam, a stanowiąca centrum kultów pogańskich Góra Lecha zapewne miała już swego polańskiego protektora, który cieszył się aprobatą okolicznych ludów. Jest przy tym wielce prawdopodobne – utrzymuje Moczulski – że ośrodek wierzeń pogańskich, mimo braku grodu, spełniał niektóre funkcje polityczne (na przykład intronizacyjne) i panowanie nad nim było niemałym atutem państwowotwórczym, który już wkrótce, dzięki dębom wyciętym w 940 r., znalazł swe grodowe „dopełnienie”. Wszystkie te domysły miałyby poświadczać, że już w końcu IX w. istniało tzw. państwo gnieźnieńskie.

4. **Podbój i „państwko plemienne”**. Jakkolwiek wspomniana przez Moczulskiego „integracja ziem słowiańskich” może budzić nazbyt pacyfistyczne skojarzenia, to jednak historyk ów nie ma cienia wątpliwości, że państwo polskie powstało w wyniku podboju, a ściślej mówiąc – całej serii podbojów. Wprawdzie w snutej przez niego opowieści o narodzinach tego państwa można doszukiwać się pewnych niekonsekwencji, ale nie waha się stwierdzić, że „pierwszym przejawem ekspansji państwa Piastów, dostatecznie udokumentowanym przez archeologów, jest podbój ziem zawarciańskich, co nastąpiło w pierwszych dekadach X w.”⁴⁸ I taki jest niekwestionowany punkt wyjścia. Ciekawe jednak, że bardzo szybko narracja Moczulskiego zmienia tryb z oznajmującego na przypuszczający, w jej dalszym ciągu bowiem czytamy: „Aby do tego doszło, **musiała** wcześniej zostać stworzona struktura

⁴⁷ Tamże, s. 579–580.

⁴⁸ Tamże, s. 598.

zdolna do zorganizowania i przeprowadzenia najazdu, a w efekcie całkowitego podbicia i podporządkowania paru plemion. Ponieważ w owym czasie przez dorzecze Wisły–Odry nie przechodziły jakiegokolwiek ludy wędrownie, a *modus operandi* wikingów był zupełnie inny **musiało istnieć jakieś państwo plemienne** po wschodniej stronie Warty. Nawet więcej. Dzięki omówionym wyżej badaniom archeologów dysponujemy obrazem ekspansji i jej skutków: trwałego niszczenia grodów oraz przemieszczania ludności na ziemię zdobywców. Wynikałoby z tego, że już w końcu IX wieku **musiał istnieć** w ziemi gnieźnieńskiej silny ośrodek, który z powodzeniem dokonał integracji politycznej ziem pomiędzy Wartą a Notecią, czy chociażby Wełną. Nie było to państwo terytorialne, ale jego zarodek, organizacja niewątpliwie ponadplemienna. Ponieważ przygotowanie najazdu wymaga uprzedniego zgromadzenia środków finansowych **zapewne wcześniej** – czyli w ostatniej ćwierci IX w. zapewniono sobie ich dopływ, przejmując kontrolę nad kujawskim odcinkiem szlaku bursztynowego, co politycznie oznaczało zwycięstwo Gniezna nad legendarną Kruszwicą. Mógł to być fakt rozstrzygający o dalszym kierunku rozwoju wspólnoty terytorialno-demograficznej, którą historycy nazywają państwem Polan” (podkr. A.W.)⁴⁹.

W sumie u podstaw owej podszytej skrajnym determinizmem formuły, określającej warunki niezbędne dla powstania nad Odrą i Wisłą państwa, leżał ciąg przyczynowo-skutkowy, który zapoczątkować „musiało” uformowane wcześniej po wschodniej stronie Warty „państwo plemienne”, stanowiące „strukturę” zdolną do działań najeźdźczych i „całkowitego” podboju kilku innych plemion zachodniosłowiańskich. Była to „struktura” wewnątrzplemienna, w grę bowiem nie wchodziły w tym czasie i na tym obszarze ani zbrojne wędrowki ludów niesłowiańskich, ani też, ze względu na *modus operandi*, podbój normański. W takim ujęciu podbój wewnętrzny jawi się wręcz jako warunek, który **musiał** zaistnieć, by powstało państwo polskie.

6. NIECO O EWOLUCJI ZWANEJ REWOLUCJĄ

Podobny pogląd, jakkolwiek nieco ostrożniej sformułowany, wyrazili między innymi Tomasz Jurek i Edmund Kizik w *Historii Polski do 1572*, opublikowanej w tym samym mniej więcej czasie co dzieło Moczulskiego (2013). Zwracając uwagę, że spośród dwóch koncepcji narodzin państwa polskiego, jakie konkurowały ze sobą w polskiej historiografii, przewagę nad ujęciem procesualnym bierze ujęcie wydarzeniowe, obaj historycy pisali: „Wbrew wizjom utrwalanym w dawniejszej literaturze, podkreślającej długotrwałe

⁴⁹ Tamże.

i ewolucyjne narastanie rozmaitych tendencji państwowotwórczych, **proces powstania władzy piastowskiej jawi się obecnie jako krótki, gwałtowny, wręcz rewolucyjny**. [...] Nie wiemy, jak dokonał się **przełom** związany z ustanowieniem w plemienu władzy Piastów. Dawniejsi historycy wyobrażali sobie powstanie państwa jako swego rodzaju »umowę społeczną« między wolnymi członkami plemion a przywódcami. W nowszej historiografii dominuje wizja »**podboju wewnętrznego**«, **czyli narzucenia plemienu władzy brutalną siłą. Element siły lub co najmniej groźby jej użycia wydaje się rzeczywiście niezbędny**” (podkr. A.W.)⁵⁰. Można byłoby się zastanawiać, czy pojęcie „procesu rewolucyjnego” nie jest oksymoronem, co sugerowałem już, zwracając uwagę na to, jak Hanna Kóčka-Krenz ujmowała relację między procesualnymi a rewolucyjnymi aspektami narodzin polskiego państwa. W każdym razie w przytoczonych tu słowach zjawiska uzurpacji, rewolucyjności i przełomowości uznane zostały jako przeciwstawne w stosunku do zasady ewolucyjności (procesualności) zmian prowadzących do powstania państwa.

Mogłoby się wydawać, że wyraźniejsze stanowisko na temat „procesu” zwanego rewolucją zajmuje Michał Kara, który podstawową „państwowotwórczą” opozycję zawarł w skonstruowanym na zasadzie klasycznego podziału logicznego dwudzielnym pytaniu zamieszczonym w tytule swej pracy habilitacyjnej *Najstarsze państwo polskie – rezultat przełomu czy kontynuacji?* (Poznań 2009). Jednak sposób, w jaki ów badacz udziela odpowiedzi na postawione przez siebie pytanie wskazuje, że zarówno on sam, jak i wespół z Kurnatowską reprezentują stanowisko polegające na zbliżaniu do siebie z jednej strony „przełomu” (rewolucji, gwałtu, podboju itp.), z drugiej zaś „kontynuacji” (ewolucji, procesu, umowy społecznej). Oceniając tę kwestię z nieco większej perspektywy czasowej, Kara stwierdził, że jest to stanowisko reprezentatywne nie tylko dla Kurnatowskiej i jego samego, ale w ogóle dla archeologów z ośrodków poznańskiego i warszawskiego, którzy „uznali, iż wzmiankowany **proces** państwowotwórczy miał charakter **gwałtownego przełomu** kulturowo-cywilizacyjnego” (podkr. A.W.)⁵¹. Pojęcie „procesu” będącego „gwałtownym przełomem” wydaje się jednak mieć charakter antylogii, ignorującej w istocie opozycje „przełomu” i „kontynuacji”, „ewolucji” i „rewolucji” itp. Może ono funkcjonować raczej jako metafora poetycka niż jako metafora będąca częścią epistemologicznego instrumentarium badacza⁵².

⁵⁰ T. Jurek, E. Kizik, *Historia Polski do 1572*, Warszawa 2013, s. 55.

⁵¹ M. Kara, dz. cyt., s. 39.

⁵² Spośród polskich teoretyków historii Jerzy Topolski skłonny był w tym wypadku mówić o „mitach”, jednak mniej kłopotliwe, a tym samym „wygodniejsze”, wydaje się, jak uczynił to Wojciech Wrzosek, odwołanie się do kategorii „kognitywnych metafor”. W formie bardziej rozbudowanej kwestię tę podejmo wałem w: *From Historiography to Mythography?*

W 2010 r. we wspólnej publikacji, zatytułowanej *Wczesnopiastowskie „regnum” – jak powstało i jaki miało charakter? Próba spojrzenia od strony źródeł archeologicznych*⁵³, Kurnatowska i Kara, kreśląc teoretyczne podstawy swojego studium, odwołali się do pojęcia „obszaru centralnego”, które w badaniach nad początkami państwa czeskiego wprowadził Jiří Sláma, a po nim wykorzystywali kolejni badacze w odniesieniu do początków innych „wczesnych państw”⁵⁴. Ogólny model powstawania państw w Europie Środkowo-Wschodniej, przyjęty za badaczem czeskim, ujmuje rzecz w kategoriach procesu składającego się z trzech następujących po sobie etapów. Etap pierwszy to tworzenie centrum terytorialnego w wyniku wzniesienia na stosunkowo niewielkim obszarze sieci nowych grodów, drugi to ekspansja terytorialna, czyli przyłączanie sąsiednich obszarów bądź drogą pokojową (np. związków rodzinnych), bądź też militarną (podbój)⁵⁵, natomiast etap trzeci, by tak powiedzieć, finalny – to oparcie państwa na własnych zasobach w wyniku braku lub ograniczenia możliwości dalszej ekspansji terytorialnej. Następuje wówczas stabilizacja gospodarki i struktur administracyjnych, w związku z czym „dopiero ten etap może zapewnić trwalsze zaistnienie państwa na politycznej mapie Europy”⁵⁶.

Nawiązując do pierwszej fazy trój etapowej koncepcji przejętej od Slámy, Kurnatowska i Kara przenoszą się między Odrę a Wisłę i koncepcję powstania państwa polskiego formułują głównie w odwołaniu do swych własnych badań nad zaistnieniem w X w. na obszarze Wysoczyzny Gnieźnieńskiej i wschodniej części Wysoczyzny Poznańskiej ustabilizowanej sieci grodów i związanych z nimi okręgów, których mieszkańcy reprezentowali „genetycznie nową kulturę elitarną”⁵⁷. Była to obserwacja skłaniająca do wniosku, że w ten sposób wyznaczony został zasięg „pierwotnego patrymonium” Piastów, czyli domeny rodowej dwóch lub trzech pokoleń, poprzedzających zainicjowane około 960 r. rządy Mieszka I. W sumie był to wydzielony fizjograficznie obszar, który zamykały rzeki – od południa Warta, od wschodu Wrześnica,

Myth in the Last Fifty Years of Polish Historiography, „Acta Poloniae Historica” 91, 2005, s. 133–151 oraz, w nieco szerszym ujęciu: *Od historiografii do mitografii? „Mit” w historiografii polskiej ostatniego półwiecza*, w: *Klio Polska. Studia i materiały z dziejów historiografii polskiej po II wojnie światowej*, t. 2, red. A. Wierzbicki, Warszawa 2006, s. 179–196.

⁵³ Z. Kurnatowska, M. Kara, *Wczesnopiastowskie „regnum” – jak powstało i jaki miało charakter? Próba spojrzenia od strony źródeł archeologicznych*, „Slavia Antiqua” 51, 2010, s. 23–96.

⁵⁴ Tamże, s. 63.

⁵⁵ Trudno w tym miejscu nie powrócić myślą do koncepcji Łowmiańskiego, który powołując się na „Galla” Anonima, utrzymywał, że przodkowie Mieszka poszerzali podległe im terytorium, łącząc obie te metody (*usu laboris et militie*); zob. rozdz. III, podrozdz. *Henryka Łowmiańskiego rekapitulacja „Początków Polski”*.

⁵⁶ Z. Kurnatowska, M. Kara, dz. cyt., s. 63.

⁵⁷ Tamże, s. 46.

od północy Wełna, a od zachodu Sama – mający dzięki dopływowi Warty wygodne połączenia z obszarami sąsiednimi.

Gwałtowność zaistnienia tak opisanego zjawiska zasługuje, według Kurnatowskiej i Kara⁵⁸, na przyznanie mu miana „państwowotwórczego przełomu”, a zarazem brak wcześniejszych przejawów jego wewnątrzplemiennych uwarunkowań sugeruje, że w budowaniu pierwocin państwa istotną rolę odegrało, podobnie jak było to u początków wielu innych państw, celowe formowanie przez wyróżniający się wybitny ród „wewnętrznie zhierarchizowanego układu potężnie ufortyfikowanych grodów o zróżnicowanej funkcji (kulturowej, administracyjnej, militarnej i gospodarczej) rozlokowanych w obrębie obszaru o wyodrębnionych fizjograficznie granicach”⁵⁹. Autorzy powołali się przy tym (choć nie tylko przy tym) na Zbigniewa Dalewskiego⁶⁰, który uznał, że władzę tego rodu legitymizowały przede wszystkim dwa położone blisko siebie grody w Gnieźnie i Poznaniu oraz, już za panowania Bolesława Chrobrego, także gród trzeci, położony wszakże poza Wysoczyzną Gnieźnieńską, bo na krakowskim Wawelu. Sami przy tym poszerzyli jeszcze bardziej, zwłaszcza w odniesieniu do czasów Chrobrego, „wielkopolski” zakres obszaru centralnego państwa pierwszych Piastów, wymieniając gród w Gieczu, a także, choć już z pewną dozą niepewności, na Ostrowie Lednickim, jako ośrodki decydujące o tradycji władzy zwierzchniej Piastów „co najmniej nad ziemiami dorzecza Warty”⁶¹.

Chcąc dopełnić kwestię miejsc centralnych w sieci grodów piastowskich, nie sposób tu na zasadzie niewielkiej dygresji nie odejść od charakterystyki koncepcji Kurnatowskiej i Kara. Dygresja dotyczy hipotezy Andrzeja Buko, który już w 1999 r. wyrażał przekonanie, że szczególnie dogodnym miejscem dla zaistnienia domeny piastowskiej były terytoria południowo-wschodniej Wielkopolski⁶². Zdaniem tego badacza po dendrochronologicznym przesunięciu narodzin grodu w Gnieźnie jest to hipoteza, która siłą rzeczy sugeruje

⁵⁸ W kwestii nieodmieniania nazwiska Michała Kara odwołuję się do praktyki stosowanej przez samego zainteresowanego w jednej z jego ostatnich publikacji; zob. M. Kara, *Historiografia i archeologia polska o mechanizmach formowania się państwa Piastów. Próba zestawienia ważniejszych poglądów*, w: *Institucja „wczesnego państwa” w perspektywie wielości i różnorodności kultur*, red. J. Banaszkiewicz, M. Kara, H. Mamzer, Poznań 2013, s. 303–316. Nie zmienia to faktu, że inni autorzy tekstów zamieszczonych w tym samym wydawnictwie zbiorowym, jak np. Henryk Mamzer, stosują w tym wypadku dominującą u nas zasadę odmienności nazwisk.

⁵⁹ Z. Kurnatowska, M. Kara, dz. cyt., s. 46.

⁶⁰ Z. Dalewski, *Między Gniezmem a Poznaniem. O miejscach władzy w państwie pierwszych Piastów*, „Kwartalnik Historyczny” 98, 1991, 2, s. 19–43.

⁶¹ Z. Kurnatowska, M. Kara, dz. cyt., s. 72.

⁶² A. Buko, *Początki państwa polskiego. Pytania – problemy – hipotezy*, „Światowit” 1B, 1999, s. 32–45.

prymat Kalisza, usuwając w cień faworyzowany pod względem swego „władczego” statusu Giecz. Zdawać by się mogło, że ostatnio jej autor – na zasadzie równorzędności – stawia obok siebie oba te grody, mające stanowić matecznik piastowskiej domeny, ale nie jest całkowicie jasne, czy taka była intencja konkluzji brzmiącej następująco: „W myśl prezentowanej tu koncepcji Giecz byłby drugim obok Kalisza, ale jednocześnie kluczowym ogniwem trójstopniowej strategii wczesnego państwa”⁶³. W sformułowaniu „drugi obok Kalisza” można doszukiwać się pewnej gradacji, ale pora powrócić na obszar „pozadygresyjny”.

Podstawowy dylemat, czy początek państwu Piastów dał gwałtowny podbój, czy też będąca wyrazem ewolucyjnych przemian społecznych i gospodarczych „umowa społeczna” Kurnatowska i Kara rozstrzygają w odwołaniu do ustaleń antropologów historycznych na temat łączenia w centralnych miejscach „sieci grodów” różnorodnych funkcji, szczególnie jednak sakralnych i militarnych. Dla pierwszych z nich znamienne jest lokowanie chrześcijańskich świątyń i ośrodków administracji kościelnej w głównych miejscach dawnych, jakkolwiek długo jeszcze wypieranych, kultów pogańskich, natomiast dla drugich – utrzymanie roli (funkcji) „strażników sacrum”, jaką oprócz wielu innych ról pełnili stacjonujący tam oraz mobilizowani w razie potrzeby wojownicy. Niezależnie jednak od inspiracji płynących ze strony antropologii historycznej i strukturalistyczno-funkcjonalistycznej triady Georgesa Dumézila, Kurnatowska i Kara odwołują się do zapisanej przez „Galla” Anonima, a przytaczanej od dawna przez historyków, legendy dynastycznej rodu Piastów, z której, jak stwierdzają, wynika ustanowienie „sakralizowanej władzy Piastów na podstawie **umowy społecznej**” (podkr. A.W.)⁶⁴.

W sumie, zakładając, że w wyniku państwowotwórczego podboju musiały zostać zniszczona cała sieć grodów centralnych, a zarazem konstatując, iż na obszarze pierwotnej domeny Piastów (Wysoczyzna Gnieźnieńska i jej „poznzańskie peryferia”) archeologia ustaliła dla wieku X ciągłość użytkowania centralnych miejsc władzy (brak zniszczeń, śladów pożarów itp.), Kurnatowska i Kara jakkolwiek bardzo ostrożnie („skłonni jesteśmy”), to jednak wyraźnie opowiadają się po stronie modelu państwowotwórczej umowy społecznej zawartej między „wspólnotami lokalnymi” a „elitami społecznymi” skonolidowanymi wokół rodu Piastów, będącego ich „inspiratorem”. Domniemają również, że w ramach takiej umowy społecznej obie strony przyjęły wspólny wzorzec oparty na modelach organizacyjnych państw słowiańskich, przy czym wzorzec ten mógł być wdrażany w życie przez „przygarniętych”

⁶³ Tenże, *Ośrodki centralne a problem najstarszego „patrymonium” dynastii Piastów*, „Archeologia Polski” 57, 2012, 1–2, s. 148.

⁶⁴ Z. Kurnatowska, M. Kara, dz. cyt., s. 73.

przez Piastów wychodźców z innych krain, takich na przykład jak przybyły z Nitry Poznan. Niewykluczone jest też, że do państwa pierwszych Piastów przeniknęły wypróbowane rozwiązania skandynawskie, które przeniesione zostały w trakcie organizacji „elitarniej, konnej drużyny książęcej”, stanowiącej zaczątek późniejszych „państwowych sił zbrojnych”⁶⁵. Przyjmując taką możliwość, Kurnatowska i Kara nie orzekają jednak, czy wzorce te mogły wykraczać poza ściśle militarne funkcje działań państwowych.

Jeśli nie było podboju, a była „umowa społeczna” dotycząca modelu państwa, który przy akceptacji wspólnot lokalnych miał zostać wcielony w życie w wyniku działań inspirowanych przez Piastów elit, to co mogło sprawić, że obie strony umowy posiadały w momencie jej zawierania znajomość owego, zgodnie zaakceptowanego wzorca? Kara, tym razem już w monoautorskiej publikacji z 2013 r., wskazuje nieco enigmatycznie, że zdecydowało o tym uprzednie wykształcenie się „wspólnoty stratyfikowanej o istotnym potencjale demograficznym”⁶⁶ oraz rozwój gospodarczy, który pozwolił na uzyskiwanie nadwyżek produkcyjnych umożliwiających między innymi utrzymanie drużyny książęcej i aparatu administracyjnego. Ciekawe jednak, że oba te elementy autor traktuje nie jako „przesłanki”, ale jako „pochodne” „uformowania się na tym obszarze centralnych struktur państwa piastowskiego”, a z takiej tezy można wnosić, że wspomniana „umowa” nastąpiła już po wprowadzeniu przyjętego w niej wzorca w życie, a więc była jedynie formą legitymizacji tego, co (jako dyktat zwycięzcy?) istniało już wcześniej – bez umowy. Doszukiwanie się jednak pewnej niejasności w takim toku myślenia byłoby wobec zasług tego badacza nader małostkowe, podobnie jak snucie domysłów, czy wyniki jego badań nad osadnictwem, które wykluczyły „skrajnie ewolucyjny charakter procesu państwowotwórczego w dorzeczu Warty”⁶⁷, są równoznaczne z podtrzymaniem tezy, że proces ów, jakkolwiek tylko w umiarkowanej postaci, nosił jednak charakter ewolucyjny. Wydaje się, że ostatnio Kara coraz mniejszy akcent kładzie na ową **umowę** społeczną, doszukując się w niej znamion⁶⁸ **ugody**. Warta przytoczenia jest

⁶⁵ Tamże, s. 72.

⁶⁶ W tym maksymalnie skompromowanym określeniu, uformowanym pod wpływem antropologii kulturowo-społecznej, chodzi zapewne o to, że duża liczba ludzi podzielona była na „prosty lud” i elity, dzięki czemu istniały „strony” mogące zawierać ze sobą umowy.

⁶⁷ M. Kara, *Historiografia i archeologia polska o mechanizmach formowania się władztwa Piastów...*, s. 307.

⁶⁸ Za przejaw takiej tendencji może być uznany termin „ugoda” użyty zamiast „umowy” w: tamże, s. 309, a kojarzący się z **brakiem sprzeciwu** wobec działań elit, ale niekoniecznie z uprzednim zawarciem dwustronnej „umowy społecznej”. Sprawę komplikuje fakt, że wszystkim tym nazwom dałoby się przypisać rozliczne skale i postaci metaforyczności, niekoniecznie utrzymanej w konwencji typowej dla bodaj najintensywniej eksploatującej kategorię „umowy społecznej” myśli oświeceniowej.

jego opinia na temat podziału, jaki w ostatnich latach zarysował się w tej kwestii wśród czołowych przedstawicieli współczesnej archeologii polskiej, zgodnie z którym: „Niecóż odmiennie mechanizm powstania monarchii piastowskiej postrzegają archeolodzy A. Buko i S. Moździoch, a do niedawna także P. Urbańczyk (2008), dla których najstarsze *regnum* [rozumiane jako „władztwo” – A.W.] Piastów, zostało uformowane *ad hoc* w drodze podboju, a nie **ugody społecznej** wspartej w określonych przypadkach presją militarną, co z kolei zakładają badacze optujący za zmodyfikowanym wariantem procesu państwowotwórczego w genezie wspomnianego władztwa, formacji społeczno-politycznej o charakterze Early State (np. Zofia Kurnatowska, Michał Kara)” (podkr. A.W.)⁶⁹. **Ugoda**, a już zwłaszcza wsparta presją militarną, oznacza raczej brak sprzeciwu niż zgodną wolę obu stron, tak jak słowo ugodowiec nie oznacza tego, który zawarł umowę. Między umową a ugodą istnieje przepaść bierności wywołanej nierzadko nie tylko klasycznym podbojem (gwałtem zadany podbitym), ale i nie mniej klasycznym konformizmem tych, którzy ulegli często bez walki. Czasem wystarczy, jak powiedział Bobrzyński, „zbliżający się szczęk oręża” czy też, jak mniej metaforycznie ujmuje to Kara, „presja militarna”.

Wydaje się, że w ostatnich kilku latach nastąpiło wyraźne osłabienie ewolucjonistycznej koncepcji państwowotwórczej umowy społecznej. Warto przypomnieć, że w przytaczanych tu już słowach z 2013 r. Jurek i Kizik po pierwsze podważają wyrazistość tej koncepcji, używając określenia „**swego rodzaju** umowa społeczna”, po drugie przypisują ją wyłącznie „dawniejszym historykom”, sugerując tym samym jej przestarzałość, po trzecie akcentują państwowotwórczą rangę „brutalnej siły”, co do roli której nie mają wprawdzie pewności, ale sądzą, że w przeciwieństwie do umowy społecznej była ona elementem niezbędnym w formowaniu się państwa Piastów.

7. NIEDOMÓWIENIA I NIEJASNOŚCI WE WSPÓŁCZESNYCH KONCEPCJACH POWSTANIA PAŃSTWA POLSKIEGO

Niemal w tym samym czasie, kiedy Jurek i Kizik podpisali się pod tezą, że koncepcje ewolucyjnej genezy państwa polskiego należą już do przeszłości (2013 r.), Przemysław Urbańczyk wystawił ocenę diametralnie odmienną (2012 r.), pisząc: „W polskiej historiografii wciąż jednak dominuje przekonanie, że »w odniesieniu do państwa piastowskiego pełne zastosowanie ma teoria ewolucji«”⁷⁰. Ponieważ w całość ową ocenę wkomponowane zostały

⁶⁹ Tamże.

⁷⁰ P. Urbańczyk, *Mieszko Pierwszy Tajemniczy*, Toruń 2012, s. 62.

słowa Gerarda Labudy⁷¹, które mogą sprawiać mylne wrażenie co do intencji ich autora, wypadnie nieco więcej miejsca poświęcić analizie zapatrywań tego ostatniego historyka na kwestię relacji między tym, co w toku powstawania państwa pierwszych Piastów było ewolucyjne, a co „podbojowe”. Nie jest to wszakże ani jedyna, ani najważniejsza okoliczność motywująca taki zamiar. Tę ostatnią stanowi bowiem sposób, w jaki Labuda ujmował wspomnianą relację w swej, wydanej przed kilkunastu laty, książce poświęconej postaci i państwu Mieszka I. Uważam, że jest to publikacja będąca wyrazem dążenia do swoistej, jakkolwiek niedopowiedzianej w pełni, **rehabilitacji hipotezy podboju**, co jest o tyle znaczące, że w dobie PRL ów mediewista, wkraczający nierzadko bardzo kompetentnie na obszary historii historiografii, zajmował stanowisko wykluczające taką możliwość⁷². Warto tu przypomnieć, iż sądził wówczas, że po II wojnie światowej historiografia polska „opowiedziała się zdecydowanie po stronie teorii ewolucji”, a „dzięki krytycznemu stanowisku historiografii polskiej, radzieckiej i innych, a w tym także skandynawskiej”, teoria o państwowotwórczej roli podboju w genezie średniowiecznego państwa polskiego została „ostatecznie odrzucona”⁷³.

Zdawać by się mogło, że na kartach *Mieszka I*, książki opublikowanej już w czasach postpeerelewskich (2002 r.), odnajdujemy tę samą co przed ponad ćwierćwieczem opinię, zgodnie z którą w przeciwieństwie do Rusi, Bułgarii i Węgier, gdzie są po temu „pewne rzeczowe podstawy”, w wypadku Polski nie ma żadnych źródeł pozwalających na doszukiwanie się początków jej życia państwowego w podboju „zewnętrznym”. „W odniesieniu do państwa piastowskiego – by powtórzyć przytoczone w zdaniu Urbańczyka słowa Labudy – pełne zastosowanie ma teoria ewolucji”⁷⁴. Czy jednak rzeczywiście „pełne”? Co do tego można mieć spore wątpliwości, ponieważ Labuda niemal w tym samym fragmencie narracji, na tej samej wręcz stronie swej książki z 2002 r. uznał za celowe wskazać (na) dwie „siły sprawcze” polskiej państwowości, z których pierwszą miał być jednak podbój, a nie umowa, tyle że był to podbój nie zewnętrzny, lecz wewnętrzny, drugą natomiast – „idącą w ślad” za pierwszą – „militaryzacja społeczeństwa i jego ustroju społeczno-gospodarczego”⁷⁵. Można się zastanawiać, w jakiej mierze drugą z tych sił dałoby się wyprowadzić z pierwszej i *à rebours*, jednak ważniejsze w tym

⁷¹ Urbańczyk umieścił je w wewnętrznym cudzysłowie, odsyłając do publikacji: G. Labuda, *Mieszko I*, Wrocław 2002, s. 50.

⁷² Szerzej na ten temat zob. rozdz. III niniejszej książki.

⁷³ G. Labuda, *Początki państwa polskiego w historiografii polskiej i niemieckiej*, w: *Stosunki polsko-niemieckie w historiografii. Studia z dziejów historiografii polskiej i niemieckiej*, cz. 1, red. J. Krasuski, G. Labuda, A.W. Walczak, Poznań 1974, s. 172, 173.

⁷⁴ Tenże, *Mieszko I...*, s. 50.

⁷⁵ Tamże.

wypadku jest ustalenie relacji między przemianami ewolucyjnymi a tymi, które dokonywane są gwałtownie, drogą podboju.

Ciekawe, że nawet wówczas, gdy podbój kwalifikowany jest do zjawisk „wewnętrznych”, zakłada się istnienie jakiejś pozornie absurdalnej „wewnętrznej zewnętrzności”. Taki charakter nosiły omawiane już na kartach tej książki koncepcje najazdu wewnątrzetnicznego (Słowian na Słowian, Lachów na Lachów lub Polan na Polan), kiedy to rodzimi („swojscy” w sensie etnicznym), lecz bardziej zaawansowani politycznie i militarnie najeźdźcy przychodzili między Odrę i Wisłę „z zewnątrz”, na przykład znad Łaby (Maciejowski, Piekosiński) lub spod Kijowa (Kondratowicz, Krotoski). Etnicznie byli oni wewnętrzną częścią tej samej słowiańskiej, a nawet „subsłowiańsko-plemiennej” (lechickiej lub polańskiej) całości, której inną „braterską” część najeźdźali jako przychodzący „z zewnątrz” alochtoni w stosunku do nadwiślańskich autochtonów. Refleksję na ten temat wypadnie jednak pozostawić w fazie otwartej, dałoby się bowiem jeszcze bardziej ją skomplikować, zwracając na przykład uwagę na to, że Lechici, którzy mieli przyjść znad Łaby, byli, według Piekosińskiego, potomkami Lechitów pierwszej fali osadnictwa słowiańskiego w środkowej części obszaru między Wisłą a Odrą, a więc podbijając osiadłych tam później Lechitów „drugiej fali”, potomkowie „pierwszej fali” powracali do nadwiślańskich siedzib swych przaszczurów w roli potomstwa, które prawem dziedzictwa obejmuje jedynie pozostawione tylko na pewien czas przez swych przodków „ojczyste terytorium”. Rozwikłanie fenomenu „wewnętrznej zewnętrzności”, dającego się usytuować zarówno w obrębie ontologii, jak i epistemologii „bytów historyograficznych”⁷⁶, wykracza jednak poza kompetencje piszącego te słowa. Oczywiście pewną możliwość uporania się z konstytuującą go antynomią daje, zaczerpnięta z retoryki (celowo używam tego słowa) marksistowskiej, reguła państwowotwórczej walki klas, mówiąca w istocie o „samopodboju”, który dokonuje się wewnątrz układu społecznego, stymulowanego przez wpisana weń zasadę rozwoju „sił wytwórczych”. Labuda jednak, pisząc o Mieszku I, nie skorzystał również z tej możliwości i w efekcie nie wyjaśnił *expressis verbis* relacji ewolucja – podbój wewnętrzny. Jeśli bowiem hipotezę podboju zewnętrznego traktował jako przeciwstawną w stosunku do niebudzącej jego wątpliwości tezy o ewolucyjnych narodzinach polskiego państwa, to kwestia wzajemnych relacji między ewolucją a podbojem wewnętrznym

⁷⁶ Sądzę, że akceptacja tego terminu, i jego domagającej się doprecyzowania konotacji, otwiera przed historią historiografii oraz teorią historii godne uwagi pole dociekań na temat zróżnicowanego statusu bytów historycznych i historyograficznych, którym w swych pracach dziejopisowie nadają już to status „prawdziwości”, już to jedynie poznawczej przydatności. Najczęściej jednak oba te statusy bezkrytycznie nakładają na siebie czy też mieszą.

pozostaje w jego ujęciu daleka od przejrzystości. A przecież taki właśnie podbój miał być „siłą sprawczą” powstania polskiego państwa. Można jedynie domniemywać, że Labuda, tak jak na przykład Grodecki czy Balzer, skłonny był traktować podboje „wewnętrzne” Piastów jako kolejne ogniwa dokonywania się państwowotwórczej ewolucji⁷⁷. Czy jednak takie ujęcie nie nasuwa skojarzeń z kwadraturą koła? Zapewne nasuwa, ale narracji historycznej, a także jej przedmiotu również, nie sposób zamknąć w kategoriach tzw. logiki dziejów.

Chcąc uprawdopodobnić tezę o pierwszoplanowej roli podboju wewnętrznego w powstaniu państwa polskiego, Labuda sięgnął po fragmenty *Powieści minionych lat* Nestora mówiące o zbrojnych wyprawach pierwszych władców Rusi (Olega Rurykowicza, Olgi, Włodzimierza) i zajmowaniu przez nich kolejnych ziem, które wcześniej pozostawały poza ruskim władztwem. Zabieg ów może wszakże budzić wątpliwości. Jakkolwiek bowiem rozumowanie *per analogiam* jest w pełni uprawnione w budowaniu hipotez, to przecież w nieco innym miejscu Labuda sam zastrzegł, że w odniesieniu do Rusi, podobnie jak Bułgarii i Węgier, istniały „pewne rzeczowe podstawy”, by mówić o najeździe zewnętrznym, a nie wewnętrznym. Była to więc analogia niezbyt przekonująco umotywowana, jakkolwiek ze względu na swe eksplanacyjne walory bardzo ważna, pozwalała bowiem, jego zdaniem, na wyodrębnienie trzech zjawisk (elementów), które dawały się odnieść nie tylko do dziejów Rusi, ale i państwa polskiego. Były to, jak pisał: „a) podbój wewnętrzny, któremu towarzyszyło opanowanie i niszczenie grodów plemiennych i wznoszenie grodów własnych, »państwowych«; b) ujarzmienie sąsiadów i nakładanie na podbitych danin; c) wytworzenie stałej siły zbrojnej, drużyny, jako narzędzia podboju”⁷⁸. Szkoda jednak, że w ramach owego wysnutego z opowieści Nestora modelu powstawania państw zabrakło miejsca na refleksję nad „wewnętrznym” lub „zewnętrznym” statusem ujarzmianych sąsiadów.

Uznając opisane przez Nestora zjawiska za reprezentatywne nie tylko dla Rusi, ale i dla Polski oraz tworząc z nich trójelementowy syndrom podboju wewnętrznego jako „siły napędowej” powstawania państw na sporych połączonych „strefy barbarzyńskiej”, Labuda mógł uznać za typowe zjawisko zaobserwowane przez archeologów na obszarze zwanym później Wielkopolską i określanym mianem kolebki polskiej państwowości. Zjawiskiem tym było, przypadające na koniec IX i pierwszą połowę X w., gwałtowne zniszczenie starych grodów i szybka budowa nowych, wprawdzie mniej licznych, ale potężniejszych i noszących już charakter grodów „państwowych”. Podobnie państwowy charakter miała też, poświadczona w źródłach pisanych,

⁷⁷ Pisałem o tym w rozdz. II niniejszej książki.

⁷⁸ G. Labuda, *Mieszko I...*, s. 52.

militaryzacja społeczeństwa, idąca w parze z ujarzmianiem „sąsiadów” i nakładaniem na nich danin.

Skąd jednak możemy czerpać wiedzę na ten temat? Nawiązując do modelu skonstruowanego na podstawie *Powieści minionych lat*, Labuda utrzymywał, że polskim przykładem podboju wewnętrznego może być zajęcie Pomorza przez Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego. Wprawdzie zakończył się on jedynie połowicznym sukcesem, ponieważ „księżętom polskim nie udało się wytepić całkowicie miejscowych książąt pomorskich” i ziemia ta przez wieki stanowiła „odrębną jednostkę polityczną”, ale pokazywał zarazem „rozmiary wysiłku militarnego dla osiągnięcia zamierzonego celu. Nie mamy żadnego powodu przypuszczać – kontynuował swój wywód Labuda – że akcje poprzednie z czasów Siemowita, Siemomyśła i Mieszka I odbywały się mniejszym wysiłkiem i że plemiona kujawskie, mazowieckie i pomorskie oraz ich książęta dobrowolnie poddawali się Piastom. Próba opanowania ujść Odry, rozgrywająca się już na oświetlonej scenie dziejowej, świadczy o czymś przeciwnym: był to kij wsadzony w mrowisko”⁷⁹.

Jest oczywiste, że Labuda nie traktował podboju wewnętrznego jako instrumentu służącego wyłącznie narodzinom państwa. W jego ujęciu taki podbój mógł nie tylko inicjować dziejowy żywot państw, ale też być jednym z przejawów wzmocnienia się ich sił witalnych, tak jak miało to być w wypadku Polski i Pomorza. Zabrakło jednak odpowiedzi na pytania o status, jaki w obrębie modelu owego podboju należałoby przyznać pomorskim „sąsiadom” oraz czy najeżdżający na nich książęta polscy byli na Pomorzu równie „miejscowi” jak ci, których nie udało się im tam „wytepić całkowicie”? W sumie zabrakło odpowiedzi na pytanie podstawowe: na czym miał polegać „wewnętrzny”, a zarazem państwowotwórczy charakter owego „podboju”, jeśli w kilkanaście lat po nim istniejące już co najmniej od czasów Mieszka I państwo polskie uległo decentralizującym je podziałom?

Trzeba przyznać, że Labuda postawił jeszcze więcej znaków zapytania, pisząc: „W dotychczasowej historiografii nie doceniono roli podboju wewnętrznego, sugerując poniekąd w to miejsce sielankowy proces pokojowego scalania poszczególnych ziem w jeden organizm polityczny. Przykłady krajów sąsiadujących pouczają nas o czymś wręcz przeciwnym”⁸⁰. Jeżeli wziąć pod uwagę choćby tylko omówione wcześniej na kartach tej książki poglądy „wczesnego” Lelewela, a także Szujskiego, Bobrzyńskiego, S. Zakrzewskiego, Grodeckiego i Balzera, czyli, by tak powiedzieć, elity elit polskich historyków, to przeoczenie tego, że w ich opiniach podbój wewnętrzny odegrał podstawową wręcz rolę w dziele narodzin polskiego państwa musi budzić spore wątpliwości.

⁷⁹ Tamże (zarzucając im naiwną wiarę).

⁸⁰ Tamże, s. 50–51.

Nie budzi ich natomiast twierdzenie Labudy, że ci historycy, którzy nie dostrzegali państwowotwórczej roli podboju wewnętrznego, popadali zazwyczaj w godną krytyki „sielankowość” i ulegali iluzji pokojowej integracji sąsiadujących ze sobą obszarów terytorialno-plemiennych oraz zgodnego, „wiecowego” ich jednoczenia się. Pamiętać jednak należy, że już sto lat wcześniej ze zwolennikami gminowładczej sielanki zjednoczeniowej toczył ostrą polemikę Stanisław Zakrzewski, uznając opowieści o spotęgowanych jakoby zagrożeniem niemieckim oddolnych dążeniach zjednoczeniowych plemion słowiańskich za „niebywałą nigdy abstrakcję”⁸¹.

Tym dziwniejszym się wydaje, że Przemysław Urbańczyk, czołowy przedstawiciel rozwijającej się od ponad półwiecza polskiej mediewistyki archeologicznej, w swym pod wieloma względami inspirującym dziele *Mieszko Pierwszy Tajemniczy* (2012 r.) koncepcję sielankowej integracji przypisał właśnie Labudzie, który miał ponadto ulec występującej w „tradycyjnych historiografiach narodowych” tendencji do synchronizacji narodzin własnego państwa z powstaniem państw sąsiednich. Według Urbańczyka Labuda dlatego uznał, że „»zaczątki polskiej państwowości sięgają pierwszej połowy IX stulecia«, ponieważ wtedy powstało przecież państwo wielkomorawskie”⁸². To polemiczne sformułowanie niesłusznie deprecjonuje rozległość komparatystycznego horyzontu Labudy, który bynajmniej nie ograniczał swych odniesień jedynie do państwa wielkomorawskiego. Brał on pod uwagę analogie z wieloma, jak pisał, „organizacjami państwowymi na terenie ówczesnej Słowiańszczyzny, wcześniej poświadczonymi w źródłach, jak Słowianie połabscy, Czechy, Morawy, Ruś, nie zapominając o Chorwatach, Serbach i Bułgarach bałkańskich”⁸³, i dopiero to zestawienie czyniło dlań prawdopodobnym „założenie”, że zaczątki polskiej państwowości sięgały pierwszej połowy IX w. Ale to kwestia nieco mniejszej rangi.

O wiele większe znaczenie wydaje się mieć zarzut „sielankowego” jakoby ujęcia przez Labudę narodzin polskiego państwa. Wysłunięcie go zwielokrotniło jak gdyby paradoksalność całej polemiki, ponieważ ten sam zarzut wysuwał również Labuda, z tym że nie w stosunku do samego siebie, lecz do potraktowanej *en bloc* „dotychczasowej historiografii”, której, wbrew rzeczywistemu stanowi rzeczy, przypisywał ignorowanie w dziejach polskich państwowotwórczej roli podboju wewnętrznego. W sumie można powiedzieć, że Urbańczyk niesłusznie przypisał Labudzie te same ułomności, które ten ostatni niesłusznie zarzucił „dotychczasowej historiografii”, z dorobku której bezzasadnie wykluczał swój wielce znaczący udział.

⁸¹ S. Zakrzewski, *Epoka piastowska*, w: tenże, *Zagadnienia historyczne*, Lwów 1908, s. 207.

⁸² P. Urbańczyk, *Mieszko Pierwszy Tajemniczy...*, s. 60.

⁸³ G. Labuda, *Mieszko I...*, s. 17.

Zapewne to właśnie wspomniane niedopowiedzenia i niedoskonałości teoretyczne, a także nadmierna wiara w słowa Labudy, że państwo polskie, którego narodziny miały być „w pełni zgodne” z teorią ewolucji, „wyłaniało się powolnie, ale systematycznie, z kilkunastu poprzedzających ustrojów plemiennych”⁸⁴, sprawiły, że Urbańczyk nie dostrzegł, iż autor tych słów, niemal jednym tchem, bez żadnych wyjaśnień i uściśleń terminologiczno-pojęciowych, przypisał rolę pierwszoplanowej „siły sprawczej” nie ewolucyjnym, powolnym przemianom, lecz gwałtownemu, zbrojnemu podbojowi wewnętrznemu. O jego charakterze i państwowotwórczym znaczeniu pisał między innymi: „Dopiero podbój poszczególnych plemion przez plemię najsilniejsze i narzucenie podbitym stałej daniny stwarzały zarodek skarbowości państwowej”⁸⁵. Można jedynie dodać, że do truizmów należy reguła, iż bez „skarbowej daniny” byt państwa, jeżeli w ogóle jest możliwy, to nosi na ogół charakter efemeryczny lub symboliczny, by nie powiedzieć (po Sienkiewiczowsku?) – „teoretyczny”.

Według Urbańczyka Labuda był przedstawicielem tendencji, zgodnie z którą obrazy pokojowego scalania bliskich sobie grup etnicznych układają się w wizje, w których „wymaginowane wspólnoty: wczesnosłowiańska, polańska i piastowska, bezkonfliktowo przechodziły dzięki mądrym władcom-jednoczycielom jedna w drugą, tworząc pierwsze ogniwa łańcucha nieuchronnie wiodącego wprost do nowożytnej i współczesnej Polski”⁸⁶. Miał być to „wybitnie ewolucjonistyczny model” stopniowego, zjednoczeniowego obejmowania władzy politycznej nad coraz większym pod względem terytorialnym i ludnościowym obszarem. W ramach owego modelu jednoczenie przybierało najpierw postać „małoplemiennych” i „wielkoplemiennych” struktur terytorialnych, po to, by w następnym etapie przyjąć formę państw, wyposażonych, tak jak państwo piastowskie, w ponadplemienne instytucje centralne.

Skąd jednak wiadomo, że był to proces obejmujący społeczeństwa bliskie sobie pod względem plemiennym? Labuda powoływał się z jednej strony na teoretyczne konstatacje Benedykta Zientary, z których miało wyraźnie wynikać, że „wspólnoty etniczne były pierwsze w stosunku do formowanych przez nie wspólnot typu państwowego, ale te wspólnoty państwowe z kolei były pierwsze w stosunku do formowanych przez nie wspólnot narodowych...”⁸⁷, z drugiej zaś na nazwy wspólnot plemiennych wymienionych przez tzw. Geografa Bawarskiego oraz późniejszych autorów. Urbańczyk natomiast zwracał uwagę na to, że archeolodzy polscy nie byli w stanie potwierdzić,

⁸⁴ Tamże.

⁸⁵ Tamże, s. 54–55.

⁸⁶ P. Urbańczyk, *Mieszko Pierwszy Tajemniczy...*, s. 61.

⁸⁷ G. Labuda, *Mieszko I...*, s. 33.

iz wśród tych nazw znajdowały się nazwy etnicznie bliskich sobie wspólnot politycznych, które weszły w skład państwa pierwszych Piastów. „Mapy archeologiczne – pisał – przedstawiają tylko wczesnośredniowieczne skupiska osadnicze świadczące o istnieniu jakichś wspólnot komunikatywnych, ale nie dowodzą istnienia organizacji politycznych. W każdym razie archeologiczna kartografia ziem polskich nie wykazuje żadnej korelacji z mapami »plemiennymi« stworzonymi przez historyków na podstawie źródeł tak enigmatycznych, jak np. tzw. Geograf Bawarski”⁸⁸. Ta niewątpliwie bardzo ważna konstatacja nie wyklucza drugiej, równie ważnej, a mianowicie, że archeologia wskazuje „na dużą homogeniczność kulturową ziem podporządkowanych przez Piastów”⁸⁹. Łatwo dostrzec, że ta druga ma spore walory argumentacyjne, przemawiające na rzecz połączenia ujęcia „historycznego”, zakładającego dziejową realność pokrewnych sobie plemion słowiańskich (choć niekoniecznie łączonych z nimi topo- i etnonimów) z ujęciem „archeologiczno-etnologicznym”, ograniczającym się do formuły o dużej „homogeniczności kulturowej” ziem, na których historycy lokują te właśnie plemiona. Innymi słowy, wspomniana wyżej homogeniczność może być argumentem na rzecz plemiennego charakteru bliskich, lecz nie tożsamyh ze sobą słowiańskich „wspólnot komunikatywnych”, które były włączane w obręb państwa Piastów. Może być jednak również argumentem „obrotowym”, używanym już to przez zwolenników tezy o integracji „plemiennej”, już to przez zwolenników tezy o integracji kulturowej, by nie powiedzieć, „komunikatywnej”. Wydaje się, że mediewistyka archeologiczna jest obszarem, na którym wymienione ujęcia niekoniecznie muszą być sobie przeciwstawiane. Tym bardziej że po upływie wielu dziesięcioleci nadal zdaje się zachowywać aktualność obserwacja Balzera (choć nie tylko jego), że jak dotychczas w historiografii nie przeprowadzono wyraźnego rozgraniczenia między takimi kategoriami jak plemię⁹⁰, szczerp czy lud, traktując je nierzadko jako synonimy. Oczywiście

⁸⁸ P. Urbańczyk, *Mieszko Pierwszy Tajemniczy...*, s. 62.

⁸⁹ Tamże, s. 63.

⁹⁰ Na temat pojęcia i terminu „plemię” w polskiej historiografii zob. P. Boroń, *Słowiańskie wiece plemienne*, Katowice 1999, s. 68 n.; tenże, *Słowiańskie plemię. O pojęciu plemienia i jego rozumieniu w polskiej historiografii*, w: *Viae historicae. Księga jubileuszowa dedykowana Profesorowi Lechowi A. Tyszkiewiczowi w siedemdziesiątą rocznicę urodzin*, Wrocław 2001, s. 189–207, gdzie m.in. następująca opinia: „W polskiej historiografii nie można dostrzec nadmiaru refleksji nad używanymi pojęciami i terminami. Tak też jest z pojęciem plemienia [...]. W polskich pracach omawiających dzieje wczesnośredniowiecznej Słowiańszczyzny zabrakło refleksji nad użyciem w historiografii terminu »plemię«. Kilku jedynie badaczy dostrzegło konieczność osobnego potraktowania tego zagadnienia jako istotnego dla uwarunkowań naszej wiedzy. Takie ustosunkowanie się do poglądów literatury zauważyć można u K. Tymienieckiego, S. Zajączkowskiego i L.A. Tyszkiewicza. Były to jednak tylko krótkie prezentacje rozbieżności w dotychczasowych poglądach historyków przedstawiane na

pomocy można szukać w antropologii politycznej, ale czy rzeczywiście jej definicje, takie na przykład jak definicja „wodzostwa”, mogą być odnoszone do tego co było dawniej?

Warto w tym miejscu powrócić do wyróżniającego się pod wieloma względami dzieła o „tajemniczym” budowniczym i „tajemniczych” początkach polskiego państwa. Jego autor nie ukrywa, że nawiązuje do wątków zarysowanych wcześniej przez Stanisława Zakrzewskiego i rzeczywiście wątki te są widoczne co najmniej w obrębie dwóch obszarów tematycznych. Pierwszy z nich stanowi ostra krytyka „plemiennych” hipotez powstania państwa polskiego. Zarówno według Zakrzewskiego, jak i Urbańczyka hipotezy te były całkowicie oderwane od historycznej rzeczywistości. Pierwszy, o czym przyszło mi już w tej książce dwukrotnie napomykać, nazwał je „nigdzie nie bywałymi abstrakcjami”, drugi potraktował ich zawartość nie mniej ostro, a swą konkluzję, co jest dużą rzadkością, zapisał majuskułą: „DOTYCHCZASOWA GEOGRAFIA TZW. POLSKI PLEMIENNEJ JEST DZIEDZINĄ RACZEJ FANTASTYKI NAUKOWEJ NIŻ POLEM BADAŃ HISTORYCZNYCH”⁹¹. Tyle że to, co Zakrzewski uczynił na początku minionego wieku Urbańczyk podtrzymał i argumentacyjnie wzmocnił po upływie stu lat, czyli już w XXI stuleciu. Spore podobieństwa dostrzec można również w sugerowaniu przez obu badaczy związków rodzinnych Mieszka z Mojmirowicami⁹². Zdaniem Urbańczyka „państwo wielkopolskie” powstało na obszarze pokrytym puszciami i zamieszkanym przez ludność dość prymitywną, która wzorców państwowych nie znała, a gdyby nawet poznała, to nie potrafiłaby wprowadzić w życie. Potrzebni zatem byli instruktorzy i konstruktorzy, którzy przyszli „z zewnątrz”. I wiele rzeczy wskazuje, że tak się stało za sprawą przybyczy z Wielkich Moraw. Urbańczyk przywołuje na poparcie tych domysłów pięć argumentów ukazujących zbieżności między strukturą i losami państwa wielkomorawskiego oraz państwa Mieszka I⁹³, a także jeden argument odwołujący się do podobieństwa zabiegów, jakie

marginesie osobnych studiów dotyczących ustroju społecznego czy osadnictwa słowiańskiego”; tamże, s. 191–192.

⁹¹ P. Urbańczyk, *Mieszko Pierwszy Tajemniczy...*, s. 113.

⁹² O zapatrywaniach Zakrzewskiego na tę kwestię pisałem w rozdz. I, w podrozdz. *Koncepcja „trzech(?) drużyn” Stanisława Zakrzewskiego*.

⁹³ W stronę tej tezy mają prowadzić: 1) podobne rozlokowanie najważniejszych ośrodków przy szlakach wodnych, jednego dorzecza – dopływu wielkiej rzeki prowadzącej do morza, 2) podobny, wyłącznie militarny, charakter centralnych grodów wielkopolskich i morawskich, 3) wysoki stopień integracji zarówno „państwa wielkopolskiego”, jak i Wielkich Moraw jako podstawowych obszarów domen dynastycznych, 4) ani Mojmirowice, ani Mieszko nie bili własnych monet, co zmniejszało zdolność do „monetyzacji rynku”, pobierania podatków, ceł itp., 5) słaba struktura gospodarcza Wielkich Moraw i państwa wczesnopiastowskiego, oparta głównie na ekspansji i aneksjach sąsiednich terytoriów,

władcy obu państw czynili, chcąc dla swych działań pozyskać przychyłność papieską. Nie oznacza to jednak, że wszystkie z tych argumentów traktuje jako w pełni oczywiste i niemożliwe do zakwestionowania. Na przykład ostatni z nich, zwracający uwagę na zastosowanie przez Mieszka w *Dagome iudex* rodowej niejako strategii polityczno-dyplomatycznej Mojmirowiców („oddanie” państwa papieżowi), traktuje jako wskazówkę niepewną i „bardzo pośrednią”⁹⁴. Nie ukrywa również, że ważną kwestią w całokształcie jego koncepcji jest zagadnienie chrystianizacji Mieszka I, gdyby bowiem wywodził się on z Mojmirowiców, to już od trzech pokoleń jego ród byłby chrześcijański, a on sam od urodzenia byłby chrześcijaninem, choć mogło to być chrześcijaństwo dość płytko zakorzenione. Jeżeli dobrze zrozumiałem intencję tego badacza, starającego się rozróżnić Mieszka jako „rodowego” chrześcijanina od Mieszka I jako władcy państwa i chrystianizatora, to rok 966 byłby polityczno-religijnym dziełem tego drugiego. W swych konkluzjach Urbańczyk cytował Zakrzewskiego, który nie wykluczał, że Mieszko przed 966 r. „»chrześcijaństwem nie przejął się silnie« i wiedziony pragmatyzmem politycznym narzucał społeczeństwu »tylko tyle, ile ono mogło znieść«”⁹⁵.

Przy wszystkich podobieństwach można jednak wskazać na fundamentalną różnicę między koncepcjami obu tych badaczy. Zakrzewski bowiem, zwracając uwagę na związki z władcami państwa wielkomorawskiego i uczestnictwo „czynnika normańskiego” w formowaniu się państwa pierwszych Piastów, traktował Mojmirowiców nie jako „obcych”, lecz jako dynastię rodzimą, która potrafiła umiejętnie wykorzystać wojowniczych przybyszów z Północy. Natomiast Urbańczyk skłonny jest uznać, że „miejscowi” nie byli w stanie podjąć się budowy własnego państwa, a ich państwowotwórczą indolencję przezwyciężyli dopiero ludzie „z zewnątrz”.

Czy ich przybycie było związane z upadkiem Wielkich Moraw i napływem nad Wartę większych rzesz uchodźców? Czy był to napływ na ziemię niemal niczyje lub – w analogii do „pacyfistycznej” wersji „zaproszenia” Normanów i utworzenia Rusi Kijowskiej – pozbawiony w ogóle elementów podboju? Czy uchodźcy, którzy nie potrafili obronić własnego państwa, wykazali się jednocześnie imponującą sprawnością i potencją polityczno-militarną, tworząc w krótkim czasie na świeżo zajętych (podbitym?) przez siebie obszarze

co w obu wypadkach doprowadziło do wielkiego kryzysu, z tym że w odróżnieniu od Wielkich Moraw następcy Chrobrego zdołali go przezwyciężyć.

⁹⁴ Urbańczyk odnosi się tu do sugestii Charlotte Warnke, która zwróciła uwagę na „strategiczne podobieństwo decyzji Świętopelka, który w 880 roku powierzył swoje państwo papieżowi Janowi VIII, do »darowania« przez Mieszka I *civitas Schinesghe* papieżowi Janowi XIII, w 991–992 r., co zostało zarejestrowane w dokumencie zwanym jako *Dagome iudex*”; zob. P. Urbańczyk, *Mieszko Pierwszy Tajemniczy...*, s. 159.

⁹⁵ Tamże, s. 290.

państwo, które nie tylko potrafiło się bronić, ale i podbijać? W tę ostatnią stronę Urbańczyk zdaje się prowadzić swoją narrację, chociaż *expressis verbis* tego nie wyraża. Odrzucając uczestnictwo czynnika normańskiego, dopuszcza, tak jak czynił to w stosunku do Normanów Szajnocha, że „inkorporacja” wielkomorawskich budowniczych polskiego państwa następowała „zapewne przez wżenianie się”⁹⁶. Nie rozstrzyga jednak, czy inicjatorami owej „inkorporacji” byli zmęczeni swą codziennością „miejscowi”, czy też „szczękający orężem” przybysze. Jakkolwiek przyznaje przy tym, że nie ma mocnych argumentów na potwierdzenie „obcości Mieszka I lub jego protoplastów”⁹⁷, to w zakończeniu swego dzieła nie waha się stwierdzić: „Logika, dostępne źródła historyczne i chronologia świadectw archeologicznych pozwalają wywieść ród piastowski z Wielkich Moraw. Najbardziej uzasadnione »podejrzanie« pada na Świętopełka II Świętopełkowica, którego losu po 901 roku nie oświetlają zachowane źródła. Po upadku Wielkich Moraw mógł wycofać się do Ołomuńca – jedyne go ośrodka wielkomorawskiego, który bez wyraźnych szkód przetrwał kryzys polityczno-militarny państwa Mojmirowiców. Stamtąd emigrujący książę mógł podążyć wraz najbliższym otoczeniem do politycznie »pustego« wówczas centrum Wielkopolski, gdzie już po kilkunastu latach, tj. w trzeciej dekadzie X wieku rozpoczęto budowę państewka terytorialnego. To jego imię nadano jednemu z synów Mieszka i Ody”⁹⁸. W narracji Urbańczyka słowo „podbój” wisi wręcz w powietrzu, jednak ostatecznie nie pada. Może dlatego, że zajęte przez emigrantów-uchodźców terytorium miało być nie tylko „politycznie puste”, ale i „demograficznie” pustawe i w ogóle nie było ani czego, ani kogo podbijać.

Skądinąd Urbańczyk nie ukrywa, że przedstawiony przez niego wywód stanowi „**piramidę przypuszczeń**” i „**koncepcję dość fantastyczną**” (podkr. A.W.)⁹⁹. Rzucając wszakże pod adresem swych aktualnych i przyszłych oponentów „majuskularne” wyzwanie, by spróbowali napisać „LEPSZĄ KSIĄŻKĘ O MIESZKU”¹⁰⁰, zdaje się nadawać temu, co sam napisał, wysoką ocenę naukową. W tej sytuacji rodzić się musi pytanie, czy nie jest to niekonsekwencja, gdy swoją „dość fantastyczną” koncepcję” uznaje za naukowo uprawnioną w przeciwieństwie do „fantastyki naukowej”, za uprawianie której również „majuskularnie” zganili zwolenników polskiej „geografii plemiennej”?

Oczywiście w przedsięwzięciu tak szeroko zakrojonym, podejmującym fascynującą swą tajemniczością kwestię narodzin polskiego państwa, obok

⁹⁶ Tamże, s. 139.

⁹⁷ Tamże.

⁹⁸ Tamże, s. 421.

⁹⁹ Tamże.

¹⁰⁰ Tamże, s. 16 (majuskuła P. Urbańczyka).

światniejszych mogą zdarzać się fragmenty mniej błyskotliwe, a to przyczynia się do bardzo zróżnicowanego jego odbioru. I tak też stało się z podejmującymi kwestię narodzin państwa polskiego książkami Urbańczyka, z tym że dyskusje nad nimi są dopiero w powijakach i dlatego odnotować tylko można, że książki te, obok wielu zwolenników, znalazły nie mniej liczne grono przeciwników¹⁰¹. Mimo tych ostatnich, którym nie sposób odmówić wielu racji, już teraz można powiedzieć, że zawarta w publikacjach Urbańczyka „piramida fantastycznych domysłów” z całą pewnością wyrwała ze „stagnacyjnej” drzemki wielu historyków.

Spośród monografii z Mieszkiem I w tytule, które opublikowane zostały w czasach postpeerelowskich, najmniej krytycznych zastrzeżeń, a i emocji również, wzbudziła kilkakrotnie wznawiana praca Jerzego Strzelczyka, zatytułowana *Mieszko Pierwszy. Chrzest i początki Polski*, której pierwsze wydanie ukazało się w tysiącletnią rocznicę śmierci tego władcy (992 r.). Można odnaleźć w niej przejrzyste omówienie rozbieżności historiograficznych dotyczących zarówno niekwestionowanego imienia Mieszko, jak i tych, które wynikają z kwestionowanego niemal totalnie imienia Dagome/Dagone. Oczywiście z punktu widzenia losów hipotezy podboju istotne znaczenie ma drugie z tych imion, a konkretnie jego domniemany skandynawski źródłosłów. Strzelczyk naświetla tę kwestię jednoznacznie jako należąca już do przeszłości: „Zwolennicy teorii, czy jak się to obecnie ironicznie ujmuje, »herezji wikińskiej«, sądzili, jak wiemy, że jest to skandynawskie imię Dag (Tag) Dago”¹⁰². W jego ocenie odejście historiografii od owej „herezji” to jeden z nielicznych pozytywów, które można przypisać badaczom zagadki *Dagome iudex*. Ten sam historyk zachował jednak niemały dystans również wobec zwolenników frankońsko-lotaryńskiego źródłosłowu domniemanego chrzestnego imienia Mieszka, mimo że był to pomysł, który cieszył się i nadal cieszy „bodaj największym uznaniem”¹⁰³. Zdaniem Strzelczyka rozwinięta przez Łowmiańskiego językoznawcza sugestia Jana Otrębskiego jakoby wyraz *Dagome/Dagone* był jedynie „dopełnionym” fragmentem imienia

¹⁰¹ Spośród tych ostatnich zwrócę jedynie uwagę na publikacje dwóch historyków, z których pierwszy – Dariusz Andrzej Sikorski – wszedł w szczególnie ostrą polemikę z Urbańczykiem; zob. D.A. Sikorski, *Mieszko Pierwszy Tajemniczy i jeszcze bardziej tajemnicza metoda historiograficzna*, „Roczniki Historyczne” 79, 2013, s. 183–203; P. Urbańczyk, *Furor Sikorscianus, czyli pryncypialny strażnik ortodoksji*, „Roczniki Historyczne” 80, 2014, s. 267–277; D.A. Sikorski, *Mieszko I mniej już tajemniczy (Odpowiedź Przemysławowi Urbańczykowi)*, „Roczniki Historyczne” 80, 2014, s. 277–285. Drugi ze wspomnianych przeciwników, warszawski historyk Grzegorz Pac, już choćby samym tytułem swej publikacji namawia do podniesienia rzuconej przez Urbańczyka rękawicy; zob. tenże, *Napiszmy lepszą książkę o Mieszku I!*, „Kwartalnik Historyczny” 122, 2015, 3, s. 539–551.

¹⁰² J. Strzelczyk, *Mieszko Pierwszy. Chrzest i początki Polski*, wyd. 4, Poznań 2016, s. 70.

¹⁰³ Tamże.

frankijskiego króla Austrazji Dagoberta II (zm. 679), którego kult jako męczennika i świętego katolickiego objął Alzację i Lotaryngię, skąd docierał też do nas, nie miała dostatecznych podstaw. Brak jakichkolwiek śladów tego kultu w Polsce, czego należałoby oczekiwać, gdyby sam Mieszko pielęgnował kult męczennika, którego imię nadano mu na chrzcie, przemawiał za konkluzją, że „uczeni wykazali w omawianej sprawie wiele pomysłowości, w gruncie rzeczy zaś bezradność”¹⁰⁴.

Przemysław Urbańczyk, podobnie jak Michał Kara, powszechny już dzisiaj imperatyw badań interdyscyplinarnych w dużej mierze realizuje, korzystając z warsztatu metodologicznego i wyników badań antropologii społeczno-kulturowej (etnologii). Trudno się dziwić, że w środowiskach naukowych spotkało się to z aprobatą, a nawet podziwem wzbudzonym nadziejami, że obaj badacze wyprowadzają historiografię narodzin państwa polskiego z zastoju i kierują na nowe tory. W wydanym nie tak dawno tomie, zawierającym materiały multidyscyplinarnej konferencji poświęconej instytucji „wczesnego państwa” (Poznań 2012)¹⁰⁵, możemy przeczytać, że zarówno *Trudne początki Polski* (2008)¹⁰⁶ Urbańczyka, jak i *Najstarsze państwo Piastów – rezultat przełomu czy kontynuacji? Studium archeologiczne* (2009) Kara to książki, które „z sukcesem starają się przełamać stagnację teoretyczną, dotyczącą wizji procesów leżących u podłoża formowania się państwa, w tym państwa polskiego. Obie prace równocześnie zwracają uwagę na bogaty dorobek antropologii kulturowej jako źródła inspiracji koncepcyjnej”¹⁰⁷. W gruncie rzeczy jest to ocena, pod którą na pierwszy rzut oka trudno się nie podpisać. Gdybyśmy jednak uważnie wczytali się w tekst poświęcony dawnemu i obecnemu charakterowi antropologii kultury, który poprzedza artykuł Adrian Ciesielskiej, autorki przytoczonych tu słów, mogłyby się zrodzić niemałe wątpliwości co do nadziei pokładanych w interdyscyplinarnej współpracy antropologów, archeologów i historyków. W tekście tym bowiem znany i ceniony antropolog kultury, Aleksander Posern-Zieliński, już na wstępie stwierdza, że po okresie wzmożonych zainteresowań, „tematyka »wczesnego państwa« znalazła się ewidentnie

¹⁰⁴ Tamże, s. 72.

¹⁰⁵ Konferencja poznańska nawiązywała do problematyki podjętej ćwierć wieku wcześniej (1987) na konferencji „Geneza i funkcjonowanie wczesnych form państwowości na tle porównawczym”, zorganizowanej w Warszawie przez Michała Tymowskiego i Mariusza Ziółkowskiego.

¹⁰⁶ Przed czterema laty P. Urbańczyk opublikował pracę *Zanim Polska została Polską* (Toruń 2015, ss. 443), która w pierwotnym zamyśle miała być poprawioną wersją *Trudnych początków Polski*. W trakcie prac nad wznowieniem uznał jednak, że taki zamiar jest niemożliwy do zrealizowania i należy napisać w istocie nowe dzieło, sygnalizując to odmiennym tytułem.

¹⁰⁷ A. Ciesielska, *Od „plemienia do państwa” czy „od wodzostwa do państwa”. Modele procesów państwowotwórczych i nowe tendencje w ich badaniu*, w: *Instytucja „wczesnego państwa”...*, s. 53.

poza głównym nurtem antropologicznych studiów, które koncentrują swą uwagę przede wszystkim na badaniach zjawisk mocno zakorzenionych we współczesności i w związku z tym takich, co do natury których badacz może się wypowiadać w oparciu o własne doświadczenia zebrane w toku badań terenowych. Jest zatem rzeczą oczywistą, iż taki model uprawiania współczesnej antropologii nie może sprzyjać studiom zorientowanym na śledzenie procesów umiejscowionych w odległej przeszłości, której mechanizmy przekształceń trudne są do śledzenia i zrozumienia¹⁰⁸. Wątpliwości co do inspiracji mogących płynąć ze współczesnej antropologii kulturowo-społecznej może jedynie pogłębić końcowa konkluzja tego artykułu, kwestionująca teoretyczne przesłanki metody temporalnej transgresji, polegającej na przenoszeniu w przeszłość ustaleń będących wynikiem badań nad zastygłymi jakoby w swej dawnej postaci współczesnymi nam społecznościami, traktowanymi jako swego rodzaju enklawy „świata bez historii”. Trzeba sobie zdawać sprawę, że takich społeczności po prostu nie ma i mamy jedynie do czynienia „z tworam i znacznie już przekształconymi pod wpływem kolonializmu, oddziaływań świata zachodniego¹⁰⁹ i procesów adaptacyjnych¹¹⁰”. Są to słowa, które każą zastanowić się nad statusem antropologii historycznej i możliwością jej inspiracji przez antropologię kulturowo-społeczną, która przedmiot swych badań oraz płynących z nich wniosków ogranicza do współczesności, ostrzegając przy tym, że przenoszenie tych wniosków w przeszłość jest metodologicznym błędem. Z kolei z takim stanowiskiem nie zgadza się Dariusz Andrzej Sikorski, który wyrażając przekonanie, że poznawczo „największe efekty przyniosą nie badania sięgające przede wszystkim do nowych, najnowszych i jeszcze nie wymyślonych teorii i metod interpretacyjnych, ale solidne analizy źródłowe. Dotyczy to źródeł pisanych, archeologicznych, historyczno-sztucznych [? – sic! — A.W.]¹¹¹ i językowych¹¹², zastrzega jednak, że: „Jest jeden wyjątek: antropologia kulturowa stała się niezbywalną częścią naszego problemu. Nie dlatego, że wpłynęła znacząco na stosowanie metody badawczej, ale przede wszystkim dlatego, że poszerza płaszczyznę

¹⁰⁸ A. Posern-Zieliński, *Antropologia polityczna a studia nad wczesnym państwem*, w: tamże, s. 39.

¹⁰⁹ Chciałoby się dodać, że również współczesnych ludzi nauki, którzy nieustannie penetrują te twory.

¹¹⁰ A. Posern-Zieliński, dz. cyt., s. 49.

¹¹¹ D.A. Sikorski, *O co chodzi w sporze historyków o początki państwa polskiego?*, w: *Spór o początki państwa polskiego...*, s. 176. Termin ten, intencjonalnie – jak się domyślam – odnoszący się do źródeł, którymi posiłkuje się historia sztuki, nie jest najrzeczniejszy, m.in. ze względu na możliwość łączenia z nim tych konotacji, które wyznaczają literackie apokryfy, fałszywe dokumenty itp. Obawiam się, że termin ten nie wytrzyma zastrzeżeń językoznawców.

¹¹² Tamże.

odniesienia dla badań komparatystycznych. Właśnie w rozwoju tych ostatnich widziałbym drugi nurt [obok badań źródłowych – A.W.] mogący rzeczywiście dokonać znacznego wkładu w rozpoznanie naszego problemu...”¹¹³. Te dwie, diametralnie odmienne diagnozy są ilustracją trudności, na jakie natrafia realizacja postulatu interdyscyplinarnego badania przeszłości. Czyżby było tak, że w odniesieniu do badań historycznych zasoby interdyscyplinarnego „banku pomysłów” należałoby uznać za bardzo ograniczone?

* * *

W przedziale czasu określonym w tytule niniejszej pracy hipoteza podboju, w wyniku którego miało powstać państwo polskie, stanowiła, a i po dzień dzień stanowi, swoisty fantom naszej historiografii. Wyłaniała się i ugruntowywała w ideologii i myśli politycznej oświecenia, później pod różnymi postaciami przejawiała się w historiografii XIX w., ale też i znikła niemal zupełnie, tak jak to było w ostatnich jego dekadach (w trakcie porachunków z Piekosińskim), a później w dwudziestoleciu międzywojennym, a także w czasach Polski Ludowej i PRL. Nie zaznaczyła się też wyraźnie w fazie postpeerelowskiej, aczkolwiek jakby ponownie zaczęła się wynurzać z mroku, głównie pod postacią koncepcji **podboju wewnętrznego** (rewolucji, przełomu), traktowanego zazwyczaj jako jedno z ogniw państwowotwórczej ewolucji. Natomiast wraz z kolejnymi fazami wzmożonego kwestionowania koncepcji normanistycznych, przypadającymi na drugą połowę XIX w. (po publikacjach Szajnochy i Piekosińskiego), a następnie na ostatnie lata okresu międzywojennego (po publikacji *Deutschland und Polen*) i czasy po II wojnie światowej, w historiografii polskiej pojawiła się praktycznie tylko jedna i to nienazwana, a przy tym niedopowiedziana do końca, hipoteza **podboju zewnętrznego**. Sformułował ją na kartach przywoływanego tu już wielokrotnie dzieła *Mieszko Pierwszy Tajemniczy*, Przemysław Urbańczyk, nie omieszkując jednak poinformować czytelnika, że stworzona przezeń „piramida przypuszczeń” jest „koncepcją dość fantastyczną”¹¹⁴. Z drugiej strony, gdyby tę hipotezę potraktować w kategoriach słowiańskiego makroetnosu, to taki najazd byłby najazdem Słowian na Słowian, a zatem jego „zewnętrzność” nosiłaby głównie charakter geograficzny. Podobnie jak domniemane zabiegi „perswazyjne”, pozwalające w istocie władcom-zjednoczycielom „zbierać” braterskie plemiona bez większego przymusu, a jeśli już to ograniczającego

¹¹³ Tamże, s. 177.

¹¹⁴ Nie wymieniam tu koncepcji formułowanych w standardach popularnonaukowych, pozbawionych, tak jak książka Zdzisława Skroka, aparatu odniesień do źródeł i literatury; zob. wyżej, przyp. 6 w tym rozdziale.

się przeważnie do mniej lub bardziej głośnego, jak ujmował to Bobrzyński, „szczękania orężem”.

Jeśli pojęcie podboju zewnętrznego nie budziło większych wątpliwości, ponieważ powszechne intuicje niemal „od zawsze” kojarzyły podbój z czymś, co przychodzi spoza tego, co zostaje podbite, to podbój wewnętrzny nasuwał asocjacje zgoła przeciwne. Dokonywał się za sprawą czegoś, co w ogóle nie musiało przychodzić, bo endogenicznie tkwiło we wcześniejszych strukturach terytorialnych i ludnościowych, po to, by w pewnym momencie przejawić swe istnienie pod postacią państwa. Nie ulega wątpliwości, że pierwsza, egzogeniczna postać hipotezy podboju sprzyjała bardziej narracji wydarzeniowej, odwołującej do elementów „krótkiego trwania”, które dają się dokładnie sparametryzować w czasie i przestrzeni (militarny najazd i zawłaszczenie władzy nad konkretnym ludem i określonym terytorium), podczas gdy druga, endogeniczna, kładła nacisk na procesualny charakter genezy państwa i faworyzowała ujęcia ewolucjonistyczne, z tym że nie negowała również znaczenia zmian gwałtowniejszych (podbojów, rewolucji, przełomów), dość zręcznie nadając im status kolejnych ogniw ewolucji. Była ona również, a i po dziś dzień pozostaje, bardziej otwarta na różne przejawy metaforycznie rozumianych podbojów pozawydarzeniowych („klasowych”, „ideologicznych”, „religijnych”, „finansowych”, „cywilizacyjnych”, „kulturowych” itp.), dokonywanych nierzadko w sposób niemal niewidoczny, bez bitew, a nawet bez „szczęku oręża”. Jej otwartość i pojemność eksplanacyjna oraz wyższe na ogół usytuowanie w dominujących w naszej myśli historycznej i politycznej aksjologiach państwa i narodu, sprawiły, że wobec milczenia źródeł pisanych okazała się o wiele bardziej przydatna od hipotezy podboju zewnętrznego, posiłkującej się starym aksjomatem nieudolności politycznej autochtonów znad Wisły, Warty i Noteci, w związku z czym państwo polskie mogło powstać jedynie jako owoc obcego drzewa przesadzonego albo z Północy, albo z Południa, albo ze Wschodu, albo z Zachodu. Obie koncepcje spotykały się jednak tam, gdzie państwowotwórcze przeszczepy dokonywane były rękoma naszych słowiańskich braci, czy to „powracających” znad Łaby, jak chciał tego Piekosiński, czy to przychodzących spod Kijowa, jak chciał tego Krotoski, czy w końcu, jak ujmował to w swym „dwunajazdowym” koncepcie Kondratowicz, i z jednej, i z drugiej strony. Wobec takich na poły już zeslawizowanych przeszczepów bariera immunologiczna plemion nadwiślańskich była bardzo niska. Ciekawe jednak, że w odniesieniu do najazdów obcoetnicznych „słowiański” argument immunologiczny, by pozostać przy tej zaczerpniętej ze współczesnego nam języka przenośni, również znajdował swe zastosowanie, z tym że w nieco odmiennej postaci. Zarówno zwycięskich najeźdźców celtyckich, o których pisał Lewestam, jak i normańskich, których wychwalał Szajnocha, mimo ich przewagi politycznej

i militarnej cechować miała niewielka odporność etniczno-kulturowa. Bardzo szybko zatem ulegli oni sławizacji i mniej lub bardziej wyraźnie wtopili się w środowisko tych, których podbili. W ten sposób w obu modelach narodzin polskiego państwa odwołujących się do opozycji tego, co swojskie i tego, co cudzoziemskie główny akcent położony został na wywodzoną z tego, co słowiańskie – swojskość.

* * *

Niedomówień i niejasności w koncepcjach powstania państwa polskiego było i jest sporo, ale opisane tu trendy badawcze zdają się wskazywać, że mimo występujących ostatnio napięć między archeologami a historykami zarówno jedni, jak i drudzy zmierzają w stronę uznania tezy, że nagłe pojawienie się na widowni dziejowej państwa polskiego należy łączyć z jego nagłymi narodzinami, znajdującymi swe potwierdzenie w tak czy inaczej rozumianym podboju. Owa „nagłość” byłaby zatem uwarunkowana nie tyle przerwaniem gwałtownie tajemniczym wcześniej milczeniem źródeł (czynnikami epistemologicznymi), ile szybkością, z jaką doszło do aktu narodzin tego państwa. Nie sposób jednak zakładać, że nawet wówczas, gdy całkowicie zgodnie przyjmiemy tezę o podboju, to dowiemy się wszystkiego, a ujęcia procesualno-ewolucyjne stracą rację bytu. Będzie tak dlatego, że naszego poznania historycznego nie potrafimy uwolnić od metafory genezy, w ramach której samo ustalenie gwałtownego faktu przyjścia na świat nie wystarczy. Trzeba również wnikać w tajemnice nie wiadomo ile trwającego procesu naszej „cięży państwowej”, a później, jeśli odrzucimy ewolucyjną koncepcję państwa „samorodnego”, pogрузić się w dociekaniach nad zanurzonym w mroczkach historycznej niepamięci aktem poczęcia. I niechaj ów ciąg utrzymanych w organicystycznej konwencji metafor zakończy tę książkę.

HOW THE POLISH STATE WAS BUILT? A HYPOTHESIS OF CONQUEST ON THE POLISH HISTORIOGRAPHY OF THE NINETEENTH AND TWENTIETH CENTURIES

ABSTRACT

While a main reference point in the present book is a hypothesis of conquest, it does not mean that other “theories and hypotheses” are being omitted, including those which for a long time were regarded by numerous historians at least as the “only right ones” if not “the only scientific ones”. Thus, besides the hypotheses of conquest, conforming to an event-driven convention (a one-time act), I have also taken into account processual-evolutionary approaches, including Marxist ones, as well as “mixed” concepts – in one way or another combining these opposed approaches. All things considered, this is a book about the frequently visited but at the same time the least illuminated corner of our (Polish) past, mainly due to the scarcity of written sources and their character allowing for various discrepant interpretations.

My presentation of concepts of the birth of the Polish state resulting from one or many conquests of intra- or extra-ethnic character occurring in the Polish historical thought I begin with the emergence of the so-called critical historiography, i.e. the second half of the eighteenth century, and finish with the “official” historiography of the Polish People’s Republic. What has happened since that time cannot be regarded as a “closed” period making it possible, broadly speaking, to unemotionally grasp new trends or to present them in a way that would eliminate the subjectivity of the authors. It does not mean, however, that I have totally ignored “our times”. In the closing part of the book, as promised in the *Introduction*, I venture to present certain preliminary remarks on historiographical tendencies from the most recent past, that is from such a past sphere which is described by historians as the “past present imperfect”.

In the period of time spanned by the title of the book, the hypothesis of conquest that led to the formation of the Polish state made and still makes a peculiar phantom of our historiography. It was emerging and establishing in the ideology and political thought of the Enlightenment period, and then occurred in various forms in the historiography of the nineteenth century,

but also disappeared almost completely, like during the closing decades of that century, in the interwar period, and in People's Poland. Neither has it been especially evident in the post-socialist phase, but it seems to be re-emerging from the dark shadows, mainly in the form of *internal conquest* (revolution, breakthrough), regarded usually as one of the elements of the state-building process. Whereas, with successive phases of intensified questioning of Normanist concepts in the second half of the nineteenth century – after the publications by Karol Szajnocha (1858) and Franciszek Piekosiński (1881), then in the closing years of the interwar period (after the publication in 1933 of a German collection *Deutschland und Polen*), and after World War Two, there appeared in the Polish historiography only one, both unnamed and unfinished, hypothesis of *external conquest* that was supposed to be made by refugees from the former state of Great Moravia. The hypothesis was formulated by Przemysław Urbańczyk in his book *Mieszko I Tajemniczy* (Mieszko I the Mysterious) who, nevertheless, did not fail to inform his readers that his “pyramid of assumptions” was, in fact, “quite a fantastic conception”. On the other hand, if this hypothesis be regarded in the categories of Slavic macroethnos, the presumed invasion would have been made by Slavs against Slavs, and thus its “externality” would be mainly of a geographic character. Similarly to other alleged military or “persuasive” invasions of the ruler of the state (of Gniezno?, of Kalisz?, of Giecz?) against neighbouring, “fraternal” tribes.

While the concept of external conquest has not given rise to any special doubts, for intuitively the conquest has almost “always” been associated with something which comes from outside that something what is being conquered, the idea of internal conquest evoked quite different associations. It was made through the agency of something which did not need to come at all, because it was endogenous to some former territorial and population structures, and at some point in history just emerged in the form of state. There is no doubt that the first, exogenous form of the conquest hypothesis favoured an event-driven narratives, referring to elements of short duration which could be more precisely parametrized in time and space (a military invasion and appropriation of power over a specific people and specific territory); while the second, endogenic form, emphasised the processual nature of the genesis of state, and favoured an evolutionary approach, although it did not negate the importance of violent changes (conquests, revolutions, breakthroughs), quite skilfully giving them the status of successive stages of evolution. It has also been more open to various manifestations of metaphorically understood non-event conquests – “class”, “ideological”, “religious”, “financial”, etc. – often made in an almost invisible way, with no battles, or even with no “clash of arms” to terrify the conquered. Its openness and

explanatory capacity, together with its higher position within the axiologies of state and nation dominating in our historical and political thought, made it in the face of the silence of written sources much more useful than the hypothesis of external conquest, based on the old axiom of political incompetence of the natives on the Vistula, the Warta, and the Noteć Rivers; therefore, the Polish state could have emerged only as the fruit of an alien tree, transplanted either from the North, or from the South, or from the East, or from the West.

The careful reader of this book will probably notice that also such directions of state-building transplants are considered as the south-eastern and north-eastern, and also – no matter how bizarre they might seem – east-western and west-eastern ones, which was made within the “two-conquest” theory. There have also been more complicated ideas – multi-conquest ones. The only thing that lacked was a consensus.

There is quite a lot of misunderstandings and ambiguities in the contemporary concepts of the emergence of the Polish state, but the described research lines seem to indicate that despite recent tensions between archaeologists and historians, both the first and the latter aim at accepting the thesis that the sudden emergence in history of the Polish state should be related to its sudden birth, confirmed by a conquest, no matter how understood. Thus, this “suddenness” would be determined by the rapidity of the state’s birth rather than a broken mysterious silence of sources (epistemological factors).

It should not be assumed, however, that we will learn everything, and processual-evolutionary approaches will lose their *raison d’être*. It is because we are unable to free our historical cognition of the metaphor of genesis in which the establishment of the fact of birth is not enough. We also have to break into mysteries of the process of our “state-forming pregnancy”, lasting for an unknown period of time, and then, if we reject the idea of “self-generating” state, we have to plunge into reflections about the act of conception immersed in historical oblivion. And with this conclusion, following the convention of organicistic metaphor, the book ends.

Translated by Grażyna Waluga

INDEKS OSOBOWY

- Abramowicz Andrzej 72, 203
Adam z Bremy (Bremeński) 94
Adamus Jan 191, 209, 225–231
Adler Emil 29
Accjusz Flawiusz 30
Alaryk 30
Albertrandi Jan Chrzyciciel 25
Alcyato Jan 68
Aleksander I Romanow 69
Aleksander Wielki 30, 32, 34
Ałpatow Michaił A. 16
Anonim zw. Gallem 28, 81, 90–92, 96, 147, 159, 166, 197, 201, 217, 259, 280, 296, 306, 308
Antoniewicz Włodzimierz 142
Arnold Stanisław 142, 143, 168, 169, 173, 174, 191, 231, 247, 250
Askold 131, 132
Asnyk Adam 208
Assorodobraj-Kula Nina 188
Atena *mit.* 10, 212, 269
Attyla 24, 25, 30
Aubin Hermann 155
Awdańcowie (Skarbkowie) 132, 280
- Baliński Michał 57, 58
Balzer Oswald 59, 63, 98, 99, 133, 143–150, 153, 156, 165–167, 171, 173, 190–192, 218, 221, 225, 228–231, 255–257, 283, 292, 313, 314, 317
Banaszkiewicz Jacek 40, 42, 252, 255, 296, 307
Bandtkie Jerzy Samuel 30, 41, 42, 66, 67
Bardach Juliusz 57, 191, 231, 234, 235, 238, 240, 259
Bartoszewicz Julian 32, 228
Barycz Henryk 45
Baszko Godziszław 81
Batowski Henryk 169
Bentkowski Feliks 63
Białecki Antoni 72
- Bielatowicz Jan 243
Bielowski August 31, 32, 133
Bierut Bolesław 176
Błachowska Katarzyna 104, 155
Bobińska Celina 168, 188
Bobrzyński Michał 60, 61, 81, 82, 87–93, 97–99, 117, 118, 144, 148, 190, 202, 204, 215, 228, 266, 269, 310, 314, 325
Bodniak Stanisław 155
Boduszyńska-Borowikowa Maria 291
Bogusławski Edward Romuald 28, 100–104
Bolesław I Chrobry 44, 51, 68, 91, 106, 128, 132, 136, 157, 171, 217, 218, 238, 253, 262, 273, 280, 294, 295, 297, 299, 307, 319
Bolesław I Srogi 32, 77
Bolesław III Krzywousty 68, 107, 129, 226, 314
Borkowski Tomasz 209
Boroń Piotr 209, 296, 317
Brackmann Albert 153, 155–162, 167, 168, 205, 215–218, 220, 292
Brandi Karl 153
Braudel Fernand 290, 291
Broz-Tito Josip 169
Brückner Aleksander 28, 104, 109
Buczek Karol 238–242, 259
Bugajewski Maciej 25
Bujak Franciszek 99, 133–136, 142, 153, 157, 171, 289
Bukaty Antoni 28, 30, 31
Buko Andrzej 21, 297, 307, 310
Bukowiecki Stanisław 122
Burnham James 15
Burzka-Janik Małgorzata 36
Bystroń Jan Stanisław 120, 135, 276
- Caro Jakob 226
Chlodwig I 30
Chołoniewski Antoni 202
Chwalba Andrzej 267, 275

- Ciesielska Adriana 322
Cyngot Dorota 232
Czacki Tadeusz 26–29, 36, 46, 66, 148, 149, 162, 207, 215
Czapliński Władysław Eugeniusz 267, 268, 273–275, 292
Czech *mit.* 33, 35
Czekanowski Jan 157, 171, 193
Czubiński Antoni 266
Czyżewski Andrzej 144
- Čelakovský Jaromír 228
- Dagobert św. 221–223, 322
Dalewski Zbigniew 307
Dalin Wiktor M. 16
Daniłowicz Ignacy 190
Dąbkowski Przemysław 225
Dąbrowski Jan 9, 10, 138, 193
Decebal-Ziemowit *mit.* 31
Dir 131
Długosz Jan 81, 148
Dmowski Roman 123
Dobrawa 32, 78, 214
Dobromir 262
Domicjan 31
Douglass Andrew Ellicott 298
Drelicharz Wojciech 252, 298
Drucki-Lubecki Franciszek Ksawery 98
Duczko Władysław 21, 131, 209, 281, 285
Dumézil Georges 308
Dzierżawin Gawryła 231
Dzierżyński Feliks 249
Dzik Michał 285
- Eckstein Marcin 267
Eichorn Karl Friedrich 226
Emmilda 262
Engels Fryderyk 176, 177, 183, 189, 211, 212, 270, 281
Eryk Zwycięski 222, 280
Estreicher Karol 72
Ewers Johann Philipp Gustav von 226
- Feldman Józef 155
Filipowiak Władysław 282, 284, 285
Filoteusz z Pskowa 11
- Finkel Ludwik 43
Friedberg Marian 21
Fustel de Coulanges Numa Denis 16
- Galos Adam 109
Galecki Jerzy 29
Gąsiorowska Natalia 168, 169, 180
Geograf Bawarski 95, 244, 302, 316, 317
Gero, margrabia 77, 165, 272, 274
Gębarowicz Mieczysław 155
Gieysztor Aleksander 125, 180, 181, 186, 189–205, 231–238, 246, 247, 249, 259
Gloger Zygmunt 72
Gluziński Tadeusz 123
Gobineau Joseph Arthur de 16
Gomułka Władysław 233, 242, 243, 247
Górka Olgierd 122, 123
Górny Maciej 100, 179, 188
Grabski Andrzej Feliks 27, 87, 164, 177, 225, 290, 291
Grabski Stanisław 122
Grekow Borys 30, 180–185, 199, 231, 254
Grimm Jakob 226
Grodecki Roman 9, 10, 138–142, 152, 193, 231, 313, 314
Grodziski Stanisław 267, 268
Guizot François 16, 49, 51, 52, 54, 58
Gumplowicz Ludwik 17–19, 102, 211, 212, 230, 277
- Halecki Oskar 71, 80, 81, 149, 155, 242–246, 250
Haller Karl Ludwig von 228
Handelsman Marcelli 180, 186
Handke Kwiryna 44, 144
Hanka Václav 20
Harald Sinozębny 126, 128, 129
Hatton, bp moguncki 41, 42
Heinrich Władysław 135
Hejnosz Wojciech 170
Helmold 94
Heltman Wiktor 19
Henryk I Ptasznik 76, 263
Hensel Witold 21, 158, 170–173, 203, 232–236, 238, 244, 259, 264, 284
Herbst Stanisław 246–249
Herder Johann Gottfried 29, 32, 207, 209
Hitler Adolf 150, 153, 277

- Hodo, margrabia 83, 84, 165
 Hoffman Karol Boromeusz 188, 221, 228
 Hofmeister Adolf 152, 161, 206, 215
 Holtzmann Robert 127, 148, 150–153, 155, 156–159, 161, 162, 168, 206, 215
- Ibárruri Gómez Dolores (La Pasionaria) 249
 Ibrahim ibn Jakub 96, 151, 167, 218, 219, 260
 Igor Rurykowicz 115
 Iwan I Kalita 11
 Iwan IV Groźny 11
- Jabłonowski Józef Aleksander 34
 Jabłoński Henryk 168
 Jagiellonowie 118
 Jan VIII, papież 319
 Jan XIII, papież 319
 Jänichen Hans 158, 215, 220
 Janion Maria 37
 Jankuhn Herbert 158
 Janowski Jan Nepomucen 53
 Jasiak Dominika 252, 298
 Jasiński Tomasz 28, 288, 299–302
 Jaskólski Michał 121
 Jażdżewski Konrad 259, 264
 Jedlicki Marian Zygmunt 159, 173
 Jellinek Georg 109, 256, 257, 265
 Jezierski Franciszek Salezy 23, 188
 Jezus Chrystus 55, 103, 117, 142
 Juliusz Cezar 31, 34
 Julkowska Violetta 43, 48
 Jurek Tomasz 304, 305, 310
- Kamiński Leszek 114
 Kantecki Maksymilian 226–228
 Kantzow Thomas 281
 Kanut Wielki 280
 Kara Michał 21, 145, 232, 252, 255, 280, 298, 299, 301, 305–310, 322
 Karamzin Nikołaj M. 16
 Karłowicz Jan 179, 180
 Karol I Wielki 76, 94, 244, 245, 294
 Karolingowie 94
 Kasperski Robert 25
 Kazimierz I Odnowiciel 51, 136
 Kętrzyński Stanisław 155
 Kiersnowska Teresa 280
- Kirkor Adam Honory 72
 Kizik Edmund 304, 305, 310
 Knetsch C. 152
 Kochanowski Jan Karol 70, 100, 101, 108, 115, 116, 118–120, 141, 162, 202, 210, 215, 277
 Koczy Leon 159, 282, 283
 Kolbuszewska Jolanta 54, 182
 Kondratowicz Ludwik Władysław Franciszek herbu Syrokomla 63–65, 125, 289, 312, 325
 Konopczyński Władysław 169, 170, 175
 Konstantyn VII Porfirogeneta 69, 299
 Koppe Wilhelm 158, 161, 215
 Kormanowa Żanna 168, 173
 Koroluk W. 173
 Korzon Tadeusz 11, 12, 110
 Kostrzewski Józef 181, 194, 222, 283, 288
 Kowalenko Władysław 194
 Kozarynowa Zofia 243
 Koźuchowski Adam 47
 Kóčka-Krenz Hanna 297, 299, 305
 Krakus (Kraak) 28, 40, 70, 147
 Krasicki Ignacy 42
 Krasuski Jerzy 161, 278, 311
 Kraszewski Józef Ignacy 20, 276
 Kraushar Aleksander 18
 Krąpiec Marek 298
 Kreczmar Natalia 131, 209
 Krotoski Kazimierz 65, 100, 125, 130–136, 142, 148, 149, 207, 224, 277, 289, 312, 325
 Kryński Adam 179, 180
 Kucharski Eugeniusz 152, 153, 193
 Kuchta Barbara 291
 Kukiel Marian 242, 247–250
 Kunik Arist A. 215, zob. też Куник Арист А.
 Kunkel Otto 283
 Kürbisówna Brygida 180
 Kurczewska Joanna 16, 18
 Kurnatowska (Hilczer-Kurnatowska) Zofia 21, 298–301, 305–310
 Kutrzeba Stanisław 62, 63, 149, 217, 218
- La Baume Wolfgang 158
 Labuda Gerard 21, 30, 125, 158, 161, 164, 172, 196, 205, 221, 234, 235, 239, 277, 278, 281, 284, 285, 311–316
 Laloy Jean 267

- Lebedev (Lebiediew) Gleb S. 281
Lech *mit.* 33–35, 147, 148
Leciejewicz Lech 21, 209, 278–281, 285
Lehr-Spławiński Tadeusz 159, 169, 180, 234, 239
Leinwand Artur 18
Lelewel Joachim 13, 25, 28–30, 32, 35, 43, 49–54, 57, 58, 65, 66, 72, 188, 190, 210, 215, 266, 314
Lengnich Gotfryd 23–26, 35
Lenin Włodzimierz 176, 270
Lestek (Leszek, Lestko) 34, 259, 261, 262, 273
Lestek II *mit.* 31
Leśnodorski Bogusław 246, 247, 249
Lewestam Fryderyk Henryk 28, 36, 37–43, 325
Limanowski Bolesław 17–19, 102
Linde Samuel Bogumił 179
Lipiński Tymoteusz 57
Locke John 228
Ludat Herbert 160, 161, 215
Ludolfingowie 94
Luksemburg Róża 249
Lutman Roman 155
- Łaguna Stosław 62, 98, 104, 148, 149
Ławski Jarosław 36
Łębiński Władysław 61, 62
Łempicki Zygmunt 155
Łepkowski Tadeusz 180
Łosiński Władysław 281
Łowmiański Henryk 21, 42, 45, 109, 180, 196, 208–224, 234, 240, 255–265, 269, 273, 277, 278, 281, 284, 300, 306, 321
- Maciejowski Waclaw Aleksander 32, 54–60, 65, 112, 133, 148, 149, 162, 188, 207, 312
Macpherson James 28
Majakowski Władimir 163
Małeczyńska Ewa 21, 174, 175, 180
Małeczyński Karol 174, 180
Malicki Jan 80
Maliszewski Maciej 30
Małecki Antoni 20, 23, 26, 28, 36, 40, 71–84, 98–100, 117, 148, 190, 215
Małecki Jan Marian 267, 275
- Mamzer Henryk 252, 255, 307
Manteuffel Tadeusz 234, 239, 268, 272, 273, 275, 292
Marchlewski Julian 231, 249
Marciniak Arkadiusz 232
Marks Karol 176, 270
Marr Nikołaj J. 178
Masław (Mojśław, Mieclaw) 136
Maternicki Jerzy 32, 71, 155, 186
Matuszewski Jacek 191, 225
Matz *mit.* 136
Męcarski Artur 246
Micewski Andrzej 124
Michelet Jules 16
Mickiewicz Adam 20, 32–36, 47, 53
Mieszko I 9, 10, 21, 23, 32, 44, 77, 78, 83, 84, 91, 106, 108, 112, 114, 119, 126–129, 132, 143, 150–152, 155–163, 165–167, 190, 200–203, 205, 206, 214, 216–219, 221, 222, 234, 236, 238, 245, 251, 253, 270–275, 277, 280, 281, 286, 289, 292–295, 297, 306, 311, 312, 314, 318–322
Mieszko II Lambert 166
Mieszko III Stary 290
Mieszko, syn Konrada Mazowieckiego 41
Miller I. 173
Misko M. 173
Miśkiewicz Benon 268, 269
Młynarski Feliks 122
Moczulski Leszek 30, 302–304
Modelski Teofil E. 155
Modzelewski Karol 300
Mojmir I. 127
Mojmirowice 318–320
Mommssen Theodor 149
Morawska Ewa 209
Möser Justus 226
Mościcki Henryk 35
Moździoch Sławomir 209, 310
- Nadolski Andrzej 260
Naruszewicz Adam 23–29, 55, 66, 148
Nemaniczowie 135
Nestor 38, 39, 66, 99, 131, 245, 313
Niebuhr Barthold Georg 226
Niedźwiedzki Władysław 179, 180
Nitsch Kazimierz Ignacy 194
Noszczak Bartłomiej 186, 203, 232, 235

- Nowak Andrzej 9, 10, 28, 269
 Nowakowski Zygmunt 247–250
- Oda Dytrykówna 320
 Odoaker 30
 Odyn 28
 Olaf Skötkonung 280
 Olechowski Witalis 36
 Oleg Rurykowicz (Mądry) 131, 313
 Olga Kijowska 313
 Olko Justyna 296
 Olszewski Henryk 154, 162
 Oppenheimer Franz 211–213, 256
 Otrębski Jan 221, 321
 Otton I Wielki 76, 294
- Pac Grzegorz 321
 Paclawski Jan 46
 Palnatokki 44, 129
 Paszkiewicz Henryk 184, 250
 Paulsen Peter 220
 Peisker Johann 209
 Piast 31, 41, 52, 57, 60, 81, 132, 133, 147, 148, 274, 296
 Piastowie 10, 22, 40, 42, 46, 47, 51, 60, 61, 62, 68, 73, 75, 79, 91, 93, 103–108, 116, 125–127, 129, 132, 133, 137, 140, 141, 148, 150–153, 155, 157–159, 172, 190, 195, 201, 216–222, 229–231, 237, 245, 255, 258–263, 265, 274, 279, 280, 288, 293, 295, 297–299, 302, 303, 305–311, 313, 314, 317, 319
 Piekosiński Franciszek 18, 19, 58–63, 73, 74, 80, 92–100, 104, 112, 115–119, 137, 142, 148, 149, 152, 158, 162, 192, 207, 215, 224, 227, 261, 277, 282, 312, 324, 325
 Piotr I Wielki 11
 Pisulińska Joanna 186
 Piwarski Kazimierz 168
 Pogodin Aleksandr L. 133
 Poleski Jacek 252, 298
 Popiel *mit.* 40–42, 46, 104, 131–133, 147, 148, 296
 Popiel I *mit.* 31
 Popiel II Zły (Okrutny) *mit.* 31, 40, 41, 57
 Popielidzi 60–62, 103, 104, 116
 Posern-Zieliński Aleksander 322, 323
 Potkański Karol 81, 98, 99, 135, 136, 157, 190, 191, 215
- Potocki Jan 26
 Prokop z Cezarei 23, 69
 Przemysłidzi 88, 151, 214, 273
 Przyborowski Karol 82
 Pseudo-Maurycy 69, 182
 Ptaśnik Jan 165
 Ptolemeusz Klaudiusz 38
- Rajewski Adam 243
 Rakowiecki Ignacy Benedykt 30
 Rakowski Kazimierz 109–114
 Raskupor *mit.* 31
 Reche Otto 158
 Rembowski Aleksander 17
 Remetalk *mit.* 31
 Rębkowski Marian 285
 Roepell Richard 82–84, 193, 215, 226, 227
 Rollet Henry 267, 275
 Romek Zbigniew 169
 Rosin Ryszard 21, 150–152, 159–161, 205–208, 210, 225
 Rościsław Mojmirowic 127
 Rozen Wiktor R. 215, 218, zob. też Розен Виктор Р.
 Rozwałka Andrzej 285
 Różańska Wanda 233
 Rudziński Eugeniusz 233
 Ruryk 87, 131, 151
 Rurykowicze 87
 Rus *mit.* 33, 35
 Rutkowski Tadeusz Paweł 168
 Rybarski Roman 122, 124, 210
 Rzadkowska Helena 53
- Samon 33, 151, 214, 230, 259, 264, 265
 Samsonowicz Henryk 261, 266, 293–296, 301
 Schaff Adam 176
 Schleier Hans 154
 Schlözer August Ludwig von 34
 Schmidt Friedrich August 25
 Schmitt Henryk 48
 Schmoller Gustav 109
 Schulte Lambert 127, 148, 150–153, 155, 162, 206, 215
 Semkowicz Władysław 59, 131, 132, 135, 149, 280
 Serczyk Jerzy 154

- Serejski Marian Henryk 16, 17, 21, 23, 43, 49, 51, 52, 60, 82, 87, 118, 168, 186–189, 197, 205, 210, 225
- Sękowski Józef Julian (Osip Iwanowicz Sienkowski) 35, 36
- Siemomysł 66, 127, 166, 273, 297, 314
- Siemowit 31, 57, 66, 91, 104, 131–133, 259, 261, 273, 314
- Sienkiewicz Karol 68, 316
- Sieradzki Józef 168
- Sierżęga Paweł 71, 285
- Sikorski Dariusz Andrzej 321, 323
- Silnicki Tadeusz 246
- Simmel Georg 109
- Skrok Zdzisław 289, 324
- Skrzetuski Kajetan Józef 25
- Skubała-Tokarska Zofia 72
- Skwarczyński Adam 122
- Sláma Jiří 306
- Sławnikowice 214
- Słonimski Antoni 209
- Słupecki Leszek P. 285
- Smolka Stanisław 60, 61, 81, 82, 92–100, 117, 148, 190, 215, 261
- Sobieski Waław 175
- Sobieszczański Franciszek Maksymilian 63
- Sołowiow Sergiej M. 11
- Sołtysik Arkadiusz 296
- Stahl Zdzisław 122
- Stalin Józef 169, 173, 176–178, 180–184, 254, 270
- Stanisławski Błażej M. 21, 209, 224, 281, 282, 284–286, 289
- Stobiecki Rafał 54, 144, 154, 182, 242, 251
- Stopka Krzysztof 184
- Strzelczyk Jerzy 221, 321
- Styrbjörn, jarl 128, 222
- Suchodolski Bogdan 72
- Surowiecki Wawrzyniec 30, 190
- Swen Widłobrody 126, 280
- Syrokomla Władysław zob. Kondratowicz Ludwik Władysław Franciszek herbu Syrokomla
- Szachmatow Aleksiej 182
- Szajnocha Karol 19, 26, 28, 32, 43–48, 58, 59, 96, 104, 117, 141, 148, 149, 162, 164, 188, 207, 214, 215, 224, 269, 277, 279, 281, 282, 320, 324, 325
- Szujski Józef 82, 84–87, 118, 228, 266, 314
- Szumski Jan 168, 169
- Szymanowski Adam 291
- Śreniowska Krystyna 30, 104, 105, 193
- Światosław I 115
- Świerczewski Karol 249
- Świętopełk I Mojmirowic 127
- Świętopełk II Świętopełkowic 319, 320
- Świętopełk Mieszkowic 126
- Świętosława (Sigrid/Sygyrda Storråda) 157, 222, 280, 283
- Šafárik Pavel Jozef 182
- Tabaczyńska Eleonora 203
- Tabaczyński Stanisław 203, 232
- Tacyt 55
- Tazbir Janusz 232, 246–248, 250, 261, 266, 268, 272, 293–296, 301
- Teodoryk Wielki 30
- Thierry Augustin 16
- Thietmar 25, 69, 134, 151, 159, 280
- Toborek Tomasz 144
- Topolski Jerzy 147, 184, 266, 268, 269, 305
- Trajan 31
- Trawkowski Stanisław 240
- Treitschke Heinrich von 109
- Tretiakow Piotr 169, 178–180, 231
- Trusiłło Antoni 174
- Tyc Teodor 282
- Tymieniecki Kazimierz 136–138, 142, 155, 170–173, 175, 191, 196, 234, 236, 246, 259, 283, 284, 317
- Tymowski Michał 254, 255, 322
- Ulmerugowiec *mit.* 136
- Umiński Józef ks. 155
- Urbańczyk Przemysław 21, 285, 296, 310, 311, 315–322, 324, 328
- Vasmer Max 158
- Vigener Fritz 152
- Wachowski Kazimierz 125, 126, 128, 282, 283
- Waga Teodor 25
- Walczak Antoni W. 161, 278, 311
- Walewski Antoni 68–71, 78, 86, 100, 210

- Wanda *mit.* 28, 147, 148
 Warnke Charlotte 319
 Weber Max 137
 Werfel Roman 168
 Wichman II Młodszy 10, 272, 274
 Widajewicz Józef 159, 167, 168, 170, 196, 259, 282, 283
 Widukind z Korbei 10, 94, 202
 Wielhorski Michał 23, 188
 Wierzbicki Andrzej 121, 144, 169, 188, 291, 306
 Wilde Karl August 283, 284
 Wincenty Kadłubek 28, 70, 81, 147
 Wiszewski Przemysław 209
 Wiszniewski Michał 63
 Władysław I Herman 314
 Włodzimierz I Wielki 237, 245, 313
 Wojciechowski Tadeusz 62, 104, 117
 Wojciechowski Zygmunt 21, 122–124, 151, 155, 156, 157, 159–161, 164–170, 172, 174, 190, 191, 194, 205, 218–220, 222, 231, 283
 Worcell Stanisław 19
 Wrzosek Wojciech 25, 140, 305
 Wyzrozumski Jerzy 10, 58, 184, 253, 267, 268, 270–273, 289–292
 Wyszyński Stefan 232, 243
 Zachorowski Stanisław 9, 10, 138, 193
 Zachwatowicz Jan 234
 Zajączkowski Stanisław 133, 155, 317
 Zakrzewski Stanisław 63, 100, 104–108, 125–130, 142, 143, 146, 153, 155, 192, 193, 200, 260, 282, 314, 315, 318, 319
 Zakrzewski Wincenty 165
 Zaleski Wojciech 246, 247, 250
 Zalewska Anna 232
 Zaszkilniak Leonid 32, 71, 144, 155, 186
 Zawadzki Aleksander 233
 Zeus *mit.* 10, 269
 Zgórniak Marian 267, 268
 Ziemomysł zob. Siemomysł
 Ziemowit zob. Siemowit
 Zienkowicz Leon Józef 68
 Zientara Benedykt 316
 Ziółkowski Mariusz 322
 Żak Jan 279, 281
 Żaliński Henryk 52, 53
 Żdanow Jurij 168, 176
 Żurowski Kazimierz 288
 Żychowski Marian 250
 Куник Арист А. 218, zob. też Kunik Arist A.
 Розен Виктор Р. 218, zob. też Rozen Wiktor R.

Prezentację występujących w polskiej myśli historycznej koncepcji narodzin naszego państwa w wyniku jednego lub wielu podbojów o charakterze zewnątrz- lub wewnątrzecznym rozpocząłem od czasów narodzin tzw. historiografii krytycznej, której początki przypadły w Rzeczypospolitej na drugą połowę XVIII w., a skończyłem na „oficjalnej” historiografii PRL. To bowiem, co stało się później, nie nosi jeszcze cech okresu „zamkniętego”, pozwalającego, najogólniej mówiąc, na w miarę odemocjonalizowane uchwycenie nowych tendencji czy też, deklarowaną zazwyczaj przez autorów, chęć jak najdalej idącej redukcji ich własnego subiektywizmu. Nie znaczy to jednak, że „nasze czasy” zignorowałem całkowicie. W końcowej części książki, zgodnie z zamieszczoną we *Wprowadzeniu* zapowiedzią, pozwalam sobie na nieco rekonesansowych spostrzeżeń, odnoszących się do tendencji historiograficznych z najbliższej przeszłości, czyli takiej sfery tego, co minione, którą historycy skłonni są metaforycznie określać, odwołując się do kategorii „czasu przeszłego niedokonanego”. Niechaj czytelnik wybaczy, że jest to całkiem niemałe „nieco”.

Z Zakończenia

